

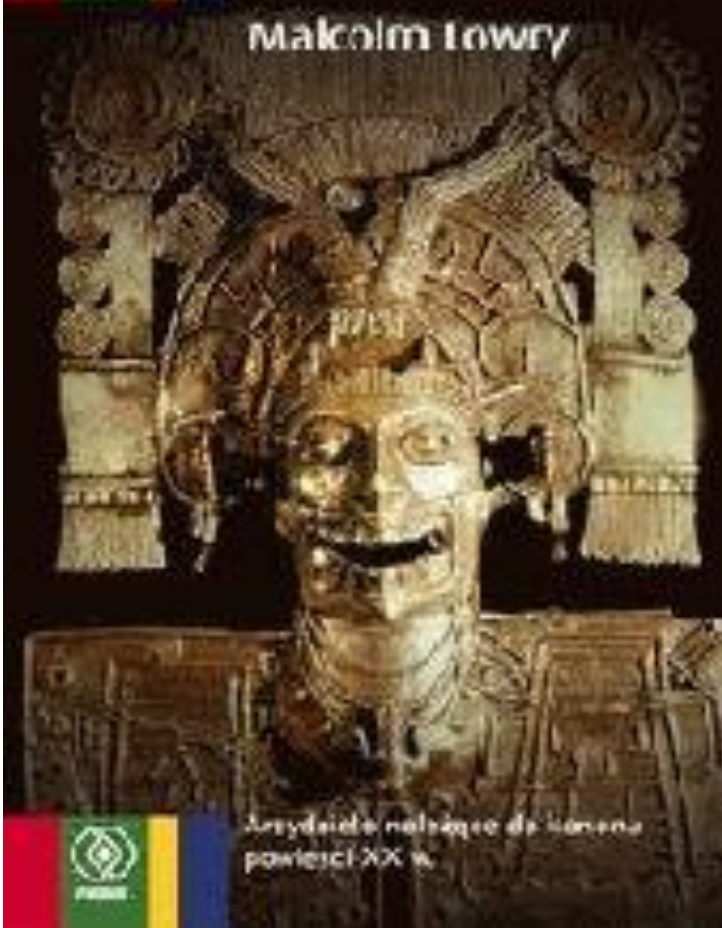




Pod wulkanem

Malcolm Lowry



Asydzida nabiqo de honono
powieści XX w.

„Wiele jest dziwów i mocy, i potęg na tym
bożym świecie,

największą z nich ludzka potęga.

On na wzburzone wypuszcza się morze

jednej łzy żalu nie roniąc spod powiek,

On matkę ziemię lemieszami orze,

muły i konie zaprzęga,

człowiek.

Płochy ród ptaków on chwyta, mądrze
rzuciwszy na nie sidła,

zwierz dziki przer¹ nim umyka,

on grzywiastego konia jarzmem pęta,

na brzeg wyciąga dzieci morskiej fali,

tura górskiego obali i byka.

~~On szybkiego jak wiatr dźwięku mowy~~
nauczył się i mądrej,

[i wieszczej.

* Miasta buduje, rynki, agory i
stawia w miastach dachem kryte
dwory, by go wiatr nie zmógł i
deszcze, leki wynalazł na groźne
choroby, wszystko złe mądrym
przewalczy sposobem —• nie
ujdzie śmierci."

Sofokles, *Antygona*. Przekład

Ludwika H. Morstma.

**„Błogosławionym zaiste wydał mi się los psa
czy ropuchy; ach, z jaką radością byłbym
wziął się na los psa czy konia, wiedziałem
bowiem, że stworzenia te nie mają duszy,
którą by zatracić mogły pod wieczystym
ciężarem piekła czy grzechu, jak moja dusza
zatracić się mogła. Ach, a chociaż to
wiedziałem, chociaż to czułem i chociaż
złamań byłem tą wiedzą, to przecież
większego bólu zaznałem, gdym z całych sił
szukał i nie znalazł w duszy mojej chęci
wyzwolenia.”**

**John Bunyan, *Grace Abounding
for the Chief of S*nners.***

„Zbawion być może,

Kto się dążeniem wieczystym trudzi.”

**Goethe, *Faust*. Przekład Emila
Zegadłowicza**

Dwa grzbiety górskie przecinają republikę mniej więcej z północy na południe tworząc w środku kilka dolin i płaskowyżów. Ponad jedną z tych dolin, nad którą górują dwa wulkany, rozsiadło się na wysokości sześciu tysięcy stóp nad poziomem morza miasto Quauhnahuac. Położone jest sporo na południe od Zwrotnika Raka, mówiąc dokładnie, na dziewiętnastym równoleżniku, mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej co Wyspy Revillagigedo dalej na zachód na Pacyfiku albo znacznie dalej na zachodzie południowy kraniec Hawajów — albo na wschodzie port Tzucox na atlantyckim wybrzeżu Ju-katanu, w pobliżu granicy brytyjskiego Hondurasu, czy jeszcze dalej w kierunku wschodnim miasto Juggernaut w Indiach nad Zatoką Bengalską.

Mury miasta, które jest zbudowane na wzgórzu, są wysokie, uliczki i zaułki kręte i wyboiste, drogi wijące się. Wspaniała amerykańska autostrada wpada do miasta od północy, gubi się jednak w jego wąskich uliczkach i wyłania jako kozia ścieżyna. Quauhnahuac posiada osiemnaście kościołów i pięćdziesiąt siedem *cantinas*. Szczyci się również terenem do gry w golfa i aż czterema setkami basenów pływackich, publicznych i prywatnych, napełnianych wodą spływającą bezustannie z gór, a także wieloma wspaniałymi hotelami.

Hotel „Casino de la Selva”* stoi na wyższym troc'he wzgórzu tuż za miastem, w pobliżu stacji kolejowej. Znaj-

— i Kasyno leśne, (hiszp.)

duże się daleko od głównej autostrady i jest okolony ogrodami i tarasami, z których roztacza się szeroki widok we wszystkich kierunkach. Budowla jest pałacowa, a przenika ją atmosfera minionej świetności. Bo nie jest to już kasyno. Można nawet nie znaleźć okazji do zagrania w kości o szklaneczkę trunku w barze. Dom nawiedzają duchy zrujnowanych graczy. Nikt chyba nie pływa we wspaniałym olimpijskim basenie. Trampoliny stoją puste i smutne. Tereny gry *jai-alai*^x są zarosnięte trawą, opuszczone. Zarząd uruchamia w sezonie tylko dwa korty tenisowe.

Tuż przed zachodem słońca w Dniu Umartych w listopadzie roku 1939 dwaj mężczyźni w białych flanelowych ubraniach siedzieli na głównym tarasie kasyna pijąc anis. Rozegrali partię tenisa, potem bilardu, ich rakiety w nieprzemakalnych pokrowcach, w ramach — doktora w trójkątnej, drugiego mężczyzny w kwadratowej — leżały na balustradzie przed nimi. Gdy procesja wracająca z cmentarza krętą drogą w dół stoku za hotelem podeszła bliżej, przeciągłe tony śpiewu podpłynęły do obu mężczyzn; obrócili głowy, żeby spojrzeć na żałobników, którzy po chwili mieli się ukazać tylko jako melancholijne płomyki świec zataczające kręgi pośród dalekich snopków kukurydzy. Doktor Arturo Diaz Vigil podsunął butelkę „Anis del Mono” Jacquesowi Laruelle, który siedział teraz pochylony do przodu, zasłuchany.

Nieco na prawo i poniżej nich, popod gigantyczną czerwienią wieczoru, którego odbicia krwawiły się w opustoszałych pływalniach, rozrzuconych tu i tam jak dziwaczne miraż, leżały spokój i słodycz miasta. Z miejsca, na którym siedzieli, miasto wydawało się ciche. Trzeba się było wsłuchać uważnie, jak robił to Laruelle, żeby rozróżnić daleki zmieszany odgłos — wyraźny, a jednak w jakiś sposób nierozdzielny od cichutkiego pomruku, od stuku kołatek żałobników — odgłos jak gdyby śpiewu, to wzmagający się, to opadający, i niemilknącego tupo-

Jai-alai — popularna w Południowej Ameryce gra podobna do tenisa, w której piłki odbija się od betonowej ściany.

tu — wrzawa i okrzyki fiesty, która trwała już cały dzień.

Laruelle nalał sobie jeszcze jedną szklankę anis. Pił anis, ponieważ trunek ten przypominał mu absynt. Na twarzy miał ciemny rumieniec, a ręka drżała mu lekko, gdy ją wyciągnął do butelki, z której kolorowy diabeł na etykiecie wymachiwał do niego widłami.

— Chciałem go namówić, żeby wyjechał i kazał się *dealcooliser* — powiedział doktor Vigil. Potknął się o francuskie słowo i ciągnął dalej po angielsku. — Ale sam byłem taki chory tego dnia po balu, że... cierpienie naprawdę, fizyczne... To niedobrze, my lekarze musimy jak apostołowie. Pamiętasz, że graliśmy też w tenisa tego dnia. Więc po tym, jak rozmawiałem z Konsulem w ogrodzie, posyłam chłopca pytać, czy nie przyjdzie i nie zastuka do moich drzwi na kilka minut, byłbym wdzięczny dla on... jak nie, napisać parę słów, jeżeli alkohol go jeszcze nie zabił.

Laruelle uśmiechnął się.

— Ale oni wyszli — ciągnął tamten.
— Ach, tak, ciebie też chciałem... pytałem, czy byłeś w jego domu.

— On był u mnie w domu, kiedy telefonowałeś, Arturo.

— Tak, wiem, ale myśmy takie straszne pijaństwo po przedniej nocy, tak *perfectamente borracho*, więc myślałem, że Konsul jest chory jak ja.

— Doktor Vigil po trząsnął głową. — Choroba jest nie tylko w ciele, jest w tej części, co ją nazywali kiedyś: dusza. Biedny twój przyjaciel roztrwonił swoje ziemskie pieniądze na tyle bezustanne dramaty.

Laruelle dopił swój trunek. Wstał i podszedł do balustrady; oparłszy dłonie na raketach tenisowych spojrzął w dół i na boki: opuszczone tereny *jai-alai* z bastionami porośniętymi trawą, martwe korty tenisowe, zupełnie blisko, w samym środku alei hotelowej fontanna, przy której hodowca kaktusów zatrzymał i poił konia. Para młodych Amerykanów, chłopiec i dziewczyna, rozpoczęli spóźnioną partię ping-ponga na werandzie przybudówki poniżej.

—i całkowicie zalany (fiiszp.)

11

To, co zdarzyło się przed rokiem, dzisiaj zdawało się już należeć do innego stulecia. Można by przypuszczać, że teraźniejsze okropności pochłoną tamto jak kroplę wody. Ale nie. Chociaż tragedia stawała się już nierzeczywista i pozbawiona znaczenia, nadal wydawało się jednak, że wolno wspominać czasy, w których życie jednostki posiadało pewną wartość i było czymś więcej niż omyłką w druku spotykaną w komunikatach. Zapalił papierosa. Daleko po lewej, w kierunku północno-wschodnim, za doliną i tarasowatymi pagórkami Sierra Madre Oriental, dwa wulkany, Popocatepetl i Ixtaccihuatl, wrastały ostre i wspaniałe w zachód słońca. Bliżej, może w odległości dziesięciu mil i poniżej doliny, dostrzegł miasteczko Tomalin przycupnięte poza dżunglą, nad którą unosiła się wąska, niebieska strużka nielegalnego dymu; ktoś wypalał drzewo na węgiel. Przed nim, po drugiej stronie amerykańskiej autostrady, rozciągały się pola i gaje, przez które płynęła skętami rzeka i które przecinała droga do Ąlcapancingo. Wieża strażnicza więzienia wyrastała nad lasem pomiędzy rzeką i drogą, która gubiła się nieco dalej — tam gdzie fioletowe wzgórza rajy z rycin Dorego pięły się ku horyzontowi. W mieście zapłonęły nagle, zamrugały i zgasły, zapłonęły znowu światła jedyne go kina w Quauhnhuac, zbudowanego na stoku o ostro rysujących się konturach.

—*No se puede vivir sin amar* * —
powiedział Laruel-
le. — ... Jak ten *estupido*² napisał na moim
domu.

—Dalej, *amigo*³, wyrzuć to, co ci leży
na sercu —
odezwał się za jego plecami głos doktora
Vigila.

—Kiedy, *hombre*⁴, Ivonne wtedy wróciła!
Tego nigdy
nie potrafię zrozumieć. Wróciła do tego
człowieka! —
Laruelle podszedł do stołu i nalał sobie
szklanę wody
mineralnej z Tehuaca. Powiedział: —
Salud y pesetas.⁵

1 Nie można żyć bez miłości, (hiszp.)

2 głupiec (hiszp.)

3 przyjacielu (hiszp.)

4 człowieku (hiszp.)

5 Zdrowia i dużo peset życzę, (zwrot
hiszp.)

— *y tiempo para gastarlas*¹ — dodał w zamyśleniu jego przyjaciel.

Laruelle spoglądał na doktora, który ziewając pólleżał na leżaku — przystojna, nieprawdopodobnie przystojna, śniada, nieprzenikniona meksykańska twarz, dobre, głębokie, brązowe oczy, a przy tym niewinne jak oczy tych rzewnych, pięknych dzieci Oaxaqueńskich, które widuje się w Tehuantepec (idealna miejscowość, gdzie kobiety pracują, a mężczyźni kąpią się cały dzień w rzece), smukłe drobne dłonie o delikatnych przegubach, dłonie, na których szorstkie, czarne włoski były niemal zaskoczeniem.

— Bardzo dawno wyrzuciłem to, co mi leżało na sercu, drogi Arturo — powiedział Laruelle po angielsku, wyjmując papierosa z ust cienkimi, nerwowymi palcami, na których — zdawał sobie z tego sprawę — nosił za dużo pierścieni. — Co mnie bardziej... — Laruelle zauważył, że mu papieros zgasł, i znowu nalał sobie anis do szklanki.

— *Con permiso.*² — Doktor Vigil wyczarował płonącą zapalniczkę z kieszeni ruchem nieprawdopodobnie szybkim, mogło się zdawać, że była już tam zapalona, że wyciągnął ogień z siebie, że gest ręki i zapalenie było jednym ruchem; podał ogień Laruelle'owi. — Nie byłeś nigdy w kościele dla tych, co osieroceni? — spytał nagle. — Gdzie Najświętsza Panna za tych, co nikogo tu mają?

Laruelle potrząsnął głową.

— Nikt tam nie chodzi. Tylko jak nie ma kogo nikt — powiedział wolno doktor. Wsunął zapalniczkę do kieszeni i spojrzął na zegarek, zgrabnym ruchem odwracając do góry przegub dłoni. — *Allons-nous-en* — dodał. — *V&-monos*³ — i zaśmiał się ziewając, jednocześnie wykonując głową skłony, które zdawały się przemieszczać stopniowo jego ciało do przodu, póki głowa nie spoczęła mu w dłoniach. Potem podniósł się i stanąwszy

obok Laruel
le^ przy parapecie głęboko wciągał
powietrze w płuca. —

—1Za sposobność wydania ich. (hiszp.)
2Za pozwoleniem, (hiszp.)
3Chodźmy, (hiszp.)

Ach, lubię tę godzinę, kiedy słońce schodzi,
kiedy ludzie zaczynają śpiewać, a psy
zaczynają ściekać...

Laruelle zaśmiał się. Gdy rozmawiali,
niebo na południu pociemniało, groźne i
burzowe, żałobnicy zeszli ze stoku wzgórza.
Ociężałe snem sępy wysoko nad głowami
odfrunęły na wietrze.

—Więc koło wpół do dziewiątej. Może
pójdę na go
dzinę do kina.

—*Bueno.*¹ Spotkamy się wieczorem tam,
gdzie wiesz.

Pamiętaj, nie wierzę, że jutro odjeżdżasz.

— Wyciągnął

rękę, którą Laruelle uściśnął mocno, bo go
kochał. —

Przyjdź wieczorem... jak nie, zrozumię, proszę
zrozum, że

chodzi mi o twoje zdrowie.

—*Hasta la vista.*²

—*Hasta la vista.*

Gdy Laruelle był już sam i stał na brzegu
szosy, którą przed czterema laty przejechał
końcową milę długiej, obłąkanej, pięknej
podróży z Los Angeles, też nie mógł uwierzyć,
że wyjeżdża. Myśl o jutrze była prawie druz-
gocąca. Gdy namyślał się niezdecydowany,
którędy iść do domu, mały, przepelniony
autobus Tomalin—Zocalo minął go i
podskakując zaczął zjeżdżać z pochyłości w
kierunku *barranca*³, zanim wspiał się na
stok i wjechał do ■ miasta. Laruelle nie chciał
iść dzisiaj w tym samym kierunku. Przeszedł
na drugą stronę ulicy i ruszył w kierunku
dworca. Chociaż nie miał jechać pociągiem,
znowu zaczęła mu ciążyć świadomość odjazdu,
groźba jego nie-uniknioności, gdy omijając jak
dziecko punkty złączenia szyn przecinał na
ukos tory. Promienie zachodzącego słońca
odbijały się od cystern i padały na porośniętą
trawą nasyp w głębi za nimi. Peron spał. Tory
były puste, sygnały podniesione. Niewiele
wskazywało na to, że pociągi zajeżdżają
kiedykolwiek na tę stację, jeszcze mniej, że ją
opuszczają.

—¹Dobrze, (hiszp.)

²Do zobaczenia, (hiszp.)

³wąwozu (hiszp.)

QUAUHNAHUAC

Ale przed niespełna rokiem miejsce to było widownią rozstania, którego Laruelle nigdy nie zapomni. Kiedy Ivonne i Konsul pierwszy raz przyprowadzili wtedy Hugh'a do domu Laruelle'a na Calle Nicaragua, przyrodni brat Konsula nie spodobał mu się — tak samo, wiedział już teraz, jak on nie spodobał się Hughowi. Dziwaczny wygląd młodego mężczyzny — chociaż Laruelle tak był wtedy wstrząśnięty ponownym spotkaniem Ivonne, że wrażenie owej dziwaczności nie dotarło do niego na tyle silnie, aby mógł natychmiast rozpoznać później Hugh'a w Parian — wydawał się jedynie karykaturalną ilustracją przyjaznych, na pół gorzkich słów, w jakich opisywał go Konsul. A więc to jest owo dziecko, o którym — Laruelle pamiętał to jak przez mgłę — wspomniano mu przed laty! Po pół godzinie uznał go za nieznośnego nudziarza, „kawiarnianego marksistę”, próżnego i nieśmiałego, który jednak przybiera romantyczne pozy ekstro-wertyka. Natomiast Hugh, który z różnych względów nie został „przygotowany” przez Konsula na spotkanie z La-ruelle'em, zapewne widział w nim bardziej jeszcze afektowany typ nudziarza, podstarzałego estety, swobodnego w stosunkach seksualnych starego kawalera o jakby obleśnym i zachłannym stosunku do kobiet. Ale w ciągu trzech bezsennych nocy przeżyli wspólnie wieczność; głęboki smutek i zdumienie nad niepojętą katastrofą zbliżyły ich do siebie. W ciągu kilku godzin po odebraniu telefonu Hugh'a z Parian, Laruelle poznał dobrze tego chłopca; poznał jego nadzieje, jego lęki, złudzenia, rozpacz. Kiedy Hugh odjeżdżał, dla Laruelle'a było to tak, jak gdyby stracił syna.

Nie zwracając uwagi na biały strój tenisowy Laruelle wspinał się na nasyp. Miał jednak rację, powiedział sobie przystanąwszy na szczycie, żeby zaczerpnąć tchu, wtedy po „odnalezieniu” Konsula (choć tymczasem wytworzyła się żałośnie-groteskowa sytuacja: w Quauhnahuac zabrakło konsula brytyjskiego, kiedy po raz pierwszy był tu naprawdę potrzebny), miał jednak rację, że Hugh po-

winien był pominąć wszelkie konwencjonalne skrupuły. Powinien był wykorzystać fakt, że „policja” objawia tak zadziwiającą niechęć do aresztowania go — a raczej, bo na to wyglądało, gorąco pragnie pozbyć się Hugh’a w chwili, gdy wszelka logika nakazywałaby go zatrzymać jako świadka w przynajmniej jednym aspekcie tego, co z perspektywy czasu można było niemal nazwać „sprawą” — i możliwie jak najspieszniej wsiąść na pokład statku, który opatrnościowo czekał w Vera Cruz. Laruelle obrócił się i spojrzął na stację; po Hughu została luka. Można powiedzieć, że w pewnym sensie uciekł zabierając ostatnie z jego złudzeń. Bo Hugh w dwudziestym dziewiątym roku życia nadał wierzył, nawet wtedy, że jego czyny zmienią świat (nie ma na to innych słów), podobnie jak Laruelle w czterdziestym drugim roku życia nie wyzbył się jeszcze wtedy cząstki nadziei, że zmieni świat przy pomocy wielkich filmów, które jakoś zamierzał stworzyć. Ale dzisiaj te marzenia wydawały się absurdalne, zuchwałe. Ostatecznie w przeszłości stworzył wielkie filmy, wielkie jak na tamte czasy. A przecież ani trochę nie zmieniły one świata. Niemniej, przywykł do pewnego stopnia utożsamiać się z Hughiem. Jak Hugh jedzie teraz do Vera Cruz; jak Hugh nie jest pewien, czy jego okręt zawinie kiedykolwiek do portu...

Droga Laruelle'a prowadziła przez na pół uprawne pola obrzeżone wąskimi, porośniętymi trawą ścieżkami, które wydeptywali wracający z pracy hodowcy kaktusów. Do tego punktu było to jego ulubione miejsce przechadzek, chociaż ostatni raz szedł tędy jeszcze przed deszczami. Liście kaktusów zachwycały świeżością; zielone drzewa podświetlone wieczornym słońcem wyglądały jak płaczące wierzby na porywistym wietrze, który zerwał się nagle; jezioro żółtego światła słonecznego wezbrało w oddali popod ładnymi wzgórzami jak bochny chleba. Ale było teraz coś bolesnego w tym wieczorze. Czarne chmury wynurzyły się na południu. Słońce chlusnęło roztopionym szkłem na pola. Wulkany w groźnym blasku zachodu były przerażające. Laruelle szedł prędko w swoich cięż-

kich, solidnych pantoflach tenisowych, które powinien już być zapakować, wymachując rakieta. Opanowało go znowu uczucie lęku, uczucie, że po tylu latach, w tym swoim ostatnim dniu jest tutaj wciąż obcy. Cztery lata, blisko pięć, a wciąż czuje się jak przybysz z obcej planety. Nie znaczy to wcale, że dzięki temu będzie mu mniej trudno wyjechać — chociaż, jeśli Bóg pozwoli, niedługo zobaczy znów Paryż. Ach, zresztą! Wojna nie budziła w nim wiele emocji, może tylko uczucie, że jest czymś złym. Wygra jedna strona albo druga. W obu wypadkach życie będzie ciężkie. Chociaż, jeśli przegrają Alianci, będzie może trochę cięższe. I w obu wypadkach własna walka będzie trwała nadal.

Jak bezustannie, jak zaskakująco zmienia się krajobraz. Pole było teraz pełne kamieni; ciągnął się długi rząd umarłych drzew. Porzucony pług, którego sylweta rysowała się ciemno na tle nieba, w niemym błaganiu wyciągał ku górze ramiona; inna planeta, pomyślał znowu Laruelle, osobliwa planeta, na której wystarczy przenieść wzrok trochę dalej, za Tres Marias, żeby ujrzeć jednocześnie wszystkie odmiany krajobrazu — Cotswolds, Windermere, New Hampshire, łąki Eure-et-Loire, nawet szare diuny Cheshire, nawet Saharę; planeta, na której w mgnieniu oka można zmienić klimat i — jeśli chciało się o tym pomyśleć — zmienić trzy cywilizacje przechodząc na drugą stronę szosy; ale piękna, nie można było jej odmówić piękna, fatalnego lub oczyszczającego, jak popadnie, piękna raju na ziemi.

Czegóż on jednak dokonał w tym raju na ziemi? Zawarł kilka przyjaźni. Zdobył meksykańską kochankę, z którą zerwał, i mnóstwo bożków mayańskich, których nie będzie mógł wywieźć za granicę, a poza tym...

Laruelle pomyślał, że może spadnie deszcz; niekiedy, chociaż rzadko, padał deszcz o tej porze, na przykład w zeszłym roku, kiedy nie powinien był padać. A te chmury na południu są burzowe. Wydało mu się, że czuje zapach deszczu, i nagle pomyślał, że nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności, że pragnąłby zmoknąć w ulewie,

przemoknąć do skóry, iść przez ten dziki krajobraz w przylegającym do ciała białym flanelowym ubraniu — mokry, ociekający deszczem. Obserwował chmury, ciemne, śmigłe konie wspinające się na niebo. Gwałtowna burza wybuchająca nie w swojej porze! Taka jest miłość, pomyślał; miłość przychodząca za późno. Tylko że nie przychodzi po niej ozdrowieńczy spokój jak po burzy, kiedy wieczorne zapachy czy senne słońce i ciepło wracają na zaskoczoną ziemię! Laruelle znowu przyśpieszył kroku. Ale gdy taka miłość uderzy cię jak grom i ogłuszy, oślepi, odbierze zmysły, zabije — żadne porównanie literackie nie zmieni twojego losu! *Tonnerre de dieu*¹... Nie ugasisz ani cząstki pragnienia, jeżeli powiesz, jaka jest ta miłość, która przychodzi za późno.

Miasto było teraz niemal w prostej linii po jego prawej i ponad nim, bo Laruelle od wyjścia z „Casmo de la Selva” szedł cały czas w dół. Z pola, przez które teraz szedł, dostrzegał nad drzewami na stoku wzgórza, poza ciemnym, zamkowym masywem Pałacu Cortez, wolno obracające się, już oświetlone koło diabelskie na głównym placu Quauhnahuac. Zdawało mu się, że słyszy płynący z wnętrza świetlistych gondoli dźwięk śmiechu ludzkiego, a potem znowu owo dalekie szaleństwo głosów śpiewających, cichnących, umierających na, wietrze, niedostępalnych w końcu. Smętna melodia amerykańska — może *St. Louis blues* — płynęła do niego poprzez pola, chwilami jako łagodna, niesiona wiatrem fala muzyki, od której odrywały się bryzgi bełkotu i która nie rozbijała się o ściany i wieże przedmieść, tylko w nie łomotała; potem nikła znów wessana w dal. Był teraz na ścieżce prowadzącej przez teren browaru i wychodzącej na drogę do To-malin. Wyszedł na szosę do Alcapancingo. Przejeżdżał samochód i gdy Laruelle stał z twarzą odwróconą i czekał, aż opadnie kurz, przypomniła mu się tamta przejażdżka samochodem w towarzystwie Ivonne i Konsula, przejażdżka wzdłuż brzegów jeziora, które samo było kraterem

**1 przekleństwo francuskie, dost.:
piorun boży.**

gigantycznego wulkanu, i zobaczył znów horyzont wyła-godzony kurzem, autobusy niknące poprzez skłębiony kurz, podskakujących chłopców z tyłu na platformach ciężarówek, trzymających się kurczowo, aby nie spaść, z twarzami osłoniętymi od kurzu (a była w tym jakaś wspaniałość, zawsze tak to odczuwał, jakaś symbolika przyszłości, do której ten heroiczny naród naprawdę czynił wielkie przygotowania, bo przecież wszędzie w Meksyku widziało się te rozpędzone ciężarówki z młodymi budowniczymi — stali wyprostowani, na mocnych, szeroko rozstawionych nogach, pęd powietrza szarpał nogawkami ich spodni) i w słońcu na zaokrąglonym pagórku zbliżający się samotny słup kurzu, przyciemnione kurzem pagórki nad jeziorem, jak wyspy w ulewnym deszczu. Konsul, którego dawny dom Laruelle dostrzegał teraz na stoku wzgórza za *barranca*, też zdawał się wtedy dość szczęśliwy, wędrował po Cholula, gdzie było trzysta sześćdziesiąt kościołów i dwa zakłady fryzjerskie, „Czystość” i „Harem”, a później wspiął się na ruiny piramidy dowodząc z dumą, że jest to historyczna wieża Babel. W jak godny podziwu sposób ukrywał to wszystko, co było zapewne „wieżą Babel” jego myśli!

Dwaj obdarci Indianie nadchodzili pośród kłębow kurzu; sprzeczali się, ale w owym głębokim skupieniu profesorów uniwersytetu wędrujących przez letni zmrok po dziedzińcach Sorbony. Ich głosy, ruchy ich delikatnych, przeraźliwie brudnych rąk, były nieprawdopodobnie pańskie, wytworne. Postawą przywodzili na myśl azteckich książąt, ich twarze przypominały mroczne rzeźby na ruinach Yukatanu.

—... *perfectamente borracho...*

—... *completamente fantastico.*¹

—*Si, hombre, la vida impersonal...*²

—*Claro, hombre...*³

1Całkiem fantastyczne, (hiszp.)

2Tak, człowieku, życie

nieosobiste. (hiszp.)

3Jasne, człowieku, (hiszp.)

— *Positivamente!*²

• — *Buenas noches.*²

— *Buenas noches.*

Odeszli w mrok. Koło diabelskie zniknęło z pola widzenia; odgłosy jarmarku, muzyka, zamiast przybliżyć się, chwilowo umilkły. Laruelle spojrzął na zachód; czując się jak rycerz starożytny z rakieta tenisową zamiast tarczy i latarką elektryczną zamiast sakiewki marzył przez chwilę o bitwach, z których dusza wychodziła zwycięsko, aby tam później odbywać wędrówki. Miał zamiar skrócić w prawo, w alejkę prowadzącą obok wzorowej farmy, na której łąkach wypasały się konie „Casino de la Selva”, prosto do jego ulicy, Calle Nicaragua. Ale nagły impuls kazał mu skrócić w lewo, w ulicę biegnącą obok więzienia. W jakiś niejasny sposób zapragnął nagle pożegnać się tego ostatniego wieczoru z ruinami Pałacu Maksymiliana.

Na południu olbrzymi archanioł, czarny jak burza, wzbil się nad Pacyfik. A jednak mimo wszystko burza niosła swój własny, tajemny spokój... Namietność do Ivonne (nie miało znaczenia, czy Ivonne byłaby, czy nie byłaby coś warta jako aktorka, bo mówił prawdę, kiedy jej powiedział, że byłaby doskonała we wszystkich filmach, które on kręcił) wskrzesiła w jego sercu, chociaż nie umiałby wyjaśnić dlaczego, wspomnienie owej chwili, gdy idąc samotnie przez łąki z Saint Pres — małej francuskiej miejsciny kanałów, śluz i nieczynnych, szarych młynów, gdzie mieszkał — ujrzał wyrastające powoli, przecudownie i w nieskończonej piękności nad ścierniskami pełnymi polnych kwiatów, wyrastające powoli w słońcu, jak wyrastały przed wiekami, gdy patrzyli na nie pielgrzymi, którzy szli przez te same łąki, bliźniacze wieże katedry w Chartres. Jego miłość przyniosła spokój, zbyt krótki spokój, w dziwny sposób przypominający tamto dawne urzeczenie, oczarowanie samym Chartres, w którym kochał każdą uliczkę czy kawiaren-

— ¹Stanowczo, (łnszp.)

²Dobranoc, (hiszp.)

kę, skąd widział wieże katedry nieprzerwanie płynące pośród chmur — urzeczenie, którego nie zniweczył nawet fakt, że Laruelle był wtedy po uszy w długach! Podobnie jak żadne skrupuły czy wyrzuty sumienia wobec Konsula nie zniweczyły w piętnaście lat później tego drugiego urzeczenia w Quauhnhuac! Zresztą, pomyślał Laruelle, jego i Konsula pojednały na jakiś czas, już po wyjeździe Ivonne, bynajmniej nie obopólne wyrzuty sumienia. Pojednało ich coś innego: być może, przynajmniej częściowo, pragnienie owej iluzorycznej pocięchy, dającej taką mniej więcej satysfakcję jak próba gryzienia bolącym zębem, którą czerpali z dwustronnej, milcząco odgrywanej komedii, że Ivonne jest wciąż z nimi.

Ach, zdawałoby się, że wszystko to było dostatecznie dobrym powodem do tego, żeby obaj uciekli z Quauh-nahuac na koniec świata! Nie wyjechali jednak. A teraz Laruelle miał uczucie, że brzemień ich obu napiera na niego z zewnątrz, jak gdyby zostało w jakiś sposób przeniesione w te fioletowe, otaczające go zewsząd góry — tak tajemnicze ze swoimi ukrytymi kopalniami srebra, takie dalekie, a jednak bliskie, takie ciche — i z tych gór emanowała dziwaczna, melancholijna siła, która próbowała go tutaj zatrzymać, fizycznie zatrzymać, która była ciężarem tego brzemienia, ciężarem wielu rzeczy, ale głównie smutku.

Szedł teraz przez pole, na którym stał podsunięty pod żywopłot na stoku wyblakły granatowy ford, zupełny wrak; dwie cegły wsunięte pod przednie koła zabezpieczały go przed nie zamierzonym odjazdem. Na co czekasz, chciał spytać, czując jak gdyby powinowactwo, jak gdyby więź łączącą go z tymi trzepoczącymi na wietrze strzępami płóciennego dachu... „Kochany, dlaczego wyjechałam? Dlaczego pozwoliłeś mi wyjechać?” Te słowa Ivonne na spóźnionej o długie miesiące kartce pocztowej nie były skierowane do Laruelle'a — na kartce, którą Konsul musiał w jakiejś chwili wsunąć mu złośliwie pod poduszkę tamtego ostatniego ranka, ale czy można odgadnąć kiedy, jak gdyby Konsul uplanował to wszystko, jak

dział, że Laruelle znajdzie kartkę dokładnie w tym momencie, kiedy Hugh, zrozpaczony, zatelefonuje z Parian. Parian! Po prawej wznosiły się teraz mury więzienia. Na wieży strażniczej dwaj policjanci spoglądali przez lornetki na wschód i zachód. Laruelle przeszedł przez most na rzece i zaczął iść skrótelną przez dużą polanę w lesie, najwyraźniej rozplanowaną jako ogród botaniczny. Ptaki wracały stadami z południowego zachodu: małe, czarne, odrażające ptaki, jakieś za długie — trochę jak monstrualne owady, trochę jak wrony — o nieproporcjonalnie długich ogonach i falistym, podskakującym, niezdarnym locie. Niszczyciele ciszy przedwieczornej, ptaki te wracały łomocząc gorączkowo skrzydłami, jak co wieczór, żeby spędzić noc na wiązach na *zocalo*¹, który aż do nocy rozbrzmiewał ich świrdującym, mechanicznym, nie milnącym skrzekiem. Rozlaźłe po lesie plugastwo przetoczyło się, przewaliło obok Laruelle'a. Zanim dotarł do Pałacu, słońce zaszło.

Mimo całej *amour propre*² natychmiast zaczął żałować, że przyszedł. W półmroku zdawało się, że pogruchotane, różowe kolumny czekają, aby na niego runąć; że sadzawka, pokryta zieloną rzęsą, o stopniach oderwanych i wiszących na jednej przegnitej belce, zamknie się nad jego głową. Rozwalona, cuchnąca kaplica zarośnięta chwastami, o popekanych ścianach spryskanych uryną, na których czaiły się skorpiony — potamane belkowanie, żałosne archiwolty, śliskie stopnie pokryte ekskrementami — to miejsce, w którym kiedyś przebywała miłość, zdawało się częścią koszmaru. A Laruelle miał dość koszmarów. Francja, nawet w austriackim przebraniu, nie powinna się przenosić do Meksyku, pomyślał. Zresztą Maksymilian, biedaczysko, nie miał szczęścia do swoich pałaców. Czy drugi fatalny pałac, ten w Trieście, też musieli nazwać Miramar — tam gdzie Carlotta popadła w obłąd i gdzie wszyscy, którzy w nim mieszkali, od cesarzowej Elżbiety austriackiej do arcyksięcia Ferdynan-

1 Z o c a l o — centralny plac
w miastach meksykańskich.
% miłości własnej (fr.)

da, umarli śmiercią gwałtowną? A mimo wszystko, jak oni musieli kochać tę ziemię, ci samotni wygnańcy w królewskiej purpurze, w końcu zwykłe istoty ludzkie, kochankowie wyrwani ze swojego żywiołu — wyrwani z raju, który w ich oczach zmieniał się powoli w więzienie, chociaż nie bardzo wiedzieli dlaczego, i zaczął cuchnąć browarem, aż w końcu pozostał im już tylko jeden majestat, majestat nieszczęścia. Duchy. Duchy na pewno tu mieszkają jak w „Casino de la Selva”. A jeden duch powtarza wciąż: „Przeznaczenie kazało nam tu przyjechać, Carlotto. Spójrz na tę falistą, zachwycającą krainę, na te wzgórza, doliny, na wulkany nieprawdopodobne w swojej piękności. Pomyśleć, że to wszystko nasze! Bądźmy dobrzy, bądźmy konstruktywni, pokażmy, że jesteśmy warci tej ziemi.” Albo są to duchy skłócone. „Nie, kochałeś siebie, kochałeś swoje nieszczęście bardziej niż mnie. Skrzywdziłeś nas świadomie.” „Ja?” „Tak, ty. Zawsze byłeś otoczony ludźmi, którzy o ciebie dbali, którzy cię kochali, wykorzystywali cię, kierowali tobą. Słuchałeś wszystkich z wyjątkiem mnie, która cię naprawdę kochałam.” „Nie, jesteś jedyną osobą, którą kochałem w życiu.” „Jedyną? Kochałeś tylko siebie.” „Nie, ciebie, zawsze tylko ciebie, uwierz mi, proszę, musisz mi uwierzyć. Pamiętasz chyba, że zawsze planowaliśmy ten przyjazd do Meksyku. Pamiętasz? Tak, masz słuszność, jedyną moją szansę miałem z tobą. Taka szansa nigdy się już nie powtórzy!” I nagle duchy wybuchły płaczem, stały płacząc rozpaczliwie. Ale głos, który Laruelle słyszał niemal we wnętrzu Pałacu, był głosem Konsula, nie Maksymiliana; i przypomniał sobie, gdy szedł dalej, szczęśliwy, że idzie wreszcie po Calle Nicaragua, chociaż po tym jej najdalszym krańcu, przypomniał sobie ów dzień, gdy natknął się tam na złączonych w uścisku Konsula i Ivonne; było to bardzo niedługo po ich przyjeździe do Meksyku i jakże inny wydawał mu się wtedy Pałac! Laruelle zwołał kroku. Wiatr ucichł. Laruelle rozpiął płaszcz z angielskiego tweedu, kupiony jednak w Mexico City, i rozluźnił granatowy szalik w kropki. Wieczór był nieprawdopodobnie parny. I ja-

ki cichy. Ani jeden dźwięk, ani jedno wołanie nie docierało do jego uszu. Nic, tylko nierówny, ssący odgłos jego kroków... Było mu też trochę gorąco, piły go spodnie. Zaczął tyć, właściwie już się roztył w Meksyku, co dla pewnych ludzi mogło stanowić jeszcze jeden dziwaczny powód do chwycenia za broń, powód, o którym nigdy nie będą pisały gazety. Bezsensownie zamachnął się rakieta, zaserwował, odbił; ale było mu za ciężko, zapomniał o ramach. Minął wzorową farmę po prawej, budynki, pola, wzgórze niewyraźne teraz w szybko gęstniejącym mroku. Ukazało się znów koło diabelskie, sam wierzchołek, płonęło milcząco na samym szczycie wzgórze, niemal na wprost niego, potem zniknęło za drzewami. Droga, nierówna i pełna wybojów, schodziła tu stromo w dół; zbliżał się do małego mostku spinającego brzegi *harranca*, głębokiej rozpadliny. W połowie mostku zatrzymał się; zapalił nowego papierosa od niedopalonego, oparł się o poręcz i spojrzał w dół. Było za ciemno, żeby dojrzeć dno, ale: oto zaprawdę ostateczność i rozdarcie! Pod tym względem Quauhnhuac było jak czas — gdziekolwiek się obrócić, otchłani czeka tuż obok. Miejsce noclegu sępów i królestwo miejskiego molocho! Kiedy krzyżowano Chrystusa (tak brzmiała przywieziona z za morza kapłańska legenda) rozwarła się ziemia w Meksyku, chociaż wtedy ita zbieżność nie mogła na nikim zrobić takiego znowu wrażenia! Na tym właśnie mostku Konsul podsunął mu kiedyś myśl nakręcenia filmu o Atlantydzie. Tak, przechylając się przez poręcz jak on teraz, pijany, ale opanowany, przytomny, trochę obłąkany, trochę zniecierpliwiony — był to jeden z tych przypadków, kiedy Konsul upijał się na trzeźwo — mówił mu o duchu otchłani, o bogu burzy, o „Hurricane” który „w tak sugestywny sposób dowodzi istnienia wzajemnych stosunków pomiędzy obiema stronami Atlantyku”. Cokolwiek chciał przez to powiedzieć.

A jednak nie pierwszy raz stali wtedy z Konsulem obok siebie i spoglądali w przepaść. Był przecież przed wiekami — a czyż można było teraz o tym zapomnieć? — Dia-

bełski Parów i to inne spotkanie tam, które zdawało się mieć jakiś niejasny związek ze spotkaniem późniejszym w Pałacu Maksymiliana... Czy to odnalezienie Konsula tutaj, w Quauhnahuac, było rzeczywiście czymś tak niezwykłym, to odkrycie, że jego dawny angielski towarzysz zabaw — nie mógł go przecież nazywać kolegą z ławy szkolnej — którego nie widział blisko ćwierć wieku, mieszka po prostu na tej samej ulicy, jest tu, o czym on nie wiedział, od sześciu tygodni? Prawdopodobnie nie; prawdopodobnie był to jeden z owych pozbawionych znaczenia zbiegów okoliczności, które można by sklasyfikować jako „ulubiony figiel bogów”. Ale jak żywo wróciły mu w pamięci tamte dawne wakacje nad brzegiem morza w Anglii!

Laruelle, który urodził się w Languion w departamencie Moselle, ale którego ojciec, bogaty filatelista o niezbyt zrozumiałych nawykach, przeniósł się do Paryża, letnie wakacje spędzał zwykle z rodzicami w Normandii. Cour-seulles w Calvados nad Kanalem la Manche nie należało do wytwornych miejscowości. Bynajmniej. Było tam kilka smaganych wiatrami, odrapanych pensjonatów, milami ciągnące się diuny i bardzo zimne morze. Ale właśnie do Courseulles zjechała w upalne lato roku 1911 rodzina wybitnego angielskiego poety Abrahama Taskersona, przywożąc ze sobą małego Anglika z Indii, dziwaczного chłop-ca-sierotę — melancholijne, piętnastoletnie stworzenie, nieprawdopodobnie nieśmiałe, a jednak opanowane, które pisało poezję, do czego stary Taskerson najwyraźniej je zachęcał, i które niekiedy wybuchało płaczem, jeżeli ktoś wypowiedział przy nim słowo „ojciec” lub „matka”. Jacques, mniej więcej rówieśnik małego Anglika, poczuł do niego głęboką sympatię, a ponieważ bracia Taskersonowie — było ich co najmniej sześciu, wszyscy chyba starsi i jak gdyby twardszej rasy, chociaż w rzeczywistości byli kuzynami młodego Geoffreya Firmina — trzymali się razem i pozostawiali chłopca własnemu losowi, Jacques spędzał dni w jego towarzystwie. Wędrowali po plaży niosąc stare kije

**golfowe przywiezione z Anglii i
zapas**

25

okropnych piątek z gutaperki, które w ostatnim dniu wybili tryumfalnie do morza. Dla Laruelle'a Geoffrey stał się wkrótce „moim starym”. Pani Laruelle, matka, dla której był „tym ślicznym młodym poetą angielskim”, też go polubiła. Pani Taskerson-matce bardzo się spodobał młody Francuz. W rezultacie Jacques został zaproszony na wrzesień do Anglii, do Taskersonów, u których Geoffrey miał spędzić resztę wakacji. A ponieważ pan Laruelle zamierzał wysłać Jacquesa do szkoły w Anglii i trzymać go tam do osiemnastego roku życia, chętnie wyraził zgodę. Zachwycała go szczególnie wspaniała, męska postawa młodych Taskersonów... I tak oto Laruelle przyjechał do Leasowe.

Miejscowość ta była jak gdyby doroślejszą i bardziej ucywilizowaną wersją Courseulles na północno-zachodnim wybrzeżu Anglii. Taskersonowie mieszkali w wygodnym domu, którego ogród na tyłach graniczył z pięknym, falistym terenem do gry w golfa, schodzącym nad samo morze. Wyglądało to jak morze; w rzeczywistości było szerokim na siedem mil ujściem rzeki; białe baranki na zachodzie znaczyły miejsce, gdzie zaczynało się prawdziwe morze. Po drugiej stronie rzeki były góry Walii, posępne, czarne, chmurne, z bielejącymi gdzieś tam białymi szczytami, które przypominały Geoffowi Indie. W dni tygodnia, kiedy pozwalano im grać, na łąkach nie było nikogo; żółte, postrzępione maki dygotały w sprężystej trawie nadmorskiej. Nad samym brzegiem czerniły się resztki przedpotopowej puszczy, widać było ohydne kikuty pni, a trochę dalej stała przysadzista, opuszczona latarnia morska. Na zalewie była wyspa z wiatrakami pośrodku, który wyglądał jak egzotyczny czarny kwiat, w czasie odpływu można było pojechać na wyspę na grzbiecie osiołka. Nisko nad horyzontem snuły się dymy frachtowców wypływających z Liverpoolu na morze. Był tu nastrój przestrzeni, pustki. Tylko podczas weekendów odczuwano pewne złe strony takiego, a nie innego położenia domu; chociaż sezon zbliżał się ku końcowi i szare, wodolecznicze hotele Wzdłuż deptaków powoli pustoszały, tereny golfowe były

od rana do wieczora zatłoczone maklerami z Liverpoolu, grającymi w dwie pary. Od soboty rano do niedzieli wieczorem grad piłek golfowych wybijanych na aut bombardował dach. Wtedy przyjemnie było pójść z Geoffreyem do miasta, wciąż pełnego ładnych, roześmianych dziewcząt, i przechadzać się po zalanych słońcem, wietrznych ulicach albo pójść na plażę i obejrzeć któreś z komicznych przedstawień pierrotów, albo, co było najprzyjemniejsze, pływać po słonym jeziorze wypożyczoną żaglówką, którą Geoffrey biegle prowadził.

Bo podobnie jak w Courseulles Geoffrey i on byli skazani głównie na własne towarzystwo. I Jacques dopiero tu zrozumiał, dlaczego tak rzadko widywał Taskersonów w Normandii. Ci chłopcy byli wprost niewiarygodnymi, bajecznymi piechurami. Dzienny marsz długości dwudziestu pięciu lub trzydziestu mil był dla nich fraszką. Ale co> wydawało się jeszcze dziwniejsze, zważywszy, że żaden nie wyrósł z wieku szkolnego, byli też wprost niewiarygodnymi, bajecznymi pijakami. W ciągu małego spacerku długości pięciu mil zatrzymywali się w tyluż *pubach*^x i w każdym wypijali pół kwarty lub kwartę mocnego piwa. Nawet najmłodszy, który nie miał jeszcze piętnastu lat, pochłaniał swoje sześć półkwart w ciągu jednego popołudnia. A jeżeli któryś zwymiotował, tym lepiej dla niego. Zyskiwał możliwość dalszego picia. Ani Jacques, który miał słaby żołądek, chociaż przywykł pić w domu niewielkie ilości wina, ani Geoffrey, który nie lubił piwa, a poza tym wychowywał się w surowej szkole metodystów, nie mogli dotrzymać kroku tym średniowiecznym obyczajom. W rzeczy samej cała rodzina piła nieumiarkowanie. Stary Taskerson, dobrotliwy, bystry człowiek, stracił jedyne go syna, który odziedziczył po nim pewien talent literacki; teraz wieczory spędzał w swoim gabinecie, przy otwartych drzwiach, na posępnym rozmyślaniu i piciu, siedział trzymając koty na kolanach i szelestem wieczornej gazety wyrażał z daleka naganę swoim pozosta-

i szynkach (ang.)

łym synom, którzy z kolei spędzali długie godziny na piciu w jadalni. Pani Taskerson, całkiem inna kobieta w domu, gdzie może mniej jej zależało na robieniu dobrego wrażenia, dotrzymywała towarzystwa synom, a chociaż na jej zaróżowionej, ładnej twarzy też gościł wyraz nagany, piła ochoczo i przetrzymywała w pijaństwie każdego. Oczywiście trzeba pamiętać, że chłopcy startowali już przeważnie w *pubach*. Nie należeli jednak do tego typu ludzi, których widuje się pijanych poza domem. Było dla nich sprawą honoru, że im bardziej są pijani, tym mniej będzie to po nich widać. Z reguły chodzili trzymając się bajecznie prosto, ramiona ścignięte do tyłu, głowa podniesiona, jak gwardziści na służbie, tylko pod koniec dnia bardzo, bardzo powoli — słowem, zachowywali ową „wspaniałą, męską postawę”, która zrobiła tak niezatarte wrażenie na panu Laruelle-ojcu. Ale swoją drogą, nie była to rzecz bynajmniej niezwykła, jeżeli rano zastawało się całą rodzinę śpiącą na podłodze w jadalni. Tylko że jakoś nikomu to nie szkodziło. A spiżarnia aż pękała od baryłek piwa, które mógł odszpuentować każdy, kto chciał. Chłopcy, silni i zdrowi, mieli wilcze apetyty. Pochłaniali przerażające ilości smażonych żołądków baranich i kaszanki zwanej czarnym lub krwawym puddingiem; było to coś w rodzaju mieszaniny podrobów zwierzęcych z kaszą, którą — Jacques obawiał się — podawano przynajmniej częściowo na jego benefis (*boudin*, sam rozumiesz, Jacques), podczas gdy „mój stary”, o którym domownicy najczęściej mówili „ten Firmin”, siedział onieśmielony i nieswój, z nietkniętą szklanką jasnego piwa obok nakrycia, bojaźliwie usiłując nawiązać rozmowę z panem Taskersonem.

Początkowo trudno było zrozumieć, co Geoffrey w ogóle robi u tej niebywalej rodziny. Nie łączyły go z młodymi Taskersonami żadne wspólne zainteresowania, nie uczęszczali nawet do tej samej szkoły. Ale łatwo było się domyślić, że krewni, którzy go tu przystali, działali w najlepszej wierze. Geoffrey „trzymał zawsze nos w książkach”, więc „kuzyn Abraham”, którego dzieła miały charakter religijny, będzie dla niego „wprost idealnym” men-

torem. Jeśli zaś idzie o samych chłopców, krewni wiedzieli o nich zapewne tyle co rodzina Jacquesa, to znaczy prawie nic: w szkole zdobywali wszystkie nagrody za język angielski i za sporty, a więc nie ulegało wątpliwości, że ci wspaniali, dzielni chłopcy są „jak wymarzeni” i że dzięki ich pomocy biedny Geoffrey przezwycięży nieśmiałość i przestanie „karmić się marzeniami” o swoim ojcu i o Indiach. Jacques całym sercem współczuł temu biedakowi, „mojemu staremu”. Kiedy Geoffrey był jeszcze małym chłopcem, umarła w Kaszmirze jego matka, a przed rokiem czy dwoma laty jego ojciec, który ożenił się ponownie, zwyczajnie, acz jednocześnie skandalicznie, zniknął. Nikt w Kaszmirze czy gdziekolwiek indziej nie wiedział, co się z nim właściwie stało. Któregoś dnia po prostu poszedł w Himalaje i nie wrócił, zostawiając Geof-freya w Srinagar wraz z jego bratem przyrodnym, Hughem, wtedy niemowlęciem na ręku, i macochą. Potem, jak gdyby tego jeszcze było mało, umarła macocha i dzieci zostały same w Indiach. Biedny „mój stary”. Chociaż taki był dziwaczny, naprawdę wzruszał się każdym najmniejszym objawem serdeczności. Wzruszał się nawet, kiedy mówiono o nim „ten Firmin”. I był bardzo przywiązany do starego Taskersona. Laruelle miał wrażenie, że na swój sposób był przywiązany do wszystkich Taskersonów i w razie potrzeby oddałby za nich życie. Była w nim jakaś rozbijająca bezradność i jednocześnie lojalność. Trzeba przyznać, że chłopcy Taskersonowie starali się, jak mogli — na swój angielski obcesowy sposób — okazać mu współczucie i wciągnąć w krąg własnych zainteresowań podczas tych jego pierwszych wakacji w Anglii. Nie było ich winą, że nie potrafił wypić siedmiu półkwart w ciągu czternastu minut czy wytrzymać pięćdziesięciomilowego marszu. Częściowo dzięki nim Jacques przyjechał do Leasowe, żeby dotrzymać Geoffreyowi towarzystwa. I może dzięki nim Geoffrey zdołał częściowo przezwyciężyć swoją nieśmiałość. Bo właśnie od Taskersonów „mój stary” nauczył się czegoś, a wraz z nim Jacques, posiadał mianowicie angielską sztukę „przygadywania dziewcząt”.

Śpiewali bzdurną piosenkę, śpiewali ją
najchętniej z francuskim akcentem Jacquesa.
Przechadzali się po deptaku śpiewając:..

Idziemy wszyscy roześmianni, kołysanni, lewa,
prawa,

Mówimy wszyscy roześmianni, kołysanni, głos jak
krok;

I każdy nosi roześmianny kołysanny krawat,

Za ślicznotkami goni wciąż roześmianny, kołysanny
nasz krok.

Śpiewamy wszyscy roześmianną, kołysanną tę
piosenkę

Do samego świtu;

I chodzimy cały ranek z tym uczuciem
roześmiannym, ko-

łysannym, roześmiannym, kołysannym,
pełni szczęścia i zachwytu.

Po czym rytuał nakazywał wrzasnąć głośno: Hej! — i
po
maszerować za tą czy inną dziewczyną, w
przekonaniu,
jeżeli się przypadkiem obróciła, że jest to dowód jej
sym
patii. Jeśli przekonanie było słuszne i jeśli słońce
już za
szło, brało się dziewczynę na przechadzkę na
terenach
gol
fowych, gdzie, jak to określali Taskersonowie, nie
brakło
dobrych „posiadanek”. Miejsca te znajdowały się w
górnym
nyc jarach czy rozpadlinach przecinających diuny i
wię
kszość ich miała bardzo piaszczyste dna, ale były
osłonię
te od wiatru i głębokie. A najgłębszy z nich był
Diabli
Parów. Diabli Parów był budzącą postrach
przeszkodą na
polu golfowym, położoną stosunkowo blisko domu
Tas-
kersonów, w samym środku długiego, pochyłego,
ósmego
go szlaku. W pewnym sensie parów ten strzegł
całego
te
renu, chociaż ze znacznej odległości, ponieważ
znajdował
się sporo poniżej i blisko jego lewej krawędzi.
Zionąca
jama tak była usytuowana, że pochłaniała trzecią
wybitą
piłkę gracza w rodzaju Geoffreya, który był z
natury

graczem doskonałym i pełnym wdzięku, i mniej więcej

3

piętnastą wybitą piłkę takiej niezdary jak Jacques. Jacques i „mój stary” mówili sobie często, że warto by pójść do Diabiego Parowu z dziewczyną, chociaż było rzeczą sa mo przez się zrozumią, że jeśli szło się dokądś z dziewczyną, nie wynikało z tego faktu nic bardzo poważnego. W ogóle całe to „przygadywanie sobie dziewczyn” otaczała

«

atmosfera niewinności. Po jakimś czasie „mój stary”, który, mówiąc łagodnie, był dziewczcą, i Jacques, który udawał, że me jest, co wieczór przygadywali sobie dziewczyny na deptaku, zabierali je na tereny golfowe i tam na jakiś czas rozdzielali się. Rzecz dziwna, ale posiłki w domu Tas-kersonów podawano dość regularnie. Laruelle do dzisiaj nie mógł pojąć, dlaczego nie porozumieli się co do Bia-blego Parowu. Z pewnością nie miał zamiaru podglądać Goeffreya. Zdarzyło się, że szedł ze swoją dziewczyną, która go nudziła, na przełaj przez ósmy szlak w kierunku Leasowe Drive, gdy nagle usłyszeli głosy dobywające się z parowu. A potem księżyc odsłonił dziwną scenę, od której ani on, ani dziewczyna nie mogli oderwać oczu. Laruelle odszedłby czym prędzej, ale oboje — oboje niezupełnie świadomi sensu tego, co działo się w Diablim Parowie — nie mogli powstrzymać śmiechu. Dziwna rzecz, Laruelle nigdy nie mógł sobie przypomnieć, co które z nich mówiło, a pamiętał tylko wyraz twarzy Goeffreya w blasku księżyca i niezdarne, groteskowe ruchy dziewczyny, gdy podnosiła się z ziemi, a także to, że obaj z Geof-freyem wykazali niemałe opanowanie. Poszli wszyscy do gospody pod dziwną nazwą „To zmienia postać rzeczy”. Z całą pewnością Konsul po raz pierwszy poszedł wtedy do baru z własnej inicjatywy; zażądał dla wszystkich whisky, ale kelner naradziwszy się z właścicielem odmówił podania im trunku, po czym całą czwórkę nieletnich wyproszono z baru. Niestety ich przyjaźń z takiego czy innego powodu nie wytrzymała próby tych dwóch smutnych, choć niewątpliwie opatrnościowych rozczarowań. Tymczasem ojciec Laruelle'a zrezygnował z zamiaru wystania go do szkoły w Anglii. Wakacje dowlokły się do końca w smętnym nastroju i pośród jesiennej wichury. Najpierw było posępne i melancholijne rozstanie w Liverpool, potem melancholijna i posępna podróż do Dover i z powrotem do Francji — samotny jak sprzedawca cebuli na zmywanym falą stateczku do Calais...

Laruelle wyprostował się, natychmiast świadomy ruchu, i w ten sposób zdążył zejść z drogi jeźdźcowi, który sta-

nął bokiem w poprzek mostu. Zapadła ciemność, runęła na ziemię jak Dom Usherów¹. Koń siał mrużąc oczy w podskakujących światłach samochodu (rzadkiego zjawiska w tej dalekiej części Calle Nicaragua), który nadjeżdżał od strony miasta rozchybotany jak okręt na straszliwie wyboistej drodze. Jeździec był tak pijany, że zgubiwszy strzemiona, co ze względu na ich rozmiar samo w sobie było nie byle jakim wyczynem, leżał z rozrzuconymi kończynami na grzbiecie wierzchowca i tylko cudem nie spadał, uciepiony cugli, chociaż ani razu nie próbował uchwycić się łęku siodła. Koń, pełen buntu, przysiadł gwałtownie na tylnych kopytach — trochę może bojąc się, trochę gardząc swoim panem — a potem wyleciał jak z procy w kierunku samochodu: w pierwszej chwili zdawało się, że jeździec runie do tyłu, uratował się jednak cudem po to tylko, żeby zawisnąć z boku jak wołyżer cyrkowy, następnie wrócił na siodło, znowu się ześliznął, zsunął, zaczął spadać do tyłu, za każdym razem ratując się w ostatniej chwili, ale zawsze przy pomocy cugli (nigdy łęku siodła) trzymany teraz w jednej ręce, z wściekłością okładając boki konia ciężkim, długim nożem meksykańskim, który wyciągnął z zakrzywionej pochwy. Tymczasem światła samochodu pochwytyły rodzinę idącą w dół zbocza, mężczyznę i kobietę w żałobie, i dwoje schludnie ubranych dzieci, które kobieta na widok pędzącego jeźdźca pociągnęła za sobą na brzeg drogi, podczas gdy mężczyzna usunął się na bok i stanął nad rowem. Samochód zatrzymał się, przygasił reflektory, żeby nie oślepić jeźdźca, a potem ruszył w kierunku Larueile'a i przejechał most za jego plecami. Była to potężna amerykańska maszyna kołyszająca się miękko na resorach i o cicho szemrzającym silniku, więc stuk kopyt końskich rozbrzmiewał wyraźnie, oddalając się teraz, płynąc ukosem przez źle oświetloną Calle Nicaragua, za dom Konsula, gdzie w oknie będzie teraz światło, którego Laruelle nie chciał wi-

1 The Fall of the House of Usher (Upadek domu Usherów), nowela Edgara Alana Poe z cyklu Tales of Mystery and Imagination — jest to historia upadku pewnej rodziny.

— bowiem w długi czas potem jak Adam opuścił ogród, płonęło światło w oknie Adama — i gdzie furтка jest naprawiona, za szkołę po lewej stronie ulicy, za to miejsce, na którym Laruelle spotkał Ivonne, Konsula i Hug-ha tamtego dnia, i teraz Laruelle wyobraził sobie, że jeździec nie zatrzyma się nawet przy jego domu, gdzie stały stopy kufrów w połowie tylko zapakowanych, ale że niebaczny na nie skręci i pogalopuje na Calle Tierra del Fuego i dalej z oczami dzikimi jak oczy, które niedługo zobaczą śmierć, przez miasto — a to też, pomyślał nagle, ta obłąkana wizja bezsensownego, ale kontrolowanego szafu, nie wymykającego się tak całkowicie spod kontroli i, mimo wszystko, niemal godnego podziwu, to też w jakiś niejasny sposób jest Konsulem...

Laruelle wspiął się na stok wzgórza; zmęczony stał teraz w mieście, trochę poniżej placu. Ale nie poszedł w górę Calle Nicaragua. Skręcił w lewo za szkołą, bo nie chciał przechodzić obok swojego domu, i ruszył w górę stromą, wyboistą, okrężną ścieżką, która zataczała koło na tyłach *zocalo*. Ludzie patrzyli na niego ciekawie, gdy włókł się przez Avenida de la Revolución dźwigając wciąż raketę tenisową. Idąc dalej tą ulicą można by wrócić z powrotem do autostrady amerykańskiej i „Casino de la Selva”. Laruelle uśmiechnął się: w tym tempie mógłby bez końca krążyć po tej dziwacznej orbicie wokół swojego domu. Za nim wirowało diabelskie koło, na które zaledwie spojrział. Miasto, pełne barw nawet wieczorem, było jasno oświetlone, ale płatami jak port. Wietrzne cienie przesuwały się po chodnikach. Z rzadka stojące drzewa w mroku wyglądały jak zanurzone w pyłe węglowym, ich gałęzie uginały się pod ciężarem sadzy. Turkocząc minął go znów mały autobus, jechał teraz w odwrotnym kierunku hamując ostro na stromej pochyłości, bez świateł tylnych. Ostatni autobus do Tomalin. Minął okna gabinetu doktora *Vigila* po drugiej stronie ulicy. *Dr Arturo Diaz Vigil, Medico Cirujano y Partero, Facultad de Mexico, de la Escuela Medico Militar, Enfermedades de Niños, Indisposiciones ner-*

*tijosas*¹ — jak to grzecznie brzmi i jak się różni od napisów spotykanych w *mingitorios*² *Consultas de 12 a 2 y 4 o 7.*³ Lekka przesada, pomyślał. Przebiegli gazeciarze z egzemplarzami „Quauhnahuac Nuevo”, gazety popierającej Alrnazana i mocarstwa osi, wydawanej, podobno przez uciążliwą „Union Militar”⁴. *Un avión de combate Frances derribado por un caza Alemán. Los trabajadores de Australia abogan por la paz.*⁵ *Quiere Vd* — spytał go plakat z wystawy sklepowej — *vestirse con elegancia y la ulti-ma moda de Europa y los Estados Unidos?*⁶ Laruelle szedł dalej w dół stoku. Pod koszarami przechadzali się dwaj żołnierze na warcie, we francuskich hełmach wojskowych i splotwiatych do szarości purpurowych mundurach, bogato szamerowanych zielonym galonem. Przeszedł na drugą stronę ulicy. Zbliżając się do kina uświadomił sobie nagle, że nie wszystko jest tak, jak być powinno, że wyczuwa się w powietrzu jakieś dziwne, nienaturalne podniecenie, może rozgorączkowanie. Ochłodziło się raptownie. A kino było ciemne, jak gdyby nie wyświetlano dzisiaj filmu. Ale spora gromada ludzi, nie ludzi czekających w ogonku, tylko najwyraźniej widzów kinowych, którzy przedwcześnie opuścili salę, stała na chodniku pod arkadami i przysłuchiwała się melodii *Washington Post March* wrykiwanej przez megafon samochodu reklamowego. Nagle zadudnił grzmot i latarnie uliczne zgasty. A więc światła w *cine* zgasty pierwsze. Deszcz, pomyślał Laruelle. Ale nie miał już teraz ochoty zmoknąć na deszczu. Wsunął rakieta pod palto i zaczął biec. Porywisty wiatr runął nagle ulicą unosząc strzępy gazet i dusząc płomyki prymusów na stois-

1Chirurg i ginekolog, Uniwersytet miasta Meksyk, Wojskowa Szkoła Lekarska, choroby dziecięce, zaburzenia nerwowe, (hiszp.)

2pisuarach (hiszp.)

3Godziny przyjęć od 12 do 2 i od 4 do 7. (hiszp.)

4Unia Wojskowa, (hiszp.)

5Francuski samolot bojowy zestrzelony przez niemieckiego myśliwca.

6Robotnicy australijscy domagają się pokoju, (hiszp.)

7Czy chce pan ubrać się elegancko według ostatniej mody europejskiej i amerykańskiej? (hiszp.)

kach z *tortillami*¹; nad hotelem naprzeciwko kina pokazały się groźne zygzaki błyskawic, po nich znowu zadudniły grzmoty. Wiatr huczał, wszędzie biegli ludzie, przeważnie roześmiani, szukając schronienia przed deszczem. Laruelle słyszał za plecami trzask piorunów na zboczu gór. Dopadł kina w ostatniej chwili. Lunął gwałtowny deszcz.

Zdyszany stał w westibulu kinowym, który bardziej przypominał mroczny bazar czy halę targową. Wieśniacy z koszami przepychali się do środka. Oszalała ze strachu kura szukała wejścia do kasy, chwilowo pustej i z na pół otwartymi drzwiami. Wszędzie dookoła ludzie świecili latarkami elektrycznymi, zapalali zapałki. Samochód reklamowy z megafonem ślizgając się odjechał w deszcz i grzmoty. *Las Manos de Orlac*, głosił afisz. 6 y 8⁵⁰. *Las Manos de Orlac, con Peter Lorre.*²

Latarnie na ulicy zapaliły się znowu, ale w kinie nadal było ciemno. Laruelle wygrzebał z kieszeni papierosa. *Ręce Orlaca...* Jakże to w jednym mgnieniu wywołało w pamięci dawne czasy kina, pomyślał, właściwie jego własne opóźnione lata studenckie, czasy *Studenta z Pragi* i Wiene'a, i Wenera Kraussa, i Karla Griine'a, czasy Ufy, kiedy pokonane Niemcy zdobywały szacunek cywilizowanego świata dzięki filmom, które kręcili ich artyści. Tylko że wtedy Conrad Veidt grał w *Orlacu*. Dziwne, ale tamten film nie był wiele lepszy od obecnej wersji, słabego hollywoodzkiego obrazu, który Laruelle widział przed kilku laty w Mexico City czy może — rozejrzał się dokoła — może w tym właśnie kinie. Było to prawdopodobne. Ale jeśli pamiętał, nawet Peter Lorre nie zdołał uratować tego filmu i Laruelle nie miał ochoty oglądać go po raz drugi... A przecież jaką zawitą, odwieczną opowieść o tyranii i azylu zdawał się mu przekazywać ten plakat majaczący nad nim w mroku, ukazujący mordercę Orlaca! Artysta o rękach mordercy; to właśnie jest to, hieroglif czasów. Bo w rzeczywistości wznosiły się nad nim, w po-

¹*Tortilla*s — podpłomyki z mąki kukurydzanej zastępujące chleb.

²*Ręce Orlaca*, seanse: 6 i 8.30. z Peter Lorre. (hiszp.)

niżającej ohydzie złego plakatu, Niemcy. Czy też, zakładając nieprzyjemne rozgranie wyobraźni, był to sam La-ruelle?

Dyrektor kina stał przed nim osłaniając w złożonych dłoniach — z tą samą szybkością jak błyskawica, zręcznie--niezdarną kurtuazją charakterystyczną dla doktora Vigila, dla wszystkich mieszkańców Ameryki Łacińskiej — zapaloną zapałkę; jego włosy, nietknięte deszczem i jak gdyby pokryte warstwą lakieru, a także bijący od niego silny zapach perfum, zdradzały codzienne wizyty w *peluqueria*¹; był nienaganie ubrany w sztuczkowe spodnie i czarną marynarkę, niezłomie *muy correcto*², jak większość Meksykańczyków jego typu — na przekór trzęsieniom ziemi czy burzom. Odrzucił teraz zapałkę gestem, który nie został zmarnowany, oznaczał bowiem powitanie.

— Chodźmy się czegoś napić — powiedział.

— Pora deszczowa nie chce wyzionąć ducha — uśmiech

nął się Laruelle, gdy torowali sobie łokciami drogę do małej *cantiny*, która przytykała do kina lecz nie dzieliła z nim

frontonu. Wnętrze *cantiny*, noszącej nazwę „Cerveceria XX”³ i będącej „miejszem tam gdzie wiesz” doktora

Vigila, było oświetlone świecami osadzonymi w butelkach i ustawionymi na barze oraz na

kilku stolikach

wzdłuż ścian⁴. Wszystkie stoliki były zajęte.

— *Chingar*⁴ — powiedział dyrektor

półgłosem, zaabsorbowany, czujny, rozglądając się dokoła;

stanęli z boku przy barze, gdzie znalazło się jeszcze dla nich miejsce. —

Przykro mi, że musieliśmy zawiesić działalność. Ale ze psuły się instalacje. *Chingado*.⁵ Nie ma

tygodnia, żeby

nie zgasło światło. W zeszłym tygodniu było dużo gorzej,

naprawdę okropnie. Wie pan, mieliśmy tu zespół z Pa

nami w objeździe przed premierą w Mexico City.

— Pozwoli pan, że...

¹u fryzjera (hiszp.)

²bardzo poprawny (hiszp.)

³„Piwiarnia XX wieku.” (hiszp.)

⁴Grube, niecenzuralne wyzwisko, (hiszp.)

⁵jak wyżej.

— Ależ naturalnie, *hornbre* — zaśmiał się dyrektor. Laruelle spytał Sr Bustamente, który tymczasem zdołał przy ciągnąć uwagę barmana, czy ma rację, że widział *Orlaca* w tym kinie, a jeśli tak, czy dyrektor wznowił film, bo go uważa za przebój — *Uno?...^x*

Laruelle zawahał się.

— Tequila — odpart i zaraz się poprawił. — *No, anís... anís por favor, señor.²*

■ — *Y una... ah... gaseosa³* — powiedział Sr Bustamente do barmana. — *No, señor* — dodał badając z uznaniem palcami, wciąż zaabsorbowany, materiał na prawie suchej kurtce tweedowej Laruelle. — *Compañero⁴*, nie wznowiliśmy tego filmu. Po prostu wrócił na ekrany. A wczoraj pokazywałem najnowsze wiadomości; niech mi pan wierzy, pierwszą kronikę z wojny hiszpańskiej, która też "wróciła na ekrany.

— Widzę, że ma pan jednak trochę nowych filmów — powiedział Laruelle (podziękowawszy za miejsce w łoży *autoridades⁵* na drugi seans, jeżeli się taki odbędzie) rzucając trochę jakby ironiczne spojrzenie na ogromny, jasny krawy afisz z podobizną niemieckiej gwiazdy filmowej, chociaż o rysach pieczołowicie hiszpańskich, wiszący za barem. *La simpatiquísima y encantadora Maria Landrock, notable artista alemana que pronto habremos de ver en sensacional Film...⁵*

— ... *un momentito, señor. Con permiso...¹*

Sr Bustamente wyszedł, ale nie przez główne wejście, którym się tu dostali, tylko przez boczne drzwiczki za "barem tuż obok po prawej, z których zsunięto kotarę, prosto do kina. Laruelle miał dobry widok na salę. A z wnętrza, zupełnie jak gdyby seans się odbywał, pły-

1 Jedną? (hiszp.)
2 Nie, anyzówki... anyzówki, proszę pana, (hiszp.)
3 butelkę wody sodowej, (hiszp.)
4 kolego, (hiszp.)
5 dygnitarzy (hiszp.)
6 Sympatyczna i czarująca Maria Landrock, znana artystka niemiecka, którą wkrótce zobaczymy w sensacyjnym filmie, (hiszp.)

**Zchwileczke, prosze pana.
Przepraszam,, (hiszp.)**

3?

nęta wspaniata wrzawa — rozkrzyczone dzieci i sprzedawcy roznoszący smażone kartofle i *fnjoles*¹. Trudno było uwierzyć, że tak wielu widzów wyszło z kina. Ciemne kształty bezpańskich psów pomykały między rzędami krzeseł. Światła nie zgasły zupełnie; migotały, mętne, czerwonopomarańczowe, drgały. Na ekranie, przez który przewalał się nie mający końca pochód podświetlonych pochodniami cieni, wisił magicznie do góry nogami, ledwie czytelny napis przepaszający widzów za przerwę w seansie; w łoży dla *autoridades* zapalono trzy papierosy od jednej zapałki. W głębi sali, gdzie odbite światło padało na napis *SALWA*² nad wyjściem, Laruelle zaledwie zdołał dojrzeć sylwetkę Sr Bustamente, który wchodził do swojego biura. Na dworze dudniły grzmoty i padał deszcz. Laruelle popijał zmącony wodą anis, który w pierwszej chwili był zielonkawo orzeźwiający, potem wręcz obrzydliwy. Prawdę mówiąc, zupełnie nie przypominał absyntu. Ale opuściło go zmęczenie i poczuł głód. Była już siódma. Pójdzie jednak chyba z Yigilem na kolację do Gambrinusa albo do Charleya. Wziął z talerzyka ćwiartkę cytryny, ssną ją w zamyśleniu i czytał napis na kalendarzu wiszącym za barem obok enigmatycznej Marii Landrock, na którym przedstawione było spotkanie Cor-teza z Moctezumą w Tenochitlan: *El ultimo Emperador Azteca, czytał, Moctezumą y Hernan Cortez representativo de la raza hispana, quedan frente a /rentę: dos razas y dos. civilizaciones que habian llegado a un alto grado de per-fección se mezclan para integrar el nucleo de nuestra nacionalidad actual.*³ Ale oto wracał Sr Bustamente, niósł w ręce, podniesionej wysoko nad głowami ludzi tłoczących się przy zasłonie na drzwiach, książkę...

Laruelle, świadomy doznanego szoku, obracał książkę w rękach. W końcu odłożył ją na kontuar i wypił tyk anis.

1 Czarna fasola, bardzo popularne danie w Meksyku.

2 "Wyjście, (hiszp.)

3 Ostatni cesarz Azteków, Moctezuma, i Hernan Cortez, przedstawił w twarz w twarz: dwie rasy i dwie cywilizacje, które osiągnęły wysoki stopień rozwoju, łączą się z sobą tworząc zarodek naszej obecnej narodowości, (hiszp.)

— *Bueno, muchas gracias señor*¹ —
powiedział.

— *De nada*² — odparł Sr Bustamente cicho. Odprawił szerokim, jak gdyby wszechobejmującym gestem posępny słup, który zbliżał się do nich niosąc na tacy czaszki odlane w czekoladzie. — Nie wiem, jak dawno, może dwa, może trzy lata, *aquí*³.

Laruelle zajrzał znów pod okładkę, a potem zamknął książkę leżącą na kontuarze. Nad nimi deszcz bił w dach kina. Minęło osiemnaście miesięcy od dnia, w którym Konsul pożyczył mu ten rudobrazowy, zniszczony tom dramatów elżbietąskich. Było to może w pięć miesięcy po rozstaniu się Ivonne i Geoffreya. Miało jeszcze upłynąć sześć miesięcy do jej powrotu. Zasepieni snuli się po ogrodzie Konsula, między różami, między ołownicami, begoniami, „które są jak zużyte *presewatifs*” zauważył Konsul rzucając mu diaboliczne spojrzenie, spojrzenie jednocześnie prawie oficjalne, które teraz, z perspektywy czasu, zdawało się mówić: „Wiem, Jacques, że może nigdy nie zwrócisz mi tej książki, ale, powiedzmy, że pożyczam ci ją właśnie w tym celu — żeby ci się kiedyś zrobiło przykro, żeś mi jej nie oddał. Och, ja ci przebaczę, ale czy ty będziesz mógł przebaczyć sobie? Nie tylko dlatego, że mi jej nie oddałeś, ale ponieważ do tego czasu książka stanie się symbolem czegoś, czego już teraz oddać nie można.” Laruelle wziął książkę. Chciał ją mieć, bo od dawna chodziła mu po głowie myśl, żeby zrobić we Francji współczesną filmową wersję dziejów Fausta z postacią taką, jak, powiedzmy, Trocki, w roli tytułowej. W rzeczywistości dopiero w tej chwili stworzył pierwszy raz książkę. Choć później Konsul pytał go o ten zbiór dramatów kilkakrotnie, Laruelle zgubił je tego samego dnia, zostawił widać w kinie. Przysłuchiwał się szumowi w ody rwącej rynsztokiem za jedynymi drzwiami żaluzjowymi „*Cer-veceria XX*”, które wychodziły na boczną uliczkę w głębi po lewej. Niespodziewany grzmot wstrząsnął murami, je-

¹No więc — bardzo panu dziękuję, (hiszp.)

²Nie ma za co. (hiszp.)

³tutaj (hiszp.)

go echo zabrzmiało jak stuk węgla
zsypanywanego w dół pochylni.

—Wie pan, *señor* — powiedział nagle
— ta książka
nie jest moja.

—Wiem — odparł Sr Bustamente, ale
cicho, prawie
szepem. — To chyba pański *amigo*... była
chyba jego. —
Umilkł zmieszany, z krtani wydobyło mu
się chrząknięcie.
— Pański *amigo*, taki *bicho*¹... to jest
z niebieskimi
oczami. — I jakby można było mieć
jeszcze wątpliwości,
O kim mówi, chwycił palcami za
podbródek i zakreslił
w dół linię urojonej brody. — Pański
amigo... ach, *senor*
Firmin. El Cónsul. Ten Americano.

— Nie. Nie był Amerykaninem. —
Laruelle usiłował
mówić trochę głośniej. Nie przyszło mu to
łatwo, bo nagle
cała *cantina* umilkła i Laruelle zauważył,
że na sali ki
nowej też zapadła dziwna cisza. Światło
zgasło zupełnie

1 patrzył teraz ponad plecami Sr
Bustamente w cmentarną
ciemność, przecinaną płomieniami
pochodni jak letnie bły
skawice, ale sprzedawcy zniżyli głosy,
dzieci przestały
śmiać się i płakać, a całe przerzedzone
audytorium się
działo apatyczne i znudzone, chociaż
cierpliwe, przed
mrocznym ekranem, który nagle
rozświetlił się milczący
mi, groteskowymi cieniami olbrzymów,
włóczy, ptaków,
potem znowu zgasł; mężczyźni w
pierwszym rzędzie bal
konu po prawej, którym nie chciało się
ruszyć czy zejść
na dół, byli jak masywny fryz wykuty w
ścianie, poważ
ni, wąsaci mężczyźni, wojownicy
czekający na rozpoczęcie
spektaklu, na widok splamionych
krwią rąk mordercy.

— Nie? — spytał cicho Sr Bustamente.
Wypił łyk swo
jej *gaseosa*, wpatrzony jak Laruelle w
ciemne wnętrze
sali kinowej, a potem, znowu
zaabsorbowany, rozejrzał
się po *cantinie*. — Ale czy to prawda, że

był konsulem?
Bo widywałem go tu często, jak siedział
i pił, i często,
biedaczysko, nie miał nawet skarpetek.

Laruelle zaśmiał się krótko.

— Tak, był konsulem brytyjskim w
tym mieście. —

1 śmieszny facet, pokrakę (hiszp.)

Mówili ściszymi głosami po hiszpańsku i Sr Bustamen-te, powyrzekawszy przez następne dziesięć minut na brak światła, dał się namówić na piwo, podczas gdy Laruelle poprosił o napój bezalkoholowy.

Nie udało mu się jednak wyjaśnić czarującemu Me-ksykańczykowi, kim w istocie był Konsul. Mętne światła zabłyśły znów zarówno na sali kinowej, jak w *cantine*, chociaż seans nie zaczął się jeszcze, i Laruelle siedział teraz sam przy zwolnionym narożnym stoliku „Cerveceria XX”, a przed nim stała kolejna szklaneczka anis. Zapłacił za to bólami żołądka; dopiero w ciągu ostatniego roku zaczął pić tak nieumiarkowanie. Siedział sztywno, dramaty elżbietańskie leżały zamknięte przed nim na stole, wpatrywał się w rakieta tenisową opartą o poręcz krzesła naprzeciwko, które zarezerwował dla doktora Yigila. Czuł się trochę jak ktoś, kto leży na dnie wanny, z której wyciekła woda: otępiały, prawie umarli. Gdyby poszedł prosto do domu, miałby już za sobą pakowanie. Ale nie mógł się nawet zdobyć na decyzję pożegnania Sr Bustamente. Deszcz pada wciąż nad Meksykiem, deszcz nie w swojej porze, czarne wody wzbierają, żeby pochłonąć jego *zacuali*¹ na Calle Nicaragua, jego bezużyteczna wieża nie chroni go przed nowym potopem. Noc kulminacji Plejad! Kim ostatecznie był Konsul, żeby się nim aż tak przejmować? Sr Bustamente, który był starszy, niż na to wyglądał, pamiętał czasy Porfirio Diaza, czasy, gdy w Ameryce każde - miasteczko nad granicą meksykańską miało swego „konsula”. W rzeczy samej spotykało się konsulów meksykańskich w osiedlach odległych o setki mil od granicy. Do obowiązków konsulów należało pilnowanie spraw związanych z handlem między państwami... czy tak? Ale w miastach Arizony, których roczne obroty handlowe z Meksykiem nie sięgały sumy dziesięciu dolarów, byli konsulowie utrzymywani przez Diaza. Naturalnie nie byli to konsulowie, tylko szpiedzy. Sr Bustamente wie, ponieważ przed rewolucją jego ojciec, liberał

¹ *Zacuali* —' prawdopodobnie wieża w języku zapotekim,

i członek organizacji Ponciano Arriaga, spędził trzy miesiące w więzieniu w mieście Douglas, stan Arizona (mimo to sam Sr Bustamente będzie głosował na Aimazana), zaarrestowany z polecenia Diazowskiego konsula. Czy więc nie byłoby logiczne przypuszczenie, podsunął, bynajmniej nie obraźliwie i może niezupełnie serio, że señor Firmin był takim konsulem, naturalnie nie meksykańskim i w ogóle niezupełnie tego samego pokroju co tamci, ale konsulem angielskim, który nie bardzo mógł udawać, że stoi na straży interesów handlu brytyjskiego w miejscowości, w której nie było interesów brytyjskich i nie było Anglików, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że Anglia zerwała wtedy stosunki dyplomatyczne z Meksykiem.

W rzeczywistości Sr Bustamente był na pół przekonany, że Laruelle dał się nabrać i że señor Firmin był naprawdę czymś w rodzaju szpiega. Ale nie ma na świecie ludzi bardziej ludzkich czy o bardziej współczujących sercach niż Meksykańczycy, czy głosują, czy nie na Almazana. Sr Bustamente gotów był współczuć Konsulowi, nawet jeśli Konsul był szpiegiem, współczuć z głębi serca tej biednej, samotnej, wydziedziczonej, drżącej istocie, która siedziała tu co noc i płała, gotów był współczuć temu człowiekowi porzuconemu przez żonę (choć ona wróciła, Laruelle o mało nie zawołał, to właśnie było zdumiewające, wróciła!) i którego — tu Sr Bustamente przypomniał sobie skarpetki — wyrzekła się pewnie własna ojczyzna, więc wędrował, bez kapelusza, *desconsolado* i na pół przytomny po mieście, ścigany przez innych szpiegów; a chociaż Konsul nigdy nie mógł być tego w stu procentach pewien, szpiegował ci — w tym mężczyzna w ciemnych okularach, brał go za łazika miejskiego, mężczyzna wystający na drugiej stronie ulicy, brał go za peona, i tysawy chłopina z kolczykami w uszach huśtający się wściekle na skrzypiącym hamaku — strzegli każdej ulicy i każdego zaułka, w co nie wierzą już nawet Meksykańczycy (ponieważ to nieprawda, powiedział

—1 przygnębiony (tuszp,)

Laruelle), ale co nadal jest absolutnie możliwe, jakby go zapewnił ojciec Sr Bustamenta, niech tylko pan Laruelle coś przeszkrobie, to się przekona, podobnie jak jego ojciec zapewniłby pana Laruelle'a, że on, pan Laruelle, nie mógłby przekroczyć granicy stanu w, powiedzmy, pociągu bydłęcym, żeby „oni” w Mexico City o tym nie wiedzieli z góry i nie podjęli jakiejś akcji, nim zajędzie na miejsce. To prawda, że Sr Bustamente nie znał dobrze Konsula, chociaż ma zwyczaj trzymać oczy otwarte, ale całe miasto znało go z widzenia i trzeba powiedzieć, że robił na ludziach wrażenie, przynajmniej w ciągu ostatniego roku — pomijając to, że był zawsze *muy borracho*, naturalnie — człowieka, który żyje w bezustannym, śmiertelnym strachu. Kiedyś wpadł do *cantiny* „El Bosque”, prowadzonej przez tę staruchę Gregorio, teraz już wdowę, wrzeszcząc coś jakby „*sanctuario!*” i że ścigają go ludzie, a stara, bardziej wystraszona od niego, ukryła go w pokoju za barem i trzymała tam prawie całe popołudnie. Sr Bustamente dowiedział się o tym nie od wdowy, tylko od samego señora Gregorio, którego brat pracował u Sr Bustamente jako ogrodnik, ponieważ señora Gregorio była pół-Angielką czy Amerykanką i musiała się gęsto tłumaczyć zarówno mężowi, jak i jego bratu Bernardino. Ale swoją drogą, jeżeli Konsul był nawet szpiegiem, przestał nim już być i można mu darować winy. Ostatecznie był człowiekiem *simpatico*. Sam Sr Bustamente widział go w tym barze, jak oddawał wszystkie pieniądze żebrakowi wyprowadzonemu przez policję.

— Ale Konsul nie był też tchórzem — przerwał mu Laruelle może trochę bez związku — w każdym razie nie tego rodzaju tchórzem, który lęka się o własne życie. Przeciwnie, był człowiekiem wielkiej odwagi, w istocie bohaterem, który za niezwykłą odwagę w służbie swojej ojczyzny podczas poprzedniej wojny otrzymał najwyższe odznaczenie. Nie był też, mimo wszystkich wad, człowiekiem złym. — Nie bardzo wiedząc dlaczego, Laruelle

i „Las” (hiszp.)

&

czul, że były w nim ogromne potencjalne siły
dobra. Kiedy Sr Bustamente ani myślał twierdzić, że
Konsul był tchórzem. Niemal uroczyście Sr Bustamente
wyjaśnił Laruelle'owi, że w Meksyku jest to zupełnie
inna sprawa być tchórzem, a inna lękać się o własne życie.
A konsul z pewnością nie był człowiekiem złym, był
hombre noble. Ale czy właśnie taki charakter i tak znakomita
przeszłość, jakie pan Laruelle przypisuje Konsulowi, nie
kwalifikowały go do niezwykle niebezpiecznej
działalności szpiega? Daremnie Laruelle usiłował wytłumaczyć
Sr Bustamente

f
mente, że ta posada biednego Konsula była
czymś w ro-

dzaju schronienia, że chociaż kiedyś miał
zamiar wstąpić do służby cywilnej w
Indiach, wstąpił do służby dyplomatycznej
tylko po to, żeby go z tego czy innego
względem skopywano ciągle w dół, na
konsulaty w coraz to odleglejszych
dziurach, aż w końcu wylądował na tej
synekurze w Quauhnahuac, bo
spodziewano się, że przysporzy (tu
najmniej kłopotu Imperium, w które, jak
podejrzewał Laruelle, przynajmniej
częstką swojego ja ślepo wierzył.

Ale dlaczego zdarzyło się to wszystko?
Zadał sobie teraz pytanie. *Quien sabe?*²
Zaryzykował jeszcze jeden anis i przy
pierwszym łyku ujrzał w wyobraźni scenę,
prawdopodobnie niezbyt wierną w
szczegółach (Laruelle służył w artylerii
podczas tamtej wojny, którą przeżył,
mimo że Apollinaire był jakiś czas jego
dowódcą.) Na równiku martwa cisza, ale
„SS Samarytanin”, jeżeli nawet powinien
był znajdować się na równiku,
znajdował się w rzeczywistości znacznie
dalej na północ. Prawdę mówiąc, jak na
statek zdążający z Szanghaju do
Newcastle w Południowej Nowej Walii z
ładunkiem antymonu, rtęci i wolframu
„Samarytanin” płynął od pewnego czasu
dziwacznym kursem. Dlaczego, na
przykład, wypłynął na Pacyfik z cieśniny
Bungo w Japonii, na południe od Shi-koku
i niedaleko wschodniej części Morza

Chińskiego? Od wielu dni, podobny
zabłąkanej owcy na bezkresnych,

i człowiekiem
szlachetnym
(hiszp.) s Kto to
może wiedzieć?
(hiszp)

zielonych łakach wód, „Samarytanin” trzymał się rozmaitych interesujących wysp, położonych daleko poza szlakiem. Zona Lota i Arzobispo; Rosario i Wyspy Siarkowe, Wyspy Wulkaniczne i St. Augustine. Gdzieś pomiędzy Guy Rock i Euphrosyne Reef „Samarytanin” po raz pierwszy dostrzegł peryskop i pełną parą ruszył do tyłu. Ale gdy okręt podwodny wynurzył się na powierzchnię, „Samarytanin” zatrzymał maszyny. Był nie uzbrojonym statkiem handlowym, więc nie próbował walki. Zanim jednak grupa marynarzy wystanych z okrętu podwodnego weszła na pokład, „Samarytaninowi” zmienił się nagle charakter. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przedzierzgnął się w smoka zionącego ogniem. Niemiecki okręt podwodny nie zdążył się nawet zanurzyć. Cała jego załoga została wzięta do niewoli. „Samarytanin”, którego kapitan zginął w walce, popłynął dalej, a tymczasem okręt podwodny palił się bezradnie — dymiące cygaro rozżarzone na bezkresnych wodach Pacyfiku.

W charakterze dla Laruelle¹a niezupełnie jasnym — bo Geoffrey nie służył w marynarce handlowej, tylko poprzez jacht-klub i jakąś pracę w ratownictwie okrętowym został porucznikiem marynarki czy może, Bóg jeden raczy wiedzieć, w tym czasie już komandorem — Konsul był głównym sprawcą tej eskapady. I za nią czy też za bohaterstwo z nią związane otrzymał najwyższy brytyjski Order czy też Krzyż za Waleczną Służbę.

Ale nastąpiła pewna mała komplikacja. Bo chociaż członkowie załogi okrętu podwodnego stali się jeńcami wojennymi, kiedy „Samarytanin” (była to tylko jedna z licznych nazw tej jednostki, aczkolwiek przez Konsula ulubiona) wpłynął wreszcie do portu, nie było wśród nich ani jednego oficera. Coś musiało spotkać tych niemieckich oficerów, a to, co ich spotkało, me było bynajmniej miłe. Porwali ich, podobno, palacze „Samarytanina” i żywcem spalili w kotłach.

Laruelle zaczął się nad tym zastanawiać. Konsul kochał Anglię i

**jako młodzieniec mógł zaprzedać
duszę — chociaż to wątpliwe, bo w
tamtych czasach stanowiło to ra-**

czej przywilej cywilów — ogólnej nienawiści do wroga. Był jednak człowiekiem honoru i prawdopodobnie nikt nawet przez chwilę nie przypuszczał, że wydał palaczom „Samarytanina” rozkaz wsadzenia niemieckich oficerów do kotła. Nikomu nie przyszło chyba na myśl, że rozkaz taki zostałby wykonany. Ale fakt pozostawał faktem: Niemców wsadzono do kotła i na nic nie zdałyby się tłumaczenia, że było to dla nich miejsce najwłaściwsze. Ktoś musiał wziąć winę na siebie.

1

Tak więc zanim Konsul otrzymał swoje odznaczenie, stanął przed sądem wojskowym. Został uniewinniony. La-ruelle nie bardzo rozumiał, dlaczego tylko on — i nikt poza nim — stawał przed sądem. Łatwo jednak było sobie wyobrazić Konsula jako bardziej łzawą odmianę pseudo Lorda Jima, człowieka żyjącego na dobrowolnym wygnaniu, rozmyślającego ponuro — mimo orderu — o straconym honorze, o ponurej tajemnicy, wyobrażającego sobie, że straszliwe piętno przyłgnęło do niego na całe życie. A tymczasem było zupełnie inaczej. Nie przyłgnęło do niego żadne piętno. I bez najmniejszych oporów Konsul dyskutował o swojej przygodzie z Laruelle'em, który przed wielu laty czytał o niej powściągliwy artykuł w „Paris-Soir”. A nawet komentował ją niestęchanie zabawnie. „Przecież ludzie — powiedział — nie robią sobie sportu z pakowania Niemców do kotła.” Dopiero w ciągu tych ostficznych miesięcy, kiedy był pijany, dowodził kilkakrotnie zdumionemu Laruelle'owi, że nie tylko jest winny, ale co więcej, że zawsze cierpiał straszliwie z tego powodu. Posunął się znacznie dalej. Ani cień winy nie padał na palaczy. Nie było w ogóle mowy o wydaniu im rozkazu. Naprężając mięśnie oznajmił z sardonicznym uśmieszkiem, że sam własnorecznie dokonał tego czynu. Ale w tym czasie biedny Konsul zatracił już prawie zupełnie zdolność mówienia prawdy i jego życie stało się donkiszotowską słowną fikcją. W przeciwieństwie do Lorda Jima dość mało dbał teraz o swój honor, niemieccy zaś oficerowie byli po prostu pretekstem do kupienia jeszcze jednej butelki mesca-lu. Laruelle wygarnął mu to wszystko i doszło między

nimi do groteskowej kłótni; oddalili się od siebie, chociaż znacznie straszniejsze rzeczy nie oddaliły ich od siebie, i tak już zostało do końca — a właściwie na samym końcu było jeszcze gorzej, jeszcze boleśniej ■— jak przed laty w Leasowe.

A więc runę jak długi na ziemię

Rozstap się, ziemio ■— nie chce mnie
pochłonać!^x

Laruelle otworzył tam dramatów elżbietańskich na chybił trafił i przez chwilę siedział niepomny na otoczenie, wpatrzony w słowa, które zdawały się mieć nad nim władzę, które zdawały się spychać jego duszę w otchłań, jak gdyby na nim miała się spełnić groźba, którą Faustus Marlowe'a rzucił własnej rozpacz. Tylko że Faustus powiedział trochę inaczej. Laruelle przyjrzał się dokładniej dwuwierszowi. Faustus powiedział: „A więc się rzucę jak długi na ziemię” i „Nie chce mnie pochłonać...” Hm, to już nie tak źle. W konkretnych okolicznościach lepiej było rzucie się niż runąć. Odcisnięta w rudobrazowej skórze okładki złociła się pozbawiona twarzy figurynka, także biegnąca, niosąca pochodnię, która kształtem przypominała świętego ibisa o wydłużonej szyi i otwartym dziobie. Laruelle westchnął zawstydzony. Co wywołało złudzenie •— czy migotliwe, błakające się światło świec w połączeniu z mętym, chociaż trochę już jaśniejszym, światłem elektrycznym, czy też może jakiś związek, jak chętnie to określał Geoff, pomiędzy światem subnormalnym a światem anormalnie podejrzliwym? Jakże Konsul lubił tę absurdalną grę! *Sortes Shakespeareanae...* „A jakich dziwów dokonałem, świadczyć mogą o tym całe Niemcy. *Wchodzi Wagner, solo...* Ja ci ale coś powiem, Hans. Ten koszyk, co to jest od Candy'ego, nie? Dalibóg, pełno w nim cukrów, migdałów, słodkich napojów i różnych różności. Tysiące w nim, tysiące różności.” Laruelle zamknął książkę na komedii Dekkera i chociaż

— i Przekład Jana Kasprowicza.

bartoan, ze ścierką przerzuconą przez ramię, przyglądał mu się w niemym zdumieniu, zamknął oczy, otworzył ponownie książkę i zatoczywszy palcem łuk w powietrzu przytknął do miejsca na stronie, które podniósł teraz do światła:

Złamana gałąź, wzniosła, pełna
mocy, Spalon wawrzynny krzew
Apollinowy, Co tak się pieniał w
tym uczonym mężu. Nie ma już
Fausta, zważ jego upadek, i

Wstrząśnięty Laruelle odłożył książkę na stół, zamknął ją palcami i kciukiem jednej ręki, drugą zaś sięgnął na podłogę po złożone arkusiki papieru, które z niej wypadły. Podniósł papier dwoma palcami, rozłożył go i odwrócił. Hotel „Bella Vista”, -przeczytał. Były to w rzeczywistości dwa arkusiki, niezwykle cienkie, hotelowego papieru listowego, mocno spłaszczone w książce, długie i wąskie, ciasno zapisane po obu stronach ołówkiem. Na pierwszy rzut oka nie wyglądało to w ogóle na list. Ale nawet w tym mętnym świetle nie można było nie poznać ni to brzydkiego, ni to szlachetnego i całkowicie pijanego pisma Konsula — greckie „e”, zamaszyste podpórki „d”, „t” jak samotne krzyże przydrożne albo niekiedy krzyżujące całe słowo, same wyrazy schodzące stromo w dół, chociaż indywidualny charakter pisma zdawał się stawiać opór temu schodzeniu, zbierał siły, wspinał się w górę. Laruelle poczuł skrupuły. Bo widział już teraz, że jest to coś w rodzaju listu, chociaż listu, którego piszący nie miał chyba zamiaru wysłać albo może nie był zdolny do dalszych wysiłków z tym związanych.

... Noc: i znowu nocne borykanie się ze śmiercią, znowu pokój rozedrgany demoniczną muzyką, urywki snu pełnego lęków, głosy za oknami, moje imię wykrzykiwane bezustannie, z pogardą, przez urojone postacie snujące

— 1 Przekład Jana Kasprowicza.

przędę ciemności. Jak gdyby nie było dość hałasów pod-czac tych nocy barwy siwych włosów. Nie jest to rozdzierająca uszy wrzawa miast amerykańskich, wrzask bólu potężnych gigantów podczas zmiany opatrunku. Tylko wycie bezpańskich psów, koguty, które całą noc ogłaszają świt, łomotanie, jęki, które później okażą się białymi piórami wczepionymi w druty telegraficzne w ogrodach na tyłach domów albo drobiem spędzającym noc na gałęziach jabłoni, wieczny smutek, który nigdy nie zasypia, wielkiego Meksyku. Ja osobiście lubię zabierać mój smutek w cień starych klasztorów, moją winę na krużganki i pod gobeliny, i do mizerykordii niewyobrażalnych *can-tinas*, gdzie piją o świcie garncarze o smutnych twarzach i beznodzy żebracy, których zimne żonkilowe piękno odkryć można ponownie w śmierci. Kiedy więc odeszłaś, Ivonne, pojechałem do Oaxaca. Nie ma smutniejszego słowa. Czy mam Ci opowiedzieć, Ivonne, o strasznej podróży koleją wąskotorową przez pustynię, na torturach[^] ławki wagonu trzeciej klasy, o dziecku, któremu uratowaliśmy wraz z matką życie nacierając mu brzuszek tequilą z mojej butelki czy o tym, jak wszedłem do pokoju w hotelu, gdzie byliśmy kiedyś szczęśliwi, i jak wygnał mnie stamtąd na jaskrawość ulic odgłos rzezi na dole w kuchni, czy o tym, że później, tej samej nocy, sęp siedział na mojej umywalni? Okropności na miarę obnażonego, gigantycznego nerwu! Nie, moje tajemnice są tajemnicami grobu i muszę je zachować. I tak właśnie myślę czasem o sobie — jako o wielkim podróżniku, który odkrył niezwykły kraj, skąd nigdy nie wróci, żeby podzielić się ze światem swoją wiedzą; ale nazwa tego kraju brzmi: piekło. Nie jest ono w Meksyku, naturalnie, tylko w sercu. A dzisiaj byłem jak zwykle w Quauhnahuac, kiedy dostałem od adwokata wiadomość o naszym rozwodzie. A więc ściągnąłem to na siebie. Otrzymałem też inne wiadomości: Anglia zrywa stosunki dyplomatyczne z Meksykiem i odwołuje do kraju wszystkich swoich konsulów, to znaczy tych, którzy są Anglikami. Są to zapewne w większości zacni i dobrzy ludzie, których imię prawdopodobnie ka-

lam. Nie pojedą z nimi do domu. Pojadę może do domu, ale nie do Anglii, nie do tego domu. Tak więc o północy pojechałem „Plymouthem” do Tomalin, zobaczyć się w „Salon Ofelia” z moim tlaxcaltecańskim przyjacielem od walki kogutów, Cervantesem. Stamtąd przyjechałem do „Farolito” w Parian, gdzie siedzę teraz, o w pół do piątej nad ranem, w małym pokoiku obok baru, pijąc ochas na zmianę z mescalem i piszę ten list na papierze listowym, który buchnąłem wczorajszej nocy w „Bella Vista”, może dlatego, że boli mnie widok papieru listowego w Konsulacie, który jest grobem. Myślę, że wiem niemało o cierpieniu fizycznym. Ale to jest gorsze niż wszystko inne — świadomość, że umiera dusza. Nie wiem, czy to może dlatego, że dzisiejszej nocy moja dusza naprawdę umarła, ale czuję jak gdyby spokój.

A może to dlatego, że prosto przez piekło prowadzi ścieżka, o czym Blake dobrze wiedział, a chociaż nie wiem, czy nią pójde, może ostatnio we snach widywałem ją czasem? Oto jak dziwnie wpłynęła na mnie wiadomość od adwokata. Wydaje mi się teraz, że widzę, pomiędzy jednym a drugim mescalem, tę ścieżkę, a za nią dziwaczne perspektywy jak wizje nowego życia, które możemy wieść gdzieś razem. Wydaje mi się, że widzę nas razem w jakimś północnym kraju, kraju gór, pagórków i błękitnej wody; nasz dom jest zbudowany na małym cyplu i któregoś wieczora stoimy na balkonie tego domu szczęśliwi naszym szczęściem i spoglądamy w dal ponad wodą. Widać tartaki na pół ukryte między drzewami, a popod wzgórzem *po* drugiej stronie cypla coś, co wygląda jak rafineria nafty, tylko o konturach złagodzonych, uszlachetnionych odległością.

Jest jasny, błękitny, bezksiężycowy wieczór letni, ale późno, może dziesiąta, i Wenus płonie jaskrawo w dziennym świetle, więc na pewno jesteśmy gdzieś daleko na północy, a gdy stoimy na tym balkonie i z daleka od strony wybrzeża napływa potężniejszy grzmot długiego pociągu towarowego o wielu lokomotywach, grzmot, bo chociaż jesteśmy oddaleni od niego tym szerokim pasmem

wody, pociąg jedzie na wschód i zmienny wiatr skręca i wieje teraz od wschodu, a my stoimy twarzami do wschodu jak anioły Swedenborga, pod niebem czystym, na którym tylko daleko, po stronie północno-wschodniej ponad odległymi górami o barwie spłowiałego teraz fioletu, leży potężny zwał niemal śnieżnobiałych chmur, nagle oświetlonych od środka jak lampa alabastrowa złotą błyskawicą, chociaż nie słychać grzmotów, a tylko huk ogromnego pociągu o wielu lokomotywach i rozległych, tłumiących wszystko echach, który spośród wzgórz wyjeżdża między góry; a potem nagle kuter rybacki z wysokim osprzętem obiega cypel jak biała żyrafa, bardzo zwinny i bardzo stateczny, zostawiając tuż za sobą długi, srebrny i ząbkowany krąg smugi na wodzie i chociaż nie płynie wyraźnie do brzegu, to jednak zbliża się teraz niezgrabnie, chyłkiem, do naszej plaży, przy czym ten ząbkowany, srebrny krąg śladu uderza najpierw o brzeg w oddali, potem obejmuje cały łuk plaży, a wtedy potężniejszy grzmot kutra to łączy się z cichnym grzmotem pociągu, to znów odbija się echem od naszego brzegu, podczas gdy wióry, bo na wodzie pływają i nurkują wióry drzewne, kołyszają się zmiecione falą i wszystko jest rozdygotane i pięknie zmacone, i wzburzone, i udręczone na tym rozkołysanym lśniącym srebrze, aż wreszcie po trochu wraca spokój i widać znów w wodzie odbicie dalekich, białych chmur burzowych i błyskawicę we wnętrzu białych chmur odbitą w wodzie, a gdy kuter rybacki ze złotą spiralą światła tuż obok srebrnej smugi ciągnącej się za nim po wodzie, światła padającego z kabiny, znika opływając przylądek, cisza — i potem znowu, we wnętrzu dalekiego białego, białego alabastru chmur burzowych za górami, bezgłośna złota błyskawica w błękitnym wieczorze, nieziemska...-

A gdy stoimy patrząc, nagle pojawia się na wodzie siad innego niewidzialnego statku jak ogromne koło, którego potężne szprychy wirują poprzez zatokę...

(W kilka meszali później.) Od grudnia 1937, kiedy odeszłaś, a teraz jest podobno wiosna 1938, walczyłem świa-

domie z moją miłością do Ciebie. Nie miałem odwagi się jej poddać. Czepiałem się każdego korzenia i każdej gałęzi, żeby o własnych siłach przeżyć tę otchłań w moim życiu, ale nie będę się już dłużej oszukiwał. Jeżeli mam przeżyć, potrzebna mi Twoja pomoc. Inaczej zginę. Ach, gdybyś tylko zostawiła mi coś w pamięci, za co mógłbym Cię nienawidzić tak zupełnie, żeby żadna dobra myśl o Tobie nie raniła mnie w tym straszliwym miejscu, w którym się znajduję. A tymczasem przysłałaś mi listy. Powiedz, dlaczego te pierwsze wysłałaś do Wells Fargo w Mexico City? Czyżbyś nie rozumiała, że ja wciąż jestem tutaj?... Albo... jeśli w Oxaca... że Quauhnahuac jest wciąż moją bazą? To < bardzo dziwne. Przecież tak łatwo mogłaś się była dowiedzieć. I gdybyś tylko napisała mi zaraz, wszystko jeszcze mogło być inaczej... gdybyś mi przysłała chociaż kartkę jako znak naszej wspólnej udręki rozstania, gdybyś się odwołała po prostu do naszej miłości; mimo wszystko, gdybyś zażądała, żeby skończyć z tym nonsensem natychmiast — jakoś, jakkolwiek — gdybyś powiedziała, że się kochamy, cokolwiek, albo depeszę, zwyczajnie. Ale czekałaś za długo, przynajmniej tak się teraz zdaje, przeczekałaś Boże Narodzenie — Boże Narodzenie! — i Nowy Rok, a tego, co przysłałaś wtedy, nie mogłem już czytać. Nie. Chyba ani razu nie byłem na tyle wolny od udręki czy na tyle trzeźwy, żeby zrozumieć cokolwiek więcej niż ogólny sens tych listów. Ale czułem ich obecność, czuję ją. Myślę, że mam ich kilka przy sobie. Tylko że czytanie ich sprawia za duży ból, wydają się zbyt starannie przetrawione. Nie będę próbował czytać ich teraz. Nie mogę ich czytać. Łamią mi serce. Zresztą i tak przyszły za późno. A teraz nie będą już chyba przychodzić.

Niestety. Ale dlaczego nie udawałem przynajmniej, że je czytam, dlaczego nie dopatrzyłem się jakiegoś cienia nadziei w fakcie, że zostały wysłane? I dlaczego sam nie wysłałem natychmiast depeszy czy kilku słów? Ach, dlaczego, dlaczego, dlaczego? Bo chyba mam rację, że wróciłaś w odpowiedniej chwili, gdybym Cię poprosił? Ale

tak to jest, kiedy się żyje w piekle. Nie mogłem, nie mogę Cię prosić, żebyś wróciła. Nie mogłem, nie mogę wysłać depeszy. Stałem tutaj, w Quauhnahuac, w Mexico City, w Compania Telegrafica Mexicana i w Oaxaca — dygocąc i mdlejąc z gorąca stałem na poczcie i przez całe popołudnie pisałem depesze — kiedy wypięłem już tyle, że ręka przestawała mi drżeć — ale nie wysłałem ani jednej. A kiedyś miałem jakiś Twój numer i połączyłem się z Tobą w Los Angeles, ale numer nie odpowiadał. A kie-~ dy indziej zepsuł się telefon. W takim razie dlaczego sam nie przyjeżdżam do Ameryki? Jestem za bardzo chory na *to*, *żeby zająć* się biletami, żeby znieść rozdygotane delirium bezkresnej, nużącej równiny kaktusów. I dlaczego miałbym jechać do Ameryki i tam umierać? Może nie miałbym nic przeciw temu, żeby mnie pochowano w Stanach. Ale myślę, że umrzeć wolałbym w Meksyku. A tymczasem — czy wyobrażasz sobie mnie jako wciąż pracującego nad książką, jako wciąż usiłującego odpowiedzieć na pytania w rodzaju: czy istnieje jakiś absolut rzeczywistości, obiektywnej, świadomej i wiecznie obecnej, itd., itd., rzeczywistości, która byłaby sprawdzalna przy pomocy środków możliwych do przyjęcia dla wszystkich wyznań i religii i właściwej dla wszystkich klimatów i krajów? Czy też widzisz mnie gdzieś pomiędzy Miłosierdziem i Zrozumieniem, pomiędzy *Chesed i Binah* (ale wciąż jeszcze bliżej *Chesed*) — z równowagą, a równowaga to wszystko, zachwiana — jak zataczam się, balansuję nad tą straszną, nieprzekraczalną próżnią, nad prawie już niedostrzegalną drogą bożej błyskawicy powracającej do Boga? Jak gdybym ja kiedykolwiek był w *Chesed*? Raczej jestem jak *Qliphoth*.¹ Kiedy powinienem był tworzyć tomy mętnych wierszy pod tytułem *Tryumfy klocka* lub *Nos z błyszczącym dongiem!* Albo w najlepszym wypadku jak Clare powinienem był „prząść straszliwe wizje”... W każdym człowieku tkwi zawiedziony poeta. Chociaż może w konkretnych okolicznościach to na-

¹*Chesed* — miłość; *Binah* —
mądrość; *Qliphoth* — złe duchy.
Określenie kabalistyczne. (hebr.)

wet dobra myśl — udawać, że przynajmniej
robi się
postępy w pracy nad wielkim dziełem o wiedzy
tajemnej, bo jak książka nie wyjdzie, zawsze można
powiedzieć,
że sam tytuł wyjaśnia dlaczego.

Lecz biada ci, Rycerzu Marnych Widoków!
Bo och, Ivonne, tak bezustannie prześladowa
mnie myśli o Twoim śpiewie, o Twoim
cieple i wesołości, o Twojej prostocie i
koleżeństwie, o Twoich' wielorakich zdolnościach,
o Twoim fundamentalnym zdrowiu
duchowym, o Twoim niechlujstwie, o Twojej
podobnie nieumiarkowanej schludności,
o słodkich początkach naszego małżeństwa.
Czy pamiętasz piosenkę Straussa, którą
śpiewaliśmy wspólnie? Raz na rok umarli
żyją znów przez jeden dzień. Och wróć do
mnie jak kiedyś w maju. Ogrody Generalife i
Ogrody Alhambra. I cienie naszego fatum,
kiedy spotkaliśmy się w Hiszpanii. Bar
„Hollywood” w Granadzie. Dlaczego „Hollywood”
i klasztor w Granadzie: dlaczego Los Angeles? A w Maladze
„Pension Mexico”. A przecież nic; nigdy nie
zastąpi jedności, którąś kiedyś znali i któ-
tóra — Chrystus jeden wie — gdzieś jeszcze musi
istnieć. Zналиśmy ją jeszcze w Paryżu,
zanim przyjechał Hugh. Czy to też jest
złudzeniem? Wpadłem w pijacką ckliwość, s-
naturalnie. Ale nikt nie zapełni Twojego
miejsca; miałem czas się o tym przekonać,
śmieję się, kiedy to piszę, czy Cię kocham, czy
Cię nie kocham... Czasem opanowuje mnie
przepotężne uczucie, rozpaczająca, obłądana
zazdrość, która pogłębiona trunkiem zmienia się
w pragnienie zniszczenia samego siebie siłą
własnej wyobraźni... żeby przynajmniej
przestał być pastwą duchów...

(W kilka mescali później i o brzasku w
„Farolito”.) Zresztą czas nie jest lekarzem,
jest szarlatanem. Jak ktoś może mieć
śmiałość mówić mi o Tobie? Nie zdołałabyś
pojąć smutku mojego życia. Bezustannie, w
śnie i na jawie, dręczony myślą, że może
potrzebna Ci jest moja pomoc, której nie
mogę Ci dać, jak mnie potrzebna Twoja
pomoc, której nie możesz mi dać, widzę
Cię w wizjach i w każdym cieniu, musiałem
napisać ten list, którego nie wyślę, żeby Cię
spytać: co robić? Czy to nie zdumie-

wające? A jednak — czy nie jesteśmy winni to sobie samym, tej oddzielnej osobowości, którąśmy stworzyli, niezależnie od nas — żeby jeszcze raz spróbować? Niestety, gdzie się podziała miłość i zrozumienie, które kiedyś były naszym udziałem! Co się z nimi stanie — co się stanie z naszymi sercami? Tylko miłość nadaje sens naszym żalosnym zwyczajom na tej ziemi — chociaż myśl tę, obawiam się, trudno nazwać odkrywczą. Pomyślisz, że jestem obłąkany, ale czasem tak właśnie się upijam, jak gdybym przyjmował sakrament. Och, Ivonne, nie pozwólmy, żeby to, cośmy stworzyli, w taki głupi sposób zapadło się w niepamięć...

Wzniesź oczy i spójrz na wzgórze, zdaje się mówić do mnie jakiś głos. Czasem, kiedy widzę ten mały czerwony samolot pocztowy przylatujący o siódmej rano z Acapulco nad dziwnymi wzgórzami albo, co prawdopodobniejsze, kiedy słyszę go drząc, dygocąc i umierając na łożku (jeżeli leżę w łożku o tej porze) — cichutki łoskot i znowu cisza — kiedy sięgam ręką po szklanę mescal, w której istnienie nie mogę uwierzyć nawet wtedy, kiedy podnoszę ją do ust, szklanę, którą z cudowną zapobiegliwością postawiłem w zasięgu ręki poprzedniej nocy, wydaje mi się, że Ty jesteś w tym samolocie, co rano wydaje mi się, że jesteś w tym samolocie, że przyjechałaś, żeby mnie ratować. Potem ranek mija i Ciebie nie ma. Ale — och — modlę się teraz, żebyś przyjechała. Chociaż nie wiem dlaczego właśnie z Acapulco? Ale na miłość Boską, Ivonne, usłysz mnie, nie mam siły się bronić, w tej chwili nie mam siły się bronić — samolot właśnie leci, słyszałem go z daleka przez sekundę, gdzieś za Tomalin — wróć, wróć, przestanę pić, zrobię wszystko. Umieram bez Ciebie. Na miłość Jezusa Chrystusa, Ivonne, wróć do mnie, usłysz mnie, to jest wołanie, wróć do mnie, Ivonne, choćby na jeden dzień...

Laruelle zaczął bardzo powoli składać list, wygładzał starannie między palcem wskazującym i kciukiem załamania, a potem prawie bezmyślnie zmiął go w dłoni.

Siedział położywszy pięść, w której zaciskał papier, na stoliku i głęboko zamyślony rozglądał się dokoła. W ciągu ostatnich pięciu minut scena w *cantine* zmieniła się zasadniczo. Na zewnątrz burza ucichła, ale tymczasem „Cerveceria XX” napełniła się wieśniakami, najwyraźniej uciekinierami z deszczu. Nie siedzieli przy stolikach, które były wolne — bo chociaż seans jeszcze się nie zaczął, większość widzów wróciła na salę, dość teraz cichą w oczekiwaniu na niedaleki początek — tylko tłoczyli się koło baru. I było piękno i jakaś bogobojność w tej scenie. Palily się zarówno świece, jak mdłe światło elektryczne. Jakiś wieśniak trzymał dwie małe dziewczynki za ręce, podłoga zastawiona była koszykami, w większości pustymi i opartymi jedne o drugie, a teraz barman dawał młodszej z dwóch dziewczynek pomarańczę; ktoś wyszedł, dziewczynka usiadła na pomarańczy, drzwi żaluzjowe huśtały się i huśtały na zawiasach. Laruelle spojrzał na zegarek — Vigil przyjdzie dopiero za pół godziny — i znowu na zmięte kartki papieru w ręce. Rześki chłód obmytego deszczem powietrza wpłynął przez żaluzje do środka *cantiny*, Laruelle słyszał plusk deszczu spływającego z dachu i szum wody rwącej wciąż rynsztokiem, i z daleka ponownie odgłos fiesty. Już miał włożyć zmięty list z powrotem do książki, gdy na pół w rozrządzeniu, a jednak pod wpływem nagłego wyraźnego impulsu, przytknął kartki do płomyka świecy. Płomień oświetlił całą *cantinę* wybuchem jasności, w której postaci przy barze — zobaczył teraz, że prócz dzieci i wieśniaków w luźnych białych bluzach i białych kapeluszach jest tam kilka kobiet w żałobie, prosto z cmentarzy, i mężczyzn o śniadych twarzach, w ciemnych ubraniach, w rozpiętych kołnierzykach i rozluźnionych krawatach — wydawały się przez sekundę skamieniałe jak fresk; umilkli wszyscy i obejrżeli się na niego z zaciekawieniem, wszyscy prócz barmana, który jakby chciał zaprotestować, ale stracił całe zainteresowanie, gdy Laruelle umieścił wijącą się masę na popielniczce, gdzie wspaniale posłuszna osiadła warstwą na warstwie — płonący zamek — zapadła się, zakłęsa, zmieniła w ro-

zedrgane rojowisko, po którym pełzły i pomykały iskry jak małe czerwone robaczki, podczas gdy nad nim fruwało w rzadkim dymie kilka strzępków szarego popiołu, a potem już tylko umarła skorupa cichutko trzeszcząca...

Nagle gdzieś w mieście przemówił dzwon, umilkł raptownie: *dolente ... dolorel*^x

Nad miastem, w mrocznej burzliwej nocy, do tyłu kręciło się świetliste koło.

—bolesne... ból (hiszp.)

— ... Zwłoki należy przewozić ekspresem!

Niestrudzony, dźwięczny głos, który rzucił tę szczególną uwagę na plac ponad parapetem okiennym baru „Bella Vista” był — mimo iż właściciel tego głosu pozostawał niewidoczny — nieomylnie i boleśnie znajomy, jak sam rozłożysty hotel ze swoimi balkonami i kwiatami w skrzynkach, i podobnie nierzeczywisty, pomyślała Ivonne.

— Ale dlaczego, Fernando, jak ci się zdaje... dlaczego należy przewozić zwłoki ekspresem?

Taksówkarz meksykański, też znajomy, który właśnie podniósł jej walizki — na małym lotnisku Quauhnahuac nie było taksówek, tylko natrętny samochód hotelowy, który uparł się, że przywiezie ją do „Bella Vista” — postawił walizki z powrotem na chodniku, jak gdyby chcąc ją uspokoić: „Wiem, dlaczego tu jesteś, ale oprócz mnie nikt cię nie poznał, a ja cię nie wydam.” — *Si señora* — zachichotał. — *Señora... El Consul.* — Westchnął i ruchem głowy, nie bez pewnego podziwu, wskazał otwarte okno w barze. — *Que hombre!*¹

— Z drugiej strony, Fernando, niech to diabli... dla czego by nie? Dlaczego nie miałyby się przewozić zwłok ekspresem?

— *Absolutamente necesario.*²

— ... zwyczajnie banda cholernych farmerów z Ala bamy!

1 Co za człowiek, (hiszp.)

Z Bezwzględnie konieczne, (hiszp.)

To powiedział jeszcze inny głos. A więc bar, otwarty z okazji balu przez całą noc, był pełny. Zawstydzona, odrętwiała nostalgią i niepokojem, niezdolna zdobyć się na wejście do zatłoczonego baru i jednocześnie niezdolna zdobyć się na postanie tam szofera, Ivonne — ze świadomością tak wysmaganą wichrem i powietrzem, i podróżą, iż wciąż miała uczucie, że jest w drodze, że wpływa do portu Acapulco wczoraj wieczorem poprzez chmurę burzową ogromnych i jaskrawych motyli, które wyfrunęły na morze na powitanie „Pensylvanii” — rozejrzała się bezradnie po placu, naprawdę spokojnym pośród tego zamieszania, pośród motyli wciąż śmigających nad głowami lub za otworem masywnych iluminatorów i znikających niezmiennie za rufą — rozejrzała się po ich placu, nieruchomym i promiennym o siódmej rano w słońcu, placu, który był cichy, a przecież jakby na coś przygotowany, jakby się czegoś spodziewał, z jednym okiem już na pół otwartym, z drzemiącymi lekko karuzelami i diabelskim kołem, jakby wyczekiwał niecierpliwie fiesty w godzinach późniejszych; i na postoju rząd zniszczonych taksówek, które też czegoś niecierpliwie wyczekiwały, ale czegoś innego, strajku taksówkarzy po południu, jak ją poufnie zawiadomił taksówkarz. *Zocalo* było takie samo, mimo że miało dzisiaj wygląd drzemiącego arlekina. Podium dla orkiestry było, puste, posąg konny gwałtownego Huerty galopował pod drzewami jak zawsze dzikooki, zapatrzony w dolinę, za którą — można by pomyśleć, że nic się nie zdarzyło i że jest listopad 1936, a nie listopad 1938 — wznosiły się odwiecznie jej wulkany, jej piękne, piękne wulkany. Ach, jakie to wszystko znajome: Quauh-nahuac, jej miasto zimnych, szybko płynących strumieni górskich. „Tam, gdzie zatrzymuje się orzeł!” Czy też naprawdę słowo to znaczyło, jak powiedział Louis, „W pobliżu lasu”? Drzewa, masywna, błyszcząca głębia starożytnych drzew fresno — jakże ona mogła żyć bez tych drzew? Odetchnęła głęboko, powietrze miało jeszcze leciutki posmak brzasku, dzisiejszego brzasku w Acapulco — zieleni i intensywny fiolet wysoko w górze, złota tafla odgięta

tna bok i wyłaniająca się spod niej rzeka lazuru, na której Venus płonęła tak jaskrawo, że Ivonne nie była pewna, czy blask gwiazdy nie rzuca na lotnisko mdłego cienia jej postaci, i sępy unoszące się leniwie w oddali nad ceglasto-czerwonym horyzontem, w którego spokojnie błogą zapowiedź wzbił się mały samolot Compania Mexicana de Aviación — jak małeńki czerwony demon, uskrzydłony emisariusz Lucyfera — podczas gdy rękaw na lotnisku powiewał na pożegnanie.

Objęła *zocalo* długim, zamykającym wszystko spojrzeniem — pusty ambulans, który wyglądał tak, jakby się nie ruszył od jej ostatniego tu pobytu; przed drzwiami „Servicio de Ambulancia” w Pałacu Corteza ogromny transparent rozpięty między drzewami, z napisem: *Hotel „Bella Vista” Gran Baile Noviembre 1938 a Beneficio de la Cruz Roja. Los Mejores Artistas del radio en acción. No falte Vd.*, pod którym przechodziła grupka gości wracających do domu, pobladłych i wymęczonych, podczas gdy jednocześnie rozległy się dźwięki muzyki i przypomniały jej, że bal wciąż trwa — a potem cicho weszła do baru mrugając krótkowzrocznie w przenikliwym, ciężkim, perfumowanym, alkoholycznym półmroku i wraz z nią weszło morze tego ranka, wzburzone i czyste, długie poranne fale toczyły się, zbliżały, roztrzaskiwały o brzeg, a potem rozplywały po piachu w bezbarwnych półksiężycach, wczesne pelikany na łowach zawracały i nurkowały, nurkowały i zawracały, i znowu nurkowały w pianie poruszając się z precyzją planet, gdy tymczasem osłabłe z wysiłku fale wracały na obszar ciszy; wzdłuż całego wybrzeża pływały na wodzie odpadki: na pokładach małych kutrów kołyszających się w Cieśninie Hiszpańskiej młodzi chłopcy, Jak Trytoni, zaczynali już dąć w swoje żałobne konchy... Bar jednak był pusty. A raczej była w nim tylko jedna osoba. Wciąż w ubra-

1. W hotelu „Piękny Widok” bal, listopad 1938 r. na rzecz Czerwonego Krzyża. Występy najlepszych artystów radia. Liczymy na was. (hiszp.)

mu wieczorowym, które nie wyglądało specjalnie nieporządnie, Konsul, z kosmykiem jasnych włosów opadających mu na oczy i ręką zaciśniętą na krótkiej, sterczącej brodzie, siedział bokiem trzymając jedną nogę na poprzeczce sąsiedniego stołka przed małym, prostokątnym barem, pólleżąc na nim i mówiąc najwyraźniej do siebie, ponieważ barman, chłopak może osiemnastoletni o ulizanych czarnych włosach, stał w pewnej odległości oparty o szklane przepierzenie (była tam jeszcze jedna salka barowa, przypomniała sobie Ivonne, wychodząca na boczną ulicę) i zdawał się nie słuchać. Ivonne stała cicho przy drzwiach, niezdolna się poruszyć, i patrzyła słysząc wciąż w uszach huk samolotu, szum wiatru i pęd powietrza, gdy zostawiali za sobą morze, widząc w dole drogi to pnące się na pagórki, to opadające małe miasteczka wciąż umykające, unoszące swoje garbate kościoły. Quauhnahuac z setkami kobaltowych pływalni podniosło się znów ukośnie na jej powitanie. Ale radosne podniecenie lotu, gór wyrastających nad górami, straszliwego szturmu słońca, podczas gdy ziemia obracała się jeszcze w cieniu, błysku rzeki, wąwozu wijącego się mrocznie w dole, wulkanów raptownie wynurzających się z rozżarzonego wschodu — radosne podniecenie i tęsknota opuściły ją. Ivonne czuła, jak jej dusza, która wyleciała na spotkanie duszy tego-człowieka, zaczyna martwieć. Pomyliła się co do barmana; chłopak mimo wszystko słuchał. To znaczy może nie rozumiał, o czym Geoffrey (który, Ivonne zauważyła, nie miał skarpetek) mówi, czekał jednak, coraz wolniej przecierając szklanki ścierką, na sposobność powiedzenia czy też zrobienia czegoś. Odstawił szklankę. A potem wziął papierosa, który Konsul odłożył na popielniczkę na brzegu baru, zaciągnął się głęboko, zamykając oczy w wyrazie żartobliwej ekstazy, otworzył oczy i wskazał, zaledwie wypuszczając teraz kłębiasty dym nozdrzami i ustami, na wiszący za górnym rzędem butelek tequila ańejo plakat reklamujący Cafeaspirina, na którym kobieta w czerwonym staniku leżała na ozdobnej otomanie. — *Abso-*

lutamente necesario — powiedział i
Ivonne zrozumiała,

ze to kobieta, a nie Cafeaspirina, była według niego (powtarzał zapewne wyrażenie Konsula) bezwzględnie konieczna. Ale nie zdołał przyciągnąć uwagi Konsula, zamknął więc znowu oczy z tym samym wyrazem, otworzył je, wciąż wydmuchując dym, jeszcze raz wskazał na plakat (obok którego Ivonne zauważyła teraz afisz miejscowego kina: *Las Manos de Orlac con Peter Lorre*) i powtórzył: — *Absolutamente necesario*.

— Zwłoki, czy to człowieka dorosłego, czy dziecka — podjął Konsul po krótkiej pauzie, w czasie której skwitował śmiechem pantonimę i przyznał chłopcu słuszność, trochę jakby w udręce: — *Si, Fernando, absolutamente necesario* — (to jest rytuał, pomyślała Ivonne, rytuał między nimi, tak jak myśmy mieli swoje rytuały, tylko że znudził się już trochę Geoffreyowi) — podjął Konsul badanie niebiesko-czerwonego rozkładu jazdy meksykańskich kolei państwowych. A potem nagle podniósł głowę i zobaczył ją — ale zanim ją poznał, rzucił dokoła krótko wzroczne spojrzenia, bo słońce miała za sobą — gdy stała, z jedną ręką przesuniętą przez pałąk czerwonej torebki i opartą na biodrze, gdy stała na pół zawadiacka i na pół onieśmielona, bo przecież tak on musiał ją widzieć, pomyślała.

Nie wypuszczając rozkładu jazdy z ręki Konsul zsunął się ze stołka, gdy ona szła ku memu.

— Mój Boże!

Ivonne zawahała się, ale on nie wykonał żadnego gestu; usiadła spokojnie na stołku obok mego; nie pocałowali się.

— Mała niespodzianka. Wróciłam... Mój samolot wyładował przed godziną.

— ... jak Alabama zwycięża, nie zadajemy nikomu pytań — przyptynał nagle głos z baru po drugiej stronie przepierzenia. — Zwycięża i już!

— Z Acapulco, Hornos... przyjechałam statkiem, Geoff, z San Pedro... Panama Pacific. „Pensylwanią”, Geoff...

—...durnowaci Holendrzy! Słońce tak
suszy, że wargi
pękają. Och, Chryste, co za hańba! Konie
wszystkie w no
gi, tylko się za nimi kurzyło! Nie chciałem
pozwolić. No

to je rozwalili. Nie myśl, że oni pudłują. Najpierw strze-laią, a potem zadają pytania. Cholernie mądrze mówisz. Biorę kilku cholernych farmerów, a potem o nic nie py-tarn. W porządeczku! Zapal sobie zimnego papierosa...

— Lubisz chyba takie wczesne poranki?
— ^{głos} Kon sula, ale nie jego ręka, był wspaniale pewny, ^{gdy} odkła dał teraz na ladę rozkład jazdy. — Zapal sobie, ^{jak} za proponował nasz sąsiad za ścianą, zimnego... — Uderzyła ją nazwa na dygocącej, podanej i nie przyjętej ^{paczce} papierosów: „Alas”¹.

Konsul mówił bardzo poważnie:

—Ach, Hornos. Ale dlaczego przyjechałaś via Przylą dek Dobrej Nadziei? Słyszałem od żeglarzy, że często macha ogonem. A może przeszkadzają piece Ziemi Ognistej?

—... Calle Nicaragua, *cmcuenta dos*². — Ivonne wsu nęła toston do ręki ciemnonolicygo bożka, który tymczasem wszedł w posiadanie jej walizek; bożek skłonił się i zni knął.

—A co by było, gdybym tam już nie mieszkał? —
Konsul siadając znów na stołku dygotał tak gwałtownie, że musiał ująć obiema rękami butelkę whisky, z której napełniał sobie szklanę. — Napijesz się?

A może powinna? Powinna, chociaż nie znosiła alkoholu rano, powinna się napić: przecież przyrzekła sobie, że będzie piła w razie potrzeby, że wypije nie jeden kieliszek, ale dużo kieliszków z Konsulem. Tymczasem czuła, jak uśmiech schodzi jej z twarzy, jak wszystkie mięśnie jej twarzy walczą, żeby powstrzymać łzy, które musi powstrzymać za wszelką cenę — myśląc i wiedząc, że Geof-frey wie, że ona myśli: „Byłam na to przygotowana, byłam na to przygotowana.”

To wypij, a ja ci powiem „na zdrowie” — usłyszała swój głos. Bo była przygotowana prawie na wszystko.

—Alas — po hiszpańsku: skrzydła, po angielsku: niestety. Konsul zawsze odczytuje tę nazwę w jej podwójnym znaczeniu.

2pięćdziesiąt dwa (tuszp.)

63

Ostatecznie czego się mogła spodziewać? Powtarzała sobie cały czas płynąc statkiem, statkiem, bo zyskiwała w ten sposób więcej czasu, bo mogła wmówić w siebie, że decyzja podróży nie jest ani bezmyślna, ani pochopna, i potem w samolocie, kiedy wiedziała już, jak bardzo ta decyzja jest pochopna, że powinna go była uprzedzić, że takie zaskakiwanie jest czymś obrzydliwie nie fair. — Geoffrey — ciągnęła zastanawiając się, czy wygląda żałośnie, kiedy tak siedzi obok niego na stołku i widzi, jak wszystkie jej starannie obmyślane przemowy, wszystkie jej plany, cały takt rozpyływają się w posępnym mroku, czy też jest po prostu odstręczająca (czuła się trochę od-stręczająca), ponieważ nie chce wypić. — Coś ty robił? Pisałam do ciebie i pisałam. Aż mi serce pękało od tego pisania. Coś ty zrobił ze swoim...

—... życiem — przyptynęło z za
przepierzenia. — Ty
nazywasz to życiem! Chryste, co za hańba!
Tam, skąd ja
pochodzę, nie uciekają. Trzymają się do
końca...

— Nie. Kiedy mi nie odpowiadałeś,
myślałam natural
nie, że pojechałeś do Anglii. Co robisz? Och,
Geoff... czy
podałeś się do dymisji?

—... pojechaliśmy do Fort Sale. Dostało się
kulami po
nogach. Wzięto się browningi... Skok, skok,
skok, skok!

Rozumiesz... kapujesz?

— Spotkałam przypadkiem Louisa w
Santa Barbara.
Powiedział mi, że ciągle tu jesteś.

—... cholera, wszystko na nic i właśnie tak
jest w Ala
bامية!

i— Cóż prawdę mówiąc wyjeżdżałem tylko
raz. — Konsul długo, dygocąc pił ze szklanki,
potem znów usiadł obok niej na stołku. —
Do Oaxaca. Pamiętasz Oaxaca?

— ... Oa*xaca?

■— ... Oaxaca.

Ta nazwa była jak pękające serce, jak nagły
zduşzony głos dzwonów w wichurze, jak
ostatnie słowa człowieka konającego z
pragnienia na pustyni. Czy pamiętała
Oaxaca! Róże i ogromne drzewo, czy to tam
było, i kurz, i autobusy do Etna i Nochtlan?
I: „*damas acompñadas*”

de un caballero, gratis" ¹. I nocą ich krzyki miłości rozbrzmiewające w wonnym powietrzu nad starożytną ziemią 'Mayów, słyszane tylko przez duchy. W Oaxaca odnaleźli się kiedyś. Obserwowała Konsula, który porządkując broszury na kontuarze zdawał się teraz nie tyle szukać pozycji obronnej, ile być w trakcie przedstawiania się duchowego z roli, którą grał dla Fernanda, do roli, którą będzie grał dla niej; obserwowała go niemal ze zdumieniem. „To przecież nie możemy być my! — zerwał się nagle okrzyk na dnie jej serca. — To nie możemy być my... powiedz, że to nie jesteśmy my, że ktoś, ale nie my, nie my tutaj!” Rozwieść się. Co znaczy naprawdę to słowo? Zajrzała do słownika na statku: rozłączyć, rozdzielić. A" rozwiedziony znaczyło: rozłączony, rozdzielony. Oaxaca znaczyło rozwód. Nie byli wtedy rozwiedzeni, ale tam Konsul pojechał, kiedy odeszła, jak gdyby w samo serce rozłączenia, rozdzielenia. A przecież kochali się! Ale było tak, jak gdyby ich miłość wędrowała przez samotną kaktusową równinę, daleko stąd, zagubiona — potykając się i upadając, szarpana przez dzikie bestie, wołająca pomocy — umierająca, przynajmniej dla oczu, jakby w pełnym znużenia spokoju: Oaxaca...

— Najdziwniejsza rzecz z tymi małymi zwłokami, Ivonne — mówił Konsul —■ jest to, że musi im towarzyszyć osoba, która trzyma je za rękę. Nie, przepraszam. Jak się okazuje, która wcale nie trzyma ręki nieboszczyka, tylko bilet pierwszej klasy. —■ Wyciągnął z uśmiechem własną prawą rękę, która dygotała w taki sposób, jak gdyby Konsul ścierał kredę z nieistniejącej tablicy. — Tak, naprawdę dygotanie sprawia, że tego rodzaju życie staje się trudne do zniesienia. Ale dreszcze zaraz ustaną, Piję tylko tyle, ile trzeba, żeby ustały. Taka konieczna, zdrowotna dawka... — Ivonne spojrzała na niego. — ... ale dygotanie jest oczywiście najgorsze — ciągnął. — Tamto można z czasem polubić, a ja naprawdę czuję się bardzo dobrze, czuję się lepiej niż przed pół rokiem, znacz-

— i Wstęp bezpłatny dla pań, którym towarzyszy mężczyzna, (hlszp.)

5 — Pod wulkanem gg

nie lepiej niż, powiedzmy, w Oaxaca... — i zauważyła w jego oczach szczególne, znajome światło, które zawsze ją przerażało, światło zwrócone teraz do środka, jak ponuro-jaskrawy blask lamp na lukach „Pensylwanii” podczas pracy wyładunkowej, tylko że to była praca niszczycielska; i nagle ogarnął ją lęk, że to światło, jak za dawnych czasów, obróci się na zewnątrz, padnie na nią.

„Bóg wie, że widywałam cię takim — mówiły jej myśli, mówiła jej miłość w mrok baru — zbyt często widywałam cię takim, żeby to było zaskoczeniem. Znowu się mnie wyrzekasz. Tylko że tym razem różnica jest ogromna. Tym razem jest to jak wyrzeczenie się ostateczne... och, Geof-frey, dlaczego nie możesz zawrócić? Czy musisz iść, wciąż iść w ten głupi mrok, szukając miejsc, nawet teraz, w których nie mogę cię osiągnąć, wciąż iść w ciemność rozłączenia, rozdzielenia! Och, Geoffrey, dlaczego?”

„Ale słuchaj, niech to licha, to nie jest taka zupełna ciemność — zdawał się mówić Konsul, jak gdyby w odpowiedzi, łagodnie, wyciągając z kieszeni do połowy napełnioną fajkę i zapalając ją z największym trudem, gdy jednocześnie jej spojrzenie szło za jego spojrzeniem wędrującym po barze, unikającym wzroku barmana, który poważnie, zapobiegliwie usunął się na dalszy plan. — Nie zrozumiałaś mnie, jeżeli ci się zdaje, że ja widzę tylko ciemność, a jeśli będziesz się upierała przy swoim twierdzeniu, jakże ja ci zdołam wytłumaczyć, dlaczego to robię? Ale gdybyś spojrzała na to słońce tam, ach, wtedy może otrzymałabyś odpowiedź... słyszysz, spójrz na te promienie słońca padające przez okno: jakie piękno może się równać z pięknem *cantiny* we wczesnych rannych godzinach? Twoje wulkany tam daleko? Twoje gwiazdy... Ras Al-gethi? Antares żarząca się na południowym południowym wschodzie? Wybacz mi, ale nie. Zresztą nie chodzi mi specjalnie o to wnętrze, które — tu się cofam — nie jest właściwą *canting*, ale pomyśl o tych innych przerażających *cantinach*, gdzie ludzie dostają obłędu, a które niedługo będą zdejmowały okiennice, bo nawet same bramy rajy otwierające się szeroko na moje przyjęcie nie zdo-

łatyby mnie napełnić taką niebiańską, skomplikowaną i beznadziejną błogością jak żelazna zasłona podjeżdżająca do góry ze zgrzytem, jak rozsuwanie się otwartych z kłódki żaluzji, które wpuszczają do środka ludzi o duszach dygocących wraz z kieliszkiem podnoszonym niepewną ręką do ust. Cała tajemnica, cała nadzieja, całe rozczarowanie, a tak, cała klęska znajduje się tu, za tymi wahadłowymi drzwiami. Nawiasem mówiąc, czy widzisz tę siedzącą w kącie staruszkę z Tarasco, nie zauważyłaś jej przedtem, ale czy widzisz ją teraz? — spytały ją jego oczy obracając się z odurzoną, niezogniskowaną promiennością oczu kochanka, jego miłość spytała ją: — Jeżeli nie będziesz piła, tak jak ja piję, jak możesz się łudzić, że zrozumiesz piękno starej kobiety z Tarasco, która gra w domino o siódmej rano?"

Miał rację, to było prawie niesamowite, siedział ktoś poza nimi w pomieszczeniu, kogo nie zauważyła, dopóki Konsul nie obejrzał się bez słowa. Teraz oczy Ivonne spoczęły na starej kobiecie, która siedziała w cieniu przy jedynym stoliku w barze. Jej laska zrobiona ze stali, z łapą jakiegoś zwierzęcia zamiast rączki, zaczepiona o brzeg stołu wisiała jak coś żywego. Stara kobieta miała kurczątko na sznurku, które trzymała na sercu pod suknią. Kurczątko wychylało łepki i rozglądało się rzucając ukośne, śmiałe, krótkie spojrzenia na boki. Postawiła je na stole, zaczęło dziobać pomiędzy pionkami domino, popiskując z cicha. Potem włożyła je na dawne miejsce, tkliwie otuliła suknią. Ale Ivonne odwróciła wzrok. Widok starej kobiety z dominem i kurczaczkiem zmroził jej serce. Było to jak zły omen.

■— Mówiąc o nieboszczykach — Konsul ponownie nalał sobie whisky do szklanki i teraz podpisywał rachunek ręką trochę jednak pewniejszą, gdy tymczasem Ivonne skierowała się wolno do drzwi — ja osobiście chciałbym być pochowany obok Williama Blackstone'a... — podsunął rachunek barmanowi, którego na szczęście nie próbował jej przedstawić. — To ten człowiek, który spędził życie między Indianami. Naturalnie słyszałaś o nim? — Konsul

stał na pół do niej obrócony i z powątpiewaniem patrzył na whisky w szklance, której nie podniósł z lady.

— Chryste, jak masz na to ochotę,
Alabama, me krępuj
się i bierz... Ja tego nie chcę. Ale jak masz
ochotę, bierz
sobie.

— *Absolutamente necesario...*

Konsul zostawił połowę whisky.

Na ulicy, w słońcu, w odptywających falach tabetycznej muzyki z balu, który wciąż trwał, Ivonne znowu czekała — rzucając przez ramię nerwowe spojrzenia na główne wejście do hotelu, przez które co chwilę wychodzili zapóźnieni biesiadnicy podobni na pół oszołomionym osom z jakiegoś ukrytego gniazda, podczas gdy w mgnieniu oka poprawny, szorstki w obejściu, istny Brytyjczyk z armii i marynarki, bardzo konsularny Konsul, prawie teraz nie dygocąc, wydobywał z kieszeni i zakładał ciemne okulary.

— No cóż, taksówki jakoś zniknęły —
powiedział. — Przejdziemy się?

— Dlaczego... co się stało z samochodem?
— Ivonne
tak była zmieszana perspektywą spotkania
znajomych,
że omal nie wsunęła ręki pod ramię innego
mężczyzny
w ciemnych okularach; był to młody,
obdarty Meksykan-
czyk, oparty o ścianę hotelu, do którego
Konsul, wiesz
jąc laskę na przegubie dłoni, powiedział z
jakby enigma
tyczną nutą w głosie:

— *Buenas tardes, señor.*¹

Ivonne zaczęła iść szybko. *j* <

— Tak, przejdźmy się.

Konsul wziął ją ceremonialnie pod rękę (do*
obdartego Meksykanczyka w ciemnych
okularach, zauważyła, przyłączył się drugi, w
opasce na oku i bosonogi, który trochę
dalej stał oparty o ścianę i do którego
Konsul też *zawołał*: „*Buenas tardes*”, ale
goście nie wychodzili już teraz z hotelu i na
ulicy byli tylko ci dwaj mężczyźni, którzy
grzecznie zawołali za nimi: „*Buenas tardes*”, i sta-

— ¹ Doby wieczór panu. (fiiszp.)

li teraz trącając się łokciami, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Życzył nam *Buenas tardes*, co za numer z niego!”, i ruszyli na ukos przez plac. Do początku fiesty miało upłynąć jeszcze dużo godzin i ulice, które pamiętały tak wiele innych Dni Umartych, były puste. Potyskiwały barwą jaskrawe transparenty, papierowe chorągiewki; ogromne koło tkwiło pod drzewami nieruchome, imponujące. Ale i tak miasto wokół nich i pod nimi pełne było dalekich, ostrych dźwięków jak wybuchy bogatych barw.. *Box!* — wołało ogłoszenie. — ARENA TOMALIN. *Frente al Jardín Xicotancatl. Domingo 8 de Noviembre de 1938. 4 Emocionantes Peleas.*¹ Ivonne usiłowała nie zadać tego pytania.

—Znowu rozbiłeś samochód?

—Jeśli idzie o ścisłość, zgubiłem go.

—Zgubiłeś!

—Naprawdę szkoda, bo... ale Ivonne, niech to wszy
stko diabli, musisz być chyba potwornie zmęczona.

— Ani trochę. Raczej uważałabym, że to ty
musisz być..:

*!Box! Preliminar a 4 Rounds. EL TURCO
(Conzalo Cal-*

*derón de Par. de 52 kilos) vs. EL OSO (de Par.
de 53 kilos).*²

—Wyspałam się cudownie na statku! I
chętnie się
przejdę, tylko...

—Och, drobiazg. Odrobina reumatyzmu...
A może ja
kaś choroba tropikalna? Przyda się
trochę ruchu tym
moim starym nogom.

.¹ *Box! Evento Especial a 5 Rounds, en los
que el vence-dor pasard al grupo de Semi-
Finales. TOMAS AGUERO (El Invencible Indio
de Quauhnahuac de 57 kilos, que acaba de
llegar de la Capital de la Republica). ARENA
TOMALIN. Frente al Jardín Xicotancatl.*³

¹ **Arena Tomalin, naprzeciwko
ogrodu Xicotancatl, w niedzielę 8 li
stopada 1938 r. Cztery
emocjonujące walki, (hiszp.)**

² **Boks. Walki wstępne w 4
rundach. Turek (Gonzalo
Calderon, wa
ga 52 kg) walczy z Niedźwiedziem
(waga 53 kg), (hiszp.)**

³ **Boks specjalne zawody w 5
rundach. Zwycięzca przechodzi do
pot
finału. Tomas Aguero
(niezwycięzony Indianin z
Quauhnahuac, waga
57 kg, który dopiero co**

przyjechał ze stolicy). Arena
Tomalin, na
przeciwko ogrodu Xicotancatl.

—Naprawdę przykro z tym samochodem, bo mogli byśmy pojechać na mecz bokserki — powiedział Konsul, który szedł trzymając się niemal przesadnie prosto.

—Nie cierpię boksu.
—Zresztą to i tak dopiero w przyszłą niedzielę... Słyszałem, że w Tomalin jest dzisiaj coś w rodzaju walki byków... Pamiętasz?

—Nie!
Konsul, z równym brakiem rozpoznania co ona, podniósł jeden palec w pełnym niepewności powitaniu skierowanym do osobnika, który wyglądał jak stolarz, a który minął ich biegiem potrząsając głową; dźwigał pod pachą płat odpitowanej, sękaty deski, a gdy ich mijał, rzucił Konsulowi, niemal zaśpiewał, roześmiane słowo, podobne w brzmieniu do: „Mescalito!”

Słońce buchało na nich, buchało na odwieczny ambulans, którego reflektory oślepiły przez chwilę jak szkła powiększające, buchało na wulkany — Ivonne nie mogła teraz na nie spojrzeć. Urodzona w Hawajach widziała już jednak w życiu wulkany. Usadowiony na ławce pod drzewem na placu, krótkimi nogami zaledwie dotykając ziemi, maleńki skryba miejski grzmocił już w gigantyczną maszynę do pisania.

■— Jest to dla mnie jedyne wyjście, średnik — podsunął Konsul pogodnie i rzeczowo, gdy mijali skrybę. — Żegnajcie, kropka. Zmiana akapitu, zmiana rozdziału, zmiana świata...

Cała otaczająca ją scena — napisy na sklepach wokół placu: *La China Poblana*¹, ręcznie haftowane suknie, ogłoszenia: *Baños de la Libertad*, *Los mejores de la capital y los unicos en donde nunca jalta el agua*, *Estufas especiales para Damas y Caballeros*²; i *Sr Panadero: Si quiere hacer buen pan exija las harinas „Princess Do-naji”*³ — była dla Ivonne tak dziwnie swojska od nowa,

La China Poblana — regionalny strój noszony w Puebla.
1 Łazienka Wolności — najlepsza w stolicy, jedyna, gdzie nigdy nie bratnie wody, oddzielne kabiny dla pan i panów, (hiszp.)
2 Panie piekarzu: jeśli chce pan piec dobry chleb, niech pan żąda mąki „Princess Donaji”. (hiszp.)

a jednocześnie tak dojmująco obca po tym roku nieobecności, po tej rozłące myśli i ciała, po tej inności sposobu życia, że przez chwilę zdawała się nie do zniesienia.

—Mogłeś skorzystać z jego pomocy, żeby odpisać na niektóre z moich listów — powiedziała.

—Patrz, czy pamiętasz, jak Maria nazywała ten sklep pik? — Konsul wskazywał laską poprzez drzewa na mały amerykański sklep spożywczy po przekątnej Pałacu Cor-teza. — Peegly Weegly.

„Nie będę — myślała Ivonne, przyśpieszając kroku i zagryzając wargi. — Nie będę płakała.” Konsul wziął ją pod rękę.

—Przepraszam, jakoś nie pomyślałem.

Byli znowu na ulicy; gdy przeszli na drugą stronę, powitała z wdzięcznością pretekst, jakiego jej dostarczyło okno wystawowe drukarni, przed którym mogła poprawić włosy. Stali, jak kiedyś, zaglądając do środka. Drukarnia, sąsiadująca z Pałacem, ale oddzielona od niego wąską i stromą ulicą, otwierała się wcześniej. Z szjryby wystawowej spoglądało na nią stworzenie morskie tak skąpane i wyłoczone w słońcu, tak wysmagane morskim wiatrem i bryzgami piany, iż wydawało jej się, nawet kiedy wykonywała ukradkowe gesty próżności, że jest gdzieś poza zasięgiem ludzkiego smutku, że jedzie jak rydwanem po pianistych czubach fal. Ale słońce zmienia smutek w truciznę, a tryskające zdrowiem ciało naigrawa się tylko z chorego serca, o czym Ivonne wiedziała — jeżeli nawet nie wiedziało o tym to wybrązowione w słońcu stworzenie powstałe z fal i brzegów morza, i szyb okiennych! A na samej wystawie, po obu stronach zamysłonego spojrzenia jej odbitej w szybie twarzy, wisiły rzędem te same wspaniałe zaproszenia ślubne, które pamiętała, te same przesadnie ukwiecone fotografie panien młodych, ale tym razem było tu coś, czego przedtem nie widziała, ^a co Konsul wskazał jej mrużąc pod nosem: — Dziw-^{ne} ■— a gdy przyjrzała się uważniej, zobaczyła powiększoną, fotografię ilustrującą na przykładzie ogromnego głazu, rozsadanego przez pożary lasów, proces rozpadu osadów

lodowcowych w Sierra Mądre. Ta szczególna i szczególnie smutna fotografia — którą charakter tamtych innych eksponatów obdarzał dodatkową wymową — zawieszona ponad i za obracającym się już kołem napędowym drukarni, zatytułowana była *La Despedida K*

Minęli Pałac Corteza, a potem wzdłuż jego ślepej ściany zaczęli schodzić w dół stoku, do którego Pałac stał bokiem. Ich ścieżka prowadziła skrótem do Calle Tierra del Fuego, która zakręcała w dole, jak gdyby wychodząc na ich spotkanie, ale z bocze było właściwie usypiskiem śmieci zarzuconych gnijącymi odpadkami i musieli iść bardzo ostrożnie. Ivonne oddychała jednak swobodniej, odkąd zaczęli się oddalać od centrum miasta. *La Despedida*, pomyślała. Pożegnanie! Kiedy wilgoć i proces kruszenia dokonają swojego dzieła, obie oderwane połowy rozłupanego głazu rozkruszą się, rozpadną. Jest to nieuniknione, tak głośił podpis pod fotografią... Czy naprawdę jest nieuniknione? Czy nie ma jakiegoś ratunku dla biednego głazu, w którego wiecznotrwałość tak jeszcze niedawno nikt nie wątpił? Ach, komu przyszłoby do głowy myśleć o tym kamieniu inaczej niż jako o jednolitej skale? Ale zakładając nawet, że gładzi pękł — czy nie ma sposobu uratowania chociażby tych rozłupanych części, zanim rozpocznie się ostateczny rozpad? Nie ma na to sposobu. Gwałtowność ognia, który rozłupał gładzi, rozpoczęła też proces niszczenia obu oddzielonych części skały neutralizując siłę, która je łączyła. Och, ale czemu drogą jakiejś geologicznej magii nie da się zespolic na powrót rozłupanych części! Zapragnęła wyleczyć spękany kamień. Była jedną z części gładzi i pragnęła uratować drugą, aby obie mogły być uratowane. Gigantycznym, kamiennym wysiłkiem przysunęła się bliżej, błagała, wylewała namiętne łzy, przebaczyła wszystko; drugi gładzi stał niepo-ruszony. „Wszystko bardzo pięknie ■ — zdawał się mówić drugi gładzi — ale tak się składa, że to twoja wina, a jeśli

—i Pożegnanie, (hiszp.)

72

idzie o mnie, mam zamiar rozpaść się, bo mi się tak podoba!"

— ...w Tortu — mówił Konsul, chociaż Ivonne nie słuchała, a teraz wyszli na Calle Tierra del Fuego, wyboistą, wąską, pełną kurzu ulicę, która wyludniona o tej porze zdawała się obca. Konsul znowu zaczął dygotać.

„Geoffrey, mam taką ochotę się napić, może byśmy gdzieś wstąpili?"

„Geoffrey, bądźmy raz lekkomyślni i upijmy się przed śniadaniem!"

Ivonne nie powiedziała ani jednego, ani drugiego.

Ulica Ziemi Ognistej! Po lewej, znacznie wyżej niż poziom jezdni, ciągnęły się nierówne chodniki z wyrąbanymi w nich krzywymi stopniami. Cała prawa strona tej drugorzędnej arterii, lekko wybrzuszona w środku, gdzie zasypano otwarte ścieki, opadała stromo w dół, jak gdyby obsunięta w czasie trzęsienia ziemi. Parterowe domy kryte dachówką stały po tej stronie na poziomie jezdni, zdawało się jednak, że są znacznie niżej. Po drugiej stronie, nad nimi, były małe sklepiki, częściowo jeszcze senne, ale już otwierające się, lub jak „Molino para Nixtamal, Morelense”¹ otwarte; sklepy z uprzężą, mleczarnia pod szyldem *Lecheria*² (to znaczy burdel, ktoś się kiedyś upierał, ale ona nie dostrzegała w tym dowcipu), mroczne wnętrza, gdzie nad kontuarem wisiały na sznurkach małe kiełbaski, *chorizos*, gdzie można też było kupić ser koźli albo napić się słodkiego wina z pigwy lub kakao; w jednym z tych wnętrz Konsul, powiedziawszy: — *Momentito* — zniknął. — Idź, a ja cię dogo-^r-ię. To potrwa sekundę.

Ivonne poszła kawałek dalej i nawróciła. Nie była w żadnym z tych sklepików od pierwszego tygodnia ich Pobytu w Meksyku, więc niebezpieczeństwo, że ją poznają w którymś z *abarroies*³, było minimalne. Niemniej, żałując już spóźnionego "impulsu, żeby wejść za Konsu-

¹Młyn, przygotowujący mąkę na *tortillas*. (hiszp.)

²Mleczarnia, (hiszp.)

³sklepów spożywczych (hiszp.)

lem, czekała na ulicy niespokojna, jak mała łódź kołysząca się na kotwicy. Właściwy moment pójścia za Konsulem minął. Ogarnął ją nastrój cierpiętnictwa. Chciała, żeby ją Konsul zobaczył, kiedy wreszcie wyjdzie, jak czeka obrażona. Ale obejrzawszy się w stronę, z której przyszli, zapomniała na chwilę o Geoffreyu... To nie do wiary! Wróciła do Quauhnhuac! Tam jest Pałac Corteza, a tam, wysoko na wzgórzu stoi mężczyzna, ze wzrokiem utkwionym w dolinie, w którego postawie jest tyle marsowego skupienia, że można by go wziąć za samego Corteza. Mężczyzna poruszył się i wrażenie przysło. Wyglądał teraz bardziej na biednego obdarciucha w ciemnych okularach, który stał oparty o ścianę hotelu „Bel- -la Vista”.

—Masz-taką-minę-jakbyś-lubił-wino —
gruchnęło te
raz z *abarrotos* na spokojną ulicę, po czym
rozległ się
grzmot nieprawdopodobnie wesołego, ale
zarazem brutal
nego męskiego śmiechu. — Jesteś... *diablol*
— W chwi
lowej ciszy usłyszała głos Konsula, mówiący
coś, czego
nie rozumiała. — Jajka! — wrzasnął
znowu pogodny
głos. — Ty... dwa *diablos!* Ty... trzy
diablos! — Głos
aż zaskrzeczał z uciechy. — Jajka! — I
potem:
—Kto jest ta piękna dziwka?... Ach,
jesteś... ach pięć
diablos... jesteś... ach... jajka! — komicznie
dopowiedział
Konsul, który w sekundę później stanął
uśmiechając się
spokojnie na chodniku obok Ivonne. — W
Tortu — po
wiedział idąc obok niej krokiem znowu
pewniejszym —
jest wymarzony uniwersytet, na którym
nie ma pilnej
nauki, wiem to z dobrego źródła, nic,
absolutnie nic,
nawet sporty, nie mogą kolidować...
uważaj!... z piciem!
Nie wiadomo skąd ukazał się pogrzeb
dziecka, mała, przykryta koronkami
trumienka, za nią orkiestra: dwa saksofony,
gitara i skrzypce, grające — kto by to pomy-
ślał — *La Cucaracha*, za orkiestrą kobiety,
bardzo uroczyste, i na końcu, w odległości
kilku kroków, rozbawieni gapie podążający
w kurzu niemal biegiem.

Usunęli się na bok i czekali, aż mały orszak minie ich szybko, kierując się do miasta, a potem ruszyli dalej

w milczeniu, nie patrząc na siebie. Skarpa ulicy była teraz mniej stroma, a chodniki i sklepy zostały za nimi. Po lewej ciągnął się tylko niski, gładki mur i za nim niezabudowane działki, po prawej zamiast domów* stały niskie otwarte budy pełne czarnego węgla drzewnego. Serce Ivonne, szamocące się dotąd z trudnym do zniesienia bólem, na sekundę przestało bić. Chociaż niełatwo w to było uwierzyć, zbliżali się do dzielnicy mieszkaniowej, ich własnego terytorium.

—Uważaj, jak idziesz, Geoffrey! — Ale to Ivonne potknęła się skręcając pod ostrym kątem za róg na Calle Nicaragua. Konsul spoglądał na nią z twarzą pozbawioną wyrazu, gdy wpatrywała się nieruchomo poprzez słońce w dziwny dom po przeciwnej stronie, blisko wylotu ulicy, dom z dwiema wieżami i łączącą je wąską gale ryjką, któremu ktoś inny, peon odwrócony do nich tyłem, przyglądał się ciekawie.

—A tak, jest tu wciąż, nie ruszył się ani na krok — powiedział Konsul i po chwili minęli dom z napisem na ścianie, którego nie chciała widzieć, i szli dalej Calle Nicaragua.

—Ulica wydaje mi się jakaś inna. — Ivonne umilkła znowu. W rzeczywistości zbierała siły, żeby się opakować. Nie umiałyby tego wytłumaczyć, ale ostatnio w obrazie Quauhnahuac, jaki stawał jej przed oczami, tego domu w ogóle nie było! Ilekroć ostatnio wyobraźnia prowadziła ją z Geoffreyem po Calle Nicaragua, nigdy, biedne zjawy, nie natykali się na dom Jacques'a. Zniknął już jakiś czas przedtem, nie pozostawił po sobie śladu, było tak, jakby ten dom nigdy nie istniał — jak, być może, w pałacu mordercy znika bez śladu charakterystyczny rys terenu w pobliżu miejsca zbrodni, tak że wróciwszy w okolice kiedyś dobrze znajome nie wie, dokąd skiero wać kroki. Ale prawdę mówiąc, Calle Nicaragua wcale się nie zmieniła. Była jak dawniej zarzucona

dużymi, szary
mi kamieniami, pełna ogromnych wyboi jak
kratery księ-
życia, słowem, znajdowała się w aż nazbyt
dobrze znanym
stanie znieruchomiętego trzęsienia ziemi,
które podsuwa-

lo może myśl o prowadzonych naprawach, dowodziło zaś tylko w sposób dość zabawny, że spór między magistratem a właścicielami domów o utrzymanie jezdni utkwiał na martwym punkcie. Calle Nicaragua! Nazwa ta, mimo wszystko, rozbrzmiewała przejmująco w jej sercu; tylko idiotyczny szok, którego doznała na widok dorciu Jac-ques'a, mógł tłumaczyć, że część jej świadomości pozostała nieporuszona.

Droga — szeroka, pozbawiona chodników — schodziła coraz raptowniej w dół, cały niemal czas wijąc się między wysokimi murami, przez które przewieszały się gałęzie drzew, chociaż chwilowo po ich prawej znowu pokazały się małe budki z węglem, aż do miejsca odległego mniej więcej o trzysta jardów, gdzie skręcała w lewo, żeby potem, po dalszych trzystu jardach, trochę za ich domem, zniknąć z pola widzenia. Drzewa zasłaniały widok małych, falistych wzgórz w głębi. Większość dużych rezydencji wznosiła się po lewej stronie, były cofnięte od ulicy i wybudowane bliżej *barranca*, co pozwalało zwrócić je fasadami do wulkanów po drugiej stronie doliny. Zobaczyła znów góry — zobaczyła je w luce między dwiema rezydencjami, gdzie drut kolczasty zamykał małą łąkę porośłą bujnie wysoką, ostrą trawą, zmierzwioną dziko, jak gdyby przez wiatr, który nagle ustał. Oto są, Popocatepetl i Ixtaccihuatl, dalecy ambasadorowie Mauna Loa, Mokuaweoweo; ciemne chmury zasłaniały teraz ich podnóże. Trawa, pomyślała, nie jest tak zielona, jak powinna być po zakończeniu pory deszczowej; był widocznie okres suszy, chociaż w rynsztokach po obu stronach ulicy aż przelewała się rwąca góraska woda, a...

—A on też tu jest. On też nie ruszył się ani na krok.

— Konsul, nie obracając się, wskazał głową za siebie w kierunku domu Laruelle'a.

—Kto... kto nie... — Ivonne zająknęła się; obróciła głowę: zobaczyła tylko peona, który przestał interesować się domem i skręcał teraz w boczną uliczkę.

i Aktywne wulkany na Hawajach.

—Jacques.

—Jacques!

— Właśnie. Prawdę mówiąc, świetnieśmy się razem zabawiali. Przeszliśmy kolejno przez wszystkie fazy — od biskupa Berkeleyya¹ do *mirabilis jalapa*² o czwartej nad ranem.

—Coście robili?

—Och, służba dyplomatyczna. — Konsul umilkł i za palat fajkę. — Czasem myślę, że ma ona swoje dobre strony.

Przystanął i wrzucił zapałkę do bulgocącego wodą rynsztoka, i — jakoś — szli naprzód, nawet przyśpieszyli kroku; w oszołomieniu słyszała jakby gniewny stukot i zgrzyt swoich obcasów na drodze, i pozornie swobodny głos Konsula u jej boku.

—Na przykład gdybyś była brytyjskim attache przy emigracyjnej rosyjskiej ambasadzie w Zagrzebiu w roku 1922, chociaż Bóg jeden wie, jak ta placówka mogła przetrwać tak długo, posiadałabyś pewną — nie twierdzę, że technikę — ale pewien sposób bycia, pewną maszkę, pewną umiejętność nadawania twarzy wyrazu fałszywej obojętności, i to na każde zawołanie.

—Z drugiej strony doskonale rozumiem twoją reakcję, doskonale rozumiem, że nasza wynikająca z powyższego faktu obojętność, to jest moja i Jacques'a, uderza cię jako coś bez porównania bardziej nieprzyzwoitego niż, powiedzmy, to, że Jacques nie wyjechał, kiedy ty wyjechałaś, czy też że nie zerwaliśmy naszej przyjaźni.

—Gdybyś jednak, Ivonne, stała kiedyś na mostku brytyjskiego okrętu-zasadzki na łodzie podwodne, a ja

¹ George Berkeley (1685—1753) — filozof i biskup anglikański; chciał założyć kolegium religijne dla Indian amerykańskich, lecz jego Wysokość spętył na niczym. Ostro występował przeciw materialistycznym błędom tłumaczeniu rzeczywistości.

² *Mirabilis jalapa* — roślina meksykańska o właściwościach przeczyszczających; również srodek przeczyszczający.

zawsze uważałem, że kobieta twojego pokroju byłaby wspaniała na mostku brytyjskiego okrętu-zasadzki na łodzie podwodne, i patrzyła przez lunetę na Tottenham Court Road — mówiąc w przenośni — dzień po dniu, licząc fale," zrozumiałabyś może...

—Geoffrey, uważaj, jak idziesz!
—Chociaż naturalnie gdybyś była kiedykolwiek Kon sulem w Rogaczogrodzie, tym mieście, na które padła klątwa zmarnowanej miłości Maksymiliana i Carlotty, wtedy... ależ wtedy...
/ BOX! ARENA TOM ALIN. EL BALON vs. EL REDON-DILLO.

—Ale zdaje się, że nie skończyłem o tych małych zwłokach. Najbardziej zdumiewa mnie to, że przy przejeździe przez punkt graniczny do Stanów Zjednoczonych zwłoki poddawane są kontroli, dosłownie kontrolowane. A chociaż opłata za ich przewóz wynosi tyle, co cena dwóch biletów dla osób dorosłych...

—Ponieważ nie zdajesz się mnie słuchać, powiem ci coś innego, co może powinnaś wiedzieć.

—Jest coś innego, powtarzam, coś bardzo ważnego, co może powinnaś wiedzieć.

—Tak, Geoffrey? Co?

—O Hughu.

Ivonne powiedziała w końcu: > —
Miałeś od niego wiadomości? I co tam u niego?

— Mieszka u mnie.

iBOX! ARENA TOM ALIN. FRENTE AL JARDIN XI-COTANCATL. Domingo 8 de Noviembre de 1938. 4 Emo-cionantes Peleas. EL BALON vs. EL REDONDILLO.

Las Manos de Orlac. Con Peter Lorre.

—Co? — Ivonne stanęła jak wryta.
—Okazuje się, że był tym razem w Ameryce na rancho — mówił Konsul głosem dość poważnym, gdy jakoś, jakimś cudem, szli dalej, ale tym razem krokiem wolniejszym. — Dlaczego, Bóg raczy wiedzieć. Chyba nie

dlatego, żeby się nauczyć jazdy konnej, ale swoją drogą zjawiał się mniej więcej tydzień temu w zdecydowanie niedżentelmeńskim stroju... wygląda jak Hoot S. Hart w *Jeźdźcach prerii*. Zdaje się, że przyjechał czy też został deportowany z Ameryki pociągiem bydlęcym. Nie mam zamiaru udawać, że wiem, jak prasa radzi sobie w tych sprawach. Czy też może był to zakład... W każdym razie dojechał do Chihuahua razem z trzodą, a resztę drogi przeleciał z jakimś swoim przemycającym broń czy handlującym bronią kumplem... Weber?... nie pamiętam, nawet go nie poznałem... przewiózł go resztę drogi samolotem. — Konsul wystukał fajkę o obcas, uśmiechnął się. — Jakoś ostatnio wszyscy przylatują samolotami, żeby się ze mną zobaczyć.

—Ale... ale Hugh... nie rozumiem...

—Stracił garderobę po drodze, chociaż bynajmniej nie z powodu jakiegoś niedbalstwa, jeżeli możesz w to uwierzyć, tylko dlatego, że kazali mu zapłacić na granicy cło przewyższające wartość jego rzeczy, więc naturalnie je zostawił. Nie stracił jednak paszportu, co wydaje mi się dość zdumiewające, ponieważ wciąż jest związany — chociaż nie mam pojęcia w jakim charakterze — z londyńskim „Globe”... Wiesz naturalnie, że on się ostatnio zrobił całkiem sławny. Po raz drugi, bo nie wiem, czy słyszałaś o tym pierwszym razie.

■— Czy wiedział o naszym rozwodzie? — zdołała w końcu spytać Ivonne.

Konsul potrząsnął głową. Szli bardzo powoli, Konsul ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— Powiedziałaś mu?

Konsul milczał, szedł coraz wolniej i wolniej.

—Co ja mówiłem? — spytał w końcu.

—Nic, Geoff.

●— No więc teraz wie naturalnie, że nie mieszkamy razem. — Konsul ściał laską koronę zakurzonego mączka ^osnącego nad rynsztokiem. — Ale spodziewał się, że nas tu oboje zastanie. Miał chyba nadzieję, że może zdołamy ●●●ale nie powiedziałem mu, że rozwód został orzeczony.

To jest, zdaje się, że mu nie powiedziałem. Miałem zamiar mu nie mówić. O ile wiem, z ręką na sercu, do jego wyjazdu nie zdążyłem mu tego powiedzieć.

—• To on nie mieszka już z tobą?

Konsul wybuchnął śmiechem, który przeszedł w kaszel.

— Och mieszka, mieszka! Z całą pewnością mieszka...

Jeśli idzie o ścisłość, o mało co nie wyzionąłem ducha pod naporem jego akcji ratunkowej. Przez co chcę po wiedzieć, że Hugh usiłował „sprowadzić mnie na dobrą drogę”. Czy ty możesz to sobie wyobrazić? Czy widzisz

.w tym jego subtelną włoską rękę? Powiem ci, że mu się to prawie udało przy pomocy jakiejś złowieszczej strychninowej mikstury. Ale — przez sekundę zdawało się, że Konsul ma trudności z postawieniem jednej nogi przed drugą — wracając do konkretów, w rzeczywistości Hugh ma lepszy powód do siedzenia tutaj niż odgrywanie roli Teodora Watta-Duntona. W stosunku do Swinburne'a w mojej osobie. — Konsul ściał głowę następnemu makowi. — Niemego Swinburne'a. W czasie pobytu na rancho wyniuchał jakąś ciekawą historię i przygnał za nią tutaj jak czerwona płachta za bykiem. Nie wspominałem ci o tym? Co zresztą — ale o tym ci chyba mówiłem? — było powodem jego wyjazdu do Mexico City. Po chwili Ivonne powiedziała słabo, prawie nie słysząc własnego głosu:

— No cóż, możemy przez jakiś czas pomieszkać we trójkę, prawda?

—■ *Quien sabe?*

— Ale powiedziałaś, że on pojechał do miasta — po kryła szybko zmieszanie.

— Och, rzuca pracę... może nawet już jest w domu. W każdym razie myślę, że powinien wrócić dzisiaj. Twierdzi, że chce teraz „działać”. Biedaczysko, w ostatnich czasach bardzo się rzeczywiście obnosi z tym swoim popularyzowaniem ludowym frontem. — Czy Konsul był w tym

Theodore "Watts-Dunton" (1832—1914) — poeta i powieściopisarz angielski, przyjaciel i opiekun poety

angielskiego Swinburne'a, którego starał się powstrzymać od nadmiernego picia.

momencie szczerzy, czy nie, to, co dodał, brzmiało dość życzliwie: — Chociaż jeden Bóg raczy wiedzieć, czym się skończą te jego romantyczne ciągoty.

Ale czy nie będzie mu przykro — wyrzuciła z siebie odważnie Ivonne — kiedy cię teraz zobaczy?

Och, cóż, żadna różnica, za mało czasu, żeby się

zorientować, ale miałem ci właśnie powiedzieć — ciągnął Konsul głosem lekko ochryłym — że te nasze szaleństwa, moje i Larueile'a, skończyły się, kiedy Hugh przyjechał. — Idąc dźgał laską kurz na chodniku, przez sekundę rysował nią maleńkie wzory, jak ślepiec idący po omacku. — Szalałem głównie ja, bo Jaiques ma słaby żołądek i po trzech kieliszkach jest przeważnie chory, po czterech gotów grać rolę Dobrego Samarytanina, a po pięciu Teodora Wattsa Duntona w stosunku do... Wobec tego ceniłem sobie tę zmianę, żeby tak powiedzieć, techniki. Przynajmniej do tego stopnia, że będę ci naprawdę wdzięczny, jeżeli ze względu na Hugh'a nie powiesz mu nic o...

— Och...

Konsul odchrząknął.

■— Naturalnie to wcale nie znaczy, że w czasie jego nieobecności piłem dużo, czy że nie jestem teraz absolutnie i kompletnie trzeźwy, co zresztą sama widzisz.

— Och, tak — uśmiechnęła się Ivonne pochłonięta myśłami, które porwały ją już i uniosły na odległość tysiąca mil od tego wszystkiego. Szła jednak dalej, bardzo po woli, u jego boku. I z rozmysłem — jak turysta stojący wysoko na niebezpiecznym miejscu, który spogląda na czubki sosen nad samą przepaścią i pociesza się mówiąc: „Mniejsza o tę czeluść pode mną, byłoby znacznie gorzej, gdybym stał na czubku jednej z tych sosen!” — wyrwała się z tej aktualnej chwili, przestała myśleć, a raczej myślała znów o ulicy, wspominała tamtą bolesną chwilę, w której widziała Calle Nicaragua po raz ostatni — o ileż beznadziejniejsza

wydawała się wtedy
sytuacja! — gdy wybrała się w ową
brzemienną w na
stępstwa podróż do Mexico City, oglądała
się za siebie

6 —Pod

81

wulkanem

z nie istniejącego już teraz plymoutha, gdy skręcali za róg, a wóz trzeszczał resorami, zapadał się w wyboje, przystawał, pełznął, zrywał *się* znów do przodu, jadąc, obojętnie którą stroną, tuż pod samymi murami. A mury były wyższe, niż je widziała w pamięci, i zarosnięte bou-gainvilleami; gęste, rozjarzone skarpy kwiecia. Nad murami widziała czubki drzew o gałązkach ciężkich i nieruchomych i od czasu do czasu szczyt wieży wyrastający spośród drzew, wieży tak charakterystycznej dla stanu Parian; domy za murami nie były widoczne, nie było ich też widać z góry, o czym się kiedyś przekonała, jak gdyby cofnęły się do wnętrza swoich *patio*, z wieżami jakby odciętymi i unoszącymi się w powietrzu niczym samotne przykrywy duszy. Niewiele też wyraźniej było widać domy przez koronkowe, wysokie bramy z kutego *żelaza*, przypominające bramy Nowego Orleanu, zamknięte w tych murach, na których kochankowie wypisywali ołówkiem daty schadzek, a za którymi często ukrywał się sen o domu nie tyle Meksykańczyka, ile Hiszpana. Rynsztok z prawej strony płynął jakiś czas pod *ziemią*, jeszcze jedna niska buda stojąca na brzegu ulicy rozdziawiała do niej czarne, posępne wnętrza; tu właśnie Maria kupowała dla nich węgiel. Potem woda wytrysnęła znów na słońce, a na drugiej stronie, w przerwie między ogrodzeniami, wyłonił się Popocatepetl,- sam. Chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, przeszli za róg i ukazało się wejście do ich domu.

Ulica była teraz zupełnie pusta i prócz szmeru wody w rynsztokach, które przypominały dwa ścigające się zaciekle strumyki, cicha; widok ulicy przypomniawszy jej mgliście, jak, zanim spotkała Louisa i gdy się jej jeszcze na pół zdawało, że Konsul wrócił do Anglii, usiłowała zachować w wyobraźni Quauhnhuac jako coś w rodzaju bezpiecznej ścieżki, po której jego widmo mogło się przechadzać wiecznie, w towarzystwie tylko jej pocieszającego, niepożądanego ducha, ponad wzbierającymi wodami grożącej katastrofy.

Potem, od niedawna, Quauhnhuac wydawało się jej —

choć wci wyludnione — to jednak inne: oczyszczone wymiecione do czysta z przeszłości, z Geoffreyem samotnym, ale tym razem w cielesnej postaci, którego można będzie uratować, który potrzebuje jej pomocy.

No i Geoffrey był tu istotnie, ale ani nie był sam, ani nie była mu potrzebna jej pomoc, żył natomiast, pławił się w tym, co było jej winą — winą, która, sądząc z pozorów, podtrzymywała go w jakiś dziwny sposób...

Ivonne poczuła nagle zawrót w głowie; zacisnęła mocniej dłoń na torebce i szła zaledwie świadoma widoków, które Konsul (zdawało się, że wrócił do równowagi) pokazywał jej w milczeniu laską: droga wiejska na prawo, kościółek zamieniony na szkołę, z grobami i poprzeczną belką na boisku, mroczne wejście \W głębokim rowie — wysokie mury po obu stronach ulicy chwilowo zniknęły — do opuszczonej kopalni żelaza, która rozciągała się pod ogrodem.

Do szkoły i ze szkoły...

Popocatepetl,

To był twój jasny dzień...

Konsul nucił. Ivonne czuła, jak topnieje w niej serce. Zdawało się, że nagle połączył ich wspólnie odczuwany, górski spokój; wiedziała, że* to fałsz, że kłamstwo, ale przez chwilę było tak, jakby w dawnych dniach wracali z targu do domu. Śmiejąc się wsunęła mu rękę pod ramię, szli teraz w krok. Znowu pokazały się wysokie mury i teraz zobaczyła ich podjazd schodzący w dół na ulicę, nieomieciony z kurzu, poznaczony już porannymi śladami bosych stóp, a teraz zobaczyła ich furtkę, odłamana z zawiasów i leżąca tuż za wejściem, gdzie zresztą zawsze leżała, jakby wyzywająco, na pół ukryta pod gęstą zastoną bougainvillei.

No i widzisz, Ivonne... Chodź, kochanie... Jesteśmy prawie w domu!

—Tak.

—Dziwne... — powiedział Konsul. Ohydny pies bezpieczeństwa wszedł za nimi.

6*

Tragedia — obwieszczana zarówno przez dziury ziejące w podjeździe, jak i przez wysokie egzotyczne rośliny, zsiniałe i mroczne poprzez szkła jego ciemnych okularów, ginące po obu stronach podjazdu z niepotrzebnego pragnienia, zataczające się, można by niemal rzec, jedno na drugie, a jednak walczące jak bliscy śmierci sensualiści z wizji >o utrzymanie jakiejś ostatecznej postawy, która znamionuje potencję czy też kolektywną, żalospną płodność, myślał Konsul jakby z pewnego dystansu — tragedia zdawała się być-komentowana i objaśniana przez jakąś osobę, która szła obok niego i cierpiała za niego, i mówiła: „Spójrz, przekonaj się, jak dziwne, jak obce mogą być rzeczy dobrze znajome. Dotknij tego drzewa, które kiedyś było ci przyjacielem; niestety, że też to, co kiedyś tak dobrze znałeś w życiu, mogło stać się tak obce! Spójrz na tę niszę w ścianie, gdzie wciąż jest Chrystus cierpiący, który pomógłby ci, gdybyś się do niego zwrócił; nie możesz się do niego zwrócić. *Pomyśl* o udręce róż. Spójrz, tam na trawie krzaki kawowe *Concepty*, mówiące zawsze, że należą do Marii, wysychają na słońcu. Czy nie pamiętasz już ich słodkiego aromatu? Spójrz: drzewka *plantago* obsypane dziwnymi, znajomymi kwiatami — kiedyś symbole życia, teraz symbole ohydnej, fallicznej śmierci. Nie umiesz już kochać tego wszystkiego. Cała twoja miłość teraz to *cantinas*: *żałosny* przeżytek miłości życia zmienionej w truciznę, która jednak nie jest tylko trucizną, a trucizna stała się twoim chlebem powszednim, kiedy w tawernach...”

_ Pedro też odszedł? — Ivonne mocno zaciskała rękę

na jego ramieniu, ale jej głos był prawie naturalny, Konsul czuł to.

_ Tak, Bogu dzięki!

_ A co z kotami?

_ *Perro!*¹ — powiedział Konsul przyjaźnie, zdejmując

jednocześnie okulary, do bezpańskiego psa, który jak dobry znajomy dreptał przy nodze. Pies skulił się i uciekł.

Przykro mi, ale ogród jest chyba w strasznym stanie.

Praktycznie od miesięcy jesteśmy bez ogrodnika. Hugh wyrwał trochę chwastów i oczyścić pływalnię... Słyszysz? Powinna być już dzisiaj napełniona. — Podjazd rozszerzał się w małą arenę, a potem był już tylko ścieżką przecinającą wąski, pochyły pas trawnika, usiany klombami róż; ścieżka prowadziła do frontowych drzwi, w rzeczywistości znajdujących się na tyłach niskiego białego domu, krytego niby łuską dachówkami koloru doniczek, które wyglądały jak przepołowione rurki. Widziany poprzez drzewa, z kominem z boku po lewej i wydostającą się z niego ciemną smużką dymu, dom sprawiał przez chwilę wrażenie ładnego małego stateczku odpoczywającego na kotwicy. — Nie. Zamęczenie się na śmierć i procesowanie o zaległe pensje było moim udziałem. I mrówki zjadające liście, kilka gatunków. Do domu włamali się któreś nocy złodzieje, kiedy byłem w mieście. I powódź; zajrzała tu do nas zawartość ścieków Quauhnahuac i pozostawiła nam na pamiątkę coś, co do niedawna pachniało jak Kosmiczne Jajko. Ale może mimo wszystko zdołasz...

Ivonne uwolniła rękę, żeby zdjąć lizkę z winnej latorośli rosnącej w poprzek ścieżki.

— Och, Geoffrey! Gdzie moje kamelie?

Bóg raczy wiedzieć. — Środkiem trawnika równoległe z domem, biegło wyschłe koryto, z przerzuconą przez ⁿⁱe prowizoryczną deską. Pomiędzy krzakiem floribundii

¹ Piesku! (hiszp.) ,

i różny pająk rozsunął zawitą sieć. Wydając głosy podobne do stuku sypiących się kamyków stadko muchotówek przefrunęło zza domu ciemnym, szybkim lotem. Przeszli przez deskę i byli na „tarasie”.

Stara kobieta z twarzą niezwykle inteligentnego czarnego gнома, jak ją określał w myślach Konsul (może kiedyś kochanka powykęcanego ze starości strażnika kopalni pod ogrodem), niosąc na ramieniu sakramentalną miotłę, wyszła powłócząc i szurając nogami, a chociaż pozornie szurania nie dałoby się odróżnić od powłóczenia, regulowały je dwa zupełnie oddzielne mechanizmy.

— Oto Concepta — powiedział Konsul. —
Ivonne: Con-
cepta. Concepta: Señora Firmin.

Gnom uśmiechnął się dziecinnym uśmiechem, który na chwilę zmienił jego twarz w twarz niewinnej dziewczyny. Concepta wytarła dłonie o fartuch; ścisnęła sobie ręce, gdy Konsul zawahał się — widząc teraz, przyglądając się z trzeźwym zainteresowaniem (choć w tym momencie poczuł się nagle tak przyjemnie wstawiony, jak był tylko raz tej nocy, przed okresem absolutnej luki w świadomości) bagażowi Ivonne stojącemu tuż przed nim na tarasie, trzy walizki i pudło na kapelusze tak usiane nalepkami hotelowymi, iż zdawało się, że za chwilę zakwitną — zawahał się, jakby chciał powiedzieć: a oto twoja historia. Hotel „Hilo”, Honolulu, „Villa Carmona”, Granada, hotel „Theba”, Algeciras, hotel „Peninsula”, Gibraltar, hotel „Nazareth”, Galilea, hotel „Manchester”, Paris, „Cosmo Hotel”, London, „SS. Ile de France”, „Re-gis Hotel”, Canada, hotel „Mexico D. F.” — i teraz nowe nalepki, najnowsze kwiaty: hotel „Astor”, New York, „Town House”, Los Angeles, „SS Pensyhrania”, hotel „Mirador”, Acapulco, Compania Mexicana de Aviación.

— *El otro señor?* — spytał Konsul Conceptę, która potrzęsnięta głową z rozanieloną emfazą. — Jeszcze nie wrócił. W porządku, Ivonne, przypuszczam, że chciałybyś

— *A drugi pan'* (hiszp.)

swój dawny pokój. Zresztą Hugh i tak jest w tym małym, tara gdzie maszyna.

Maszyna?

. Do strzyżenia trawy.

—...*por que no, aqua cahente.*¹ —●
Łagodny, melo
dyjny, pełen humoru głos Concepty wzmagał się i opadał,
gdy szurając i powłócząc nogami
odchodziła dźwigając
dwie walizy.

—A więc masz gorącą wodę, co graniczy z cudem!
Widok za domem był nagle rozległy i wietrzny jak

morze.

Za *barranca* równina podnosiła się faliście aż do samego podnóża wulkanów tworząc mroczną zapórę, nad którą strzelał do góry czysty w konturach stożek starego Popo, na lewo zaś od niego rozpościerały się jak miasteczko uniwersyteckie w śniegu, poszarpane wierzchołki Ixtaccihuatl; przez chwilę stali na ganku w milczeniu, a chociaż nie trzymali się za ręce, ich ręce dotykały się, jak gdyby nie byli pewni, czy to nie jest sen, każde z nich we własnym osamotnionym schronieniu, ich dłonie jak rozprysnięte fragmenty wspomnień, w półobawie przed tą bliskością, dotykające się jednak ponad morzem rozszalałym nocą.

Tuż poniżej nich mały, szemrzący basen pływakcki wciąż napełniał się wodą z pękniętego węża podłączonego do hydrantu, chociaż woda sięgała już prawie brzegów; pomalowali go kiedyś własnoręcznie, niebieskie boki i dno; farba prawie nie splotowała i woda odbijająca niebo, małpująca je, miała odcień intensywnie turkusowy. Hugh przystrzygł trawę wokół brzegów basenu, ale dalej stok ogrodu opadał w nieopisaną plątaninę głogów, od których Konsul odwracał wzrok; przyjemne uczucie zamroczenia mijało szybko...

Obrzucił roztargnionym spojrzeniem werandę, obejmującą również część lewej ściany domu, domu, do którego Ivonne jeszcze dotąd nie weszła, i teraz, jakby w speł-

¹...czemu nie, gorąca woda.

(his/p.)

nieniu jego modłów, zjawiała się Concepta. Szła ku nim ze wzrokiem wbitym w tackę, którą niosła nie patrząc J ani na prawo, ani na lewo, ani na przywiedłe rośliny, zakurzone i zmarniałe na niskim parapecie, ani na wy- ^ plamiony hamak, ani na kiepski melodramat połamanego krzesła, ani na wypatroszoną leżankę, ani na zawadzających jarmarcznych Don Kiszotów, opierających swoje słomiane rumaki o ścianę domu, zbliżała się do nich szurając nogami w kurzu i zwiędłych liściach, których jeszcze nie zmiotła z rdzawej kaflowej podłogi.

— Jak widzisz, Concepta zna moje obyczaje.

— Konsul

przyjrzał się teraz tacy, na której stały dwie szklanki, butelka whisky do połowy napełniona, syfon z wodą¹ sodową i *jarro*¹ z topniejącym lodem, a także złowieszczo wyglądająca butelka, też do połowy napełniona, z mętno-czerwonym płynem przypominającym kiepskie czerwone wino lub może miksturę od kaszlu. — Oto strychnina. Napijesz się whisky z wodą sodową?... Lód jest chyba na twoją cześć. Ani odrobiny trucizny? — Konsul prze niósł tacę z parapetu na ogrodowy stolik, który Concepta wyniosła z domu.

— Mój Boże, ja? Nie, dziękuję!

— W takim razie whisky bez wody. Dalej, Ivonne! Co> masz do stracenia?

— ...Pozwól mi zjeść najpierw śniadanie!

„Mogła chociaż raz powiedzieć tak — odezwał się teraz w uchu Konsula głos mówiący nieprawdopodobnie szybko — bo teraz naturalnie biedaku strasznie chciałbyś być pijany od nowa prawda bo cały kłopot jak nam się zdaje polega na tym że dawno wymarzony powrót Ivonne niestety ale nie martw się mój chłopcze nie warto — trzepał głos — powrót Ivonne doprowadził do powstania najtrudniejszej sytuacji w twoim życiu prócz jednej mianowicie tej nieporównanie trudniejszej sytuacji która wynika z tamtej tak trudnej że będziesz musiał wypić pięćset kieliszków żeby jej sprostać — mówił głos, który Konsul

— i dzban (hiszp.)

rozpoznał jako głos sympatycznego i impertynenckiego koleżki, może z rcgami, niezrównanego, jeśli idzie o zmienianie postaci, specjalisty od kazuistyki, który dodał teraz surowo: — czyżbyś miał osłabnąć w tym krytycznym momencie Geoffreya Firmin nie nie osłabiesz będziesz walczył już zwalczyłeś tę pokusę tak zwalczyłeś nie zwalczyłeś w takim razie ci przypomnę zeszłej nocy odmawiałeś picia tyle razy i w końcu po miłej małej drzemce wytrzeźwiałeś zupełnie nie odmawiałeś odmawiałeś wiemy że potem odmawiałeś piłeś tylko żeby uspokoić febrę to było mistrzowskie opanowanie którego ona nie ocenia nie potrafi ocenić!"

— Jakoś mi się nie zdaje, żebyś wierzyła w strychninę — powiedział Konsul z łagodnym tryumfem (sama jednak obecność whisky była ogromną pocięchą) nalewając sobie ze złowieszczej butelki pół kieliszka mikstury. „Opierałem się pokusie przez co najmniej dwie i pół minuty, moje odkupienie jest pewne.” „Ja też nie wierzę w strychninę znowu doprowadzisz mnie do płaczu ty głupi bydlaku Geoffreya Firmin rozwalę ci gębę o idioto!” To był inny jeszcze koleżka i Konsul podniósł szklanę na znak, że go poznaje, a potem w zamyśleniu wypił połowę płynu. Strychnina — ironicznie włożył do niej trochę lodu — miała smak słodki, przypominała trochę cas-sis; dostarczała może pewnego rodzaju podświadomej podniety, zaledwie dostrzegalnej; Konsul, który wciąż stał, zauważył też nieznaczne, nikłe stępienie bólu, godne pogardy...

„Ale czy ty nie widzisz ty głupcze że ona myśli że pierwsza rzecz o jakiej pomyślałaś po tym jak przyjechała w ten sposób do domu to picie nawet jeżeli to jest tylko strychnina bo twoje natrętne łaknienie i bezpośrednie sąsiedztwo z tamtą butelką odziera ją strychninę z niewinności więc widzisz że wobec takiej wrogiej postawy możesz naturalnie że możesz zabrać się do whisky już teraz zamiast potem ale nie do tequili aha gdzie jest butelka tequili och zgoda już zgoda wiemy dobrze gdzie jest to byłby początek końca chociaż może cholernie szczę-

śliwego końca ale whisky to wspaniały stary zdrowy palący gardło ogień przodków twojej żony *nació 1820 y siguiendo tan campante* a potem może napijesz się trochę piwa też dla ciebie zdrowe i pełne witamin bo twój brat wróci i będzie okazja i może właśnie to jest cały powód do tej celebracji naturalnie jest a pijąc whisky i potem piwo mimo wszystko będziesz mógł powoli przygasać *poco a poco*² na pewno tak będzie ale każdy wie że niebezpiecznie próbować robić to za prędko i cały czas będziesz pomagał Hughowi w jego zbożnym dziele wprowadzenia cię na prostą drogę naturalnie będziesz!" Był to znowu jego pierwszy koleżka i Konsul z westchnieniem odstawił kieliszek na tacę ręką wyzywająco pewną.

— Co mówiłaś? — spytał Ivonne.
— Mówiłam trzy razy — śmiała się Ivonne — żebyś,
na miłość boską, napił się czegoś przyzwoitego. Co za sens pić to paskudztwo tylko po to, żeby mi zaimponować...
Napij się, a ja powiem na zdrowie.
— Co powiedziałaś? — Siedziała na parapecie i spo
glądała na dolinę z wszelkimi pozorami zainteresowania i radości. W samym ogrodzie panowała śmiertelna cisza.
Ale wiatr zmienił się chyba raptownie; lxta zniknął,
a Popocatepetl był niemal zupełnie zasłonięty czarnymi, poziomymi zwałami chmur, jak gdyby przeciągniętymi w poprzek gór smugami dymu z kilku pociągów jadących równolegle. — Powtórzysz to? — Konsul ujął ją za rękę.

Przywarli do siebie w — tak się przynajmniej zdawało — namiętym uścisku; gdzieś, z nieba, łabędź przesyty strzałą runął na ziemię. Przed drzwiami *cantiny* „El Puerto del Sol”³ na Independencia skazani na zagładę mężczyźni tłoczyli się już w słońcu, czekali, aż żaluzja podjedzie do góry z grzmotem trąb. ,

— Nie, dziękuję, zostanę przy moim pocziwym lekarstwie. ■— Konsul padł niemal na swój połamany zielony fotel na biegunach. Siedział, trzeźwo spoglądając na Iwon-

— 1urodził się w 1820 r. i tak się świetnie
2stopniowo (hiszp.)
3Port słoneczny (hiszp.)

ne. A więc to jest ta chwila, do której tęsknił leżąc pod łózkami, śpiąc w kątach barów, na skraju ciemnych lasów, w zaułkach, na targowiskach, w więzieniach, to jest ta chwila, w której — ale chwila, martwo urodzoną, minęła; a za jego plecami *ursa horibilis* nocy przysunęła się bliżej. Co on robił? Spał gdzieś, to jedno było pewne. Tik-tak; ratunku, ratunku; basen cykał jak zegarek. Więc spał; co jeszcze? Jego ręka szukająca w kieszeni spodni smokingowych natrafiła na twarde brzeg namacalnej poszlaki. Bilet wizytowy, który wyciągnął na światło dzienne, głosił:

Arturo Diaz Vigil
Medico Cirujano y Partero
Enfermedades de Niños
Indisposiciones Newiosas
Consultas de 12 a 2 y de 4 a 7
Av. Revolución Numero 8

—...Czy naprawdę wrócisz? Czy tylko przyjechałeś mnie odwiedzić? — spytał Konsul chowając bilet do kieszeni.

—Przecież jestem, no nie? — odparła Ivonne wesoło, nawet odrobinę wyzywająco.

—Dziwne — powiedział Konsul, na pół podnosząc się do trunku, który Ivonne wydzieliła mu mimo jego odmowy i mimo że szybki głos zaprotestował w jego uchu:

„Ty głupi bydlaku Geoffreyu Firmin rozwałę ci gębę jeżeli weźmiesz jeżeli wypijesz zawołam o idioto!” — Swoją drogą to bardzo odważnie z twojej strony. Powiedzmy że... że jestem w strasznym stanie, rozumiesz.

—Kiedy uważam, że wyglądasz naprawdę wspaniale.

Nie masz pojęcia, jak dobrze wyglądasz. — (Konsul zrobił

rzecz absurdalną: naprężył mięśnie, pomacał je. — Ciągłe

silny jak koń, żeby tak powiedzieć, silny jak koń!) „A jak

ja wyglądam?” — zdawało mu się, że spytała Ivonne.

Odwróciła do niego twarz profilem.

■— Nie mówiłem ci? — Konsul przyjrzał się jej. —

⁻¹straszliwa niedźwiedzica; aluzja
do "Wielkiej Niedźwiedzicy (łac)

Piękna... opalona. — Czy mówił to? —
Brązowa jak czekoladka. Pływałaś — dodał.
— Widać, że przebywałaś dużo na słońcu...
Tu naturalnie też było dużo słońca — ciągnął.
— Jak zwykle... Za dużo słońca. Mimo
deszczów ...Wiesz, nie lubię tego.

—Ależ tak, lubisz, naprawdę —
odpowiedziała sta
nowczo. — Wiesz, moglibyśmy pójść na
słońce.

—Hm...

Konsul siedział na połamanym zielonym
fotelu na biegunach twarzą zwrócony do
Ivonne. A może to dusza, myślał, powoli
wynurzając się ze strychniny w stan bez-
stronnej obojętności, żeby poprowadzić
dysputę z Lukre-cjuszem, może to dusza
starzeje się, podczas gdy ciało odradza się
wielokrotnie, dopóki nie przyswoi sobie nie-
odwracalnego nawyku starości. A może to
dusza karmi się swoim cierpieniem, bo na
cierpieniach, jakie zadał swojej żonie, jej
dusza nie tylko wykarmiła się, ale rozkwitła.
Ach, nie tylko na cierpieniach, które on jej
zadał. Co z cierpieniami, za które ponosi
odpowiedzialność wiarołomne widmo
imieniem Cliff, człowiek, którego wyobrażał
sobie zawsze tylko jako żakiet i jako pidżamę
w paski, odpiętą z przodu? I co z
cierpieniami zadanymi jej przez to dziecko —
rzecz osobliwa, też noszące imię Geoffrey —
które miała z widmem dwa lata przed tym,
jak po raz pierwszy wykupiła bilet do Reno, i
które miałyby teraz sześć lat, gdyby nie
umarło na zapalenie mózgu w 1932, trzy lata
przed tym, jak się spotkali i pobrali w
Granadzie, w Hiszpanii? Tak czy inaczej,
widział teraz przed sobą Ivonne opaloną,
młodą, bez wieku; kiedy miała lat piętnaście,
powiedziała mu (to znaczy mniej więcej w tym
czasie, gdy grała w tych filmach z Dzikiego
Zachodu, z których jeden, jak zrećnie
zapewnił ją Laruelle, chociaż ich nie widział,
wywarł wpływ na Eisensteina czy kogoś),
ludzie mówili o niej: „Nie jest ładna, ale
będzie kiedyś piękna.” Kiedy miała lat
dwadzieścia, mówili to samo, w
dwudziestym siódmym roku życia, gdy
wychodziła za niego za mąż, nie było inaczej,
oczywiście zgodnie z kryteriami, jakie
należało stosować w tego rodzaju

sprawach. To samo można było powiedzieć teraz, kiedy miała lat trzydzieści: że sprawia wrażenie kobiety, która będzie — może niemal już jest — „piękna”: ten sam zadarty nos, tożsame uszy, piwne, ciepłe oczy, teraz chmurne i jakby zranione, te same szerokie, pełne wargi, też ciepłe i szlachetne, i trochę cofnięta broda. Twarz Ivonne była tego rodzaju młodą, świeżą twarzą, która mogła zapaść się, tak by Hugh powiedział, jak kupka popiołu i stać się szarą twarzą. Była jednak zmieniona. Ach, tak, była zmieniona! Podobnie jak inny wydaje się statek oczom zdegradowanego szypra, statek widziany w porcie przez okno portowej knajpy. Nie należała już do niego; ktoś przecież chwalił na pewno jej wytworny, gołębiowy kostium podróży; ale nie on.

Nagle, gestem spokojnie zniecierpliwionym, Ivonne zdjęła kapelusz i potrząsając brązowymi, spłowiałymi w słońcu włosami wstała z parapetu. Usiadła na leżance krzyżując niezwykle piękne, arystokratycznie długie nogi. Leżanka wydała z siebie rozdzierającą, gitarową burzę akordów. Konsul znalazł ciemne okulary i włożył je gestem niemal wesołym. Ale pomyślał nagle, w niejasnej udręce, że Ivonne nadal zbiera odwagę, żeby wejść do domu. Powiedział — bardzo konsularnie — głosem głębokim i sztucznym:

—Hugh powinien tu być niedługo, jeżeli wraca pierw-
szym autobusem.

—O której przyjeżdża pierwszy autobus?

—O pół do jedenastej, jedenastej. — Co za różnica.

Napłynął głos dzwonów z miasta. Każdy przyjazd, chyba

że wydawał się absolutnie nieprawdopodobny, budził przerażenie — chyba że przyjeżdżający przywoził alko-

hol. A gdyby tak w ogóle nie było alkoholu w domu,

tylko strychnina? Czy zniósłby to? Już teraz szedłby po

tykając się w kurzu ulic, poprzez

wzrastający żar dnia, w poszukiwaniu butelki; albo posłałby

Conceptę. W ma-

łym barze na zakurzonej uliczce jakiejś

miętając już o swojej misji, piłby całe rano na cześć po

wrotu Ivonne, podczas gdy ona spałaby w domu. Może

udawałby, że jest Islandczykiem albo turystą z Andów czy Argentyny. Dużo bardziej niż przyjazd Hugh'a przerażał go problem, już go doganiający jak bicie słynnego dzwonu Goethego w pogoni za dzieckiem, które nie poszło do kościoła. Ivonne przekręciła obręczkę na palcu, raz. Czy nosiła ją wciąż z miłości, czy dla podwójnej wygody, czy z obu przyczyn? Czy też, biedactwo, założyła ją tylko na jego, na ich obojga benefis? Pływalnia dalej cykała. Czy dusza może się tam obmyć i być czysta, czy też ugasić pragnienie?

— Jest dopiero w pół do dziesiątej. —

Konsul znowu
zdjął okulary.

— Twoje oczy... och, mój biedaku... tak
błyszczą —
wybuchnęła Ivonne; i głos dzwonu się zbliżył;
teraz dzwo
niąc dał susa przez przełaz i dziecko się
potknęło.

— Odrobina delirium. Dosłownie odrobina.

— *Die Gloc-*

*ke, Glocke font nicht mehr...*¹ Konsul
rysował wzór na
płytcie ganku lakierkami, w których jego
stopy bez skar
petek (bez skarpetek nie dlatego — jak to
sugerował Sr
Bustamente, dyrektor miejscowego kina —
że pijaństwo
zepchnęło go w sytuację, w której nie było
go stać na
kupno skarpetek, tylko ponieważ cały jego
organizm tak
był zneurotyzowany alkoholem, że Konsul
nie mógł się
zdobyć na ich włożenie) bolały go i były
nieprzyjemnie
opuchnięte. Nie czułby tego, gdyby nie
strychnina, niech
diabli to świństwo, i jego zimną, ohydną,
absolutną trze
źwość, do której strychnina go
doprowadziła! Ivonne się
działa znów na parapecie, oparta o jeden z
filarów. Za
gryzała wargi, całą uwagę skupiła na
ogrodzie.

— Geoffrey, ten ogród to ruina!

— Nie działa tu towarzystwo popierania
sztuki ogrod
niczej — Konsul nakręcał zegarek. — ...Ale
posłuchaj:
założmy, dla wygody argumentacji, że
porzucasz i odda
jesz obłożone miasto nieprzyjacielowi, a
potem, w taki
czy inny sposób, wracasz tam niedługo —

jest w tej ana
logii coś, co mi się nie bardzo podoba, ale
mniejsza o to —

i Dzwon me dzwoni już. (niem.)

założmy, że to robisz; w takim wypadku nie możesz się chyba spodziewać, że twoja dusza będzie się pławiła w tych samych zielonych rozkoszach i że będą cię witali tu i tam z tą samą pocziwą radością.

—Kiedy ja nie porzuciłam...

—Nawet jeżeli, chociaż ^nie powinienem tego mówić, pozornie to miasto wróciło do życia — chociaż przyznaję, trochę jest udręczone — i tramwaje w nim jeżdżą mniej więcej według rozkładu. — Konsul energicznym ruchem zapiął zegarek na przegubie dłoni. — No więc?

—...Geoffrey, spójrz na tego czerwonego ptaka na gałęzi! Nigdy w życiu nie widziałam tak dużego kardynała.

—Nie. — Konsul niepostrzeżenie dorwał się do butelki whisky, odkorkował ją, powąchał zawartość, a potem odstawił na tacę z powagą, odymając wargi. — Nie mogłaś widzieć. Bo to nie jest kardynał.

•— Na pewno kardynał. Widzisz, jaką ma czerwoną pierś? Jak maleńki płomień! — Ivonne, to było dla Konsula jasne, nie mniej niż on przerażona myślą o bliskiej już scenie, czuła się jakby zmuszona do mówienia czegośkolwiek, dopóki nie nadejdzie ów idealnie niewłaściwy moment będący też momentem, w którym nie widziany przez nią straszliwy dzwon dotknie skazane na zagładę dzieckoi ogromnym, wystającym jęzorem i owionie biedactwo piekielnym oddechem. — O, tam... na hibiskusie!

Konsul przymknął jedno oko.

—Zdaje mi się, że to jest trogon miedzianonóżka. I wcale nie ma czerwonych piórek na piersi. Jest samotnikiem, który prawdopodobnie żyje daleko, daleko" w Kantonie Wilków, z dala od rozmaitych facetów z pomysłami w głowie, dzięki czemu może spokojnie kontemplować fakt, że nie jest kardynałem.

—Głowę dam, że to kardynał i że mieszka tu w ogrodzie!

—Zostań przy swoim. *Trogon ambiguus ambiguus* to zdaje się jego pełna łacińska nazwa, a ponieważ *ambiguus*

znaczy dwuznaczny, jest to ptak
dwuznaczny! Dwie dwu-

znaczności zapewne się znoszą, czyli jest to trogon mie-dzianonóżka. — Konsul pochylił się do przodu i sięgnął do tacy po pustą szklanę po strychninie, zapomniawszy jednak w pół drogi, co chciał do niej nalać, a także, czy przypadkiem nie sięgał po jedną z butelek, chociażby w tym celu, żeby ją powąchać, a nie po szklanę, opuścił dłoń i pochylił się jeszcze bardziej do przodu, czyniąc z pierwotnego gestu gest troski o wulkany. Powiedział: — Zaczny Popo chyba się niedługo pokaże.

— Wygląda w tej chwili tak, jakby się cały obrzucił szpinakiem... — Głos Ivonne drżał lekko.

W obronie przed tym ich starym żarciem Konsul zapalił zapałkę i chciał ją przytknąć do papierosa, którego jakoś zapomniał włożyć do ust; spostrzegłszy po chwili, że trzyma zgaszoną zapałkę, włożył ją do kieszeni.

Przez jakiś czas wpatrywali się w siebie jak dwa nieme, pozbawione mowy bastiony.

Woda ciekąca wciąż do basenu — Boże, jak ohydnie powoli — wypełniła ciszę między nimi... Ale było jeszcze coś innego: Konsulowi zdawało się, że ciągle słyszy muzykę na balu, który z pewnością już się skończył, tak że cisza była jakby przesiąknięta zatęchłym dudnieniem bębnow. Ale właśnie to prawie namacalne nieistnienie muzyki sprawiało, iż drzewa dygotały do jej taktu; było to złudzenie, które przepajało nie tylko ogród, ale także równinę za ogrodem, cały widok przed jego oczami, zgrozą, zgrozą trudnej do zniesienia nierzeczywistości. Nie jest to może niepodobne, powiedział sobie, do tego, co cierpi człowiek obłąkany siedząc dobrotliwie w ogrodzie szpitala wariatów, gdy obłęd nagle przestaje być dla niego ucieczką i wciela się w straszliwe niebo i we wszystko, co go otacza, a w obliczu czego rozum, już otępiały, może tylko skłonić głowę w pokorze. Czy w chwilach, gdy jego myśli jak kule armatnie miażdżą mu mózg, może być dla szaleńca pociechą nieskończone piękno szpitalnego ogrodu albo wzgórz poza tamtym przerażającym kominem? Wątpliwe, uważał Konsul. O tym zaś konkretnym pięknie wiedział, że jest martwe, tak jak martwe było jego mał-

żeństwo, i podobnie świadomie zamordowane. Słońce, które oblewało teraz blaskiem, cały świat przed nim i odkrywało linię drzew u podnóża Popocatepetl, podczas gdy szczyt wulkanu jak gigantyczny wypływający na powierzchnię wieloryb wynurzył się znów spośród chmur — wszystko to nie mogło rozproszyc jego przygnębienia. Nie znało go. Dalej po lewej, za drzewami plantago, ogrodnik w weekendowej rezydencji ambasadora argentyńskiego przecinał sobie drogę przez wysokie trawy oczyszczając grunt pod kort do gry w badminton, ale w tym niewinnym zajęciu kryła się jakaś groźba skierowana przeciwko niemu. Szerokie, łagodnie wygięte do dołu liście plantago były groźne i dzikie jak rozpostarte skrzydła pelikanów, gdy ptaki biją nimi przed odlotem. Ruchy kilku innych małych czerwonych ptaszków, wyglądających jak ożywione pączki róży, wydawały mu się odrażająco niespokojne, złodziejskie. Miał uczucie, że te stworzonka są przymocowane do jego nerwów cieniutkimi drucikami. Gdy zadzwonił telefon, na sekundę prawie zamarło w nim serce.

W rzeczy samej telefon dzwonił głośno i Konsul wyszedł z werandy i skierował się do pokoju jadalnego, gdzie w strachu przed tym rozwścieczonym przedmiotem zaczął mówić najpierw do membrany, potem, mokry od potu, do mikrofonu, wyrzucając z siebie słowa szybko — bo była to rozmowa zamiejscowa — nie wiedząc, co mówi, słysząc przytłumiony głos Toma bardzo wyraźnie, ale powtarzając jego pytania jako swoje odpowiedzi, przerażony, że lada sekundę wrzący olej tryśnie mu do ucha lub ust.

— Doskonale. Do widzenia... Słuchaj, Tom, jakie jest źródło tych plotek o srebrze, które pokazały się we wczorajszej prasie, zaprzeczanych przez Waszyngton? Ciekaw jestem, skąd się to wzięło... Jaki był początek? Tak. W porządku. Do widzenia. Tak, mam, straszny. Co ty powiesz! To fatalne. Ale ostatecznie są właścicielami. A może nie są? Do widzenia. Na pewno to zrobię. Tak, w porządku. Do widzenia!... — „Chryste. Po co on dzwoni do mnie tak

wcześniej. Która to godzina w Ameryce? Erikson 43? Chryste..." Powiesił słuchawkę do góry nogami i wrócił na werandę. Nie było Ivonne. Po chwili usłyszał ją w łazience.

Konsul w poczuciu winy szedł pod górę Calle Nicaragua.

Było tak, jakby się wspinał w najwyższym trudzie na nie kończące się schody między domami. Albo na zbocze Popocatepetl. Nigdy droga na szczyt wzgórza nie wydawała mu się taka długa. Ulica zarzucona luźnymi kamieniami ciągnęła się przed nim w nieskończoność, jak życie pełne udręki. Myślał: dziewięćset pesos = sto butelek whisky = dziewięćset butelek tequih. Wniosek: nie powinno się pić ani tequili, ani whisky, tylko mescal. Co więcej, na rozpalonej ulicy było gorąco jak w piecu i Konsul oblewał się potem. Dalej! Dalej! Nie szedł bardzo daleko, wcale nie na szczyt wzgórza. Jeszcze przed domem Jacques'a była uliczka skręcająca w lewo, zadrzewiona, najpierw nie szersza od drogi wiejskiej, potem zbiegająca w dół serpentyną i gdzieś po prawej na tej uliczce, w odległości może pięciu minut, czekała na zakurzonego rogu chłodna, bezimienna *cantina*, przed nią prawdopodobnie konie uwiązane na postronku i śpiące pod kontuarem ogromne białe kocisko, o którym pijący przy barze *whiskerando*¹ powie: „On, ach, *señor*, pracować całą noc i ach, spać cały dzień.” — I ta *cantina* będzie teraz otwarta.

Tam właśnie szedł (uliczkę było już widać, jej wylotu strzegł pies), żeby w spokoju wypić dwie niezbędne porcje, nie sprecyzowane w myślach, i wrócić, zanim Ivonne wyjdzie z łazienki. Naturalnie było też możliwe, że spotka...

Ale nagle powierzchnia Calle Nicaragua zaczęła się podnosić, przybliżać.

Konsul leżał twarzą w dół na wyludnionej ulicy.

„... Hugh, czy to ty, stary chłopie, podajesz mi dłoń? Serdeczne dzięki. Bo to może rzeczywiście twoja kolej, żeby mi podać dłoń. To wcale nie znaczy, że nie pomagałem ci zawsze z największą radością! Pomagałem ci z ra-

1.2artobliwe określenie człowieka pijącego whisky, wymyślone przez autora.

dością nawet wtedy w Paryżu, kiedy przyjechałeś z Adenu i miałeś kłopoty z *carte d'identite* i paszportem, bez którego jakoś, zdaje się, wolisz podróżować i którego numer pamiętani do dzisiaj: 21312. Sprawiało mi to, może, tym większą przyjemność, że mogłem przynajmniej na krótko zapomnieć o moich własnych poplątanych sprawach, a co więcej, dowiodło ku mojej satysfakcji — chociaż niektórzy moi koledzy już wtedy zaczęli w to wątpić — że mimo wszystko nie jestem aż tak oderwany od życia, żebym nie potrafił sprawnie wywiązać się z moich obowiązków. Dlaczego to teraz mówię? Czy częściowo dlatego, żebyś zobaczył, że ja też rozumiem, jak blisko Ivonne i ja byliśmy katastrofy, zanim spotkaliśmy ciebie? Czy ty słuchasz, Hugh... czy wyrażam się jasno? Czy rozumiesz, że ci przebaczam, chociaż jakoś nigdy nie mogłem do końca przebaczyć Ivonne, i że nadal mogę cię kochać jako brata i szanować jako człowieka? Czy rozumiesz, że bez urazy znowu bym ci pomógł? Bo widzisz, odkąd ojciec poszedł sam w Białe Alpy i nie wrócił, chociaż nie były to Alpy tylko Himalaje — a powiem ci, że nazbyt często te wulkany mi je przypominają, podobnie jak ta dolina przypomina mi Dolinę Indusu i jak te stare uturbanione drzewa w Taxco przypominają mi Srinigar, i tak jak zaraz po przyjeździe, Xochimiłco... czy ty słuchasz, Hugh?... przypominało mi, chociaż to śmieszne, łodzie mieszkalne na Shalimar, których nie pamiętasz — i twoja matka, a moja macocha, umarła, i zdawało się, że wszystkie te okropności spadają na nas jednocześnie, jak gdyby nagle i znikąd zjechali się krewniacy katastrofy lub może z Damchok, i wprowadzili się do nas ze wszystkimi ma-natkami — odkąd więc ojciec nie wrócił i matka umarła, za mało niestety miałem sposobności, żeby ci być bratem. To prawda, zastępowałem ci, może, ojca, ale byłeś wtedy mały i chorowałeś na morzu na pokładzie starego, nieobliczalnego «Coconada». Ale potem, kiedyśmy wrócili do Anglii, za dużo było opiekunów, za dużo namiastek w Harrogate, za wiele zakładów i szkół, żeby już nie wspominać o wojnie, którą ja — bo słusznie mówisz, że

ta wojna jeszcze się nie skończyła —
prowadzę dalej i usiłuję wygrać w butelce, a
ty przy pomocy swoich ideałów, które, mam
nadzieję, okażą się mniej zgubne dla ciebie
niż poglądy naszego ojca były dla niego i, jeśli
już o tym mówimy, niż moje były dla mnie. Ale
jakkolwiek się to przedstawia — jesteś, Hugh,
podajesz mi ciągle dłoń? — powinienem ci
wyjaśnić w możliwie dobitnych słowach:
nigdy sobie nie wyobrażałem, że to, co się
zdarzyło, zdarzy się czy może się zdarzyć. Z
faktu, że straciłem zaufanie Ivonne, wcale nie
wynikało, że ona straciła moje, bo koncepcje
tu mogą być dość różne. A że ufałem
tobie,

O tym nic muszę nawet wspominać. Tym
bardziej nie
przyszłoby mi nigdy na myśl, że będziesz
szukał dla sie
bie usprawiedliwienia moralnego w
okoliczności, że pro
wadziłem życie rozwiązłe; istnieją też
pewne powody —
a mogą być wyjawione tylko w dniu
ostatecznych roz
rachunków — dla których nie powinienes
był mnie osą
dzać. Boję się jednak... słuchasz mnie,
Hugh?... Boję się
jednak, że na długo przed tym dniem
ostatecznych roz
rachunków to, coś uczynił impulsywnie i o
czym usiło
wałeś zapomnieć pośród okrutnego
zaabsorbowania mł
dości, wróci do ciebie w nowym i
posępniejszym świetle.
A ponieważ jesteś z gruntu dobrym i prostym
człowiekiem

1szczerze szanujesz zasady i hamulce, które
mogły tam
temu zapobiec, boję się, bardzo się boję, że
gdy przybę
dzie ci lat i zwiększy się wrażliwość
twojego sumienia,
będziesz wydany na pastwę cierpień
straszliwszych niż
te, któreś mnie zadał. Jakże ja mogę ci
pomóc? Jak mogę
cię przed mmi uchronić? W jaki sposób
człowiek zamor
dowany może przekonać swojego zabójcę,
że nie będzie
go straszyl po śmierci? Ach, przeszłość
niweluje się szyb
ciej, niż myślimy, a Boga niecierpliwą
wyrzuty sumie
nia! Czy pomoże ci to, co usiłuję teraz
powiedzieć, że ja
wiem, rozumiem, jak bardzo sam jestem

sobie winien?
Czy pomoże ci, gdy przyznam ponadto, że
takie narzuca
nie ci Ivonne było czynem niebacznym,
niemal — chcia
łoby się powiedzieć — błazeńskim,
prowadzącym do nie
uniknionego guza na głowie i serca, i ust
pełnych trocin?

Szczerze ufam, że ci to pomoże... Ale tymczasem, stary chłopie, moje myśli, potykające się pod działaniem strychniny wypitej w ciągu ostatnich trzydziestu minut, pod działaniem leczniczych kieliszków przedtem, po* d działaniem bardzo wielu i zdecydowanie nieleczniczych kieliszków wypitych jeszcze wcześniej z doktorem Vigilem, musisz poznać doktora Vigila, nie mówię nic o jego przyjacielu Jacques'u Laruelle, któremu z rozmaitych względów dotąd cię nie przedstawiłem (proszę, przypomnij mi, żebym odebrał od niego tom dramatów elżbietańskich), pod działaniem dwóch dni i jednej nocy bezustannego picia przedtem, i siedmiuset siedemdziesięciu pięciu i pół ...ale po co mówić więcej? Moje myśli, powtarzam, chociaż tak bardzo są znarkotyzowane, muszą jakoś — podobnie jak Don Kiszot unikający miasta, do którego czuł odrazę z powodu swoich tam wybryków — obejść prosto ale bokiem:., czy mówiłem doktor Vigilem?"

— Hej, tam, co się tu dzieje? — Głos, rozbrzmiewający tuż nad nim i mówiący angielszczyzną z Cambridge ode zwał się z kierownicy (Konsul widział już teraz) nie zwykle długiego i niskiego samochodu, który zatrzymał się przy nim pomrukując silnikiem: MG typ Magna czy jakiś taki.

— Nic. — Konsul zerwał się na nogi, w jednej sekun dzie przeraźliwie trzeźwy. — Wszystko w absolutnym po rządku.

— Nie może być w porządku, przecież leżał pan na środku drogi. Więc jak? — Angielska twarz, zwrócona te raz do niego, była rumiana, wesoła, przyjazna, ale strapiona ponad angielskim krawatem w paski, na którym zama jaczyła fontanna na ogromnym podwórcu.

Konsul otrzepał się z kurzu; na próżno szukał ran; nie było nawet zadrapania. Zobaczył teraz fontannę wyraźnie. Czy dusza może się tam obmyć i być czysta, czy też ugasić pragnienie?

— Okazuje się, że w porządku — powiedział. — W każ dym razie strasznie dziękuję.

— Och, diabli, przecież mówię, że leżał pan na środku

drogi, mogłem pana przejechać, coś tu chyba nie gra. Więc jak? Nie? — Anglik wyłączył silnik. — Nie spotkaliśmy się gdzieś przypadkiem... co?

—Trinity. — Konsul usłyszał, że jego własny głos stał się mimo woli odrobinę bardziej „angielski”. — Chyba że...

—Caius.

—Ale ma pan na sobie krawat college'u Trinity — powiedział Konsul z uprzejmą nutą w głosie.

—Trinity?... Rzeczywiście. Hm, to krawat mojego ku

zyna. — Anglik zerknął w dół brody na krawat, jego czerwona wesota twarz zrobiła się trochę czerwiejsza. —

Jedziemy do Guatemali... ładny kraj ten Meksyk. Główna

sprawa z tą naftą. Złe wrażenie, co?

Na pewno nie ma pan żadnej kości złamanej?

—Nie. Nie mam żadnej kości złamanej — powiedział Konsul. Ale dygotał.

Anglik pochylił się do przodu, jakby chcąc uruchomić starter.

— Jest pan pewien, że wszystko w porządku? Mieszkamy w „Bella Vista”, wyjeżdżamy dopiero po południu.

Mógłbym pana tam wziąć na jednego mocniejszego... Di-

abelnie przyjemny bar, muszę powiedzieć, tylko piekielny

hałas przez całą noc. Pan pewnie był na balu, co? A te

raz trochę się panu pomieszało, co? Zawsze trzymam w sa-

mochodzie butelkę na wypadek nagłej potrzeby... Nie, nie

szkocka. Irlandzka. Burke's Irish Whisky.

Pociągnie pan?

Ale może lepiej?...

—Ach... — Konsul wypił duży łyk. — Dziękuję sto razy.

—Jeszcze... jeszcze.

—Dziękuję — Konsul zwrócił butelkę — stokrotnie.

—No, do widzenia. — Anglik zapuścił motor. — Do

widzenia, stary chłopie. Ale niech się pan już więcej nie

kładzie na drogach. Słowo daję, przejadą pana albo roz-

**jadą jak nic. Swoją drogą, straszne szosy.
Za to pogoda**

ładna. — Anglik zaczął się wspinać na stok pomachując ręką.

— Gdyby pan kiedykolwiek miał jakieś kłopoty — za wołał Konsul nie zważając na następstwa — jestem w tym mieście... niech pan poczeka... mój bilet!

—■ Do zobaczenia!

To, co Konsul trzymał teraz w ręce, nie było biletem doktora Vigila, ale z pewnością nie było też jego własnym biletem wizytowym. „Wyrazy szacunku od rządu Wenezueli.” Cóż to znowu? „Rząd Wenezueli będzie wdzięczny... — Skąd się to wzięło? — Rząd Wenezueli będzie wdzięczny za pisemne potwierdzenie zaproszenia na adres «Ministerio de Relaciones Exteriores»^x, Caracas, Wenezuela.” Hm, cóż, Caracas — czemu by nie?

Wyprostowany jak Jim Taskerson, pomyślał, Jim Taskerson też już żonaty, biedaczysko. Konsul odzyskawszy siły popłynął w dół Calle Nicaragua.

W domu usłyszał szmer wody wyciekającej z wanny; zrobił błyskawiczną toaletę. Przechwyciwszy śniadaniową tacę Concepty (przy czym najpierw taktownie powiększył jej brzemień o szklaneczkę strychniny) Konsul niewinnie jak człowiek, który popełnił zbrodnię, gdy był dziadkiem przy brydżu, wszedł do pokoju Ivonne. Pokój był jasny i schludny. Niskie łóżko, na którym Ivonne leżała z ręką pod głową, na pół uśpiona, przykryte było wesołym, barwnym szalem % Oaxaca.

—■ Sie masz!

—■ Sie masz!

Pismo, które czytała, zsunęło się na podłogę. Konsul, lekko pochylony nad sokiem pomarańczowym i jajkami ze wsi, szedł naprzód odważnie przez różnorodność bezsilnych wzruszeń.

—■ Wygodnie ci?

— Wspaniale, dziękuję. — Ivonne przyjęła tacę z uśmiechem. Pismo było miesięcznikiem astronoma-amatora, który prenumerowała, i z jego okładki olbrzymie kopuły-

^x i Ministerio de Relaciones Exteriores (hiszp.)

obserwatorium, otoczone złotą obwódką i wyglądające na czarnym tle jak rzymskie hełmy, zerkały ochoczo na Konsula.

— „Majowie — czytał na głos — mieli znakomicie rozwiniętą astronomię. Nie podejrzewali jednak systemu Kopernika.” — Rzucił pismo z powrotem na łóżko i usiadł swobodnie, zakładając nogę na nogę i stykając dłonie koniuszkami palców nad podziw spokojnych; szklaneczka ze strychniną stała obok niego na podłodze. — Dlaczego by mieli podejrzewać?... Ale najbardziej podobają mi się „nieokreślone” lata poczciwych Majów i ich „pseudoiata”, nie powinnaś o nich zapominać! I te rozkoszne nazwy miesięcy. *Pop. U o. Zip. Zotz. Tzec. Xul. Yaxkia.*

— *Mac* — zaśmiała się Ivonne. — Czy nie ma miesiąca, który nazywa się *Macl*

■ — Jest *Yax* i *Zac*. I *Uayeh*. Ten mi się najbardziej podoba. Miesiąc, który trwa tylko pięć dni.

— W odpowiedzi na Pańskie pismo z dnia 1 *Zipa...*

— Ale dokąd nas to w końcu prowadzi?

— Konsul sączył strychninę ze szklanki, strychninę, która miała do piero dowieść swojej skuteczności jako napoju uzupełniającego irlandzką whisky (obecnie zapewne w garażu „Bel-la Vista”). — Mam na myśli wiedzę. Jedną z pierwszych pokut, jakie na siebie nałożyłem, było nauczenie się na pamięć partii filozoficznych *Wojny i pokoju*. Było to naturalnie, zanim nauczyłem się lawirować między osprzętem Kabały jak małpka św. Jago. Ale okazało się teraz któregoś dnia, że z całej książki pamiętam tylko to, że Napoleon miał skurcze w nodze...

— Nic nie będziesz jadł? Chyba umierasz z głodu?

— ■ Pożywiłem się już.

Ivonne, która sama jadła z wielkim apetytem, spytała: — • Co słychać na rynku?

— Tom jest wściekły, bo skonfiskowali jakąś
jego zie-^{~*}
mię w Tlaxcala czy Puebla. Miał nadzieję, że
mu się uda
] ją zatrzymać. Do mnie się jeszcze nie dobrali,
nie bardzo
wiem, jak będzie ze mną teraz, kiedy
podałem się do dy
misji...

—Więc jednak...

—Słuchaj, muszę cię przeprosić, że
jestem ciągle w tych
łachach... piekielnie zakurzone...
fatalne wrażenie... mo
głem być włożyć na twoją cześć
przynajmniej blezer! —
Konsul uśmiechnął się w duchu
słyszając swój akcent, któ
ry z nie dających się wyjawic
powodów był teraz niemal
absurdalnie „angielski”.

—Więc naprawdę podał się do
dymisji!

—Och, absolutnie! Zastanawiam
się, czy nie przyjąć
obywatelstwa meksykańskiego i nie
rozpocząć życia mię
dzy Indianami jak William
Blackstone. Gdyby nie nawyk
robienia pieniędzy, rozumiesz,
strasznie na pewno dla cie
bie tajemniczy, jak na to patrzysz z
zewnątrz... — Konsul
powiódł łagodnym wzrokiem po
obrazach wiszących na
ścianach, przeważnie akwarelach
malowanych przez jego
matkę i przedstawiających sceny z
Kaszmiru: małe ogro
dzenie z szarych kamieni, z rosnącą
w środku kępą brzoź
i wyższą niż one topolą, było
grobowcem Lalla Rookh,
dziki krajobraz z rwącym
potokiem, odrobinę szkocki,
przedstawiał gardziel wąwozu w
Gugganvir; Shalimar
jeszcze bardziej niż zwykle
przypominał Cam; daleka
sylweta Nanga Parbat widziana od
strony doliny Sind
mogła być namalowana tu na ganku,
Nanga Parbat mógł
śmiało uchodzić za starego Popo... —
jak na to spojrzysz
z zewnątrz — powtórzył — a który to
nawyk jest rezul
tatem ogromnej sumy trosk,
spekulacji, dalekowzroczoś
ci, pensji alimentacyjnych,
dochodów lennych...

Ivonne odstawiała tacę ze
śniadaniem, wyjęła papierosa z
własnej papierośnicy obok łóżka i
zapaliła, nim Konsul zdążył jej podać
ognia.

— Zrobiłbym to już dawno!

Ivonne oparła się znów o poduszki,
paliła... W rezultacie Konsul prawie

nie słyszał tego, co mówiła — spokojnie, rozsądnie, odważnie ■— bo nagle zdał sobie sprawę z czegoś niezwykłego, co działo się w jego mózgu. Zobaczył w jednym błysku, jakby to były statki na horyzoncie pod czarnym, poprzecznym, abstrakcyjnym niebem, że okazja do desperackiej libacji (nie miało to znaczenia,

że on byłby jej jedynym uczestnikiem) ucieka, podczas gdy jednocześnie zbliża się coś, co mogło jedynie być, co było... mój Boże!... jego zbawieniem...

— Teraz? — usłyszał swój głos mówiący łagodnie. —
Przecież teraz nie bardzo możemy wyjechać; pomyśl o Hughu, o sobie, o mnie, o rozmaitych sprawach, nie uważasz? To chyba trochę niewykonalne. — (Bo jego zbawienie nie wydawałoby się może tak przepojone grozą, gdyby irlandzka whisky nie zdecydowała się w tym momencie na przykręcenie, aczkolwiek nieznaczne, śruby. Wysoki lot tej chwili, którą Konsul widział jako chwilę trwałą, był wyraźnie zagrożony.) — Nie mam racji?

— Jestem pewna, że Hugh by zrozumiał...

— Ale przecież nie o to chodzi!

— Geoffrey, ten dom ma w sobie coś przerażającego!

— ...Chcę powiedzieć, że to byłby dość paskudny kał...

„O Chryste...” Konsul powoli nadał twarzy wyraz lekko kpiący i jednocześnie pewny siebie, co miało wskazywać na zdecydowaną konsularną trzeźwość sądu. Bo oto stało się już. Dzwon kościelny Goethego spoglądał mu prosto w oczy. Na szczęście był na to przygotowany.

— Pamiętam gościa, któremu w taki czy inny sposób

pomogłem kiedyś w Nowym Jorku — mówił pozornie bez związku z tematem. — Był aktorem bez pracy.

„Ach, pan nie Firmin — powiedział — takie życie nie jest naturalne.” Dokładnie tak wymawiał: naturalne.

„Człowiek nie jest do tego stworzony — skarżył się. —

Wszystkie ulice są takie same jak ta Dziesiąta czy Jedena — nasta Ulica w Filadelfii...” — Konsul czuł, jak zatracą

akcent angielski i usłyszał w swoim głosie kabotyńską

bełkotliwość. — „Ale w Newcastle stanu Delaware, ach,

tam jest zupełnie inaczej! Ulice brukowane kocimi łbami...

Ach, i Charleston! Wie pan, stare romantyczne po

łudnie... Ale och, mój Boże, to miasto... ten
hałas! Ten)
chaos! Gdybym się tylko mógł stąd wydostać!
Gdybym
wiedział, dokąd uciec!" — zakończył Konsul
z pasją,

w udreće, głosem drżącym, a chociaż w
rzeczywistości

nigdy nie spotkał tego człowieka i całą historią opowiedział mu Tom, dygotał gwałtownie z przejęcia, które było przejęciem kiepskiego aktora. — Jaki ma sens — wyciągnął morał ze śmiertelną powagą — uciekać od siebie samego?

Ivonne leżała cierpliwie w łóżku. Ale teraz wyciągnęła rękę i zgasiła papierosa w wysokiej, stojącej popielniczce z cyny, która abstrakcyjnie przedstawiała łabędzia. Szyja łabędzia była trochę powyginana, łabędź jednak skłonił głowę z wdziękiem, drżąc, gdy gasząc papierosa Ivonne odpowiedziała:

— Doskonale, Geoffrey. Nie będziemy o tym myśleli, dopóki nie poczujesz się lepiej. Uporamy się z tym jakoś za dzień albo dwa, jak wytrzeźwiejesz.

— Ależ na miłość boską!

Konsul siedział znieruchomiąty, ze wzrokiem wbitym w podłogę, podczas gdy ogrom tej obelgi zapadał mu powoli w duszę. Jak gdyby, jak gdyby nie był teraz trzeźwy! Była jednak jakaś nieuchwytna subtelność w tym oskarżeniu, która mu wciąż umykała. Bo nie był trzeźwy. Nie, nie był, w tym momencie nie był trzeźwy! Ale jaki to ma związek z tym, co było przed minutą czy przed pół godziną? I jakim prawem Ivonne zakładała, że on albo nie jest trzeźwy teraz, albo że — co było stokroć okropniejsze — że za dzień lub dwa będzie trzeźwy? A jeżeli nawet nie był trzeźwy w tym momencie, poprzez jakież to bajeczne stadia, porównywalne jedynie do ścieżek i sfer samej Świętej Kabały, osiągnął znów to stadium, w którym znajdował się krótką chwilę dziś rano, to stadium, z którym — używając jej słów — on jeden może się „uporać”, to niebezpieczne, wspaniałe stadium pijaństwa, tak trudne do utrzymania, w którym tylko on sam jest trzeźwy! Jakim prawem — kiedy on tu siedzi cierpiąc z jej powodu tortury potępieńca i męczarnie domu obłąkanych przez bite dwadzieścia pięć minut bez jednej szklanki przyzwoitego trunku — jakim prawem w ogóle napomknęła o tym, że on — przynajmniej w jej oczach — nie jest trzeźwy? Ach, kobieta nie rozumie niebezpie-

czeństw, powikłań, ważności życia pijaka! Z jakiegoż to przekonywającego stanowiska poprawności wyobrażała sobie, że może osądzać to, co było przed jej przyjazdem? I nie wiedziała absolutnie nic o tym, przez co on przeszedł tak niedawno — o jego upadku na Calle Nicaragua, o jego opanowaniu, zimnej krwi, nawet dzielności — o irlandzkiej whisky! Co za świat! A najgorsze, że zaprzepaściła ów odpowiedni moment. Bo Konsul czuł teraz, że mógł być się zdobyć — pamiętając słowa Ivonne: „Może wypiję szklaneczkę po śniadaniu”, i wszystko, co się z tym wiązało — że mógł być się zdobyć na powiedzenie za chwilę (gdyby nie jej uwaga i — tak! — mimo całej grozy „zbawienia”): „Masz absolutną słuszność. Wyjedźmy stąd!” Ale czy można przyznać słuszność komuś, kto jest taki pewien, że się będzie trzeźwym pojutrze? A poza tym, na płaszczyźnie najbardziej powierzchownej, było wszystkim doskonale wiadomo, że nic po nim nie widać, kiedy jest pijany. Jak po Taskersonach, niech ich Bóg błogostawi. Nikt go jeszcze nigdy nie widział zataczającego się na ulicy. To prawda, że w razie potrzeby może się położyć na ulicy jak dżentelmen, ale nigdy się nie zatacza. Ach, cóż to za świat, który jednakowo depreczuje prawdę i pijaków! Świat pełen krwiożerczych ludzi, tak! Krwiożerczych, czy powiedział pan krwiożerczych, komandorze Firmin?

—Na miłość boską, Ivonne, do tego czasu powinnaś już wiedzieć, że obojętne, ile wypiję, nigdy nie jestem pijany — powiedział niemal tragicznie, wychylając nagle miarkę strychniny. — Słuchaj, czy ty sobie wyobrażasz, że ja lubię żłopać tę ohydną *nux vomica* Hugh'a czy beladonnę, czy cokolwiek to jest? — Konsul wstał ze swoją pustą szklanką i zaczął się przechadzać po pokoju. Miał uczucie, że zrobił przez zaniedbanie rzecz nie tyle fatalną (nie było to, powiedzmy, tak, jak gdyby zmarnował nagle całe życie), ile po prostu głupią i jednocześnie jakby smutną. Ale sytuacja zdawała się *żądać* pewnego zadośćuczynienia. Pomyślał czy też powiedział: —Och, może jutro będę pił tylko piwo. Na odzwy-

czajenie się piwo jest najlepsze, piwo 3 trochę strychniny, a potem następnego dnia tylko piwo... myślę, że nikt nie powie słowa, jeżeli będę pił tylko piwo. Podobno piwo meksykańskie ma bardzo dużo witamin... Bo naprawdę myślę, że to jest uroczysta okazja, to ponowne spotkanie naszej trójki, a może potem, kiedy uspokoję się nerwowo, rzucę nawet piwo. A wtedy, kto wie — oznajmił przy drzwiach — może zabiorę się znów do pracy i skończę książkę!

Ale drzwi były drzwiami i, jak się zdarza, były zamknięte; a teraz lekko uchylone. Przez szparę zobaczył na ganku butelkę whisky, odrobinę mniejszą i zawierającą mniej nadziei niż irlandzka Burkego, stojącą tam samotnie. Ivonne nie oponowała przeciwko jednemu kieliszкови; był dla niej niesprawiedliwy. Ale czy to powód, żeby być niesprawiedliwym również w stosunku do butelki? Nie ma na świecie rzeczy bardziej przerażającej niż pusta butelka. Chyba że pusty kieliszek. Ale mógł poczekać; tak, czasem wiedział, kiedy zostawić butelkę w spokoju. Podszedł z powrotem do łóżka myśląc czy też mówiąc:

— Tak, widzę już recenzje: Sensacyjna nowa praca Geoffreya Firmina o Atlantydzie! Najwybitniejsze dzieło tego rodzaju od czasów Donnelly'ego! przerwane przedwczesną śmiercią autora... Zachwycające. A rozdziały o alchemikach! Biją na głowę prace biskupa z Tasmanii. Tylko że oni to napiszą trochę inaczej. Dobrze, co? Mogłbym też popracować nad Coxcoxem 1 Noem. Zainteresowałem już nawet jednego wydawcę w Chicago; jest zainteresowany, ale nie przejęty, jeżeli mnie rozumiesz, bo naprawdę błędem byłoby przypuszczać, że taka książka może zdobyć popularność. Ale to zdumiewające, kiedy się nad tym zastanowić, jak duch ludzki kwitnie w cieniu rzeźni! Jak — nie wspominając już o całej poezji — nie dość daleko-zagrody na rzeźne bydło, żeby uciec przed odorem jutrzejszej gar kuchni, Judzie wiodą w piwnicach życie dawnych alchemików Pragi! Tak: żyją pośród atrybutów samego Fausta, pośród glejty ołowianej,

agatu, hiacyntu i perel. Wiodą życie,
które jest bezpostaciowe,
kształtujące i kry-

,

staliczne. O czym to ja mówię? *O copula maritalis*¹. Czy też o drodze od alkoholu do alkahestu²? Czy możesz mi powiedzieć?... Albo mógłbym postarać się o inną pracę, na podstawie ogłoszenia w „Universal”: „Mogę towarzyszyć zwłokom do obojętnie jakiego miasta na wschodzie.”

Ivonne na pół siedziała w łóżku niby to czytając swój miesięcznik, koszula nocna zsunęła jej się z ramienia i widać było miejsce, gdzie ciepła opalenizna stykała się z białą piersią, ramiona miała na kółdrze, jedna ręka, zwrócona dłonią w dół, zwisała jej bezwładnie z łóżka; gdy się zbliżył, odwróciła tę rękę dłonią do góry, w geście mimowolnym, może geście irytacji, ale sprawiającym wrażenie podświadomego gestu błagania. Było to coś więcej; zdawało się wyrażać w skrócie wszystkie dawne błagania, całą dziwną, tajemną, niemą sumę niewyraźnych tkliwości, lojalności i wiecznych nadziei ich małżeństwa. Konsul poczuł pieczenie w przewodach łzowych. Ale ogarnęło go też szczególne uczucie skrępowania, uczucie niemal, że popełnia coś nieprzyzwoitego — że on, obcy, jest u niej w pokoju. W tym pokoju! Zbliżył się do drzwi i wyjrzał. Butelka whisky stała na werandzie.

Ale nie podszedł do niej, nie wykonał żadnego gestu, włożył tylko ciemne okulary. Odczuwał teraz nowe bóle tu, tam, po raz pierwszy poczuł skutki nagłego zetknięcia się z Calle Nicaragua. Przemknęły mu przez myśl mgliste obrazy, smutne i tragiczne. Gdzieś motyl frunie ku morzu: stracony. Kaczka La Fontaine'a kochała kurę, a jednak po tym, jak uciekły razem ze straszego podwórza wiejskiego i przedarły się przez las nad jezioro, kaczka popłynęła; kura, podążając za nią, utopiła się w jeziorze. A w listopadzie roku 1895, w więziennym ubraniu, w kajdankach, rozpoznany przez ludzi, Oscar Wilde stał od godziny drugiej po południu do pół do trzeciej na głównym peronie stacji węzłowej w Clapham...

Konsul wrócił do łóżka i usiadł; Ivonne ręce trzymała

Copula maritalis — więzy małżeńskie, (fac.) *Alkahest* — według alchemii uniwersalny środek rozpuszczający. W przenośni — intelektualne rozpuszczanie wszechświata w pojęciu czy idei.

teraz pod kołdrą, twarz miała odwróconą do ściany. Po chwili Konsul powiedział ze wzruszeniem, głosem znowu ochryptym:

— Pamiętasz, że w nocy przed twoim wyjazdem umówiliśmy się jak para obcych ludzi, że zjemy razem obiad w Mexico City?

Ivonne patrzyła w ścianę.

— Nie przyszedłeś.

— Bo w ostatniej chwili nie mogłem sobie przypomnieć nazwy restauracji. Pamiętam tylko, że jest gdzieś na Via Dolorosa. To była restauracja, którą odkryliśmy wspólnie, kiedy ostatni raz byliśmy w mieście. Szukałem cię kolejno we wszystkich knajpach na Via Dolorosa, a ponieważ cię nie było, w każdej coś piłem.

— Biedny Geoffrey.

— Musiałem widocznie telefonować do hotelu „Canada” z każdej restauracji, z baru każdej restauracji. Bóg wie, ile razy, bo myślałem, że może wrócisz do hotelu, i za każdym razem mówili mi to samo: wysłaś, żeby się ze mną zobaczyć, ale nie wiedzą dokąd. W końcu byli już diabelnie zirytowani. Nie mogę zrozumieć, dlaczego mieszkaliśmy nie w „Regis”, tylko w „Canada”... Pamiętasz, jak przez tę moją brodę brali mnie tam ciągle za jakieś goście zapaśnika?... No więc chodziłem od knajpy do knajpy i myślałem cały czas, zadręczałem się myślą, że jeśli cię tylko odnajdę, zdołam cię jakoś zatrzymać... że nie wyjedziesz nazajutrz rano!

— Tak.

„Gdybyś ją tylko odnalazł! Ach, jak zimno było tej nocy i jak rozpaczliwie, wiatr wył i skłębiona para buchała znad krat wpuszczonych w chodnik, gdzie dzieci w łachmanach kładły się do wczesnego snu pod biednymi płachtami gazet. A przecież nikt nie czuł się bardziej bezdomny od ciebie, gdy było coraz później, i zimniej, i ciemniej, a ty wciąż nie mogłeś jej odnaleźć! I żałobny głos zawodził na ulicy, i wionął ci wraz z wiatrem w twarz, i wykrzykiwał nazwę

ulicy: Via Dolorosa. I nagle był już jakoś
wczesny ranek, tuż po tym, jak ona

wyjechała z hotelu (sam zniósłeś jeden z jej kuf sów, aleś jej nie widział) i siedziałeś w barze hotelowym, i piłeś meseal z lodem, który ziębił ci żołądek, i połykałeś pestki cytryny, gdy nagle drzwiami z ulicy wszedł mężczyzna o twarzy oprawcy, ciągnąc za sobą dwie małe sarenki, które piszczały ze strachu, i zaprowadził je do kuchni. A potem usłyszałeś ich przeraźliwy krzyk, zarzynano je pewnie. I myślałeś: nie wolno ci pamiętać, o czym teraz myślisz. A jeszcze później, już po Oaxaca, kiedy wracałeś tu, do Quauhnahuac, przez całą udrękę tego powrotu — zjeżdżając plymouthem w dół po serpentynach drogi, widząc w dole miasto poprzez mgłę, potem samo miasto, znajome miejsca, które twoja dusza mijiała jakby wleczona za koniem, który poniósł — kiedy wróciłeś tu..."

— Kiedy wróciłem, koty już nie żyły — powiedział. — Pedro upierał się, że padły na tyfus. A raczej, biedny stary Edyp zdechł w dniu twojego wyjazdu i leżał już na dnie *barranca*, a jak wróciłem, maleńka Patos leżała w ogrodzie pod drzewami i była chyba bardziej chora, niż kiedyśmy ją wyłowili z rynsztoka; umierała, chociaż nikt nie wiedział na co. Maria twierdziła, że pękło jej serce.

— Wesolutka rozmowa — powiedziała Ivonne obcym, twardym głosem, z twarzą wciąż odwróconą do ściany.

— Czy pamiętasz tę swoją piosenkę... nie będę jej śpiewał, powiem: „Mały kotek nie pracował, duży kotek nie pracował, żadne koty nie poszły do roboty!” — usłyszał Konsul swój głos. Zdjął szybko ciemne okulary i ukrył twarz na jej ramieniu.

— Och, Hugh.,. — zaczęła.

— ■ Mniejsza o Hugh'a — nie miał zamiaru mówić tego; nie miał zamiaru miażdżyć jej do poduszki; poczuł, jak ciało Ivonne sztywnieje, staje się twarde, zimne. A jednak zdawało mu się, że jej przyzwolenie nie wynika tylko ze zmęczenia, lecz że jest także poszukiwaniem, wspólnie odczuwanej chwili, chwili pięknej jak dźwięk trąb płynący z czystego nieba...

Ale rozpoczynając preludium, wyprobowując na zmysłach żony działanie przygotowawczych, nostalgicznych zdań czuł jednocześnie, że obraz posiadania jej — jak owa brama z klejnotów, której cień nieszczęsny neofita zmierzający do Yesod rzuca po raz tysięczny na niebo, żeby zapewnić prawo wejścia swojemu ciału astralnemu ■—■ znika i że powoli, nieubłaganie pojawia się na jego miejscu obraz *cantiny* otwieranej w ciszy i spokoju wczesnym rankiem (była to jedna z tych *cantin*, które otwierają o dziewiątej rano) i w dziwaczny sposób był świadomy swojej tam obecności, i był świadomy jarzących mu się za plecami gniewnych, tragicznych słów, tych słów, które, może, niebawem zostaną wypowiedziane. Ten obraz też odpłynął; był teraz tam, gdzie był, zlany potem spojrzął raz — chociaż ani na chwilę nie przerwał preludium, chociaż grał wciąż wstęp do nie dającej się sklasyfikować kompozycji, w którą mogło jeszcze rozwinąć się preludium — przez okna na podjazd, sam teraz przestraszony, że zobaczy Hugh'a, potem wyobrażając sobie, że naprawdę go widzi na końcu podjazdu, przechodzącego przez szparę, teraz, że wyraźnie słyszy jego kroki na żwirze... Nikt nie szedł. Ale teraz, teraz chciał odejść, rozpaczliwie chciał iść — świadomy, że spokój *cantiny* przeradza się ftiz w pierwszą gorączkową krzątanie poranka: emigrant polityczny w kącie dyskretnie popija swój sok pomarańczowy, przychodzi buchalter i ponuro sprawdza rachunki, bandyta z żelaznym skorpionem wnosi blok lodu, jeden barman kraje cytryny, drugi, z oczami pełnymi snu, sortuje butelki piwa. Teraz, teraz chciał iść — świadomy, że *cantina* napełnia się ludźmi, którzy o innej porze dnia nie wchodzą w skład jej społeczności, ludźmi, którym się odbija, którzy się awanturują, robią masę zamieszania, ludźmi ze zwojami lasso na ramionach; świadomy też ze-szłonocnego śmietnika: pustych pudełek po zapałkach, skórek cytrynowych, papierosów postrzępionych jak *tor-tille*, pustych pudełek po papierosach walających się wśród brudu i plwocin. Teraz, kiedy zegar nad lustrem wskazuje kilka minut po dziewiątej i gazeciarze roznoszący „La Pren-

sa" i „El Universal" wchodzą głośno z ulicy lub stoją już w kącie przed brudnym, zatłoczonym *mingitorio*, wraz z pu-cybutami, którzy trzymają swoje stołeczki w rękach lub zostawiają je zaczepione pomiędzy oparciem na nogi a kontuarem, teraz chciał iść! Ach, nikt poza nim nie wie, jak piękne jest to wszystko, słońce, słońce, słońce zalewające bar „El Puerta del Soi", słońce zalewające rzeżuchę i pomarańcze lub padające jedną złocistą smugą, jak gdyby w akcie pojmowania Boga, padające jak dzida prosto w bryłę lodu...

— Przykro mi, nic z tego. — Konsul zamknął za sobą drzwi, deszczyk tynku spadł mu na głowę. Don Ki-szot odpadł od ściany. Podniósł smutnego słomianego ry cerza...

A teraz butelka z whisky; pił z furją.

Jednakże nie zapomniał swojej szklanki i teraz nalewał do niej chaotycznie dużą dawkę strychniny, częściowo przez pomyłkę, bo chciał nalać whisky. „Strychnina działa podniecająco. Może skutek będzie natychmiastowy. Może nie będzie jeszcze za późno." Zapadł w zielony wypłatany fotel na biegunach.

Zdołał dosięgnąć ręką szklanki, którą pozostawił na tacy i teraz trzymał ją, ważył w dłoni, ale nie mógł jej — bo znowu zaczął dygotać, ale tym razem gwałtownie, jak człowiek dotknięty chorobą Parkinsona czy paralizem —• podnieść do ust. Potem nie wypiwszy zawartości odstawił szklankę na parapet. Po chwili, dygocąc na całym ciele, wstał powoli i nalał, jakoś zdołał nalać, do drugiej, nieużywanej szklanki, którą Concepta zostawiła na tacy, mniej więcej ćwierć kwaterki whisky. *Nació 1820 y si-guiendo tan campante. Siguiendo.* Urodzony w roku 1896 i wciąż stacza się w dół. „Kocham cię" — wyszeptał biorąc butelkę w obie dłonie i odstawiając ją na tacę. Wrócił teraz ze szklanką napelnioną whisky do fotela i usiadł trzymając szklankę w rękach, myśląc. Po chwili, nie wypiwszy, postawił i tę szklankę na parapecie, obok strychniny. Siedział przyglądając się obu szklankom. Za plecami w pokoju słyszał płacz Ivonne.

„Zapomniałeś o listach Geoffreyu Firmin o listach które pisała aż jej pękło serce dlaczego siedzisz tu dygocząc dlaczego nie wrócisz do niej ona zrozumie ostatecznie nie zawsze tak by 10i może pod koniec ale nie zawsze¹ mógłbyś to obrócić w żart mógłbyś to wyśmiać jak myślisz dlaczego ona płacze przecież nie tylko dlatego już jej to robiłeś mój chłopcze ale te listy na które nie tylko nie odpisywałeś nie odpisywałeś odpisywałeś nie odpisywałeś odpisywałeś w takim razie gdzie jest twoja odpowiedź ale których naprawdę nigdy nie czytałeś gdzie one są teraz zgubiłeś je Geoffreyu Firmin zgubiłeś albo gdzieś zostawiłeś nawet my nie' wiemy gdzie...”

Konsul wyciągnął rękę i w roztargnieniu zdołał jakoś wypić tyk whisky; mógł to być głos jednego z jego koleżków, ale...

„Hej tam, uszanowanie.”

Z chwilą, gdy Konsul zobaczył to coś, wiedział, że to halucynacje, i siedział bardzo teraz spokojny, i czekał, aż przedmiot, który przybrał kształt umarłego człowieka i zdawał się leżeć płasko na plecach obok pływalni, w dużym sombrero zakrywającym mu twarz, zniknie. A więc „tamten” znowu przyszedł. Ale już odszedł, pomyślał; nie, niezupełnie, b© tam ciągle jeszcze coś jest, czy *może* tu, obok jego łokcia, albo za plecami, a teraz tuż przed nim; nie, cokolwiek to było, też zniknęło; a może to był tylko trogon miedzianonóżka poruszający się w krzakach, jego „dwuznaczny ptak”, oddalający się teraz szybko na łopocących skrzydłach, w locie podobny do gołębia, powracający do swojego samotnego domu w Kanionie Wilków, z dala od ludzi, którzy miewają pomysły.

„Niech to diabli, *przecież czuję się zupełnie dobrze* — pomyślał nagle, kończąc swoje ćwierć kwaterki whisky. Wyciągnął rękę po butelkę, nie mógł jej dosięgnąć, wstał, nalał sobie na wysokość palca. — I rękę mam teraz dużo pewniejszą.” Dokończył whisky, wziął obie szklanki i butelkę Johnny Walker, która była pełniejsza, niż przypuszczał, przeszedł na sam koniec werandy i umieś-

cił je w szafie. W szafie leżały dwie stare piłki do gry w golfa.

— Zagraj ze mną, wciąż jeszcze potrafię zrobić osiem pól trzema wybiciami piłki. Wsiadam — powiedział. —

O czym ja mówię? Teraz nawet ja widzę, że mówię głupstwa. Wytrzeźwieję. — Wrócił, nalał znów strychniny do drugiej szklanki, a potem przeniósł butelkę ze strychniną w bardziej widoczne miejsce na balustradzie. — Ostatecznie byłem poza domem całą noc; czego się można spodziewać? Jestem za trzeźwy. Straciłem moich koleżków, moich aniołów stróżów. Schodzę na prostą drogę — dodał siadając znowu naprzeciwko butelki ze strychniną, trzymając szklankę w ręce. — W pewnym sensie to, co się zdarzyło, jest dowodem mojej wierności, mojej lojalności; większość mężczyzn spędziłaby ten rok zupełnie inaczej. „W każdym razie nie jestem chory” — zawołał w sercu, jednakże okrzyk ten skończył się nutą jakby powątpiewania. — I może dobrze się stało, że wypłem trochę whisky, bo alkohol też podnieca. Nie należy zresztą zapominać, że alkohol to pożywienie. A jak można wymagać od mężczyzny, żeby spełniał swoje małżeńskie obowiązki bez pożywienia? Małżeńskie? Tak czy inaczej robię postępy, powolne, ale wyraźne. Zamiast pognać na łeb na szyję do „Bella Vista” i upić się, jak to zrobiłem ostatnim razem, kiedy się to stało i mieliśmy tę nieszczęsną awanturę o Jacques'a, i rozstrzaskałem palącą się żarówkę, zostałem w domu. Prawda, miałem wtedy samo chód, więc było łatwiej. Ale przecież siedzę tu. Nie uciekam. A co więcej, mam zamiar, do wszystkich diabłów, spędzić tu czas sto razy przyjemniej. — Konsul wypił tyk strychniny i odstawił szklankę na podłogę. — Wola człowieka jest niezwyciężona. Nawet Bóg nie

potrafi jej zwy
ciężyc.

Położył się na fotelu. Ixtaccihuatl i
Popocatepetl, ów symbol doskonałego
małżeństwa, wyrastały teraz czyste

1 piękne na horyzoncie pod niemal
czystym porannym
niebem. Wysoko nad nim kilka białych
chmurek ści
gało na wietrze blady, prawie pełny
księżyc. Pij ca-

le rano, mówiły do niego chmury, pij cały dzień.
To jest życie!

Bardzo wysoko zobaczył też kilka czekających sępów, o ruchach wdzięczniejszych niż orły, gdy unosiły się w powietrzu jak strzępki spalonego papieru, które wzbijają się szybko w górę, kołyszają nad ogniskiem.

Spłynął na niego cień bezbrzeżnego znużenia... Konsul z trzaskiem zapadł w sen.

„DAILY GLOBE” LONDON zebrałem wczoraj poniższe wiadomości narastająca kampania antysemitka w meks-prasie stop federacja meksrobotników petycję przeciwko cytuję: wyrzuceniu drobnych żydowskich fabrykantów tekstylnych koniec cytatu dowiedziałem się dzisiaj z dobrego źródła niemieckie poselstwo w mexcity popiera czynnie kampanię i wszystkimi sposobami przemyca antysemitką propagandę do meksministerstwa spraw wewnętrznych stop istnienie broszur potwierdzone przez miejscowych dziennikarzy stop broszura stwierdza Żydzi zły wpływ na kraje w których mieszkają i podkreśla cytuję ogromne wpływy i nieprzebieranie w środkach w dążeniu do celów koniec cytatu stop Firmin.

Czytając jeszcze raz kopię swojej ostatniej prasowej depezy (wysłanej tego ranka z „Oficina Principal del Compania Telegrafica Mexicana, San Juan de Letran e Independencie, Mexico, D. F.”²⁾ Hugh Firmin szedł bardzo powoli podjazdem w kierunku domu swojego brata; kurtka brata zwisała mu z jednego ramienia, jedną ręką przesunął aż niemal po łokieć przez bliźniacze rączki małej torby podróźnej brata, pistolet w kraciatym futerale uderzał mu leniwie o uda. „Oczy mam chyba w nogach. I słomę w głowie” — pomyślał zatrzymując się na brze-

i
 Głównego Urzędu
 Meksykańskiego Towarzystwa
 Telegraficznego, na rogu ulic gan
 juan de Letran i Independencia, w
 mieście Meksyk, (biszp.)

gu dziury, a potem stanęło mu też serce i zatrzymał się cały świat: koń w połowie przeszkody, nurek, gilotyna, spadający wisielec, kula mordercy, kula armatnia w Hiszpanii czy Chinach zamarta w powietrzu, koło, tłok...

Ivonne, czy też zjawa, która była utkana z włókien przeszłości i do niej podobna, pracowała w ogrodzie i z tego niewielkiego dystansu wydawała się ubrana w promienie słońca. Wyprostowała się — miała na sobie żółte spodnie płócienne — i patrzyła na niego mrużąc oczy i osłaniając się ręką od słońca.

Hugh przeskoczył przez dziurę i wylądował na trawie; uwalniając się od torby podróżnej odczuwał przez sekundę paralizujące zmieszanie i niechęć do spotkania z przeszłością. Rzucona na wyplowie krzesło ogrodowe torba wysypała na przykrywą całą swoją zawartość: wyleniała szczotkę do zębów, zardzewiałą maszynkę do golenia, koszulę jego brata i używany egzemplarz *Księżycowej doliny* Jacka Londona, kupiony wczoraj za piętnaście cen-tavos w niemieckiej księgarni naprzeciwko sklepu Sand-borny w 'Mexico City. Ivonne machała do niego ręką.

A on szedł naprzód (właśnie teraz tamci nad Ebro oo-fają się), pożyczona kurtka ciągle jeszcze wisiała mu jakoś na ramieniu, w jednej ręce niósł kapelusz z szerokim rondem, w drugiej ciągle jeszcze jakoś trzymał złożoną depezę,

— Witaj, Hugh. Boże, W pierwszej chwili wzięłam cię za Billa Hodsona z filmów kowbojskich... Geoffrey mówi mi, że jesteś. Cieszę się, że cię znów widzę.

Ivonne otrzepała dłonie z ziemi i wyciągnęła do niego rękę, której nie uściśnął, w pierwszej chwili nawet nie poczuł jej dotyku, a potem puścił ją jak gdyby niedbale, z nagłym bólem w sercu i lekkim zawrotem głowy...

— Jakże ja się cieszę i tak dalej. — Kiedy przyjechałaś?

— Och, niedawno. — Ivonne obrywała zwiędłe kwiaty z roślin w doniczkach, roślin podobnych do cynii, o pachnących, delikatnych białych i czerwonych kwiatach, któ-

re stały rzędem na niskim murku. Wzięta depeszę, którą Hugh nie wiadomo dlaczego jej wręczył, i przeszła z nią do następnej doniczki. — Podobno byłeś w Teksasie. Czy zostałeś kawiarnianym kowbojem?

Hugh wcisnął kapelusz z ogromnym rondem na tył głowy i speszony śmiał się spoglądając w dół na swoje buty na podwyższonym obcasie i zbyt obciste spodnie wpuszczone w cholewy.

—Skonfiskowali mi ubranie na granicy. Chciałem na wet kupić nowe w Mexico City, ale jakoś do tego nie doszło... Wyglądasz wspaniale...

—A ty!

Zaczął zapinać guziki koszuli, która była cała rozpięta i ukazywała ponad dwoma pasami opaleniznę bardziej czarną niż brązową; przyklepał bandelot, który przyczepiony do niższego pasa biegł ukośnie do futerału opartego na kości biodrowej i przymocowanego do prawej nogi płaskim rzemieniem, poklepał rzemień (w głębi duszy był nieprawdopodobnie dumny ze swego ekwipunku) i w końcu przyklepał kieszeń na piersi, z której wyłowił wygniętego papierosa; zapalał go, gdy Ivonne spytała:

—Co to? Nowa odezwa Garcii?

—C.T.M. — powiedział Hugh spoglądając przez ramię na depeszę — czyli Federacja Robotników Meksykańskich przedłożyła rządowi petycję protestującą przeciwko pewnym teutońskim szacherkom-macherkom w tym kraju. W moim przekonaniu dobrze robią, że protestują. — Hugh rozejrzał się po ogrodzie. „Gdzie Geoff? Co ona tu robi? Jest jakaś za bardzo naturalna. Czy to znaczy, że oni mimo wszystko nie są w separacji, że się nie rozwiedli? O co tu chodzi?” "Ivonne zwróciła mu depeszę, którą Hugh wsunął do kieszeni kurtki. — Jest to — powiedział wkładając kurtkę, bo stali teraz w cieniu — moja ostatnia depesza do „Globe'u."

•— Tak rni Geoffrey... — Ivonne spojrzała na niego uważnie: obciągnęła mu kurtkę na plecach (wiedziała, że to kurtka Geoffa), rękawy były za krótkie; w oczach miała ból i smutek, ale jednocześnie jakby cień rozbawienia;

zabierając się znów do obcinania kwiatów
zdołała nadać twarzy wyraz jednocześnie
zamyślony i obojętny; spytała:

—Podobno przyjechałeś pociągiem
bydlęcym. Co to za
historia?

—Ano zrobiłem z siebie kowboja, żeby im
się zdawało,
że jestem z Teksasu. W ten sposób nie
musałem płacić
na granicy za wjazd. Mogło być i gorzej —
odparł Hugh —
bo od czasu awantury z Cardenasem o
naftę Anglia jest
tutaj, żeby tak powiedzieć, *persona non
grata*. Moralnie
jesteśmy w stanie wojny z Meksykiem, jeżeli
chcesz wie
dzieć... ale gdzie to nasz pan i władca?

—Geoffrey śpi — odparła Ivonne. Broń
Boże nie chce
przez to powiedzieć, że jest zalany,
pomyślał Hugh. —

Twoje pismo nie pokrywa ci kosztów?

—Och, to wszystko jest *muy complicado*

¹... Jeszcze ze
Stanów posłałem do „Globe'u” rezygnację,
ale mi nie od
powiedzieli... pozwól, zrobię to...

Ivonne usiłowała odgiąć upartą *gałąź*
bouganvillei tarasującą stopnie, których
Hugh przedtem nie zauważył.

—To znaczy wiedziałeś, że jesteśmy w
Quauhnahuac?

—Pomyślałem, że jak przyjadę do
Meksyku, upiekę
kilka pieczeni przy jednym ogniu...
Naturalnie nie wie
działem, że ciebie tu nie ma...

—Ten ogród wygląda strasznie —
powiedziała nagle
Ivonne.

—Dla mnie wygląda pięknie, zresztą
pomyśl, jak dłu
go Geoffrey nie miał ogrodnika. — Hugh
poradził sobie
z gałęzią („przegrywają bitwę o Ebro,
ponieważ ja się
tym bawię”) i oto były stopnie; krzywiąc się
Ivonne ze
szła w dół i przystanęła na przedostatnim,
żeby obejrzeć
z bliska oleander, który miał wygląd
umiarkowanie przy
wiedły i nawet był jeszcze obsypany
kwiatami.

—A twój przyjaciel jest prawdziwym
hodowcą bydła,
czy także był przebrany za kowboja?

—Wygląda mi na przemytnika. Więc
Geoff mówił ci

1 bardzo skomplikowane (hiszp.)

UI

o Weberze? — Hugh zaśmiał się. — Mam podejrzenie, że on szmugluje broń. Tak czy siak, pożarłem się z facetem w jednej knajpie w El Paso i potem nagle wynikło, że on jakoś to sobie urządził i jedzie pociągiem bydłącym do Chihuahua, co było dobrym pomysłem, a potem dalej leci do Mexico City. Ostatecznie poleciliśmy z jakiejś miejscowości o niesamowitej nazwie, chyba Cusihuriachic, cały czas kłócąc się w samolocie: on jest taki amerykański półfaszysta, był w Legii Cudzoziemskiej i Bóg wie co jeszcze. Ale naprawdę wybierał się do Parian, więc wysadził mnie tu wygodnie na lotnisku. W sumie całkiem niezła podróż.

— Hugh, jakie to do ciebie podobne!

Ivonne uśmiechała się do niego z dołu, stała z rękami w kieszeniach spodni, nogi miała szeroko rozstawione jak chłopiec. Jej piersi znaczyły się wyraźnie pod bluzką haftowaną w ptaki i kwiaty, którą kupiła czy przywiozła z myślą o Geoffreyu, pomyślał Hugh, znowu czując ból w sercu i odwracając twarz.

—Prawdopodobnie powinienem być z miejsca zastrze- lić tego *bastardo*¹. Tylko że on jest taka dość przyzwoita świnia...

—Czasem widać stąd Parian.

Hugh ofiarowywał powietrzu papierosa.

—Czy to nie jest ze strony Geoffreya nieskończenie angielskie czy jakieś tam, że śpi? — Wyszedł za Ivonne na ścieżkę. — Weź, mój ostatni prawdziwy papieros.

—Geoffrey był całą noc na balu Czerwonego Krzyża. Biedaczysko strasznie się zmęczył. — Szli obok siebie pałając. Ivonne przystawała co kilka kroków i wrywała ją kieszkiem zielsko, aż w końcu stanęła wpatrując się w klomb, który był beznadziejnie, przeraźliwie opłatanym gęstym dzikim pnączem. — Mój Boże, ten ogród był kiedyś taki piękny! Jak raj.

—Wiesz co, chodźmy stąd. Chyba że jesteś za bardzo zmęczona, żeby pójść na spacer. — Chrapanie odbijające

1 zwyrodniałe[^] (hiszp.)

się echem, udręczone, zgorzkniałe, a jednak kontrolowane, niezbyt głośne, przyptęło do jego uszu: ściszony głos Anglii dawno uśpionej.

Ivonne rozejrzała się szybko, może w obawie, że nagle Geoffrey wyleci jak z procy przez okno, z łóżkiem i wszystkim, jeżeli naturalnie nie śpi na werandzie. Zawahała się:

— Ani trochę... — powiedziała promiennie, serdecznie. — Chodźmy... — Pierwsza wyszła na ścieżkę. — Na co czekamy?

Nieświadomie ją obserwował — jej obnażony brązowy kark i ramiona, żółte spodnie, jaskrawe, szkarłatne kwiaty na plecach, brązowe włosy wijące się nad uszami, pe-~ ten wdzięku, szybki ruch jej żółtych sandałów, w których zdawała się tańczyć, raczej fruwać niż iść. Dogonił ją i znowu szli obok siebie, wymijając ptaka z długim ogonem, który spłynął w dół i wylądował na ścieżce jak strzała wypuszczona z łuku.

Ptak kroczył teraz przed nimi po wyboistym podjeździe, przeszedł przez pozbawioną drzwiczek furtkę, gdzie przyłączył się do niego biało-czerwony indyk — pirat usiłujący uciec pod pełnymi żaglami — i dalej na zakurzonej ulicę. Śmieli się teraz z ptaków, ale słowa, które mogli wypowiedzieć w trochę innych okolicznościach, jak: ciekawe, co się stało z naszymi rowerami, albo: czy pamiętasz tę kawiarenkę w Paryżu na Robinson, gdzie drzewa wrastały w stoliki, nie zostały wypowiedziane.

Skręcili w lewo, w kierunku odwrotnym niż miasto. Droga schodziła tu stromo w dół. A w dole wyrastały fioletowe pagórki. Dlaczego nie ma w tym goryczy, myślał Hugh, dlaczego? Była już gorycz; Hugh po raz pierwszy uświadomił sobie tamten ból, gdy Calle Nicaragua (duże rezydencje pozostały za nimi) zmieniła się w prawie niemożliwy do przebycia chaos luźnych kamieni i dziur. Rower Ivonne nie na wiele by się tu przydał.

— Coś ty, na Boga, robił w Teksasie?
— Tropiłem robotników rolnych. To jest, uganiałem,,
się za nimi po Oklahomie. Zdawało mi się, że to dla

„Globe'u" interesujący temat. Potem pojechałem na to rancho w Teksasie. Tam się dowiedziałem, że ludziom¹ z tej piaszczystej misy nie wolno przekraczać granicy ich stanów.

—Jakież ty jesteś wścibski!

—Wylądowałem w San Francisco w momencie, kiedy odbywało się Monachium. — Hugh spojrzął w lewo-, gdzie w oddali zamajaczyła wieża strażnicza więzienia w Alcapancingo, z maleńkimi postaciami na szczycie, patrzącymi na wschód i zachód przez lornety.

—To taka zabawa. Tutejsza policja strasznie lubi być tajemnicza, jak ty. Gdzie byłeś przed Oklahomą? A w San Francisco byliśmy prawie jednocześnie.

Jaszczurka Zniknęła w gęstwinie bougainvillei rosnących wzdłuż rowu, dzikich bougainvillei teraz, rozpasnanych, za nią druga. Z rowu zionął na nich na pół zasypany otwór, może inne wejście do kopalni. Spadziste pola opadały stromo w dół po ich prawej. Daleko za polami Hugh dojrzał w wianuszkach wzgórz starą arenę do walki byków i znowu usłyszał w samolocie głos Webera, który wykrzykiwał, wrzeszczał mu prosto do ucha, gdy podawali sobie z rąk do rąk butelkę habanero: — Quauhnahuac! To tam w czasie rewolucji przywiązywali na arenie kobiety do krzyży i puszczali na nie rozwścieczone byki. Miła rzecz, nie ma co! Krew płynęła rynsztokami, piekli psy na placu targowym. Najpierw strzelali, a potem zadawali pytania! Masz cholerną rację... — Ale teraz nie było rewolucji w Quauhnahuac i w ciszy fioletowe stoki przed nimi, pola, nawet wieża strażnicza i arena do walki byków zdawały się szeptać o spokoju, nawet o raj.

— W Chinach — powiedział Hugh.

Ivonne obróciła do niego uśmiechniętą twarz, chociaż oczy miała zatroskane, skłopotane.

—Co z wojną?

—O to idzie. Wypadłem z ambulansu, przywalony trzema tuzinami butelek piwa i sześcioma dziennikarza mi, no'i wtedy doszedłem do wniosku, że Kalifornia bę-

dzie dla mnie zdrowsza. — Hugh rzucił podejrzliwe spojrzenie na kozła, który szedł za nimi po skrawku trawy między drogą a ogrodzeniem z drutu i który zatrzymał się teraz i spoglądał na nich z patriarchalną pogardą. — Nie, kozły to najniższa forma życia zwierzęcego... z wyjątkiem tylko... uważaj!... Boże... wiedziałem, że tak będzie! — Kozioł zaatakował i Hugh poczuł nagle podniecającą, przerażoną bliskość i ciepło ciała Ivonne, gdy zwierzę chybiło, pośliznęło się, zarzuciło i pognało drogą w lewo, bo droga skręcała tu raptownie, biegnąc przez niski kamienny mostek, a potem zniknęło za zakrętem wlokąc za sobą swój łańcuch. — Kozły — powiedział Hugh, stanowczym ruchem wypychając Ivonne z objęć. — Pomyśl tylko, jakie szkody wyrządzają nawet wtedy, kiedy nie ma wojen — dodał, trochę jakby zirytowany, chociaż nadal czuli się związani tym wybuchem szaleńczej wesołości. — Miałem na myśli dziennikarzy, nie kozły. Nie ma na nich za surowej kary. Tylko Malebolge... A oto Malebolge.

Malebolge czyli *barranca* było rozpadliną przecinającą okolicę; choć wąska w tym miejscu, samą głębią skutecznie odciągnęła ich uwagę od kozła. Stali teraz na małym mostku kamiennym spinającym brzegi. Drzewa, których czubki znajdowały się pod nimi, wrastały w dół wąwozu, a ich liście częściowo łagodziły straszliwą stromiznę. Z samego dna szedł ku nim ściszony szmer wody.

—Jeżeli Alacapaningo jest tam —
powiedział Hugh —
tu powinno być miejsce, w którym Bernal
Diaz i jego
Tlaxcalańczycy przekroczyli *barranca* idąc
na zdobycie
Quauhnahuac. Wspaniała nazwa dla
zespołu jazzowego:
Bernal Diaz i jego Tlaxcalańczycy. A może
nie studio
właś Prescottta na Uniwersytecie
Hawajskim?

—Uhm, uhm — odparła Ivonne, co mogło
być odpo
wiedzią zarówno twierdzącą, jak przeczącą
na to pozba
wione znaczenia pytanie, i z drzeniem
spojrzała w głąb
rozpadliny.

—Podobno nawet stary Diaz dostawał od
samego pa
trzenia zawrotów głowy.

— Nie dziwiłabym się.

— Nie widać ich, ale tam na dnie leżą stopy
nieżywych
dziennikarzy, wciąż podglądających przez
dziurkę od klu
cza i wmawiających w siebie nawzajem,
że działają
w dobrze zrozumiałym interesie demokracji.
Ale prawda,
ty nie czytasz gazet! Co? — zaśmiał się
Hugh. — Dzień
nikarstwo, Ivonne, jest intelektualną
męską prostytutką
słowa i pióra. W tym jednym punkcie
zgadzam się ze
Spenglerem. A to co? — Hugh poderwał
głowę słysząc
odgłos nieprzyjemnie znajomy, jak tysiące
jednocześnie
trzepanych w oddali dywanów; huk zdawał
się napływać
od strony wulkanów, które niemal
niezauważalnie poja
wiły się znów na horyzoncie, a zaraz po nim
rozległo się
wydłużone biiiiing-baaaang echa.

— Ćwiczenia wojskowe — powiedziała
Ivonne. — Zno
wu zaczynają.

Kłębki dymu szybowaty nad górami;
przyglądali im się chwilę w milczeniu. Hugh
westchnął i skręcił papierosa. — Miałem
przyjaciela Anglika, który walczył w Hisz-
panii, a jeżeli zginął, dotąd się tam znajduje.
— Hugh poślinił papierosa, skleił i przytknął
zapałkę, papieros palił się szybko,
przegrzewał. — Zresztą dwukrotnie był na
liście zabitych, ale za każdym razem zjawiał
się żywy i zdrowy. Był tam już w
trzydziestym szóstym. Kiedy czekali na atak
Franca, leżał z karabinem maszynowym w
bibliotece uniwersyteckiej i czytał de
Quinceya, którego dotąd nie zdążył
przeczytać. Chociaż może przesadziłem z tym
karabinem maszynowym. Nie wiem, czy w
ogóle mieli wtedy w majątku karabin
maszynowy. Był komunistą i w przybliżeniu
najporządniejszym człowiekiem, jakiego
znałem w życiu. Przepadał za vin rose
d'Anjou. A poza tym miał psa, który nazywał
się Harpo, miał go naturalnie w domu, w
Londynie. Pewnie się dziwisz, że komunistą
miał psa, który się nazywał Harpo... a może
się nie dziwisz?

— A ty?

Hugh postawił nogę na poręczy mostku i
spojrzał na papierosa, który — podobnie jak
ludzkość — zdawał się

wszelkimi siłami dążyć do jak najprędzszego samounice-" stwienia.

—Miałem jeszcze innego przyjaciela, który pojechał do Chin, ale nie bardzo wiedział, co o tym myśleć, a mo że oni nie wiedzieli, co o nim myśleć, wobec tego też poszedł na ochotnika do Hiszpanii. Zginął od przypadko wej kuli, zanim w ogóle zobaczył walkę. Obaj ci faceci żyli sobie bardzo wygodnie w kraju. Nie obrabowali ban ku. — Umilkł niezręcznie.

—Naturalnie wyjechaliśmy z Hiszpanii na rok przed tem, zanim się to wszystko zaczęło, ale Geoffrey zawsze mówił, że jest za dużo sentymentalizmu w tym całym nawoływaniu do oddawania życia za lojalistów, Właści wie nawet mówił, że byłoby lepiej, żeby faszyści zwycię żyli i skończyli z tą rzezią.

—Teraz ma nową śpiewkę. Mówi, że jak faszyści zwy ciężą, nastąpi tylko pewne „zamrożenie” kultury w Hisz panii... powiedz, czy to księżyc tam?... no więc zamroże nie, które podobno kiedyś odtaje i wtedy okaże się ni mniej ni więcej, że było to tylko chwilowe ustanie fun kcji żywotnych kultury. Powiedziałbym, że to jest nawet dość słuszne. Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że ja byłem w Hiszpanii?

—Nie — zdziwiła się Ivonne.

—Ano byłem. Wypadłem tam z ambulansu przywa lony tylko dwoma tuzinami butelek piwa i pięcioma dzien nikarzami, wszystko w drodze do Paryża. Było to nie bardzo długo potem, jak widzieliśmy się ostatni raz. Ro zumiesz, wyglądało na to, że Madryt padnie i cała zabawa się skończy, więc zawiadomili mnie z „Globe'u", żebym pryskał... A ja wyjechałem jak ostatni łajdak, chociaż po tem jeszcze raz mnie tam posłali. Do Chin pojechałem dopiero po Brihuedze.

Ivonne rzuciła mu badawcze spojrzenie, spytała:

■— Hugh, czy ty przypadkiem nie masz zamiaru teraz

wrócić do Hiszpanii? Powiedz.

Hugh potrząsnął głową i roześmiał się; wymierzywszy

precyzyjnie rzucił zetłatego papierosa w dół rozpadliny.

— *Cui bono?* Żeby zasilić szeregi szlachetnej armii rajfurów i ekspertów, którzy wrócili już do domów i będą się teraz ćwiczyć w szyderczych uśmieszkach, aby zdyskredytować całą sprawę, jak tylko zrobi się modne nie być przedmurzem komunizmu? Nie, *wiuchas gracias*. A z dziennikarstwem skończyłem na dobre, to nie żadna poza. — Hugh wsunął kciuki obu rąk za pasek. — Zresztą, jak ty sobie wyobrażasz, że tam się można dostać, skoro wycofali Brygadę Międzynarodową przed pięcioma tygodniami, dokładnie dwudziestego ósmego września, na dwa dni przedtem, jak Chamberlain pojechał do Godesburga i śliczniutko dorznął ofensywę nad Ebro, i gdy połowa ostatniej grupy ochotników gnije dotąd w więzieniu w Perpignan?

— W takim razie, co Geoffrey miał na myśli, kiedy powiedział, że chcesz teraz „działać” i tak dalej?... I jaki jest ten twój drugi cel przyjazdu do Meksyku?

— Och, to nic ciekawego — odpowiedział Hugh. — Chodzi po prostu o to, że wracam na jakiś czas na morze. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, za tydzień wypływam z Vera Cruz. Jako oficer sygnałowy... Wiesz przecież, że mam książeczkę marynarską. Może i mógłbym dostać się na statek w Galveston, ale teraz nie jest to takie łatwe. W każdym razie będzie zabawniej wyjść na morze z Vera Cruz. Najpierw Hawana, potem może Nassau, a potem, rozumiesz, Indie Zachodnie i Sao Paulo. Od dawna mam ochotę obejrzeć Trinidad — mogłaby być świetna zabawa, takie ponowne wyjście na morze w Trinidad. Geoff dał mi dwa listy polecające, ale nic więcej, nie chciałem, żeby brał na siebie za dużą odpowiedzialność. Nie, po prostu mam obrzydzenie do samego siebie, to wszystko. Spróbuj przez pięć czy więcej

lat tłumaczyć
świata, żeby nie popełniał samobójstwa,
jak ja to robi
łem pod tym czy innym nazwiskiem, a
przyjdzie ci na
gle do głowy, że może nawet twoja
postawa jest częścią
ką tego samobójczego planu. Powiedz, co
my w ogóle
wiemy?
I Hugh myślał: „SS Noemijolea”, sześć
tysięcy ton, wy-

chodzący z portu Vera Cruz w nocy z trzynastego
na
czternastego listopada z ładunkiem antymonu i
kawy
przeznaczonym dla Freetown w Brytyjskiej
Zachodniej
Afryce, uda się tam, rzecz dość osobliwa, płynąc z
Tzucox
na wybrzeżu Jukatanu w kierunku północno-
wschodnim;
mimo to wyjdzie na Atlantyk przez cieśniny
Windward
i Crooked; tutaj przez wiele dni nie będzie widział
lądu,
przybije jednak do górzystych wybrzeży Madery;
stąd,
opływając z daleka Port Lyautey i pilnie trzymając
się
swojego kursu w drodze do portu przeznaczenia w
Sierra
Leone, w odległości około tysiąca ośmiuset mil na
połud
niowy wschód, przeptynie, jeżeli dopisze mu
szczęście,
przez Cieśninę Gibraltarską. Skąd, przedarłszy się,
należy
ufać, przez blokadę Franca, wypłynie z
zachowaniem
wszelkich ostrożności na Morze Śródziemne,
pozostawiając
daleko za sobą najpierw Przylądek de Gata,
potem
Przy-

/

lądek de Palos i wreszcie Przylądek de la Nao.
Następnie, /

ujrzawszy z daleka Wyspy Pituizy, przeptynie
Zatokę Wa
lencji i podąży dalej na północ mijając po drodze
Carlos

\

de la Rapita : ujście Ebro, dopóki nie zamajaczy
przed
nim skalisty brzeg Garraf, gdzie w końcu w
porcie Val-
cara, o dwadzieścia mil na południe od Barcelony,
uwolni
się od swojego ładunku materiałów wybuchowych
dla ro
biącej bokami armii lojalistów i sam
prawdopodobnie wy
leci w powietrze...

Ivonne spoglądała w dół *barranca*, zwisające
włosy zasłaniały jej twarz.

— Wiem, że to, co mówi Geoff, brzmi
czasem dość plugawie — powiedziała — ale
w jednym punkcie naprawdę się z nim

zgadzam... to całe romantyczne podejście do
Brygady Międzynarodowej...

Ale Hugh stał przy sterze: Kartofel Firmin
czy też Kolumb jadący w odwrotnym
kierunku; pod nim dziób „Noemijolei”
wdzierał się w zagłębienie między dwiema
falami i bryzg powoli buchnął z odpływników
po stronie zawietrznej prosto w oczy
marynarzowi przykręcającemu śrubę; na
forkasztelu zabrzmiał jeden dźwięk
dzwonka, w który Hugh uderzył przed
sekundą, i marynarz zebrał

9—Pod wulkanem £29

narzędzia; serce Hugh'a nabrzmiało radością, widział, że Oficer na służbie zmienił biały mundur na granatowy, zimowy, ale w tym samym momencie wielkiej szczęśliwości bezgraniczna czystość morza...

Ivonne odgarnęła niecierpliwie włosy i wyprostowała się.

— Gdyby nie szli tam walczyć, wojna dawno by się skończyła!

— Przecież nie ma już brygady — powiedział Hugh w roztargnieniu, bo teraz stał u steru nie statku, tylko świata i wyprowadzał go z Zachodniego Oceanu rozpaczy. — Jeżeli droga chwały wiedzie tylko do grobu... zrobiłem kiedyś taki mały wypad w rejonach poezji... w takim razie Hiszpania jest grobem, do którego prowadziła chwała Anglii.

— Och, bzdura!

Hugh roześmiał się nagle, niezbyt głośno, prawdopodobnie bez powodu; wyprostował się szybkim ruchem i wskoczył na parapet mostku.

— Hugh!

— Mój Boże, konie! — zawołał Hugh wyężając oczy i prostując się do swojej pełnej psychicznej wysokości sześciu stóp dwóch cali (miał pięć stóp jednaście cali wzrostu).

— Gdzie?

Pokazał ręką.

— Tam.

— Och naturalnie — powiedziała Ivonne po sekundzie namysłu. — Zapomniałam... to konie z „Casino de la Selva”. Wypasają je tam czy coś takiego. Jeżeli pójdzie my kawałek pod górę, trafimy na to miejsce.

Na łagodnym stoku po ich lewej tarzały się źrebaki o jedwabistej sierści. Skreślili z Calle Nicaragua w wąską, cienistą dróżkę prowadzącą wzdłuż wybiegu. Stajnie były częścią gospodarstwa, które sprawiało wrażenie wzorowej farmy mlecznej. Rozpościerała się ona za budynkami gospodarskimi zajmując płaski teren, przez

który biegła trawiasta, pocięta koleinami
droga, wysadzona smukłymi

drzewami o bardzo angielskim wyglądzie. W oddali leżało na trawie kilka dużych krów, które, podobnie jak długorogie bydło w Teksasie, w niepokojący sposób przypominały rogacze.

— Spójrz — powiedziała Ivonne — znowu masz trzodę, kowboju.

W słońcu przed oborą stał długi rząd błyszczących wiader na mleko. Nad całym tym cichym zakątkiem unosił się słodki zapach mleka, wanilii i polnych kwiatów. A nad wszystkim było słońce.

— Czy ta farma nie jest cudowna? — spytała Ivonne. — To zdaje się jakiś eksperyment rządowy. Strasznie chciałabym mieć taką farmę!

— ...A może wystarczy ci, jeżeli wynajmiemy takie dwa większe zwierzaki... jak te, co tam stoją?

Za wynajęcie koni na godzinę zapłacili dwa pesos od sztuki. — *Muy correcto*. — Czarne oczy chłopca stajennego błysnęły wesoło, gdy spojrzawszy na buty Hugh'a obrócił się szybko, żeby dopasować szerokie skórzane strzemiona Ivonne. Hugh nie bardzo wiedział dlaczego, ale patrząc na tego chłopca przypomniał sobie, jak w Mexico City — jeżeli stanie się bardzo wcześnie rano na placu Paseo de la Reforma — wszyscy w zasięgu wzroku wyglądają tak, jakby biegli roześmiani do pracy, w słońcu, popod pomnikiem Pasteura...

— *Muy nie-correcto* — powiedziała Ivonne przyglądając się swoim spodniom; zamachnęła się, dwa razy się zamachnęła, zanim wskoczyła na siodło. — Nie jeździliśmy nigdy razem, prawda? — Gdy ruszyli, pochyliła się i po klepała szyję swojej klaczy.

Jechali stępa, towarzyszyły im dwa źrebaki, które wyszły za matkami z ogrodzenia, i nieprawdopodobnie serdeczny włośchaty biały kundel należący do inwentarza farmy. Po jakimś czasie ścieżka wyprowadziła ich na główną drogę. Znajdowali się chyba w samym Alcapan-^{ci}ngo, na czymś w rodzaju rzadko zabudowanego przedmieścia. Wieża strażnicza — bliższa, wyższa — wykwitła nad lasem, w którym przez gęstwinę drzew dostrzegali

zarys wysokich murów więzienia. Po przeciwnej stronie, po ich lewej, ukazał się dom Geoffreya widziany niemal z lotu ptaka, dom z tej odległości bardzo mały, przycupnięty pod linią drzew; długi ogród opadający stromo w dół, równoległe z nim — to wyżej, to niżej ukośnie na stoku — ogrody sąsiednich rezydencji, każdy ze swoim podłużnym, kobaltowym basenem pływackim, też opadały stromo w dół ku *barranca*, a od szczytu Calle Nicaragua krajobraz cofał się z rozmachem aż do górującego nad wszystkim Pałacu Corteza. Czy to możliwe, że ta biała kropka tam to Geoff? Może, żeby ominąć miejsce, gdzie tuż obok bramy parkowej znaleźliby się prawie naprzeciwko domu, wyjechali na inną drożkę, która skręcała w prawo. Hugh stwierdził z przyjemnością, że Ivonne jeździ konno jak kowboj, przycisnięta do siodła, a nie — jak to określał Juan Cerillo — stylem „parkowym”. Więzienie znajdowało się teraz za nimi i Hugh wyobraził sobie, że wjeżdżają właśnie w ogromne soczewki badawczych lornetek tam na wieży strażniczej. „*Guapa — mowi pewnie jeden policjant. — Ach, muy hermosa*”¹ — wykrzykuje może drugi, zachwycony Ivonne, i cmoka głośno, z uznaniem. Świat zawsze znajduje się w polu widzenia policyjnych lornetek. A tymczasem źrebaki, może nie bardzo zorientowane, że droga jest środkiem prowadzącym do jakiegoś celu, a nie czymś w rodzaju łąki, na której można się tarzać i skubać trawę, bezustannie brykały na boki. Wtedy klacze przywoływały je niespokojnym rzeniem i źrebaki wracały na drogę. Wkrótce klaczom sprzykrzyło się to ciągłe rzenie i wtedy Hugh gwizdał w specjalny sposób, jak się tego kiedyś nauczył. Wziął na siebie obowiązek pilnowania źrebaków, ale w rzeczywistości pies pilnował ich wszystkich. Nauczony wykrywać węże biegł przodem, ale ciągle wracał i sprawdzał, czy nikomu nic nie grozi, a potem znowu wybiegał naprzód. Hugh obserwował go przez chwilę. Trudno było pogodzić myśl o tym psie z myślą o bezpiecznych psach w mieście, tych prze-

¹ Ładna... bardzo piękna, (hiszp.)

rażających stworzeniach, które zdawały się chodzić krok w krok za jego bratem.

— Wspaniale to robisz — powiedziała nagle Ivonne. —
Gdzieś się nauczył?

Hugh zagwizdał znowu.

— W Teksasie. — Dlaczego powiedział, że w Teksasie?

Nauczył się tej sztuczki w Hiszpanii od Juana Cerillo.

Hugh zdjął kurtkę i położył ją na koniu przed siodłem.

Obrócił się, a gdy źrebaki postusznie wybiegły z krzaków,

dodał: — O wszystkim decyduje to ostatnie „iiiiii”. Za
mierający spadek ostatniego tonu rżenia.

Minęli kozła, zobaczyli dwa groźne rożki obfitości sterczące ponad żywopłotem. To na pewno ten sam. Śmiejąc się usiłovali odgadnąć, czy kozioł skręcił z Calle Nicaragua w tamtą dróżkę, czy też na skrzyżowaniu Calle z drogą do Alcapancingo. Kozioł skubał trawę na brzegu pola, ale teraz podniósł łeb i wbił w nich machiavelliańskie oko, nie przybliżył się jednak, tylko obserwował. „Wtedy chybiłem, to prawda. Ale jestem wciąż na wojennej ścieżce.”

Droga, na którą wjechali — spokojna, cienista, pocięta głębokimi koleinami i mimo suszy pełna kałuż pięknie odbijających błękit nieba — biegła pośród kęp rozłożystych drzew i przerywanych żywopłotów, za którymi rozpościerały się bezkresne pola, i teraz można by pomyśleć, że są karawaną wiozącą ze sobą dla większego bezpieczeństwa swój własny maleńki świat miłości. Z samego rana dzień zapowiadał się upalny, ale teraz słońce przygrzewało tylko tyle, ile trzeba, łagodny wietrzyk muskał im twarze, krajobraz po obu stronach drogi uśmiechał się do nich zwodniczo niewinnym uśmiechem, senne brzęczeⁿie unosiło się nad porankiem, klacze kiwały rytmicznie łbami, tam były źrebaki, tu był pies, a to wszystko razem jest parszywe kłamstwo, pomyślał Hugh: wpadliśmy w nie nieuchronnie, bo jest zupełnie tak, jak gdyby w tym jedynym dniu w roku, kiedy umarli powracają do życia, o czym go zapewniono autorytatywnie w autobusie, bo jest zupełnie tak, jak gdyby w tym jedynym dniu wizjo-

nerstwa i cudów pozwolono im przez godzinę spoglądać w coś, czego nigdy nie było, co nigdy być już nie może, odkąd popełniona została braterska zdrada, spoglądać w obraz naszego szczęścia, obraz tego, o czym lepiej myśleć, że nigdy nie mogło się zdarzyć. Inna myśl uderzyła Hugh'a. A przecież nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu mógł być szczęśliwszy niż teraz. Nie zaznam nigdy spokoju, który nie będzie nie zatruty, jak te chwile są -zatrute...

„...Firmin, jesteś takim kiepskim wydaniem dobrego człowieka.” Słowa te mógł być wypowiedzieć urojony członek ich karawany; Hugh zobaczył teraz wyraźnie Juana Cerillo — wysoki, dosiadający zbyt małego konia bez strzemion, tak że nogami dotykał prawie ziemi, w szerokim kapeluszu z wsrtażkami wciśniętym na tył głowy i z maszyną do pisania zawieszoną na 'pasku na szyi i opartą o łęk siodła; w jednej wolnej ręce trzymał woreczek z pieniędzmi, obok niego w kurzu drogi biegł chłopiec. Juan Cerillo! Był jednym z tych dość rzadkich w Hiszpanii jawnych ludzkich symboli hojnej pomocy, jakiej udzielał Meksyk; wrócił do kraju jeszcze przed Brihuegą. Był z wykształcenia chemikiem, ale pracował w Banku Kredytowym w Oaxaca z ramienia *Ejido*¹, rozwodził konno pieniądze przeznaczone na finansowanie kolektywnych wysiłków podejmowanych przez zapadłe wioski zapotekkie; często napadali go bandyci wrzeszczący mordercze *Vivi el Cristo Rey*², często strzelali do niego wrogowie Cardenasa z dudniących echem wież kościołów, a jego codzienna praca była wielką przygodą w walce o wspólną ludzką sprawę i do udziału w tej przygodzie Hugh został zaproszony. Bo Juan napisał do niego, przysłał mu list ekspres w oblepionej znaczkami małej kopertce — na znaczkach byli łucznicy strzelający do słońca — napisał, że u niego wszystko w porządku, że wrócił do pracy i że mieszka w odległości nie-

¹Ejido — zespół działek
chłopskich na ziemi komunalnej,
²Niech żyje król Chrystus — hasło
bojówek klerykalnych w owym
okresie w Meksyku, (hiszp.)

całych stu mil, więc teraz, gdy każde pojawienie się dalekich tajemniczych gór zdawało się opłakiwać tę sposobność straconą na rzecz Geoffa i „SS Noemijolei”, Hugh miał wrażenie, że słyszy głos, strofujący go głos przyjaciela. Był to ten sam dźwięczny głos, który kiedyś w Hiszpanii powiedział o koniu zostawionym w Cuicatlan: „Moja biedna klacz, teraz będzie gryzła, gryzła, cały czas gryzła.” Ale teraz głos ten mówił o Meksyku z dzieciństwa Juana, z roku, w którym urodził się Hugh. Juarez żył i umarł. Czy był to jednak kraj, w którym panowała wolność słowa, kraj, który gwarantował swoim obywatelom życie, swobody i prawo do szczęścia ludzkiego? Kraj szkół o barwnych malowidłach ściennych, w którym najmniejsza nawet, zimna górską wioska miała swój otwarty kamienny amfiteatr, kraj, w którym ziemia była własnością ludu, a lud mógł swobodnie dawać wyraz swoim wrodzonym talentom? Czy był to kraj wzorowych gospodarstw wiejskich, kraj nadziei? Był to kraj niewolnictwa, w którym handlowano ludźmi jak bydłem, w którym ludność tubylcza — Yaqui, Papago, Tomasachic — ginęła deportowana lub spychana na samo dno nędzy gorszej niż nędza peonów, a ich ziemię konfiskowano lub oddawano w ręce cudzoziemców. A w Oaxaca znajdowała się straszliwa „Valle Nacional” \ gdzie Juan, sam wtedy siedmioletni niewolnik, widział, jak zatłuczono na śmierć jego starszego brata i jak inny starszy brat, kupiony za czterdzieści pięć pesów, został zagłodzony na śmierć w ciągu siedmiu miesięcy, ponieważ tak było taniej i właścicielowi niewolników bardziej się opłacało kupić nowego niewolnika niż żywić tamtego lepiej i zamęczyć go pracą w ciągu roku. Wszystko to nosiło imię: Porfirio Díaz; wszędzie *rurales*², *jeffes politicos*³ i morderstwo; zniszczenie liberalnych instytucji politycznych, zamiana armii w maszynę krwawych masakr, instrument wygnania i tułaczki. Juan

¹Obóz pracy w Stanie Oaxaca podczas rządów dyktatora Porfiria Díaz w pierwszej dekadzie XX wieku.

²Prywatna policja na usługach obszarników.

³szefowie polityczni (hiszp.)

znał to, wszystko to sam wycierpiał, a nawet więcej. Bo trochę później w czasie rewolucji zamordowano jego matkę. A jeszcze później Juan własnoręcznie zabił ojca, który walczył po stronie Huerty, ale zdradził. Ach, poczucie winy i wielki smutek prześladowały Juana, bo nie był katolikiem i nie mogła go obmyć i odświeżyć chłodna kąpiel spowiedzi. Jednakże banalne stwierdzenie nie straciło swojej aktualności: że przeszłość jest nieodwołalnie przeszłością. I że człowiek został obdarzony sumieniem, żeby żałował błędów przeszłości tylko w takim stopniu, w jakim to może zmienić przyszłość. Bo każdy człowiek, każdy człowiek, zdawał mu się teraz mówić Juan, tak jak Meksyk musi bezustannie przebijać się wzwyż. Czymże jest życie, jeśli nie wieczną wojną i chwilowym pobytem na ziemi? Rewolucje szaleją też w *tierra caliente** ludzkiej duszy. Za każdy spokój trzeba drogo płacić piekłem...

■— Czy tak jest naprawdę?

— Czy tak jest naprawdę?

Wlekli się teraz wszyscy wolno w dół stoku, ku rzece — włókł się nawet pies ukołyszany swoim ochrypłym psim monologiem — a oto weszli już do rzeki, pierwszy ostrożny, ciężki krok, potem wahanie, potem chybotliwy ruch do przodu, potem przechylająca się na boki pewność kroku pod jeźdźcem, tak jednak delikatna, że doznawało się uczucia niezwyklej lekkości, jak gdyby klacz płynęła czy też szybowała w powietrzu, jak gdyby przenosiła jeźdźca przez rzekę z boską pewnością św. Krzysztofa raczej, niż kierując się instynktem, który jest zawodny. Pies płynął przodem, śmieszny w swoim poczuciu ważności; żrebaki, kiwając uroczyście łbami, kolebały się z tyłu zanurzone po szyje. Słońce iskrzyło się na spokojnej wodzie, która nieco niżej, tam gdzie brzegi rzeki nagle się do siebie zbliżyły, bulgotała małymi, wściekłymi falami, wirując i rozbijając się o czarne skały, co przypominało niemal dzikość-górskich strumieni; nisko nad ich głowami ekstatyczna błyskawica dziwnych ptaków manewrowała zwinnie, ro-

— | gorącej ziemi (hlszp.)

biąc beczki i immelmany z zadziwiającą szybkością pta-ków-akrobatów zręcznych jak nowo narodzone ważki. Przeciwległy brzeg był gęsto zalesiony. Za łagodnym wzniesieniem brzegu, trochę w lewo od wejścia do tunelu pośród drzew, będącego najwyraźniej przedłużeniem ich drogi, stała *pulqueria*¹, ozdobiona nad podwójnymi drzwiami wahadłowymi (które z daleka wyglądały trochę jak wspaniałe szewrony na rękawie amerykańskiego sierżanta) barwnym pękiem wstążek powiewających na wietrze. *Pulques Finos*², głosiły wyblakłe niebieskie litery napisu na ostrygowo-białej ścianie z cegły suszonej na słońcu. *La Sepultura*.³ Posępna nazwa; ale niewątpliwie o jakimś żartobliwym zabarwieniu. Indianin siedział na słońcu oparty plecami o ścianę, w szerokim kapeluszu do połowy zasłaniającym mu twarz. Koń Indianina, czy też w ogóle koń, stał przywiązany tuż obok do drzewa i Hugh ze środka rzeki dojrzał numer siedem wypalony na jego zadzie. Na drzewie wisiał afisz miejscowego kina: *Las Manos de Orlac con Peter Lorre*. Na dachu *pulquerii* szybko obracały się na wietrze skrzydła małego wiatraka, podobnego do tych, które widuje się w Cape Code w Massachusetts. Hugh powiedział:

—Twoja klacz nie chce pić, Ivonne, chce się tylko przejrzeć w wodzie. Pozwól jej. Nie szarp cugli.

—Nie szarpałam. Wiem o tym — odparła Ivonne z małym ironicznym uśmiechem.

Posuwali się wolno zakosami przez rzekę; pies, który płynął jak wydra, był już blisko przeciwległego brzegu. Hugh uświadomił sobie nagle, że w powietrzu wisi pytanie.

—... przecież jesteś naszym gościem.

—*Por favor*. — Hugh nachylił głowę.

—... czy chciałbyś zjeść obiad w mieście i pójść potem do kina, czy też zaryzykujesz kuchnię Concepty?

¹*Pulque* — sfermentowany sok kaktusów o słabej zawartości alkoholu; *pulqueria* — karczma, gdzie się pije *pulque*. (hiszp.)

²*Fulque* wysokiej jakości, (hiszp.)

³ Grobowiec, (hiszp.)

— Co... co? — Z jakichś powodów Hugh myślał właśnie

O swoim pierwszym tygodniu w ekskluzywnej szkole średniej w Anglii, o tym pierwszym tygodniu, w którym nikt nie wiedział, co należy robić i jak odpowiadać na zadawane pytania, ale w którym nacisk wspólnej ignorancji kazał im wchodzić do zatłoczonych sal, uczestniczyć w tych czy innych zajęciach, maratonach, nawet niezwykłych izolacjach, na przykład jak kiedy znalazł się nagle w siodle jadąc konno obok żony dyrektora szkoły, co było nagrodą, powiedziano mu, ale za co tego się nigdy nie dowiedział. — Nie, w żadnym wypadku nie pójdę do kina, pięknie dziękuję — zaśmiał się.

— To taka dziwaczna mała salka... mogłoby ci się wydawać zabawne. Kronikę dawali dawniej zwykle sprzed dwóch lat, nie myślę, żeby się to teraz zmieniło. I ciągle wracają te same filmy. *Cimarron*^x i *Poszukiwacze złota* z roku 1930 i... och, w zeszłym roku widzieliśmy film podróżniczy pod tytułem *Odwiedźcie Słoneczną Andaluzję*, w ramach wiadomości z Hiszpanii...

— Chryste — powiedział Hugh.

— I ciągle gaśnie światło.

— Zdaje się, że widziałem gdzieś ten film z Peterem Lorre. To wielki aktor, ale film był okropny. Twój koń nie chce pić, Ivonne. O jakimś pianaście, który żyje w poczuciu winy, bo mu się zdaje, że jego ręce to są ręce mordercy, czy coś takiego, i bez przerwy zmywa z nich krew. Może te jego ręce są naprawdę rękami mordercy, nie pamiętam.

— Brzmi dość przerażająco.

— Ale nie jest.

Po drugiej stronie rzeki ich konie chciały się napić wody, więc przystanęli. Potem wspięli się na brzeg i wjechali na drogę. Żywopłaty były tutaj wyższe, gęstsze

1 oplecione powojem. Właściwie mogło się zdawać, że są w Anglii, że odkrywają jakąś boczną ścieżynę w Devon czy Cheshire. Nic nie psuło tego wrażenia, może tylko

1 Zbiegły niewolnik, (hiszp.)

od czasu do czasu widok małych konklawe sępów skulonych na drzewie. Droga, najpierw stroma i pnąca się przez las, biegła teraz płasko. Wkrótce wyjechali na otwartą przestrzeń i puścili się kłusem. Chryste, jakie to cudowne, a raczej, Chryste, jak bardzo pragnął dać się zwieść, oszukać, tego samego pragnął na pewno Judasz — pomyślał (znowu to porównanie, niech je diabli!), jeżeli Judasz miał konia, czy pożyczył, czy ukradł, co jest praw-dopodobniejsze, po tym świcie ze wszystkich świtów, żałując już teraz, że oddał owe trzydzieści srebrników — a nam co do tego, ty ujrzysz, powiedzieli ci *bastardos* — bo teraz prawdopodobnie potrzebny mu był już trunek, trzydzieści szklanek trunku (jak potrzebny był pewnie alkohol Geoffowi dziś rano), ale może i tak udało mu się -dostać kilka szklaneczek na kredyt — tego samego pragnął na pewno Judasz czując w nozdrzach dobry zapach skóry i potu, przysłuchując się miłemu stukowi kopyt końskich i myśląc: jak radosna mogła być taka jazda pod oślepiającym słońcem Jerozolimy (i zapominając na chwilę, więc może naprawdę było mu radośnie) jak cudowne mogło być to wszystko, gdybym tylko nie zdradził tego człowieka wczoraj wieczorem, chociaż wiem doskonale, że miałem go zdradzić, jak dobrze by było, gdyby się ta rzecz jednak nie zdarzyła, gdyby nie było tak absolutnie i nieodwołalnie konieczne, żebym poszedł i obwiesił się...

I tu oto pojawiła się znowu pokusa, ów wąż tchórzliwy i deprawujący przyszłość: zdepcz go, głupcze. Bądź jak Meksyk na swoim godle. Czyż nie przekroczyłeś rzeki? Na miłość boską, giń, przepadnij! I Hugh rzeczywiście przejechał konno nad martwą powłoką niejadowitego węża, który leżał na ścieżce jak pasek od kostiumu kąpielowego. Lub może to był potwór Gila .

Znajdowali się teraz na krawędzi czegoś, co wygląda' jak rozległy, trochę zaniedbany park schodzący w dół po ich prawej lub jak coś, co kiedyś było ozdobnym gajem pełnym smukłych, majestatycznych drzew. Ściągnęli cugle

— i G 11 a — jadowity, wielki jaszczur pustynnych rejonów południo-•wo-wschodnich stanów Ameryki Północnej.

i Hugh został z tyłu, jechał jakiś czas samotnie. Żrebaki oddzieliły go od Ivonne, która patrzyła nieruchomo przed siebie, jak gdyby nieświadoma otoczenia. Lasek był nawadniany sztucznymi rowami, pełnymi teraz liści — ale nie wszystkie drzewa były nagie i plamy cienia gęsto kładły się na ziemi — i pocięty siecią ścieżek. Droga, którą jechali, wpadała w jedną z tych leśnych ścieżek. Po lewej słychać było zgrzyt przetaczanych pociągów; stacja nie może być daleko; prawdopodobnie za tym pagórkiem, nad którym unosi się pióropusz białej pary. Ale pośród drzew po ich prawej pobłyskiwały szyny biegnące nasypem po-*Vad* zaroślami; linia kolejowa zataczała tu szeroki krąg wokół całej posiadłości. Minęli wyschniętą fontannę, do której prowadziły w dół rozkruszone stopnie, pełne zeschniętych liści i gałązek. Hugh pociągnął nosem; ostry, drażniący zapach, którego w pierwszej chwili nie mógł rozpoznać, unosił się w powietrzu. Wjeżdżali teraz na rozległy teren posiadłości, która z wyglądu mogła być francuskim zamkiem. Budynek, na pół ukryty między drzewami, stał na czymś w rodzaju podwórca zamkniętego rzędem cyprysów rosnących za wysokim murem; na wprost nich masywna brama w murze była otwarta. Pędzony wiatrem kurz wionął przez szczelinę. Hugh zobaczył teraz biały napis na ścianie zamku: „Cenreceria Quauhnahuac.” Spojrzał na Ivonne i przywołał ją gestem ręki. A więc zamek jest browarem; ale browarem bardzo dziwnym, takim, który w żaden sposób nie może się zdecydować, czy być, czy nie być restauracją pod gołym niebem i piwiarnią. Na podwórzu stało kilka stolików (prawdopodobnie przygotowanych nie tyle dla gości, ile na wypadek wizyt półoficjalnych „kiperów”) poczerńniętych i zasypanych liśćmi, umieszczonych pod ogromnymi drzewami, które ani nie wyglądały na tyle swojsko, żeby je można było wziąć za dęby, ani nie były zanadto tropikalnie egzotyczne; może też nie były bardzo stare, ale w jakiś dziwnie nieokreślony sposób sprawiały wrażenie, że rosną tu od niepamiętnych czasów, że zasadził je przed setkami lat co najmniej jakiś cesarz, który używał w tym celu

Łódź złotej łopatką. Pod drzewami, tuż obok ■
miejsca, w którym

się zatrzymali, mała dziewczynka bawiła się z armadylem. Z browaru, który z bliska wyglądał zupełnie inaczej, bardziej jak młyn — budynek rozczłonkowany, podłużny, rozbrzmiewający teraz młyńskim terkotem — i po którego ścianach przesuwają się refleksy słońca na wodzie, rzucone przez pobliski strumień, z browaru, spośród błysku browarnianych maszyn, wyszedł pstrokaty mężczyzna w ochronnym daszku nad oczami, z wyglądu gajowy, i wyniósł im dwa pieniące się kufle ciemnego niemieckiego piwa. Nie zeszli z koni i pili piwo w siodle.

— Boże, jakie zimne — powiedział Hugh.
— Ale pycha. — Piwo miało smak ostry, na pół metaliczny, na pół ziemisty, jak destylowana glina. Było tak zimne, że szczyptała.

— *Buenos dias, muchacha.*^x — Trzymając kufel w ręce Ivonne uśmiechnęła się do dziewczynki obejmującej armadyla. Gajowy wrócił przez małe drzwiczki do swoich maszyn; uwolnił ich od hałasu, jak mechanik na statku zamykający drzwi kotłowni. Mała siedziała na piętach trzymając armadyla i przyglądała się niespokojnie psu, który leżał jednak w bezpiecznej odległości i pilnował źrebaków zwiedzających teren za browarem. Ilekroć armadyl uciekał, tocząc się jak gdyby na maleńkich kółkach, dziewczynka przytrzymywała go za witekę długiego ogona i przewracała na grzbiet. Jak zdumiewająco delikatny i bezradny wydawał się wtedy! Teraz postawiła zwierzątko do góry grzbietem i znowu puściła je w ruch — może kiedyś było ono potężną machiną zniszczenia, która po milionach lat doszła do tego stanu!
— *Cudnto?*² — spytała Ivonne.
Chwytając znów zwierzątko dziewczynka pisnęła:

— *Cincuenta centavos.*

■— Chciałabyś go mieć, naprawdę? —
Hugh (jak generał Winfield Scott, pomyślał
w skrytości, po wydostaniu

—¹Dzień dobry, dziewczynko,
(hiszp.)

2 Ile'

się z wąwozów Cerro Gordo) siedział z nogą w poprzek łęku siodła.

— Marzyłabym. Jest cudowny. — Ivonne przytaknęła żartobliwie.

— Nie oswoisz go. Ta mała też nie potrafi, dlatego chce go sprzedać. — Hugh wypił tyk piwa. — Znam się na armadylach.

— Och, ja też! — Ivonne potrząsnęła kpiąco głową i bardzo szeroko otworzyła oczy. — Wspaniale!

— W takim razie wie*sz, że jak go puścisz w ogrodzie,, wykopie sobie tunel w ziemi i nigdy nie wróci.

— Czy on nie jest cudowny? — Ivonne potrząsała wciąż-

na pół kpiącu' głową, oczy miała szeroko otwarte.

Hugh zsunął z powrotem nogę i siedział opierając ku-fel o łęk siodła i patrząc w dół na stworzonko o dużym przekornym nosie, ogonie przypominającym ogon iguany i mięciutkim, pocętkowanym brzuchu — zabawka małego Marsjanina.

— *No, muchas gracias* — powiedział stanowczo do dziewczynki, która, najzupełniej obojętna, nie odchodzi-
ła. — Nie tylko nigdy nie wróci, Ivonne, ale jak będziesz go usiłowała zatrzymać, zrobi, co będzie mógł, żeby cię wciągnął ze sobą do dziury. — Obrócił się do niej, podniósł brwi, przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. —

O czym miał okazję przekonać się twój przyjaciel W. H. Hudson, bodajże na własnej skórze — dodał Hugh. Gdzieś za nimi spadł liść z szelestem niespodziewanego kroku. Hugh wypił długi, zimny haust. — Ivonne — powiedział — nie gniewaj się, że cię spytam wręcz, ale czy jesteście[^] czy nie jesteście rozwiedzeni z Geoffem?

Ivonne zachłysnęła się; nie trzymała cugli, leżały luźno na łęku siodła i jej koń zrobił ruch do przodu, ale się zatrzymał, zanim Hugh zdążył sięgnąć ręką do uzdy.

— Masz zamiar wrócić do niego czy jak? Czy już wróciłaś? — Klacz Hugh'a też zrobiła krok naprzód, dla towarzystwa. — Nie gniewaj się, że mówię tak prosto z mo

**stu, ale jestem w straszliwie fałszywej
sytuacji. Chciał
bym wiedzieć, jak to wszystko naprawdę
wygląda.**

—Ja też bym chciała wiedzieć. — Ivonne nie spojrzała na niego.

—Więc nie wiesz, czyś się z nim rozwiodła, czy nie?

—Och... rozwiodłam się z nim — odparła umęczonym, głosem.

—Ale nie wiesz, czy wrócisz do niego, czy nie?

— Tak. Nie... Tak, wróciłam do niego. Wróciłam.

Hugh milczał. Drugi liść spadł z szelestem, zawisł w gęstwinie poszycia.

— Czy w takim razie nie będzie dla ciebie łatwiej, jeżeli wyjadę natychmiast — spytał łagodnie Hugh — zamiast zostać jeszcze kilka dni, jak miałem zamiar? Zresztą i tak chciałem pojechać na dzień czy dwa do Oaxaca...

Przy słowie „Oaxaca” Ivonne podniosła głowę.

—Tak — powiedziała. — Tak, może byłoby łatwiej. Och, Hugh, tak mi przykro to mówić... tylko...

—Tylko co?

—Tylko proszę cię... nie wyjeżdżaj, zanim o tym~<nie porozmawiamy. Boję się.

Hugh płacił za piwo, które kosztowało tylko dwadzieścia centavos; o trzydzieści mniej niż armadyl, pomyślał.

—A może byś się jeszcze napiła? —

Mówił głośniej, bo nowa fala łoskotu napłynęła przez otwarte drzwi: kaza-maty, kaza-maty, kaza-maty, mówił browar.

—Tego nie dopiję. Skończ za mnie.

Ich kawalkada wyjechała powoli z podwórza za masywną bramę. Jakby w milczącym porozumieniu skręcili w prawo w kierunku przeciwnym do stacji. Od strony miasta doganiał ich autobus i Hugh ściągnął konia obok Ivonne, gdy tymczasem pies zagonił żrebaki do rowu. Autobus Tomalin-Zocalo zniknął warkoczając za zakrętem.

—To jedna z dróg do Parian. — Ivonne odwróciła twarz, żeby uniknąć kurzu.

—Zdawało mi się, że to był autobus do

Tomalin.
—Tak, ale to najłatwiejszy sposób
dostania się do
Parian. Jest chyba jeden autobus
bezpośredni, ale z dru
giego końca miasta i jedzie przez
Tepalzanco.

—Mam uczucie, że Parian otacza jakaś złowieszcza atmosfera.

—Tak naprawdę to strasznie nudna miejscina. Naturalnie nie jest dawną stolicą stanu. Kiedyś był tam, zdaje się, ogromny klasztor... pod tym względem przypomina Oaxaca. Niektóre sklepy i nawet *cantiny* mieszczą się w dawnych celach mnichów. Ale teraz to zupełna ruina.

—Ciekawe, co Weber tam widzi — powiedział Hugh. Cyprysy i browar zostały za nimi. Wyjechawszy niespodziewanie na niestrzeżony przejazd kolejowy jeszcze raz skręcili w prawo, tym razem w kierunku domu.

Jechali obok siebie wzdłuż szyn, które Hugh widział przy wjeździe do lasu, a które oskrzydlały las biegnąc w kierunku niemal przeciwnym do ich dotychczasowej drogi. Po obu stronach niskiego nasypu były wąskie rowy, za którymi rozściierały się zarośla. Ponad ich głowami brzękały i zawodziły druty telegraficzne: gitar-ra, gitar-ra, gitar-ra, co może brzmiało przyjemniej niż kaza-maty, kaza-maty, kaza-maty. Linia kolejowa, dwutorowa, ale o wąskim rozstawie szyn, to oddalała się od lasu bez żadnych widocznych przyczyn, to znów wracała i biegła równoległe do niego. Trochę dalej, jak gdyby dla rekompensaty, zbaczała znów w prawo i przybliżała się do krawędzi drzew. Ale jeszcze dalej zataczała ogromny łuk w lewo, łuk tak szeroki, iż logika wskazywała, że przetnie się znowu w jakimś punkcie z drogą do To-malin. Tego było już za wiele słupom telegraficznym, które maszerując prosto przed siebie aroganckim krokiem ginęły gdzieś w oddali.

Ivonne uśmiechnęła się.

—Widzę, że masz zaniepokojoną minę. Ta linia kolejowa to naprawdę ciekawy temat dla twojego „Globe'u”.

—W żaden sposób nie mogę się połapać, co to za brednia.

—Wybudowali ją twoi ziomkowie, Anglicy. Tylko że towarzystwo budowy było płacone od kilometra.

Hugh roześmiał się głośno.

—Wspaniała historia! Czy chcesz przez to powiedzieć,

że poprowadzili linię w ten zwariowany sposób, żeby zarobić na dodatkowym kilometrażu?

—Tak ludzie mówią. Chociaż nie wydaje mi się, żeby to była prawda.

—Hm, hm. Jestem rozczarowany. Przypuszczałem, że to taki zachwycający meksykański kaprys. Ale to, swoją drogą, daje człowiekowi do myślenia.

—Na temat systemu kapitalistycznego? —
W uśmiechu

Ivonne znowu była odrobina kpiny.

—Przypomina mi to taką jedną historyjkę z „Puncha”...

Ale słuchaj, czy ty wiesz, że w Kaszmirze jest miejsce

wość, która nazywa się Punch? — Ivonne potrząsnęła głową,

wyszeptła coś cicho — ...Och, zapomniałem, co chciałem powiedzieć.

—Co myślisz o Geoffreyu? — Ivonne wypowiedziała

w końcu swoje pytanie. Pochyliła się naprzód, ręce oparła

na łęku siodła, obserwowała go z boku. —

Hugh, powiedz[^],

mi prawdę. Czy myślisz, że... że jest dla niego jakiś ra

tunek? — Ich klacze stąpały powoli i ostrożnie po tej

niezwykłej ścieżce, źrebaki biegły przodem zachowując

teraz większy dystans, od czasu do czasu oglądały się

i prosiły o aprobatę swej niezwykłej śmiałości. Pies biegł przed źrebakami,

wracał jednak regularnie i sprawdzał, czy wszystko w porządku. Węszył pracowicie

szukając węzów pomiędzy szynami.

—Masz na myśli picie, tak?

—Czy uważasz, że ja mogę jakoś pomóc?

Hugh spojrział w dół na niebieskie kwiaty polne podobne do niezapominajek, które znalazły sobie jakoś miejsce do życia między podkładami na torze. Te niewiniątka też mają swoje problemy: co to za przerażające czarne słońce huczy nad nami i poraża nas oczy co kilka minut? Minut? Prędzej godzin. A może nawet dni: samotny semafor zdawał się być stale podniesiony, zresztą pytanie o pociąg byłoby czymś żałośnie pochopnym.

— Wiesz już pewnie o tej jego „strychninie”, jak on to

nazywa — odparł Hugh. — Dziennikarska kuracja. No

cóż, dostałem receptę na ten płyn w Quauhnauc od jednego gościa, którego znaliście kiedyś oboje.

—Od doktora Guzman?

—Tak. Guzman. Tak się chyba nazywał. Próbowałem go namówić, żeby zbadał Geoffa. Powiedział, że ani my śli marnować czas. Powiedział, że jego zdaniem Papie nic nie dolega oprócz tego, że się nie może zdecydować, żeby przestać pić. To wydaje się dość przekonujące, a ja myślę, że jest prawdziwe.

Nasyp obniżył się i szyny biegną teraz równo z zaroślami, potem trochę niżej pobrzeży.

—Nie chodzi o samo picie — powiedziała nagle Ivonne.

— Tylko dlaczego?

—Może teraz, kiedy wróciłaś, przestanie.

—Jakoś nie -wydajesz się optymistyczny.

■— Postępuj, Ivonne. To przecież jasne, że mamy sobie do powiedzenia tysiące rzeczy i że nie będzie czasu na to, żeby je powiedzieć. Naprawdę nie wiem, od czego zacząć. Właściwie nie wiem nic. Jeszcze pięć minut temu nie byłem pewien, czy jesteście rozwiedzeni. Nie wiem...

— ~" Hugh cmoknął na konia, ale ściągnął go uzdą. — A jeśli idzie o Geoffa — dodał — po prostu nie bardzo wiem, co on robi ani ile pije. Zresztą w większości wypadków trudno powiedzieć, kiedy jest, a kiedy nie jest pijany.

4

—Nie mówiłbyś tego, gdybyś był jego żoną.

—Poczekaj... Traktowałem Geoffa po prostu tak, jak-

3
bym traktował któregoś z braci dziennikarzy ze straszliwym katzenjammerem. Ale kiedy byłem teraz w Mexico City, zadałem sobie pytanie: *Cui bono?* Jaki to ma sens? Takie otrzeźwianie go na dzień czy dwa nie na wiele się przyda. Mój Boże, gdyby nasza cywilizacja miała wytrzeźwieć więc dwa dni, trzeciego umarłaby z wyrzutów sumienia...

—Jesteś rzeczywiście bardzo pomocny — powiedziała Ivonne. — Dziękuję ci.

■—■ Zresztą po jakimś czasie człowiek dochodzi do wniosku, że jak ktoś tak świetnie znosi alkohol, ma chyba prawo pić. — Przechylił się i poklepał jej konia. — Nie,

słowo dają, czy nie powinniście wyjechać? Z Meksyku. Przecież teraz nic was tu nie trzyma. Zresztą Geoff nienawidził tej konsularnej służby. — Przez chwilę Hugh obserwował żrebaka, który stał nieruchomo na tle nieba na wysokim pobrzeżu. — Masz pieniądze.

— Nie pogniewasz się na mnie, Hugh, jeżeli ci coś po
wiem? To wcale nie dlatego, że nie chciałam cię widzieć...
Ale usiłowałam namówić Geoffreya, żebyśmy wyjechali
dzisiaj rano, zanim wrócisz.

— I nic z tego, co?

• — Może i tak by się nie zgodził. Mamy to już za sobą, to wyjeżdżanie i rozpoczynanie wszystkiego od nowa. Ale dzisiaj rano Geoffrey mówił coś o tym, że chce wrócić do pisania książki, tylko że ja naprawdę nie mam pojęcia, czy on ją jeszcze pisze, czy nie; odkąd go znam, nigdy nad nią nie pracował i właściwie nigdy mi jej nie pokazał, ale trzyma tę całą literaturę pomocniczą... więc myślałam...

— Tak — podjął Hugh — ile on naprawdę wie o alchemii i Kabale? Ile ta praca dla niego znaczy?

— O to chciałam cię spytać. Bo ja sama nigdy nie mogłam się zorientować...

— Mój Boże, nie wiem... — Hugh dodał z niemal ojcowskim upodobaniem: — A może on praktykuje czarną magię?

Ivonne uśmiechnęła się w roztargnieniu, szarpnęła cugłami. Tor kolejowy wyszedł na otwartą przestrzeń, szyny znowu biegły nasypem. Wysoko nad nimi szybowały białe bryły chmur, jak skłębione koncepcje rzeźbiarskie w mózgu Michała Anioła. Jeden ze żrebaków odłączył się i brykał w zaroślach. Hugh powtórzył swój rytuał gwizdu i żrebał wdrapał się z powrotem na nasyp; znowu byli małą karawaną, jechali szybkim stępem po samolubnej, wijącej się, wąskiej linii kolejowej.

— Hugh — powiedziała Ivonne — przyszło mi na myśl, kiedy jechałam tu statkiem... nie wiem, czy... zawsze marzyłam, żeby mieć farmę. Prawdziwą farmę, rozumiesz, krowy, świnie, kury, stodoły i stajnie z czerwonej cegły, spichrze, a na polu żyto i pszenica.

—Nie zapomniałaś przypadkiem o perliczkach? Za ty dzień czy dwa ja sam mogą zacząć marzyć o czymś takim — powiedział Hugh. — Ale skąd przyszła ci nagle do głowy farma?

—Jak to ... moglibyśmy z Geoffreyem kupić taką farmę.

—Kupić?

—Co w tym niezwykłego?

—Chyba nic, ale gdzie byś ją chciała kupić? — Pół

torej kwarty mocnego piwa rozpoczęło swoje miłe dzia

łanie i Hugh parsknął nagle śmiechem, który bardziej

przypominał kichnięcie. — Przepraszam — wykrztusił —

ale wyobraziłem sobie Geoffa na polu lucerny, w kombi

nezonie i kapeluszu słomkowym, jak trzeźwo okopuje

grzędy... i to mnie na chwilę zmogło.

—Nie przesadzałabym tak znowu z tą trzeźwością. Nie

jestem potworem. — Ivonne też się śmiała, ale jej ciemne

oczy, chociaż były uczące, były nieprzeniknione i dalekie.

—A może Geoff nie cierpi gospodarstwa wiejskiego?

Może sam widok krowy przyprawia go o mdłości?

—Och, nie. Dawniej często mówiliśmy, że na stare

lata kupimy sobie farmę.

—Znasz się na gospodarstwie?

—Ani trochę. — Ivonne bez namysłu, zachwycająco za

przeczyła tej możliwości; pochylona naprzód głąskając

szczęka. — Ale pomyślałam, że może znaleźlibyśmy ja

kieś małżeństwo, które straciło własną farmę czy coś

takiego i które mogłoby za nas poprowadzić gospodarstwo.

•— Nie uważałbym, że jest to najważniejszy moment w historii do rozpoczynania dostatniego ziemiańskiego życia, ale może się mylę. I gdzież ta farma miałyby się znajdować?

—Och... moglibyśmy pojechać chociażby do Kanady.

—Do Kanady?... Mówisz poważnie? Nie, naturalnie, tylko...

—No właśnie.

Dotarli teraz do miejsca, w którym linia kolejowa zataczała szeroki łuk w lewo,

**zjechali więc z nasypu. Lasek został za nimi,
ale gęsty las rozpościerał się po ich prawej**

(a nad nimi pośrodku niemal już swojski widok więziennej wieży strażniczej) i daleko przed nimi. Ukazał się na chwilę skrawek drogi na krawędzi lasu. Zbliżali się powoli do tej drogi, jechali wzdłuż linii szemrzących słupów telegraficznych, ostrożnie i z trudem przedzierając się przez gęste zarośla.

—Ale chodzi mi o to: dlaczego Kanada, a nie, po
wiedzmy, Brytyjski Honduras? Albo nawet
Tristan da
Cuhna? Może trochę tam pusto, ale
słyszałem, że klimat
bardzo zdrowy na zęby. Jest jeszcze Wyspa
Gough, tuż
obok Tristanu. Bezludna. Moglibyście ją
skolonizować.
Albo Sokotra, skąd dawniej pochodziła
większość kadzidła

i mirry i gdzie wielbłądy wspinają się na skały jak kozice, moja ulubiona wyspa na Morzu Arabskim. — Ale chociaż Hugh mówił żartobliwie, gdy wspominał o tych fantastycznych projektach, w jego głosie słychać było nie tylko sam sceptycyzm; mówił na pół do siebie, bo Ivonne jechała o kilka kroków przed nim; mogło się zdawać, że poważnie roztrząsa ten problem Kanady, a jednocześnie usiłuje dowieść, że sytuacja posiada mnóstwo dziwacznych i obiecujących przygody rozwiązań. Zrównał się z Ivonne.

—Czy Geoffrey nie wspominał ci ostatnio o swojej
wielkopańskiej Syberii? — spytała. —
Pamiętasz chyba,
że jest właścicielem wyspy w Brytyjskiej
Kolumbii?

—Na jeziorze, prawda? Jezioro Pineaus.
Pamiętam.
Ale tam nie ma żadnych zabudowań,
prawda? Nie mo-
żecie żywić trzody szyszkami sosnowymi i
piaskiem.

—Przecież nie o to idzie, Hugh.

—A może macie zamiar założyć tam
obozowisko, far-
mę zaś prowadzić gdzie indziej?

—Posłuchaj, Hugh...

■— Albo przypuśćmy, że moglibyście kupić farmę tylko w miejscowości, która nazywałaby się Saskatchewan — upierał się Hugh. Przypomniał mu się idiotyczny wiersz, skandował go w myślach w rytm stuku kopyt końskich.

O weź mnie znów nad rzekę
Biednych Ryb, Nad Cebulowe
Jezioro. Zatrzymaj sobie
Gwadalkwiwir,

Como także niech zabiorą.

O weź mnie znów do miłych Końskich
Much,

Aneroidu czy Piaskoburga...

— Albo w miejscowości, która by się
nazywała Produkt. Albo nawet Bzdura —
ciągnął. — Na pewno jest Bzdura. Właściwie
wiem, że jest taka miejscowość.

—Dobrze. Może to jest śmieszne. Ale w
każdym razie
lepiej niż siedzenie tu i nierobienie
niczego! — Bliska
płaczu Ivonne zmusiła konia do krótkiego,
dzikiego galo
pu, ale teren był zbyt nierówny; Hugh
ściągnął cugle
i zatrzymali się jednocześnie.

—Jest mi strasznie, okropnie przykro, —
Peten skru
chy przytrzymał jej uzdę. — Po prostu
zachowałem się
■jeszcze idiotyczniej niż zwykle.

—Więc uważasz, że to dobry pomysł? —
Ivonne roz
chmurzyła się trochę, nawet zdobyła się
znowu na lekko
kpiącą minę.

—Byłaś kiedykolwiek w Kanadzie?

—Widziałam wodospad Niagara.

Jechali znowu, Hugh wciąż
przytrzymał jej konia za uzdę.

—• Nie byłem nigdy w Kanadzie. Ale jeden
Francuz kanadyjski w Hiszpanii, taki mój
przyjaciel-rybak, mówił mi, że to
najcudowniejsze miejsce na świecie. W każ-
dym razie Brytyjska Kolumbia.

—To samo mówił zawsze Geoffrey.

— Och, Geoffrey nie może dużo o tym
wiedzieć. Ale
posłuchaj, co mówił McGoff. Powiedzmy,
że lądujesz
w Vancouver, co wydaje się rozsądne. Na
razie kiepsko
z tobą. McGoff wybrzydzał się na nowoczesny
Vancouver.
Mówił, że to miasto ma w charakterze coś z
kiełbasy po
mieszanej z tłuczonymi kartoflami i że w
ogóle jest
w atmosferze dość purytańskiej. Wszyscy
śpią, a jak ich
ukłujesz, z dziury natychmiast wyskakuje
flaga brytyj
ska. Ale właściwie ludzie tam nie żyją. Po
prostu, żeby
tak powiedzieć, snują się przez życie. Założ

ładunek dy
namitu i zmykaj. Wysadź miasto z okolicą w
powietrze,
zwał drzewa i ciśnij w wodę, niech sobie
popłyną do

morza... Nawiasem mówiąc, picie jest tam obwarowane — zaśmiał się Hugh — na każdym kroku obwarowane korzystnymi może trudnościami. Barów nie ma, są tylko piwiarnie tak niewygodne i zimne, i w których podają klientom zamiast piwa taką lurę, że żaden szanujący się pijak nie wejdzie do środka. Pić trzeba w domu, a jak zabraknie, po nową butelkę trzeba biegać tak daleko...

—Ale... — Śmieli się teraz oboje.

—Ale czekaj. — Hugh spojrział w niebo Nowego Me
ksyku. Dzień był jak płyta z dobrym nagraniem Joe Venutiego. Przysłuchiwał się cichemu, monotonnemu szem raniu słupów telegraficznych i drutom w górze, które śpiewały w jego sercu wraz z kwartą i pół piwa. W tym momencie sprawą na świecie najważniejszą, najprostszą i najłatwiejszą zdawało się być szczęście tych dwojga ludzi w nowym kraju. A rozstrzygająca była tu prawdo podobnie szybkość ich działania. Pomyślał o Ebro. Po dobie jak od dawna planowana ofensywa może się zała mać w ciągu pierwszych kilku dni, ponieważ nie wzięto pod uwagę pewnych potencjalnych niebezpieczeństw, które teraz dojrzywały, tak też nagłe desperackie posunięcie może się udać właśnie dlatego, że udaremnia od jednego potężnego uderzenia pewną ilość potencjalnych niebezpieczeństw...

—Należy — ciągnął — możliwie jak najprędzej wy dostać się z Vancouver. Popłyniecie sobie którąś z zato czek do tej czy innej wioski rybackiej i kupicie szafas nad samiuteńkim morzem, z prawem korzystania tylko z plaży, za, powiedzmy, sto dolarów. Przemieszkacie tam przez zimę za, powiedzmy, sześćdziesiąt dolarów miesięcz nie. Żadnego telefonu. Żadnego komornego. Żadnego konsulatu. Niech ci doda siły myśl o twoich pionierskich przodkach. Wodę będziecie czerpać ze studni. Będziecie sami rąbali drzewo na opał. Ostatecznie

Geoff jest silny
jak koń. I może naprawdę będzie się mógł
zabrać z po
wrotem do książki, a ty będziesz miała
swoje gwiazdy
i zrozumiesz na nowo, co to są pory roku;
choć zdarza
się, że jeszcze w listopadzie można tam
pływać. I pozna-

cie prawdziwych ludzi: rybaków, starych
szkutnerzy, traperów. McGoff utrzymywał,
że to już ostatni naprawdę wolni ludzie na
świecie. A tymczasem urządzicie sobie po
trochu swoją wyspę i zorientujecie się co i
jak z tą farmą, której najpierw użyjesz jako
wabika, jeżeli naturalnie będziesz jeszcze
miała na nią ochotę...

— Och, Hugh, tak...

Niewiele brakowało, a jej koń dygotałby z
entuzjazmu, którym ją Hugh zaraził.

— Widzę wasz szałas. Jest między lasem i
morzem, ma
cie własny pomost wychodzący w morze,
ponad ostrymi
kamieniami, wiesz, na których pełno kaczenic,
rozwiazd,
koralu. A do sklepu będziecie musieli iść
przez las. —
Hugh zobaczył skłep oczami wyobraźni. — W
lesie będzie
wilgotno. Od czasu do czasu jakieś drzewo
zwali się na
ziemię z traskiem. A czasem będzie mgła i
mgła za
marznie. Wtedy cały wasz las zamieni się w
las kryszta
łowy. Kryształki lodu na gałęziach będą rosły
jak liście.
Potem niedługo pokażą się śniegulki i będzie
już wiosna.

Galopowali... Zarośla pozostawili za sobą,
znajdowali
się teraz na nagiej, płaskiej równinie, jechali
ostrym
lopem, uszczęśliwione źrebaki hasały przed nimi,
jjes
zmienił się nagle w błyskawicę białego runa, a
gdy
klacze niemal niezauważalnie wpadły w posuwisty,
swo
bodny, falujący krok, Hugh doznał uczucia nagłej
zmia
ny, uczucia dojmującej, żywiołowej radości, jakiej
dozna-

\
je się też na pokładzie statku, który
pozostawiwszy
za

"

sobą krótkie fale w ujściu rzeki poddaje się
kołysaniu
i huśtaniu otwartego morza. Stłumiona melodia
dzwonów
zabrzmiała w oddali, to głośniejąca, to cichnąca,
umilkła
i rozplynęła się jak gdyby w samej substancji
dnia. Ju- Z

dasz zapomniać; ach nie, Judasz został jakoś odkupiony. J

Galopowali równolegle do drogi, wzdłuż której nie było rowów i żywopłotów, a potem nagle głuchy regularny grzmot kopyt zabrzmiał ostro i metalicznie i pędzili już po samej drodze; droga skręcała w prawo biegnąc brzegiem lasu i okalając niski wzgórek wrzynający się w równinę.

— Jesteśmy z powrotem na Calle
Nicaragua — zawo-
łała wesoło Ivonne. — Prawie.

Pełnym galopem zbliżali się znów do Malebolge, krętej rozpadliny, ale w miejscu położonym znacznie wyżej niż punkt, w którym ją przekraczali; jadąc stępa obok siebie przejechali przez most chroniony białymi barierkami; i potem nagle znaleźli się w ruinach. Ivonne wjechała pierwsza na ich teren; konie, powstrzymywane nie tyle cugłami, ile własnym instynktem — może z jakiejś nostalgii, może nawet z szacunku — zatrzymały się. Ivonne i Hugh zeskoczyli na ziemię. Ruiny zajmowały spory szmat trawiastego pobraża po prawej stronie drogi. Tuż obok stały resztki budowli, która kiedyś mogła być kaplicą; przez podłogę wyrastała trawa błyszcząca jeszcze od porannej rosy. Nieco dalej widać było resztki obszernego, kamiennego ganku z niską, walącą się balustradą. Huger, który stracił zupełnie orientację, przywiązał konie do na pół zwalonego, różowego filaru; pozbawiony znaczenia, pokryty pleśnią emblemat stojący z dala od reszty zwalisk.

— Powiedz, co to za eks-wspamałość? —
spytał.

— Pałac Maksymiliana. Chyba letni pałac.
Zdaje się, że
ten sztuczny gaik koło browaru był kiedyś
częścią po-
siadłości. — Ivonne wydawała się nagle
dziwnie skrępo-
wana.

— Nie chcesz się tu zatrzymać? — spytał.

— Ależ tak. Doskonały pomysł.

Zapaliłabym papiero-
sa — powiedziała z wahaniem. — Tylko
będziemy mu
sieli przejść kawalek, żeby zobaczyć ulubiony
widok Car-
lotty.

— Cóż, pałacyk cesarski widział chyba
lepsze czasy. —
Skręcając papierosa dla Ivonne Hugh wodził
roztargnio-
nym wzrokiem po posiadłości, która
zdawała się tak po-
godzona z własną ruiną, że nie było w niej
miejsca na
smutek; ptaki przysiadły na rozwalonych
wieżyczkach
i butwiejących futrynach[^] oplecionych
nieuniknionym nie-
bieskim powojem; żrebaki wraz ze swoim
psim opiekunem

•odpoczywającym tuż obok skubały potulnie trawę w kaplicy; można je było bezpiecznie zostawić...

— Maksymilian i Carlotta, tak? — spytał Hugh. — Czy Juarez dobrze zrobił, że kazał tego gościa rozstrzelać?

— To strasznie tragiczna historia.

— Powinien był jednocześnie kazać rozstrzelać tego sta rego, jak mu tam na imię, Diaza, byłoby przynajmniej hurtem.

Weszli na pagórek i stali spoglądając na drogę, którą przyjechali — poprzez równinę, zarosła, linię kolejową, szosę do Tomalin. Wiał tu suchy, ciągły wiatr. Popoca-tepetl i Ixtaccihuatl. Stały tam sobie, dość nawet spokojne, po drugiej stronie doliny; strzelanina umilkła. Hugh poczuł ból w sercu. Jadąc tu powziął całkiem poważny zamiar wejścia na szczyt Popo, może nawet z Juanem Cerillo...

— Masz tam swój księżyc, czeka jeszcze na ciebie —

pokazał go jej znowu; okrucuch przywiany z nocy kosmicz ną wichurą.

— Czy nie były cudowne te nazwy — powiedziała — które dawni astronomowie nadawali plamom na księżycu?

— Bagnisko Zepsucia. Tylko to jedno pamiętam.

— Morze Ciemności... Morze Spokoju...

Stali ramię przy ramieniu nie odzywając się do siebie, wiatr rozszarpywał dym z papierosów, zdmuchiwał go im za plecy; z tego miejsca dolina też wyglądała jak morze, wzburzone morze. Za drogą do Tomalin krajobraz toczył i załamywał we wszystkich kierunkach swoje barbarzyńskie fale piaszczystych diun i skał. Ponad wzgórzami, z których sterczały szpikulce świerków jak potłuczone butelki na murze, białe kłęby chmur wyglądały jak znieruchomiełe grzywy fal. Ale za wulkanami Hugh zobaczył teraz chmury burzowe, Sokotra — pomyślał — moja tajemnicza wyspa na Morzu Arabskim, skąd pochodziło kiedyś kadzidło i mirra i na której nikt nigdy nie był...

Było coś w rozpasanej sile tego krajobrazu, niegdyś pola bitwy, co zdawało się krzyczeć do niego, jakaś istota zrodzona z tej siły, której głos rozpoznawał całym swoim

jestestwem jako głos dobrze znajomy, której głos pochwyił i cisnął z powrotem w wiatr, jakby młodzieńcze hasło odwagi i dumy — namiętna, a jednak prawie zawsze obłudna afirmacja własnego ja, może, pomyślał, afirmacja pragnienia, żeby być dobrym, żeby postępować dobrze, słusznie. Zdawało mu się, że patrzy teraz ponad tym obszarem równiny i ponad wulkanami na sam bezkresny, falujący, błękitny ocean — czując go wciąż w sercu, czując bezgraniczną niecierpliwość, niezmierną tęsknotę.

„... Za nimi szło jedyne żywe stworzenie, które uczestniczyło w ich pielgrzymce, pies. I etapami dotarli do słonego morza. Potem, gdy dusze ich osiągnęły stopień znacznej karności, dotarli do północnego obszaru i ujrzeli z sercami wzniesionymi ku niebu potężną górę Himavat... A tam jezioro pluśkało, lilie kwitły, płatany puszczały pąki, góry połyskiwały, wodospady szemrały, źródło było zielone, śnieg był biały, niebo było niebieskie, kwiaty na drzewach owocowych były obłokami; a on wciąż odczuwał pragnienie. Potem góry już nie błyszczały, kwiaty na drzewach owocowych nie były obłokami, były kona-rarru. Himalaje skryły się za warstwą kurzu, a on był jeszcze bardziej spragniony. Potem jezioro odfrunęło z wiatrem, śnieg -dfrunął z wiatrem, wodospady odfrunęły z wiatrem, pory roku odfrunęły z wiatrem, on sam odfrunął z wiatrem, porwała go wichura kwiatów i zaniosiła w góry, gdzie padał teraz deszcz. Ale ten deszcz, który padał tylko w górach, nie zaspokoił jego pragnienia. I mimo wszystko nie był w górach. Stał pośród trzody w strumieniu. Odpoczywał, a obok niego źrebaki, zanurzone po kolana w trawie chłodnych łąk. Leżał twarzą w dół i pił wodę z jeziora, w którym odbijały się przykryte śniegiem szczyty, a za potężną górą Himavat sterczała pięćmilowa czapa chmur; fioletowe płatany i wioska przycupnięta pomiędzy krzewami morwy. A jednak nie ugasił dotąd pragnienia. Może dlatego, że nie pił wody, tylko jasność i obietnicę jasności? Może dlatego, że

nie pił wody, tylko pewność światła — jakże mógł pić pewność światła? Pewność światła, obietnica jasności, obietnica światła, światła, światła i jeszcze: światła, światła, światła, światła!"

Konsul, w nieogarnionej męczarni przepicia wybuchającego gromami wokół jego czaszki, czemu towarzyszyły jak ochronna zapora głosiki demonów szemrzące mu w uszach, uświadomił sobie nagle, że jeśli zdarzy się najgorsze i dostrzegą go sąsiedzi, nikt doprawdy nie pomyśli, że oto idzie sobie wolniutko przez ogród z jakimś niewinnym ogrodniczym celem na widoku. Nie można nawet powiedzieć, że szedł wolniutko. Konsul, który obudził się przed chwilą na ganku i natychmiast wszystko sobie przypomniał, niemal biegł. I to biegł chyłkiem. Na próżno usiłował zwolnić krok, na próżno wpychał — podejmując niezwykłą próbę nadania sobie pozorów nonszalancji, w czym, ufał, zaznaczy się więcej niż ślad konsularnego dostojenstwa — wpychał ręce głębiej w kieszenie przepoconych frakowych spodni. A teraz, zapominając o reumatyzmie, naprawdę biegł... Czy nie było więc podstaw do tego, żeby go posądzić o jakiś bardziej dramatyczny cel, na przykład o to, że przywdział niecierpliwe koturny Williama Blackstone'a i porzuca purytanów, by zamieszkać wśród Indian, lub że powtarza desperacki gest/ swojego przyjaciela Wilsona, który tak majestatycznie opuścił ekspedycję uniwersytecką, żeby zniknąć — również we frakowych spodniach — w dżungli najczarniejszej Oceanii, skąd nigdy nie wrócił? Nie, takie posądzenie nie miałyby podstaw. Po pierwsze, gdyby Konsul szedł dalej w tym samym kierunku, to znaczy na koniec swojego ogrodu, wszelka tego rodzaju wyimaginowana ucieczka w nieznane natrafiłaby na nieprzebytą dla Konsula przeszkodę siatki drucianej. „Tylko nie bądź głupi i nie wyobrażaj sobie że idziesz w ogóle bez celu ostrzegaliśmy cię mówiliśmy ci ale teraz kiedy mimo wszystkich naszych próśb doprowadziłeś się do...” Rozpoznał głos jednego ze swoich koleżków, ledwie dostłyszalny pośród innych głosów; Konsul pędził teraz z trzaskiem poprzez meta-

morfozy zamierających i odradzających się halucynacji, jak człowiek, który nie wie, że postrzelono go w plecy „...do tego opłakanego stanu — ciągnął surowo głos —• musisz coś z tym zrobić dlatego naprowadzamy cię na to coś” — Nie będę pił — powiedział Konsul zatrzymując się nagle. — A może będę? W każdym razie nie mescal. „Oczywiście że nie butelka jest tam za krzakiem podnieś ją.” — Nie mogę — zaprotestował. „W porządku wypij jeden łyk taki konieczny terapeutyczny łyk najwyżej dwa łyki” — Boże — powiedział Konsul. — Ach. Dobrze. Boże. Chryste. „Teraz możesz powiedzieć że to się nie liczy” — Nie liczy się. To nie mescal. „Naturalnie że nie roescal tequila możesz wypić jeszcze jeden” —• Dziękuję, chętnie. — Konsul rozdygotaną ręką ponownie przytknął butelkę do ust. •— Niebiańska błogość. Jezu. Święty przybytek... Zgroza — dodał. „... dość odstaw butelkę co ty robisz z sobą Geoffreyu Firmin.” — powiedział mu do ucha inny głos, tak donośny, że Konsul się obejrzał. Przed nim na ścieżce niewielki wąż, którego brał dotąd za patyk, pomykał z szelestem między krzaki; zafascynowany obserwował go chwilę przez szkła ciemnych okularów. Był to absolutnie prawdziwy wąż. Nie znaczy to bynajmniej, że się przejmuję czymś tak nieskomplikowanym jak węże, pomyślał nie bez pewnej dumy, spoglądając prosto w oczy psa. Był to pies bezpański i niepokojąco znajomy. — *Perro* — powtórzył, gdy pies wciąż tkwił w miejscu... ale czy ten epizod już się nie był zdarzył, czy jak gdyby nie zdarza się teraz, przed godziną lub dwiema, przemknęło mu nagle przez myśl. Dziwne. Rzucił z powrotem butelkę, która była z białego, falistego szkła —-Tequila Afiejo de Jalisco głosił napis na etykiecie — między krzaki i rozejrzał się dokoła. Wszystko wydawało się znowu normalne. W każdym razie zarówno wąż, jak pies zniknęły. I głosy umilkły.

Konsul czuł się teraz na siłach utrzymać przez chwilę złudzenie, że wszystko jest „normalne”. Ivonne zapewne śpi; nie ma sensu jej budzić. Całe szczęście, że przypomniał sobie o tej prawie pełnej butelce tequili: ma te-

raz szansę doprowadzenia się trochę do porządku, czego nie zdołałby zrobić na werandzie, zanim ją znowu zobaczy. W aktualnych okolicznościach picie na ganku pociągało za sobą stanowczo za duże trudności; mężczyzna ma prawo napić się w spokoju, kiedy mu to jest potrzebne, itd., itd... Takie myśli przemykały mu przez głowę, która, aby tak rzec, kiwała poważnie w duchu i przyjmowała je jak najbardziej serio; tymczasem on sam rozglądał się po ogrodzie. Dziwna rzecz, ale teraz wcale nie uważał, że ogród jest taką zupełną „ruiną”, jaką był przedtem. Istniejący chaos przydawał mu nawet dodatkowego czaru. Konsula zachwycała bujność niestrzyżonej roślinności tuż obok. Natomiast trochę dalej wspaniałe bananowce kwitnące tak uparcie i tak jurnie, zachwycające egzotyczne winne latorośle, dzielne i uparte grusze, krzewy melonów rosnące wokół basenu i dalej, sam niski biały dom zarośnięty bougainvilleami, z długim gankiem przypominającym mostek okrętu — wszystko to zdecydowanie składało się na obraz ładu, jednakże obraz, który niezamierzenie przeszedł, w momencie gdy Konsul obrócił się przypadkiem, w dziwnie jakby podwodny widok równiny i wulkanów z ogromnym ustokrotnionym słońcem-, koloru indygo jarzącym się na południowo-południowym wschodzie. Czy też może był to północno-północny zachód? Obserwował to wszystko bez smutku, nawet z pewną ekstatyczną radością, gdy zapaliwszy papierosa z napisem „Alas” (choć machinalnie wypowiedział na głos słowo „Alas”) zaczął iść ścieżką, nie zwracając uwagi na alkoholiczny pot, jak woda zalewający mu oczy, w kierunku płotu pomiędzy jego ogrodem a małym parkiem miejskim, który ścinał czubek jego posiadłości.

W parku tym, do którego nie zaglądał od dnia przyjazdu Hugh'a, kiedy chował butelkę w krzakach, a który zdawał się być pielęgnowany starannie i z miłością, istniały w tej chwili pewne dowody niedokończonej pracy: narzędzia, niezwykle narzędzia, morderczy długi nóż, dziwaczne w kształcie widły, jakby obnażone i wświdrowujące się w mózg, o powykręcanych zębach potyskujących

w słońcu, stały oparte o siatkę, a obok nich stało coś innego, tablica nowa czy też skądś zabrana, której blada we oblicze wpatrywało się w niego przez druty. <¡Le-gusta este jardín? pytała tablica...

¡LE GUSTA ESTE JARDIN?

*¡QUE ES SUYO? ¡EVITE,
QUE SUS HIJOS LO DESTRUYAN!*

Konsul stał bez ruchu i wpatrywał się w tablicę szeroko rozwartymi oczami. „Podoba ci się ten ogród? Dlaczego jest on twój? Wypędzamy tych, którzy niszczą!” Proste słowa, proste i straszne słowa, które zapadają na samo dno duszy człowieka, słowa, które są może ostatecznym na niego wyrokiem, nie budzą w nim jednak żadnych absolutnie emocji — chyba tylko uczucie bezbarwnego zimna, białej udręki, umęczonego chłodu, jak ten mrożony mescal pity w hotelu „Canada” tamtego ranka, gdy odjechała Ivonne.

Jednakże pił teraz nie mescal, tylko znowu tequilę, i to pił nie bardzo rozumiejąc, jak zdołał wrócić tak prędko i odnaleźć butelkę. Ach, subtelny bukiet smoły i stęchlizny! Tym razem nic sobie nie robiąc z tego, czy go ktoś zobaczy, pił długo i dużo, a potem stanął (zresztą istotnie zauważył go jego sąsiad, pan Quincey, który podlewał kwiaty w cieniu wspólnej siatki po lewej stronie tuż za głogami), stanął i powtórnie spojrzał na swój dom. Czuł się osaczony. Zniknęła mała oszukańcza wizja ładu. Ponad domem, ponad widmami zaniedbania, które nie chciały zmienić teraz swojej prawdziwej postaci, unosiły się tragiczne skrzydła niewykonanych obowiązków. Za nim, w miejskim parku, jego fatum powtarzało cicho: „Dlaczego jest twój? Czy lubisz ten ogród? Wypędzamy tych, którzy niszczą!” Może napis na tablicy niezupełnie to znaczył (czasem bowiem alkohol przyćmiewał hiszpańszczyznę Konsula, albo może był błąd w samym napisie sporządzonym przez jakiegoś Azteka), ale w każdym

~~i~~ Czy podoba się wam ten ogród? Czy należy do was? Uwazajcie, zeby wasze dzieci go nie niszczyły, (hiszp.)

razie coś koło tego. Podejmując nagłą decyzję Konsul odstawił tequilę z powrotem w krzaki i siłą się na swobodny krok zawrócić w stronę miejskiego parku.

Nie znaczy to bynajmniej, że Konsul miał zamiar sprawdzić napis, który na pewno był opatrzone większą ilością znaków zapytania, niż ich tam być powinno; nie, rozumiał już teraz doskonale, że pragnie czegoś innego, tego mianowicie, żeby z kimś porozmawiać: było to konieczne, kryło się w tym jednak coś więcej niż zwykła potrzeba rozmowy; pragnął czegoś, co by mu stworzyło natychmiast błyskotliwą sposobność, a raczej stworzyło sposobność popisania się własną błyskotliwością; sposobność tę ofiarowywało mu ukazanie się pana Quinceya po drugiej stronie głogów, które to głogi (teraz po jego prawej) musiał obejść, żeby do niego dotrzeć. Jednakże to poszukiwanie okazji do popisania się własną błyskotliwością było z kolei czymś innym, bardziej poszukiwaniem okazji do tego, żeby być podziwianym; a nawet — mógł więc przynajmniej podziękować tequili za tak nadzwyczajną szczerość, jakkolwiek krótkotrwałą — żeby być kochanym. Za co miał być kochany, ach, to całkiem inne pytanie; a ponieważ je sobie zadał, mógł na nie odpowiedzieć: kochanym za moją lekkomyślność, nieodpowiedzialną powłokę zewnętrzną, a raczej za to, że pod tą powłoką płonie w tak oczywisty sposób ogień talentu, który, w sposób już mniej oczywisty, jest talentem nie moim, tylko (rzecz szczególna) mojego drogiego przyjaciela Abrahama Taskersona, wielkiego poety, który kiedyś, kiedy byłem młodzieńcem, mówił tak płomiennie o mojej przyszłości.

A czego będzie pragnął potem, ach, potem (skręcił w prawo nie spojrzawszy na tablicę i szedł teraz wzdłuż siatki) będzie pragnął, pomyślał rzucając jedno tęskne spojrzenie na równinę — i w tym momencie mógłby przysiąc, że postać, która Zniknęła, zanim zdążył się jej przyjrzeć, ale postać chyba w żałobie, stała z głową pochyloną w geście najwyższej rozpaczyny pośrodku parku miejskiego — ach, potem, Geoffreyu Firminie, będziesz pragnął, już choćby jako antidotum przeciwko tym zrutynizowa-

nym halucynacjom, potem zwyczajnie będziesz pragnął się upić; a właściwie pić cały dzień, dokładnie tak, jak znowu namawiają cię do- tego chmury, chociaż niezupełnie tak samo; znowu wymyślisz coś bardziej wyrafinowanego; pragniesz nie tylko pić, ale pić w pewnym szczególnym mieście i w pewnym szczególnym miejscu.

Parian... Nazwa ta przywodziła na myśl stary marmur i wysmagane wichrami Cyklady. „Farolito” w Parian — jakże przywoływała go ta *cantina* posępnymi głosami nocy i wczesnego świtu! Ale Konsul (skręcił znowu w prawo i oddalił się od siatki drucianej) rozumiał doskonale, że nie jest jeszcze na tyle pijany, żeby nazbyt optymistycznie oceniać swoje szansę dostania się do Parian; dzień następnego dnia byłoby wiele bezpośrednich ... pułapek! Oto właściwe słowo... Niewiele brakowało, a byłby wpadł do *barranca*, której niestrzeżony odcinek (-wąż skręcał tu raptownie ku drodze do Alacapancingo, ale nieco dalej odginał się znów w dawny kierunek, dzieląc parę miejski na dwoje) tworzył w tym punkcie maleńki, dodatkowy piąty bok jego posiadłości. Zatrzymał się i tequilą odważny spojrzął w dół przez krawędź rozpadliny. Ach, straszliwa głęboko, odwieczna groza przeciwstawieństw! O ty, potężna przepaści, nienasycony kormoranie, nie szydź ze mnie, że nie mam chęci runąć w twoją otchłań. Zresztą człowiek naprawdę potykał się bezustannie o' to paskudztwo, o tę olbrzymią, krętą szczelinę, która przepoławiała miasto, przepoławiała całą okolicę — miejscami dwieście jardów pionowego spadku w dół do czegoś, co w porze deszczów[^] udawało wzburzoną rzekę, ale co teraz, chociaż dno było niewidoczne, wracało już zapewne do swojej zwykłej roli powszechnego piekła i gigantycznej kloaki. W tym miejscu rozpadlina nie była może zbyt przerażająca; można by nawet zejść w dół, gdyby komuś przyszła ochota pomalutku naturalnie i od czasu do czasu popijając w drodze tequilę, można by zejść na dół i odwiedzić kłoczego Prometeusza, który tam zapewne mieszka. Konsul szedł teraz wolniej. Znowu *znalazł* się naprzeciwko swojego domu i jednocześnie na ścieżce biegnącej

krawędzią ogrodu pana Quinceya. Po lewej, za ich wspólną siatką, tuż obok rozpościerał się równolegle z krzewami głogu w jego ogrodzie zielony trawnik Amerykanina, w chwili obecnej spryskiwany niezliczoną ilością małych, świszczących wężyków. Ale też żadna angielska murawa nie mogłaby być piękniejsza i gładsza! A ponieważ zmógł go nagły sentyment, jak również gwałtowny atak czkawki, Konsul przystanął obok sękatego drzewa owocowego, które rosnęło po jego stronie, a rzuciło resztkę cienia na tamtą, i oparł się o pień wstrzymując oddech. Wyobrażał sobie, że w ten niedorzeczny sposób ukrył się przed wzrokiem pana Quinceya, który pracował nieco dalej, wkrótce jednak zapomniał w ogóle o Quinceyu pochłonięty spazmatycznie objawiającym się zachwytem dla jego ogrodu... Czy zdarzy się to w końcu, czy taki widok może człowieka uratować, czy stary Popocatepetl zacznie się wydawać mniej miły niż hałdy w Chester-le-Street, czy owa wspaniała perspektywa Johnsona, droga do Anglii, otworzy się znów w Atlantyckim Oceanie jego duszy? Jakież by to było niezwykłe! Jak dziwnie byłoby jeszcze raz wylądować w Liverpoolu, jeszcze raz zobaczyć Liver Building poprzez deszcz i mgłę, ów mrok przepojony już zapachem obroku i piwa Caegwyrle — dobrze znajome, głęboko zanurzone frachtowce o harmonijnie osadzonych masztach wciąż wraz z odpływem wychodzące uroczyście na morze, światy z żelaza ukrywające swoją załogę przed wzrokiem zapłakanych kobiet w czarnych szalach na nabrzeżu: Liverpool, skąd tak często w czasie wojny wyływały, z rozkazem w zalakowanej kopercie, owe tajemnicze zasadzki na okręty podwodne, owe oszukańcze frachtowce, które na każde żądanie zamieniały się w zięjące ogniem okręty wojenne, owi drapieżni podróżnicy po nieświadomości morza...

■— Czy doktor Lhdngstone?

— Ep — powiedział Konsul, zaskoczony tym przedwczesnym odkryciem, tuż obok, wysokiej, lekko pochylonej postaci ubranej w koszulę khaki i szare flanelowe spodnie, w sandałach, nieskazitelnej, siwowłosej, dosko-

nałej, w dobrym zdrowiu, istnej reklamy wód mineralnych, trzymającej w ręce polewaczkę, postaci, która stojąc po drugiej stronie siatki przyglądała mu się z obrzydzeniem przez szkła okularów w rogowej oprawie. — Ach, dzień dobry, Quincey.

— Dobry? Nie wiem, co jest dobrego w tym dniu — odparł podejrzliwie emerytowany plantator orzechów nie przerywając podlewania klombu, który znajdował się poza zasięgiem bezustannie wirujących wężyków.

Konsul wykonał ręką gest w kierunku swoich głogów i może podświadomie również w kierunku butelki tequilii.

— Widziałem pana stamtąd... Właśnie przeprowadzałem, rozumie pan, inspekcję mojej dżungli.

— Przeprowadzał pan co? — Quincey spojrzął na niego sponad konewki, jak gdyby chciał powiedzieć: Widziałem, co się tu działo; wiem wszystko, ponieważ jestem Bogiem, a nawet kiedy Bóg był dużo starszy od ciebie, nie spał już o tej porze i starał się to zwalczyć, jeśli było trzeba, przecież ty nawet nie wiesz, czy się już obudziłeś, czy jeszcze nie, i chociaż nie spałeś całą noc, naturalnie nie starasz się tego zwalczyć, jak ja bym się starał zwalczyć, jak bym był gotów bez wahania walczyć ze wszystkimi i wszystkim!

— I przykro mi, ale to naprawdę jest dżungla — ciągnął Konsul. •— Prawdę mówiąc, spodziewam się, że lada chwila wyjedzie z tej gęstwiny Rousseau na grzbiecie tygrysa.

— Hę? — spytał pan Quincey marszcząc brwi, co może miało znaczyć: I Bóg nigdy nie pije przed śniadaniem.

— Na grzbiecie tygrysa — powtórzył Konsul. Tamten mierzył go przez chwilę zimnym i sardonicznym wzrokiem świata materialnego.

— Ach, zapewne — powiedział kwaśno. — Pełno tu tygrysów. I białych myszek... Czy mógłbym pana prosić, żeby pan podczas następnej inspekcji ogrodu zechciał wymiotować po swojej stronie siatki?

— Ep — odpowiedział Konsul bardzo zwyczajnie. —

Ep — warknął wybuchając śmiechem i
usiłując zrobić to
znieczeka grzotnął się mocno w nerki;
sposób ten,

dziwna rzecz, jakoś pomógł. — Przykro mi, że pan odniósł takie wrażenie, ale to była tylko ta przeklęta czkawka!...

—Właśnie widzę — powiedział pan Quincey i może on też rzucił subtelne spojrzenie w kierunku krzaków, w których przyczała się butelka tequilii.

—Ale najśmieszniejsze w tym wszystkim — przerwał Konsul — jest to, że przez całą noc nie miałem w ustach nic prócz wody z Tehuaca... A swoją drogą, jak pan zdołał przeżyć bal?

Pan Quincey przyglądał mu się uważnie, a potem zaczął napełniać konewkę z pobliskiego kranu.

— Nic prócz wody z Tehuaca — ciągnął Konsul — i odrobiny *gaseosa*. To powinno przywieść mnie z powrotem do pocziwych wód mineralnych. Nie uważa pan? Na miejsca, gotowi, start! Tak, od kilku dni nie biorę alkoholu do ust.

Pan Quincey wrócił do swojego podlewania, z surową miną przesuwając się teraz wzdłuż siatki; Konsul, porzucając bez żalu drzewo owocowe, na którego pniu zauważył złowieszczy pancerz siedmioletniej szarańczy, szedł za nim krok w krok.

—A tak, piję teraz tylko wodę — dorzucił. — Bo może pan o tym nie wiedział?

—Na śmierć się pan nią zapija — mruknął pan Quincey zgryźliwie.

—Wie pan co? Widziałem tu przed chwilą takiego małego węża — wybuchnął Konsul.

Pan Quincey zakasłał i prychnął, ale nic nie powiedział.

— A to mi dało do myślenia... Wie pan, często się zastanawiam, czy w tej starej legendzie o rajy i tak dalej nie kryje się więcej, niżby się mogło zdawać na pozór. Powiedzmy, że Adam w ogóle nie został stamtąd wygnany. W każdym razie nie w takim sensie, w jakim myślimy to zawsze rozumieli... — Plantator orzechów podniósł głowę i utkwiał w Konsulu nieruchome

**spojrzenie, które
jednak zdawało się być skierowane w punkt
chyba poni-**

zej jego pasa. — Powiedzmy, że kara Adama
polegała
na tym — ciągnął Konsul] z zapałem — że musiał
dalej
tam żyć, naturalnie sam... w udręce, nie
zauważany,
cięty od Boga... Albo może — dodał trochę
od
pogodniej
—
może Adam był pierwszym właścicielem ziemskim
i
Pan
Bóg, pierwszy zwolennik reformy rolnej,
powiedzmy,
ktos
w rodzaju Cardenasa, wykopał go z raju? Co? Tak
—
zaśmiał się Konsul, rozumiejąc, co więcej, że w
aktual-

■*

nych historycznych okolicznościach wszystko
to nie było może takie bardzo załbawne — w
dzisiejszych czasach nikt chyba nie wątpi... na
pewno przyzna mi pan słuszność... że grzech
pierworodny popełnił ten, kto pierwszy został
właścicielem ziemskim...

Plantator orzechów kiwał do niego głową,
niemal niezauważalnie, ale nie chciał chyba
przez to powiedzieć, że się z nim zgadza;
jego trzeźwy wzrok nadal był utkwiony w
jednym punkcie nieco poniżej pasa Konsula, a
gdy Konsul spojrział w dół, przekonał się, że
ma otwarty rozporek. Ach, doprawdy, *licentia
vatum!*¹ — Przepraszam, *fadoube*² — zawołał
i poprawiwszy, co należy, ciągnął dalej
śmiejąc się, wracając do poprzedniego
tematu, w tajemniczy sposób nie speszony
swoim nonkonformizmem. — Tak, doprawdy,
tak... A naturalnie prawdziwym powodem
wymierzania takiej kary, to znaczy
zmuszenia go, żeby tam dalej mieszkał,
mogło być to... kto wie... że biedaczysko w
głębi duszy nienawidził raju! Po prostu
nienawidził od samego początku. A Stary
jakoś to wykrył...

— Czy mi się tylko zdawało, czy naprawdę
widziałem
niedawno pańską żonę? — spytał cierpliwie
pan Quincey.

— ...i co w tym dziwnego! Do diabła z
rajem! Niech
pan tylko pomyśli o tych wszystkich
skorpionach i mrów
kach, żeby wyliczyć chociaż dwa spośród
obrzydlstw,
które Adam musiał ścierpieć! Co? —
wykrzyknął Konsul,
gdy tamten powtórzył pytanie. — W
ogrodzie? Tak... to
znaczy nie. Skąd pan wie? Nie, teraz śpi, o
ile...

~~1~~licencja poetycka (łac.)
2poprawiam (fr.)

—Dość długo jej nie było, prawda? —
powiedział ła
godnie pan Quincey, pochylając się do
przodu, dzięki
czemu zyskał lepszy widok na dom Konsula.
— A pański
brat ciągle u pana?
—Brat? Och, Hugh... Nie, wyjechał do
Mexico City.
— Chyba się pan przekona, że już
wrócił.
Teraz Konsul sam spojrział na
dom.

■— Ep — powiedział krótko, ponuro.

—Wyszedł zdaje się z pańską żoną —
dodał plantator
orzechów.
—Kto-tu-przyszedł-kto~tu-przyszedł-mój-
wąż-w-trawie-
-moja-męka-udręka-w-trawie — Konsul w
tym momencie
witał kotkę pana Quinceya, natychmiast
znowu zapomi
nając o jej właścicielu, gdy szare,
zadumane zwierzę,
o ogonie tak długim, że ciągnął się za nim po
ziemi, szło
krocząc uroczyście przez cynie; Konsul
pochylił się, kle
pał ręką po udzie. — Moja-kici-kici-Priapa-
pra-kotka.
Kotka, poznawszy głos przyjaciela,
miauknęła radośnie,
wspięła się na siatkę i już po sekundzie
mrużąc ocie
rała się o nogę Konsula. — Moje małe
Xicotancatl. —
Konsul wyprostował się. Gwizdnął krótko
dwa razy, uszy
kotki u jego stóp drgnęły. — Wyobraża
sobie, że jestem
drzewem, na którym siedzi ptaszek —
wyjaśnił.
—Wcale bym się nie dziwił — odparł pan
Quincey,
który napełniał właśnie konewkę wodą.
—Zwierzęta niejadalne i hodowane tylko
dla przy
jemności... czy to ciekawość, czy kaprys?
Więc jak? Są
to słowa Williama Blackstone'a... na
pewno pan o nim
słyszał! — Konsul, nie wiadomo jakim
cudem, siedział
teraz na ziemi i mówił na pół do kota, na
pół do plan
tatora orzechów, który przystanął, żeby
zapalić papie
rosa. — Czy też może był jakiś drugi William
Blacksto-

ne? — Przemawiał teraz wprost do pana Quinceya, który nie zwracał na niego uwagi. — To jedna z moich ulubionych postaci. Tak... myślę, że to był William Blackstone.

Priapus — w mitologii greckiej bóg pól i ogrodów, syn Afrodyte i Dionizosa, jest symbolem siły rozrodczej, natury i rozkoszy zmysłowych.

Albo może Abraham... W każdym razie pewnego dnia zjawił się w miejscowości, która teraz jest... mniejsza

O nazwę... gdzieś w Massachusetts. I żył tam sobie spokojnie między Indianami. Po jakimś czasie purytanie osiedlili się na drugim brzegu rzeki. Zaprosili go do siebie, powiedzieli, rozumie pan, że u nich tu klimat zdrowszy. Ach, ci ludzie, ci ludkowie z pomysłami w głowie — zwrócił się do kotki. — Nie spodobał się staremu Williamowi, naprawdę się nie spodobał, więc wrócił między Indian, naprawdę wrócił. Ale purytanie go odnaleźli, proszę pana, to jasne. Wtedy wziął nogi za pas i zniknął, Bóg jeden wie, gdzie się podział... otóż, mały kotku — Konsul wskazał palcem na swoją pierś, a kotka (wąsy sterczące, grzbiet wygięty w łuk, poczucie własnej ważności) zrobiła krok do tyłu — Indianie są tutaj.

— No pewnie — westchnął pan Quincey, trochę teraz przypominając poirytowanego sierżanta w koszarach — razem z tymi wężami i białymi myszkami, i tygrysami,

O których pan mówił.

Konsul roześmiał się, ale jego śmiech nie brzmiał wesoło, jak gdyby część jego umysłu — ta, która wiedziała, że wszystko to w istocie jest burleską odgrywaną kosztem wielkiego i szlachetnego człowieka, kiedyś jego przyjaciela — wiedziała również, jak tania jest przyjemność, której mu dostarcza to przedstawienie.

— Nie mam na myśli prawdziwych Indian... I nie mówię, że w ogrodzie. Tu. — Znowu uderzył się w pierś. — Tak, ostatnia bariera świadomości, to wszystko. Geniusz, jak to często powtarzam — dodał wstając, poprawiając krawat (natychmiast o nim zapomniał) i prostując plecy, jak gdyby miał zamiar odejść ze stanowczością, która, pożyczona na tę okazję z tego samego źródła co geniusz

1 zainteresowanie kotami, natychmiast go opuściła — ge
niesz sam da sobie radę.

Gdzieś w oddali bił zegar; K.hsul wciąż stał bez ruchu. „Och, Ivonne, czy to możliwe, że już cię zapomniałem — w tym jedynym dniu ze wszystkich dni?” Dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden uderzeń. Jego zegarek

wskazywał godzinę za piętnaście jedenastą. Ale zegar jeszcze nie skończył: uderzył jeszcze dwa razy, dwa głuche, tragiczne tony: bing-bang, zgrzytliwe. Teraz pustkę w powietrzu wypełniły szepty: *alas, alas*. Naprawdę znaczyło to skrzydła.

—A co się stało z tym pana przyjacielem... nigdy nie mogę zapamiętać jego nazwiska... ten Francuz? — spytał pan Quincey, już przed chwilą.

—Laruelle? ■— Głos Komsuła przyptynął z daleka. Po czuł zawrót głowy; zamknął znużone oczy i uczepił się siatki, żeby utrzymać równowagę. Słowa pana Quinceya zastukały do jego świadomości, czy też może ktoś na prawdę stukał do jakichś drzwi, przestał, zastukał znowu, głośniej. Stary De Quincey; stukanie do bram w Mak becie. Stuk, stuk, stuk; kto tam? Kot. Jaki kot? Kot-astrofa. Co, katastrofa? Jaka katastrofa? Kota katastrofa. To ty mój katastrokotku? Czy poczekasz maleńką wieczność, dopóki nie zamordujemy z Jacques'em snu? Kata-basis katastrofy kota... *Cathartes atratus*^x. Naturalnie po winien był wiedzieć: oto są ostatnie chwile wycofywania się ludzkiego serca i ostatecznego wejścia szatańskiego, przez noc izolowanego... tak jak prawdziwy De Quincey (ten pospolity narkoman, pomyślał otwierając oczy; prze konał się, że patrzy prosto w kierunku butelki z teąquilą) wyobraża sobie przez noc izolowane zabójstwo Duncana i innych, zamknięte w głębokiej synkopie i zawieszeniu wszystkich ziemskich namiętności... Ale gdzie się podział pan Quincey? I, mój Boże, któż to idzie mu na ratunek, zasłonięty gazetą poranną, któż to idzie przez trawnik, na którym oddech węzów pryskających wodą zatrzymał się jak za sprawą magii, jeżeli nie doktor Guzman?

A jeżeli nie Guzman, jeżeli nie Guzman, to chociaż to niemożliwe, to jednak tak — ni mniej, ni więcej tylko postać towarzysza jego ostatniej nocy, doktora Vigila; ale co on

tu, na Boga, robi? W miarę jak postać zbliżała się, Konsul odczuwał wzrastający niepokój. Pewnie Quincey

1 Sęp żywiący się padliną.

jest jego pacjentem. A jeśli tak, dlaczego doktor nie jest u niego w domu? Co znaczy to przemykanie się chyłkiem przez ogród? Mogło znaczyć tylko jedno: wizyta Vigila tak została wymierzona, żeby zbiec się w czasie z jego własną przypuszczalną wizytą do teauili (choć zdołał ich tak zgrabnie wywieść w pole), naturalnie w tym celu, żeby go szpiegować, żeby zdobyć o nim jakieś informacje, jakiś klucz do tego, co aż nazbyt oczywiście znajduje się na stronicach tej oskarżycielskiej gazety: „Wznowienie starej sprawy «Samarytanina», Komandor Firmin przebywa podobno w Meksyku.” „Firmin uznany za winnego, uwolniony od kary, płacze w sądzie.” „Firmin niewinny, ale dźwiga brzemień winy świata.” „Ciało Firmina znalezione w bunkrze węglowym” — takie monstrualne tytuły Konsul rzeczywiście natychmiast ujrzał w myślach, albowiem doktor nie czytał sobie ot zwyczajnie „El Uniwersa!”, tylko odczytywał przeznaczenie Konsula; ale istoty jego dzisiejszego sumienia ani myślały dać się wykluczyć, towarzyszyły tej gazecie usuwając się na bok (gdy doktor przystanął i rozglądał się po ogrodzie) z odwróconymi twarzami, nasłuchując, szepcząc teraz: „Nas nie oszukasz. My wiemy, co robiłeś ostatniej nocy.” Więc co on zrobił? Zobaczył zrnów dość wyraźnie — gdy doktor Vigil dostrzegł go, uśmiechnął się, zamknął gazetę i zaczął iść spiesznie w jego kierunku — gabinet lekarski na Avenida de la Revolución, który odwiedził nad ranem z jakichś pijackich powodów, gabinet makabryczny z obrazami starodawnych hiszpańskich chirurgów o kozich twarzach wynurzających się dziwacznie z kryz jak ektoplazmy, ryczących ze śmiechu podczas swoich inkwizytorskich operacji; ponieważ jednak wszystko to zostało mu w pamięci tylko jako barwne tło nie mające nic wspólnego z jego własnym działaniem i ponieważ poza tym prawie nic nie pamiętał, małą pociechę znajdował w fakcie, że nie widział siebie na tym tle w żadnej zbrodniczej roli. W każdym razie mniejszą niż pociecha, jakiej doznał widząc uśmiech Vigila, i znacznie mniejszą niż pociecha, jakiej doznał teraz, gdy doikitor, dotarłszy do miejsca nie-

dawno opróżnionego przez plantatora orzechów, zatrzymał się i nagle złożył przed nim głęboki ukłon; skłonił się raz, dwa razy, trzy razy, tym samym bez słów, lecz przekonywająco zapewniając Konsula, że mimo wszystko w nocy nie została popełniona zbrodnia tak wielka, aby nie był już godny ludzkiego szacunku.

Potem równocześnie obaj mężczyźni jęknęli.

—*Que t...* — zaczął Konsul.

—*Por favor* — przerwał mu tamten ochryptym głosem, kładąc starannie wytmanicurowany chociaż drżący palec na ustach i rzucając trochę zaniepokojone spojrzenie na ogród.

Konsul skinął głową.

— Ależ naturalnie. Jest pan w tak świetnej formie, że z pewnością nie był pan wczorajszej nocy na balu — • po wiedział głośno i lojalnie, podążając za spojrzeniem doktora, chociaż pan Quincey, który mimo wszystko nie mógł być w takiej znowu świetnej formie, nadal się nie pojawiał. Prawdopodobnie zakręcał wodę w głównym kranie; ach, i co za nosens, że on podejrzewał spisek, kiedy to w tak oczywisty sposób była bezceremonialna wizyta, bo doktor idąc podjazdem zauważył pewno Quinceya pracującego w ogrodzie. Zniżył głos. — Ale, swoją drogą, czy mogę skorzystać ze sposobności i spytać, jaka jest pańska recepta na łagodny przypadek kociokwiku?

Doktor powtórnie obrzucił ogród zatroskanym spojrzeniem i zaczął się śmiać cicho, chociaż jego ciało dygotało w tej wesołości, białe zęby połyskiwały w słońcu, zdawało się śmiać nawet jego nieskazitelne granatowe ubranie.

—*Señor* — zaczął, jak dziecko zagryzając śmiech na wargach przednimi zębami — *Señor Firmin, por favor,* mnie przykro, ale tutaj muszę być jak — rozejrzał się znowu, wstrzymał oddech — jak apostoł. Chciał pan po wiedzieć, *señor* — ciągnął głosem równiejszym — że czuje

się pan tego ranka doskonale, zupełnie
jakby kot w panu
kwiczał.

—Hm, niezupełnie — odparł Konsul cicho
jak przed-

ni

tem, sam ze swej strony rzucając podejrzliwe spojrzenie w przeciwnym kierunku, na krzaki agawy rosnące za *barranca*, które wyglądały jak batalion idący w górę stoku pod ogniem karabinów maszynowych. — To byłaby lekka przesada. Wyrażając się prościej: co by mi pan radził w przypadku chronicznego, kontrolowanego, wszechogarniającego i nieuchronnego delirium tremens?

Doktor Vigil drgnął. Na pół rozbawiony uśmieszek błąkał mu się w kącikach warg; jednocześnie zdołał niezbyt pewnymi palcami zwinąć gazetę w tubę.

— Chce pan powiedzieć — podjął wykonując ręką przed oczyma szybki, falisty, zataczający kręgi, jakby petzający ruch — że raczej...

Konsul raźnie kiwnął głową. Bo w jego duszy zapanował spokój. *Zdażył* przeczytać tytuły gazety, które dotyczyły wyłącznie choroby papieża i bitwy o Ebro.

—...*progresión* — doktor powtórzył gest, tylko wolniej, jego palce zdawały się petznąć, każdy oddzielnie, wykrzywione jak szpony, głowa trzęsała mu się jak u idio ty — *a ratos!*¹ — wybuchnął. — *Si* — ■ powiedział ody- mając wargi i uderzając się ręką w czoło gestem udanego przerażenia. — *Si* — powtórzył. — Okrrropne... Chyba najlepszy sposób wypić trochę więcej.

—Pański doktor powiedział mi właśnie, że w moim przypadku delirium tremens może nie być zgubne. — Konsul, nareszcie sam 'tryumfujący, poinformował o tym pana Quinceya, który właśnie nadszedł.

A już w następnym momencie — ale nie wcześniej, niż dokonana się między nim i doktorem ledwie zauważalna wymiana sygnałów, maleńki, symboliczny ruch dłoni w kierunku ust ze strony Konsula, który jednocześnie spojrzął na dom, ze strony zaś Vigila nieznaczny, jakby trzepoczący ruch ramion rozpostartych pozornie w akcie przeciągania się, co miało znaczyć (w tajemnym języku znanym tylko wybitniejszym członkom Wielkiego Bractwa Alkoholu): „Jak skończysz, przyjdź, dostaniesz

1 postępujące... z przerwami
(hiszp.)

172

kropelkę." „Nie powinienem, bo jak wypiję, «popłynę»... zresztą wiesz, może przyjdę" — już w następnym, zdawało się, momencie pił znowu z butelki tequila. A jeszcze w chwilę później, zdawało się, że powoli i pewnie płynie przez słońce w kierunku samego domu. Eskortowany przez kotkę pana Qumceya, która szła ścieżką ścigając jakiegoś owada, Konsul szybował w bursztynowej aureoli. Poza domem, gdzie oczekujące go problemy zdawały się być już o krok od stanowczych rozwiązań, dzień rozpościerał się przed nim jak bezkresna, falista, cudowna pustynia, przez którą idzie się, żeby zabłądzić, ale zabłądzić w rozkoszny sposób; nie zabłądzić jednak do tego stopnia, żeby nie móc odnaleźć kilku koniecznych dołów ze stojącą wodą czy z rzadka rozrzuconych oaz tequili, gdzie dowcipni strażnicy potępienia, nie rozumiejący tego, co on będzie do nich mówić, napoją go i wskażą mu dalszą drogę do wspaniałej puszczy Parian, gdzie człowiek nigdy nie jest spragniony i gdzie teraz Konsul podążał wabiony pięknie rozptywającymi się mirażami, obok szkieletów jak oszronione druty, obok wędrujących rozmarzonych lwów, podążał ku nieuchronnej własnej katastrofie — przy czym cały czas szło mu się naturalnie rozkosznie — bo kto wie, czy nie okaże się w końcu, że katastrofa zawiera w sobie pewien element tryumfu? Ale Konsul nie był teraz bynajmniej w ponurym nastroju. Przeciwnie. Świat rzadko przedstawiał mu się w tak wesołych barwach. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z niezwyklej ruchliwości otaczającej go ze wszystkich stron w ogrodzie: jaszczurka wpełzała na drzewo, jaszczurka innego gatunku biegła w dół pnia, ciemnozielony koliber badał kielich kwiatu, inaczej ubarwiony koliber zabierał się żarłocznie do innego kwiatu; ogromne motyle, których równiutko stębno-wane wzory przypominały haftowane bluzki na targu, fruwały trzepocząc skrzydełkami z leniwym zwinnym wdziękiem (bardzo podobnie opisała je Ivonne, gdy witały ją wczoraj w Zatoce Acapulco — huragan podartych na strzępki kolorowych listów miłosnych unoszonych wiatrem za oknami salonu na pokładzie spacerowym); mrówki

z płatkami szkarłatnych kwiatów lawirujące tu i tam po ścieżce; podczas gdy z *góry*, z dołu, od strony nieba i — mogłoby się zdawać — z głębi ziemi napływał bezustanny odgłos gwizdania, żucia, grzechotania, nawet trąbienia. Gdzie przebywa jego przyjaciel wąż? Schował się zapewne na gruszy. Z gałęzi tych grusz zwisały karafki pełne kleistej żółtej cieczy do chwytania owadów, wciąż z nabożeństwem wymieniane raz na miesiąc przez miejscową szkołę ogrodniczą. (Jakże weseli są Meksykańczycy! Studenci szkoły robili z tej okazji, jak robili z niemal każdej okazji, coś w rodzaju tańca, przyprowadzali ze sobą dziewczyny, śmigali z drzewa na drzewo, zdejmowali stare szkło i zawieszali nowe — jakby to wszystko było sceną z jakiegoś baletu komicznego — a potem godzinami wylegiwali się w cieniu, jak gdyby Konsul w ogóle nie istniał.) Nagle zafascynowało go zachowanie się kotki pana Quinceya. Kotka schwytała w końcu owada, ale zamiast go pożreć, trzymała jego odwłok, nie uszkodzony, bardzo delikatnie w zębach, podczas gdy śliczne, świecące skrzydełka owada, którymi wciąż trzepotał (bo ani na chwilę nie zaprzestał lotu) sterczały spod wąsów kotki, wachlowały je. Konsul pochylił się, żeby ratować owada. Ale kotka jednym susem umknęła z zasięgu jego ręki. Konsul schylił się powtórnie, z tym samym rezultatem. I w ten niedorzeczny sposób — Konsul pochylał f^ę, kotka umykała z zasięgu jego ręki, owad wciąż fruwał jak oszalały w pyszczku kotki — Konsul *zbliżył* się do ganku. W końcu kotka wyciągnęła łapę gotową do zadania śmiertelnego ciosu i otworzyła *pyszczyk*, a owad, który ani na chwilę nie przestał bić skrzydełkami, nagle cudownym sposobem wyfrunął — jak wyfrunąć *może ludzka* dusza ze szponów śmierci — wyfrunął i poszybował wysoko, wysoko ponad drzewa; i w tym momencie Konsul ich zobaczył. Stali na werandzie: Ivonne trzymała naręczce bougainvillei, które układała w kobaltowej wazie.

— ...ale powiedzmy, że będzie głuchy na wszystkie prośby. Powiedzmy, że po prostu nie zechce pojechać...

uważaj, Hugh, tam jest pełno kolców, i patrz dobrze, czy nie ma gdzieś pająka.

— Jak się masz, Suchiatel! — zawołał wesoło Konsul machając ręką, gdy kotka, rzucając mu przez ramię oziębite spojrzenie, które mówiło wyraźnie: „Przecież ja nie miałam na niego ochoty i tak bym go puściła”, upokorzona smyknęła między krzaki. — Jak się masz, Hugh, stary węzu w trawie!

Dlaczego więc siedzi teraz w łazience? Czy śpi? Czy umarł? Zemdlął? Czy jest w łazience teraz, czy był przed półgodziną? Czy to noc? Gdzie są tamci? Ale nagle usłyszał głosy tamtych na werandzie. Tamtych? Głos Hugh'a i Ivonne naturalnie, bo doktor już poszedł. Przez chwilę gotów był jednak przysiąc, że dom jest pełen ludzi; ach, to jeszcze ciągle jest rano dzisiejszego dnia, a raczej południe, zegarek pokazywał dwunastą piętnaście. O jedenastej rozmawiał z panem Quinceyem. — Oooch... oooch — jęknął Konsul na głos... Nagle przypomniał sobie, że ma się przygotować, bo jadą do Tomalin. Ale jak zdołał przekonać kogokolwiek, że jest dość trzeźwy, żeby pojechać do Tomalin? I dlaczego Tomalin?

Procesja obrazów jak małe, podstarzałe zwierzątka przesunęła mu się przez myśli i w myślach szedł znów pewnym krokiem przez werandę; tak szedł przed godziną, zaraz potem, jak widział owada wyfruwającego z pyszczka kotki.

Przeszedł przez werandę uśmiechając się trzeźwo do Ivonne i w drodze do lodówki ucisnął rękę Hugh'a; oitwie-rając lodówkę, wiedział nie tylko, że oni o nim mówili, ale z jednego jasnego fragmentu zasłyszanej rozmowy domyślił się też mgliście całego jej sensu — podobnie jak widząc rąbek księżycy w pierwszej kwadrze domyśliłby się kształtu całej tarczy, chociaż reszta byłaby mroczna, oświetlona tylko światłem odbitym z ziemi.

Ale co było potem? — Och — zawołał znów Konsul na głos. — Och. — Twarze z ostatniej godziny majaczyły przed nim, krążyły postacie Ivonne, Hugh'a, doktora Vigila, poruszały się szybko i konwulsyjnie jak postacie na sta-

rych niemych filmach, ich słowa były bezstawnymi wybuchami w jego mózgu. Nikt nie robił nic ważnego; a jednak wszystko zdawało się posiadać jakieś szczególne, prawie niebotyczne znaczenie, na przykład gdy Ivonne powiedziała: „Widzieliśmy armadyla”, a on rzucił: „Jak to, nie widma Tarsjusza?”, po czym Hugh otworzył dla niego zamrożoną butelkę piwa Carta Blanca, odbił kapsel o krawędź parapetu i wlał pianę do szklanki, której bezpośrednia bliskość z butelką strychniny straciła, trzeba to teraz przyznać, całą niemal wymowę.

Teraz w łazience Konsul zorientował się nagle, że ma wciąż do połowy napętnioną szklankę lekko zwietrzałego piwa; ręka prawie mu się nie trzęsała, była jednak zdrętwiała od trzymania szklanki; pił powoli, przezornie odsuwał od siebie problem, jaki wkrótce, wraz z opróżnieniem szklanki miał się przed nim wyłonić... ■— Nonsens — powiedział do Hugh'a. I dodał z imponującą konsularną stanowczością, że Hugh w żadnym wypadku nie może wyjechać zaraz, w każdym razie nie do Mexico City, że jest tylko jeden autobus, ten, którym Hugh przyjechał, a który wrócił już do miasta, a poza tym pociąg, który iwyjeżdża dopiero o jedenastej czterdzieści pięć w nocy...

Potem: „Jest pan pewien, że to nie Bougainville, doktorze?” — pytała Ivonne. Naprawdę zdumiewające, jak te wszystkie błahe szczegóły wydawały mu się teraz w łazience złowieszcze, ważne, rozognione. „Jest pan pewien, że to nie Bougainville odkrył bougainvilleę?” — pytała Ivonne, podczas gdy doktor pochylony nad kwiatami miał minę czujną i zdziwioną, ale nie mówił nic, mówił może tylko oczami, zaledwie zdradzając, że oto natknął się na „kryzys”. „Po zastanowieniu zdaje mi się, że to był chyba Bougainville, stąd nazwa” — powiedział głupkowato Hugh siadając na parapecie. „Si. Można wejść do *botica*^x i żeby nie było nieporozumień powiedzieć: *favor de servir una toma de vino quinado o en su defecto una toma de nuez*

— *B o t i c a* — drogeria, apteka, sklep,
(hiszp.)

vomica, pero..."¹ — śmiał się doktor Vigil, mówiąc chyba do Hugh'a, bo Ivonne przed chwilą wymknęły się do swojego pokoju, gdy tymczasem Konsul, podstuchując, był znowu przy lodówce i wyjmował następną butelkę piwa. I potem: „Och, ja tak straszny byłem chory tego rana, że trzymać musiałem się na ulicy okien.” I do Konsula, gdy wrócił spod lodówki: „Proszę, niech pan wybaczy moje głupie zachowanie tej nocy. Och, ja dużo głupie rzeczy wszędzie ostatnie dni robiłem, ale — podnosząc szklanke whisky — nie będę już pił. Potrzeba mi będzie dwa całe dni sen, żeby wrócić do siebie.” I wreszcie, gdy nadeszła Ivonne, przypił znowu do Konsula i z brawurą wydał wszystko: „*Salud*. Mam nadzieję, że pan nie taki chory jak ja. Pan był wczorajszej nocy tak *perfectamento borracho*, że myślałem picie pana zabiło. Myślałem nawet posłać chłopca do pana lego rano, żeby zastukać do pana drzwi i zobaczyć, czy picie pana me zabiło” — powiedział doktor Vigil.

Dziwny człowiek; w łazience Konsul sączył swoje zwietrzałe piwo. Dziwny, zacny, wspaniałomyślny, trochę, może, tylko brak mu taktu, chociaż nie w stosunku do niego. Dlaczego ludzie nie potrafią pić? On sam zdołał jakoś przy Quinceyu okazać zrozumienie dla sytuacji doktora. Po ostatecznej analizie trzeba dojść do wniosku, że nie ma ludzi, z którymi można by ufnie pić do dna pucharu. Myśl budząca w człowieku uczucie osamotnienia. Ale o wspaniałomyślności doktora nie można było wątpić. Już po chwili zaprosił ich wszystkich, mimo „dwa całe dni sen”, do Guanajuato; lekkomyślnie miał zamiar wyjechać na swój dwudniowy urlop samochodem jeszcze tego wieczoru, po problematycznej grze w tenisa po południu z...

Konsul upił tyk zwietrzałego piwa. — Och — zadygotał. — Och. — Kiedy przekonał się w nocy, że Vigil jest Przyjacielem Jacques'a Laruelle'a, było mu to trochę przykre; doznał znacznie silniejszego wstrząsu, kiedy mu tym przypomniano dzisiejszego ranka... Tak czy inaczej,

— i Tak... proszę mi podać porcję
wina z chininą albo, jeśli tego
nie macie, proszą o *nux vomica*,
ale... (mszp.)

Hugh odrzucił propozycję dwustomilowej wycieczki do Guanajuato, ponieważ Hugh — a jak zdumiewająco dobrze wyglądał mimo wszystko ten kowbojski strój na jego smukłej, niedbalej w ruchach postaci! — postanowił nieodwołalnie wyjechać nocnym pociągiem; natomiast Konsul odmówił zastaniając się Ivonne.

Konsul zobaczył znów siebie, jak stojąc przy parapecie spogląda w dół na pływalnię, małeńki turkus osadzony w ogrodzie. Tyś jest grobem, w którym pogrzebana miłość spoczywa. Poruszały się w niej odwrócone odbicia drzew bananowych i ptaków, karawany chmur. Kępki świeżo skoszonej trawy pływały na powierzchni. Z popękanego, poprzerwanego węża, który na całej długości tryskał małeńkimi fontannami, ciurkała do pływalni, prawie już teraz pełnej, zimna woda góraska.

Potem Ivonne i Hugh pływali w basenie...

„*Absolutamente*” — mówił wtedy doktor, który stał obok Konsula przy parapecie werandy, zapalając z uwagą papierosa. „Mam tu • — powiedział Konsul, zwracając twarz ku wulkanom i czując, jak jego żałość ulatuje na te wyżyny, na których nawet teraz, w samo południe, zacinający śnieg smaga twarz, a ziemia pod stopami jest umarłą lawą, bezduszną, skamieniałą pozostałością wystygłej plazmy, w której nawet najdziksze i najsamotniejsze drzewa nie zapuszczają korzeni — mam tu jeszcze jednego nieprzyjaciela tam z tyłu za domem, którego pan nie widzi. Słonecznik. Wiem, że mnie szpieguje i wiem, że mnie nienawidzi.” „*Exactamente* — powiedział doktor Vigil — bardzo możliwe będzie nienawidził pana mniej, jak pan przestanie pić tequilę.” „Zgoda, ale dzisiaj rano piję tylko piwo — oznajmił Konsul z przekonaniem w głosie — co pan widzi na własne oczy.” „*Si, hombre*” — przyznał doktor, który po kilku miarkach whisky (z nowej butelki) zrezygnował z wysiłków usadawiania się w taki sposób, żeby go nie widziano¹ od strony domu Quinceya, i stanął odważnie przy parapecie obok Konsula. „Istnieją — dodał Konsul — tysiące aspektów tego piekielnego piękna, o którym wspominałam, każdy niosący swoje własne tortury,

każdy zazdrosny jak kobieta o wszystkie inne podniety prócz tych, których sam dostarcza." „Naturalmente ■— powiedział doktor Vigil. — Ale jeżeli pan mówi serio o swoim *progresión a ratos*, może pan pojechać w podróż dłuższą niż ta, do której namawiam." Konsul odstawił szklanę na parapet, doktor mówił dalej: „Ja też, chyba że powstrzymamy się od więcej niefpicia. Wydaje mi się, *mi amigo*, choroba jest nie tylko w ciele, jest w tej części co ją nazywali: dusza." „Dusza?" „Precisamente — powiedział doktor, szybkimi ruchami zwierając i rozwierając palce. — Że tylko siatka? Siatka. Nerwy są siatką, podobne do... jak się to mówi... eklektyczny *systeme*." „Ach, doskonale — powiedział Konsul — ma pan na myśli system elektryczny, czyli elektryczną instalację." „Ale po wypiciu dużo tequila — ciągnął doktor — eklektyczny *systeme* jest może *un poco descompuesto*, *comprenez*, jak czasem w *cine. Claro?*" „Coś w rodzaju eklampsji" — powiedział Konsul kiwając beznadziejnie głową i zdejmując okulary, i w tym momencie przypomniał sobie, że od blisko dziesięciu minut nic nie pił; tequila też już prawie przestała działać. Spojrzał na ogród i było tak, jakby strzępki oderwane od jego powiek fruwały i śmigwały przed nim układając się w roztrzęsione kształty i cienie, podskakując w rytm występnego klekotania w jego mózgu, które nie było jeszcze głosami, ale głosy wracały, głosy wracały; ukazał się przed nim ponownie obraz jego duszy jako miasta, jednak tym razem miasta, które zrujnował i spustoszył idąc przez nie czarną ścieżką nieumiarkowania, i zamknąwszy rozognione powieki myślał o cudownie funkcjonującym systemie u tych, którzy naprawdę żyją — kontakty podłączone, nerwy napięte tylko w chwilach rzeczywistego niebezpieczeństwa, a w pozbawionym koszmaru śnie teraz spokojne, nie odpoczywające, a jednak w równowadze: cicha wioska. Chryste, jak to wzmaga udrękę (tymczasem tamci wyobrażają sobie na pewno, że ^mu jest cudownie), kiedy człowiek uświadomi sobie tamto

— i trochę zepsuty

(hiszp.)

12*

wszystko i kiedy jednocześnie uświadomi sobie straszliwy rozpad całego mechanizmu — światło, które to zapala się, to gaśnie, to wybuchą płomieniem zbyt jasnym, to znów jest przyćmione, bo czerpie nierówną siłę z rozładowującego się akumulatora — kiedy wie w końcu, że całe miasto pogrążone jest w ciemności, komunikacja w chaosie, ruch zatamowany, grożą bomby, myśl się gubi...

Konsul wypił teraz resztę zwietrzałego piwa. Siedział wpatrując się w ścianę łazienki, w pozę, która mogłaby być groteskową parodią staroświeckiej „pozy zamyślenia”. „Bardzo mnie interesują obłąkani.” Dość to dziwny sposób rozpoczynania rozmowy z kimś, kto autora tej uwagi zaprosił przed chwilą do baru. Ale dokładnie tymi słowy doktor rozpoczął z nim poprzedniej nocy rozmowę w barze „Bella Vista”. Czy to możliwe, że doświadczone oko Vigila dostrzegło zbliżający się obłąd (swoją drogą słowo „zbliżający się” brzmi śmiesznie, jeśli zważyć, co sam Konsul myślał o tym przed chwilą), podobnie jak ludzie obserwujący przez całe życie wiatry i pogodę mogą przepowiedzieć, chociaż niebo jest bezchmurne, kiedy nadejdzie burza, ciemność, która przygalopuje znikąd ponad polami ludzkiej duszy. Chociaż nie można powiedzieć, żeby w tym zestawieniu niebo było takie bezchmurne. Ale jak dalece interesowałby doktora człowiek, który czuje, że miazdzą go siły wszechświata? Jakie kataplazmy przykładałby do jego duszy? Co nawet hierofanci nauki mogą wiedzieć o przerażającej sile potencjalnej tego, co — dla nich — jest nie rodzącym owoców złem? Konsulowi niepotrzebne było doświadczone oko, żeby dostrzec na tej ścianie, czy na jakiegokolwiek innej, Mane Tekel Fares dla świata, w porównaniu z czym zwykły obłąd jest kropelką w morzu. Ale kto by mógł uwierzyć, że nieznany człowiek, siedzący w centrum świata, powiedzmy w łazience, i snujący samotne, żałosne myśli, stanowi o losie świata, że nawet teraz, kiedy rozmyśla, jest to tak, jak gdyby ktoś za sceną pociągał sznurki, jak gdyby całe kontynenty stawały w ogniu, jak gdyby katastrofa przysuwała się bliżej — jak właśnie teraz, w tej może chwili,

z nagłym wstrząsem i zgrzytem katastrofa przysunęła się bliżej i, o czym Konsul nie wiedział, niebo pociemniało na dworze. A może nie jest to mężczyzna tylko dziecko, małe dziecko, niewinne jak tamten Geoffrey, które siedzi jak gdyby gdzieś wysoko na chórze i gra na organach, wyciąga na chybił trafił wszystkie rejestry — i królestwa kruszą się i walą, obrzydlistwa spadają z nieba... dziecko niewinne jak to maleństwo śpiące w trumnie, która minęła ich, gdy szli Calle Tierra del Fuego...

Konsul podniósł szklanę do ust, skosztował jej pustkę, a potem odstawił ją na podłogę, jeszcze wilgotną od stóp pływaków. Nieodgadniona tajemnica podłogi w łazience. Przypomniał sobie, że gdy następnym razem wszedł na werandę z butelką Carta Blanca — chociaż z jakichś względów wydawało mu się teraz, że było to bardzo dawno temu, gdzieś kiedyś w przeszłości — miał uczucie, że coś, co było nieuchwytnie, w tajemniczy sposób rozdzieliło drastycznie tamtą powracającą postać od niego siedzącego teraz w łazience, przy czym ta postać na werandzie, mimo że potępiona, wydawała się młodsza, obdarzona większą swobodą ruchów, swobodą wyboru, posiadająca, już chociażby dlatego, że trzymała znów w ręce pełną szklanę piwa, lepsze nadzieje na przyszłość — gdy więc następnym razem wszedł na werandę, Ivonne, młoda i ładna w swoim białym satynowym kostiumie kąpielowym, chodziła na palcach dokoła doktora, który mówił:

— Señora Firmin, ja naprawdę
rozczarowany państwo
nie mogą pojechać.

Konsul i Ivonne spojrzeli na siebie i w ich wzroku było wzajemne zrozumienie, prawie zrozumienie, a potem Ivonne znowu pływała i doktor mówił do Konsula:

— Guanajuato jest położone w
przepięknym amfiteatrze
stromych wzgórz. Guanajuato... pan mi nie
wierzy, jak
ona tam w ogóle może leżeć, jak stary
piękny klejnot na
piersi naszej babki. Guanajuato — mówił
dalej doktor Vi-
gil — te ulice. Kto się oprze nazwom te
ulice? Ulica Po
całunków. Ulica Śpiewających Żab. Ulica
Małej Głowy.
Czy to nie za... za... zabrzydzające?

—• Obmierźle — powiedział Konsul. — To zdaje się w Guanajuato chowają nieboszczyków w pozycji stojącej? — Ach, właśnie w tym momencie przypomniał sobie o ujeżdżaniu byków i czując nagły przyptyw energii zawołał do Hugh'a, który zamyślony siedział nad brzegiem basenu w kostiumie kąpielowym Konsula. — Tocmalin jest bardzo blisko Parian, dokąd pojechał twój kumpel. Moglibyśmy nawet tam skoczyć. — I zwrócił się do doktora. — Może pain by z nami pojechał?... Zostawiłam moją ulubioną fajkę w Parian. Przy odrobinie szczęścia może zdołam ją odzyskać. W „Farolito”. — A wtedy doktor powiedział.

—*Oooo, es un infierno*^a — podczas gdy Ivonne, pod nosząc klapkę czepka kąpielowego, żeby lepiej słyszeć, spytała potulnie:

—Och, ale chyba nie walka byków? —

Na co Konsul:

—Nie, coś w rodzaju ujeżdżania byków. Jeżeli nie jesteś za bardzo zmęczona.

Ale naturalnie doktor nie mógł pojechać z nimi do To-malin, chociaż nawet nie poruszali tej sprawy, bo właśnie wtedy straszliwa detonacja przerwała rozmowę; od potężnego huku zatrzęsł się dom, a przerażone ptaki wzbiły się w powietrze i w panice szybowały nad ogrodem. Ćwiczenia wojskowe w Sierra Mądre. Konsul na pół słyszał je przez sen, kiedy spał na werandzie. Kłębki dymu płynęły wysoko nad skałami w głębi doliny u podnóża Popocatepetl. Trzy czarne sępy mknęły wśród drzew tuż nad dachem wydając zduszone, ochrypte krzyki jak krzyki miłości. Zdawało się, że gnane przerażeniem runą na ziemię, leciały blisko siebie, ale balansując pod różnymi kątami, żeby uniknąć kolizji. Potem znalazły sobie inne drzewo i echo karabinów maszynowych odpłynęło za dom wzbijając się coraz wyżej i wyżej i cichnąc, podczas gdy gdzieś niedaleko zegar wybijał dziewiętnaście uderzeń. Była dwunasta i Konsul mówił do doktora:

—Ach, oby to, co wymarzył ponury czarnoksiężnik w swojej proroczej jaskini, podczas gdy ręka dygotała

¹To jest piekło (hiszp.)

mu (ten kawałek lubię najbardziej) w ostatnim stadium rozkładu, stało się prawdziwym końcem tego naszego miłutkiego świata. Jezu. Czy pan wie, *compañero*, czasem mam uczucie, że świat dosłownie zapada mi się pod stopami, jak Atlantyda. Coraz niżej, niżej, w dół do przerażających „połipów”. Meropis Teopompa... I te *ignivome*¹

góry. A doktor, który posepnie kiwał głową, powiedział:

— *Si*, to wyraźnie tequila. *Hombre, un poco de cerveza, un poco de vino*,² ale nigdy żadna więcej tequila. Nigdy żaden więcej mescal. — I potem doktor mówił szeptem: — *Ale, hombre*, teraz kiedy wróciła pama *esposa*³. — Konsulowi zdawało się, że doktor powtarzał to kilkakrotnie, tylko z innym wyrazem twarzy: „*Ale, hombre*, teraz kiedy wróciła pama *esposa*.” I potem doktor zbierał się do odejścia. — Ja nie muszę być natręt, żeby wiedzieć, że może przyda się panu moja rada. Nie, *hombre*, jak mówiłem wczoraj w nocy, ja nie interesuję się pieniędzmi tak... *Con permiso*, tynk nie taki dobra. — Maleńki deszczyk tynku spadł istotnie na głowę doktora. I potem: — *Hasta la vista*.

— *Adios*.

— *Muchas gracias*. Bardzo dziękuję.

— Szkoda, że nie możemy pojechać.

• — Dobrej zabawy — to od strony pływalni. I znowu:

— *Hasta la vista* — a potem cisza.

A teraz Konsul był w łazience, żeby się przygotować do wyjazdu do Tomalin. — Och —< powiedział. — Och. — Ale, widzicie, nie stało się nic tak znowu strasznego. Najpierw należało się umyć. Znowu pocąc się i trzęsąc zdjął kurtkę i koszulę. Odkręcił kran nad umywalnią. Ale z jakichś niezrozumiałych powodów stał pod prysznicem na próżno czekając w udręce na wstrząs od zimnej wody. I był wciąż w spodniach.

Konsul siedział bezradnie w łazience obserwując owady, które przywarły do ściany pod różnymi kątami do siebie,

¹ rzygające ogniem (hiszp.)

2Człowieku, trochę piwa, trochę
wina... (hiszp.)
3żona (hiszp.)

jak statki na redzie. Gąsienica zaczęła pełznąć ku niemu rzucając na boki uważne spojrzenia badawczych czutek. Duży konik polny o wypolerowanym kadłubie przywarł do firanki, poruszał się lekko, czyścił sobie łepkę jak kot, jego oczy na słupkach zdawały się obracać w głowie; Konsul obejrzał się, przypuszczał, że gąsienica jest już znacznie bliżej, ale ona też się obróciła, leciutko zmieniając kierunek. Teraz zbliżał się do niego powoli skorpion. Konsul zerwał się dygocąc na całym ciele. Ale nie szło mu o skorpiona. Nagle wążutkie cienie pojedynczych gwoździ, plamy po zamordowanych komarach, nawet same zadrapania i pęknięcia na Ścianach zaczęły się roić i gdziekolwiek spojrzął, wylęgał się następny robak i natychmiast zaczynał pełznąć w kierunku jego serca. Zdawało się — i to było najbardziej przerażające — że cały świat owadów przybliżył się jakoś i teraz go ogarnie, zaleje. Na chwilę butelka tequila w głębi ogrodu rozjaśniła mrok jego duszy, potem Konsul potykając się wszedł do swojej sypialni.

Tutaj nie było już tego straszego, widzialnego rojenia się, jednakże, gdy leżał na łóżku, istniało ono nadal w jego mózgu, tak jak przedtem utrzymywała się w jego mózgu wizja umarłego człowieka, coś w rodzaju wrzenia, od którego jak od upartych werbli żegnających monarchę, który umiera, odrywały się od czasu do czasu na pół rozpoznawalne głosy:

„Na miłość boiska głupcze przestań uważaj co robisz nie możemy ci już dłużej pomagać.”

„Wdzięczny bym był za przywilej pomóc panu, za pańską przyjaźń. Leczyłbym pana. A pieniądze dla mnie znaczą nic.”

„Czy to ty, Geoffrey? Nie pamiętasz mnie? Twój stary przyjaciel. Abraham. Coś ty ze sobą zrobił, chłopcze?”

„Cha cha dostałeś za swoje *leżysz...* w trumnie a jakże.”

„Mój synu, mój synu.”

„Mój kochanku, O przyjdź do mnie znów jak kiedyś w maju.”

„...Nel mezzo* *del cholęnej camin di nostra vita mi ritrovai in...*”¹ Hugh rzucił się na leżankę stojącą na werandzie.

Silny, gorący, porywisty wiatr zawodził nad ogrodem. Odświeżony kąpielą i posilony kanapkami z indykiem, paląc cygaro, które dostał od Geoffreya i które parapet częściowo osłaniał od wiatru, Hugh leżał obserwując chmury pędzące przez meksykańskie niebo. Jak szybko płyną, jak za szybko płyną. „W połowie drogi żywota naszego, w połowie cholęnej drogi żywota naszego...”

Dwadzieścia dziewięć chmur. Kiedy człowiek ma dwadzieścia dziewięć lat rozpoczyna trzydziesty rok życia. A on ma dwadzieścia dziewięć lat. I teraz w końcu, chociaż może uczucie to narastało w nim przez cały ranek, wiedział, jak to jest, poznał uciążliwy ciężar tej wiedzy (która mogła być przyjść do niego, gdy miał dwadzieścia dwa lata, ale nie przyszła, która powinna była przyjść do niego, gdy miał dwadzieścia pięć lat, ale też jakoś nie przyszła, tej wiedzy kojarzonej dotąd tylko z ludźmi stojącymi na progu śmierci i A. E. Housmanern): że nie można być wiecznie młodym, że właściwie w mgnieniu oka nie jest się już młodym. Bo za niecałe cztery lata, które płyną tak szybko, że dzisiejszy papieros wydaje się wczorajszym, będzie miał trzydzieści trzy, za dalszych siedem, czterdzieści lat; za dalszych czterdzieści siedem,

i Urwany początek Pieśń I Boskiej komedii Dantego, który brzmi: „W połowie drogi żywota naszego nagle się w gęstym opłakaniem lesię. Już ścieżki prawej oczy nie dostrzegą.” Przekład Aliny Swiderskiej.

ponad osiemdziesiąt lat. Sześćdziesiąt siedem lat wydaje się pocieszająco długim okresem życia, ale wtedy będzie miał prawie sto lat. Nie jestem już cudownym dzieckiem. Nie mam już żadnych wymówek, żeby się zachowywać w ten nieodpowiedzialny sposób. Nie jestem mimo wszystko takim wspaniałym facetem. Nie jestem młody. Z drugiej strony: Jestem cudownym dzieckiem. Jestem młody. Jestem wspaniałym facetem. Może nie jestem? Kłamiesz, powiedziały drzewa chybotające się w ogrodzie. Jesteś zdrajca, zagrzechotały liście drzew bananowych. A na dodatek tchórz, dorzuciły przerywane dźwięki muzyki, które rwożę dowodziły, że na *zocalo* festyn już się zaczyna. A oni przegrywają bitwę o Ebro. Z twojej winy, powiedział wiatr. Jesteś zdrajca nawet w stosunku do swoich przyjaciół dziennikarzy, z których tak się lubisz natrzęsać, a którzy naprawdę są ludźmi odważnymi, przyznasz... Aaach! Jak gdyby pragnąc pozbyć się tych myśli Hugh przekręcał gałkę radia jeżdżąc tam i z powrotem po skali, usiłując złapać San Antonio. (Nieprawda, nie jestem. Nie zrobiłem nic takiego, co by usprawiedliwiało to poczucie winy. Nie jestem gorszy od innych...); ale niewiele mu to pomagało. Wszystkie jego postanowienia z dzisiejszego ranka nie miały już żadnej wartości. Bezskuteczna wydawała się dalsza walka z tymi myślami, niech sobie lepiej robią, co chcą. Przynajmniej pozwolą mu nie myśleć jakiś czas o Ivonne, nawet jeśli w końcu znowu go do niej zaprowadzą. Zawiódł go teraz nawet Juan Cerillo, podobnie jak w tym momencie San Antonio; wdarły się dwa meksykańskie głosy na dwóch różnych falach. Bo wszystko, coś zrobić dotąd, było nieuczciwe, zdawał się mówić pierwszy głos. Na przykład: jak potraktowałeś biednego starego Bolow-skiego, wydawcę nut — pamiętasz jego nędzny mały sklepik na New Compton Street, bocznicę Tottenham Court Road? Nawet to, co — jak w siebie wmawiasz — jest w tobie najlepsze, to znaczy twoja pasja pomagania Żydom, bierze swój początek w niehonorowym czynie. Co się tu dziwić, skoro on tak ci miłosierny wybaczył, że ty wyba-

czyteś mu jego łajdactwa — do tego stopnia, żeś był gotów wyprowadzić całą żydowską rasę z Babilonu... Nie. Bardzo się boję, że niewiele jest w twojej przeszłości tego, co mogłoby ci pomóc w przyszłości. — Mewa też nie? — spytał Hugh...

Mewa — czysty przeszukiwacz nieba widzialnego, łowca jadalnych gwiazd — którą uratowałem jako chłopiec, gdy zaplątała się w sieci na zboczu skały nadmorskiej i oślepiona śniegiem biła skrzydłami, bliska śmierci, a chociaż mnie dziobała, wyciągnąłem ją ręką za nóżki nieoka-leczoną i przez jedną cudowną chwilę trzymałem w słońcu, zanim nie wzbiła się w powietrze na anielskich skrzydłach i nie odleciała ponad zamrzniętym ujściem rzeki.

Pośród pagórków odezwała się znów artyleria. Gdzieś sapał pociąg jak zbliżający się statek parowy; może to ten sam pociąg, którym Hugh wyjedzie dziś wieczorem. Z dna basenu odbicie małego słońca jarzyło się i podskakiwało wśród odwróconych melonowców. Głębokie na milę odbicie sępów przetoczyło się i znikło. Ptak, w rzeczywistości przelatujący bardzo blisko, zdawał się fruwać zygzakami przez błyszczący wierzchołek Popocatepetl; wiatr ustał, co było raczej korzystne dla jego cygara. Radio też umilkło i Hugh położył się z powrotem na leżance.

Naturalnie mewa też nie była odpowiedzią. Zaprzepaścił mewę, ponieważ ją zdramatyzował. Nie był też odpowiedzią biedny człowieczek, który sprzedawał parówki. Ach, ten zimny grudniowy wieczór, gdy go spotkał pchającego nowy wózek po Oxford Street — pierwszy wózek z gorącymi parówkami w Londynie, jeździł nim po ulicach przez cały miesiąc i nie sprzedał ani jednej sztuki! Gonił resztkami, a tu trzeba utrzymać rodzinę i zbliża się Gwiazdka. O cieniu Karola Dickensa! Może właśnie nowość tego pechowego wózka, na którego kupno namówiono go podstępnie, wydawała się tak odstręczająca. Ale jak może liczyć na to, spytał go Hugh, gdy ponad nimi zapalałoi się gaśto monstrualne oszustwo, a wokół nich czarne, bezduszne budynki stały zatopione w nieczułym marzeniu własnej ruinie (zatrzymali się przed kościołem, z które-

go murów zdjęto postać Chrystusa na krzyżu pozostawiając tylko bliznę i napis: „Nic to dla was nie znaczy, którzy przechodzicie mimo?“), jak może liczyć na to, że sprzeda coś tak rewolucyjnego jak gorąca parówka na Oxford Street? Mógłby z równym powodzeniem próbować sprzedawać lody na Biegunie Południowym. Nie, powinien rozbić obóz przed barem na bocznej uliczce, i to nie przed jakim-bądź barem, tylko przed „Fitzroy Tavern“ na Charlotte Street, pełnym zgłodniałych artystów, którzy zapijają się na śmierć tylko dlatego, że ich dusze co wieczór między ósmą a dziesiątą skowyczą z tęsknoty do gorącej parówki. To jest właściwe miejsce!

Ale nawet sprzedawca gorących parówek nie był odpowiedzialny; mimo że jeszcze przed Bożym Narodzeniem zaczął robić wspaniałe interesy pod drzwiami „Fitzroy Tavern“. Hugh poderwał się raptownie obsypując wszystko dokoła popiołem z cygara. A czy to nic nie znaczy, że zaczynam pokutę, że chcę odpokutować moją przeszłość, w tak ogromnej mierze negatywną, samolubną, absurdalną i nieuczciwą? Nic nie znaczy, że mam zamiar wsiąść na statek załadowany dynamitem dla konających armii lojalistów? Nic to nie znaczy, że jestem gotów oddać życie za ludzkość, choć nie kawałek po kawałku? Nic to dla was nie znaczy, którzy przechodzicie mimo?... Ale niby co miało znaczyć i czego się spodziewał, skoro jego przyjaciele nie wiedzieli, że jedzie do Hiszpanii — na to pytanie nie umiałby odpowiedzieć. Konsul podejrzewał go prawdopodobnie o coś jeszcze bardziej ryzykanckiego. I trzeba przyznać, że to wcale nie było takie znowu przykre, nawet jeśli te podejrzenia nie powstrzymały Konsula od dalszych uwag nieprzyjemnie bliskich prawdy, że całe głupie piękno takiej decyzji podejmowanej w takim momencie polega chyba na tym, że jest tak daremna, że jest za późno, że lojaliści już przegrali i że jeśli osoba podejmująca decyzję wyjdzie z przygody cało i zdrowo, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że porwała ją ogólna fala entuzjazmu dla Hiszpanii, skoro nawet Rosjanie zrezygnowali i wycofano brygadę międzynarodową. Ale zdarza się czasem, że śmierć dowodzi prawdy! A był jeszcze

ten ograny chwyt mówienia każdemu, kto otrząsa z nóg pył Miasta Zniszczenia, że chce uciec od siebie i od swoich obowiązków. W tym momencie wygodna myśl uderzyła Hugh'a: Nie mam żadnych obowiązków. I jak mogę uciekać od samego siebie, skoro nie mam miejsca na ziemi? Nie mam domu. Kawałek drewna na powierzchni Oceanu Indyjskiego. Czy Indie są moim domem? Czy mam się przebrać za niedotykalnego pariasa, co chyba nie byłoby takie trudne, i pójść do więzienia na Wyspach Adamańskich na lat siedemdziesiąt siedem, dopóki Anglia nie zwróci Indiom wolności? Ale powiem ci coś: takim postępowaniem zrobiłbyś tylko kłopot Mahatmie Gandhiemu, który, między nami mówiąc, jest jedyną wybitną - osobistością, dla której masz szacunek. Nie, szanuję też Stalina, Cardenasa i Jawaharlala Nehru... chociaż myślę, że dla całej tej trójki mój szacunek byłby tylko czymś żenującym... Hugh znowu spróbował złapać San Antonio.

Radio ożyło z wielkim hukiem; z radiostacji Teksasu nadawane były wiadomości o powodzi w tak nieprawdopodobnym tempie, jak gdyby samemu spikerowi groziło zatonięcie. Inny głos, piskliwszy, trzepał o bankructwie i katastrofie, podczas gdy jeszcze inny mówił o nieszczęściu okrywającym jak całun zagrożoną stolicę, o ludziach potykających się wśród gruzów na nieoświetlonych ulicach, o tysiącach nieszczęśników szukających schronienia w rozrywanej bombami ciemności. Jakże on znał ten żargon! Ciemność, zguba. Jakże świat się tym delektuje! W wojnie, która P^{rz}ydzie, korespondenci zyskają znaczenie, o jakim nikomu się dotąd nie śniło, będą przedzierali się przez ogień, żeby dostarczyć publiczności należne jej kęski ekskrementu w proszku. Wrzaskliwy głos ostrzegł nagle, że akcje spadają czy może lecą nienormalnie do góry — ^{ten} zboża, bawełny, żelaza, amunicji. A pod tym wszystkim bezustanne chrobotanie wyładowań atmosferycznych — duchy kołatające eteru, klakierzy bezsensu! Hugh wstuchiwał się w puls świata bijący w gardle tej skrzyni- $\blacksquare K^1$, której głos udawał, że go przeraża to, czemu miał zamiar dać się pochłonać, gdy tylko zyska pewność, że

proces pochłaniania będzie trwał dostatecznie długo. Hugh kręcił niecierpliwie gałką; nagle zdawało mu się, że usłyszał gdzieś skrzypce Joego Venuti, że radosny skowronek tęsknej melodii unosi się gdzieś wysoko, w jakimś dalekim, własnym, słonecznym lecie, ponad całą tą bezdenną furją, a jednak też zapamiętały w dzikiej, choć kontrolowanej, żywiołowości tej muzyki, która nadal wydawała mu się czymś najlepszym w Ameryce. Prawdopodobnie któraś ze stacji nadawała starą płytę, jedną z tych o nazwie poetycznej jak *Mały jaskier* czy *Kwiecie jabłoni*, i dziwna rzecz, jak bardzo to było bolesne, jak gdyby ta muzyka, która nigdy się nie zestarzeje, należała do rzeczy dzisiaj bezpowrotnie straconych. Hugh zamknął radio, położył się z cygarem w ręce i utkwiał wzrok w suficie werandy.

Podobno Joe Venuti nie jest już sobą od śmierci Eda Langa. Ed Lang przywodził na myśl gitary, a jeżeli Hugh napisze kiedykolwiek, jak często się odgrażał, swoją autobiografię, chociaż właściwie byłoby to niepotrzebne, bo jego życie bardziej się może nadaje do krótkiej notatki w czasopiśmie, w rodzaju: „Taki a taki, lat dwadzieścia dziewięć, był spawaczem, autorem piosenek, strażnikiem włazów, palaczem na statku, marynarzem, instruktorem jeździeckim, aktorem w kabarecie, członkiem orkiestry, oprawiaczem wieprzy, świętym, kłownem, żołnierzem (przez pięć minut) i woźnym w kościele spirytystów, a z tego wszystkiego niekoniecznie trzeba wyciągać wniosek, że nie zdobywszy dzięki swoim doświadczeniom szerszego spojrzenia na życie ma ciaśniejszy na nie pogląd niż, powiedzmy, urzędnik bankowy, który nigdy nie wysunął nosa poza Newcastle-under-Lyme” — ale jeżeli kiedykolwiek napisze swoją autobiografię, pomyślał Hugh, będzie musiał przyznać, że gitara stała się ważnym symbolem w jego życiu.

Hugh me grał na gitarze, a umiał grać na niemal wszystkich jej odmianach; od czterech czy pięciu lat jego liczne instrumenty marniały wraz z książkami w piwnicach czy na strychach Londynu i Paryża, w knaj-

pach nocnych na Wardour Street czy za barem markiza Granby albo starej „Astorii” na Greek Street, która od dawna stała się „klasztorem” i gdzie on dotąd ma nie zapłacony rachunek, w lombardach na Tithebarn Street czy Totteham Court Road; wyobrażał sobie, że przez jakiś czas gitary czekały tam ze wszystkimi swoimi tonami i echami na odgłos jego ciężkich kroków, a potem, stopniowo, w miarę jak pokrywał je kurz i jak kolejno pękały ich struny, traciły nadzieję, a każda pękająca struna była linią, która je wiązała do wyblakłego wspomnienia ich przyjaciela, przy czym struny najwyższych tonów pękały .zawsze pierwsze — pękały z ostrym hukiem wystrzału albo dziwacznym, pełnym udręki szlochem, albo drażniącym nocnym krzykiem, jak koszmar w duszy George'a Frederica Wattsa¹, aż w końcu nie było już nic tylko ślepa, niema twarz zdławionej liry, bezdźwięczna jama dla pajaków czy moli i delikatna, stoczona przez robaki szyjka — a zarazem każda pękająca struna odrywała Hugh'a boleśnie od jego młodości, podczas gdy przeszłość majaczyła wciąż przed nim jak udręczony kształt, mroczna, namacalna i wciąż oskarżająca. Albo może do tego czasu ukradziono już gitary wielokrotnie lub odprzedano, albo zastawiono ponownie w lombardzie — ■ może odziedziczył je jakiś inny mistrz, jak gdyby były jakimiś wielkimi myślami czy doktrynami? Takie uczucia, był niemal skłonny uznać, bardziej może licowały² Segoyią umierającym na wygnaniu niż ze zwykłym gitarzystą z zespołu jazzowego. Ale Hugh, chociaż nie grał³ oże tak jak Django Reinhardt czy Eddie Lang, czy też Frank Crumit (niech go Bóg ma w swojej opiece), nie⁴ mógł jednocześnie zapomnieć, że kiedyś cieszył się sławą bardzo utalentowanego gitarzysty. Ta jego sława była⁵ pewnym dziwacznym sensie oszukaństwem, jak tyle innych rzeczy w jego życiu, bo największe sukcesy osiągał na gitarze nastrojonej na ukulele, na której grał

¹ George Frederick Watts (1817—1904) — malarz angielski znany obrazów o tematyce alegorycznej, często makabrycznej.

właściwie jak na instrumencie perkusyjnym. ^vZe jednak w ten dziwaczny sposób został magikiem zgiełku, który można było wziąć za absolutnie wszystko — od szkockiego ekspresu do tętentu stoni w blasku księżyca — świadczył o tym po dzień dzisiejszy klasyk rytmiczny utrwalony na płycie parlofonu, o rzeczowej nazwie *Moloch*. W każdym razie, pomyślał, gitara była najmniej udawaną rzeczą w jego życiu. I czy rzecz udawana czy autentyczna, gitara kryła się jednak za większością jego głównych decyzji życiowych. Bo przez gitarę został dziennikarzem, przez gitarę zaczął pisać piosenki, w ogromnej mierze przez gitarę — Hugh poczuł, jak go ogarnia i dławi fala wstydu — pierwszy raz poszedł na morze.

Hugh zaczął pisać piosenki jeszcze w szkole i zanim skończył siedemnaście lat, mniej więcej w tym samym czasie, w którym stracił niewinność, też po kilku nieudanych próbach, dwie jego piosenki zostały przyjęte przez żydowską firmę „Łazarz Bolowski i Synowie” na New Compton Street w Londynie. Otóż Hugh wszystkie wakacje poświęcał w całości na wędrówkę po wydawnictwach muzycznych, z gitarą — i pod tym względem jego wczesne życie przypominało trochę życie innego zawiedzionego artysty, Adolfa Hitlera — nosząc swoje manuskrypty transkrybowane tylko na fortepian w etui gitary lub w innej małej torbie podróźnej Geoffa. Ten kompozytorski sukces na obszarach angielskiej muzyki popularnej oszołomił go; nieomal zanim jego ciotka zrozumiała, co się święci, rzucił szkołę, za jej zgodą, wszystko na mocy tego sukcesu. W szkole, gdzie był zastępcą redaktora gazetki, radził sobie rozmaicie; wmówił w siebie, że jej nienawidzi za wyznawane tam snobistyczne ideały. Było tam też trochę antysemityzmu; a Hugh, który miał serce miękkie, wybrał sobie spośród Żydów (choć gitara zyskiwała mu znaczną popularność) najbliższych przyjaciół i faworyzował ich na kolumnach swojego pisma. Był już zapisany na uniwersytet w Cambridge, gdzie miał za rok czy dwa rozpocząć studia. Ani jednak myślał jechać do Cambridge. Ta perspektywa z tych czy in-

ných względów wydawała mu się tylko odrobinę mniej

przerazająca od perspektywy oddania go pod opiekę korepetytora. Żeby temu zapobiec, musiał działać szybko.

W jego naiwnym przekonaniu piosenki dawały mu wspaniałą szansę całkowitej niezależności, co oznaczało też niezależność uzyskaną na cztery lata przed terminem, w którym zarząd powierniczy zacznie mu wypłacać dochód, niezależność od wszystkiego i wszystkich i pozbawioną wątpliwych dobrodziejstw tytułu naukowego. Ale barwy tego sukcesu zaczęły już trochę biaknąć. Po pierwsze potrzebna była kaucja (ciotka zapłaciła kaucję), po drugie piosenki miały się ukazać drukiem dopiero za kilka miesięcy. I pizysza mu nagle do głowy myśl, jak się okazało bardziej niż prorocza, że same piosenki, obie składające się z wymaganych trzydziestu dwóch taktów, obie jednakowo banalne i nawet lekko zaprawiane imbe-cyiizmem — Hugh później tak się wstydził ich tytułów,

- że do dzisiejszego dnia trzymał je zamknięte w sekretnej szufladce mózgu — nie wystarczą. Cóż, miał jeszcze inne piosenki, których tytuły — *Mateczka z Susquehanna*, *Drzemiące Wabash*, *Zachód słońca nad Missisipi*, *Ponure bagnisko* ita., itd. — mogły się okazać rewelacyjne i z których przynajmniej jedna, *Tęskno mi z tęsknoty za domem*, była fokstrotem wokalnym, utworem prawdziwie głębokim, jeśli nie zdecydowanie godnym Wordswortha... Ale wszystko to zdawało się należeć do przyszłości. Bo-łowski napomknął, że może on sam je wydrukuje, jeżeli... I Hugh w obawie, że go urazi, nie próbował sprzedać reszty piosenek innemu wydawcy. Chociaż to wcale nie znaczy, że zostało jeszcze wielu wydawców, u których nie próbował. Ale może... może... jeżeli te dwie piosenki / osiągną sukces, jeżeli będą szły jak woda, przyniosą Bo^ łowskiemu majątek... Może jakaś wspaniała reklama...

Jakaś wspaniała reklama! Otóż to, potrzebne było coś sensacyjnego, tego żądały czasy, kiedy więc owego dnia stawił się w biurze Intendenta Marynarki Plandlowej w Garston (Garston, ponieważ na wiosnę ciotka Hugh'a przeprowadziła się z Londynu na północ do Oswaldtwist-

le), żeby podpisać kontrakt zaciągu na „SS Filokteta”, Hugh był pewien, że znalazł coś sensacyjnego. Och, jakże groteskowy i żałosny, pomyślał Hugh, był obraz tego smarkacza, który wyobrażał sobie, że jest skrzyżowaniem Bixa Beiderbecke (jego pierwsze płyty ukazały się właśnie w Anglii) z małym Mozartem i medorostrym Raleighem, smarkacza kładącego swój podpis na kreskowanej linii; zresztą może to i prawda, że już wtedy czytał za dużo Jacka Londona, *Wilka morskiego* aktualnie, a teraz w 1938 r. doszedł do męskiej *Księżycowej doliny* (jego ulubioną książką była powieść Jacka Londona *Kaftan bezpieczeństwa*), i może mimo wszystko naprawdę kochał morze i ten budzący mdłości, przereklamowany obszar wód był jego jedyną miłością, jedyną rzeczą, o którą jego przyszła żona będzie miała prawo być zazdrosna, może wszystko to było prawdą w odniesieniu do tego smarkacza, który przypuszczalnie dostrzegał też gdzieś daleko, gdzieś za klauzulą kontraktu mówiącą o wzajemnej pomocy i współpracy marynarzy i palaczy, obietnicę nieograniczonych rozkoszy w burdelach Wschodu — czyste złudzenie, mówiąc łagodnie; ale niestety było coś, co niemal zupełnie odzierało tę decyzję pójścia na morza z wszelkiego heroizmu, to mianowicie, że aby osiągnąć swoje cele Hugh „bez skrupułów czy delikatności” odwiedził najpierw wszystkie redakcje gazet w promieniu trzydziestu mil, bo prawie wszystkie dzienniki londyńskie miały swoje filie w tych stronach na północy, i poinformował je dokładnie o swoim zamiarze wyptynięcia na „Filoktecie” (liczył na to, że od czasu tajemniczego zniknięcia ojca jego rodzina była dla prasy „kąskiem” nawet w skali ogólnokrajowej) oraz o przyjęciu przez wydawcę piosenek, przy czym oświadczył śmiało, że firma Bolowskiego wydrukuje je wszystkie; preparując w ten sposób swoją „ciekawostkę” dla gazet zyskiwał potrzebny rozgłos, a jednocześnie miał też nadzieję, że lęk stąd zrodzony — lęk przed jeszcze większym rozgłosem i być może ośmieszeniem, jakie groziło rodzinie, gdyby mu nie pozwolono zaciągnąć się na statek, co było już teraz

sprawą niemal publiczną, zmusi krewnych do działania wbrew ich woli. Ale były też mnie czynniki; Hugh o nich zapomniał. Nawet z tym wszystkim redakcje gazet nie uznałyby chyba jego historyjki za dostatecznie ciekawą, gdyby chłopiec nie dźwigał ze sobą wszędzie cholerną gitarę. Hugh wzdrygnął się na samą myśl o tym. To prawdopodobnie skłoniło reporterów — ludzi w większości bardzo poczciwych i ojcowskich, widzących może w decyzji Hugh'a urzeczywistnienie własnych marzeń — do zaspokojenia kaprysu chłopca, który tak się uparł, żeby ściągnąć na siebie śmieszność. Naturalnie żadna taka myśl nie przyszła mu wtedy do głowy. Przeciwnie. Hugh był przekonany, że postąpił zdumiewająco mądrze, utwierdziły go zaś w tym mniemaniu niezwykle listy „gratulacyjne”, nadsyłane mu z różnych stron kraju przez rozmaitych korsarzy bez statków, którzy uważali, że na życie ich spadła klątwa jałowości, ponieważ nie udało im się wypłynąć na morze ze starszymi braćmi podczas tamtej wojny, których osobliwe myśli wesolutko przygotowywały wojnę następną i których Hugh był może pierwowzorem. Hugh wzdrygnął się znowu, bo niewiele brakowało, a byłby nie pojechał, niewiele brakowało, a siłą przeszkodziłoby mu w tym pewni energiczni krewni, których dotąd nie brał pod uwagę, a którzy wyskoczyli jak spod ziemi i przybyli na pomoc ciotce — gdyby nie Geoff, który lojalnie oddepeszował z Rabatu siostrze ich ojca: „Nonsens. Uważam proponowaną przejażdżkę Hugh'a za bardzo dla niego wskazaną. Stanowczo namawiam na pozostawienie mu swobody działania.” Ważny argument można uznać, ponieważ dzięki niemu jego wyprawa została zreczniutko pozbawiona nie tylko jej aspektu heroicznego, lecz także wszelkiego ewentualnego posmaku buntu. Bo mi-^mo że udzielali mu teraz wszelkiej możliwej pomocy ci sami ludzie, od których — przynajmniej w wyobraźni — uciekał, nawet już po obwieszczeniu światu swoich planów Hugh nie mógł ani przez chwilę znieść myśli, że nie >>ucieka na morze”. I tego właściwie nigdy nie wybaczył Konsulowi.

Mimo wszystko jednak w piątek trzynastego maja — w tym samym dniu, w którym Frankie Trumbauer w odległości trzech tysięcy mil nagrał swoją słynną płytę *Bez żadnego w ogóle powodu*, w czym Hugh widział teraz wymowny historyczny zbieg okoliczności — Hugh, ścigany neoamerykańskimi bzdurami ze strony angielskiej prasy, która podjęła temat z upodobaniem i zamieściła całą gamę nagłówków od: „Uczeń-kompozytor zostaje marynarzem”, „Brat wybitnego obywatela naszego kraju posłuszny wezwaniu mórz”, „Zawsze będę wracał do Oswaldt-wistle, mówi na pożegnanie cudowne dziecko”, „Saga ucz-nia-piosenkarza przypomina dawną tajemnicę Kaszmiru”, poprzez jeden niejasny: „Och, zostać Conradem”, i inny nieścisły: „Student i kompozytor piosenek śpiewa na frachtowcu przy dźwiękach ukulele”, nie był bowiem jeszcze studentem, o czym miał mu wkrótce przypomnieć pewien stary marynarz, do ostatniego i najokropniejszego, chociaż w aktualnych okolicznościach doprawdy natchnionego: „Hugh nie czeka jedwabne życie, powiada ciocia” — Hugh więc, nie wiedząc, czy jedzie na wschód, czy zachód, nie wiedząc nawet tego, co znał z niejasnych pogłosek najzwyczajszy majtek na statku, mianowicie, że Filoktet jest postacią z greckiej mitologii, synem Pojasa i przyjacielem Heraklesa, którego łuk -okazał się tak dumną i tak niefortunną własnością jak gitara Hugh’a, Hugh więc popłynął do Katalaju i domów publicznych Palam-bangu. Wił się teraz na leżance myśląc o upokorzeniu, ■ jakie sprowadził na niego ten maleńki trik reklamowy, upokorzeniu, które samo mogło być dostatecznym powodem do szukania rozpaczliwszej kryjówki niż morze... Zresztą nie będzie przesadą stwierdzenie, że Hugh znalazł się wśród swoich towarzyszy na statku w fałszywej sytuacji (Jezu, człeku, czyś ty widział te cholerne gazety? Mamy na pokładzie jakiegoś zakichanego księcia czy coś w tym guście). Nie znaczy to wcale, że ich stosunek do niego był taki, jak można się było tego spodziewać! Początkowo wielu z nich odnosiło się do Hugh’a życzliwie, potem jednak wyszło na jaw, że ich motywy nie są takie

zupełnie altruistyczne. Przypuszczali — i słusznie — że ma fory u kierownictwa. Niektórzy powodowali się motywami seksualnymi, których źródło było niejasne. Większość jednak była wprost nieprawdopodobnie złośliwa i okrutna, i to w szczególnie małostkowy sposób, jaki nigdy przedtem nie kojarzył się Hughowi z morzem i nigdy później z proletariatem. Czytali jego dziennik. Kradli mu pieniądze. Kradli nawet jego drelichy i kazali mu je potem odkupywać, na kredyt, bo praktycznie sami zniweczyli jego siłę kupna. Wkładali mu dłuta pneumatyczne do koi albo do worka. Albo nagle, kiedy sprzątał, powiedzmy, łazienkę trzeciego oficera, któryś z bardzo młodych marynarzy stawał się niezrozumiale służalczy i mówił: „Czy ty się orientujesz, kolego, że pracujesz dla nas, chociaż to my powinniśmy pracować dla ciebie?” Hugh, który nie rozumiał jeszcze wtedy, że nie tylko on sam był w fałszywej sytuacji, lecz że również postawił swoich towarzyszy w fałszywej sytuacji, wysłuchiwał tego rodzaju przemówień z pogardą. O prześladowania, jakie tam one były, nie miał żalu. Już chociażby z tych względów, że stanowiły pewną rekompensatę tego, co uważał za jeden z największych mankamentów nowego życia.

Była to, w sposób ogromnie złożony, jego „miętkość”. Nie znaczy bynajmniej, że to życie nie było koszmarem. Było, ale w pewien szczególny sposób, którego jego młodość nie mogła jeszcze zrozumieć. Nie znaczy też, że ręce nie zrogowaciały mu od pracy. Albo że upał i nuda nie doprowadzały go prawie do obłędu, kiedy w tropikach pracował przy kołowrocie albo miniował pokłady. Czy wreszcie, że wszystko to nie było gorsze nawet od obowiązku wysługiwania się starszym kolegom w szkole lub że mogłoby mu się wydawać gorsze, gdyby go rodzina nie posłała przezornie do nowoczesnej szkoły, w której zabroniono tego zwyczaju. Było, z pewnością; nie protestował przeciwko temu. Protestował natomiast przeciwko drobnym, niepojętym rzeczom.

Na przykład przeciwko temu, że forkasztel nie nazy-

wał się forkasztem czy dziobówką, tylko „kwaterą załogi”, i nie był na dziobie, gdzie powinien być, tylko z tyłu, pod pokładem rufy. Otóż każdy wie, że forkasztel powinien być na przedzie statku i powinien się nazywać forkasztel. Ale ten forkasztel nie nazywał się forkasztel, bo w rzeczywistości wcale nie był forkasztem. Pokład rufy przykrywał to, co w sposób aż nazbyt oczywisty było „kwaterą załogi”, jak ją nazywano — oddzielne kajuty zupełnie jak na parowcu kursującym na Wyspę Man, z dwiema kojami w każdej, kajuty wzdłuż wąskiego przejścia, na którego końcu była messa. Ale Hugh nie cieszył się tymi z trudem wywalczonymi „lepszymi warunkami”. Dla niego forkasztel — a gdzież indziej powinna mieszkać załoga okrętu? — nieodłącznie kojarzył się z jedną smrodliwą izbą, na przedzie statku, gdzie koje umieszczone były wokół stołu pod huśtającą się karbidową lampą, gdzie marynarze bili się, gzili się, pili i mordowali. Na pokładzie „Filokteta” marynarze ani się me bili, ani się nie gzili, ani nie mordowali. Jeśli idzie o picie, ciotka Hugh’a powiedziała w końcu z prawdziwie szlachetną romantyczną rezygnacją: „Wiesz, Hugh, wcale się nie spodziewam, że płynąc przez Morze Czarne będziesz pił tylko kawę.” Miała słuszość. Hugh nawet z daleka nie oglądał Morza Czarnego. Niemniej jednak na statku pił przeważnie kawę; niekiedy herbatę; niekiedy wodę; a w tropikach sok cytrynowy. Jak reszta załogi. Zresztą ta herbata była dla Hugh’a jeszcze jednym powodem do irytacji. Każdego popołudnia z wybiciem szóstego lub ósmego dzwonka Hugh (początkowo należało to do jego obowiązków, jako że mat był chory) wybiegał z kuchni i niósł najpierw do messy botswena, a potem do messy załogi to, co botswen nazywał z namaszczeniem „popołudniową herbatą”. A do herbaty keksiki. Keksiki były delikatnymi i przepyszными ciasteczkami, które wypiekał drugi kucharz. Hugh jadł je z pogardą. Wyobrazić sobie wilka morskiego, jak z wybiciem godziny czwartej zasiada do popołudniowej herbaty z keksikami! Ale to nie było jeszcze najgorsze. Sprawą znacznie ważniejszą było samo jedzenie. Wikt na „Fi-

lokciecie", zwykłym brytyjskim frachtowcu parowym, był — wbrew tradycjom tak zakorzenionym, że Hugh do dziś nie ośmieliłby się im przeczyć nawet we śnie — znakomity; w porównaniu z jedzeniem otrzymywanym w ekskluzywnej szkole średniej, gdzie Hugh żył w warunkach aprowizacyjnych, jakich żaden marynarz floty handlowej nie tolerowałby nawet przez pięć minut, wikt mógł być uważany za kaprys smakosza. Śniadanie w messie podoficerów, w której początkowo surowo przykazano mu jadać, składało się zawsze z pięciu dań; okazało się jednak, że w „kwaterach załogi” nie było wiele gorzej. Amerykańska siekana wołowina, śledzie wędzone, jajka sadzone na boczku, owsianka, steki, bułki — wszystko na jeden posiłek i podawane na jednym talerzu; Hugh w życiu nie widział takich ilości jedzenia na raz. Tym bardziej był zdumiony, kiedy się przekonał, że do jego codziennych obowiązków należy rzucanie za burtę stosów tej bajecznej strawy. Wikt, którego załoga nie zjadła, szedł do Oceanu Indyjskiego czy jakiegokolwiek innego oceanu, byleby tylko, jak się to mówiło, „nie wrócił do zarządu”. Hugh nie był wdzięczny również za te w trudzie wywalczone lepsze warunki. Podobnie jak — rzecz niepojęta — nie był za nie wdzięczny żaden inny członek załogi. Bo obrzydliwość jedzenia stanowiła jeden z najulubieńszych tematów rozmowy. „Mniejsza o to, chłopcy, niedługo będziemy w domu, gdzie człowiek znowu zje przyzwocie... zamiast tego wrednego zarcia... sam nie wiem, co to jest, kawałki odłupanej farby czy co?” I Hugh, w gruncie lojalna dusza, narzekał wraz z innymi. Jednakże kontakt duchowy nawiązywał ze stewardami...

Mimo wszystko czuł się osaczony. Zwłaszcza kiedy zrozumiał, że w jakiś zasadniczy sposób nie uciekł od dawnego życia. Całe było tu z nim, chociaż w innym kształcie: te same konflikty, te same twarze, ci sami ludzie, jakich mógł sobie wyobrazić w szkole, ta sama pseudo popularność zdobyta dzięki gitarze i ta sama niepopularność. Ponieważ zaprzyjaźnił się ze stewardami albo jeszcze go-^{rzej}, z chińskim palaczem. Właściwie można nawet powie-

dzieć, że statek wyglądał jak fantastyczne, ruchome boisko do gry w piłkę nożną. To prawda, że antysemityzm zostawił za sobą, ponieważ Żydzi mają za dużo oleju w głowie, żeby iść na morze. Jeżeli jednak miał nadzieję, że wraz z angielską ekskluzywną szkołą zostawi też za burtą brytyjski snobizm, grubo się mylił. W rzeczywistości snobizm na „Filoktecie” sięgał wręcz fantastycznych rozmiarów; Hugh nie wyobrażał sobie nigdy, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Główny kucharz uważał niezmordowanego drugiego kucharza za istotę niższego rzędu. Botswen gardził cieślą okrętowym i nie otworzył do niego ust przez bite trzy miesiące, mimo że jadali w jednej ciasnej mes-sie, ponieważ cieśla był rzemieślnikiem, podczas gdy cieśla pogardzał botswenem, ponieważ on, cieśla okrętowy, był najstarszym rangą podoficerem. Szef stewardów, który poza służbą nosił koszule w paski, wyraźnie miał w pogardzie wesołego drugiego stewarda, ponieważ tamten w żaden sposób nie chciał poważnie traktować swojego stanowiska i zadawała się koszulką trykotową plus dresy. Kiedy młodszy chłopiec okrętowy chciał popływać i zeszedł na ląd, z rącznikiem owiniętym dokoła szyi, oficer sygnałowy w krawacie bez kołnierzyka strofował go pompatycznie, że przynosi ujmę całemu statkowi. Sam kapitan zaś robił się niemal siny na twarzy, ilekroć spotykał Hugh'a, ponieważ Hugh w jednym ze swoich wywiadów napomknął, że „Filoktet” to tramp, co w jego pojęciu miało być komplementem. Tramp czy nie tramp, cały statek aż pęczniał i dygotał od burżuazyjnych przesądów i tabu, których istnienia Hugh nawet nie podejrzewał. Tak mu się przynajmniej zdawało. Byłoby jednak niesprawiedliwością powiedzieć, że „Filoktet” dygotał. Hugh, który nie aspirował bynajmniej do roli Conrada, jak to sugerowały gazety, nie przeczytał jeszcze do tego czasu ani jednej jego książki. Uświadamiał sobie jednak niejasno, że Conrad napomykał gdzieś o tajfunach, które o pewnej porze roku nawiedzają wybrzeża Chin. Była to ta właśnie pora roku; niebawem pojawiły się wybrzeża Chin. Ale tajfunów ani śladu. Albo może „Filoktet” przezornie je omijał.

Od chwili gdy pozostawili za sobą Kanał Suezki aż do momentu, kiedy stanęli na redzie w Jokohamie, na morzu panowała martwa, monotonna cisza. Hugh obłupywał rdzę podczas ciężkich wacht. Tylko że wachty nie były właściwie ciężkie; nic się nie działo. I prawdę powiedziawszy, w ogóle nie były to wachty; pracował wyłącznie na dziennej zmianie. Niemniej musiał jednak, biedaczysko, udawać przed samym sobą, że jest jakiś romantyzm w tej jego pracy. Ale nie było! Mógłby się łatwo pocieszyć, gdyby spojrzął na mapy. Niestety mapy zbyt żywo przypominały mu szkołę. W rezultacie płynąc przez Suez nie był świadomy bliskości sfinksów, Ismailii czy Góry Synaj; podobnie jak płynąc przez Morze Czerwone nie pamiętał o He-jazie, Asir i Jemenie. Ponieważ Perim należała do Indii, chociaż tak od niej daleka, wyspa ta zawsze go fascynowała. Stali jednak na jej wodach przez całe przedpołudnie, a on o tym nie wiedział. Znaczek z włoskiego Somali, z podobizną dzikich pastuchów, był kiedyś jego najcenniejszym skarbem. Minęli Guardafui, a on tak był tego nieświadomy, jak kiedy w wieku lat trzech płynął w przeciwnym kierunku. Trochę później nie pomyślał nawet o Przylądku Komoryn czy o Nikobarach. Ani, w Zatoce Syjamskiej, o Pnom Penh. Może sam nie wiedział, o czym myśli; dzwonki rozbrzmiewały, maszyny dudniły; *videre; videre*; kto wie, czy wysoko nad nim nie było drugiego morza, gdzie dusza wyorywała na wodzie swój daleki, niewidoczny ślad...

Niewątpliwie wyspa Sokotra stała się dla niego symbolem znacznie później, nie przyszło mu też nigdy na myśl, że gdy w drodze powrotnej zawinęli do Karachi, był — mówiąc figuralnie —• na odległość rzutu kamieniem od miejsca, w którym się urodził... Hong Kong, Szanghaj; ale możliwości zejścia na ląd były nieliczne i w rzadkich odstępach, niewielkich zaś sum pieniędzy, które im się należały, nie dostawali nigdy do ręki, gdy więc przez cały miesiąc stali zakotwiczeni w Jokohamie nie otrzymawszy

widzieć, widzieć (łac.)

ani razu pozwolenia zejścia na ląd, czara goryczy Hugh'a wypełniła się po brzegi. Ale kiedy wolno im było zejść na ląd, zamiast szaleć w barach, mężczyźni siedzieli na pokładzie i szyli opowiadając pieprzne dowcipy, które Hugh słyszał po raz pierwszy, kiedy miał lat jedenaście. Albo wyładowywali się w chamskich, seksualnie niedojrzałych rekompensatach. Hugh nie zdołał się też uchronić przed faryzeuszostwem swoich angielskich przełożonych. Była jednak na statku dobra biblioteka i Hugh, pod kierunkiem okrętowego ładowacza, rozpoczął edukację, której zaniedbała kosztowna ekskluzywna szkoła. Przeczytał *Sagę rodu Forsyte'ów* i *Peer Gynta*. W znacznej też mierze było zasługą ładowacza, dobrotliwego quasi-komunisty, który zwykle spędzał swoją wachtę pod pokładem czytając broszurę zatytułowaną *Czerwona ręka*, że Hugh porzucił zamiar wymigania się od Cambridge. „Na twoim miejscu poszedłbym do tej zasranej dziury. Wyciągnąłbym, cholera, wszystko, co się da z tego ustroju.”

II i

A tymczasem jego sława ścigała go niezmordowanie wzdłuż wybrzeży Chin. Chociaż tytuły wydawanej w Sin-gapore „Free Press” wrzeszczały, powiedzmy: „Zamordowanie kochanki szwagra”, byłoby rzeczą niezwykłą, gdyby czytelnik nie natknął się trochę dalej na mniej więcej taki ustęp: „Gdy «Filoktet» wpływał do portu Penang, kędzierzawy chłopiec stał na dziobie i brzdąkał na ukulele swój ostatni utwór.” Wiadomość, która lada dzień dotrzeć miała do Japonii. Niemniej, sama gitara przyszła mu jednak na ratunek. I teraz w końcu Hugh wiedział, o czym myśli. Myślał o Anglii i drodze powrotnej do kraju! Anglia, od której tak bardzo pragnął uciec, stała się teraz dla niego jedynym celem tęsknoty, ziemią obiecaną; poprzez monotonię bezustannego chybotania się na kotwicy, poza zachodami słońca w Jokohamie, które były jak przerywniki muzyczne w *Singing the Blues*, śnił o Anglii jak kochanek śni o kochance. Z pewnością można stwierdzić, że nie myślał o innych kochankach, które mógł być mieć w kraju. Jedna czy dwie krótkotrwałe przygody, chociaż wtedy tak mu się wydawały ważne, dawno poszły w niepamięć.

Czuły uśmiech pani Bolowskiej,
rozjaśniający mrok New Compton Street,
prześladował go nieco dłużej. Nie; myślał

0 autobusach piętrowych w Londynie,
ogłoszeniach music-
hallów na północy. „Hippodrome” w
Birkenhead: dwa
przedstawienia, o szóstej trzydziści i
ósmej trzydziści.

1 o zielonych trawiastych kortach
tenisowych, o głuchym
stuknięciu piłek tenisowych na sprężystej*]
trawie, o szybkim
locie piłki nad siatką, o ludziach siedzących
na leżakach
i pijących herbatę (mimo faktu, że mógł
ich bez trudu
naśladować na pokładzie „Filokteta”)-, o
niedawno nabytym
upodobaniu do dobrego angielskiego piwa
i dojrziałych
serów...

Ale ponad wszystkim tym były jego
piosenki, do tego czasu już z pewnością
opublikowane. Czy cokolwiek na świecie jest
ważne, jeżeli w kraju, może w tym samym
„Hippodromie” w Birkenhead, grano je teraz
i śpiewano dwa razy dziennie przed
zatłoczoną salą? A co nucili ludzie siedzący
wokół kortów tenisowych? Naturalnie jego
piosenki. A jeżeli ich nie nucili, mówili o nim.
Bo w Anglii -oczekiwano go sława, nie ta
fałszowana sława, jaką już zdobył, nie tani
rozgłos, ale prawdziwa sława, na którą
zasłużył przeszedłszy przez piekło, przez
„Ogień” (Hugh wmówił w siebie, że naprawdę
przez nie przeszedł), która była słuszną
należną mu nagrodą.

Nadeszła jednak chwila, w której Hugh
naprawdę przeszedł przez ogień. Pewnego
dnia nędzny parowiec z innej epoki, „Edyp
Tyran”, którego imiennik, o czym mógł
Hugh poinformować ładowacz na
„Filoktecie”, był również skłopotanym
Grekiem, zatrzymał się na redzie Joko-hamy
daleko od „Filokteta”, a jednak zbyt blisko,
bo tej samej nocy dwa duże statki,
bezustannie miotane falami przypiływu,
stopniowo tak się do siebie zbliżyły, że o
mało co nie było zderzenia, przez chwilę
zdawało się nawet^c-zderzenie zaraz
nastąpi, i na rufie „Filokteta” wszyscy
uwijali się w podnieceniu; potem, gdy statki
niemal ocierały się o siebie, pierwszy mat
zawołał przez tubę:

— Kapitan Sanderson składa kapitanowi
Telsonowi wy-

razy uszanowania i zawiadamia go, że wyznaczono mu za. bliskie stoisko!

„Edyp Tyran”, który w przeciwieństwie do „Filokteta” miał na pokładzie białych palaczy, nie zawijał do portu macierzystego przez niewiarygodnie długi okres czternastu miesięcy. Z tego względu zmalretowany szyper „Edypa” nie obrażał się, kiedy mu mówiono, że jego statek jest trampem, jak to robił szyper „Filokteta”. Dwukrotnie skały Gibraltaru wynurzały się przed jego sterbortem — żeby zapowiedzieć nie Tamizę czy Mersey, tylko Ocean Zachodni, długą podróż do Nowego Jorku. A potem Vera Cruz i Colon, Vancouver i nie kończąca się droga przez Pacyfik z powrotem na Daleki Wschód. Teraz, kiedy wszyscy byli już pewni, że w końcu wracają do kraju, kapitan otrzymał ponowny rozkaz udania się do Nowego Jorku. Załoga, zwłaszcza palacze, była śmiertelnie zmęczona. Nazajutrz rano, gdy oba frachtowce stały już w rozsądniejszej odległości, w messie „Filokteta” ukazało się ogłoszenie o poszukiwaniu ochotników, którzy zastąpiliby trzech marynarzy i czterech palaczy na „Edypie”. W ten sposób ludzie ci mogliby wrócić do Anglii na pokładzie „Filokteta”, który był na morzu tylko trzy miesiące, ale w tydzień po opuszczeniu Jokohamy miał rozpocząć drogę powrotną do kraju.

• Otóż na morzu więcej dni znaczy więcej dolarów, żeby

»i nie wiem jak mało ich było. I podobnie na morzu trzy

miesiące to przerażająco długi okres czasu. Ale czternaście miesięcy (Hugh nie przeczytał też dotąd Melville'a) to wieczność. Mało było prawdopodobne, żeby „Edyp” wytrzymał dłużej niż sześć dodatkowych miesięcy włości; chociaż nic nigdy nie wiadomo; może chodziło o to, żeby go trzymać na morzu jeszcze dwa lata i stopniowo przenosić dłużej pływających marynarzy na statki kierowane do kraju. W ciągu dwóch dni zgłosiło się tylko dwóch ochotników, radiotelegrafista i zwykły majtek.

Hugh obserwował „Edypa” na nowym stoisku, ale kołyszącego się znów w krnąbrnej bliskości, jak gdyby na uwięzi jego myśli; stary parowiec pokazywał się to z tej

strony, to z tamtej, w jednej chwili podpływał blisko łamaczy fal, w drugiej uciekał na morze. W przeciwieństwie do „Filokteta” „Edyp” był w oczach Hugh’a wszystkim tym, czym być powinien statek. Po pierwsze, rozmieszczeniem osprzętu nie przypominał boiska futbolowego, z mnóstwem słupków bramkowych i ekwipunku. Jego maszty i dźwigi były z tych wysokich, co przypominają dzbanki do kawy. Jego komin też był wysoki i bardzo odrapany. Cały statek był brudny i pokryty rdzą, wzdłuż burty biegły zacieki minii. Był wyraźnie łatany na lewej burcie; kto wie, może również na prawej. Mostek wyglądał tak, jak gdyby — czy to możliwe? — zetknął się niedawno z tajfunem. Jeżeli nie, „Edyp” sprawiał wrażenie statku, który wkrótce przyciągnie do siebie tajfuny. Był pogruchotany, stary i — radosna myśl — może nawet bliski zatonięcia. A jednak było w nim coś młodzieńczego i pięknego, jak złudzenie, które nigdy nie pryśnie, które będzie się zawsze utrzymywało gdzieś daleko na horyzoncie. Podobno rozwijał szybkość siedmiu węzłów. I miał popłynąć do Nowego Jorku! Ale z drugiej strony... jeżeli Hugh zaciągnie się na „Edypa”, co z Anglią? Nie był tak absurdalnie optymistyczny w odniesieniu do swoich piosenek, żeby sobie wyobrazić, że jego sława będzie błyszczała jeszcze po dwóch latach... A poza tym jakże trudny będzie powrót do dawnego życia, rozpoczynanie wszystkiego od nowa. Niemniej, na pokładzie „Edypa” nie będzie miał już na sobie dawnego piętna. Mało prawdopodobne, żeby jego nazwisko dotarło do Colon. Ach, jego brat Geoff znał te morza, te pastwiska ludzkich doświadczeń — co on by zrobił w jego sytuacji?

Ale nie mógł się na to zdobyć. Chociaż rozgoryczył go miesięczny postój w Jokohamie bez prawa zejścia na ląd¹ żądanie zdawało się zbyt wygórowane. Było tak, jak gdyby mu ktoś powiedział w szkole, gdy zarysowało się już pięknie niedalekie zakończenie roku, że nie będzie waka-CJ¹. że musi pracować przez cały sierpień i wrzesień. Z tą różnicą, że tu nikt mu nic nie mówił. Po prostu uparty głos w jego duszy przynaglał go, żeby się zgłosił na

ochotnika i oddał swoje miejsce
jakiemuś znużonemu morzem,
stęsknionemu za domem marynarzowi.
Hugh podpisał kontrakt i przeszedł na
pokład „Edypa”.

Kiedy w miesiąc później wrócił w Singapore na
lokteta”, był innym człowiekiem. Chorował na
„Edyp” nie sprawił mu zawodu. Jedzenie było
dyzenterię.
podłe, żad-
nych elektrycznych chłodzi,
zwyczajne lodówki. I szef

stewardów przesiadywał całe dnie w
swojej kabynie paląc

papierosy. No i forkasztel był
rzeczywiście na dziobie.

Jednakże Hugh opuścił „Edypa” wbrew
woli, w wyniku

jakichś nieporozumień z agentem, a gdy
go opuszczają, tuż

przed zabraniem na pokład
pielgrzymów zdążających do

Mekki, nie było w nim nic z Lorda Jima. Nowy
Jork
uciekł mu chwilowo, a jego koledzy ze statku,
choć
może nie wszyscy pielgrzymi, dotrą w końcu
do domu.
Gdy poza służbą Hugh pozostawał sam 'ze
swoim bólem,
ogarniało go przygnębienie. Leżąc na
koi podnosił się jed-

1
nak od czasu do czasu i podpierał
łokciem: Boże, co za ży-

> cie! Ludzie, którzy byli dość
wyrzumni, żeby mu spro-

1
stać, zasługiwali na najlepsze warunki.
Nawet starożytni

Egipcjanie nie wiedzieli, czym jest naprawdę
niewolnic
two. Chociaż co on o tym wie? Niewiele.
Bunkry łado
wane w Miki — czarnym porcie węglowym,
który zdawał
■ się jak gdyby obliczony na to, żeby
potwierdzić koncepcję

szczerów lądowych o rajach marynarza,
ponieważ każdy
dom był tu burdelem, a każda kobieta
 prostytutką,
stara wiedźma zajmująca się wypalaniem
tatuażu — prędy

ko były pełne; węgiel sięgał podłogi kotłowni.
Poznał
tylko jasne strony pracy upychacza, jeżeli praca
ta miała
jakikolwiek jasne strony. Ale czy na pokładzie
jest dużo
lepiej? Właściwie nio. Tutaj też nikt nie zazna
litości. Ży
cie marynarza na morzu nie jest pretekstem do
głupich
trików reklamowych. Jest czymś śmiertelnie
poważnym.
Hugh palił się ze wstydu na myśl, że tak je
wykorzystał
dla swoich celów. Lata zabijającej nudy,
narażania się na
wszelkiego rodzaju nieznane niebezpieczeństwa
i choroby,
> przy czym los człowieka jest w rękach
towarzystwa, które

interesuje się jego zdrowiem tylko
dlatego, że ewentual-

nie musiałyby płacić ubezpieczenie, życie rodzinne zredukowane do kąpieli w wannie-nasiadówce na macie w kuchni, w obecności żony, raz na osiemnaście miesięcy — oto jest morze. A także tajemne pragnienie, żeby być w nim pochowanym. I bezgraniczna, nienasycona duma. Hughowi zdawało się, że pojmuje już teraz niejasno to, co usiłował mu wytłumaczyć ładowacz — dlaczego na „Filoktecie” albo mu ubliżano, albo mu schlebiano. Głównie dlatego, że w taki głupi sposób zareklamował im się jako przedstawiciel bezlitosnego systemu, którego nienawidzono i którego się bano. Jednakże przed marynarzami system ten roztacza znacznie więcej pokus niż przed palaczami, którzy rzadko wynurzają się ze swoich dołów na burżuazyjne powietrze wyższych warstw. Niemniej jednak, system ten nigdy nie budzi zaufania. Jego drogi są kręte. Jego szpiedzy są wszędzie. Będzie ci schlebiał — kto wie? — może nawet na gitarze. Dlatego trzeba czytać jego pamiętniki. Trzeba wciąż mieć się na baczności, uprzedzać jego diabelstwa. Trzeba, w razie potrzeby, schlebiać mu, małpować go, udawać, że się z nim współpracuje. A on, ów system, z kolei schlebia tobie. Ustąpi ci tu kawałeczek, w sprawach takich jak jedzenie, lepsze warunki życia, biblioteki — nawet jeżeli zniszczył wpierv twój spokój ducha, bez którego nie dadzą ci one żadnego pożytku. W ten bowiem sposób panuje nad twoją duszą. I dlatego zdarza się czasem, że stajesz się służalczy i mówisz: „Kolego, czy wiesz, że pracujesz dla nas, kiedy to my powinniśmy pracować dla ciebie?” Ale to też jest w porządku. System będzie pracował dla ciebie, jak się wkrótce o tym przekonasz, kiedy przyjdzie następna wojna i będzie dość pracy dla wszystkich. „Nie wyobrażaj sobie tylko, że te sztuczki zawsze będą ci uchodziły na sucho”, — powtarzasz wciąż w duszy. „W rzeczywistości to *my* cię trzymamy w garści. Bez nas czy to w wojnie, czy w pokoju świat chrześcijański zapadnie się jak kupka popio--tów!” Hugh dostrzegał dziury w logice tego rozumowania. Niemniej jednak, na pokładzie „Edypa Tyrana”, nie skazonym tym symbolem, Hugh traktowano jako towarzy-

sza pracy. I pomagano mu hojnie, kiedy nie mógł dać sobie rady z robotą. Tylko cztery tygodnie. A jednak te tygodnie spędzone na „Edypie Tyranie” pojednały go z „Filoktetem”. I tak kiedy był chory, gryzł się i zamartwiał, że ktoś inny wykonuje za niego pracę. Gdy nie odzyskawszy jeszcze zdrowia wrócił do roboty, marzył wciąż o Anglii i sławie. Ale zaprzątnięty był głównie myślą o tym, żeby dokończyć pracy na statku z fasonem. W ciągu tych ostatnich trudnych tygodni rzadko grywał na gitarze. Wyglądało na to, że jego stosunki z załogą układają się znakomicie. Tak znakomicie, że przed wplynięciem do doku koledzy uparli się, że zapakują za niego worek; jak się później okazało, wypchali go czerstwym chlebem.

Stali u wejścia do Gravesend czekając na przyptów. Wokół nich w mglistym brzasku pobekiwały już z cicha owce. W półświecie Tamiza była nawet dość podobna do Jangcy Kiang. Potem nagle ktoś wystukał fajkę o mur ogrodu...

Hugh nie próbował się dowiedzieć, czy dziennikarz, który w Silvertown wszedł na pokład, grywał w wolnych chwilach jego piosenki. Niemal siłą wyrzucił go ze statku:

To, co go skłoniło do tego nietadnego czynu, nie przeszkodziło mu jednak odnaleźć jakoś tegoż jeszcze wieczora drogi na New Compton Street, do nędznego sklepiku Bolowskiego. Sklepik był zamknięty i ciemny; ale Hugh mógłby prawie przysiąc, że to jego piosenki leżą na wystawie. Jakież to wszystko dziwne! Zdawało mu się niemal, że słyszy płynące z góry znajome tony; pani Bo-lowska gra cichutko w pokoju na górze. A potem, gdy szukał hotelu, zdawało rnu się, że wszędzie dokoła ludzie nucą jego melodie. To ciche nucenie wypełniało jego sny, gdy spędzał noc w „Astorii”; wstał o świcie, żeby obejrzeć znów cudowną wystawę. Ale nie zobaczył swoich piosenek. Tylko przez sekundę odczuwał zawód. Prawdopodobnie jego piosenki tak są popularne, że szkoda egzemplarzy na wystawę. O dziewiątej ponownie był przed sklepem. Mały człowieczek ucieszył się na jego widok. Ależ tak, naturalnie, obie piosenki zostały już dawno wy-

drukowane. Bolowski zaraz je przyniesie. Hugh czekał z zapartym tchem. Dlaczego nie wraca tak długo? Ostatecznie Bolowski jest jego wydawcą. Chyba niemożliwe, żeby nie mógł ich znaleźć. W końcu Bolowski wrócił z subiektem dźwigając dwie ogromne paki.

— Oto są — powiedział — pańskie piosenki. Co pan sobie życzy, żebyśmy z nimi zrobili? Weźmie je pan? Czy może lepiej, żebyśmy je jeszcze trochę przetrzymali?

Oto rzeczywiście były piosenki Hugh'a. Zostały wydrukowane, jak Bolowski powiedział, w tysiącu egzemplarzach każda; to wszystko. Nie zrobiono żadnego wysiłku, żeby je rozsprzedać. Nikt ich nie nucił. Nie wykonywał ich żaden komik w „Hippodromie” w Birkenhead. Nikt nie usłyszał nigdy ani słowa więcej o piosenkach „uczniakompozytora”. A dla Bolowskiego było to sprawą absolutnie obojętną, czy ktoś usłyszy o nich cokolwiek w przyszłości. Wydrukował je wypełniając w ten sposób swoją część umowy. Koszt druku wyniósł może jedną trzecią kaucji. Reszta była czystym zyskiem. Jeżeli Bolowski drukował w ciągu roku tysiąc takich piosenek, skomponowanych przez naiwnych półgłówków, którzy chcieli płacić, nie było mu warto wydawać na reklamę. Wystarczały mu same kaucje. A ostatecznie Hugh miał swoje piosenki. Czy Hugh nie wiedział, tłumaczył łagodnie Bolowski, że piosenki angielskich kompozytorów nie idą? Że większość publikowanych w Anglii piosenek pochodzi z Ameryki? Hughowi mimo woli pochlebilo to, że wtajemniczono go w zawziętość piosenkowego businessu.

— Ale ten cały rozgłos — wyjąkał. — Czy to nie była dla pana dobra reklama?

Bolowski łagodnie potrząsnął głową. Zanim piosenki[^] wyszły drukiem, o rozgłosie nikt już nie pamiętał.

— Chyba nie byłoby trudno ożywić tę historię... — wy mamrotał Hugh, potykając wszystkie swoje skomplikowane dobre intencje, bo nagle przypomniał mu się dzienni karz, którego wykopał wczoraj z pokładu; potem, zawstydzony, próbował z innej beczki... Może mimo wszystko kompozytor piosenek ma więcej szans w Ameryce? I w ja-

kiś oderwany sposób pomyślał o „Edypie Tyranie”. Jednakże Bolowski spokojnym głosem wykpił szansę kompozytora w Ameryce, gdzie każdy kelner komponuje piosenki...

Ale jednocześnie Hugh z półnadzieją w sercu przeglądał swoje piosenki. Przynajmniej na okładkach było jego nazwisko. A na jednej była nawet fotografia orkiestry tanecznej. „Melodia wykonana z oszałamiającym powodzeniem przez Izzy Smigalkina i jego zespół.” Hugh wziął po kilka egzemplarzy i wrócił do „Astorii”. Izzy Smigalkin grał w kinie na przedmieściu Elephant and Castle i tam też Hugh skierował kroki, chociaż nie umiałby wyjaśnić dlaczego, skoro Bolowski wyjawiał mu prawdę: gdyby nawet Izzy Smigalkin grał w samym kinie „Kilburn Empire”, nie jest on muzykiem, który zainteresowałby się piosenką nie rozpisaną na orkiestrę — choć mógł widnieć na jej okładce na podstawie cichej umowy z Bolowskim, co nie zapewniało powodzenia. Hugh zaczynał poznawać świat.

Zdał egzamin do Cambridge, ale nie porzucił swoich dotychczasowych melin. Półtora roku dzieliło go od wstąpienia na uniwersytet. Reporter, którego wyrzucił z pokładu „Filokteta”, powiedział mu, jakiegokolwiek były jego motywy: „Jest pan głupcem. Mogłyby się o pana bić wszystkie redakcje w mieście.” Odzyskawszy dzięki cierpieniom dobre maniery Hugh postarał się przez tego samego człowieka o pracę w redakcji: przyklejał wycinki w specjalnej księdze. A więc do tego już doszło! Jednakże wkrótce zyskał nieco poczucia niezależności — chociaż ciotka nadal płaciła za jego życie i mieszkanie. I bardzo szybko zaczął się piąć w górę. Pomógł tu jego rozgłos, mimo że dotąd nie napisał nic o morzu. Z całego serca tęsknił do uczciwości, artyzmu, a jego opis pożaru domu publicznego na Wapping Old Stairs odznaczał się podobno jednym i drugim? Ale w głębi jego duszy płonęły inne ognie. Nie pętał się już od jednego trzeciorzędnego wydawcy do drugiego z gitarą i rękopisami w małej torbie podróźnej Geoffa. Ale jego życie powtórnie zaczęło się upodabniać do życia Adolfa Hitlera. Nie stracił kontaktu z Bolow-

skim i w największej skrytości wyobrażał sobie, że knuje zemstę. Coś w rodzaju prywatnego antysemityzmu stało się częścią jego życia. W nocy dyszał nienawiścią rasową. Jeżeli czasem myślał jeszcze o tym, że do kotłowni . na statku spadł po rynnie systemu kapitalistycznego, uczucie to było teraz nieodłączne od nienawiści do Żydów. W jakiś sposób była to wina biednych starych Żydów, nie tylko Bolowskiego, ale wszystkich Żydów, że w ogóle znalazł się w kotłowni na statku — goniąc za chimerami. Było to nawet winą Żydów, że istniała taka pasożytnicza narośl ekonomiczna jak Brytyjska Marynarka Handlowa. W swoich marzeniach na jawie stawał się instygatorem gigantycznych pogromów — wszechogarniających, a więc ' bezkrwawych. I z każdym dniem zbliżała się chwila, w której urzeczywistni swoje zamysły. Prawda to, że między nim a jego zemstą pojawiał się od czasu do czasu cień ładowacza z „Filokteta”. Albo przemykały widma palaczy z „Edypa Tyrana”. Czy Bolowski i inni jego pokroju nie są wrogami własnej rasy i czy Żydzi sami nie są sponiewieranymi, wyzyskiwanymi wędrowcami ziemi — jak on? Ale czymże jest braterstwo ludzi, skoro bracia wkładają czerstwy chleb do marynarskiego worka? Do kogo jednak zwrócić się po prawdziwe, po ludzkie wartości? Czy jego rodzice może nie umarli? Do ciotki? Do Geoffa? Geoff, jak widmowa postać, był wciąż w Rabacie czy Timbuktu. Zresztą, czy nie odarł go już raz z godności, jakiej przydaje człowiekowi postawa buntownika? Hugh uśmiechnął się leżąc na werandzie... Bo rozumiał już teraz, że był ktoś, do czyjej pamięci mógł się przynajmniej zwrócić. Co więcej, przypomniało mu to, że w wieku lat trzynastu był płomiennym rewolucjonistą. I — zabawne, kiedy się to wspomina — ale czyż za jego herezje nie był odpowiedzialny właśnie dyrektor poprzedniej szkoły przygotowawczej, do której Hugh chodził, i harcmistrz w jednej osobie — nieprawdopodobny kroczący uroczyście słup totemiczny Przywileju, Kościoła, angielski dżentelmen, ostatnia deska ratunku rodziców, Boże Chroń Króla itd.? Płomienny starzec, który co niedzielę wstępował na am-

bonę i mówił o cnotach, podczas lekcji historii wyjaśniał z zachwycającą niezależnością sądu uczniom, którzy wytrzeszczali na niego oczy, że bolszewicy nie są bynajmniej mordercami dzieci, jak to przedstawia „Daily Mail,” i żyją życiem tylko trochę mniej wygodnym niż mieszkańcy jego parafii w Pengbourne Garden City. Ale Hugh zapomniał wtedy o dawnym mentorze. Podobnie jak dawno już zapomniał o obowiązku spełnienia jednego dobrego uczynku dziennie; o tym, że chrześcijanin uśmiecha się i gwizdże we wszystkich trudnych sytuacjach życiowych i o tym, że wystarczy raz być skautem, żeby na zawsze zostać komunistą. Pamiętał tylko, że należy być przygotowanym. I wobec tego uwiódł żonę Bolowskiego.

Co do tego mogły istnieć różnice zdań... Niestety nie zmieniło to decyzji Bolowskiego, że wystąpi o rozwód oskarżając żonę o zdradę z Hughem. Gorsze miało nastąpić. Bolowski postawił nagle Hughowi zarzut, że usiłował go oszukać również w innych sprawach, gdyż piosenki, które wydrukował, nie są niczym innym jak plagiatem dwóch nieznanymi amerykańskimi melodiami. Hugh był zdruzgotany. Czy to możliwe? Czy żył w świecie złudzeń tak absolutnych, że mógł czekać z namiętnym niepokojem na wydrukowanie cudzych piosenek, za które sam zapłacił, a raczej zapłaciła jego ciotka, że, co za tym idzie, nawet jego rozczarowanie z tym związane jest nieprawdziwe? Jak się okazało, nie było aż tak źle. Niemniej, jeśli idzie o jedną piosenkę, istniały nazbyt konkretne podstawy do oskarżeń...

Leżąc na werandzie Hugh mocował się ze swoim cygarem. Boże wszechmocny. Wielki Boże, wszech-jasny-gwint--mocny! Musiał wiedzieć o tym od początku. Musiał wiedzieć, że wie. Ale pochłonięty myślą o tworzeniu muzyki mógł z drugiej strony uwierzyć gitarze, że prawie każda piosenka jest jego. Niewiele pomagał fakt, że piosenka amerykańska też była niewątpliwym plagiatem. Hugh żył w udręce. Mieszkał wtedy w Blackheath i któregoś dnia, gnany śmiertelnym strachem, że wszystko się wyda, szedł piętnaście mil do miasta, szedł przez slumsy Lewisham,

Catford, New Cross, szedł Old Kent Road, minął — ach! — Elephant and Castle, aż w samo serce Londynu. Jego biedne piosenki ścigały go, w kluczu minorowym teraz, makabryczne. Pragnął zgubić się w tych dotkniętych nędzą dzielnicach, które Longfellow ozdobił romantycznością. Pragnął, żeby ziemia pochłonęła jego samego i jego hańbę. Bo hańba czekała go nieunikniona. Gwarantował to rozgłos, jaki Hugh sam nadał kiedyś swojej osobie. Jak będzie się teraz czuła jego ciotka? Geoff? Tych kilka osób, które w niego wierzyły? Hugh wyobraził sobie w myślach ostatni gigantyczny program; na próżno. W końcu było dla niego niemal pociechą, że rodzice nie żyją. Mało też było prawdopodobne, że kierownik studiów w college'u w Cambridge powita z otwartymi ramionami studenta pierwszego roku, którego właśnie włączono po sądach w sprawie rozwodowej; straszne słowa. Perspektywy wydawały się przerażające, życie było skończone, jedyna nadzieja to zaciągnąć się na inny statek natychmiast potem, jak się wszystko skończy, lub w miarę możliwości, zanim się zacznie.

Potem nagle stał się cud, coś niebywałego, niepojętego — coś, na co Hugh po dziś dzień nie umiał znaleźć wytłumaczenia. Bolowski ni stąd, ni zowąd poniechał całej sprawy. Przebaczył żonie. Wezwał Hugh'a i przebaczył mu, z godnością. Wycofał skargę rozwodową. Cofnął zarzuty plagiatu. Wszystko to było nieporozumieniem, powiedział. Zakładając nawet najgorsze, piosenki nie zostały rozprzedane, więc nie stała się żadna krzywda. Im prędzej pójdzie wszystko w niepamięć, tym lepiej. Hugh nie wierzył własnym uszom, nie wierzył nawet dzisiaj, we wspomnieniu, że zaraz potem, jak wydawało się, że wszystko jest stracone, że życie zostało bezpowrotnie zmarnowane — nie wierzył nawet teraz, że mógł, jak gdyby się nic nie zdarzyło, spokojnie iść dalej ku... — Ratunku!

Geoffrey, z twarzą do połowy namydloną, stał w drzwiach swojego pokoju drżąc przywołując go pędzlem i Hugh cisnął zmaltretowane cygaro do ogrodu, wstał i poszedł za

nim. Zwykle przechodził przez ten interesujący pokój, żeby się dostać do swojego (przez otwarte drzwi widać tam teraz było maszynę do strzyżenia trawy), w tym zaś momencie, ponieważ pokój Ivonne był zajęty, żeby się dostać do łazienki. Łazienka była naprawdę zachwycająca i ogromna jak na wymiary domu; okna, przez które wdierało się teraz słońce, wychodziły na podjazd i Calle Nica-ragua. W powietrzu wisiał ciężki, słodki zapach kosmetyków Ivonne, przez otwarte okno w pokoju Geoffa sączyły się aromaty ogrodu.

— Trzęsiączka to straszna rzecz, nie miałeś nigdy trzęsiączki? — pytał Konsul dygocąc na całym ciele; Hugh wziął od niego pędzel i rozrabiał pianę na kostce mydła z oślego mleka leżącej na umywalni. — Tak, miałeś, pa miętam. Ale to nie była supertrzęsiączka.

•— Nie... żaden dziennikarz me miał nigdy trzęsiączki. — Hugh okręcił ręcznik dokota szyi Konsula. — Chciałeś powiedzieć: kręcka.

—Tak, kręciek w kręcku.

—Serdecznie współczuję. No, jesteśmy gotowi. Stój te raz spokojnie.

—Jakim cudem mógłbym stać spokojnie?

—To usiądź.

Ale Konsul nie mógł też usiąść.

— Jezu, Hugh, tak mi przykro. No po prostu nie mogę nie skakać. Zupełnie jakbym był w czołgu... powiedziałem w czołgu? Chryste, muszę się czegoś napić. Co my tu mamy? — Konsul sięgnął po stojącą na parapecie okiennym nieodkorkowaną butelkę spirytusowego płynu do włośów. — Jak myślisz, czy to smaczne, hę? Na porost włośów. — Zanim Hugh zdołał go powstrzymać, Konsul upił duży łyk. — Nie najgorsze. Zupełnie niezłe — dodał z tryumfem w głosie, oblizując wargi. — Może trochę przysłabe... Trochę jak pernod. W każdym razie to na pewno skuteczny środek czarodziejski przeciwko atakującym karaluchom. I przeciwko wielokątnemu, proustiańskiemu spojrzeniu urojonych skorpionów. Och,

**czekaj, zaraz
będę...**

214

Hugh odkręcił wszystkie kurki. Słyszał przez ścianę Ivonne krzątającą się po pokoju, przygotowującą się do wyjazdu do Tomalin. Ale zostawił przecież radio otwarte na werandzie; Ivonne nie usłyszy chyba nic poza zwykłym łazienkowym harmidrem.

—Wet za wet — powiedział Konsul, wciąż dygocąc, gdy Hugh doprowadził go z powrotem do krzesła. — Kiedyś pomogłem ci w identycznej sytuacji.

—*St, hombre.* — Hugh podniósł brwi rozrabiając znów pędzlem mydło z oślego mleka. — Zapewne. Lepiej te raz, staruszkę?

—Kiedy byłeś dzieckiem. — ■ Konsul szcząkał zębami. — Na statku w drodze powrotnej z Indii... Na pokładzie sta rej „Coconady”.

Hugh poprawił ręcznik na szyi brata, a potem — jak gdyby w roztargnieniu wykonywał milczący rozkaz Geof-fa — ■ wyszedł nucąc do pokoju sypialnego i dalej na werandę, gdzie radio grało głupio Beethovena na wietrze, porywistym teraz z tej strony domu. Wracając z butelką whisky, którą — jak się słusznie domyślił ■— Konsul ukrył w szafce, przebiegł oczami książki brata ustawione porządnie na wysokich pod sufit półkach w schludnym pokoju, gdzie poza tym nic nie wskazywało na to, że jego lokator pracuje czy też przygotowuje się do pracy w przyszłości, chyba żeby wziąć pod uwagę trochę zmięte łóżko, na którym Konsul najwyraźniej leżał. *Dogme et Ritual de la Haute Magie, Kult węża i Sziwy w Ameryce Środkowej* — były dwie długie półki tego rodzaju dzieł wraz ze zrudziałymi skórzanymi okładkami i postrzępionymi brzegami książek traktujących o kabale i alchemii, chociaż niektóre z nich sprawiały wrażenie zupełnie nowych, jak *Goetia Lemegaton Króla Salomona*, znajdowały się tam też zapewne bezcenne skarby, ale reszta była heterogeniczną zbieraniną: Gogol, *Mahabharata*, Blake, Tolstoj, Pontoppidan, *Upaniszady*, Marston, Biskup Berkeley, Duns Scotus, Spmoza, *Vice Versa*, Szekspir, wszystkie dzieła Taskersona, *Na Zachodzie bez zmian, Klapanie*

***Cuthber-ta, Rigweda — Bóg wie,
Piotruś królik. „Wszystko***

215

można znaleźć w *Piotrusiu króliku*" — mawiał często Konsul. Hugh wrócił do łazienki uśmiechnięty i ozdobnym gestem hiszpańskiego kelnera nalał sporą miarkę whisky do kubka od mycia zębów. — Gdzieś ty to znalazł?... Ach!... Uratowałeś mi życie.

— Drobiazg. To samo zrobiłem kiedyś dla Carruthersa. — Hugh zabrał się teraz do golenia Konsula, który prawie natychmiast przestał dygotać.

— Carruthers... Stara Wrona?... Coś dla niego zrobić?"*

— Trzymałem mu głowę.

— Tylko że on naturalnie nie był pijany.

— Pijany nie był... Spity. I to w czasie inspekcji. — Hugh zaczął wywijać morderczą brzytwą. — Postaraj się siedzieć spokojnie, teraz dobrze. Bardzo cię szanował... opowiadał mnóstwo historyjek o tobie... przeważnie wariacje na jeden temat... Wiesz, ta historia, jak wjechałeś konno do college'u...

■— Och nie... Na pewno nie konno. Przerażają mnie zwierzęta większe od owcy.

■— Tak czy inaczej, w jego opowiadaniu był koń uwiązany w spiżarni. I to piekielnie groźny koń. Podobno dopiero trzydziestu siedmiu woźnych z jednym college'owym portierem na czele zdołało go wyprowadzić.

— Mój Boże... Ale wiesz, nie mogę sobie wyobrazić Carruthersa, który tak się upija, że w czasie inspekcji jest nieprzytomny. Niech pomyślę... w moich czasach był młodym wykładowcą. Tak naprawdę bardziej go chyba interesowały pierwsze wydania niż studenci. Naturalnie to było na początku wojny, okres dość męczący... W każdym razie wspaniały chłop!

— W moich czasach też był jeszcze młodszym wykładowcą.

„...W moich czasach? Co to właściwie znaczy? Co takiego — jeżeli w ogóle oś — zrobiłem w Cambridge, czym dowiodłbym, że moja dusza godna jest Siegeberta z East Anglii czy Johna Cornforda? Czy wymigiwałem się z wykładów, uciekałem ze wspólnej jadalni, nie chciałem wioślować w barwach college'u; oszukiwałem mojego kierow-

nika studiów, w końcu — siebie? Czy studiowałem najpierw ekonomię, potem historię, potem włoski, z trudem zdając egzaminy? Czy uciekałem górą przez bramę, do 'której miałem zupełnie nie marynarski wstręt, po to, żeby odwiedzić Billa Plantageneta w Sherlock Court, żeby zacisnąwszy dłonie na kole św. Katarzyny poczuć jak Met-ville w krótkiej chwili snu, że świat odrywa się od nieba i pędzi w tył? Ach, dzwony Cambridge wieszczące schronienie! Cambridge, którego fontanny w blasku księżyca, którego zamknięte dziedzińce, krużganki, którego trwałe piękno w cnotliwej, zadumanej pewności siebie wydawały się częścią nie tyle wrzaskliwej mozaiki własnego głupiego życia tam — chociaż podtrzymywały je może niezliczone, zwodnicze wspomnienia podobnego życia innych — ile częścią marzenia starego mnicha zmarłego przed ośmiuset laty, którego posępne domostwo osadzone na kamieniach i palach wbitych w bagnisty grunt błyszczało ongiś jak latarnia morska pośród tajemniczej ciszy i samotności moczarów. Częścią marzenia zazdrośnie strzeżonego: nie deptać trawników. A jednak tak nieziemsko pięknego, że wyciskało słowa: przebacz mi, Boże. A tymczasem samemu - mieszkano się pośród ohydnych zapachów dżemu pomarańczowego i starych butów, w ruderze koło-dworca towarowego, prowadzonej przez kalekę. Cambridge było morzem odwróconym; jednocześnie straszliwym cofaniem się; było w najściślejszym sensie tego słowa — mimo popularności, jaką tam zyskał, mimo od Boga zesłanej życiowej szansy — najbardziej przerażającym koszmarem, jak gdyby dorosły mężczyzna obudził się nagle i na podobieństwo nieszczęsnego pana Bultitude'a z *Vice Versa* stanął oko w oko nie z ryzykami businessu, tylko z lekcją geometrii, której nie przygotował przed trzydziestu laty, i z udręką dojrzewania. Mieszkania studenckie i forkasztele są tam, gdzie się je umieści w sercu. Serce czuło jednak wstręt do tego wracania całym rozpędem w przeszłość, pośród te same szkofą-uwięzione twarze, rozdęte teraz jak twarze topielców na chudych, wyrosniętych ciałach, wracania od nowa pośród wszystko to, od '

czego z takim trudem starało się dawniej uciec, tylko teraz w prostacko wyolbrzymionym kształcie. A gdyby w rzeczywistości nawet tak nie było, człowiek mimo wszystko musiałby zdawać sobie sprawę z otaczających go klik i snobizmu, z talentu topionego w rzece, ze sprawiedliwości, której wydział odmawiał poparcia, z powagi ośmieszanej, z głupkowatych drągali w białoczarnych tweedach, cedzących słówka jak stare panny, których jedyny sens istnienia mogła potwierdzić tylko następna wojna. Było tak, jak gdyby doświadczenie morza, też wyolbrzymione przez czas, obciążyło go głębokim psychicznym nieprzystosowaniem marynarza, który nigdy nie może być szczęśliwy na lądzie. Hugh zaczął jednak grać na gitarze, tym razem bardziej na serio. I znowu jego najlepszymi przyjaciółmi byli często Żydzi, często ci sami Żydzi, z którymi przyjaźnił się w szkole. Trzeba przyznać, że przyszli do Cambridge pierwsi, że byli tam z krótszymi czy dłuższymi przerwami od A. D. 1106. Ale teraz wydawało się Hughowi, że są to jedyni ludzie równie starzy jak on; tylko oni jedni posiadali liberalne, niezależne poczucie piękna. Tylko Żyd nie burzył marzenia starego mnicha. I w jakiś sposób tylko Żyd ze swoim bogatym bagażem przedwczesnych cierpień umiał zrozumieć cierpienia Hugh'a, jego izolację, jego osamotnienie — gruntownie — jego biedną muzykę. Tak więc w moich czasach i z pomocą ciotki kupiłem tygodnik uniwersytecki. Unikając wszelkich funkcji w college'u stałem się wiernym stronnikiem syjonizmu. Jako kierownik zespołu jazzowego, składającego się w głównej mierze z Żydów i grywającego na studenckich potańcówkach i mojego własnego zespołu «Trzej Marynarze*», zebrałem sporą sumkę pieniędzy. Piękna Żydówka, żona zaproszonego do Cambridge amerykańskiego wykładowcy, została moją kochanką. Ją też uwiodłem przy pomocy gitary. Gitara kierowała moimi czynami, była moim rekwizytem — jak łuk Filokteta i jak córka Edypa. Gdziekolwiek szedłem, grałem na niej bez żenady. Uważałem też, że jest to niespodziewany i pożyteczny komplement, gdy Philipson, malarz, zadał sobie trud narysowania mo-

jej karykatury w konkurencyjnym piśmie: ogromna gitara, w której wnętrzu chowało się, zwinięte jak noworodek w łonie matki, dziecko o śmiesznie znajomej twarzy..."

— Naturalnie był zawsze wielkim znawcą wina.

i — W moich czasach pierwsze wydania i wina zaczynały mu się już lekko mieszać w głowie. — Hugh przeciągnął zręcznie brzytwą wzdłuż linii brody Geoffa ponad żyłą szyjną i tętnicą. — „Smithers, bądź taki dobry i przynieś mi butelkę najlepszego Johna Donne'a... Wiesz, taką autentyczną, rocznik 1611."

— Boże, jakie to zabawne... A może nie?
Biedna Stara
Wrona.

— Wspaniały chłop był z niego.

— Z tych najlepszych.

„...Grałem na gitarze przed księciem Walii, z gitarą w rękę, w rocznicę zawieszenia broni, zbierałem na ulicy datki dla weteranów, grałem na przyjęciu wydanym przez Towarzystwo Amundsena, grałem dla członków francuskiej Izby Deputowanych, gdy obradowali nad przyszłością. «Trzej Marynarze* zdobyli olśniewającą sławę meteora, Metronome porównał nas do «Błękitnej Czwórki» Venu-tiego. Wydawało mi się wtedy, że największym nieszczęściem, jakie może mnie spotkać, to zranienie ręki. A jednak marzyłem często, że umieram rozszarpany przez lwy na pustym, że w ostatniej chwili żądam, aby mi podano gitarę, że do ostatka brzdąkam na strunach... Mimo to sam z własnej woli ją rzuciłem. Nagle, w niecały rok po opuszczeniu Cambridge, przestałem grać — najpierw w zespołach, potem nawet sam dla siebie, przestałem grać tak zupełnie, że Ivonne, mimo łączącej nas subtelnej więzi hawajskiego pochodzenia, na pewno nie wie, że w ogóle grałem, przestałem grać tak absolutnie, że nikt już do mnie nie mówi: Hugh, gdzie twoja gitara? Może byś nam coś zagrał?..."

— Muszę — powiedział Konsul — zrobić małe wyzna-
nie. ...Kiedy cię nie było, oszukiwałem trochę ze strych-
niną.

— Thalavethiparothiam, tak? — spytał Hugh z żarto-

bliwą pogrózką w głosie. — Czyli siła woli osiągnięta przez dekapitację. A teraz nie uważaj, jak powiadają Meksykańscy, bo będę ci golił kark.

Ale wpiern Hugh wytarł brzytwę o kawałek bibułki jednocześnie rzucając roztargnione spojrzenie przez drzwi do pokoju Konsula. Okna były szeroko otwarte; zasłony bardzo łagodnie wydymały się do środka. Wiatr prawie ustał. Powietrze wokół nich było ciężkie od zapachów ogrodu. Hugh słyszał wiatr zrywający się po tamtej stronie domu, potężny oddech Atlantyku zaprawiony dzikim Beethovenem. Ale tutaj, po stronie zawietrznej, drzewa widziane przez okno łazienki zdawały się nie wiedzieć nic o wietrze. I zasłony igrały ze swoim własnym łagodnym wietrzykiem. Jak uprana bielizna załogi na pokładzie parowego trampa, rozpięta nad lukiem numer sześć pomiędzy błyszczącymi dźwigami, która zaledwie się porusza w popołudniowym słońcu, podczas gdy za trawersem, w odległości niecałej mili, jakiś rozchybotany tubylczy stateczek o gwałtownie trzepoczących żaglach zdaje się walczyć z huraganem, a oni kołyszają się niedostrzegalnie, jakby poruszał ich inny mechanizm...

„... Dlaczego przestałem grać na gitarze? Z pewnością nie dlatego, że — z opóźnieniem — dostrzegłem sens karykatury Philipsona, okrutną prawdę w niej zawartą... Przegrywają bitwę o Ebro... A przecież łatwo mógł sobie wyobrazić, że gra dalej, że wygrywa na gitarze nową formę triku reklamowego, nowy sposób na utrzymanie się w pełnych światłach reflektorów — jak gdyby cotygodniowe artykuły w «News of the World» nie rzucały na mnie dostatecznie jaskrawego światła! Albo mógł sobie wyobrazić siebie z gitarą jako z czymś w rodzaju nieuleczalnego opętania miłosnego, siebie jako wiecznego trubadura, ku-glarza interesującego się tylko kobietami zamężnymi — czemu? — który w końcu staje się niezdolny w ogóle do miłości... Obmierzły mały człowieczek. Który, zresztą, nie pisał już piosenek. Podczas gdy gitara jako cel sam w sobie ujawniła w końcu swoją błahość; przestała nawet do-

starczą rozrywki; ot, dziecinna zabawka, którą należy odłożyć..."

—Czy nie jest tak?

—Co nie jest tak?

^{VI} — Widzisz ten biedny klon na wygnaniu, oparty na kulach cedrów? — spytał Konsul.

—Nie... na szczęście dla ciebie.

—Któregoś dnia, kiedy wiatr powieje z tamtej strony, klon upadnie. — Konsul mówił jakby z trudem, podczas gdy Hugh golił mu kark. — A widzisz ten słońcecznik, który ... o tam zagląda przez okno sypialni? Cały dzień pa trzy do mojego pokoju.

—... powiedziałaś, że wszedł do twojego pokoju?

—Patrzy. Groźnie. Jak Bóg!

„... Kiedy ostatni raz miałem gitarę w ręku... Brzdąkałem piosenki w barze «King of Bohemia» w Londynie. Piwa Lekkie i Mocne Benskina. A kiedy przyszedłem do siebie, po tym, jak straciłem przytomność, John i reszta śpiewali bez akompaniamentu tę piosenkę *Balgine Run*. Co to właściwie znaczy?

Rewolucyjne piosenki; pseudobolszewickie... ale dlaczego dawniej nie słyszało się nigdy takich piosenek? Dlaczego, jeśli już o tym mowa, nie widziało się dawniej w Anglii tak spontanicznej radości przy śpiewaniu piosenek? Ponurych piosenek: *Nie mam nikogo na świecie*. Odartych z miłości piosenek: *Ta, którą kocham, kocha mnie...* Chociaż według Hugh'a John i reszta nie byli «pseudo»; nie bardziej niż człowiek, który idąc o zachodzie słońca wraz z tłumem albo otrzymując złą nowinę, albo będąc świadkiem cudzej krzywdy odchodzi, zastanawia się, nie wierzy, wraca znów i pyta, decyduje się działać... Wygrywają bitwę o Ebro! Ale nie dla mnie, może nie dla mnie. Ale trudno się naprawdę dziwić, jeżeli tych przyjaciół (kilku z nich leży teraz w hiszpańskiej ziemi) naprawdę nudziło, jak to wtedy rozumiałem, moje pseudo--amerykańskie brzdąkanie, w gruncie rzeczy nawet nie bardzo dobre brzdąkanie, i słuchali tylko z grzeczności... brzdąkania..."

— Napij się jeszcze. — Hugh ponownie napełnił kubek do płukania ust, podał Konsulowi i sięgnął po egzemplarz „El Universal”, który spadł na podłogę. — Chyba jeszcze trochę tutaj, policzki obok brody... i tu na karku. — Kugh ostrzył w zamyśleniu brzytwę.

—»Wspólnota napoju. — Konsul podał Hughowi kubek przez ramię. — „Irytujące pobrękiwanie pieniędzmi w Fort Worth.” — Trzymając gazetę dość spokojną ręką Konsul czytał na głos z kolumny angielskiej: — „Kink nieszczęśliwy na wygnaniu.” Ja osobiście w to nie wierzę. „Miasto liczy psie nosy.” W to też nie wierzę. A ty, Hugh?... I ... ach, tak! — ciągnął. — „W Klamanth Falls jajka leżały w drzewie sto lat, jak obliczają drwale po pierścieniach drzewa.” Czy takie mniej więcej historyjki pisujesz ostatnio?

— Prawie identyczne. Albo: „Japończycy odcięli wszystkie drogi do Szanghaju. Amerykanie ewakuują się...” Ta historia historyjki. Siedź spokojnie.

„...Jednakże ani razu od tamtego dnia nie grałem na gitarze. Nie. I ani razu od tamtego dnia nie byłem szczęśliwy. Odrobina samowiedzy jest rzeczą niebezpieczną. Zresztą czy bez gitary byłem trochę mniej na widoku, czy mniej interesowałem się zamężnymi kobietami — i tak dalej, i dalej? Jednym bezpośrednim następstwem rzucaenia gitary było niewątpliwie to drugie pójście na morze, seria artykułów, w tym pierwszy dla «Globe'u», na temat brytyjskiego handlu przybrzeżnego. Potem jeszcze jedna podróż, która skończyła się duchowym fiaskiem. Wróciłem jako pasażer. Ale artykuły miały powodzenie. Kominy obleczone skorupą soli morskiej. Brytania władczyńi mórz. Od tego czasu czekano z zainteresowaniem na moje artykuły... Ale z drugiej strony — dlaczego nie miałem nigdy ambicji dziennikarskich? Widocznie nie potrafiłem przewyciężyć antypatii do dziennikarzy, następstwa gorliwych młodzieńczych załotów. A poza tym nie można powiedzieć, żeby mnie łączyła z kolegami wspólna konieczność zarabiania na życie. Był przecież zawsze fen dochód odziedziczony po rodzicach. Jako wędrujący re-

porter funkcjonowałem nieźle, nadal, do dziś nieźle się spisuję — tylko że narasta we mnie świadomość samotności, izolacji — i coraz lepiej zdaję sobie sprawę z dziwnego nawyku wysuwania się na pierwszy plan i potem natychmiast cofania się, jak gdybym przypominał sobie nagle, że przecież nie mam w ręku gitary... Może ludzi nudziła moja gitara. Ale w jakimś sensie — co komu do tego? — jej struny budziły mnie do życia..."

— Niedawno ktoś cię cytował w „El Universal” — powie dział Konsul z uśmiechem. — Ale zapomniałem, o co cho-
dziło... Hugh, może miałbyś ochotę na „sprzedawane ze stratą” ... posłuchaj... „importowane haftowane, do pary spacerowe, rozmiar ekstraduży, prawie nowe futro”?

— Nie ruszaj się.

— Albo może chcesz cadillaca za pięćset pesos. Cena pierwotna dwieście... Co to może znaczyć, jak myślisz, „Oraz białego konia”? Oferty skrzynka numer siedem...
Dziwne... Antyalkoholowe dyrdymałki. Nie podoba mi się ten ton. Ale tu jest coś dla ciebie. „Zaciszne mieszkanie odpowiednie na gniazdko miłosne.” Albo do wyboru: „Przyzwoite, dyskretne...”

— Ha...

— „... mieszkanie...” Hugh, posłuchaj. „Kulturalny pan, niestary, na dobrym stanowisku, nawiąże znajomość z młoda, ładną Europejką...”

Konsul trząś się, najwyraźniej tylko ze śmiechu, i Hugh śmiał się też, z brzytwą znieruchomiłą w powietrzu.

— Ale szczątki Juana Ramireza, słynnego śpiewaka, na dal wędrują melancholijnie z miejsca na miejsce... Ho-ho, tu piszą że „z poważnym sprzeciwem” spotkało się nie-przystojne zachowanie niektórych policjantów w Quauh-nahuac. „Zaprotestowano stanowczo przeciwko — co takiego? — wykonywaniu przez nich czynności prywatnych publicznie.”

„...Wspiąłem się na szczyt Parson's Nose — napisałem w księdze gości małego schroniska w górach Walii — w dwadzieścia minut. Uważam, że ściana jest bardzo łatwa. Zeszedłem z Parson's Nose — dodał nazajutrz jakiś

nieśmiertelny kpiarz — w dwadzieścia sekund. Uważani, że ściana jest bardzo twarda... Tak więc teraz, kiedy zbliżam się do drugiej połowy mojego życia — nie zapowiedzianego fanfarami, nie opiewanego i bez gitary — wracam na morze: myślę, że te dni oczekiwania są jak tamto błazeńskie schodzenie w dół, z którego chce się wyjść cało, żeby powtórzyć wspinaczkę. Ze szczytu Parson's Nose można — jeśli ktoś ma ochotę — pójść pieszo przez pagórki na herbatę do domu, podobnie jak aktor w widowisku pasywnym może zejść z krzyża i pójść do hotelu na kufel pilznera. Jednakże kiedy twoje życie pięło się w górę czy opadało w dół, wiktateś się bezustannie w mgłę, zimno, przewieszki, zdradliwe liny i obślizłe węzły; tylko kiedy lina obsuwała się, miałeś czasem okazję do śmiechu. Niemniej — boję się... Podobnie jak się boję zwykłej grobli i wchodzenia na szczyt poruszanych wiatrem masztów w porcie. Czy będzie to tak ciężkie jak pierwsza podróż, której surowa rzeczywistość z jakichś względów przywodzi na myśl farmę Ivonne? Ciekawe, co Ivonne będzie czuła, kiedy zobaczy pierwszy raz, jak zarzynają przy niej świnię... Boję się; a jednak się nie boję; wiem, jakie jest morze; czy *nie* jest tak, że wracam na morze z marzeniami nietkniętymi — ach, nie! — z rnarzeniami pozbawionymi zjadliwości, a więc bardziej podobnymi do marzeń dziecka? Kocham morze, czyste norweskie morze. Moje rozczarowanie jest jeszcze jedną pozą. Czego chcę dowieść tym wszystkim? Przyznaj, jesteś sentymentalistą, nedorajdą, realistą, marzycielem, tchórzem, hipokrytą, bohaterem — słowem jesteś Anglikiem niezdolnym wypełnić do końca własnych metafor. Snob i pionier w przebraniu. lkonklasta i badacz-podróżnik. Nieustraszony nudziarz, którego zgubiła banalność! Dlaczego, pytam się teraz, zamiast umilknąć na zawsze wtedy w londyńskim barze, nie nauczyłem się tamtych piosenek, tamtych cudownych rewolucyjnych piosenek? Zresztą, co mnie może powstrzymać przed nauczeniem się takich piosenek teraz — nowych piosenek, innych — już chociażby dlatego, zęby odzyskać z powrotem część radości, jaką daje samo śpiewanie, samo

granie na gitarze? Co mi dało moje życie? Kontakty ze sławnymi ludźmi... Na przykład jak wtedy, kiedy Einstein spytał mnie o godzinę. Letni wieczór, idę w kierunku hałaśliwych kuchen college'u St. John... kto jest ten człowiek, który wyszedł właśnie z pokoi profesora mieszkającego w D4? Kto jest ten człowiek, który idzie wolno w kierunku portierni, a gdy w drodze przecinają się nasze orbity, pyta mnie o godzinę? Czy to Einstein, który przyjechał do Cambridge po swój honorowy doktorat? I który uśmiecha się, kiedy odpowiadam, że nie wiem?... A jednak spytał mnie. Tak; wielki Żyd, który obalił poglądy całego świata na temat czasu i przestrzeni, wychylił się ze swojego hamaka rozpiętego między Baranem a Kręgiem Zachodnich Ryb, żeby mnie spytać — mnie, oszołomionego eks-antysemity i obszarpańca z pierwszego roku studiów, wepchniętego w tokę przy pierwszym błysku gwiazdy wieczornej — spytać mnie o godzinę. I uśmiechnął się znowu, gdy wskazałem mu zegar na wieży, któregośmy obaj nie spostrzegli..."

—... uważam, że to lepiej, niż gdyby mieli wykonywać czynności publiczne prywatnie — powiedział Hugh.

—Kto wie, czy nie trafiłeś tutaj mniej więcej w sed no — przyznał Konsul. — Chcę powiedzieć, że te ptaszki, o których mowa w gazecie, nie są policją w ścisłym znaczeniu tego słowa. Oitóż regularna policja...

—Wiem, strajkuje.

—Czyli, naturalnie, z twojego punktu widzenia jest bardzo demokratyczna... Podobnie jak armia. Zgoda, armia meksykańska jest demokratyczna... Ale tymczasem tamta zgraja łajdaków zaczyna się trochę stawiać. Szkoda, że jedziesz. Kto wie, czy nie wybuchnie z tego awantura w twoim guście. Czy słyszałeś kiedyś o „Union Militar”?

—Masz na myśli tę przedwojenną... jak jej tam, w Hiszpanii?

—Nie, tutaj, w Meksyku. Jest powiązana z żandarmerią, która ją, żeby tak powiedzieć, kryje, ponieważ inspektor generalny, który jest w żandarmerii, należy do „Union

Militar". Podobnie jak *Jefe de Jardmeros*, tak przynajmniej słyszałem.

—Ktoś mi mówił, że w Oaxaca stawiają nowy pomnik Diaza.

—... W każdym razie — ciągnął Konsul mówiąc trochę ciszej, bo rozmawiali teraz w sąsiednim pokoju — jest ta „Union Militar”, *sinarquistas*¹, jak ich nazywają, jeżeli cię to interesuje, bo mnie osobiście ani trochę... Kwaterę główną mieli dawniej tutaj, w „Policia de Seguridad”², ale już się przenieśli, słyszałem, że są teraz gdzieś w Parian.

W końcu Konsul był gotów do wyjścia. Pomoc Hugh'a była mu jeszcze tylko potrzebna przy wkładaniu skarpetek. Ubrany w starannie wyprasowaną koszulę i tweedo-we spodnie oraz marynarkę, którą Hugh od niego pożyczył, a teraz przyniósł z werandy, stał przed lustrem i przyglądał się swojemu odbiciu.

Rzecz naprawdę zdumiewająca, bo Konsul nie tylko wyglądał teraz świeżo i rześko, ale co więcej, nic w jego powierzchowności nie zdradzało nieumiarkowanego życia. To prawda, nie miał dawniej w oczach tego udręczonego wyrazu, jaki się widuje w oczach zdeprawowanych, ■ wynędzniałych starców; właściwie dlaczego miał go mieć, skoro jest tylko o dwanaście lat starszy od niego samego, Hugh'a? A jednak zdawało się, że to los utrwalił wiek Geoff'a w jakimś niewiadomym momencie przeszłości, kiedy jego uparte obiektywne ja, może zmęczone tym, że stoi wciąż z boku i obserwuje proces staczania się na dno, w końcu ostatecznie od niego odeszło, podobne owcy chyłkiem opuszczającej nocą zagrodę. Opowiadano o jego bracie rzeczy ponure, a także śmieszne i bohaterskie, młodzieńcze zaś poetyckie skłonności Geoff'a rozbudowały jeszcze legendę. Hughowi przyszło na myśl, że może ten biedak znalazł się w końcu, bezradny, w uścisku czegoś, przeciwko czemu nie na wiele zdadzą się jego wspaniałe

1Sinarquistas — skrajnie prawicowe ugrupowanie meksykańskie.

²Stłużba Bezpieczeństwa.

środku obrony. Co przyjdzie konającemu tygrysowi z pazurów i kłów? W uścisku, żeby utrudnić jeszcze sytuację, boa dusiciela. Ale najwyraźniej ten zdumiewający tygrys nie miał jeszcze zamiaru umierać. Przeciwnie, szedł na małą przechadzkę, zabierał ze sobą swojego boa dusiciela, zamierzał nawet udawać jakiś czas, że wąż wcale go nie dusi. A właściwie, jeśli można sądzić z pozorów, ten człowiek o niezwykłej sile, żelaznym zdrowiu i ukrytej ambicji, człowiek którego Hugh nigdy nie pozna, którego nie zdołałby wybawić ani pogodzić z Bogiem, lecz którego kochał na swój sposób i któremu chciał pomóc, zdołał tryumfująco zebrać się w sobie. Ale początek wszystkim tym refleksjom dała niewątpliwie tylko fotografia wisząca na ścianie, na którą to fotografię obaj teraz spoglądali, a której sama obecność tutaj zadawała kłam większości tamtych dawnych historii, fotografia małego zamaskowanego frachtowca; Konsul wskazał teraz na nią napełnionym ponownie kubkiem do płukania ust.

— „Samarytanin” był jednym wielkim kamuflażem. Spójrz na te grodzie i kołowroty. To czarne wejście, które wygląda jak wejście do forkasztelu, to też podstęp: siedzi tam sobie wygodniutko działo przeciwlotnicze. O, a tu, tędy, schodziło się na dół. To moja kabina... Tę kuchnię można było zamienić w baterię dział, zanim zdążyłbyś powiedzieć: *Coelogenys paca Mexico...*^x

Swoją drogą zabawne — dodał Konsul przysuwając oczy bliżej do fotografii — ale wyciąłem to zdjęcie z niemieckiego tygodnika •— i teraz Hugh także przyglądał się niemieckiemu napisowi u dołu: „*Der englische Dampfer trigt Schutzfarben gegen deutsche U-boote.*”² — Dopiero na odwrocie tej strony, jeśli pamiętam, była fotografia Emden — ciągnął Konsul — z podpisem mniej więcej takim: „*So verliess ich den Weltteil unserer Antipoden.*”³

Coelogenys paca — szcurowate, kopytkowate zwierzątko zamieszkujące gorące rejony Południowej Ameryki.

² Angielski statek ma barwy ochronne, aby się ukryć przed niemieckimi łodziami podwodnymi, (mem.)

³ I tak opuściłem kontynent naszych antypodów, (mem.)

Nasze antypody. — Rzucił Hughowi szybkie spojrzenie, które mogło znaczyć nic i wszystko. — Dziwni ludzie. Ale widzę, że nagle zaczęły cię interesować moje książki... Jaka szkoda... Zostawiłem Jakuba Bbhma w Paryżu. — Tylko tak patrzałem.

Na — Boże ty mój! — *Traktat o siarce pióra Michała Sandivogiusa, czyli anagramatycznie Divi Leschi Genus Amo: na Tryumf wiedzy tajemnej, czyli Zwycięski kamień filozoficzny, traktat bardziej kompletny i zrozumiały niżli wszelakie dotychczasowe dzieła w przedmiocie wiedzy tajemnej i alchemii; na Tajemnice objawione, 'czyli otwarte wniście do podziemnego pałacu króla, w którym ukryty był skarbiec najcenniejszy nauk chemicznych nigdy nie odkrytych, spisane przez wielkiej sławy zażywającego Anglika, który określa się mianem Anonima lub Ireneusza Filaleta Kosmopolity, a który dzięki inspiracjom i czytaniu dzieł przeróżnych odkrył kamień filozoficzny w wieku lat swoich dwudziestu i trzech, a roku Pańskiego 1645; na Musaeum Hermeticum Reformatum et Amplificatum Omnes Sopho-Spagyricae ariis Discipulos fidelissime erudiens, quo pacto Summa Ula vera que La-pidis Philosophici Medicina, qua res omnes qualemcunque defectum patientes, instaurantur, inveniri et haberi queat,' Continens Tractatus Chemicos XXI Francofurti, Apud Her-mannum a Sande Cło LloC LXXVIII; na Sub Mundanes, czyli elementaria Kabaty, przedruk z dzieła opata de Vil-lars. Dzieło fizyko-astralno-mistyczne z objaśniającym suplementem ułożonym na podstawie demonologii, w którym to dziele udowodnione zostało, że istnieją na świecie istoty rozumne inne niżli człowiek...*

— A czy istnieją? — spytał Hugh trzymając w rękę tę ostatnią ogromnie starą książkę, od której bił nieuchwytny zapach czcigodności, i dodając w myślach: „żydowska wiedza!”, podczas gdy przed oczami wyobraźni pojawił mu się nagle absurdalny obraz starego Bolowskiego w innym życiu — w kaftanie, z długą białą brodą, w mycce, z wyrazem namiętnego skupienia w oczach, stojącego za ladą kramu na jak gdyby średniowiecznej New Compton Street

i czytającego rękopis muzyczny, na którym zamiast nut były litery hebrajskie.

— Erekia, demon, który rozrywa na strzępy; i te, które wyją przeciągłym szlochem, Illirikim; Apelki, które zwoją i prowadzą na manowce; i te, które atakują swoją ofiarę dygotaniem ciała, Dresop; ach, i te straszne, które dają ból, Arekesoli; i nie wolno zapominać o Burasin, które niszczą duszącym, dymnym oddechem; ani o Glesi, który lśni ohydnie jak owad; ani o Efrigis, który dygoce w obmierzły sposób, polubiłbyś Efrigisa... ani wreszcie o Mames, które poruszają się ruchem wstecznym, ani o Ramisen, które pełzną w taki jakiś szczególny sposób... — mówił Konsul. — W cielska przyodziani dręczyciele piekielni. Może nie nazwałbyś ich istotami rozumnymi. Ale każdy z nich w tym czy innym czasie stawał przy moim łóżku,

Wszyscy troje wyruszyli w ogromnym pośpiechu i w najserdeczniejszym nastroju do Tomalin. Hugh, sam teraz trochę świadomy wypitego alkoholu, przysłuchiwał się jak we śnie głosowi Konsula, który mówił, mówił... — Hitler — ciągnął — gdy weszli na Calle Nicaragua, a mogła to być historia w guście jego, Hugh, gdyby się tylko był nią zainteresował we właściwym czasie — więc Hitler chce wytępić Żydów tylko dlatego, żeby zdobyć takie arkana wiedzy pozostawionej przez nich, jakie uda mu się znaleźć na jego półkach z książkami — gdy nagle w domu odezwał się telefon.

— Nie, zostaw — powiedział Konsul, gdy Hugh chciał wrócić. Telefon dzwonił (bo Concepta już wyszła), dźwięk dzwonnka trzepotał się po pustych pokojach jak ptak uwięziony w klatce; potem umilkł.

Szli dalej i Ivonne powiedziała:

— Nie, Geoff, naprawdę nie martw się o mnie, wcale nie jestem zmęczona. Ale jeżeli Tomalin jest dla was obu za daleko, może poszlibyśmy do zoo?

Spojrzała na nich obu mrocznie i prosto, i pięknie swoimi szczerymi oczami pod szcrockim czołem, oczami, które właściwie prawie nie odpowiedziały na uśmiech Hugh'a,

choć jej wargi nasuwały myśl o uśmiechu. Może naprawdę widziała w rozmowności Geoffa dobry znak. Może to był dobry znak! Łagodząc sytuację lojalnym zainteresowaniem albo szybką, pełną zaabsorbowania wolną nasuwającą uwagę na temat nieosobistej zmiany czy rozkładu, na temat ułamka węgla czy lodu, na temat pogody — co z wiatrem? więc może jednak dzień będzie spokojny, bez tumanów kurzu — Ivonne najwyraźniej orzeźwiona kąpielą i pływaniami i notująca wszystko, co ją otaczało, okiem od nowa obiektywnym, szła szybko, z wdziękiem i swobodą, jak gdyby naprawdę niezmęczona; a jednak Hugh'a uderzyła myśl, że Ivonne idzie sama. Biedna kochana Ivonne! Kiedy ją zobaczył, gdy stała gotowa do wyjścia, było to jak powtórne witanie jej po długiej nieobecności, ale było także jak rozstanie. Bo użyteczność Hugh'a już się skończyła, ich „spisek” został subtelnie udaremniiony przez rozmaite drobne okoliczności, z których nie najmniej ważną była jego własna ustawiczna obecność. Staranie się o to, żeby być z nią sam na sam, nawet w interesie Geoffa, zdawało* się teraz bez oszustwa czymś tak niemożliwym, jak niemożliwa zdawała się ich dawna namiętność. Hugh rzucił tęskne spojrzenie w dół stoku, tam gdzie przechadzali się dzisiejszego ranka. Teraz poszli w przeciwnym kierunku. Dzisiejszy ranek mógł już właściwie należeć do dalekiej przeszłości, jak dzieciństwo albo krótkie lata przed wojną; przyszłość zaczynała roztaczać się przed nim: przechytrzona, głupia, cholerna, fantastyczna gitarowa przyszłość. Niewłaściwie przed tą przyszłością obwarowana, uznał Hugh, 'stwierdził to swoim reporterskim okiem; Ivonne, bez pończoch, była ubrana zamiast w żółte spodnie w biały kostium z surowego jedwabiu zapinany na jeden guzik w talii, a pod nim miała barwną, zapiętą pod szyję bluzkę jak szczegół na płótnie Rousseau; obcasy jej czerwonych pantofli stukające lakonicznie na pokruszonych płytach wydawały się ani wysokie, ani niskie, w ręku trzymała jaskrawoczerwoną torbę. Przechodząc obok niej nikt by się nie domyślił udręki. Nikt" nie zauważyłby braku wiary ani nie podałby w wątpliwość, że ona

wie, dokąd idzie, ani nie zastanawiałby się, czy przypadkiem nie idzie we śnie. Jakże jest ładna i jak szczęśliwa, powiedziały każdy. Na pewno idzie na spotkanie z kochankiem w hotelu „Bella Vista”! Kobiety średniego wzrostu, szczupłe, najczęściej rozwiedzione, namiętne, ale zazdrosne o mężczyznę — anielsko dobre dla niego, czy jest dobry czy zły, ale jednocześnie będące nieświadomie niszczyielskimi demonami dla jego ambicji — amerykańskie kobiety o pełnym wdzięku szybkim kroku, o czystych wyszorowanych, opalonych twarzyczkach dzieci, o cerach delikatnie obleczonych jedwabistym mezzemurze, o włosach czystych i lśniących, jak gdyby przed chwilą umytych, ale niedbale ułożonych, o szczupłych brązowych dłoniach, które nie kołyszają kołyski, o wąskich stopach — ilu wieków uciemienia było trzeba, żeby je wyprodukować? Jest im obojętne, kto przegrywa bitwę o Ebro, bo jeszcze jest dla nich za wcześnie, żeby pójść i zagłuszyć parskaniem rumaka wojennego Hioba. Wszystko to nie ma dla nich najmniejszego znaczenia, tylko bowiem głupcy idą na śmierć za...

— Zawsze się mówiło, że mają właściwości lecznicze.

J, jak wiadomo, w Meksyku zawsze były ogrody zoologiczne... Moctezuma, dworny jegomość, oprowadził nawet opasłego Corteza po takim ogrodzie. Biedny Cortez wyobrażał sobie, że zwiedza kręgi piekieł. — Konsul spostrzegł skorpion na murze.

— • *Alacrdn*¹ — podsunęła Ivonne. — ■ Wygląda jak skrzypce.

— Skorpion to osobliwy ptaszek. Nie kocha ani księżycy, ani biednych *peonów*... W gruncie rzeczy to piękne stworzenie. Zostawmy go, niech sobie żyje. Zresztą i tak sam zakłuje się na śmierć. — Konsul zrobił ruch laską...

Szli w górę Calle Nicaragua, cały czas między bystrzymi strumieniami rynsztoków, minęli szkołę, gdzie stały szare grobowce i huśtawka jak szubienica, szli wzdłuż wysokich tajemniczych murów i żywopłotów oplecionych purpuro-

¹ Skorpion, (hiszp.)

wymi kwiatami, wśród których ptaki koloru pomarańczowego dzemu wykonywały ewolucje krzyżąc ochryple. Hugh był teraz zadowolony, że wypił, bo przypomniał sobie z dzieciństwa, że ostatni dzień wakacji jest smutniejszy, jeżeli idzie się gdziekolwiek, że wtedy czas, który miało się nadzieję oszukać, zaczyna nagle mknąć za człowiekiem jak wieloryb ścigający pływaka. ;Box! wołało ogłoszenie. *Arena Tomalin. El Balon vs El Redondillo. Balon przeciwko Skaczącej Piłce... chyba tak? Domingo...* To znaczy dopiero w niedzielę; a oni idą tylko na „ujeżdżanie byków”, cel w życiu, którego nie warto nawet reklamować. 666, mówiły inne ogłoszenia, ku milczącemu zachwytowi Konsula reklamujące środek owadobójczy, skromne żółte odbitki umieszczone dołem na murach. Hugh zaśmiał się cicho. Jak dotąd Konsul sprawiał się znakomicie. Kilka „koniecznych” miarek alkoholu, czy były rozsądne, czy wołały o pomstę do nieba, zdziałało cuda. Szedł wspaniale wyprostowany, ramiona ściągnięte do tyłu, pierś wysunięta: najwspanialsza w tym wszystkim była ta zwodnicza aura niezawodności, aura czegoś bezspornego — zwłaszcza w porównaniu z tym, jak się samemu wyglądało w stroju kowbojskim. W doskonale skrojonym tweedowym ubraniu (kurtka, którą Hugh pożyczył, nie była bardzo zgnieciona, teraz Hugh pożyczył inną), w starym szkolnym krawacie w białe i granatowe paski, starannie ogolony przez Hugh'a, a przy tym gęste jasne włosy gładko szesane do tyłu, siwawobrązowa broda przystrzyżona, laska, ciemne okulary — kto by powiedział, że Konsul nie jest, ponad wszelką wątpliwość, człowiekiem godnym szacunku? A jeśli ten godny szacunku człowiek, mógłby tu powiedzieć Konsul, od czasu do czasu lekko się chyboce, to co? Kto zwróci na to uwagę? Przyczyną tego mogłoby być po prostu — bo Anglik w obcym kraju zawsze spodziewa się spotkać innego Anglika — długie przebywanie na morzu. Jeśli nie, jego lekkie utykanie — najwyraźniej pamiątka po łowach na grubego zwierza albo po dawnej potyczce z Patanami — w pełni to chybotanie tłumaczyło. Tajfun zawirował niewidoczny pośrodku ruiny rozkopane-

go chodnika; kto go zauważył, nie mówiąc już o tym, jakie punkty orientacyjne zniszczył tajfun w mózgu. Hugh roześmiał się.

Biorę, wzięta, gra
zaczęta, Kołysany kotysz
cień; Pudel, kudęł, wejdz
na budę, Nemezis —
przyjemny dzień.

—powiedział Konsul z tajemniczą miną i dodał bohatersko, rozglądając się dokoła:
— To naprawdę piękny dzień na wycieczkę.

No se permite fijar anuncios...^x

Ivonne rzeczywiście szła teraz sama; wspinali się na stok idąc jakby gęsiego, Ivonne przodem, Konsul i Hugh w nierównym szyku za nią, a cokolwiek myślała teraz ich kolektywna udręczona dusza, Hugh był tego nieświadomy, bo schwycił go właśnie aktak śmiechu, który Konsul usiłował uznać za niezaraźliwy. Szli w ten sposób, bo z przeciwnej strony chłopiec pędził krowy, prawie biegnąc i — jak w marzeniu umierającego Hindusa — sterując je za ogony. Teraz szły kozy. Ivonne obróciła się i uśmiechnęła do niego. Ale te kozy były potulne i o minach dobrotliwych, z małymi dzwoneczkami u szyi. „Ojczulek czeka na cię wciąż. Ojczulek nie zapomni.” Za kozami szła kobieta o ciemnej, ściągniętej twarzy, uginająca się pod ciężarem kosza pełnego węgla. Za nią *peon* włókł się w dół stoku; na głowie niósł duże wiadro lodów, szedł przywołując krzykiem klientów, ale trudno odgadnąć, na co liczył, bo tak był obciążony, że chyba nie mógł ani spojrzeć na boki, ani się zatrzymać.

—To prawda, że w Cambridge — mówił Konsul klepiąc Hugh'a po ramieniu — nauczyli cię o Gwelfach i tak dalej... Ale czy wiesz, że anioł z sześcioma skrzydłami nie może być poddany transformacji?

—Wiem, że ptak o jednym skrzydle nie może latać...

—Albo że Thomas Burnet, autor *Telluris Theoria Sac-*

**1 Nie wolno nalepiać ogłoszeń,
(hiszp.)**

*ra, wstąpił do Christ College w... w... Cascaras!
Caracóles! Virgen Santísima! Ave Maria!
Fuego, fuego! Ay, que me matan!*¹

Z druzgocącym, przeraźliwym łoskotem samolot spadał na nich, musnął przerażone drzewa, wzbił się w górę, prawie że zawadził o pobliską wieżę i w następnej sekundzie już go nie było, odleciał w kierunku wulkanów, skąd szedł znów monotonny pomruk artylerii.

— *Acdbóse*² — westchnął Konsul.

Hugh zauważył nagle, że wysoki mężczyzna (wyłonił się zapewne z bocznej uliczki, w którą Ivonne z jakichś względów koniecznie chciała skręcić), o ramionach spadzistych i urodziwej, mocno śniadej twarzy, chociaż niewątpliwie Europejczyk, prawdopodobnie jakiś emigrant, stoi naprzeciwko nich; i było tak, jak gdyby cały ten człowiek, w wyniku jakiegoś osobliwego złudzenia, unosił się w górę aż do ronda podniesionej prostopadle panamy, bo Hughowi wydało się, że pusta przestrzeń pod kapeluszem jest czymś wypełniona, czymś w rodzaju nimbu czy duchowej emanacji jego ciała, czy może kształtem jakiejś jego grzesznej tajemnicy, którą trzymał pod kapeluszem, ale która teraz na chwilę została odsłonięta i drży zawstydzona. Stał przed nimi, chociaż uśmiechał się chyba tylko do Ivonne, jego niebieskie, zuchwałe, wypukłe oczy wyrażały niedowierzanie i trwogę, czarne brwi znieruchomiały w komedianckich łukach; zawahał się; a potem ten człowiek, w marynarce odpiętej i spodniach sięgających bardzo wysoko nad brzuch, który prawdopodobnie miały stuszować, ale w rezultacie tylko nadawały mu charakter niezależnej narośli na dolnej części ciała, podszedł do nich z błyskiem w oczach, a gdy szedł, jego wargi pod czarnym wąsikiem ułożyły się w uśmiechu jednocześnie fałszywym i ujmującym, ale jak gdyby obronnym i stopniowo poważniejącym — szedł, mogło się zdawać, poruszany mechanizmem zegarka, z ręką wyciągniętą, machinalnie przymilny.

¹Do licha, Najświętsza Panno, Ave Maria, ognia, ognia, mech mnie zabija! (hiszp.)
²Skończyło się. (hiszp.) i

—Nie, naprawdę, Ivonne, co za cudowna niespodzianka. Boże mój, myślałem... jak się masz, chłopie...

—Hugh, to jest Jacques Laruelle —"mówił Konsul. —

Na pewno ci o nim wspominałem. Jacques, to mój młodszy brat, Hugh: *ditto... U vient d'arriver¹...* czy też *versa*. Co u ciebie, Jacques? Masz taką minę, jakby ci był przeraźliwie potrzebny kieliszek czegoś mocnego.

W chwilę później Laruelle, którego nazwisko zabrzmiało bardzo dalekim tylko echem w pamięci Hugh'a, wziął Ivonne pod rękę i szedł z nią środkiem ulicy w górę stoku. Prawdopodobnie nic się w tym nie kryło, ale Konsul przedstawił ich sobie — mówiąc oględnie — w sposób szorstki. Hugh był trochę urażony i cokolwiek mogło być tego przyczyną, wyczuwał jakieś nieuchwytnie, przygnębiające napięcie, gdy wraz z Konsulem zaczęli znów iść wolno za Ivonne. Tymczasem Laruelle mówił:

—A może byśmy tak wstąpili wszyscy na chwilę do mojego „zwarowanego domu”? Może być zabawnie... jak myślisz, Geoffrey... i... ahm... ehm... Hugh?

—Nie ■— powiedział Konsul cicho do Hugh'a, któremu teraz znowu zbierało się na śmiech. Bo Konsul powiedział też pewne kloaczne słowo, powtarzał je i powtarzał barczko spokojnie, mówiąc do siebie. Szli za Ivonne i jej przyjaciele w kłębach kurzu, który pędzony samotnym podmuchem wiatru sunął wraz z nimi ulicą pod górę, wybuchając w gniewnych wirach piaskowych i spadając na ziemię jak deszcz.

Laruelle mówił z przejściem do Ivonne.

—Tak... Tak... Ale wasz autobus odjeżdża dopiero o wpół do trzeciej. 'Macie ponad godzinę.

—To brzmi zupełnie jak nieprawdopodobny, cholerny cud — zdziwił się Hugh. — Chcesz powiedzieć, że po tylu latach...

—Uhm. Nasze spotkanie tu było

niezwykłym zbiegiem

¹ 'Właśnie przyjechał, (fr.)

okoliczności — ciągnął Konsul zmienionym bezbarwnym tonem. — Ale naprawdę myślę, że wy dwaj powinniście przypaść sobie do gustu, jest coś, co was łączy. Mówiąc poważnie, jego dom chyba ci się spodoba, jest dość zabawny.

— To świetnie — powiedział Hugh.

— Och, patrzcie, idzie *cartero*² — zawołała Tvonne przed nimi, pót obracając się do nich i uwalniając ramię z przytrzymującej je ręki Laruelle'a. Wskazywała na na różnik po lewej stronie na szczycie stoku, gdzie Calle Nicaragua wpadała w Calle Tierra del Fuego. — On jest naprawdę zdumiewający — ciągnęła gadatliwie. — Bo to okropnie śmieszne, ale wszyscy listonosze w Quauhnahuac są do siebie szalenie podobni. Okazuje się, że to wszystko krewni i że są listonoszami dosłownie od pokoleń. Dzia dek tego *cartero* był listonoszem za czasów Maksymiliana. Pomyśleć tylko, że poczta gromadzi te małe groteskowe stworzonka jak gołębie pocztowe i rozsyła je na wszystkie strony!

„Dlaczego jesteś taka gadatliwa?” — zastanawiał się Hugh.

— Na pewno cała przyjemność po stronie poczty — po wiedział uprzejmie. Obserwowali wszyscy zbliżanie się *cartero*. Hugh jakoś nie zwrócił dotąd uwagi na tych nie zwykłych listonoszy. Ten nie miał chyba pięciu stóp wzrostu i z daleka wyglądał jak bliżej niesklasyfikowane, ale sympatyczne zwierzątko idące na czworakach. Był ubrany w spłowiałe drelichowe ubranie, które uzupełniała zniszczona urzędowa czapka. Hugh spostrzegł teraz, że miał też małą kozią bródkę. Gdy spływał ku nim w dół stoku w swój nieczłowieczy, a jednak sympatyczny sposób, na jego drobnej, zasuszonej twarzyczce malował się wyraz wprost nieprawdopodobnie przyjazny. Zobaczywszy ich zdjął z ramienia torbę i

zaczął odpinać
sprzączki.

— Jest list, list, list — powtarzał, gdy
stanęli przy nim,

~~/ listonosz (łiiszp.)~~

kłaniają-c się Ivonne w taki sposób, jak gdyby ją widział wczoraj — wiadomość dla *el señor*, dla pański koń — poinformował Konsula wyciągając z torby dwie paczuski i uśmiechając się łobuzersko.

—Jak to? Nic dla señor Kaligula?

—Ach. — *Cartero* przejechał palcami przez następny plik listów patrząc na nie z boku i przyciskając łokcie do żeber, żeby nie upuścić torby. — Nie. — Odstawił teraz torbę na ziemię i rozpoczął gorączkowe poszukiwania; wkrótce listy zastały drogę. — Musi być. Tu. Nie. Ten na pewno. O, ten. Ej, ej, ej, ej, ej, ej. —Nie kłopotzcie się, człowieczku — powiedział Kon sul. — Proszę cię.

Ale *cartero* szukał dalej. — Badrona, Diosdado...

Hugh też czekał z zainteresowaniem, nie tyle na wiadomość z „Globe'u”, która i tak nadeszłaby telegraficznie, ile w nadziei, którą sam wygląd listonosza opromie- j niął rozkosznym prawdopodobieństwem, że otrzyma jesz[^] cze jedną maleńką kopertę z Oaxaca, opatrzoną jaskrawymi znaczkami (łucznicy strzelający z łuków do słońca) od Juana Cerillo. Wytężył słuch, gdzieś za murem ktoś grał na gitarze — źle, poczuł zawód; i pies zaszczekał przeraźliwie.

— Freshbank, Figueroa, Gomez... nie, Quincey, Sandovah, nie.

W końcu zacny człowieczek zebrał listy i złożywszy przed nimi ukłon przepaszający, pełen rozczarowania, potoczył się znów w dół zbocza. Odprowadzali go wzrokiem i Hugh zastanawiał się właśnie, czy zachowanie się listonosza nie było częścią jakiegoś niebotycznego, niezrozumiałego kawału, czy może *cartero* kpił sobie z nich cały czas, chociaż w swój przyjazny sposób, gdy człowieczek przystanął, pogrzebał znów w jednej z paczuszek, zawrócił i pokrzykując cicho, tryumfalnie, przydreptał do nich i wręczył Konsulowi kartkę pocztową.

Ivonne, znowu kilka kroków przed nimi, kiwnęła na niego głową przez ramię i uśmiechnęła się, jak gdyby mówiąc: „Świetnie, dostałeś mimo wszystko swój list”, i po-

woli szła dalej obok Laruelle'a lekkim, tanecznym krokiem.

Konsul dwukrotnie obracał kartkę, a potem wręczył ją Hughowi.

— Dziwne... — powiedział.

...Była to kartka od Ivonne, napisana co najmniej przed rokiem. Hugh zrozumiał nagle, że Ivonne wysłała ją zaraz po odejściu od Konsula, kiedy jeszcze nie wiedziała, że Geoff postanowił zostać w Quauhnahuac. Dziwne, ale to nie on, tylko kartka wędrowała daleko po świecie: zaadresowana do Wells Fargo w Mexico City została przez omyłkę wysłana za granicę, a potem zbłądziła fatalnie, bo widniały na niej stemple Paryża, Gibraltaru i nawet Algeciras w faszystowskiej Hiszpanii.

— Nie, przeczytaj — uśmiechnął się Konsul.

Ivonne nabazgrała: „Kochany, dlaczego wyjechałam?”

Dlaczego pozwoliłeś mi wyjechać? Jutro powinnam być w Stanach, za dwa dni w Kalifornii. Mam nadzieję, że zastanę tam wiadomość od ciebie. Całuję Ivonne.”

Hugh odwrócił kartkę. Zobaczył dwie kontury Szczytu Signal Peak na El Paso i szosę Carlsbad Cavern biegnącą przez most z białymi barierami, łączący pustynię z pustynią. W oddali droga zniknęła za łagodnym zakrętem.

Stojący na powierzchni pijanego wirującego obłąkańczo świata, który o godzinie trzynastej dwadzieścia pędził w kierunku konstelacji Herkulesa, dom był kiepskim pomysłem, powiedział sobie Konsul.

Po bokach wznosiły się dwie wieże *zacuali* Jacques'a, połączone galeryjką na dachu, która tworzyła jednocześnie oszkloną ścianę szczytową gabinetu poniżej. Wieże te robiły wrażenie zakamuflowanych (właściwie prawie jak „Samarytanin”): kiedyś pociągnięto je pasami farby niebieskiej, szarej, czerwonej i cynobrowej. Ale czas i pogoda połączyły swoje siły i w rezultacie z niewielkiej odległości ściany wydawały się jednostajnie mętno blado-fioletowe. Szczyty wież, na które prowadziły z galeryjki dwie bliźniacze drewniane drabiny, wewnątrz domu zaś spiralne schodki, wyglądały jak dwie wążki, obwiedzione blankami strażnice — niewiele większe od narożnych wieżyczek — maleńkie, pozbawione dachu warianty punktów obserwacyjnych, które wszędzie w Quauhnahuac górowały nad doliną.

Na blankach wieży po lewej, gdy Konsul i Hugh szli teraz zwrócenymi twarzami do domu, mając po prawej Calle Nicaragua schodzącą w dół stoku, ukazały się dwa aniołki o zgorzkniałym wyglądzie. Aniołki, wykute w różowym kamieniu, klęczały profilem na tle nieba, twarzami zwrócone do siebie ponad rozdzielającymi je blankami, podczas gdy z tyłu, na dwóch identycznych blankach w głębi, przysiadły dwa nieokreślone przedmioty podobne do mar-

cypanowych kul armatnich, wykute najwyraźniej w 'tym samym kamieniu.

Drugi szczyt wieży był pozbawiony ozdób i Konsulowi często przychodziło na myśl, że ten kontrast jest w jakiś sposób właściwy dla Jacques'a, podobnie jak właściwy wydawał się kontrast między aniołkami i kulami armatnimi. Znamienny też był *może* fakt, że Jacques urządził sobie pracownię w sypialni, gdy tymczasem gabinet na pierwszym piętrze został zamieniony na pokój jadalny, gdzie najczęściej rozbijała obóz kucharka i jej krewni.

Wystarczyło podejść bliżej, żeby zauważyć na lewej i trochę większej wieży, pod oknami sypialni — które jak zniekształcone machikuły w murze obronnym wycięte były trochę krzywo i przypominały dwie rozdzielone połówki ozdobnego szewronu — tablicę lekko osadzoną w murze, przez co sprawiała wrażenie płaskorzeźby, tablicę z niegładzonego kamienia pokrytą dużymi złotymi literami. Te złote litery, chociaż bardzo grube, łączyły się ze sobą w sposób ogromnie mylący. Konsul widywał turystów, którzy niekiedy przez pół godziny wpatrywali się w litery. Czasem Laruelle wychodził do nich i tłumaczył, że litery naprawdę coś *znaczą*, że układają się w zdanie Frey Luis de Leona, zdanie, którego treści Konsul w tym momencie wzbronił sobie przypomnieć. Nie postawił sobie też pytania, z jakiego powodu ten dziwaczny dom jest mu niemal lepiej znany od własnego domu.' Idąc przed Laruelle'em, który wesoło dźgał go w plecy, wszedł za Hughiem i Ivonne do domu, do gabinetu tym razem pustego, i potem w górę po krętych schodach lewej wieży.

—Czy przypadkiem nie przeholowaliśmy z trunkami? — spytał, a gdy przypomniało mu się, że zaledwie kilka ty godni temu przysięgł sobie nigdy więcej nie postawić nogi w tym domu, opuścił *go* nastrój beznamiętnego spo koju.

—Nie myślisz nigdy o niczym innym? — zdawało mu się, że powiedział Jacques.

Nie odpowiadając Konsul przekroczył próg dobrze

sobie znanej, nieporządnej sypialni z krzywymi oknami, LiieksuŁtoite machikuły widzialne teraz były od wewnątrz, i przeszedł za tamtymi ukośnie przez pokój i dalej na balkon, skąd widać było doliny zalane słońcem i wulkany, i cienie chmur płynące poprzez równinę.

Jednakże Laruelle zbiegał już nerwowo na dół. — Dla rnie nie! Dla mnie nie! — protestowali tamci. Głupcy! Konsul przeszedł za nim kilka kroków, był to ruch pozornie nic nie znaczący, stanowił jednak: pogroźkę; Konsul przesunął roztargnione spojrzenie w górę krętych schodków prowadzących na wieżę, po czym wrócił na balkon do Ilugha i Ivonne.

— Idźcie na dach albo zostańcie na balkonie... słowem, czujcie się jak u siebie w domu — przyplął do nich z dołu głos Laruelle'a. — Na stole leży gdzieś lornetka...
clun... Hugh... Zaraz wracam!

— Nikt nie ma nic przeciwko ten.u, żebym poszedł na Jach? — spytał Hugh.

— Nie zapomnij lornetki!

Ivonne i Konsul zostali sami na balkonie. Z miejsca, na którym stali, dom zdawał się być usytuowany w poło- ">\ ie \\zgór-:a wyrastającego stromo z dna rozpostartej pod -ii:mi doliny. Wjchylwiws/y się widzieli samo miasto wybudowane jak gdyby na szczycie tego wzgórza, ponad mmi. Pręty karuzel i huśtawek poruszały się milcząco nad dachami, ich ruchy były jak gesty bólu. Ale wrzawa i muzyka festynu docierały teraz do nich wyraźnie. W od-dali Konsul dostrzegł zieloną łąkę, tereny golfowe, po których małe postacie pełzły obchodząc stok wzgórza... Grające w golfa skorpiony. Konsul przypomniał sobie kartkę pocztową w kieszeni i wyraźnie zrobił ruch w kierunku Ivonne, pragnąc jej coś o tym powiedzieć, powiedzieć coś tkliwego, przygarnąć ją do siebie, pocałować, i otern zrozumiał, że bez nowej dawki alkoholu wstyd za dzisiejszy ranek nie pozwoli mu spojrzeć jej w oczy.

— Nie wydaje ci się, Ivcnne — powiedział — jako osobie o zainteresowaniach astronomicznych... — Czy to jest ^{cn}, czy to on mówi do niej w taki spcsób w takiej chwi-

li? Na pewno nie, to sen! Wskazywał na miasto.,. — ..jako osobie o zainteresowaniach astronomicznych — powtórzył, ale me, nie powiedział tego: „czy to całe wirowanie i kotysanie nie przywodzi ci na myśl drogi niewidzialnych planet, nieznanych księżyców pędzących wstecz?” Nic nie powiedział.

— Proszę cię, Geoffrey — Ivonne położyła dłoń na jego ramieniu — proszę, proszę uwierz mi, nie chciałam być w to wciągana. Wymyślmy coś i chodźmy stąd jak najprędzej... Jest mi obojętne, ile wypijesz potem.

—• Nie przypominam sobie, żebym mówił cokolwiek o piciu teraz czy potem. Dopiero ty podsunęłaś mi tę myśl. A może Jacques, który, jak słyszę, kruszy — chociaż chyba należałoby powiedzieć miążdzy — lód na dole?

— Czy nie masz już dla mnie ani odrobiny czułości, miłości? — spytała nagle Ivonne niemal żałośnie, obraca jąc się do niego, a on myślał: „Tak, Kocham cię, mam dla ciebie całą miłość świata, tylko ta miłość wydaje mi się tak odo mnie daleka i taka obca, i mam wrażenie, że ją niemal słyszę, jej monotony cichy szept czy płacz, ale bardzo, bardzo daleko... dźwięk smutny, zagubiony, który może się zbliżyć, a może oddala, nie umiem powiedzieć.” — Czy nie myślisz nigdy <o niczym innym... tylko o tym, ile wypijesz?

■— Tak — odparł Konsul (ale czy to nie Jacques zadał mu przed chwilą to pytanie?) — tak, myślę... och, mój Boże, Ivonne!

•— Proszę cię, Geoffrey...

A jednak nie mógł na nią spojrzeć. Widziane kątem oka pręty huśtawek nad dachami zdawały się teraz spadać na niego gradem razów.

— Słuchaj — powiedział — czy chcesz, żebym nas wyplątał z tej sytuacji, czy znowu zaczynasz mi prawić mo raty?

— Och, nie prawię ci morałów, naprawdę nie. Nigdy nie

będę ci prawał morałów. Zrobię wszystko,
czego zażadasz.

—W takim razie... — zaczął groźnie.

Ale wyraz czułości pojawił się na twarzy
Ivonne, i Kon-

sul pomyślał znowu o karcie pocztowej w kieszeni. To powinien być chyba dobry omen. Kartka mogła być talizmanem ich natychmiastowego ocalenia. Może byłby to dobry omen, gdyby przyszła wczoraj albo chociażby dzisiaj rano do domu. Niestety nie można było teraz wmówić w siebie, że kartka przyszła w jakiejkolwiek innej chwili. I jakim cudem on ma wiedzieć, dopóki się czegoś nie napije, czy to jest, czy nie jest dobry omen?

— Przecież wróciłam — mówiła teraz Ivonne. — Czy ty nie widzisz? Jesteśmy tu znów razem, my. Czy ty tego nie widzisz? — Jej wargi drżały, mówiła prawie z płaczem.

A potem była tuż obok niego, w jego ramionach, ale on patrzył ponad jej głową.

— Tak, widzę — powiedział, ale nie widział, tylko słyszał, słyszał monotony cichy szept czy płacz i czuł, czuł nierzeczywistość tej chwili. — Kocham cię. Tylko<... — „Nigdy nie potrafię ci naprawdę przebaczyć.” Czy to chciały dodać jego myśli?

...A jednak myślał wciąż od nowa i znów od nowa, jak gdyby pierwszy raz, jak cierpiał, cierpiał, cierpiał bez niej; naprawdę, takiej żałości, tak rozpaczliwego uczucia pustki, straty, jak w ciągu tego 'ostatniego roku bez; Ivon-ne. nie doznawał nigdy w życiu, może tylko po śmierci matki. Ale tego, co odczuwał teraz, nie było nigdy w jego uczuciu do matki: tego natarczywego pragnienia, żeby ranić, prowokować w chwili, kiedy jedynym ratunkiem było przebaczenie — to zaczęło się później, z jego macochą, którą doprowadzał czasem do okrzyku: „Nie mogę jeść, Geoffrey, jedzenie staje mi w gardle!” Trudno jest przebaczyć, trudno, trudno jest przebaczyć. Jeszcze trudniej nie powiedzieć, jak trudno jest nie powiedzieć: nienawidzę cię. Nawet teraz, nawet teraz. Nawet chociaż była to chwila zesłana od Boga, szansa na pogodzenie się, na wyjęcie kartki pocztowej, na zmianę wszystkiego; a może by-^a to już jedyna, ostatnia chwila... Za późno. Konsul zapanował nad swoją mową. Ale czuł, jak jego mózg dzieli się i podnosi, na podobieństwo dwóch połówek mostu, podnosi się tykając, żeby przepuścić te hałaśliwe myśli.

•— Tylko moje serce... — powiedział.

— Serce, kochany? — spytała zaniepokojona.

— Nic...

— Och, mój biedaku najdroższy, musisz być taki zmęczony!

— *Momentito* — powiedział puszczając ją.

Wrócił do pokoju Jacques'a, Ivonne została na balkonie. Z dołu płynął ku niemu głos Laruelle'a. Czy tu go zdradziła? Może ten pokój rozbrzmiewał jej okrzykami miłości. Książki (wśród których nie widział swojego tomu dramatów elżbietańskich) leżały tu i tam na podłodze, a koło tapczanu, tuż pod ścianą, były ułożone, jak gdyby przez na pół skruszonego skrzata domowego, w stos sięgający prawie sufitu. A gdyby tak Jacques, zbliżając się do swojego celu zamaszystym, uwodzicielskim krokiem Tarkwi-niusza, poruszył tę potencjalną lawinę? Przeróżające rysunki węglem Jose Orozco krzychały ze ścian swoją bezprzykładną grozą. Na jednym, wykonanym ręką niezaprzecznego geniusza, harpie kłębiły się walcząc i zgrzytając zębami na połamanym łóżku, pośród roztrzaskanych butelek tequila. Nic dziwnego; przysunąwszy się bliżej Konsul na próżno szukał na rysunku całej butelki. Na próżno też szukał butelki w pokoju Jacques'a. Na ścianach wisiały ponadto dwa pełne rozmachu rysunki Rivery. Amazonki, o pozbawionych wyrazu twarzach i nogach jak udźce baranie, dawały świadectwo jedności robotników z ziemią. Nad oknem w kształcie szewronu, wychodzącym na Calle Tierra del Fuego, wisiał przerażający obraz, którego Konsul dotąd nie zauważył i który w pierwszej chwili wziął za gobelin. Obraz był zatytułowany *Los Borrachones* (dlaczego nie *Los Borrachos*?)¹ i sprawiał wrażenie czegoś pomiędzy malarskim prymitywem a plakatem o treści antyalkoholowej, me bez dalekiego echa wpływów 'Michała Anioła. Istotnie, zorientował się teraz Konsul, było to coś w rodzaju plakatu antyalkoholowego, ale sprzed wieku czy może pół wieku, Bóg jeden wie z jakiej

—¹Pijusy (dlaczego nie pijacy?) (hiszp.)

epoki. W *dCI* do piekieł, w kłębowisko przystrojonych płomieniami demonów, meduz, rzygających potworków, spadali pijacy o twarzach samolubnych i zaczerwienionych, spadali jaskółką albo niezdarnie, strasznymi skokami przez plecy, spadali pośród lawiny butelek i emblematów straconych nadziei; w górę, w górę wlatywali bladawo i niesamolubnie ku światłu prowadzącemu do nieba, wlatywali wzniosie parami, przy czym mężczyźni strzegli kobiet, mężczyzn zaś strzegły anioły o skrzydłach abstynencji — w górę wzbijali się trzeźwi. Ale Konsul zauważył, że nie wszyscy wlatywali parami. Kilku sStaatnych kobiet w drodze do nieba strzegły tylko anioły. Wydało mu się, że te kobiety rzucały na pół zazdrosne spojrzenia na swoich spadających w dół mężów i że niektóre twarze mężczyzn zdradzały nieomylnie ulgę. Konsul zaśmiał się trochę niepewnie. To śmieszne, ale swoją drogą — czy ktokolwiek dowiódł kiedykolwiek dostatecznie przekonująco, że nie należy rozgraniczać w tak prosty sposób zła od dobra? Poza tym tu i tam w pokoju Jacques'a siedziały przycupnięte klinowe bożki kamienne jak bulwiaste dzieci; pod jedną ścianą pokoju był ich nawet cały rząd, połączonych łańcuchem. Konsul śmiał się dalej częstą siebie, wbrew sobie i wbrew tym wszystkim dowodom zagubionych barbarzyńskich talentów, na^mysł o Ivonne, która po chwilach uniesień musiała patrzeć na długi szereg tych skutych łańcuchami niemowląt.

— *Jak* ci tam, Hugh? — zawołał w górę schodów.

— ■ Mam chyba w lornetce Parian.

Ivonne czytała na balkonie i Konsul wrócił spojrzeniem do *Los Borrachones*. Nagle odczuł coś, czego nigdy dotąd nie odczuwał z tak wstrząsającą pewnością. Sam jest ^w piekle. Jednocześnie spłynęło na niego uczucie osobliwego spokoju. Wewnętrzne wrzenie, wichry i wiry nerwowości znowu były trzymane na wodzy. Słyszał Jacques'a krzającą się na dole, wkrótce będzie mógł się napić. To pomoże, ale nie od tej myśli spłynął na niego spokój. Parian i w Parian „Farolito”! — powiedział sobie. Latarnia morska, latarnia morska, która ściąga burzę i która

ją oświetla! Ostatecznie zdoła chyba w ciągu dnia, może kiedy będą oglądali na arenie ujeżdżanie byków, odłączyć się od tamtych i pójść do „Farolito” choćby na pięć minut, choćby na jeden kieliszek tequila. Ta perspektywa wypełniła go niemal kojącym uczuciem miłości, a w tym momencie, ponieważ był on częścią owego spokoju, największą tęsknotą, jakiej doświadczał w życiu. „Farolito”! Dziwaczne miejsce, *cantina* późnych godzin nocnych i wczesnego świtu, która podobnie jak tamta druga przerażająca *cantina* w Oaxaca w zasadzie nie otwierała się przed czwartą nad ranem. Ale dzisiaj jest święto umarłych i „Farolito” na pewno będzie otwarte. Początkowo *cantina* „Farolito” wydawała mu się bardzo mała. Dopiero | kiedy poznał ją lepiej, przekonał się, jak daleko sięga w głąb i że składa się w rzeczywistości z wielu małych pokoików połączonych ze sobą drzwiami, z których każdy następny jest mniejszy i ciemniejszy od poprzedniego, przy czym ostatni i najciemniejszy jest wielkości celi. Te pokoje sprawiały na nim wrażenie miejsc, gdzie zawiązują się diabelskie spiski, gdzie obmyślane są najstraszliwsze zbrodnie. Tutaj — jak kiedy Saturn jest w Koziorożcu — życie zstępuje na samo dno. Ale tutaj też wspaniałe myśli wirują w mózgu, podczas gdy garncarz i robotnik rolny, którzy wcześniej wstali, zatrzymują się na chwilę w blednym otworze drzwi, marzą... Ujrzał to teraz wszystko, z jednej strony „Farolito” potężny spadek w dół do *barranca*, przywodzący na myśl pałac Kublaj-Chana z poematu Coleridge'a; właściciel, Ramon Diosdado o przywisku „Stoń”, mówiono o nim, że zamordował żonę, bo chciał ją w ten sposób wyleczyć z neurastenii; żebracy, wyniszczeni przez wojnę i pokryci bliznami, z których jeden kiedyś w nocy, po czterech szklankach trunku, za które zapłacił Konsul, wziął go za Chrystusa i uklęknąwszy przed nim przypiął mu pod klapę marynarki dwa medaliki Najświętszej Panny z Guadelupa, połączone maleńkim krwawiącym sercem jak poduszeczka do szpilek, „Ja..”, ach... daję ci świętą!” Widział to wszystko, czuł, jak atmosfera *cantiny* przenika go już teraz

swoją obietnicą smutku i zła i obietnicą
jeszcze czegoś
innego, co umykało jego świadomości. Ach,
nie — wie
dział; obietnicą spokoju. Ujrzał znów świt,
przez otwarte
drzwi patrzył w samotnej udręce, jak w blasku
cieniście
fioletowym powoli wybucha bomba nad Sierra
Mądre —
Sonnenaufgang!^x — byki zaprężone do
wozów na dre
wnianych tarczowych kołach, czekające
cierpliwie na woź
niców w ostrym, czystym, chłodnym
powietrzu nieba. Tę
sknota Konsula była tak ogromna, że duszę
miał jakby
zwartą w uścisku samej istoty tego miejsca,
gdy teraz stał
i gdy nawiedziły go myśli podobne do myśli
marynarza,
który po długiej podróży dostrzega dalekie
światła latarni
Start Point i wie, że wkrótce będzie trzymał
w objęciach
zonę.

Potem nagle wrócił myślami do Ivonne.
Czy naprawdę o niej zapomniat? Rozejrzył
się znów po pokoju. Ach, w iluż pokojach,
na ilu tapczanach, pośród ilu książek
odnajdowali swoją miłość, swoje małżeństwo,
swoje wspólne życie, życie, które mimo
licznych klęsk, nawet mimo ostatecznej i
całkowitej katastrofy — i mimo pewnych
elementów błędu w jej koncepcji tego życia,
ponieważ poślubiła częściowo przeszłość,
poślubiła swoich anglo--szkockich przodków,
wizję pustych zamków w Sutherland, gdzie
zawodzą duchy, poślubiła zjawy kościstych
wujów z nizin szkockich, żujących szkockie
placki o szóstej rano — nie było pozbawione
tryumfów. Ale jak krótko to trwało. Za
prędko ich życie wydało się zbyt wielkim
tryumfem, było zbyt piękne, zbyt
straszliwa była myśl o tym, że można je
stracić, aż w końcu stało się nie do
zniesienia; było tak, jak gdyby to życie nosiło
w sobie zapowiedź rychłego końca,
zapowiedź, która jak żywa istota kierowała
jego kroki z powrotem do tawern. Czyż jest
możliwe zaczynać wszystko od nowa, jak
gdyby Cafe Udręka, „Farolito”, nigdy nie
istniało? Albo bez niego? Czyż można być
wiernym zarówno Ivonne, jak „Farolito”?
... Chryste, o latarnio morska świata, jak, z
jaką

¹ wschód słońca (mcm)

ślepią wiarą można odnaleźć drogę powrotną, można wywalczyć drogę powrotną — teraz — poprzez zgiełkliwą grozę pięciu tysięcy druzgocących przebudzeń, z których każde następne było bardziej przerażające od poprzedniego — z miejsca, dokąd nawet miłość nie może przeniknąć i gdzie odwagę można znaleźć tylko pośród najgęstszych płomieni? Na ścianie pijacy bezustannie spadali do piekła. Ale jeden z maleńkich bożków majańskich zdawał się płakać...

— Ej, ej, ej, ej — mówił Laruelle, trochę podobnie do małego listonosza na drodze, idąc, stąpając ciężko po schodach; cocktaile, godna pogardy strawa. Nie zauważony przez nikogo Konsul zrobił dziwną rzecz; wyjął z kieszeni kartkę pocztową Ivonne i wsunął ją pod poduszkę Jacą-es'a. Ivonne weszła z balkonu do pokoju. — Jak tam, Ivon-ne... a gdzie Hugh? Przykro mi, że to tak długo trwało. Pójdziemy wszyscy na dach, dobrze? — dodał Laruelle. W rzeczywistości refleksje Konsula trwały niecałe siedem minut. Mimo to zdawało się, że Laruelle'a znacznie dłużej nie było w pokoju. Konsul zobaczył idąc za Ivon-ne i Jacques'em, idąc po krętych schodkach za cocktailami, że prócz szekera i szklanek na tacy są kanapki i nadziewane oliwki. Może więc mimo całej uwodzicielskiej pewności siebie Jacques zeszedł na dół naprawdę przestraszony tą sytuacją i półprzytomny ze zdenerwowania. Może te wszystkie skomplikowane zabiegi miały tylko usprawiedliwić jego ucieczkę. I może to prawda, że biedak kochał Ivonne.

— O Boże — powiedział Konsul wspiąwszy się na wieżę, na którą niemal jednocześnie zeszedł Hugh, stawiając właśnie stopy na ostatnich szczeblach drabiny prowadzącej na galerijkę. — Boże, oby to, co wymarzył ponury czarnoksiężnik w swojej proroczej jaskini, podczas gdy ręka dygotała mu — ten kawałek lubię najbardziej — w ostatnim stadium rozkładu, stało się prawdziwym końcem tego naszego milutkiego świata... Niepotrzebnie się tak trudziłeś, Jacques.

Wziął lornetkę od Hugh'a, postawił szklankę trunku na

pustej blance pomiędzy marcypanowymi przedmiotami i przyglądał się długo okolicy. Dziwne, ale nawet nie skosztował trunku. A spokój przedziwnie nadal go nie opuszczał. Mogło się zdawać, że stoją na wysokim wzgórku startowym jakichś terenów golfowych. Jaki by to był piękny dołek, stąd aż na trawnik pomiędzy tamtymi drzewami po drugiej stronie *barranca*, tej naturalnej przeszkody, odległej mniej więcej o sto pięćdziesiąt jardów, którą można by przesadzić jednym dobrym, mocnym, tyżkowym uderzeniem, wzbijając piłkę w powietrze... Plams. Dołek Golgoty. Bardzo wysoko w górze orzeł spadał z wiatrem. Fakt, że wytyczono tereny golfowe gdzieś tam, daleko od *barranca*, dowodzi braku wyobraźni. Golf nad przepaścią. Prometeusz odnajdywałby zgubione piłki. A jak dzi\ wacne szlaki można by obmyślać po tamtej stronie, przez \ cinane samotnymi liniami kolejowymi, rozśpiewane szmerem słupów telegraficznych, błyszczące od złóż mineralnych na stokach — ponad pagórkami i dalej, jak młodość, jak samo życie, tereny golfowe zajmujące całą tę dolinę, rozpościerające się daleko za Tomalin, przez dżunglę, do „Farolito”, które jest dziewiętnastym dołkiem... „To Zmienia Postać Rzeczy.”

— Nie, Hugh — powiedział nastawiając soczewki, ale nie obracając się do brata — Jacques ma na myśli film, który zrobił na podstawie *Alastora*, zanim pojechał do Hollywood. Nakręcił, co mógł, w wannie, a resztę sklecił z sekwencji przedstawiających ruiny i wyciętych ze starych filmów podróżniczych, w połączeniu z dżunglą wykrajaną z *In Dunkleste Afrika* i łabędziem pochodzącym z jakiegoś starego filmu z Corinne Griffith — Sarah Bernhardt. jeśli się nie mylę, też w mm grała — podczas gdy nieszczęsny poeta stał cały czas na brzegu, a orkiestra pociła się grając *Sacre du Printemps*. Zapomniałem chyba o mgle.

Ich śmiech oczyścił atmosferę.

— Ale zanim przystąpi się do kręcenia, trzeba mieć pe-
v'ią f i z j ę, jak mawiał mój przyjaciel, reżyser niemiecki,

**tego, jak film powinien wyglądać —
tłumaczył im Jacques**

249

stojąc za Konsulem, obok aniołków. — Ale potem, to już inna sprawa... Jeśli idzie o mgłę, jest to ostatecznie najtańszy rekwizyt w studio.

— Nie nakręcił pan w Hollywood żadnych filmów? —

spytał Hugh, który przed chwilą o mało co nie wdał się w kłótnię polityczną z Laruelle'em.

— Tak... tylko że nie chcę ich oglądać.

Ale czegoż, na Boga, on, Konsul — zastanawiał się Konsul — wygląda na tych równinach, w tym zwichrzonym krajobrazie przez lornetkę Jacques'a? Czy szuka może jakiegoś urojonego wizerunku siebie samego w okresie, kiedy lubił tę prostą, zdrową, pocziwą, dobrą rozrywkę, jaką jest golf, jaką są na przykład ślepe dołki — może szuka siebie wybijającego piłkę na górzystą pustynię diun... jak kiedyś z samym Jacques'em? Wspiąć się na szczyt wzniesienia i ujrzeć ocean ze smugą dymu na horyzoncie, a po-tem, daleko w dole, zobaczyć leżący na trawie obok chorągiewki zrobionego dołka nowy kij golfowy, wspania- łego Srebrnego Króla! Ozon!... Konsul nie potrafił już grać w golfa; kilka prób podejmowanych w ciągu ostatnich kilku lat skończyło się klęską... „Powinienem być zostać przynajmniej czymś w rodzaju Johna Donne'a golfowych szlaków. Poetą niezastąpionego trawnika. Kto trzyma" chorągiewkę, podczas gdy ja robię dołek w trzech wybiciach? Kto przebiega po mojej strefie zodiaku wzdłuż plaży? I kto na tym ostatnim i końcowym szlaku — chociaż wpędzam piłkę do dołka w czterech uderzeniach — zgadza się na mój zapis dziesięciu i trzech punktów... Chociaż mam ich więcej." Konsul odłożył w końcu lornetkę i obrócił się. I wciąż nie pił swojego cocktailu.

— *Alastor, Alastor...* — mówił Hugh podchodząc do niego. — Powiedz, kto to jest czy też był, względnie kto i dlaczego napisał *Alastora*?

— Percy Bysshe Shelley. — Konsul oparł się o parapet wieżyczki obok Hugh'a. — Jeszcze jeden facet z pomysła- mi w głowie... Z historyjek o Shelleyu najbardziej lubię tę, która opisuje, jak sobie zwyczajnie poszedł- na dno mg-

rza, naturalnie zabierając ze sobą kilka książek, i po prostu tam został, bo nie chciał się przyznać, że nie umie pływać.

— Geoffrey, nie myślisz, że Hugh powinien obejrzeć fiestę? Przecież to jego ostatni dzień tutaj — odezwała się nagle Ivonne z drugiego końca wieży. — Zwłaszcza jeżeli są tańce ludowe.

A więc nie on, tylko Ivonne „uwalnia ich od tej sytuacji”, i to w chwili, gdy Konsul zdecydował się zostać.

— Naprawdę nie wiem — odpowiedział. — Chyba w To- mańin będziemy mieli tańce ludowe i tak dalej? Masz ochotę, Hugh?

— A jakże. Naturalnie. Jak sobie życzy. — Hugh szony zsunął się z parapetu. — Mamy chyba jeszcze coś około godziny do odjazdu autobusu?

— Jacques na pewno wybaczy nam ten pośpiech — powiedziała Ivonne niemal z rozpaczą.

■ — W takim razie pozwólcie, że was odprowadzę na dół. — Jacques zdołał opanować głos. — Jest wcześnie i zabawa jeszcze się nie rozkręciła, ale powinniście zobaczyć freski Rivery, Hugh, jeżeli jeszcze ich nie widzieliście.

— Nie idziesz, Geoffrey? — Ivonne obróciła się na schodach. „Proszę cię, chodź” — mówiły jej oczy.

— Fiesty nie są moją mocną stroną. Idźcie, spotkamy się na postoju autobusów. Zresztą i tak muszę porozmawiać z Jacques'em.

Ale wszyscy zeszli na dół i Konsul został sam na szczycie wieżyczki. A jednak nie sam. Bo Ivonne zostawiła swoją szklankę cocktailu na blaskach obok aniołów, szklanka biednego Jacques'a stała w jednym z otworów strzelniczych, szklanka zaś Hugh'a na parapecie. Szeker też nie był pusty. Co więcej, Konsul nie ruszył jeszcze dotąd swojej szklanki. I nadal nie pił. Palcami prawej ręki pomacał przez marynarkę muskuły lewego ramienia. Siła — jakaś siła — ale skąd wziąć odwagę? Wspaniała, dziwaczna odwaga Shelleya; nie, to była duma. A duma każe człowiekowi iść dalej albo iść dalej i zabić się, albo „wkroczyć na prostą drogę”, jak próbował robić tylekroć w przesz.

łości, sam z pomocą trzydziestu butelek piwa, patrząc nieruchomo w *sufit*. *Ale tym razem jest inaczej*. Bo co, jeśli tym razem odwaga pociąga za sobą konieczność przyznania się do ostatecznej klęski, do tego, że się nie umie pływać, że się powinno pójść (choć przez sekundę ta myśl mu wydawała się taka zła) do sanatorium? Nie, jakikolwiek miał być koniec, nie szło tu tylko o „odciągnięcie od picia”. Ani anioły, ani Ivonne, ani Hugh nie mogli mu w tym pomóc. A co do demonów — były zarówno w nim, jak dokoła niego; chociaż chwilowo spokojne (może odbywały swoją sjęstę), niemniej otaczały go i wypełniały; znajdował się w ich posiadaniu. Konsul spojrział w słońce. Ale stracił przecież słońce; to słońce nie należało do niego. Było taką prawie niemożliwością spojrzeć prosto w słońce jak spojrzeć prawdzie prosto w oczy; nie chciał być blisko słońca, *tym* bardziej nie chciał siedzieć w jego promieniach, patrzeć na nie. „A właśnie że spojrzę prosto w słońce.” Jak? Skoro nie tylko okłamuje samego siebie, ale sam wierzy w to kłamstwo i kłamie od nowa kłamliwym urojeniom, pośród których nie ma miejsca na honor. Nawet to samooszukiwanie się nie miało solidnych podstaw. Skąd *więc* miałyby mieć solidne podstawy jego próby uczciwości? — Zgroza — powiedział. — A jednak się nie poddam, ja *się* nie poddam. — Ale kto jest to „ja”, jak odnaleźć to „ja”, gdzie się podziało? — Cokolwiek zrobię, będę to robił świadomie. — I trzeba przyznać, że świadomie Konsul nadal powstrzymywał się od wypicia cocktailu. — Wola człowieka jest niezwykła. Zjeść? Powinienem coś zjeść. — ■ I wobec tego Konsul zjadł pół kanapki. A gdy Laruelle wrócił, Konsul, bez kropli alkoholu, patrzył wciąż na... na co patrzył? Sam nie wiedział.

— Pamiętasz, jak pojechaliśmy do Cholula i ile tam było kurzu? — Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie w milczeniu. — Właściwie nie mam ochoty w ogóle z tobą rozmawiać — dodał Konsul-po chwili. — I zupełnie bym się nie martwił, gdybym cię dzisiaj widział ostatni raz w życiu...

""""Słyszysz?

— Czyś ty oszalał? — wybuchnął w końcu Laruelle. —

Czy mam rozumieć, że teraz, kiedy twoja żona wróciła do ciebie... a sam widziałem, jak modliłeś się o to i jak szlochałeś pod stołem... dosłownie j)od stołem... traktujesz ją z *tą* obrzydliwą obojętnością i dalej myślisz tylko o tym, kiedy i ile wypijesz?

Na tę niesprawiedliwość miażdżącą i nieodpartą Konsul nie znajdował słów; sięgnął po szklankę z cocktailem, trzymał ją w ręku, powąchał; ale gdzieś, gdzie nie było z tego żadnego pożytku, lina okrętowa nie ustępowała; Konsul nie wypił; uśmiechnął się prawie przyjaźnie do Laruelle'a. „Możesz zacząć odmawiać sobie trunku równie dobrze teraz jak później. Możesz zacząć równie dobrze teraz jak później. Później.”

Zadzwonił telefon i Laruelle zbiegł na dół. Konsul siedział chwilę z twarzą ukrytą w dłoniach, potem zostawił swoją wciąż nie tkniętą szklankę — tak, zostawił wszystkie szklanki — i zszedł do pokoju Jacques'a.

Laruelle odkładał słuchawkę na widełki.

—Och — powiedział — nie wiedziałem, że wy się zna cie. — Zdjął marynarkę i zaczął rozwiązywać krawat. — ■ Dzwonił mój doktor, pytał o ciebie. Chciał wiedzieć, czy nie umarłeś.

—Och... Vigil, tak?

—Arturo Diaz Vigil. *Medico. Cirujano itd.*

—Ach — powiedział Konsul ostrożnie, przesuwając palec po wewnętrznej stronie kołnierzyka. — Tak. Poznałem go wczoraj w nocy. Zresztą dziś rano był u mnie w domu.

Laruelle w zamyśleniu zdjął koszulę, wyjaśnił:

— Mamy rozegrać partię tenisa przed jego wyjazdem na urlop.

Siadając Konsul wyobraził sobie tę dziwną, ostrą grę pod okrutnym meksykańskim słońcem, piłki tonące w morzu omyłek — grę trudną dla Vigila, ale *co go to*

obchodzi (bo kim jest Vigil?... ten pocziwina był teraz dla niego tak nierealny, jak ktoś, komu wolimy *nie* kłamać się na ulicy, w obawie, że to nie jest osoba poznana dzisiejszego ranka, albo jak sobowtór aktora widzianego

tego popołudnia na ekranie), a tymczasem Laruelle przygotowywał się do wejścia pod prysznic, który z dziwnym architektonicznym brakiem poszanowania dla względów przyzwoitości, objawianym przez naród ponad wszystko ceniący sobie *decorum*, był umieszczony w małej niszy wspaniale widocznej zarówno od strony balkonu, jak schodów.

— Pytał, czy przypadkiem ty i Ivonne nie namyśliliście się i czy mimo wszystko nie pojedziecie z nim do Guanajuato.

— Skąd on wiedział, że tu jestem? — Konsul usiadł wyprostowany, drząc znów trochę, ale jednocześnie dziwiąc się przez chwilę, że tak mistrzowsko panuje nad sytuacją, że jednak naprawdę jest ktoś, kto się nazywa Vigil i kto zaprosił go do Guanajuato.

— Skąd? Jak to skąd?... Powiedziałem mu. Szkoda, że nie poznaliście się dawniej. Ten człowiek mógłby ci być naprawdę pomocny.

— Może się jeszcze okazać... że dzisiaj ty będziesz mu pomocny. — Konsul zamknął oczy, znów usłyszał wyraźny głos doktora: „Ale teraz, kiedy pana *esposa* wróciła. Ale teraz, kiedy pana *esposa* wróciła... Ja bym leczyłbym pana.” — Co? — Otworzył oczy... Ale ohydny wstrząs, jakiego doznała w tym momencie cała jego istota na myśl, że ta obrzydliwie podługowata wiązka sinych nerwów i mięśni pod parującym i nieświadomym niczego brzuchem szukała rozkoszy w ciele jego żony, poderwał go dygocącego na nogi. Jak wstrętne, jak nieprawdopodobnie wstrętne jest rzeczywistość. Zaczął krążyć po pokoju, jego kolana poruszały się przy każdym kroku kanciastymi, ostrymi ruchami. Książki, za dużo książek. Konsul w dalszym ciągu nie widział nigdzie swoich dramatów elżbietańskich. A przecież było tu wszystko — od *Les Joyeuses Bourgeoises de Windsor* do Agripy d'Aubigne i Collina d'Harleville'a, od Shelleya do Toucharda-

Lafosse i Tris-
tana Pustelnika. *Beaucoup bruit de Hen!* Czy
dusza może
* się tu obmyć, czy ugasić pragnienie? Chyba
może. A przecież w żadnej z tych książek nie
odnajdzie się własnego

cierpienia. I nie nauczą cię one, jak
spoglądać na zło
cień. — Ale co cię skłoniło, żeby powiedzieć
Vigilowi, że
ja tu jestem, skoro me wiedziałeś, czy on
mnie zna? —
spytał prawie ze szlochem.^x

Laruelle, którego zmoęła para, włożył palce
do uszu na znak, że nie usłyszał.

—O czym rozmawialiście, ty i Vigil?

—O alkoholu. O obłudzie. O rdzeniowym
nacisku gu
zów na kręgosłupie. Dochodziliśmy do
wniosków mniej lub
więcej zgodnych.

Konsul, dygocąc teraz swobodnie,
normalnie, spoglądał przez otwarte drzwi
balkonu na wulkany, ponad którymi znowu
unosily się kłębki dymu; towarzyszył temu
terkot ćwiczebnych karabinów. I raz rzucił
pełne namiętności spojrzenie w górę na
wieżę, gdzie stały jego nietknięte szklanki.

—Odruch masowy, ale wyrażający się
tylko podnie
sieniem karabinów rozsiewających śmierć
— powiedział;
zauważył jednocześnie, że wrzawa fiesty
przybrała na sile.

—Coś mówił?

•— Jak miałeś zamiar zabawić tamtych,
gdyby zostali? — Konsul nieomal wrzasnął
bezdźwięcznie, bo sam miał straszliwe
wspomnienia pryszniców, podczas których
woda ześlizgiwała się z jego ciała jak mydło
wyskakujące spomiędzy drżących palców. —
Biorąc prysznic?

A teraz wracał samolot zwiadowczy, o
Chryste, tak... leci, leci, pojawił się znikąd,
szedł ze świstem prosto na balkon, na
Konsula, szukał go może, poderwał się ostro...
Aaaaaaaaach! Bum!

Laruelle potrząsnął głową; nie usłyszał
ani dźwięku, ani słowa. Wyszedł teraz spod
prysznicza i skierował się do drugiej małej
niszy, zastępującej mu ubieralnię i od-
dzielonej firanką.

—Piękny dzień, prawda?... Ale będzie
chyba burza.

—Nie.

Działając pod nagłym impulsem Konsul
podszedł do telefonu, który znajdował się też
jakby w małej niszy (miał wrażenie, że w
domu jest dzisiaj więcej takich zakamar-

ków niż zwykle), znalazł książkę, telefoniczną i dygocąc na całym ciele otworzył ją; nie, nie Vigil, bełkotały jego nerwy, tylko Giizmśn. ABCG. Pocił się teraz straszliwie; w niszy zrobiło się nagle tak gorąco jak w nowojorskiej budce telefonicznej podczas fali upałów; ręce dygotały mu obłędnie; 666, Cafe-aspirma; Guzman, Erikson 34. Znalazł numer, natychmiast go zapomniał; nazwiska Zuzu-goitea, a potem inne, Sanabria, zdawały się skakać na nie-go z kart książki. Erikson 35. Zuzugoitea. Nie pamięta już numeru, już nie pamięta, 35, 36, 666; obracał kartki wstecz, duża kropla potu rozprysła się na książce... tym razem zdawało mu się, że zobaczył nazwisko Vigila. Ale zdjął już słuchawkę z widełek, słuchawkę z widełek, z widełek, trzymał ją odwrotnie, mówił, strącał krople potu do słuchawki, do mikrofonu, nie słyszał... czy oni słyszą? widzą?... znowu do słuchawki: ■— *Que guieres?* Z kim pan chce mówić... Chryste! — wrzasnął odkładając słuchawkę na widełki. Nie potrafi tego zrobić, dopóki się nie napije. Wbiegł na schody, ale w połowie zatrzymał się dygocąc, bliski szaleństwa zawrócił; „zniosłem tackę na dół: nie, cocktaile zostały na górze”. Wszedł na wieżę i opróżnił kolejno wszystkie szklanki. Usłyszał muzykę. Nagle około trzysta sztuk była — martwego, znieruchomiłego w pozach życia — wyskoczyło na stok przed domem, zniknęło. Konsul dopił zawartość szekera, spokojnie zeszedł na dół, wziął ze stołu książkę w miękkiej oprawie, usiadł i otworzył ją wzdychając długo, przeciągle. Była to *Maszyna piekielna* Cocteau. „*Oui, mon enfant, mon petit enfant* — czytał — *Zes choses qui paraissent abominable aux humains, si tu savais, de l'endroit ou fhabite, elles ont peu d'importance.*” — Możemy napić się czegoś na placu — powiedział zamykając książkę i zaraz otwierając ją znowu: *sortes Shakespeareanae*. „Bogowie istnieją, są diabłem” — poinformował go Baudelaire.

Zapomniał o Guzmanie. *Los Borrachones*
wciąż spadali

i— Tak, moje dziecko, moje
kochane dziecko, rzeczy, które
wydają
się wstrętne ludziom, gdybyś
wiedziała, jak mało ważne są one
tam,
gdzie ja przebywam, (fr.) ^

w płomienie. Laruelle, który nic nie zauważył, pojawił się znów, olśniewający w białym flanelowym ubraniu, sięgnął po rakietę tenisową leżącą na szafce z książkami. Konsul odnalazł swoją laskę i ciemne okulary, po czym razem zeszli na dół krętymi, żelaznymi schodkami.

— *Absolutamente necesario.* — Przed domem Konsul zatrzymał się, obrócił...

No se puede vivir sin amar, głosiły słowa na ścianie domu. Na ulicy powietrze było nieruchome, szli jakiś czas w milczeniu, zasłuchani we wrzawę fiesty, coraz głośniejszą w miarę jak zbliżali się do miasta. Calle Tierra del Fuego 666.

Laruelle — może dlatego, że szedł chodnikiem przytykającym do skarpy — wydawał się wyższy, niż był w rzeczywistości i przez krótką chwilę Konsul doznawał nie-miłego uczucia, że jest karłem, dzieckiem. Przed laty, w dzieciństwie, sytuacja była odwrócona; wtedy Konsul był wyższy. Ale Konsul przestał rosnąć mając lat siedemnaście i zatrzymał się na swoich pięciu stopach ośmiu czy dziewięciu calach, podczas gdy Laruelle rósł dalej pod innymi niebami, aż go w końcu przerósł. Przerósł go? Jacques był chłopcem, którego pewne cechy Konsul do dziś wspominał z miłością. Na przykład jego sposób wymawiania angielskiego słowa *vocabulary* do rymu z *foolery*; albo *runcible* z *bibie*. I wyrósł na mężczyznę, który własnoręcznie goli się i wkłada skarpetki. Ale trudno powiedzieć, że go przerósł. Można zaryzykować twierdzenie, bez narażania się na zarzut zbytniego dziwactwa, że teraz, po latach, na tej swojej wysokości sześciu stóp i trzech czy czterech cali, Jacques jest wciąż pod silnym wpływem Konsula. Bo jeśli nie, jak wytłumaczyć tę typowo angielską marynarkę tweedową, podobną do kurtki Konsula, te drogie, zdecydowanie angielskie pantofle tenisowe, w których wygodnie jest chodzić, te angielskie białe spodnie nogawkach szerokości dwudziestu jeden cali, tę angielską koszulę na sposób angielski otwartą pod szyją, jak "Wytłumaczyć ten niezwykle szalik, sugerujący, że Laruelle reprezentował kiedyś Sorbonę w zawodach uni-

— *Zrozum* mnie dobrze, Geoffrey, myślę o Ivonne, nie

O tobie.

— Zrozummy się trochę lepiej. Myślisz o sobie.

— Ale dzisiaj... Wiem już, jak to było... przypuszczam, że się upiłeś na balu. Ja nie poszedłem. Ale jeżeli mam rację, dlaczego nie wrócisz do domu, żeby podziękować Bogu, żeby odpocząć i wytrzeźwieć, zamiast unieszczęśliwiać wszystkich tą wyprawą do Tomalin? Ivonne wygląda na bardzo zmęczoną.

Słowa żłobiły w mózgu Konsula cienkie, nużące bruzdy, które bezustannie wypełniały się nieszkodliwymi majakami. Mimo to jego francuszczyzna była szybka i płynna.

— Dlaczego mówisz, że przypuszczasz, że się upiłem na balu, skoro wiesz od Vigila, że byłem pijany?

1 czy nie proponowałeś przypadkiem przed chwilą, żebym wziął Ivonne i pojechał z Vigilem do Guanajuato? Może sobie wyobrażałeś, że jeśli ci się uda wkręcić do naszego towarzystwa i pojechać z nami na wycieczkę, Ivonne w cu downy sposób przestanie być nagle zmęczona, chociaż do Guanajuato jest pięćdziesiąt razy dalej niż do Tomalin?

— Kiedy proponowałem, żebyście pojechali, nie orientowałem się właściwie, że ona wróciła dopiero dzisiaj rano.

— Cóż... nie bardzo pamiętam, kto pierwszy podsunął myśl o Tomalin — powiedział Konsul. „Czy to jestem ja... czy to ja rozmawiam z Jacques'em w ten sposób o Ivonne, rozmawiam o nas w ten sposób? Ach, ostatecznie rozmawialiśmy już tak nie raz.” — Ale nie wytłumaczyłem ci jeszcze, jaka jest rola Hugh'a w tym wszystkim, bo...

— ...Jajka! — wrzasnął z chodnika nad nimi po prawej jowialny właściciel *abarroies*.

— Mescalito! — syknął ktoś inny; mijali

ich niosąc
kawał deski jakiś znany Konsulowi bywalec
barów; czy
też może działo się to dzisiejszego ranka?
— ...Chociaż po namyśle wolę ci tym nie
zaprzętać
głowy.

Wkrótce wyłoniło się przed nimi miasto.

Byli teraz

17*

o^q

wersyteckich czy coś w tym rodzaju? A nawet mimo pewnej otyłości w jego ruchach była angielska, niemal eks--konsularna giętkość. Zresztą, dlaczego Jacques w ogóle gra w tenisa? Czy zapomniałeś, Jacques, jak cię uczyłem, przed laty — za domem Taskersonów albo na nowych kortach publicznych w Leasowe? W popołudnia jak to dzisiejsze? Tak krótko trwała ich przyjaźń, pomyślał Konsul, a jednak jak potężny, jak wszystko przenikający, przenikający całe życie Jacques'a był jej wpływ, wpływ, który objawia się nawet w wyborze jego książek, w jego pracy... zresztą, dlaczego Jacques przyjechał do Quauhnahuac? Czy nie wyglądało na to, że on, Konsul, z daleka zmusił go do tego w jakichś własnych niejasnych zamiarach? Człowiek, którego spotkał przed półtora rokiem, wydawał mu się — chociaż w pewnym sensie jego sztuka i jego życie były zwichnięte — najuczciwszym i najszczerzym ze wszystkich znanych mu Francuzów. Również wyraz powagi na twarzy Laruelle'a, widzianej teraz na tle nieba pomiędzy domami, nie dawał się pogodzić z myślą o pewnej cynicznej słabości. Czy nie jest możliwe, że Konsul pchnął go w hańbę i rozpacz, zmusił niejako do zdrady?

—Geoffrey — powiedział nagle Laruelle bardzo spokojnie

— czy ona naprawdę wróciła?

— Na to wygląda, nie sądzisz? —

Zatrzymali się obaj, żeby zapalić fajki, i wtedy Konsul zauważył, że Jacques ma na palcu pierścień, którego nie znał, prosty w rysunku pierścień ze skarabeuszem osadzonym w chalcedonie; nie wiedział, czy Jacques zdejmie pierścień do gry w tenisa, ale ręka ozdobiona pierścieniem drżała, podczas gdy ręka Konsula była teraz spokojna.

—Chodzi mi o to, czy naprawdę wróciła

— ciągnął

Laruelle po francusku, gdy szli dalej przez Calle Tierra

del Fuego. — Czy nie przyjechała tylko po to, żeby cię

odwiedzić, albo z ciekawości, albo na warunkach zwykłej

przyjaźni... jeżeli nie masz nic przeciwko temu, że pytam?

tam?

—Prawdę mówiąc, mam.

u stóp Pałacu Corteza. Tuż obok nich dzieci (zachęcane przez mężczyznę również w ciemnych okularach, który wydawał się znajomy i któremu Konsul kiwnął głową) wirowały dokoła słupa telegraficznego na zaimprovizowanej karuzeli, skromnie parodiującej wielką karuzelę na szczycie wzgórza pośrodku placu. "Wyżej, na pałacowym tarasie (był to bowiem również *ayuntamiento*¹) żołnierz z karabinem stał w pozycji „spocznij”; na położonym jeszcze wyżej tarasie snuli się turyści, wandalę w sandałach oglądający malowidła ścienne.

Z miejsca, na którym znajdowali się Konsul i Laruelle, widać było doskonale freski Rivery.

—Patrząc stąd doświadcza się wrażenia — powiedział Laruelle — którego nie doświadczają tamci turyści. Sto ją za blisko. — Wskazywał rakieta tenisową. — Powolne ciemnienie malowideł, kiedy patrzeć na nie od prawej ku lewej. Wydaje mi się, że to w jakiś sposób symbolizuje stopniowe narzucanie Indianom zwycięskiej woli Hiszpanów. Rozumiesz, co mam na myśli?

—Gdybyś stanął jeszcze trochę dalej, może zaczęłoby ci się zdawać, że to symbolizuje stopniowe narzucanie Meksykańczykom zwycięskiej przyjaźni Amerykanów, tylko tym razem -od lewej ku prawej — powiedział Konsul z uśmiechem, zdejmując okulary — zwłaszcza tym Meksykańczykom, którzy oglądając freski nie mogą nie pamiętać kto za nie zapłacił.

Konsul wiedział, że ta część malowideł ściennych przedstawia Indian Tlahuica, tych, co oddali życie za dolinę, w której on mieszka. Artysta namalował ich w rynsztunku wojennym — w maskach, w skórkach wilczych i tygrysich. Pod spojrzeniem Konsula postacie zdawały się zbliżać do siebie, gromadzić w milczeniu. Teraz stopiły się w jedną postać, w przeogromną, wrogą istotę, która patrzyła na niego nieruchomym spojrzeniem. Nagle istota zrobiła

**krok do przodu, potem wykonała
gwałtowny gest. Może dawała mu w
ten sposób do zrozumienia — tak,**

—iratusz (hiszp.)

z pewnością dawała mu do zrozumienia — żeby sobie poszedł.

— Patrz, Hugh i Ivonne machają do ciebie.
— Laruelle odpowiedział im ruchem rakiety. — Wiesz, uważam, że Hugh i Ivonne to wspaniała para — dodał z uśmiechem na pół bolesnym, na pół złośliwym.

Zobaczył ich, zobaczył wspaniałą parę, wysoko obok fresków; Hugh trzymał nogę na parapecie pałacowego balkonu, spoglądał ponad ich głowami, może na wulkany; Ivonne stała teraz odwrócona do nich plecami. Opierała się o balustradę, patrzyła na freski, potem odwróciła się profilem i powiedziała coś do Hugh'a. Nie machali już do nich więcej.

Laruelle i Konsul zrezygnowali z pójścia ścieżką na przetaj przez zbrocze. Szli wolno wzdłuż podnóża Pałacu, a potem, naprzeciwko „Banco de Credito y Ejidal”, skręcili w lewo i zaczęli się piąć stromą, wąską uliczką prowadzącą prosto na plac. Posuwając się mozolnie w górę przystanęli w pewnej chwili pod ścianą Pałacu, żeby przepuścić jeźdźca na koniu, Indianina z uboższych klas, mężczyznę o pięknych rysach twarzy, ubranego w luźne, białe, wyplamione odzienie. Mężczyzna śpiewał wesoło. Ale skinął im grzecznie głową, jak gdyby dziękując. Zdawało się, że do nich przemówi, ściągnął nawet lejce małego konika — po którego bokach pobrzękiwały juki i który miał na zadzie wypaloną cyfrę siedem — i szedł teraz stępą równo z nimi. Brzęku, brzęku mały popręgu. Ale mężczyzna, wyprzedziwszy ich trochę, nie odezwał się, a gdy dotarł na szczyt, machnął do nich ręką i odjechał galopem, śpiewając.

Konsul poczuł ból w sercu. Ach, mieć konia i galopować śpiewając, pędzić galopem może do kogoś, kogo się kocha — w samo serce tego wszystkiego, co jest prostotą i pokojem świata; czy nie jest to ta jedyna szansa, jaką człowiekowi samo życie? Oczywiście nie jest. A jednak przez chwilę zdawało się, że jest.

■— Co to Goethe powiedział o koniu? — spytał. — „Zmę-

jego życie. Ale dziwniejsze od tamtych było malowidło przedstawiające kochanków, mężczyznę i kobietę, siedzących nad brzegiem rzeki. Chociaż naiwne i prymitywne, malowidło to miało w sobie coś somnambulicznego, a także coś z prawdy, coś z patosu miłości. Kochankowie siedzieli niezdarnie, bokiem do siebie. A jednak było tak, jak gdyby w rzeczywistości trzymali się w objęciach nad tą rzeką o zmroku pośród złotych gwiazd. „Ivonne — pomyślał z nagłą czułością — gdzie jesteś, najdroższa? Najdroższa...” Przez chwilę zdawało mu się, że Ivonne jest przy nim. Potem przypomniał sobie, że ją stracił; a potem — że nie, to uczucie straty należało do wczoraj, do miesiący samotnej udręki, które ma już za sobą. Nie stracił Ivonne, Ivonne była tu cały czas, jest tutaj teraz albo prawie tutaj. Konsul chciał podnieść wysoko głowę i krzyknąć z radości jak indiański jeździec: „Jest tutaj! Obudź się, Ivonne wróciła! Jedyna, najdroższa, kocham cię!” Chwyciło go gwałtowne pragnienie, żeby ją natychmiast odnaleźć, zaprowadzić do domu (gdzie w ogrodzie leży wciąż biała butelka Tequila Anejo de Jalisco, jeszcze nie opróżniona), żeby przerwać tę bezsensowną wędrówkę i przede wszystkim, żeby być tylko z nią, a także pragnienie, żeby natychmiast rozpocząć > z Ivonne normalne, szczęśliwe życie, w którym było możliwe tak niewinne uczucie szczęścia, jak to, które rozjaśnia twarze pocziwych ludzi dokoła niego. Ale czy on i Ivonne kiedykolwiek prowadzili normalne, szczęśliwe życie? Czy taka rzecz jak normalne szczęśliwe życie była dla nich kiedykolwiek możliwa? Była... Ale co z tą spóźnioną kartką pocztową, którą wsunął pod poduszkę Jacques'a? Kartka dowodzi, że cała samotna udręka nie była potrzebna, dowodzi, co więcej, że on pragnął tej udręki. Czy naprawdę zmieniłoby się cokolwiek, gdyby dostał kartkę we właściwym czasie? Konsul wątpił. Ostatecznie tamte jej listy — Chryste, gdzie one są? — nie zmieniły niczego. Może gdyby je porządnie przeczytał... Ale on nie przeczytał ich porządnie. A wkrótce zapomni o tym, co zrobił z kartką. Niemniej pragnienie zostało — jak echo prag-

czony wolnością pozwolił się osiodłać i okiełzać, po czym 'zajeżdżono go na śmierć za jego trudy."

Wrzawa na placu była straszliwa. Znowu prawie nie słyszeli, co do siebie mówią. Podbiegł do nich gazeciarsz. *Sangriento Combate en Mora de Ebro. Los Aviones de los Rebeldes Bombardean Barcelona. EŞ inevitable la muerte del Papa.*¹ Konsul drgnął; tym razem zdawało mu się przez sekunde, że tytuły gazet dotyczą jego. Ale naturalnie szło o biednego papieża, to jego śmierć była nieunikniona. Można by pomyśleć, że śmierć innych ludzi nie jest też nieunikniona! Na środku placu mężczyzna wspinał się na oślizły słup, robił to w sposób bardzo skomplikowany, używając lin i klamer. Na ogromnej karuzeli stojącej blisko podium dla orkiestry tłoczyły się dziwaczne dżugonose koniki, osadzone na spiralnych prętach, koniki kiwające się majestatycznie, gdy krążyły poruszane jak gdyby powolnym ruchem tłoków. Chłopcy na wrotkach, trzymający się prętów parasolowej konstrukcji, wirowali wrzeszcząc radośnie, podczas gdy nieostłnięty \mechanizm karuzeli stukotał jak pompa parowa; potem chłopcy gwizdali. Dźwięki *Barcelony* i *Walencji* mieszały się z hukami i wrzaskami, przed którymi nerwy Konsula były chronione jakby watą. Jacques wskazał na malowidła umieszczone jedne obok drugich na wewnętrznym kole karuzeli, zmontowanym horyzontalnie i przymocowanym do szczytu obracającego się głównego słupa. Syrena odpoczywająca na powierzchni morza czesała włosy i śpiewała marynarzom okrętu wojennego

O pięciu kominach. Bohomaz, na pierwszy rzut oka przed stawiający Medeę zabijającą synów, okazał się bohoma zem przedstawiającym cyrkowe małpki. Pięć jeleni o do brotliwym wyglądzie patrzyło na nich (majestatyczni

1 nierzeczywiści), z głębi szkockiej polanki, po czym prędko znikły, podczas gdy wspinały Pancho Villa o sterczących wąsiskach cwałował za nimi, jakby zależało od tego

¹ Krwawa walka w More de Ebro. Samoloty powstańcze bombardują Barcelonę. Śmierć papieża jest nieunikniona, (hiszp.)

nienia Ivonne — żeby ją odnaleźć, żeby ją odnaleźć teraz, żeby odwrócić ich fatum; pragnienie, które było prawie decyzją... „Podnieś głowę, Geoffreju Firmin, odmów swoje dziękczynne modły i działaj, póki nie jest za późno.” Ale ciężar ogromnej dłoni zdawał się przyciskać mu głowę. Pragnienie minęło. I jednocześnie, jak gdyby chmura zasłoniła niebo, zmienił się w jego oczach wygląd festynu. Wesoły turkot wrotków, pogodna acz ironiczna muzyka, krzyki dzieci na drewnianych konikach z gęsiami szyjami, pochód dziwacznym malowideł na karuzeli — wszystko to nagle stało się w sposób transcendentalny przerażające i tragiczne, dalekie, odmienione, jakby było jakimś ostatecznym obrazem zarejestrowanym przez zmysły, obrazem tego, czym jest ziemia, obrazem przeniesionym w mroczne rejony śmierci, w zbierającą burzę nieuleczalnego smutku; Konsul musiał się czegoś napić...

—Tequila — powiedział.

—*Una?* — spytał chłopiec krótko.

Laruelle poprosił
o *gaseosa*.

—*Si, señores.* — Chłopiec wytarł stolik. —

Una tequila

y una gaseosa. — Przyniósł natychmiast
butelkę El Nilo

dla Laruelle'a, wraz z solą, papryką i
plasterkami cytryny
na talerzyku.

Kawiarenka, ukryta między drzewami
pośrodku ogrodzonego ogródka na krawędzi
placu, nazywała się „Paryż”. I rzeczywiście
miała w sobie coś z Paryża. Obok szemrała
skromna fontanna. Chłopiec przyniósł im *ca-*
marones, salaterkę czerwonych krewetek, ale
jeszcze raz trzeba mu było przypomnieć o
tequili.

W końcu przyniósł tequilę.

—Ach — powiedział Konsul, chociaż to
pierścionek
z chalcedonem dygotał.

—Czy ty to naprawdę lubisz? — spytał
Laruelle,

a Konsul, ssąc cytrynę, czuł, jak ogień tequili
spływa mu

w dół kręgosłupa — niczym piorun
porażający drzewo,

które potem w cudowny sposób zakwita.

— Dlaczego się trzęsiesz? — spytał Konsul.

Laruelle wbił w niego nieruchome
spojrzenie, obejrzał

się nerwowo, wykonał taki ruch, jak gdyby chciał idiotycznie przejechać palcem u nogi po strunach rakiety, przypomniał sobie o ramach rakiety i speszony oparł ją o krzesło. — ■ I czegoż ty się boisz? — drwił z niego Konsul.

—Przyznaję, że jestem trochę nieswój... — Laruelle rzucił za siebie tym razem dłuższe spojrzenie. — Daj mi się napić tej trucizny. — Pochylił się, upił tyk tequila Konsula i tkwił pochylony nad szklanką grozy, która przed chwilą była jeszcze pełna.

—Smakowało?

—Jak woda utleniona z benzyną... Jeżeli kiedykolwiek zacznę pić to paskudztwo, będziesz wiedział, że to mój koniec.

—Na mnie tak działa mescal... tequila nie, tequila jest zdrowa... i doskonała. Jak piwo. Dobrze człowiekowi robi. Ale jeżeli kiedykolwiek zacznę znów pić mescal, myślę... tak, to będzie koniec — powiedział Konsul w rozmarzeniu.

—Boże wszechmocny! — zadygotał Laruelle.

—Nie boisz się chyba Hugh'a, powiedz? — ciągnął Konsul zwracając się drwiąco do Laruelle'a; nagle uderzyła go myśl, że cała rozpacz miesięcy po odejściu Ivonne wзира teraz z oczu tamtego. — Nie jesteś o niego przypadkiem zazdrosny?

—Dlaczego miałbym być...

—Ale myślisz... prawda?... myślisz, że przez wszystkie te lata ani razu nie powiedziałem ci prawdy o moim życiu — ciągnął Konsul. — Nie mam racji? — Nie, Geoffrey... Bo może raz czy dwa razy, nie wiedząc o tym, powiedziałeś mi prawdę. Nie, ja szczerze chcę ci pomóc. Ale jak zwykle nie dajesz mi szansy.

— Nigdy nie powiedziałem ci prawdy, wiem o tym, ta Prawda jest bardziej przerażająca, niż sobie wyobrażasz.

jak Shelley powiada, zimny świat nigdy się nie do- Słuchaj, ciągle dygoczesz, tequila jakoś ci nie pomogła.

"— Boję się, że nie — odparł Laruelle.
'— Myślałem, że ty się niczego nie
boisz... *Un otro*

265 . -.

tequila — powiedział Konsul do chłopca, który podbiegł do stolika i rzucił szybko:

— ...*Unol*

Laruelle obejrzał się na chłopca, jak gdyby chciał zawołać: *dos*.

— Boję się ciebie — powiedział — mój stary.

Po wypiciu połowy drugiej tequilii Konsul słyszał docierające do niego od czasu do czasu dobrze mu znajome, życzliwe zdania.

— Ciężko to wszystko mówić. Jak mężczyzna do mężczyzny. Nic mnie nie obchodzi, kto ona jest. Nawet jeżeli zdarzył się cud. Chyba że natychmiast z tym skończysz.

Ale Konsul patrzył ponad głową Laruelle'a na fruujące łódki niedaleko od nich; sama maszyna miała w sobie jakąś kobiecość, wdzięk baletnicy, żelazne spódniczki jej gondoli okręcały się coraz wyżej i wyżej. W końcu wirowała z pełnym napięciem trzepotem, świstem, jękiem, aż nagle, gdy na chwilę wrócił spokój, spódniczki opadły skromnie, poruszane teraz tylko podmuchami lekkiego wiatru. Jakie to piękne, piękne, piękne...

— Na miłość boską. Idź do domu, połóż się do łóżka...
Albo poczekaj tu. Znajdę tamtych. Powiedz im, że nie jedziesz do...

— Kiedy właśnie jadę — powiedział Konsul obierając krewetkę. — Nie *camarones* — dodał. — *Cabrones*,¹ Tak je nazywają Meksykańczycy. — Przytknął kciuki do na-

\ sady uszu i poruszał palcami. • — *Cabron*.,
Może ty też, kto wie... Wenus jest gwiazdą z rogami.

— A co powiesz o krzywdzie, jaką jej wyrządziłeś, o zmarnowanym życiu... Po tej całej rozpacz, szlochach...
Teraz, kiedy do ciebie wróciła! Kiedy masz tę szansę...

— Zupełnie niepotrzebnie mieszasz się do mojej dra matycznej walki — powiedział Konsul, patrząc poza Laruelle'em na afisz na podmurówce fontanny: *Peter Lorre en Las Manos de Orlac, d las 6³⁰ p.m.* —

Będę musiał

i Gra słów. *camarones* — Krewetki:
cabrones — zdradzani mężowie,
rogacze, (luszp.)

teraz wypić... byle tylko nie mescal,
naturalnie... bo inaczej wszystko mi się w
głowie pomiesza jak tobie.

—...mam wrażenie, że czasem, kiedy
dobrze obliczysz
potrzebną ci ilość, rzeczywiście zaczynasz
myśleć jaśniej —
przyznał Laruelle po chwili.

—Walki ze śmiercią. — Konsul rozsiadł się
swobodnie
na krześle. — Do mojej dramatycznej walki
o zachowa
nie ludzkiej świadomości.

—Tylko że to na pewno nie jest walka o
te rzeczy,
które są ważne dla nas, godnych pogardy
ludzi trzeźwych,
a które stanowią o równowadze każdej
ludzkiej sytuacji.
1 właśnie to, że ich nie dostrzegasz,
Geoffrey, zmienia je
w instrumenty klęski, które sam tworzysz.
Ben Jonson,
czy może Marlowe... ten od *Faustusa*...
widział Karlagiń-
czyków walczących na paznokciu swojego
wielkiego palca
u nogi. Oto rodzaj jasnowidztwa, w jakim
ty sobie fol
gujesz. Wszystko wydaje się idealnie jasne,
ponieważ jest
rzeczywiście jasne... w kategoriach wielkiego
palca u nogi.

—Zjedz sobie skorpiona w ostrym
diabelskim sosie —
poczęstował go Konsul przysuwając salaterkę
z krewetka
mi. — *Cabron* opętany przez diabła.

—Przyznaję, że twoja tequila działa
skutecznie... Ale
czy ty się orientujesz, że kiedy walczysz ze
śmiercią, czy
co tam sobie wyobrażasz, że robisz, kiedy
twoja mistyka
znajduje ujście, czy co tam sobie
wyobrażasz, że znaj
duje w tobie ujście, kiedy rozkoszujesz się
tym wszyst
kim... czy ty się orientujesz, jak niezwykle
pobłażanie
okazują ci ludzie, którzy muszą się z tobą
borykać... jak
niezwykłe pobłażanie ja ci w tej chwili
okazuję?

Konsul patrzył rozmarzonym wzrokiem na
diabelskie koło tuż obok nich, ogromne, ale
przypominające wielokrotnie powiększaną
budowlę, którą wzniosło dziecko

² dźwigarów i wsporników, rygli i
nakrętek „małego
konstruktora”; dziś wieczorem koło
będzie oświetlone,
Jego stalowe ramiona utoną w
szmaragdowym patosie
drzew; koło sprawiedliwości, toczące się;
widok koła
Przypominał też, że zabawa nie nabrała
jeszcze rozmachu.
Jakież harmider będzie tu później! Jego
wzrok padł na

inną małą karuzelę, jaskrawo pomalowaną, wirującą karuzelę dla dzieci, i przez moment zdawało mu się, że jest dzieckiem, które postanawia wejść na karuzelę, waha się, traci okazję i następną okazję, traci kolejno wszystkie okazje, aż w końcu jest już za późno. Ale właściwie, jakie okazje miał na myśli? Głos śpiewał gdzieś przez radio piosenkę: *Samaritana mia, alma via, bebe en tu boca linda* — potem Ucihtł raptownie. Brzmiało to jak *Samaritana*.

— I zapominasz o tym wszystkim, co usuwasz ze swojego, nazwijmy je tak, uczucia wszechwiedzy. Ale wyobrażam sobie, że w nocy albo między jedną i drugą szklanką trunku, a taka przerwa też jest nocą, to, coś usunął, wraca jak gdyby mszcząc się za to, że zostało usunięte...

— Owszem, wraca — powiedział Konsul słuchając w tym momencie z uwagą. — A poza tym są jeszcze po mniejsze majaki, *meteora*, które latają ci przed oczami jak komary. 1 zdaje się, że ludzie uważają to za koniec...

Ale *delirium tremens* jest tylko początkiem, jest muzyką u wrót *Qiiphoth*, uwerturą, którą dyryguje Bóg Much... Dlaczego ludzie widzą białe myszki? Oto kwestie, Jacques, którymi powinien zainteresować się świat. Weź na przykład idiom, że sumienie gryzie. *Mordeo, mordere. La Mordida!* A po niemiecku *Agenbite*. I skąd to francuskie *rongeur!* Skąd w etymologii całe to gryzienie?

— „*Facilis est descensus Averno*”²... To wszystko załatwe.

— Odmawiasz mojej walce wielkości? Nawet jeśli zwyciężę. A jeżeli będę chciał, na pewno zwyciężę — dodał Konsul spostrzegając jednocześnie tuż obok mężczyznę, który stanął na drabinie i przybijał ogłoszenia do drzewa.

— *Je crois que le vautour est doux a Promethee et que les 1x1071 se plaisent en Enfers.*³

¹Moja Samarytanko, pobożna
duszo, pij swymi słodkimi usta-
mi, (hiszp.)

²Łatwe jest zejście do piekła.
Wergilusz, *Eneida*. VI. wiersz
126.

³Są dze, że Prometeuszowi
słodki jest śnieg i że Iksyoni
(odpowiednik
kainów w mitologii greckiej)
dobrze się czują w piekle, (fr.)

iBOX!

„Nie mówiąc już o tym, co ty tracisz, tracisz, tracisz, co ty ciągle tracisz, człowieku. Głupcze, beznadziejny! głupcze. Zostałeś nawet odizolowany od odpowiedzialności prawdziwego cierpienia... Nawet to cierpienie, którego doświadczasz, jest w ogromnej mierze niepotrzebne. Właściwie jest falsyfikatem cierpienia. Brak mu podstaw koniecznych do tego, żeby było cierpieniem tragicznym. Oszukujesz samego siebie. Na przykład w tym, że topisz w alkoholu swoje smutki... Z powodu Ivonne i mnie. Ale Ivonne wie. Ja też. I ty. Albo w tym, że Ivonne nie zdawałaby sobie z tego sprawy. Gdybyś nie był tak bezustannie pijany. Po to, żeby wiedzieć, co ona robi. Albo po to, żeby cię to obchodziło. A co więcej: To sarno spotka cię znowu, głupcze, to samo spotka cię znowu, jeżeli nie weźmiesz się w garść. Widzę już napis na ścianie. Hej, co znowu?"

Laruelle'a nie było; Konsul mówił do siebie. Wstał i dopił tequilę. Ale napis był, nie ma co przeczyć, chociaż nie na ścianie. Mężczyzna przybił tabliczkę do drzewa.

iLe gusta este jardin?

Wychodząc z „Cafe Paryż” Konsul wiedział, że znajduje się w stanie pijaństwa, który, żeby tak powiedzieć, był u niego czymś wyjątkowym. Nogi same skręcały mu w lewo, nie mógł ich zmusić, żeby poszły w prawo. Wiedział, w jakim kierunku idzie, na postój autobusów, a raczej do małej, ciemnej *cantiny* tuż obok, prowadzonej przez wdowę Gregorio, która jest pół-Angielką i mieszkała kiedyś w Manchester;¹ był jej winien pięćdziesiąt centavos, nagle postanowił spłacić ten dług. Ale w żaden sposób nie mógł utrzymać prostego kursu... Och wszyscy...

Idziemy wszyscy roześmianni, koiysanni,
lewa, prawa...

*Bies Faustus*¹... Konsul spojrzął na zegarek. Przez chwilę, przez jedną krótką i straszną chwilę w „Cafe

¹ Pomyślny dzień, (łac.)

Paryż" myślał, że to już noc, że jest to jeden z tych dni, którego godziny umykają jak korki rzucone za burtę, którego ranki odfruwają na skrzydłach aniołów nocy, wszystko w mgnieniu oka, ale dzisiaj działo się odwrotnie: zegarek wskazywał za pięć drugą. Był to już najdłuższy dzień, jaki dotąd przeżył, dzień-życie; nie tylko nie spóźni się na autobus, ale ma mnóstwo czasu na dalsze picie. Gdyby tylko nie był pijany! Konsul zdecydowanie potępił swój stan.

Szły za nim rozradowane dzieci, doskonale zdawały sobie sprawę z jego trudności. — Pieniądze, daj pieniądze, pieniądze — szwargotały. — O.K. *mister!* Gdzie idziesz, pan? — Czepiały się spodni Konsula, ale ich głosy traciły zapach, były coraz cichsze, tonęły w rozczarowaniu. Chętnie dałyby im parę centavos. Nie chciał jednak ściągać na siebie uwagi. Zobaczył z daleka Hugh'a i Ivonne, próbowali się na strzelnicy. Hugh strzelał, Ivonne patrzyła.^{1*} Bang, bang, bang! 1 Hugh strącił całą procesję drewnianych kaczek.

Konsul, nie zauważony, szedł potykając się dalej; minął stoisko, w którym można było zrobić sobie fotografię z ukochaną na tle przerażającego, burzliwego krajobrazu, ponurozielonego, z atakującym bykiem na dalszym planie i Popocatepetlem w momencie wybuchu; minął, z twarzą odwróconą, mały, odrapany, zamknięty konsulat brytyjski, znad którego drzwi lew i jednorożec na splotawej niebieskiej tarczy spoglądały na niego ponuro. To była hańba. Ale mimo wszystko jesteśmy wciąż na twoje usługi, zdawały się mówić. *Dieu et mon droit.* Dzieci dały mu spokój. Ale Konsul stracił kierunek. Zbliżał się do granic jarmarku. Tajemnicze namioty stały tu zamknięte albo leżały skulone w pofałdowanych kupkach. Było w ich wyglądzie coś prawie człowieczego, te stojące czekały na coś, te leżące miały zmięty, skulony wygląd ludzi pogrążonych we śnie, którzy nawet w nieświadomości

**i Bóg i moje prawo, (fr.)
Dewiza królów angielskich
wypisana też na szyldach placów
ek dyplomatycznych Wielkiej
Brytania.**

pragną rozprostować nogi. Dalej, na najdalszych krańcach jarmarku, był naprawdę dzień umarłych. Tutaj płócienne kramy i strzelnice wydawały się nie tyle pogrążone we śnie, ile martwe, bez nadziei na zmartwychwstanie. Ale w końcu nawet i tu Konsul dostrzegł słabe oznaki życia.

Poza peryferiami festynu, częściowo na chodniku, stała jeszcze jedna, przeraźliwie odrapana „bezpieczna” karuzela. Małe krzeselka wirowały pod piramidą z przy-marszczonego płótna, która obracała się powoli przez pół minuty, a potem znieruchomiła, nagle upodobniona do kapelusza znudzonego Meksykańczyka, który nią manipulował. Stała tu oto, mały Popocatepetl przycupnięty z dala od rozpędzonych karuzel, z dala od Koła Diabelskiego, czekała... na kogo czekała, zastanawiał się Konsul. Nie należała przecież ani do dzieci, ani do dorosłych, stała więc pusta, jak można sobie wyobrazić, że będzie pusta i opuszczona karuzela dla młodzieży, jeśli niedorostki uznają, że ofiaruje im rozrywkę nazbyt niewinną, i wybiorą to, co na placu wiruje w szaleńczych elipsach pod gigantycznym baldachimem.

Konsul szedł dalej, krokiem wciąż niepewnym; pomyślał, że idzie znów we właściwym kierunku, zatrzymał się.

ć, *!Brava aitracción!*

10 c. vidquina infernal¹

przeczytał, na pół zaintrygowany pewną zbieżnością zawartą w tych słowach. Szalona atrakcja. Ogromne koło, Puste, ale wirujące całym rozpędem ponad jego głowę^w tej martwej części jarmarku, przywodziło na myśl gigantycznego złego ducha zawodzącego w swoim samotnym piekle, o członkach rozdygotanych, bijących powietrze jak łopatkki koła okrętowego. Konsul nie widział go przedtem, było zasłonięte drzewami. Koło też się zatrzymało...

—■ Paanie. Pieniądze, daj pieniądze, pieniądze. — Paanie! Gdzie idziesz, pan?

¹ Niebezpieczna rozrywka!
Maszyna, piekielna za dziesięć centów, (hiszp.)

Przeklęte dzieci znowu go wypatrzyły: a ceną ucieczki od nich było dać się wciągnąć nieubłaganie, chociaż z możliwie największą godnością, na pokład tego potwora. I teraz, zapłaciwszy dziesięć centavos garbatemu Chińczykowi w czapce tenisowej z daszkiem, Konsul znalazł się sam, śmiesznie i nieodwoalnie sam, w małym konfesjonale. Po chwili koło ruszyło wśród gwałtownych i druzgocących wstrząsów. Klatki, umieszczone na końcu stalowych drążków o nie budzącym zaufania wyglądzie, poderwały się do góry i ciężko opadły. Klatka Konsula została znów wyrzucona do góry potężnym zamachem, wisiąca nieruchomo przez chwilę na samym szczycie, do góry dnem, podczas gdy druga klatka, która w sposób wieloznaczący była pusta, znajdowała się na dole; potem, zanim Konsul zrozumiał, co się z nim dzieje, klatka runęła w dół, zatrzymała się sekundę na drugim biegunie i zaraz ciśnięta została w górę, bezlitośnie na sam szczyt, gdzie tkwiła nieruchomo przez nie kończący się, nieznośny okres niepewności. Konsul, jak ów nieszczęsny głupiec, który przyniósł światu ogień, wisiął głową w dół nad ziemią, chroniony od śmierci tylko skrawkiem stalowej liny. A tam, nad *nim*, tkwił świat, ludzie wyciągali w dół do niego szyje, już, już mieli spaść z drogi i runąć mu na głowę albo w niebo. 999.¹ Tych ludzi nie było tam przedtem. Pewnie naśladując dzieci przystanęli, żeby go obserwować. W jakiś pośredni sposób Konsul uświadamiał sobie, że nie odczuwa fizycznego strachu przed śmiercią, podobnie jak nie odczuwa teraz strachu przed wszystkim tym, co mogłoby go otrzeźwić; może do tego właśnie dążył. Ale nie podobało mu się to. Nie było wcale zabawne. Stanowiło niewątpliwie jeszcze jeden przykład niepotrzebnego cierpienia Jacques'a — Jacques'a? Zresztą tego rodzaju sytuacja z pewnością poniża godność dawnego przedstawiciela rządu jego królewskiej mości, chociaż jest równocześnie symboliczna. Jezu. Nagle, strasznie, klatki ruszyły w odwrotnym kierunku. — Och — powie-

¹ Numer Scotland Yardu w Londynie, pod ten numer dzwoni się wzywając pomocy.

dział Konsul. — Och. — Bo uczucie? spadania było teraz przerażające, jak gdyby poza nim, z tyłu, niepodobne do niczego, przekraczające granice ludzkich doświadczeń; to odwrotne wirowanie nie przypominało bynajmniej loopingu w samolocie, gdzie kolejne ruchy przebiegają błyskawicznie, a jedyną odczuwaną sensacją jest jakby nagłe zmniejszenie się wagi ciała; jako marynarz nie pochwałał również tamtego uczucia, ale to... och mój Boże! Wszystko wypadało mu z kieszeni, było mu wrywane z kieszeni, wyszarpywane, każdy kolejny przedmiot obracał się, wirował mdląco, spadał, podrywał się do góry, zataczał nieprawdopodobne kręgi — notes, fajka, klucze, ciemne okulary, które zdjął, drobne (nie *zdążył* nawet pomyśleć, że mimo wszystko jego drobne dostaną się w ręce dzieci); był stopniowo opróżniany, wracał na ziemię pusty, jego laska, paszport... czy to był jego paszport? Nie pamiętał, czy wziął ze sobą paszport. Potem sobie przypomniał, że wziął. Chociaż mógł nie wziąć. Bez paszportu nawet sytuacja Konsula byłaby w Meksyku trudna. Eks-konsula. Zresztą — co z tego? Niech to diabli! W tej ostatecznej rezygnacji był jakiś element obłąkanego zadowolenia. Niech to wszystko diabli! Zwłaszcza niech diabli to wszystko, co dawało prawo swobodnego poruszania się, co określało granice powinności, obdarzało sensem i charakterem czy też celem i tożsamością ten przeklęty przerażający koszmar, który musiał dźwigać ze sobą wszędzie na plecach, a który występował pod imieniem i nazwiskiem Geoffreya Firmina, dawniej z królewskiej marynarki, później zaś ze służby dyplomatycznej jego królewskiej mości, a jeszcze później... Nagle uderzyła go myśl, że Chińczyk zasnął, że dzieci, że dorośli odeszli, że to będzie trwało wiecznie; nikt nie potrafi zatrzymać mechanizmu... Ach, koniec.

A jednak nie koniec. Nawet na *terra firma* świat dalej wirował obłądnie; domy, karuzele, hotele, katedry, *can-Uny*, wulkany; trudno było utrzymać się na nogach. Widział, że ludzie śmieją się z niego, ale co bardziej go dziwiło, zwracano mu jeden po drugim wszystkie dro-

biażgi. Dziewczynka, która trzymała jego notes, żartobliwie cofnęła rękę, zanim mu go zwróciła. Nie, miała jeszcze coś w drugiej rączce, zmiętą kartkę papieru. Jakiś telegram Hugh'a. Laska, okulary, fajka — cała — ale nie jego ulubiona fajka; i nie było paszportu. Och, na pewno nie miał go przy sobie. Wkładając resztę przedmiotów do kieszeni skręcił krokiem chwiejnym /a róg i padł na ławkę. Włożył z powrotem ciemne okulary, wsunął fajkę między zęby, skrzyżował nogi i — gdy świat zwalniał po trochu swoje obroty — przybrał znudzoną pozę Anglika odpoczywającego w Ogrodzie Luksemburskim.

Cholerny stary Scrooge; jakie to dziwne, że go tu spotkał!

274

Dzieci, pomyślał... jakże cudowne są dzieci w głębi serc. Te same pędraki, które oblegały go żądając pieniędzy, przyniosły mu teraz nawet najdrobniejsze monety, a potem, świadome jego zakłopotania, uciekły nie czekając na nagrodę. Żałował teraz, że im nic nie dał. Odeszła też dziewczynka. Może to jej zeszyt leży otwarty obok na ławce. Żałował, że był dla niej taki szorstki, pragnął, żeby wróciła, chciał jej oddać zeszyt. Powinni byli mieć dzieci z Ivonne, mogli byli mieć dzieci, byliby mieli dzieci, powinni byli...

Z trudem zdołał odczytać w zeszycie:

„Skrucz jest stary człowiek. Mieszka w Londynie. Mieszka sam w dużym domu. Scrooge jest bogaty, ale nigdy nic nie daje biednym. Jest skąpiec. Nikt nie kocha Scrooge'a i Scrooge nie kocha nikogo. Nie ma przyjaciół. Jest sam na świecie. Człowiek (*el hombre*). Dom (*la casa*). Biedacy (*los pobres*). On mieszka (*el vive*). On daje (*el da*). On nie ma przyjaciół (*el no tiene amigos*). On kocha (*el ama*). Stary (*viejo*). Duży (*grande*). Nikt (*nadie*). Bogaty (*rico*). Kto to jest Scrooge? Gdzie mieszka? Czy Scrooge jest bogaty, czy biedny? Czy ma przyjaciół? Jak żyje? Sam. Świat. Na."

W końcu świat przestał wirować obrotami Maszyny Piekielnej. Ostatni dom znieruchomiał, ostatnie drzewo zapuściło korzenie. Zegarek Konsula wskazywał siedem minut po drugiej. A Konsul był przeraźliwie trzeźwy.

Weseli żołnierze, przypominający umorusanym wyglądem kominiarzy, przechadzali się po alejkach zawadiackim, nieżołnierskim krokiem. Oficerowie w eleganckich mundurach oblegali ławki, siedzieli pochyleni do przodu i oparli na swoich fircykowatych laseczkach, jak gdyby skamieniali w kręgu dalekich strategicznych myśli. Tragarz indyjski z wieżą krzeset na głowie kuśtykał po Avenida Guerrero. Przeszedł wariat, w założonej jak pas ratunkowy starej przetartej oponie od roweru. Nerwowymi ruchami przesuwając ją bezustannie dookoła szyi. Wymamrotał coś do Konsula, ale nie czekając ani na odpowiedź, ani na datek zdjął oponę i rzucił ją daleko przed siebie w kierunku jednego z kiosków i podążył za nią chwiejnym krokiem, cały czas wpychając do ust coś, co niósł w rybackiej blaszance na robaki. Teraz podniósł oponę, znowu rzucił ją daleko przed siebie i powtarzał tę czynność, której nie upraszczalna logika zdawała się go całkowicie pochtaniać, aż w końcu zniknął.

Konsul poczuł ucisk w sercu i na pód podniósł się z ławki. Zobaczył znów z daleka Hugh'a i Ivonne, stali przed jednym ze stoisk; Ivonne kupowała *tortillę* od starej przekupki. Gdy kobieta posypywała jej *tortillę* serem i obkładała sosem pomidorowym, wzruszająco zaniedbany mały policjant, prawdopodobnie jeden z tych, którzy strajkowali — w czapce trochę na bakier, w workowatych, wyplamionych spodniach, w sztylpach i kurtce niewątpliwie na niego za dużych — oderwał liść sałaty i z uśmiechem nieskończenie kurtuazyjnym podał go Ivonne. Bawili się świetnie, to było widać. Jedli *tortillę*, uśmiechali się do siebie, gdy sos pomidorowy ściekał im z palców; teraz Hugh sięgnął do kieszeni po chusteczkę; wycierał sos z policzka Ivonne, śmieli się przy tym głośno, policjant śmiał się wraz z nimi. A co z ich małym spiskiem, żeby go zaprowadzić do domu? Mniejsza o to. Ucisk "w sercu stał się teraz zimną żelazną obręczą udręki, którą rozluźniało jednak pewne uczucie ulgi; bo gdyby Jacques podzielił się z nimi swoimi małymi obawami — czy byliby tu teraz, roześmiani? Chociaż kto wie; ale po-

licjant, nawet strajkujący i nawet przyjazny, jest przecież mimo wszystko policjantem, a Konsul bał się policji bardziej niż śmierci. Położył kamień na zeszyte dziecka, zostawił zeszyt na ławce i żeby umknąć tamtym, skoczył za najbliższe stoisko. Przez szpary w deskach zobaczył mężczyznę, który ciągle jeszcze znajdował się w połowie ośliz-tego słupa, zbyt daleko zarówno od wierzchołka, jak od podstawy, żeby mieć pewność bezpiecznego dotarcia czy tu, czy tam; wyminął ogromnego żółwia, który konał w dwóch równoległych strużkach krwi na chodniku przed restauracją z rybami i skorupiakami, i wszedł do „El Bosque” krokiem pewnym — jak to już raz dzisiaj zrobił, podobnie opętany — ale prawie biegnąc; autobusu nie było jeszcze na postoju; miał dwadzieścia minut, może więcej.

Jednakże wewnątrz *canUny* „El Bosque” było tak mroczne, że chociaż Konsul zdjął ciemne okulary, musiał przystanąć na progu. ...*Mi ritrovaí in una bosca oacura... czy też selva?* Mniejsza o to. Nazwa *cantiny* była bardzo trafna. „Gęstwina.” Ale ta ciemność kojarzyła mu się w myślach z aksamitnymi zasłonami; tak, są, za majaczącym w mroku barem wisały zasłony aksamitne czy też pluszowe, tak brudne i zakurzone, że straciły już swoją czerń, na pół maskujące wejście do pokoju na tyłach, o którym nikt nie umiałby powiedzieć, czy jest, czy nie jest prywatnym mieszkaniem. Z jakichś powodów fiesta nie wdarła się tutaj. *Cantina* „El Bosque”, meksykańska krewniaczka angielskiego „Dzbana i Butelki”, przeznaczona głównie dla tych, którzy kupują na wynos, była jak zwykle o tej porze pusta; umeblowanie składało się z żelaznego stolika na wrzecionowatych nogach i dwóch stołków przy ladzie, a że *cantina* frontem była zwrócona do wschodu, mrok w jej wnętrzu gęstniał w miarę jak słońce — jeżeli ktoś zwracał uwagę na takie szczegóły — coraz wyżej wstępowało na niebo. Konsul szedł po omacku. — Señora Gregorio — zawołał cicho, ale z udręczonym,

i W orygu. włoskim *selva* — b. gęsty las, dżungla. Patrz przyp. str. 185.

niecierpliwym drzeniem w głosie. Samo mówienie przedstawiało już trudności; musiał, koniecznie musiał się napić. Jego zawołanie odezwało się echem na tyłach domu; „Gregorio”; nie było odpowiedzi. Usiadł, stopniowo wyostrzyły się zarysy cieni wokół niego, zarysy beczutek, butelek. Ach, biedny żółw! Ta myśl poruszyła bolesną strunę w jego duszy... Za barem stały duże zielone baryłki: jerez, habanero, catalan, parras, zarzamora, malaga, durazno, membrillo, czysty spirytus w cenie peso za litr, tequila, mescal, rumpope. Gdy czytał te nazwy i gdy wewnątrz *cantiny* rozjaśniło się przed jego oczami — jak gdyby na dworze powstał nagle posępny świt — usłyszał znów głosy, pojedynczy głos ponad stłumioną wrzawą jarmarku: „Geoffreyu Firmin oto czym jest śmierć tym i niczym więcej przebudzeniem ze snu w mrocznym miejscu w którym jak sam widzisz znajdują się środki ucieczki od następnego koszmaru ale decyzja zależy od ciebie nikt cię nie namawia żebyś skorzystał z tych środków ucieczki wszystko zależy od ciebie a żeby wejść w ich posiadanie wystarczy...” — Señora Gregorio — powtórzył, a echo odpowiedziało: „Orio”.

W jednym kącie baru ktoś zaczął kiedyś malować mały fresk, naśladowający wielkie malowidło na ścianach Pałacu, tylko dwie czy trzy obłazące z farby, prymitywne postacie Indian Tlahuica... Teraz rozległ się w głębi za barem odgłos powolnych, szurających kroków; zjawiała się wdowa, niziutka stara kobieta w nieprawdopodobnie długiej i zniszczonej czarnej szeleszczącej sukni. Włosy — Konsul pamiętał, że były siwe — spłukała chyba niedawno henną albo umalowała na rudo, a chociaż z przodu opadały jej nieporządnie, z tyłu nosiła je ściągnięte w sterczący wysoko kok. Twarz, pokryta teraz kropelkami potu, odznaczała się wprost nieprawdopodobną woskową bladością; wydawała się zatroskana, wyniszczona cierpieniem, ale na widok Konsula zmęczone oczy kobiety zabłyśły nadając całej twarzy wyraz jakby kwaśnego rozbawienia, w którym widać też było pewną determinację i znużone oczekiwanie.

—Może mescal — powiedziała tonem
dziwacznym, śpi-
wnym, na pół kpiącym. — Nie może mescal.
— Ale nie ru-
szyła się, żeby przygotować dla Konsula
trunek; powodem
mógł być jego dług, jednakże Konsul usunął
natychmiast
tę przeszkodę kładąc na kontuarze tostona.
Kobieta uśmie-
chnęła się prawie chytrze i podeszła do
beczutki z mesca-
lem.

—*No, tequila, por favor* — powiedział.

—*Un obsequio.*¹ — Podąta mu tequilę. —
Gdzie pan te
raz mieszka?

—Mieszam ciągle na Calle Nicaragua
cincuenta dos —
odpowiedział Konsul z uśmiechem. — Miała
pani na myśli
„mieszka”, *señoro*, me „mieszka”, *con*
permiso.

■— Pamiętaj — zwróciła mu uwagę señora
Gregorio łagodnie, z namysłem — pamiętaj
mój angielski. Cóż, tak to jest — westchnęła
nalewając sobie małą szklaneczkę wina z
baryłki, na której napis kredą głosił:¹
„malaj~ ga”. ■— Za pana miłość. Jakie mamy
nazwiska? — Podsunęła mu talerzyk z solą
poznaczoną grudkami pieprzu barwy
pomarańczowej.

■—■ *Lo mismo.*² — Konsul opróżnił swoją
szklanę. — Geoffrey Firmin.

Señora Gregorio podała mu następną
tequilę; jakiś czas spoglądali na siebie w
milczeniu.

—■ Tak to jest — powtórzyła w końcu,
znowu wzdychając; i w głosie jej było
współczucie dla Konsula. — Tak to jest.
Trzeba się z tym pogodzić. Nie ma na to
rady.

—- Nie. Nie ma na to rady.

— Jakby była pana żona, zapomniałby pan
o wszystko
w tej miłości — powiedziała señora
Gregorio, a Konsul,
zrozumiawszy, że rozmowa została podjęta w
tym miejscu,
w jakim przerwali ją przed kilku
tygodniami, prawdo-
podobnie w punkcie, w którym Ivonne
opuściła go po raz
siódmy tamtego wieczora, nie miał jakoś
ochoty zmie-

niać podstaw wspólnej im obojgu niedoli, na
których opie-

¹Poczęstunek, (hiszp.)

²To samo. (hiszp.)

rały się ich wzajemne stosunki (bo Gregorio rzucił ją przed śmiercią) i wobec tego nie poinformował wdowy, że jego żona wróciła i znajduje się w tej chwili w odległości może nie większej niż pięćdziesiąt stóp. — Jak jedne myśli i drugie myśli są zajęte jednym, nigdy się tego nie traci — dodała ze smutkiem.

— *Si* — powiedział Konsul.

— Tak to jest. Jak pana myśli są zajęte wszystkimi rzeczami, wtedy pan nie traci zmysłu. Pana myśli, pana życie... wszystko w tym jest. Kiedyś, jak byłam młodą dziewczyną, nigdy nie myślałam, że będę tak żyła jak teraz. Marzyłam zawsze ładne marzenia. Ładne sukienki, ładne uczesanie... „Nie ma dla mnie rzeczy, za dobrej teraz”, tak było kiedyś, teatry, wszystko... dzisiaj nie myślę o nic jak tylko o zmartwieniu, zmartwieniu, zmartwieniu. I zmartwienie przychodzi... Tak to jest.

— *Si*, señora Gregorio.

— Naturalnie byłam porządna dziewczyna z porządne go domu — mówiła. — To... — rozejrzała się pogardliwie po małym, mrocznym barze — nie przyszło mi nigdy do głowy. Życie zmienia, wie pan, człowiek nigdy by o tym nie pomieszkał.

— Nie „człowiek by o tym nie pomieszkał”, señora Gregorio, tylko „nie pomyślał”.

— Nie pomieszkał. No cóż — dodała nalewając litr spilytusu dla biednego, beznosego *peona*, który wszedł cicho do *cantiny* i czekał w kącie — porządna dziewczyna między porządnymi ludźmi, a teraz co?

Señora Gregorio podreptała do pokoju za barem, Konsul został sam. Przez kilka minut siedział nie dotykając swojej drugiej dużej tequili. Y/yobrażał sobie, że pije, a jednak nie starczało mu woli, żeby wyciągnąć po nią rękę, jak gdyby to było coś, czego kiedyś długo i w udręce pragnął, ale co — na podobieństwo pełnego po brzegi puchara, który znalazł się nagle poza zasięgiem ręki — straciło nagle całe znaczenie. Pustka *cantiny* i w tej pustce dziwne tykanie, jak tykanie owada, zaczęła mu działać na nerwy;

spojrzał na zegarek; dopiero
siedemnaście po

279

drugiej. A więc stąd dobywało się tykanie. Znowu wyobraził sobie, że wypija tequilę; znowu zabrakło mu woli. W pewnej chwili otworzyły się drzwi wahadłowe, ktoś obrzucił wewnątrz szybkim spojrzeniem, pewnie, żeby coś sprawdzić, i zaraz wyszedł; czy był to Hugh, Jacques? Ktokolwiek to był, zdawał się mieć rysy jednego i drugiego na zmianę. Wszedł ktoś inny i skierował się prosto do pokoju za barem, rzucając na boki ukradkowe spojrzenia, chociaż już w sekundę później Konsul pomyślał, że może nikt nie wchodził. Za tym ostatnim przybyszem wsunęła się do środka zagłodzona beznadziejna suka, wyglądająca tak, jak gdyby ją niedawno odarto ze skóry; spojrzała na Konsula łagodnymi guziczkami oczu. Potem pochyliwszy swoją biedną, wyniszczoną, kościstą pierś, z której zwisały wyschnięte, zaczerwienione sutki, zaczęła kiwać przed nim łbem i drapać łapami. Ach ta inwazja królestwa zwierząt! Przedtem były owady; teraz znowu ogarniają go, zalewają zwierzęta, ci ludzie bez pomysłów w głowach.

— ■ *Dispense usted, por Dios!*^x — wyszeptał do suki, a potem, chcąc jej powiedzieć coś serdecznego, pochylił się i dodał zdanie zasłyszane czy też przeczytane w dzieciństwie czy młodości: — „Bóg widzi, że jesteś naprawdę łagodna i piękna, a ufne myśli, które ci towarzyszą niczym małe, białe ptaszki...”

Konsul wyprostował się nagle i powiedział do suki de-klamatorskim głosem:

— Dzisiaj wszakże, *pichicho*², wstąpisz ze mną do... —
Ale przerażona suka pokuśtykała na trzech łapach do drzwi i czmychnęła przez szparę na ulicę.

Konsul wypił swoją tequilę jednym łykiem i podszedł do kontuaru.

— Señora Gregorio — zawołał; czekał wodząc wzrokiem po *cantine*, której wewnątrz nagle stało się jakby jaśniej sze. I echo odpowiedziało mu: „Orio”... No i proszę, te

— Wybacz, na Boga! (hiszp.)
pięsku (hiszp.)



obłąkane obrazy przedstawiające stado wilków! Zapomniał, że tu wiszą. Wobec zaniedbań autora fresku obrazy, które tak się teraz nagle zmaterializowały — sześć czy siedem znacznych rozmiarów płócien — stanowiły uzupełnienie dekoracji „El Bosque”. Były identyczne w każdym najdrobniejszym szczególe. Na wszystkich to samo stado wilków goniło te same sanie. Wilki ścigały pasażerów sanek przez całą długość baru i — z przerwami — dookoła całego pomieszczenia, chociaż ani sanie, ani wilki nie posunęły się w tym pościgu o cal. Do jakiegoż ognistego Piekła, o tajemnicza bestio? Konsulowi przypomniało się bezsensownie polowanie Rostowa na wilki w *Wojnie i pokoju*... ach, ten nieporównany bal później u starego wuja, świadomość młodości, radość, miłość! Jednocześnie przypomniał sobie, że podobno wilki nigdy nie polują stadami. Tak, doprawdy, jak wiele koncepcji życia opieramy na pokrewnych, błędnych założeniach, ileż wilków czujemy za sobą w pościgu, podczas gdy prawdziwi wrogowie przechodzą obok nas w owczych skórach? — Señoro Gregorio — powtórzył i zobaczył, że wdowa wraca powłócząc nogami, chociaż może już za późno, może nie będzie już czasu na jeszcze jedną tequilę.

Wyciągnął do niej rękę, opuścił... mój Boże, co się z nim dzieje? Przez sekundę zdawało mu się, że spogląda na własną matkę. A teraz walczył ze łzami, z pragnieniem, żeby objąć señorę Gregorio, żeby płakać jak dziecko, ukryć twarz na jej piersi. — *Adios* — powiedział, a widząc, że mimo wszystko tequila stoi na kontuarze, wychylił szybko zawartość szklanki.

Señora Gregorio ujęła jego dłoń, przytrzymała ją.

■— Życie zmienia, pan wie — wpatrzyła się w niego badawczo. — Człowiek by nigdy o tym nie pomieszkał. Myślę, że ja niedługo zobaczę pana i pana *esposa* razem. Zobaczę, jak mieszacie razem w jakieś ładne miejsce. — Uśmiechnęła się. — Daleko. W jakieś ładne miejsce, gdzie wszystkie zmartwienia, jakie pan ma teraz będą... •— Konsul drgnął; o czym mówi señora Gregorio? — *Adios* — dodała po hiszpańsku. — Nie mam domu, mam tylko cień.

Ale jeżeli kiedykolwiek zatęskni pan za cieniem, mój cień będzie czekał na pana.

—Dziękuję.

—Prosię.

—• Nie „prosię”, señora Gregorio, proszę.

—Prosię.

Droga wydawała się wolna, jednakże gdy Konsul pchnął ostrożnie drzwi żaluzjowe, o mało co nie wpadł na doktora Vigila. Wyświeżony i nienaganny w białym stroju tenisowym szedł szybko w towarzystwie pana Quinceya i señora Bustamente, kierownika miejscowego kina. Konsul zrobił krok do tyłu, bał się teraz Vigila, bał się Quinceya, bał się, że go zobaczą, jak wychodzi z *cantiny*, ale widocznie go nie spostrzegli, gdy szli wymijając autobus do Tomalin, który właśnie zajechał, gdy szli poruszając łokciami jak dżokeje i mówili bez ustanku. Konsul podejrzewał, że rozmawiają wyłącznie o nim: jak go ratować, ile wypił wczoraj w nocy na *Gran Baile*? Tak, szli w kierunku „Bella Vista”, żeby zdobyć o nim kilka dodatkowych „opinii”. Mignęli mu jeszcze raz czy dwa, zniknęli.

Es inevitable la muerte del Papa.

W dół zbrocza...

— Spuść sprzęgło, naciśnij gaz. — Szofer uśmiechnął się do nich przez ramię. — Jasne, chłopie — ciągnął na ich cześć irlandzko-amerykańskim akcentem.

Autobus, chevrolet rocznik 1918, szarpnął do przodu z piskiem jak pisk przestraszonego drobiu. Nie byłby pefen, gdyby nie Konsul, który rozparł się wygodnie, w dobrym nastroju, pijano-trzeźwo-wewnętrznie-swobodny; Ivonne siedziała neutralna, ale uśmiechnęta; ruszyli jakoś. Nie było wiatru, jednakże ulicą szedł podmuch tarmoszący płóciennymi markizami nad wejściem do sklepów. Wkrótce toczyli się po wzburzonym morzu bezładnie rozrzuconych kamieni. Minęli wysokie ośmiokątne słupy ogłoszeniowe oblepione afiszami reklamującymi kino Ivonne: *Las Manos de Orlac*. Na innych afiszach tego samego filmu były ręce mordercy przystrojone strużkami krwi.

Autobus posuwał się wolno, przejechał obok *Baños de la Libertad*, obok *Casa Brandes (La Primera en el Ramo de Electricidad)*¹ obudowany budą buczący intruz na wąskich, krzywych uliczkach. Na targu zatrzymali się, wsiadła gromadka indiańskich kobiet z koszami pełnymi żywego drobiu. Wyraziste twarze kobiet miały barwę ciemnych glinianych garnczków. Gdy Indianki sadowiły się na swoich miejscach, w ich ruchach było coś masywnego. Dwie czy trzy miały umieszczone za uszami niedopałki papierosów, jedna pała fajkę. Ich dobrotliwe twarze sta-

¹Firma Brandes, najlepszy sklep elektryczny, (hiszp.)

rych indiańskich bożków były pomarszczone od słońca, ale nie uśmiechnięte.

— Patrzcie! O.K.? — zwrócił się szofer do Hugh'a i Ivonne, którzy zmieniali właśnie miejsca; wyjął zza koszuli, gdzie tuliły się wygodnie, dwa piękne, oswojone gołębie, dwóch tajnych, małych ambasadorów pokoju, miłości. — Moje... ach ... moje podniebne gołąbki.

Hugh i Ivonne czuli się w obowiązku podrapać ptaki po łebkach; gołębie przeżyły dumnie grzbiety, ich pióra lśniły jakby pokryte świeżą warstwą białej farby. (Czy to możliwe, że szofer wiedział, jak wiedział Hugh, któremu wystarczyło rzucić okiem na tytuły ostatnich gazet, o ile bliżej, z każdą chwilą bliżej teraz, wisiła nad lojalistami klęska przegranej bitwy o Ebro i że całkowite wycofanie się Modesto jest już tylko kwestią dni?) Szofer umieścił gołębie pod białą, rozpiętą koszulą. — Żeby im było ciepło. Jasne, chłopie. A jakże, *mister* — wyjaśnił im. — *Vdmanos*.

Ktoś wybuchnął śmiechem, gdy autobus szarpnął do przodu; twarze reszty pasażerów powoli zmarszczyły się w fałdach wesołości, autobus połączył stare kobiety w jedną małą społeczność. Zegar nad bramą targowiska, podobnie jak zegar w poemacie Roberta Brooke'a, wskazywał trzecią za dziesięć; ale była trzecia za dwadzieścia. Dygocąc i podrygując dotarli na główną ulicę, Avenida de la Revolución, przejechali obok budynków biurowych, których okna obwieszczały im — podczas gdy Konsul kiwał głową potępiająco — nazwisko doktora Diaz Vigil, *Medico Cirujano y Partero*, przejechali obok samego kina... Stare kobiety też zdawały się nie wiedzieć nic o bitwie nad Ebro. Mimo skrzypienia i trzeszczenia cierpliwych desek w podłodze rozmawiały namiętnie o cenach ryb. Przyzwyczajone do turystów nie zwracały na nich uwagi. Hugh powiedział do Konsula: x— Jak tam super-trzęsiączka?

Inhumaciones: Konsul, śmiejąc się i pociągając za ucho, wskazał w odpowiedzi na zakład pogrzebowy, obok którego przejeżdżali i gdzie papuga, z łebkiem zadartym wy-

soko, spoglądała w dół ze swojego drążka w drzwiach; napis umieszczony nad drzwiami pytał:

Quo Vadis?

Dokąd? Otóż chwilowo toczyli się w żółtym tempie przez leżący na uboczu skwer, na którym rosły stare drzewa

O liściach delikatnych w swojej świeżej jakby wiosennej zieloności. W ogrodzie pod drzewami były gołębie i mała czarna koza. *¡Le gusta este jardín, que es swyo? ¡Evite que sus hijos lo destruyan!* Lubisz ten ogród, pytała tablica, który należy do ciebie? Pilnuj, żeby go nie niszczyły twoje dzieci!

... Ale w ogrodzie nie było dzieci; był tylko samotny mężczyzna siedzący na kamiennej ławce, najwidoczniej diabeł we własnej osobie, bo miał ogromną, ciemnoczerwoną twarz, rogi, sterczące kły, jęzor wywalony na brodę i w rysach wyraz złości zmieszanej z lubieżnością

1 przestraszem. Diabeł podniósł maskę, splunął, wstał i powędrował przez ogród tanecznym, skocznym krokiem w kierunku kościoła ledwie widocznego zza drzew. Sły chać było teraz szczęk długich meksykańskich noży. Tańczono tańce ludowe za rzędem namiotów obok kościoła, na którego stopniach dwoje Amerykanów, których Ivonne i Hugh spotkali przedtem w mieście, stało na palcach i przyglądało się wyciągając szyje.

— ■ Mówię poważnie — zwrócił się ponownie Hugh do Konsula, który bardzo spokojnie przyjął obecność diabła. Hugh i Ivonne wymienili pełne żalu spojrzenie, bo nie ■ widzieli tańców na *zocalo*, a teraz było za późno, żeby wysiąść.

— *Quod semper, quod ubique, quod ab omnibus.* * U stóp wzgórza przejechali przez most nad rozpadliną. *Barranca* w tym miejscu była przerażająca. Z autobusu patrzyło się prosto w dół jak ze szczytu grotmasztu żaglowca, poprzez gęstwinę listowia, które nie maskowało bynajmniej zdradliwości przerażającej stromizny; urwiste

¹ Który zawsze, który wszędzie,
który od wszystkich — dewiza
Kościoła katolickiego.

brzezi zastane były śmieciami i odpadkami, które wisiały nawet zaczepione na krzakach. Obróciwszy się Hugh zobaczył na samym dnie zdechłego psa z nosem zarytym w nieczystościach, białe gnaty sterczały z kadłuba. Ale u góry było błękitne niebo i Ivonne wydawała się szczęśliwa, gdy wjeżdżając na następne wzgórze zobaczyli nagle przed sobą Popocatepetl, górujący przez chwilę nad krajobrazem; potem zniknął, gdy objechali zakręt. Droga przez wzgórze była długa i kręta. W połowie stoku, przed jaskrawo udekorowaną tawerną, stał mężczyzna w niebieskim ubraniu i dziwnym nakryciu głowy, stał kołysząc się lekko na nogach i jedząc połówkę melona, czekał na autobus. Z wnętrza tawerny, która nazywała się „El Amor de los Amores”¹, przytłynął ku nim śpiew. Hugh zdążył zauważyć pijących przy barze mężczyzn, którzy wyglądali na uzbrojonych policjantów. Autobus wszedł w poślizg, zarzucił i zahamował gwałtownie tuż przy chodniku.

Szofer zostawił pizechylony autobus na chodzie i sam wbiegł do tawerny; tymczasem mężczyzna z melonem wsiadł do środka. Szofer wrócił po chwili, wskoczył na swoje miejsce i niemal jednocześnie włączył bieg. A potem, rzuciwszy rozbawione spojrzenie na mężczyznę z melonem i zerknąwszy na swoje ufne gołębie, przynaglił autobus do podjęcia dalszej drogi w górę stoku.

■— Jasne, chłopie, jasne. O.K.

Konsul wskazywał na pozostałą w tyle tawernę „El Amor de los Amores”.

—Viva Franco... oto jedna z faszystowskich melin, Hugh.

—Co ty powiesz?

—Ten typ to zdaje się brat właściciela. I mogę ci po wiedzieć jedno... nie jest takim znowu podniebnym go łąbkiem.

—Nie jest czym?... Och.

—Nie uwierzyłybyś, ale to Hiszpan.

i „Miłość nad miłościami” (hiszp.)

ławki w autobusie umieszczone były wzdłuż wozu i Hugh spojrzął na siedzącego naprzeciwko mężczyznę w niebieskim ubraniu, który początkowo mamrotał coś do siebie pod nosem, teraz zaś — pijany, oszołomiony narkotykami, czy też jedno i drugie — zapadł jakby w odrętwienie. Nikt mu się nie naprzykrzał, bo w autobusie nie było konduktora, widocznie opłatę za przejazd należało wręczyć szoferowi przy wychodzeniu z wozu. Mężczyzna rysy miał rzeczywiście hiszpańskie, orli wydatny nos i mocno zarysowany podbródek. Jego dłonie — w jednej ścisnął wciąż nadgryzioną połówkę melona — były duże, silne i drapieżne. Ręce konkwistadora, pomyślał nagłb Hugh. Ale ogólnie rzecz biorąc, jego wygląd przywodził na myśl nie tyle konkwistadora, ile (była to, może, nazbyt zgrabnie obmyślona koncepcja Hugh'a) rozkład, któremu po jakimś czasie podlegają konkwistadorzy. Jego niebieskie ubranie miało doskonały krój, marynarka, odpięta teraz, była lekko wcięta w pasie. Hugh zauważył nogawki spodni o szerokich mankietach opadające na kosztowne buty. Ale buty, wyczyszczone rano, teraz jednak brudne od trocin wyścietających podłogę tawerny, były dziurawe. Mężczyzna nie nosił krawata. W wycięciu jego ładnej, czerwonej koszuli, odpiętej pod szyją, połyskiwał złoty krzyżyk. Koszula była podarta i miejscami wysuwała mu się ze spodni. I z niewiadomych powodów miał na głowie dwa kapelusze: tani melonik nasadzony na duże sombrero.

—Jak to Hiszpan? — spytał Hugh.

—Przyjechali tu po wojnie marokańskiej — wyjaśnił Konsul. — Ten jest *pelado* — dorzucił uśmiechając się.

Uśmiech nawiązywał do sprzeczki, którą w swoim czasie prowadzili na temat tego słowa z Hughiem, bo Hugh spotkał się kiedyś z definicją *pelado* jako bosonogiego analfabety. Konsul utrzymywał, że jest to tylko jedno ze znaczeń. *Pelado* byli istotnie ludźmi, z których „zdarto skórę”, których „ogółono”, ale jednocześnie takimi, którzy bynajmniej nie muszą być bogaci, żeby żerować na Prawdziwych biedakach. Na przykład wszyscy ci półkrwi Podrzedni politycy, ludzie gotowi zrobić wszystko — od

czyszczenia butów do występowania w charakterze osobników, którzy bynajmniej nie są „podniebnymi gołąbkami” — byle tylko dorwać się do władzy na przeciąg jednego roku, po którym to terminie mają nadzieję odłożyć sobie dosyć, żeby nie pracować do końca życia. Hugh zrozumiał wreszcie, że słowo to jest mocno dwuznaczne. Powiedzmy Hiszpan mógł go używać dla oznaczenia Indianina, Indianina, którym gardził, którego wyzyskiwał, rozpijał. Natomiast Indianin mógł z równym powodzeniem określać nim Hiszpana. Jeden i drugi mógł określać tym słowem każdego, kto robił z siebie widowisko. Być może było to jedno z tych słów, wyprodukowanych przez podbój, które sugerują z jednej strony złodzieja, z drugiej wyzyskiwacza. Obustronne jest ostrze obelg najeźdźcy skierowane przeciw tym, których ma zamiar ujarzmić.

Gdy zostawili wzgórze za sobą, autobus zatrzymał się naprzeciwko alei ozdobionej fontannami, która prowadziła do hotelu „Casino de la Selva”. Hugh zobaczył z daleka korty tenisowe i na jednym poruszające się białą postacią; oczy Konsula wskazały: doktor Vigil i Laruelle. Laruelle, jeżeli to był on, podrzucił piłkę wysoko, ściał przy serwie, ale Vigil nie podnosząc rakiety przeszedł na drugą stronę siatki.

W tym miejscu naprawdę zaczynała się autostrada amerykańska; uradował ich ten krótki odcinek dobrej drogi. Autobus przejeżdżał teraz obok sennej stacji: sygnały podniesione, zwrotnice zablokowane we śnie.

Stacja była zamknięta jak książka. Na bocznicę drzemały pulmany o niezwykłym wyglądzie. Przy rampie odpoczywały cysterny z ropą Pearce'a. Tylko ich srebrzysty połysk nie spał, bawił się w chowanego wśród drzew. I na tym samotnym peronie dziś wieczór on, Hugh, będzie stał ze swoim węzełkiem pielgrzyma.

QUAUHNAHUAC

— Jak się czujesz? — spytał nachylając się do Ivonne
(ileż więcej kryło się za tym pytaniem!).
— Cudownie ...

Hugh jak dziecko pragnął, żeby na wycieczce wszyscy byli szczęśliwi. Pragnąłby, żeby byli szczęśliwi, nawet gdyby jechali na cmentarz. Ale Hugh czuł się przede wszystkim tak, jak gdyby wzmocniony kwartą piwa jechał „a ważne międzyszkolne zawody, w ostatniej chwili dołączony do reprezentacyjnej piętastki: kiedy strach przed obcym boiskiem, przed bielszymi i wyższymi słupkami bramek wyraża się w dziwnym uczuciu egzaltacji, w nieodpartym pragnieniu mówienia. Minęła mu już południowa ociężałość; jednakże nagie fakty składające się na sytuację, jak szprychy wirującego koła zacierały się w swoim pędzie ku nierealnym, wzniosłym wydarzeniom. Ta wycieczka zdawała mu się teraz czymś najlepszym, co mogli wymyślić. Nawet Konsul był chyba w dobrym humorze. Ale wkrótce rozmowa między nimi stała się znów niemożliwa; autostrada amerykańska odplynęła od nich w dal.

Zjechali z niej raptownie, murki z nieociosanego kamienia zastoniły im widok. A teraz trzęśli się po nierównej drodze między żywopłotami pełnymi dzikich kwiatów o intensywnie szafirowych kielichach. Prawdopodobnie jeszcze jedna odmiana powoju. Zielone i białe odzienie wisało na łąkach kukurydzy przed niskimi domami

Odachach porośniętych trawą. Tutaj szafirowe dzwonki pięły się prosto na drzewa, obsypane już śnieżnym puchem kwiatów.

Po ich prawej, za murem znacznie teraz wyższym, rozpościerał się ich las z dzisiejszego ranka. A tu, obwieszczona zapachem piwa, była sama „Cerveceria Quauhna-huac”. Ivonne i Hugh wymienili za plecami Konsula spojrzenia, które wyrażały otuchę i przyjaźń. Masywna brama była wciąż otwarta. Ach, jakże szybko ją minęli! Hugh zdążył jeszcze dostrzec szerniaste, pokryte liśćmi stoliki

1 w oddali zasypaną fontannę. Dziewczynki z armadylem nie było na podwórzu, ale mężczyzna w czapce z daszkiem, przypominający gajowego, stał z założonymi do tyłu rękami i obserwował ich. Wzdłuż muru kołysały się łagodnie cyprysy pogodzone z przydrożnym kurzem.

Za przejazdem kolejowym droga do Tomalin poprawiła się trochę. Łagodny wietrzyk wpadał dobroczynnie przez otwarte okna do wnętrza rozgrzanego autobusu. Równinę po ich prawej przecinała serpentynami nie kończąca się wąskotorowa linia kolejowa, wzdłuż której — chociaż było dwadzieścia jeden innych ścieżek! — wracali do domu ramię przy ramieniu. A tu oto są słupy telegraficzne, które raz na zawsze postanowiły, że nie skręcą w lewo, i teraz maszerują wciąż przed siebie... Na placu w mieście też cały czas mówili o Konsulu. Co za ulga i co za radosna ulga dla Ivonne, że przyszedł mimo wszystko na postój autobusów!... Ale nagle droga znowu się pogorszyła i nie sposób było teraz myśleć, mówić...

Jechali przez coraz dzikszą okolicę. Wyłonił się przed nimi Popocatepetl — zjawa zataczająca krąg i już od nich odpywająca, która jednak nęciła ich do siebie. Pojawiła się też znów na widowni rozpadlina, cierpliwie petzła za nimi w oddali. Autobus zapadł się w dziurę z ogłuszającym trzaskiem i wstrząsem, od którego serce podeszło Hughowi pod gardło. A potem zapadał się w następne, coraz głębsze dziury.

— To zupełnie jak jazda po powierzchni księżycy — usiłował powiedzieć do Ivonne.

Nie usłyszała... Zauważył nowe, cieniutkie linijki wokół jej ust, wyraz jakby znużenia, którego nie miała w Paryżu. Biedna Ivonne. Oby była szczęśliwa. Oby wszystko jakoś się szczęśliwie ułożyło. Obyśmy wszyscy byli szczęśliwi. Niech nas Bóg ma w swojej opiece. Hugh zastanawiał się teraz, czy powinien może wyjąć z wewnętrznej kieszeni kurtki małą buteleczkę habanero, którą kupił na wszelki wypadek na placu, i otwarcie zaproponować Konsulowi, żeby się napił. Ale Konsulowi nie był jeszcze chyba potrzebny alkohol. Lekki, spokojny uśmiech błąkał się wokół jego warg, które od czasu do czasu poruszały się nieznacznie, jak gdyby mimo ogłuszającego hałasu, mimo chwłania się i podskakiwania, mimo że podrzucani w górę wpadali na siebie bezustannie, rozwiązywał problem szachowy albo recytował coś półgłosem.

Potem mknęli z szumem po dobrym odcinku smołowanej drogi przez płaską, zalesioną okolicę, gdzie nie było widać ani wulkanu, ani rozpadliny. Ivonne siedziała teraz bokiem i odbicie jej czystego profilu na szybie płynęło wraz z nimi. Równomierniejszy hałas motoru wplótł w myśli Hugh'a idiotyczny sylogizm: Tracę bitwę o Ebro i tracę Ivonne, a więc Ivonne jest...

Autobus zapełnił się trochę. Prócz starych kobiet i *pe-lado* byli teraz w wozie mężczyźni ubrani odświętnie w białe spodnie i fioletowe koszule, a także kilka młodszych kobiet w żałobie, udających się zapewne na cmentarze. Drób przedstawiał żalosny widok. Wszystkie ptaki poddały się swojemu losowi — kury, koguty, indyki czy to w koszach, czy wciąż na swobodzie. Spętane postronkami przycupnęły biernie pod długą ławką, z rzadka tylko dając znać trzepotem skrzydeł, że jeszcze żyją. Dwie kurki, przerażone i drżące, leżały pomiędzy sprzęgiem a ręcznym hamulcem, ich skrzydła splątały się z lewarkiem biegów. Biedactwa, one też podpisały swój układ monachijski! Jeden indyk był nawet uderzająco podobny do Neville'a Chamberlaina. *Su salud estard a salvo no escu-piendo en el interior de este vehiculo*^x — te słowa nad przednią szybą biegły przez całą szerokość autobusu. Myśli Hugh'a skupiały się kolejno na poszczególnych przedmiotach we wnętrzu wozu: małe lustro szofera z napisem dokoła: *Cooperación de la Cruz Roja*², trzy pocztówki z Najświętszą Panną przypięte obok, dwa smukłe wazoniki z margerytkami nad deską rozdzielczą, zgangreno-wana gaśnica, drelichowa robocza kurtka i miotełka pod miejscem, na którym siedział *pelado*... Hugh obserwował go, gdy wyjechali znów na złą drogę.

Chwiejąc się na boki mężczyzna, który oczy miał zamknięte, usiłował wepchnąć koszulę w spodnie. Teraz bardzo systematycznie zapinał marynarkę, niewłaściwe guziki wsuwał w niewłaściwe dziurki. Ale Hugh'a uderzyła

¹Ochronisz swoje zdrowie, jeżeli me
będziesz pluł w tym po
jeździe, (hiszp.)

2 Współpraca Czerwonego Krzyża
(hiszp.)

myśl, że wszystko to było jedynie przygotowaniem, czymś w rodzaju groteskowej toalety. Bo nie otwierając oczu mężczyzna znalazł jakoś miejsce i wyciągnął się jak długi na siedzeniu. Rzecz zdumiewająca, chociaż leżał bezwładnie jak trup, zachował jednak wygląd człowieka, który wie, co się wokół niego dzieje. Mimo otępienia miał się cały czas na baczności. Połówka melona wypadła mu z ręki, nadgryziony kawałek pestek przypominających rodzyнки spadł na siedzenie; zamknięte oczy widziały to. Krzyżyk wysunął mu się zza koszuli; wiedział o tyrn. Melonik ześliznął się z sombrera, spadł na podłogę, mężczyzna wiedział o tym, chociaż nie próbował podnieść kapelusza. Miał się na baczności przed kradzieżą, a jednocześnie zbierał siły do dalszej hulanki. Po to, żeby go wpuszczono do następnej *cantiny*, nie należącej do jego brata, będzie musiał iść równym krokiem. Taka przezorność była godna podziwu.

Nic, tylko sosny, szyszki i czarna ziemia. Jednakże ta ziemia wydawała się spieczona, te kamienie były na pewno pochodzenia wulkanicznego. Na każdym kroku, jak informowało go dzieło Precotta, spotyka się w Meksyku dowody istnienia i starożytności Popocatepetla. I znowu wylazło to przekłete paskudztwo! Co powoduje wybuchy wulkanów? Ludzie udają, że me wiedzą. Wulkany wybuchają, ponieważ (mogą ludzie ewentualnie wyjaśnić na próbę) pod skałami, pod powierzchnią ziemi wytwarza się para, której ciśnienie stopniowo wzrasta; ponieważ skały i woda rozkładając się tworzą gazy, które łączą się z płynną materią pod spodem; ponieważ osłabione wodą skały bliżej powierzchni nie są zdolne wytrzymać tego wzrastającego, zespołowego ciśnienia i w końcu cała ta potężna masa eksploduje; lawa wypływa, gazy się wydostają — oto wybuch... Wybuch owszem, ale nie wytłumaczenie wybuchu. Nie, wszystko to jest dotąd absolutną tajemnicą. Na filmach przedstawiających wybuchy wulkanów widać zawsze ludzi, którzy stoją zachwyceni pośrodku tego wszystko ogarniającego zalewu. Ściany wał się, kościoły rozsypują w gruzy, całe rodziny wywożą w panice swój do-

bytek, ale zawsze są ci ludzie, którzy paląc papierosy przeskakują z wysepki na wysepkę pomiędzy strumieniami wrzącej la"wy...

Chryste! Nie orientował się, jak szybko jadą — mimo strasznej drogi i mimo że ich wóz jest chevroletem rocznik 19] 8 — ale wydało mu się, że właśnie dlatego we wnętrzu autobusu zapanowała zupełnie inna atmosfera; mężczyźni uśmiechali się, stare kobiety plotkowały z ożywieniem, chichotliwie; dwaj młodzi chłopcy, nowi przybysze stojący w tyle wozu i trzymający się powietrza, pogwizdywali wesoło — barwne koszule, jeszcze barwniejsze serpentyny biletów: czerwonych, zielonych, żółtych, niebieskich, zwisające z uchwytu pod sufitem, wszystko to składało się na nastrój wesołości, niemal nastrój fiesty, którego tu przedtem nie było.

Ale chłopcy wysiadali jeden po drugim i wesołość, krótkotrwała jak błysk słońca zza chmury, odeszła wraz z nimi. Za oknem przesunęły się ogromne kaktusy o groźnym, dzikim wyglądzie, dalej zrujnowany kościół cały zarośnięty powojem, o oknach okolonych brodami traw. Spalony, może w czasie rewolucji, mury miał szerniać od ognia i sprawiać wrażenie świątyni, nad która zawisło przekleństwo.

„... «Przyszedł czas, w którym powinieneś przyłączyć się do swoich towarzyszy, żeby pomóc robotnikom* — powiedział do Chrystusa, który przyznał mu słuszność. Było to od dawna Jego zamiarem, ale dopóki Hugh Go nie uwolnił, ci obłudnicy trzymali Go zamkniętego w tym płonącym kościele, gdzie me miał czym oddychać. Hugh wygłaszał przemówienie. Stalin dał mu order i przysłuchiwał się z sympatią, gdy Hugh wyjaśniał, co mu leży na sercu. «To prawda ... nie zdążyłem na czas, żeby uratować bitwę o Ebro, ale zadałem mój cios»... Odszedł z gwiazdą Lenina w klapie, z dyplomem w kieszeni; bohater Republiki Radzieckiej i bohater Prawdziwego Kościoła. Serce wypełniała mu duma i miłość."

Z bocznej drogi wyłoniła się cała procesja autobusów ° dziwacznych nazwach miejsc przeznaczenia, mijały ich

jadąc w przeciwnym kierunku: do Tetecala, Jujuta, Xuite-pec, do Xochitepec, Xoxitepec...

Popocatepetl majaczył po prawej, piramidalny; z jednej strony pięknie zaokrąglony jak pierś kobieca, z drugiej urwisty, poszarpany, dziki. Strzępy chmur pęczniały i narastały za nim.

... Ukazał się Ixtaccihuatl. Xiutepecanochtitlantehuante-pec, Quintanaruru, Tlacolula, Moctezuma, Juarez, Puebla, Tlampam — trrrach! — warknął nagle autobus. Mknęli naprzód z łoskotem, minęli gromadkę prosiaków drepcących brzegiem drogi, Indianina przesypującego piasek, tysego chłopinę ze złotymi kolczykami w uszach, który drapał się sennie po brzuchu, ale jednocześnie huśtał się wściekle na hamaku. 'Migały ogłoszenia na zrujnowanych murach. *Atchis! Instante! Resfriados, Dolores, Cafeaspe-rina. Rechace Imitaciones. Las Manos de Orlac. Con Peter Lorre.*

Na najgorszych odcinkach autobus podskakiwał i zarzucał groźnie, raz w iogóle zjechał z drogi. Ale jego determinacja pozwalała zapomnieć o tych wszystkich potknięciach, w końcu z zadowoleniem można było powierzyć autobusowi swój los, dać się ukołysać, zapaść w stan, z którego przebudzenie będzie bolesne.

Z obu stron mieli teraz żywoptoty nad niskimi, stromymi rowami, w których rosły zakurzone drzewa. Nie zmniejszając szybkości wypadli na wąski, nisko położony odcinek drogi, krętej i tak bardzo przywodzącej na myśl Anglię, że czekało się w każdej chwili na tablicę z napisem: Droga Publiczna do Lostwithjel. *iDesuición! Hombres Trabajando!*

Ze zgrzytem hamulców i piskiem opon wzięli zbyt szybko zakręt w lewo. Ale Hugh zdążył zobaczyć człowieka, którego o mało co nie przejechali, a który leżał pogrążony chyba w głębokim śnie pod żywoptotem z prawej strony szosy.

Ani Geoffrey, ani Ivonne nie zauważyli go, spoglądali

—» Objazd, roboty drogowe, (hiszp.)

294

sennie przez okno po przeciwnej stronie wozu. Nikomu też nie wydało się to dziwne (jeżeli naturalnie spostrzegł go ktoś poza Hughem), że człowiek ten wybrał sobie na drzemkę w słońcu tak niebezpieczne miejsce na szosie.

Hugh wychylił się, żeby zawołać, zawahał się i dotknął ręką pleców szofera; niemal jednocześnie autobus stanął.

Szybko manipulując terkoczącą maszyną, trzymając jedną rękę na kierownicy i wychylając się ze swojego miejsca, żeby obserwować narożniki za sobą i przed sobą, szofer wyjechał tyłem na wąską szosę.

Miły, ostry zapach spalin mieszał się teraz z gorącym zapachem smoły płynącym do nich od strony miejsc naprawy na szosie, która rozszerzała się dalej, oddzielona od żywopłotów szerokimi, trawiastymi pobrażkami; ale nie było tam widać nikogo, robotnicy przerwali, zapewne, pracę przed kilku godzinami i nie było widać nic prócz miękkiej asfaltowej nawierzchni barwy indygo, która iskrzyła się i pociła samotnie w gorącym słońcu.

Ukazał się teraz ich oczom stojący samotnie jak gdyby na śmietniku, tam gdzie kończyło się trawiaste pobraże naprzeciwko bocznej drogi, kamienny przydrożny krzyż. U jego stóp leżała butelka na mleko, kawałek rury od piecyka, skarpetka, część walizki.

I teraz, trochę dalej na szosie, Hugh zobaczył znów mężczyznę. Leżał spokojnie na plecach, twarz miał zasłoniętą kapeluszem, ręce wyciągnięte w kierunku przydrożnego krzyża, w którego cieniu, w odległości zaledwie dwudziestu kroków, mógł znaleźć trawiaste postanie. Obok stał koń potulnie obskubując żywopłot.

Gdy autobus znieruchomiał z ponownym szarpnięciem, *pelado*, który wciąż leżał wyciągnięty na ławce, o mało co nie zsunął się na podłogę. Ocknął się jednak i nie tylko wstał i złapał równowagę, którą, rzecz zdumiewająca, zdołał utrzymać, ale co więcej, wykonawszy jeden silny ruch w kierunku przeciwnym do kierunku jazdy znalazł się wpół drogi od drzwi — z krzyżykiem bezpiecznie wsuniętym za koszulę, kapeluszami w jednej, a resztką melonu w drugiej ręce. Rzuciwszy spojrzenie, które mo-

gło unicestwić w samym zarodku wszelką myśl o kradzieży, umieścić starannie kapelusze na wolnym miejscu obok drzwi, a potem z przesadną ostrożnością wysiadł z atito-busu. Powieki miał nadal do połowy opuszczone i na oczach to samo martwe szkliwo. A jednak nikt by nie mógł wątpić, że ogarnął już sytuację. Rzucił połówkę melona w krzaki i skierował się ku leżącemu, stawiając nogi ostrożnie, jak gdyby miał przed sobą urojone przeszkody. Ale szedł krokiem równym i trzymał się prosto.

Hugh, Ivonne, Konsul i dwaj pasażerowie wysiedli i poszli za nim. Ani jedna stara kobieta nie ruszyła się z miejsca.

Na szosie, opustoszałej, biegnącej poniżej poziomu gruntów, panował duszny upał. Z ust Ivonne wyrwał się cichy okrzyk, zawróciła na pięcie. Hugh chwycił ją za ramię.

— Nie zwracajcie na mnie uwagi. Wiem, że to idiotyzm, ale po prostu nie mogę znieść widoku krwi...

Wsiadała z powrotem do autobusu, gdy Hugh z Konsulem i dwoma pasażerami zbliżali się do miejsca.

Pelado chwiał się lekko nad leżącym mężczyzną, który miał na sobie luźną białą szatę, jaką zwykle noszą Indianie.

Ale nie było dużo krwi, tylko plama z jednej strony na kapeluszu.

W każdym razie jedno było pewne: mężczyzna nie spał spokojnie. Klatka piersiowa falowała mu w oddechu śmiertelnie znużonego pływaka, żołądek kurczył się i wydymał szybko, palce jednej dłoni zwierzały się i rozwierały w kurzu drogi...

Hugh i Konsul stali bezradnie, każdy z nich, pomyślał Hugh, czeka, żeby drugi zdjął Indianinowi kapelusz, żeby pokazać oczom drugiego ranę, która — obaj to czuli — musi tam być ukryta; a jednak powstrzymywała ich przed tym aktem wspólna niechęć, może uświadamiany sobie niejasno gest kurtuazji. Bo obaj uważali, odgadując wzajemnie swoje myśli, że byłoby lepiej, gdyby zrobił to któryś z pasażerów, chociażby *pelado*.

Gdy nikt się nie ruszał, Hugh stracił cierpliwość.
Prze-

sunął ciężar ciała z nogi na nogę. Spojrzał pytająco na Konsula: mieszka tak długo w tym kraju, że chyba wie, jak należy postąpić, a co więcej, jest tu jedynym chyba przedstawicielem władzy. Ale Konsul był zgubiony w myślach. Nagle, impulsywnie, Hugh zrobił krok naprzód i pochylił się nad Indianinem; w tym momencie jeden z pasażerów pociągnął go za rękaw.

—A papieros, co? — spytał.

—Wyrzuć papierosa — obudził się Konsul. — Przepisy o ochronie lasów.

—*Si*, nie wolno.

Hugh przydeptał butem papierosa i miał znowu pochylić się nad Indianinem, gdy pasażer znowu pociągnął go za rękaw.

—Nie, nie — powiedziano, uderzając się palcem po no sie. — Zabronili, *tambien*¹.

—Nie wolno ci go dotykać, taki jest przepis — rzucił ostro Konsul, który wyglądał teraz tak, jak gdyby pragnął za wszelką cenę oddalić się możliwie najszybciej od tego miejsca, w razie konieczności nawet na grzbiecie stojącego obok konia. — W jego własnym interesie. Całkiem rozsądne prawo. Inaczej mógłbyś się stać czymś w rodzaju współnika przestępstwa.

Oddech Indianina przypominał szmer fal morskich cofających się po kamienistej plaży.

Samotny ptak przeleciał nad nimi bardzo wysoko.

—Przecież ten człowiek może umie... — wyszeptał Hugh do Konsula.

—Chryste, czuję się okropnie — powiedział Konsul, chociaż, prawdę mówiąc, zdecydował się właśnie na działanie, w czym uprzedził go jednak *pelado*; przyklęknął na jedno kolano i ruchem błyskawicznym zdjął Indianinowi kapelusz z twarzy.

Pochylili się nad nim wszyscy, zobaczyli straszliwą ranę na skroni, na której krew prawie już zakrzepła, zobaczyli rozgorączkowaną twarz odwróconą do nich bokiem, ozdo-

¹ również (hiszp.)

bioną wąsami, a zanim się wyprostowali, Hugh dostrzegł kupkę pieniędzy, cztery czy pięć srebrnych pesos i garść centavos, wsuniętą starannie pod szeroki kołnierz bluzy, który częściowo je zasłaniał. *Pelado* umieścił kapelusz z powrotem na twarzy Indianina i wyprostowawszy się machnął beznadziejnie rękami, umazanymi teraz na pół zakrzepłą krwią.

Jak długo leży tu na szosie?

Hugh odprowadzał wzrokiem *pelado*, gdy ten wracał do autobusu, a potem spojrzął znów na Indianina, którego życie zdawało się uciekać od nich wszystkich, kiedy stali obok i rozmawiali. — *Diantre! Dónde buscamos un me-dico?*¹ — spytał głupio.

Pelado, tym razem już z autobusu, powtórzył swój gest wyrażający beznadziejność, który jednocześnie był gestem współczucia: co oni poradzą, zdawał się im tłumaczyć przez szybę, skąd mogli wiedzieć, kiedy wysiadali z autobusu, że tu już nic nie można poradzić?

— Swoją drogą, zsuń mu trochę kapelusz, będzie miał więcej powietrza — powiedział Konsul głosem, który zdradzał drżenie języka. Hugh wykonał polecenie i jednocześnie tak szybko, że nie zdążył zauważyć powtórnie pieniędzy, położył na ranie chusteczkę Konsula, wetknąwszy jej brzeg pod sombrero.

Teraz z kolei szofer przyszedł rzucić okiem na leżącego — wysoki, w białej koszuli, wyplamionych bryczesach z diagonalu, szerokich jak miechy i wsuniętych w sznurowane cholewy brudnych butów. Ze swoją kędzierzawą głową, twarzą roześmianą, beztroską, inteligentną i niedbałym krokiem atlety człowiek ten, którego Hugh widział dwukrotnie w mieście, wydawał się jednocześnie jak gdyby samotny i sympatyczny.

Budził instynktownie zaufanie. W tym jednak przypadku okazał zastanawiającą obojętność; ale trzeba przyznać, że był odpowiedzialny za autobus, a cóż mógł zrobić sam, gdy w dodatku przeszkadzały mu gołębie?

1 Do diabła, gdzie tu
znaleźć lekarza?
(hiszp.)

Gdzieś zza chmur samolot skierował ku ziemi pojedynczy snop dźwięku.

—... *Pobrecifo*¹.

—... *Chingar*.

Hugh uświadomił sobie, że stopniowo te dwie uwagi przeradzają się w coś w rodzaju powtarzanego dokoła refrenu, ich bowiem obecność obok rannego, a także fakt, że autobus w (ogóle stanął, usankcjonowały dostęp innych do leżącego, przynajmniej w takim stopniu, że jeszcze jeden pasażer i dwaj wieśniacy, dotąd nie zauważeni i o niczym nie wiedzący, przyłączyli się do grupy wokół rannego, którego nikt już więcej nie dotykał — w powietrzu unosił się cichy szmer bezradności, szmer szeptów, wzmocnianych może przez kurz, upał, nawet autobus ze swoim ładunkiem nieruchomości starych kobiet i skazanego na zagładę drobiu, podczas gdy tylko te dwa słowa, jedno wyrażające współczucie, drugie plugawą pogardę, były słyszalne ponad charkotem oddechu Indianina.

Wróciwszy do autobusu szofer, który uznał widocznie, iż wszystko jest, jak być powinno, z wyjątkiem tego, że zatrzymał się nieprzepisowo na szosie, naciskał już klakson, co jednak nie dało bynajmniej pożądanego skutku, a szmer, podkreślany irytującym akompaniamentem obojętnych sygnałów, przerodził się w ogólną sprzeczkę.

Czy był to rabunek, próba morderstwa, jedno i drugie? Indianin wracał prawdopodobnie z targu, gdzie sprzedał towary, i miał na pewno znacznie więcej pieniędzy niż te cztery czy pięć pesos ukrytych pod kapeluszem, miał *mucho dinero*², więc żeby uniknąć podejrzania o złodziejstwo, ktoś wpadł na dobry pomysł i zostawił kilka monet. A może to wcale nie był rabunek, może Indianin spadł tylko z konia? Możliwe. Niemożliwe.

Si, hombre, ale czy nikt nie wezwał policji? W takim razie na pewno posłano już kogoś po pomoc? Chingar. Ktoś z nich powinien zaraz pójść i sprowadzić pomoc,

¹Biedak, (hiszp.)

²dużo pieniędzy (hiszp.)

sprowadzić policję. Karetkę pogotowia...
Cruz Roja ... gdzie jest najbliższy telefon?

Co za głupota wyobrazić sobie, że policja nie jest już w drodze! Jakim cudem ci *chingados* mogą być w drodze, kiedy połowa ich strajkuje? Nie, wcale nie połowa, tylko jedna czwarta. W każdym razie na pewno są już w drodze. Taksówka? *No, hombre*, taksówkarze też strajkują... „Ale co jest prawdy w pogłosce — przyłączył się ochoczo do chóru jeszcze jeden głos — że zawieszona została działalność «Servicio de Ambulancia»?” Tak czy inaczej jest to krzyż nie czerwony, tylko zielony, i przyjeżdża na miejsce wypadków tylko wtedy, kiedy otrzyma informację. Wezwać doktora Figueroa. *Un hombre noble*. Kiedy nie ma telefonu. Och, dawniej był w Tomalin telefon, ale się zepsuł. Nieprawda, doktor Figueroa ma ładny nowy telefon. Pedro, syn Pepe, zięć starej Józefiny, ten, co to zna podobno Vincente Gonzaleza, sam go niósł przez miasto.

Hugh (który myślał gorączkowo o Wigilu grającym w tenisa, o Guzmanie, o butelce habanero w kieszeni) i Konsul również prowadzili swoją własną dysputę. Fakt bowiem pozostawał faktem; kto położył Indianina na brzegu szosy, a jeśli położył, dlaczego nie na trawie obok krzyża; kto dla bezpieczeństwa wsunął jego pieniądze za kołnierz, chociaż mogły same się tam wsunąć; kto tak opatrnościowo przywiązał jego konia do drzewa obok żywoptotu, który teraz obskubuje, ale skąd wiadomo, czy to jego koń? Prawdopodobnie jego; kim więc był, gdzie jest czy też gdzie są ci, którzy okazali w działaniu tyle przezorności i współczucia i zapewne teraz sprowadzają pomoc?

Ich pomysłowość nie miała granic. Chociaż najtrudniejszą do przebycia i decydującą przeszkodą w okazaniu pomocy Indianinowi stało się nagłe odkrycie, że to „nie moja sprawa”, tylko „czyjaś”. Rozejrzawszy się dokoła Hugh zrozumiał, że na ten sam temat sprzeczną się wszyscy obecni. To nie jest moja sprawa, tylko — w pewnym sensie — twoja, mówili wszyscy potrząsając głowami, zresztą nie, wcale nie twoją, tylko czyjaś tam; ich obiekcje stawały się coraz bardziej zawiłe, *coyaz* bardziej teore-

tyczne, aż w końcu dyskusja zaczęła przybierać obrót polityczny.

W tym wypadku Hugh uważał, że to nie ma sensu, myślał, że gdyby w tej chwili zjawił się Jozue, aby zatrzymać słońce, nie spowodowałoby to większych zaburzeń w mechanizmie czasu.

Ale nie znaczy to wcale, że czas stanął. Raczej posuwał się naprzód z różną prędkością, przy czym prędkość, z jaką umierał Indianin, kontrastowała dziwnie z szybkością, z jaką obecni przekonywali się, że w żaden sposób nie mogą podjąć decyzji.

Jednakże szofer zrezygnował z dawania sygnałów i zaczął dębać w silniku, Konsul więc i Hugh zostawili nieprzytomnego i podeszli do konia, który — z cuglami z postronka, dużym pustym siodłem i pobrzękującymi, ciężkimi kawałkami prętów żelaznych zamiast strzemion — spokojnie skubał powój w żywopłocie, przy czym minę miał tak niewinną, jak tylko mieć potrafią jego bracia, kiedy się ich posądza o zbrodnicze czyny. Widząc, że się zbliżają, w pierwszej chwili zamknął delikatnie oczy, teraz jednak spojrzął na nich przewrotnie i z pozorami uczciwości. Miał ranę na kłębie i wypaloną na zadzie cyfrę siedem.

—Mój Boże... ależ tak! Tego samego konia widzieliśmy rano z Ivonne!

—Widzieliście go? Hm. — Konsul wyciągnął rękę do popręgu konia, nie dotknął go jednak.

— To zabawne...

Bo ja też go widziałem. Przynajmniej tak mi się zdaje. —

Spojrzał na Indianina leżącego na brzegu szosy, jak gdyby

usiłując wyszarpać coś z pamięci. — Nie zauważyłeś, czy

miął wtedy juki? Miał, kiedy ja go widziałem, czy raczej

kiedy mi się zdawało, że go widziałem.

—To na pewno jest ten sam człowiek.

■— Jeżeli to jego koń kopnął go w głowę, nie posądzam zwierzaka o tyle inteligencji, żeby skopał z siebie również Juki i ukrył je gdzieś w krzakach. A co ty o tym...

Ale autobus ruszył bez nich z przeraźliwym rykiem klaksonu.

Podjechał trochę bliżej, a potem zatrzymał się na szerszym odcinku szosy i przepuścił dwa kłótlive luksusowe samochody, którym tarasował przedtem drogę. Hugh wrzasnął, żeby się zatrzymały, Konsul prawie że machnął ręką do kogoś, kto go prawie że poznał, a tymczasem samochody, które obok numerów z tyłu miały tabliczki *Diplomatico*, przepłynęły mimo kołyszając się na głębokich resorach i ocierając o żywopłoty, a potem zniknęły w kłębach kurzu. Z tylnego siedzenia drugiego samochodu szczeptał do nich wesoło szkocki terrier.

— Zapewne młody dyplomata.

Konsul poszedł zobaczyć, co się dzieje z Ivonne; pozostali pasażerowie ostanając twarze od kurzu wsiedli do autobusu, który wjechał w boczną drogę, gdzie utknął i czekał nieruchomy jak śmierć, jak karawan. Hugh podbiegł do Indianina. Oddech rannego wydawał się teraz słabszy i jednocześnie mozolniejszy. Hugh poczuł nieodparte pragnienie, żeby jeszcze raz spojrzeć mu w twarz; pochylił się nad nim. Jednocześnie prawa ręka Indianina podniosła się w ślepym geście, kapelusz zsunął mu się częściowo z twarzy, głos wyszeptał czy też wyjęczał jedno słowo.

— *Compañero*.

— Jeszcze się przekonają, czy nie pozwolą, niech ich diabli — mówił Hugh w chwilę później do Konsula, nie bardzo wiedząc, dlaczego to mówi. Ale jeszcze raz zatrzymał autobus, którego silnik był znowu włączony, i obserwował trzech uśmiechniętych *vigilantes*¹ zbliżających się w kłębach kurzu na drodze; gdy szli, kabury pistoletów obijały im się o uda.

— Chodź, Hugh, nie pozwolą ci go wziąć do autobusu, skończy się tylko na tym, że powędrujesz do więzienia i dostaniesz się w tryby biurokracji na Bóg wie jak dłu go — mówił Konsul. — To nie jest prawdziwa policja, tylko te ptaszki, o których ci mówiłem... Hugh...

— *Momentito...* — Hugh prawie natychmiast wdał się

¹ strażników (tuszp.)

w sprzeczkę z jednym z policjantów; dwaj pozostali podeszli do Indianina, a tymczasem szofer naciskał klakson cierpliwie, w znużeniu. Potem policjant pchnął Hugh'a w stronę autobusu; Hugh odepchnął go. Policjant opuścił rękę i zaczął grzebać przy kaburze; był to tylko manewr, nie należało brać go poważnie. Jednocześnie drugą ręką pchnął Hugh'a, tym razem mocniej; w rezultacie Hugh, zęby zachować równowagę, musiał wejść na tylny stopień autobusu, który w tej samej sekundzie ruszył niespodziewanie, gwałtownie. Hugh zeskoczyłby na ziemię, gdyby Konsul nie wytrzymał siły i nie przyparł go do poprzeczki karoserii.

— Daj spokój, chłopcze. To byłoby jeszcze gorsze niż wiatraki.

— Jakie wiatraki?
Kurz zasłonił wszystko.

Autobus pędził z ogłuszającym łoskotem — wybuchał kanonadą huków, zataczał się jak pijany. Hugh wbił wzrok w rozdygotaną, podskakującą podłogę.

„... Coś, co przypominało kikut drzewa z przewiązanym turnikiem, odrąbana noga w wojskowym bucie, który ktoś podniósł, próbował rozsznurować, a potem prawie z czcią postawił na drodze pośród mdlącego zapachu benzyny i krwi; twarz, której otwarte usta błagały o papierosa, poszarzała nagle, Zniknęła; bezgłowe istoty, które z obnażonymi tchawicami siedziały wyprostowane w samochodach obok odrąbanych głów, stosy dzieci, wiele setek dzieci rzuconych na kupę; wyjące, płonące stwory; może jak te demony ze snów Geoffa; Hugh — jako taka zahartowany pośród idiotycznych rekwizytów bezsensownego *Tytusa Andronikusa* wojny, tego nagromadzenia grozy, z której nie powstał nawet dobry dramat, lecz którą w jednym błysku Ivonne przywiodła mu na myśl, gdy wysiedli z autobusu — mógł być wywiązać się ze swojego obowiązku, mógł być

**zrobić coś, a nie, żeby tak nic nie
robić, nic..."**

**Pacjent musi mieć absolutny
spokój, powinien leżeć**

"w zaciemnionym pokoju. Niekiedy konającemu można dać, odrobinę koniaku.

W poczuciu winy Hugh pochwycił spojrzenie starej kobiety. Jej twarz nie wyrażała absolutnie nic... Ach, jakże mądre były te stare kobiety, które wiedziały przynajmniej, czego chcą, które podjęły wspólną, milczącą decyzję, że nie będą się mieszać do tej sprawy. Żadnych wahań, żadnej nerwowej krzątaniny, żadnego zamieszania. Z jaką solidarnością w obliczu niebezpieczeństwa przyciskały do siebie koszyki z drobiem, kiedy autobus przystanął, albo oglądały się, żeby odnaleźć wzrokiem swoją własność, a potem siedziały jak teraz nieruchome. Może pamiętają czasy rewolucji w tej dolinie, zczerniałe w ogniu budynki, brak komunikacji, ludzi przywiązywanych do krzyży i przebijanych rogami byków na arenie, bezańskie psy pieczone na rożnach pośrodku placu targowego. Na ich twarzach nie było ani niewrażliwości, ani okrucieństwa. Dobrze znają śmierć, lepiej niż prawo, a pamięć ich sięga daleko. Siedziały teraz rzędem, nieruchome, nie rozmawiały, siedziały bez słowa, skamieniałe. Był to u nich odruch naturalny, że pozostawiały tę sprawę mężczyznom. A jednak zdawało się, że poprzez kolejne dramaty meksykańskiej historii w tych starych kobietach litość — impuls, żeby podejść, i strach — impuls, żeby uciec (jak uczono nas w szkole), zostały w końcu zastąpione przez roztropność, przekonanie, że lepiej nie ruszać się z miejsca.

A co myśleć o innych pasażerach, o młodszych kobietach w żałobie — nie było już kobiet w żałobie, wysiadły widocznie i poszły piechotą; albowiem śmierć przy drodze nie powinna krzyżować naszych planów wskrzeszenia umarłych na cmentarzach. A mężczyźni w fioletowych koszulach, którzy widzieli doskonale całą scenę, ale nie ruszyli się z autobusu? Tajemnica. Trudno o ludzi odważniejszych niż Meksykańczycy. Ale nie była to widocznie sytuacja wymagająca odwagi. *Fmjoles* dla wszystkich; *Tierra, Libertad, Justicia y Ley.*¹ Czy słowa te znaczą

— Fasoli dla wszystkich; ziemia,
wolność, sprawiedliwość i
prawo-

rządność, (hiszp.)

cokolwiek? *Quien sabe?* Nie byli pewni niczego — prócz jednej rzeczy: że to głupota wdawać się w sprawę z policją, zwłaszcza z taką, która nie jest prawdziwa; i to samo odnosiło się do tego mężczyzny, który pociągnął Hugh'a za rękaw, i do tych dwóch innych, którzy przyłączyli się do sprzeczki wokół Indianina, a teraz jeden po drugim wyskakiwali z pędzącego autobusu z typowym dla nich wdziękiem i zuchwalstwem.

A jeśli idzie <o niego, bohatera Republiki Radzieckiej i Prawdziwego Kościoła — co z nim, starym towarzyszem, czy można mu coś zarzucić? Absolutnie nic. Z nieomylnym instynktem korespondenta wojennego, który posiada pewne doświadczenie w niesieniu pierwszej pomocy, był aż nazbyt skory posłużyć się podręczną apteczką, lapisem, bandażami.

I przypomniał sobie natychmiast, że pod słowem „osłona” należy rozumieć również dodatkowy koc czy parasol, czy jakiegokolwiek inne prowizoryczne zabezpieczenie przed żarem słońca. Zaczął natychmiast rozglądać się za ewentualnymi poszlakami, takimi jak połamane drabiny, ślady krwi, maszyny na chodzie, narowiste konie. Owszem, rozglądał się, ale to niestety nic nie pomogło.

Bo prawdę mówiąc, może była to jedna z tych sytuacji, w których absolutnie nic nie może pomóc? Co oczywiście jeszcze ją tylko pogarsza. Hugh podniósł głowę i spojrzał na Ivonne. Konsul ujął jej rękę, ona zaciskała palce na jego dłoni.

Autobus pędził teraz do Tomalin, podskakując i zataczając się jak przedtem. Znowu chłopcy wskoczyli na tył wozu i stali pogwizdując. Jaskrawe bilety połyskiwały jaskrawymi barwami. Znowu wsiedli pasażerowie, biegli przez pola do szosy, mężczyźni patrzyli na siebie z uznaniem, autobus prześcigał samego siebie, nigdy dotąd nie jechał tak szybko, pewnie dlatego tak jechał, że wiedział o dzisiejszym święcie.

Przyłączył się teraz do nich znajomy szofera, a może szofer na drogę powrotną. Z wrodzoną Meksykańczykom zręcznością lawirował na zewnątrz wozu, pobierał opłaty

za przejazd przez otwarte okna. W pewnej chwili, gdy zjeżdżali w dół stoku, zeskoczył nawet na drogę po lewej, obiegł wóz z tyłu i zaraz ukazał się z prawej strony, szczerząc błazeńsko zęby.

Teraz z kolei jakiś jego przyjaciel wskoczył na autobus. Przycupnęli z obu stron na masce, przy dwóch przednich błotnikach, podawali sobie często ręce nad zakrętką chłodnicy, a pierwszy z nich wychylił się w pewnej chwili niebezpiecznie, żeby zobaczyć, czy tylna opona, lekko przedziurawiona, trzyma. Potem zajął się znów zbieraniem opłaty za przejazd.

Kurz, kurz, kurz... Sącył się przez okna, łagodna inwazja rozkładu ziemi wypełniająca wnętrze pojazdu.

Nagle Konsul trącił Hugh'a, wskazał mu głową na *pelado*, o którym Hugh jednakże nie zapomniał: mężczyzna siedział teraz sztywno wyprostowany, bawiąc się czymś, co trzymał na kolanach, siedział w kurtce zapiętej, w obu kapeluszach na głowie, z krzyżykiem wsuniętym pod koszulę; jego twarz nie zmieniła wyrazu, ale po zdumiewająco przykładowym zachowaniu na szosie wydawał się odświeżony i trzeźwy.

Hugh kiwnął głową, uśmiechnął się, stracił zainteresowanie; Konsul znowu trącił go łokciem:

—Widzisz?

—Co takiego?

Hugh potrząsnął głową, spojrzał postępnie na *pelado*, nie zobaczył nic, a potem zobaczył, ale w pierwszej chwili nie zrozumiał.

Umazane ręce konkwistadora, które przedtem ścisnęły melon, zacisnęły się teraz na żalostnej, skrwawionej kupce srebrnych pesos i centavos.

Pelado ukradł pieniądze umierającego Indianina.

Co więcej, zaskoczony w tym momencie przez konduktora szczerzącego zęby za oknem, starannie wybrał z kupki kilka miedziaków, powiódł uśmiechniętym wzrokiem po pasażerach zajętych własnymi sprawami, jak gdyby spodziewając się jakiejś uwagi na temat swojego sprytu, a potem zapłacił za przejazd.

Nie padła jednak żadna uwaga z tej prostej przyczyny, że nikt prócz Hugh'a i Konsula nie orientował się, jak bardzo *pelado* jest sprytny.

Hugh wyjął z kieszeni małą płaską butelkę habanero i wręczył ją Geoffowi, który podał ją dalej Ivonne. Zachłystnęła się, nadal nic nie spostrzegła; i to było takie proste; wszyscy wypili po małym łyku.

Ale po namyśle zdumiewające wydało się nie to, że *pelado* odruchowo ukradł pieniądze, tylko że teraz prawie me usiłował ich ukryć, że bezustannie otwierał i zamykał dłoń z kupką skrwawionego srebra i miedziaków, jak gdyby chciał pokazać je każdemu, kto miał ochotę spojrzeć.

Hughowi przyszło na myśl, że *pelado* w ogóle nie ukrywa pieniędzy; może usiłuje wytłumaczyć pasażerom, chociaż oni nic nie wiedzą o sprawie, że motywy jego działania są słuszne, że wziął pieniądze, bo chciał je zabezpieczyć, ponieważ — jak tego dowiódł własnym postępkami — nikt chyba nie powie, że można bezpiecznie zostawić pieniądze pod kołnierzykiem człowieka umierającego na szosie do Tomalin w cieniu Sierra Madre.

Zresztą — zdawały się mówić jego oczy, szeroko teraz otwarte, prawie czujne, pełne złośliwości — powiedzmy, że go posądzą o kradzież, zaaresztują — jaką szansę będzie miał wtedy Indianin, jeżeli wyżyje, na odzyskanie swoich pieniędzy? Oczywiście nie będzie miał żadnej szansy, o czym wszyscy doskonale wiedzą. Prawdziwa policja jest może uczciwa, jest policją ludu. Jeżeli jednak zaaresztują go ci zastępcy, ci inni faceci, po prostu mu je ukradną, za to jedno można dać głowę, jak okradaliby w tym momencie Indianina, gdyby nie jego litościwy uczynek.

Wobec tego nikt, komu naprawdę leżą na sercu pieniądze Indianina, nie powinien go posądzać, a w każdym razie nie powinien zbyt dużo myśleć o tej sprawie; bo nawet gdyby teraz, w autobusie, przyszła mu nagle ochota, żeby przestać przesypywać pieniądze z garści do garści — o tak — albo włożyć ich część do kieszeni — o tak

— albo nawet, powiedzmy, że ta resztkę wsunie (*mu* się niechący do drugiej kieszeni — o tak (a całe to przedstawienie, pomyślał Hugh, jest odgrywane na ich cześć jako cudzoziemców i ewentualnych świadków) — wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia, żaden z tych gestów nie dowodzi, że on jest złodziejem albo że wbrew najlepszym intencjom postanowił mimo wszystko ukraść pieniądze i stać się złodziejem.

I był to fakt niezbity, cokolwiek stało się naprawdę z pieniędzmi, ponieważ *pelado* posiadał je jawnie i uczciwie, nie kryjąc się z tym przed światem. Był to fakt uznany, jak zajęcie Abisynii.

W dół stoku... Gdy zjeżdżali serpentyną do Tomalin, szofer nie zdejmował ręki z piskzącego przeraźliwie zapasowego hamulca. Po prawej było pionowe, niestrzeżone urwisko, z zagłębienia w dole wychylało się rozległe wzgórze zarośnięte krzakami i szare od kurzu, z którego drzewa sterczały na boki.

Ixtaccihuatl zniknął, ale gdy zjeżdżali w dół serpentynami, Popocatepetl to się ukazywał, to znikał, za każdym razem inny, raz daleko, to znowu tuż obok, niewymierzalnie odległy w jednej chwili, już w następnej wyłaniający się zza zakrętu, wspaniały w swoim bogactwie ukośnych pól, dolin, lasów, ze szczytem omiatanym chmurami, smaganym przez grad i śniegi...

A potem biały kościół i znowu byli w jakimś mieście, w mieście jednej długiej ulicy, jednego ślepego zaułka i wielu ścieżek, przytykających do małego jeziora czy zbiornika wody, w którym pływali ludzie i za którym był las. Obok jeziora zatrzymywał się autobus.

Wszyscy troje stali znów w kurzu, oślepieni białością, popołudniowym słońcem. Stare kobiety odeszły, odeszli inni pasażerowie. Za drzwiami płynęły przejmujące dźwięki gitary, tuż obok rozlegał się chłodny szmer wartkiej wody wodospadu. Geoff wskazał drogę i ruszyli w kierunku areny.

Ale szofer wraz ze swoim przyjacielem weszli do *pul-queria*. Za nimi podążał *pelado*. Szedł krokiem równym,

wysoko podnosząc stopy i przytrzymując kapelusze, jak gdyby wiał wiatr, a na twarzy miał głupkowaty uśmiech, ale uśmiech nie tryumfjrrTyTJttKprawie błagania.

Przyłączy się do tamtych; dojdą jakoś do porozumienia. *Quien sabe?*

Patrzyli za nimi, gdy zamykały się połówki wahadłowych drzwi tawerny. Tawerna miała ładną nazwę: „Todos Con-tentos y Yo Tambien”.*

— Wszyscy są szczęśliwi nie wyłączając mnie
— powiedział wspaniałomyślnie Konsul.

I nie wyłączając tych tam, pomyślał Hugh, co fruwać bez wysiłku, pięknie, w błękitnym niebie nad nimi, nie wyłączając sępów, *xopilotes*, które czekają tylko na ratyfikację śmierci.

— „Wszyscy zadowoleni i ja także”, (hiszp.)

Arena Tomalin...

Jakże wszyscy świetnie się bawią, jak wszyscy są szczęśliwi, wszyscy bez wyjątku! Jak wesoło Meksyk zbywa iechem swoją tragiczną historię, przeszłość, ukryty nurt śmierci!

Było tak, jak gdyby nigdy nie porzuciła GeoEfreya, nigdy nie wyjeżdżała do Ameryki, nigdy nie poznawała udręki ostatniego roku, jak gdyby nawet — zdawało się przez chwilę Ivonne — przyjechali do Meksyku po raz pierwszy; doznawała tego samego ciepłego, przejmującego, radosnego uczucia — w sposób nieokreślony, wbrew logice — uczucia, że smutek zostanie przewyciężony, nadziei — bo czyż Geoffrey nie przyszedł na postój autobusów? — zwłaszcza nadziei na przyszłość.

Uśmiechnięty, brodaty olbrzym w zarzuconej na ramiona białej *serape*¹ ozdobionej kobaltowymi smokami obwieścił to światu. Olbrzym kroczył w poczuciu własnej ważności dokoła areny, na której w niedzielę rozpoczną się zawody bokerskie, ciągnąc za sobą w kurzu coś, co mogło być „Rakieta”, pierwszą na świecie lokomotywą!

Był to wspaniały wózek z orzeszkami ziemnymi. Ivonne widziała w środku małą maszynę parową pracującą mozolnie, miażdżącą wściekle orzeszki. Jak cudownie, jak dobrze jest czuć się znowu — mimo całego napięcia i wysiłku dnia, mimo podróży, jazdy autobusem i teraz tych koślawych, zatłoczonych trybun — częścią tej barwnej *serape* istnienia, częścią słońca, zapachów, śmiechu!

— i Koc z otworem na głowę
zwykły strój Indian
południowoamer.

Od czasu do czasu syrena wózka z orzeszkami popiskiwała, cienki komin wydawał głucho pomruki, błyszczący wypolerowany gwizdek świstał. Najwyraźniej olbrzym w ogóle nie miał zamiaru sprzedawać orzeszków. Po prostu nie mógł się oprzeć chęci popisania się swoją maszyną przed światem: patrzcie, oto moja własność, moja radość, moja wiara, może nawet (pewnie byłby rad, gdyby ludzie tak sądzili) mój wynalazek! I wszyscy go za to kochali.

Wyprowadzał właśnie wózek — a raczej jeden wielki tryumfalny pożegnalny pisk i świst — gdy z przeciwnej strony wpadł przez bramę byk.

Był to zresztą najwyraźniej byk wesoty w głębi serca. *Por que no?* Wiedział, że go tu nie zabiją, że ma się tylko bawić, uczestniczyć w ogólnej wesołości. Ale jak dotąd wesołość byka była wyraźnie kontrolowana; po burzliwym wejściu zaczął krążyć dokoła areny powoli, w zamyśleniu, wzbijając jednak mnóstwo kurzu. Był gotów bawić się nie gorzej od reszty zgromadzonych, w razie potrzeby nawet własnym kosztem, ale w pierw jego poczucie godności musiało zyskać właściwe uznanie.

Niemniej ludzie siedzący na prymitywnym płotku okalającym arenę nie raczyli nawet podciągnąć nóg, kiedy się byk zbliżał, inni zaś, wyciągnięci na ziemi po zewnętrznej stronie płotku i trzymający głowy jak gdyby w luksusowych dybach, nie ruszyli się nawet o cal.

Jednakże dwaj czy trzej wrażliwie reagujący *borrachos* weszli na ring i przedwcześnie usiłowali dosiąść byka. Było to w brew regułom gry, byka należy schwytać w pewien specjalny sposób, *fair play* obowiązuje, wyprowadzono ich więc z areny; szli protestując, zataczając się na miękkich kolanach, ale nie stracili wesołości...

Ogólnie biorąc tłum przyjął byka jeszcze życzliwiej niż sprzedawcę orzeszków, rozległy się oklaski. Nowo przybyli wskakiwali z wdziękiem na ogrodzenie, cudownie utrzymując równowagę stawali na najwyższej poprzeczce. Muskularni sprzedawcy nieśli wysoko, podparte żyłastymi kolumnami przedramienia, ciężkie tace pełne wielobarwnych owoców. Chłopiec stojący w rozwidleniu drzewa i osłania-

jacy oczy dłonią spoglądał ponad dżunglą w kierunku wulkanów. Wypatrywał samolotu w niewłaściwym kierunku; Ivonne odnalazła samolot, cicho bucząca kreseczka na otchłannym błękitnie. W powietrzu była jednak burza, gdzieś za jej plecami, jak gdyby odrobina elektryczności.

Byk powtórzył obchód areny krokiem trochę może szybszym, ale wciąż odmierzoną; zmienił tempo tylko raz, kiedy mały zadzierzasty psiak warcząc nacierał mu na pięty; wtedy byk) zapomniał na chwilę, dokąd idzie.

Ivonne wyprostowała plecy, poprawiła kapelusz i zaczęła pudrować nos spoglądając w zdradliwe lustro barwnej emaliowanej puderniczki. Przypomniało jej ono, że zaledwie pięć minut temu płakała, a ponadto pokazało, bliżej nagle, odbicie Popocatepetl zagląającego jej przez ramię.

Wulkany! Ile sentymentalnych uczuć mogą one budzić! Teraz, co prawda, był tylko „wulkan”; jakkolwiek przesuwając lustro, nie mogła złapać odbicia biednego Ixta, który zniknął w pełnym zaćmieniu, podczas gdy Popocatepetl był w lustrze jeszcze piękniejszy, a jego wierzchołek iskrzył się na tle gęsto ubitego zwału chmur. Ivonne przejechała palcem po policzku, przymknęła jedną powiekę. Głupio z jej strony, że płakała, i to w obecności tego małego człowieczka przed drzwiami „Las Novedades”, który im powiedział, że jest „wpół do czwartej według cy-garka”, i dodał, „niemożliwie zatelefonować”, ponieważ doktor Figueroa pojechał do Xiutepec...

„W takim razie maszerujemy na tę cholerną arenę” — powiedział wtedy Konsul z pasją, a ona się rozplakała. Co było prawie tak głupie, jak to, że uciekła po południu do autobusu nie tyle na widok krwi, ile na samą myśl o krwi. Ale była to jej słaba strona, przypominała sobie psa konającego na ulicy w Honolulu, strużki krwi płynące po wyludnionym chodniku; chciała go ratować, ale zamiast tego zemdląca, a gdy po minucie przyszła do siebie, tak się przestraszyła, że leży na chodniku (może ją ktoś widział?), że uciekła bez słowa, a potem prześladowało ją

wspomnienie nieszczęsnego, opuszczonego stworzenia, więc kiedyś... ale jaki ma sens myśleć teraz o tym?

Zresztą czy nie zrobili wszystkiego, co było w ich mocy? Przecież na arenę przyszli dopiero wtedy, kiedy się przekonali, że w Tomalin nie ma telefonu. Ach, nawet gdyby był telefon! O ile mogła się zorientować, biedny Indianin miał już opiekę, kiedy oni stamtąd odjeżdżali, więc po namyśle naprawdę nie może zrozumieć, dlaczego... Poprawiła jeszcze raz kapelusz w lusterku; zamrugła powiekami. Oczy miała zmęczone, wzrok płatał jej figle. Przez straszną sekundę zdawało jej się, że nie Popocatepetl, tylko stara kobieta, która grała dziś rano w domino, zagląda jej przez ramię. Zamknęła puderniczkę z głośnym trzaskiem i uśmiechnięta obróciła się do mężczyzn.

Konsul i Hugh patrzyli posepnie na arenę.

Gdy teraz byk powtórnie odpędził psiaka dwoma posuwistymi, jakby omiatającymi ruchami łba i podjął obchód areny, na trybunie dokoła niej rozległo się zaledwie kilka stęknień, gdzieniegdzie czkawka i nieliczne, pozbawione entuzjazmu *ole*. Żadnej wesołości, żadnych oklasków. Niektórym widzom usadowionym na ogrodzeniu głowy dosłownie opadały na piers. Ktoś inny darł sombrero na strzępki, podczas gdy jeszcze inny widz usiłował bez powodzenia cisnąć kapeluszem słomkowym jak bumerangiem w przyjaciela. Meksyk nie zbywał śmiechem swojej tragicznej historii; Meksyk był znudzony. Byk był znudzony. Wszyscy byli znudzeni, może nudzili się od początku. A zdarzyło się tylko jedno: przyszła na arenę, gdy działało jeszcze habanero, które wypięła w autobusie, a które teraz przestało działać. Pośród tej nudy byk obszedł arenę i pośród nudy położył się teraz w kącie.

—Drugi byczek Fernando... — zaczęła Ivonne wciąż jeszcze z pewną nadzieją.

—Nandi — powiedział cicho Konsul (ach, czy nie trzy-
miał jej za rękę w autobusie?) patrząc jednym okiem po-
Przez kłęby dymu papierosowego na arenę
— Nandi byk,
chrzcę go imieniem Nandi, wehikuł
Sziwy, z którego
włosów wypływa Ganges, utożsamiany też
z wedyjskim

bogiem burzy Windrą... i znany starożytnym Meksykan-czykom jako Huracan.

— Chryste Panie, ojczulku — powiedział Hugh — dziękuję za naukę.

Ivonne westchnęła; widowisko było naprawdę nudne i obrzydliwe. Jedynymi ludźmi szczęśliwymi na trybu-, nach wydawali się pijacy. Z butelkami tequila czy mescal w rękach gramolili się na arenę, podchodzili do odpoczywającego byka Nandi, po czym przewracali się i potykali jedni o drugich przepędzani z areny przez *charros*, którzy usiłowali teraz poderwać nieszczęsnego byka na nogi-

Ale byk nie chciał wstać. W końcu mały chłopczyk, którego widzowie dotąd nie zauważyli, ugryzł byka w ogon; gdy malec uciekał, zwierzę podźwignęło się bonwulsyjnie na nogi. Natychmiast kowboj dosiadający konia o złośliwym wyglądzie złapał go na lasso. Byk bardzo prędko zrzucił pętlę, która owinęła mu się tylko wokół jednego opyta, i odszedł potrząsając łbem, a kiedy zobaczył znów siaka, wykonał gwałtowny obrót i pogonił za nim kilka kroków...

Nagle na arenie zrobił się ruch. Wkrótce wszyscy tam obecni — czy to pompatycznie na grzbietach koni czy pieszo, stojąc czy biegnąc, wymachując starymi *serape* czy kocami, czy chociażby szmatami — usiłovali przyciągnąć uwagę byka.

A biedne stare zwierzę naprawdę wyglądało teraz tak, jak gdyby zostało skuszone, zwabione w sam środek wydarzeń, których właściwie nie rozumiało, przez ludzi, z którymi pragnęło być w przyjaźni, -nawet bawić się, którzy wabili je do siebie ośmielając w nim to pragnienie, ale którzy — ponieważ w gruncie rzeczy gardzili nim i chcieli je upokorzyć — mieli wciągnąć je w końcu w pułapkę.

...Ojciec Ivonne szedł ku niej poprzez ławki, górując nad wszystkimi, odpowiadał radośnie jak dziecko wszystkim tym, którzy wyciągali do niego przyjazną dłoń, jej

I kowboi meksykańskich

ojciec, którego śmiech, ciepły, serdeczny, szczodry, wciąż brzmi w jej pamięci i którego małą fotografię koloru sepia Ivonne do dziś nosi przy sobie, fotografię młodego kapitana w mundurze z czasów wojny hiszpańsko-amerykańskiej, o poważnych, szczerych oczach pod pięknym wysokim czołem, o pełnych, wrażliwych wargach pod jedwabistymi ciemnymi wąsami, o rozdzielonym podbródku — jej ojciec ze swoją zgubną pasją do wynalazków, który kiedyś z ufnością w sercu wyruszył na Hawaje, żeby dorobić się fortuny na hodowli ananasów. Nie udało mu się to. A ponieważ tęsknił do życia w armii, marnotrawił czas — zachęcany do tego przez przyjaciół — na opracowywaniu wymyślnych projektów. Ivonne słyszała, że próbował wytworzyć syntetyczne konopie z pióropuszy ananasów, a nawet ujarzmić wulkan stojący na terenie ich majątku i jego siłami uruchomić konopiarkę. Siedział sobie na *lanai* popijając okoolihao i śpiewając melancholijne hawajskie piosenki, podczas gdy ananasy gnęły na polu, a robotnicy, krajowcy, zbierali się dookoła i śpiewali wraz z nim, albo przesypiał okres zbiorów, a tymczasem plantacja marniała, porastała chwastami, pogrążała się bez nadziei w długach. Taki był obraz rzeczywistości; Ivonne niewiele pamiętała z tego okresu, właściwie tylko śmierć matki. Miała wtedy sześć lat. Zbliżała się Wielka Wojna i wraz z nią ostateczne bankructwo, a jednocześnie pojawił się na widowni wuj Macintyre, brat jej matki, bogaty Szkot powiązany interesami z Południową Ameryką, który od dawna przepowiadał ruinę szwagra, ale którego rozległym stosunkom należało niewątpliwie przypisać, że nagle i ku zdumieniu wszystkich kapitan Constable został mianowany amerykańskim konsulem w Iquique.

- Konsul w Iquique!... Albo w Quahnahuc>,'
Ileż to razy w udręce ostatniego roku Ivonne usiłowała uwolnić się od miłości do Geoffreya sprowadzając ją do kategorii rozumowych, analizując, mówiąc sobie, że... Chryste, kiedy tak czekała i pisała — najpierw z nadzieją, potem z głębi » serca, potem natarczywie, potem zapamiętała, w końcu rozpaczliwie, kiedy tak czekała i wypatrywała co dzień

listu — ach, codzienne rozpinanie na krzyżu
w oczekiwaniu listonosza!

Spojrzała na Konsula, na którego twarzy przez moment gościł ów wyraz zamyślenia, który Ivonne tak dobrze pamiętała na twarzy ojca w ciągu długich wojennych lat w Chile! Chile! Mogło się здаwać, że ten kraj o oszałamiająco długiej linii wybrzeży i wąski w przekroju, gdzie myśli wszystkich wybiegają ku Cape Horn lub okręgom saletry, miał wpływ łagodzący na umysł jej ojca. Bo o czym właściwie myślał kapitan Constable, duchowo bardziej izolowany w kraju Bernardo O'Higginsa, niż kiedyś był izolowany Robinson Crusoe na swojej wyspie w odległości zaledwie kilkuset mil od tych wybrzeży? Czy myślał o wyniku wojny, czy o jakiejś mętnej umowie handlowej, którą zawarł, czy wreszcie o losie amerykańskich marynarzy osiadłych na mieliznie w okolicach zwrotnika Koziorożca? Nie, medytował o pewnym projekcie, który jednakże przyobekł się w kształty realne dopiero po zawieszeniu broni. Jej ojciec wynalazł nowy typ fajki, obłudnie skomplikowany, fajki, którą dla celów higieny rozkładało się na części. Fajka rozkładała się na, bodajże, siedemnaście części, rozkładała się i pozostawała rozłożona, ponieważ nikt ' prócz jej ojca nie wiedział, jak ją złożyć z powrotem. To prawda, że sam kapitan nie palił fajki. Niemniej jednak, jak zwykle podjudzono go do działania, zachęceno... Kiedy fabryka, którą otworzył w Hilo, spaliła się w sześć tygodni po uruchomieniu, kapitan wrócił do swojego rodzinnego Ohio i przez jakiś czas pracował w fabryce siatki drucianej...

No i w końcu stało się. Byk został beznadziejnie wciągnięty w pułapkę. Jeden, dwa, trzy, cztery zwoje łąso, każdy wyrzucany z ponownym i wyraźnym brakiem życzliwości, spętały go. Widzowie tupali w drewniane rusztowanie, bili brawo rytmicznie, bez entuzjazmu. Tak, łvc-n-ne uderzyła nagle myśl, że cała ta sprawa z bykiem była * jak życie; narodziny pełne znaczenia, równe szansę przy starcie, najpierw wahający, potem pewny siebie, wreszcie i na pół z rozpaczą w sercu podejmowany obchód areny,

potem przeszkoda pokonana — osiągnięcie, które nie spotkało się z dostatecznym uznaniem — nuda, rezygnacja, upadek; potem nowe, bardziej spazmatyczne narodziny, nowy start; oględne zabiegi o zyskanie własnej postawy w świecie teraz jawnie wrogim, wyraźna, choć zwodnicza zachęta ze strony sędziów, z których połowa śpi, pierwszy fałszywy krok ku początkom katastrofy, spowodowany tą samą przeszkodą, którą kiedyś łatwo wzięto się jednym sušem, ostateczne zaplątanie się w sidła wrogów, co do których nigdy nie miało się pewności, czy nie są przyjaciołmi raczej niezręcznymi niż źle usposobionymi, i w końcu klęska, kapitulacja, rozpad...

Ruina towarzystwa produkcji siatki drucianej, ruina mniej może emfatyczna, lecz ostateczna, umysłu jej ojca — czymże to było w obliczu Boga czy przeznaczenia? Kapitan Constable żył odtąd w obsesyjnym złudzeniu, że wyrzucono go z armii; i ta urojona hańba zaciążyła nad całym jego życiem. Raz jeszcze wyruszył w podróż na Hawaje, jednakże demencja, która go zatrzymała w Los Angeles, gdzie znalazł się bez centa przy duszy, miała charakter ściśle alkoholiczny.

Ivonne spojrzała znów na Konsula, który siedział zamyślony, z wargami ściągniętymi, pozornie zainteresowany areną. Jakże mało wiedział o tym okresie jej życia, o przerażeniu, przerażeniu, które do dziś budziło ją czasem w nocy powracającym koszmarem walącego się świata; przerażeniu jak to, które musiała udawać przed obiektywem w filmie o handlu żywym towarem, gdy chwyciła ją za ramię dłoń wyciągnięta zza ciemnych drzwi; albo jak autentyczne przerażenie, gdy osaczona znalazła się w parowie pośród dwóch setek ogarniętych paniką koni; nie, Geoffreya to wszystko nudziło, podobnie jak kapitana Constable'a, może nawet wstydził się tego, że /'ona, począwszy od trzynastego roku życia, przez pięć lat utrzymywała ojca grając w filmach seryjnych i westernach; Geof-frey mógł mieć koszmary, w tyrn też był podobny do jej ojca, mógł być jedyną osobą na świecie, która miała tego rodzaju koszmary, ale że ona je miała... Geoffrey niewie-

le też więcej wiedział o sztucznym-prawdziwym podnieceniu, o sztucznej-bezdusznej-promiennej fascynacji studia filmowego, o dziecinnej-dojrzałej dumie, w równym stopniu odstręczającej co żalostnej i usprawiedliwionej tym, że jakoś w tak młodym wieku zarabiała na życie.

lf,

Siedzący obok Konsula Hugh wyjął papierosa, spostrzegł, że to ostatni w paczce, i włożył go do ust. Postawił nogi na oparciu siedzenia przed sobą i pochylony do przodu, z łokciami na kolanach, spojrzał zmarszczony na arenę. Potem, kręcąc się jeszcze trochę, przejechał zapałką przez paznokcie kciuka, zapalił ją z cichym trzaskiem podobnym do trzasku kapiszonu i osłoniwszy płomyk swoimi naprawdę ładnymi dłońmi, z głową pochyloną, przytknął go do papierosa... Hugh szedł do niej dzisiaj rano w ogrodzie przez słońce. A kiedy szedł swoim kołyszającym się krokiem, w stetsonie zsuniętym na tył głowy, z kaburą, pistoletem, bandoiletem, w obcisłych spodniach wepchniętych w cholewy wymyślnie stębnowanych i ozdobnych butów, wzięła go, chociaż to trwało sekundę, naprawdę wzięła - go za Billa Hudsona, gwiazdora filmów kowbojskich, w którego filmach jako piętnastoletnia dziewczyna trzykrotnie grała główne role. Chryste, jakie to śmieszne! ja-^ kie to cudownie śmieszne! „Wyspy Hawajskie dały nam tę autentyczną dziewczyne otwartych przestrzeni, która przepada za pływaniem, golfem/tańcem i znakomicie jeździ konno.” Ona do tej pory... Hugh nie powiedział dzisiaj rano ani słowa o tym, że ona dobrze jeździ konno, za to serdecznie ją ubawił, chociaż się z tym nie zdradziła, swoimi pouczeniami, że jej koń (kto by pomyślał!) wcale nie chce pić! Jakże ogromne są w nas obszary, które pozostawiamy, może na zawsze, niezbadane! Nie wspomniła mu ani słowem o swojej karierze filmowej, nigdy, nawet wtedy w Robinson... Ale szkoda, że Hugh był w tamtych czasach za młody, żeby zrobić z nią wywiad, jeżeli nawet nie za pierwszym razem, to za tym drugim, strasznym, potem jak wuj Macintyre posłał ją do college'u, po jej pierwszym małżeństwie i po śmierci dziecka, kiedy wróciła do Hollywood. „Ivonne Groźna! Biada wam, syreny

w sarongach i słynne piękności, Ivonne Constable, Bziew-czyna-Ogień, wróciła do Hollywood! Tak, Ivonne wróciła, żeby zdobyć Hollywood po raz drugi! Ale ma teraz lat dwadzieścia cztery i nie jest już Dziewczyną-Ogniem, tylko zachwycającą, światową kobietą w gronostajach i brylantach, kobietą, która wie, czym jest miłość i czym jest tragedia, która przeżyła całe życie w ciągu tych kilku krótkich lat od wyjazdu z Hollywood. Odwiedziłem ją wczoraj w jej domu nad morzem, wyzłoczoną w promieniach słońca Wenus wynurzającą się z piany. Gdy rozmawialiśmy, spojrzenie jej rozmarzonych oczu błędziło ponad bezmiarem oceanu, a lekki wietrzyk muskał jej piękne, ciemne włosy. Patrząc na nią nie mogłem doprawdy pogodzić w myślach obrazu dzisiejszej Ivonne Constable z obrazem tamtej rozhukanej bohaterki westernów dnia wczorajszego, ale figurę ma jak kiedyś oszałamiającą, a jej energia jest wręcz niezrównana. Diabłatko z Honolulu w wieku lat dwunastu było urwisem w spódnicy, dziewczyną zwariowaną na punkcie base-ballu i me słuchającą nikogo prócz ojca, którego uwielbiała i nazywała «moim oj-ojczulkiem», w wieku lat czternastu zaczęła grać w filmach, a gdy skończyła lat piętnaście, była główną partnerką Billa Hudsona. Już wtedy Ivonne kipiła życiem i energią. Była wysoka na swój wiek i obdarzona gibką siłą, którą wyniosła z dzieciństwa spędzonego na pływaniu i jeźdźeniu na desce po falach wzdłuż hawajskich wybrzeży. Tak, chociaż trudno w to dzisiaj uwierzyć, Ivonne zanurzała się kiedyś w płonących jeziorach, wisiła nad przepaściami, zjeżdżała konno w dół urwistych stoków. Ivonne śmieje się dzisiaj wesoło wspominając wystraszoną, zdeterminowaną dziewczynę, która oświadczyła, że jeździ doskonale konno, a potem, już w czasie kręcenia filmu, kiedy cała ekipa była na planie, usiłowała wsiąść na konia od niewłaściwej strony! W rok później z zimną krwią Wskakiwała na konia w pełnym galopie. «Ale mniej więcej wtedy wyrwał mnie ze szponów Hollywood — jak to określa Ivonne z uśmiechem — mój wuj Macintyre, który po śmierci ojca dosłownie spadł jak jastrząb z nieba i upro-

wadził mnie na Hawaje.» Jednakże komuś, kto był Bziew-czyną-Ogniem i w wieku lat osiemnastu znajdował się na najlepszej drodze do tego, żeby zostać Ognistą Kobieta, i kto stracił właśnie ukochanego «oj-ojczulka», niełatwo było nagiąć się do surowej, pozbawionej miłości atmosfery. «Wuj Macintyre — przyznaje Ivonne — nie godził się na najmniejsze ustępstwa na rzecz tropików. Ach, ten rosół na baraninie, owsianka i gorąca herbata!* Ale wuj Macintyre skrupulatnie wypełniał swoje obowiązki: Ivonne, przygotowana przez prywatnego nauczyciela, wstąpiła pod naciskiem wuja na uniwersytet. A na uniwersytecie, może dlatego, powiada Ivonne, że słowo gwiazda przeszło w jej umyśle jakąś dziwną metamorfozę, studiowała astronomię. Usiłując zapomnieć o bólu w sercu i pustce przykładała się do nauki, marzyła nawet jakiś czas o tym, że zostanie Marią Curie astronomii! Na uniwersytecie też spotkała wkrótce Cliffa Wrighta, młodego milionera i lek-koducha. Zjawił się on w życiu Ivonne w chwili, gdy zniechęcona do nauki, zmęczona surową dyscypliną wuja Macintyre'a była samotna i stęskniona do miłości i przyjaźni. A Clifi był chłopcem młodym, wesołym i wprost wymarzonym kandydatem na męża. Łatwo jest zrozumieć, iż zdołał — w blasku hawajskiego księżyca — przekonać ją, że go kocha, że powinna rzucić studia i wyjść za niego za mąż." (Na miłość boską, nie wspominaj mi o tym Cliffie — pisał do niej Konsul w jednym ze swoich nielicznych listów na początku ich miłości. — Wyobrażani go sobie i już nienawidzę bydlaka: krótkowzroczny i rozpustny, sześć stóp trzy cale mięsa, kości i patosu, dzwicz-nogłosego czaru i kazuistyki." Trzeba przyznać, że ten obraz Konsula był całkiem trafny. Biedny Clifi — Ivonne rzadko o nim teraz myślała i starała się nie myśleć o tej rygorystycznie cnotliwej dziewczynie, której duma tak cierpiała przez jego zdrady... „bardzo rzeczowy, jednocześnie głupi i nieinteligentny, silny i infantylny, jak większość Amerykanów, w bójce skory do posługiwania się krzyżem, próżny... a że w wieku lat trzydziestu jest dziesięcioletnim chłopcem, zamienia akt miłości w coś

w rodzaju dyzenterii...") „Ivonne miała już bardzo złą prasę w związku ze swoim małżeństwem i nieuniknionym rozwodem; to, co mówiła, tłumaczono sobie opacznie, a gdy nie mówiła nic, równie opacznie interpretowano jej^{fr} milczenie. Ale nie tylko prasa okazywała jej brak życzliwości. «Wuj Macintyre — mówi smętnie Ivonne — umył ręce.»" (Biedny wujaszek Macintyre. To było nieprawdopodobne, było prawie śmieszne, było w pewnym sensie nieludzko śmieszne, kiedy opowiadała o tym przyjaciółom. Była nieodrodną córą Constable'ów, nie miała w sobie nic z rodziny matki! Niech więc żyje jak wszyscy Constable! Bóg jeden wie, ilu ich zostało wciągniętych, czy też ściągnięto na siebie, w podobnie bezsensowne tragedie czy pół tragedie jak ona i jej ojciec. Gnili w szpitalach wariatów w Ohio albo spędzali dni na drzemce w zrujnowanych salonach na Long Island, gdzie kury w poszukiwaniu ziarna dziobały wśród sreber rodzinnych, a w obtłuczonych dzbankach na herbatę znajdowano czasem brylantowe naszyjniki. Constable'owie, omyłka natury, wymierali. W rzeczywistości natura postanowiła zetrzeć ich z powierzchni ziemi, ponieważ nie było już jej potrzebne coś, co się samoi nie rozwijało.) „Tak więc Ivonne opuściła Hawaje z głową podniesioną wysoko i uśmiechem na wargach, chociaż w sercu czuła większy ból i większą pustkę. No i teraz jest wśród nas w Hollywood, a ludzie, którzy ją znają, twierdzą, że w jej życiu nie ma miejsca na miłość, że wszystkie jej myśli skupiają się wokół pracy. Mówiono nam w studio, że jej ostatnio nakręcone próbne zdjęcia są wręcz rewelacyjne. Dziewczyna-Ogień została największą aktorką dramatyczną Hollywood! Dwudziestoczteroletnia Ivonne Constable ma wszystkie szansę na to, żeby po raz drugi zostać gwiazdą."

Ale Ivonne Constable nie została po raz drugi gwiazdą. Ivonne Constable nie miała nawet, szans na to, żeby zostać gwiazdą. Miała tylko bardzo rzutkiego impresario, który zrobił jej doskonałą reklamę — doskonałą mimo faktu, że wszelka reklama, jak to zdołała w siebie wmo^wić, budziła w niej skryte przerażenie — opartą na jej

dawnych rozhukanych sukcesach; obiecywano jej karierę, i to było wszystko. W końcu szła samotnie po Virgil Ave-nue czy też Mariposa, pod zakurzonymi, umarłymi palmami posępnego i przeklętego Miasta Aniołów, szła pozbawiona nawet tej pociechy, że jej tragedia nie jest ani trochę mniej autentyczna przez to, że jest tak banalna. Bo jej ambicje aktorskie były zawsze trochę naciągane; w pewnym sensie zaciążyły nad nimi — rozumiała to teraz — zaburzenia w samych funkcjach jej kobiecości. Rozumiała to, i jednocześnie teraz, kiedy było już za późno (i teraz, kiedy po wszystkim, co przeżyła, wyrosła z Hollywood), wiedziała, że w innych okolicznościach mogła być stać się doskonałą, może nawet wielką aktorką. Bo czymże innym była, jeśli nie wielką aktorką (co prawda kierowaną przez wspaniałego reżysera), gdy szła czy jechała z wściekłością w sercu przez swoją udrękę, przez czerwone światła, odczytując — tak mógł odczytywać Konsul — zawiadomienie w oknach Ratusza: „Piękna Sala Kolumnowa zaprasza tancerzy” jako „Piekielna” lub „Uwaga, niszczenie chwastów” jako „Uwaga, niszczą nas tu”. Podczas gdy na parkanie zasłaniającym budowę... „Ankieta publiczna aktualnej chwili”... poruszało się bezustannie wahadło gigantycznego niebieskiego zegara. Za późno! I właśnie to — wszystko to — sprawiło może, że jej spotkanie z Jacques'em Laruelle'em w Quauhnahuac stało się czymś tak druzgocącym, tak zgubnym w jej życiu. Bo nie tylko łączył ich Konsul, dzięki czemu poprzez Jacques'a Ivonne mogła w jakiś niepojęty sposób dotrzeć do tego, czego dotąd nie znała: do niewinności Konsula — w pewnym sensie postużyć się nią nawet; z nim jednym mogła mówić o Hollywood (nie zawsze szczerze, ale z zapałem, z jakim bliscy krewni mówią o zniechęconym członku rodziny, i z jaką ulgą!) na wspólnej płaszczyźnie pogardy i porażki, do której tylko częściowo się przyznawali. Co więcej, okazało się, że ona i Jacques byli w Hollywood w tym samym roku, w 1932, że kiedyś nawet zaproszono ich na to samo przyjęcie, którego atrakcjami miało być: pieczenie mięsa na świeżym powietrzu, pły-

walnia i bar. I Jacques'owi Ivonne pokazała to, co ukrywała przed Konsulem — stare fotografie Ivonne Groźnej w ozdobionych frędzlami bluzkach z zamszu, spodniach do konnej jazdy i wysokich butach, w kapeluszu z szerokim rondem... Czy więc nie zauważyła na jego twarzy sekundy wahania, gdy zdumiony i zmieszany rozpoznał ją dzisiejszego straszego ranka, zastanawiała się Ivonne — bo przecież Hugh i ona byli w jakiś groteskowy sposób zamienieni!... A kiedyś w jego pracowni, kiedy czekali na Konsula i wiedzieli już, że czekają na próżno, Laruelle pokazał jej zdjęcia ze swoich starych filmów francuskich, z których jeden — mój Boże! — widziała w Nowym Jorku niedługo po wyjeździe z Hollywood. I znalazła się znów w Nowym Jorku (będąc w pracowni Jacques'a), stała owego mroźnego wieczoru na Times Square — mieszkała w hotelu „Astor” — i przyglądała się świetlnym wiadomościom prasowym biegnącym dookoła Times Building, wiadomościom o katastrofie, o samobójstwach, o bankructwie banków, o zbliżającej się wojnie, o niczym, i gdy stała tak w tłumie z głową zadartą, litery zniknęły nagle, uciekły w mrok, uciekły na koniec świata, czuła to, kiedy skończyły się wiadomości. Czy może chodziło o Golgotę? Osamotniona i wydziedziczona sierota, bankrut życiowy, a przecież bogata, a przecież piękna; szła, ale nie do hotelu, szła we wspaniałym futrze kupionym za alimenty

1 bała się wejść sama do knajpek, za których ciepłem tak tęskniła, szła nieszczęśliwsza od prostytutki; szła ścigana, bezustannie ścigana, szła przez odrętwiałe, rozświetlone, rozdygotane miasto; „najlepsze i najtańsze” — biły ją w oczy napisy, tytuły: *Dzielnica nędzy* albo *Romeo i Julia*,^a Potem znowu: „najlepsze i najtańsze”, i ta straszliwa ciemność utrzymywała się w jej mózgu, zaciemniała jeszcze bardziej jej sztuczną zamożną samotność, pełną poczucia winy, odrętwiała bezradność kobiety rozwiedzionej. Błyski światła elektrycznego trafiały prosto w jej serce — oszukiwały jednak; Ivonne uświadamiała sobie

² coraz większym przerażeniem, że ciemność istnieje w nich, że one rodzą ciemność. Mijała kaleki powoli ciągnące

nące nogami. Przechodzili obok niej szepczący cicho mężczyźni o twarzach, na których umarła wszystka nadzieja. Oprychy w fioletowych spodniach stały na chodniku, tam gdzie lodowaty wiatr wdzierał się do środka przez otwarte drzwi barów. I wszędzie ciemność, wszędzie mrok świata bezsensownego, świata bez celu •— „najlepsze i najtańsze” — ale na którym wszyscy prócz niej, zdawało się Ivonne, jakkolwiek obłudni, chamscy, samotni, okaleczali, odarci z nadziei, umieli odnaleźć czy to w widoku koparki pracującej na ulicy, czy to w podniesionym z chodnika niedopałku, czy w barze, czy zaczepiając ją, Ivonne — odnaleźć jakąś część wiary... *Le Destin de Ivonne Griffaton...* I oto stała, wciąż ścigana, przed wejściem do małej sali kinowej na Czternastej Ulicy, gdzie wyświetlano wznowienia i filmy zagraniczne. A tam, na fotosach, któż to jest ta samotna postać kobieca? To przecież ona, idzie przez te same ciemne ulice, ubrana jest nawet w to samo futro, tylko że reklamy nad nią i wokół niej obwieszczają; Dubonnet, Amer Picon, Les 10 Frattelinis, Moulin Rouge. A gdy wchodziła, jakiś głos mówił w ciemności: „Ivonne, Ivonne”, i gigantyczny koń o mglistych konturach, wypełniający cały ekran, zdawał się skakać prosto na nią; był to pomnik, obok którego przechodziła postać kobieca, a głos był głosem urojonym, który ścigał Ivonne Griffaton po ciemnych ulicach, a także samą Ivonne, jak gdyby prosto z ulic, nie zatrzymawszy się dla nabrania tchu, wstąpiła na ten ciemny świat ekranu. A na ekranie zobaczyła film ~=- jeden z tych, o których wiadomo natychmiast, nawet jeśli nie ogląda się ich od początku, że są najlepszymi filmami widzianymi w życiu; tak niezwykle przekonujący był jego realizm, że sam wątek treściowy, losy głównej postaci, wydawały się mało ważne wobec wymowy aktualnego momentu, wobec bezpośredniej groźby, wobec utożsamienia się z osobą prześladowaną, z osobą ściganą, w tym przypadku z Ivonne Griffaton czy też Ivonne Constable! Ale jeśli Ivonne Griffaton była ścigana, była prześladowana — film opowiadał najwyraźniej dzieje upadku bogatej Francuzki arystokratycznego

pochodzenia — sama z kolei też ścigała, też szukała po omacku czegoś na tym mrocznym świecie, tylko Ivonne początkowo nie mogła zrozumieć czego. Dziwaczne postacie płaszczyły się do ścian, znikwały w zaułkach, kiedy ona nadchodziła; były to najwyraźniej postacie z jej przeszłości jej kochankowie, jedyne mężczyzna, którego naprawdę kochała i który popełnił samobójstwo, jej ojciec — i jak gdyby szukając przed nimi schronienia Ivonne Griffaton weszła do kościoła. Modliła się, ale cień jednego z prześladowców padł na stopnie prezbiterium; był to jej pierwszy kochanek, ale już w następnej sekundzie Ivonne Griffaton śmiała się histerycznie, była w „Folies Bergeres”, była w Operze, orkiestra grała *Zazę* Leoncavalla; potem hazard, koło ruletki wirowało obłądnie, potem wróciła do swojego pokoju w hotelu; teraz film przeszedł w satyrę, szydził niemal z samego siebie: przodkowie Ivonne Griffaton ukazywali jej się szybko jeden po drugim, statyczne, martwe symbole egoizmu i klęski, ale w jej myślach opromienieni romantyzmem, bohaterscy — oparci w znużeniu o ściany więzienia albo stojący na wozach na drodze na gilotynę, gestykulujący drewnianymi gestami, rozstrzeliwani przez komunardów, rozstrzeliwani przez Prusaków, odważni w bitwie, odważni w śmierci. Teraz przyszedł ojciec Ivonne Griffaton, który był zamieszany w sprawę Dreyfusa, żeby z niej szydzić, żeby ją smagać słowami. Snobistycznie wybredna publiczność śmiała się albo kastała, albo rozmawiała cicho, ale prawdopodobnie większość widzów wiedziała to, czego Ivonne nigdy nie miała się dowiedzieć, mianowicie: w jakiej mierze obecna sytuacja Ivonne Griffaton była dziełem tych postaci i zdarzeń, w których uczestniczyła. Wszystko to było ukryte we wcześniejszych epizodach filmu. Ivonne musiałaby najpierw wycierpieć kronikę, film rysunkowy, dodatek zatytułowany *Życie afrykańskiej ryby dwudysznej* i wznowienie *Strasznej twarzy*, żeby się przekonać, ile z tego, co mogło nadać jakiś sens (choć nawet w to wątpiła) jej własnemu przeznaczeniu, było pogrzebane w dalekiej przeszłości Ivonne Griffaton i mogło powtórzyć się w jej własnej

przyszłości. I teraz stało się jasne, o co zapytywała samą siebie Ivonne Griffaton. Można powiedzieć, że dzięki angielskim napisom stało się aż nazbyt jasne. Cóż ona mogła zrobić dzwigając takie dziedzictwo? Jak mogła uwolnić się od tego starego człowieka mórz? Czy była skazana na nie kończące się tragedie, które miałyby stanowić — Ivonne Griffaton też nie mogła w to uwierzyć — jej udział w tajemniczej ekspiacji za nieznane grzechy ludzi dawno umarłych, a były po prostu pozbawione wszelkiego sensu? Więc jak to jest? Ivonne usiłowała znaleźć odpowiedź. Pozbawione sensu — a jednak, czy człowiek może być skazany przez los? Oczywiście mogła uromantyczniać sobie Constable'ów; mogła widzieć samą siebie albo udawać, że widzi, jako drobną, samotną postać noszącą we krwi przeklęte dziedzictwo przodków, ich słabości i szaleństwa (z braku szaleństw można je było wymyślić), mogła widzieć siebie jako ofiarę ciemnych sił — dotyczy to każdego i jest nieuchronne! — niezrozumianą i tragiczną, ale obdarzoną przynajmniej wolną wolą! Ale jaki jest pożytek z wolnej woli, jeśli nie posiada się wiary? Zrozumiała teraz, że był to również problem Ivonne Griffaton. A ona, Ivonne, też szukała wiary, szukała bezustannie i w obliczu wszystkiego, szukała jakiegokolwiek wiary — pomyślałby kto, że wiarę można znaleźć jak nowy kapelusz czy dom do wynajęcia! Tak, nawet to, co właśnie miała znaleźć i zaraz stracić, wiara w jakąś sprawę, było lepsze niż nic. Ivonne poczuła, że musi zapalić papierosa, a gdy wróciła na salę, wydało jej się, że poszukiwania Ivonne Griffaton uwieńczone zostały w końcu powodzeniem. Ivonne Griffaton o'dnalazła wiarę w samo życie, w podróż, w nową miłość, w muzykę Ravela. Dźwięki *Bolera* kroczyły pompatycznie, nazbyt rozwlekłe, przytupując i trzaskając obcasami i Ivonne Griffaton była w Hiszpanii, we Włoszech; widać było morze, Algier, Cypr, pustynię pełną miraży, Sfinksa. Co to wszystko znaczy? Europa, pomyślała Ivonne. Tak, dla niej oczywiście Europa, wielka podróż, wieża Eiffla — o czym wiedziała od dawna. Ale jak się to dzieje, że ona, posiadając tak

ogromną zdolność chłonięcia życia, nie umiała zadowolić się tylko wiarą w „życie”? Gdybyż to było wszystko!... Nie wystarczała jej wiara w bezinteresowną miłość... w gwiazdy! Może powinno jej było wystarczyć. A jednak, a jednak to prawda, że nigdy się nie rezygnuje, nigdy nie traci się nadziei, nigdy nie przestaje się szukać po omacku sensu, wzoru, odpowiedzi...

Byk opierał się jeszcze jakiś czas wrogim siłom sznurów, wkrótce jednak, rzucając łbem na boki długimi, omiatającymi ruchami tuż nad ziemią, ustąpił ponuro i położył się w kurzu; chwilowo zwyciężony, lecz nadal czujny wyglądał teraz jak fantastyczny owad schwytany w gigantyczną, rozdygotaną sieć... Śmierć czy też pewna odmiana śmierci, jak zdarzało się często w życiu; a potem jeszcze raz odrodzenie. *Charros* obwiązywali byka dziwnymi węzłami, przygotowywali go dla ewentualnego jeźdźcy, jeżeli się taki znajdzie.

— Dziękuję. — Hugh podał jej butelkę habanero, też z roztargnieniem. Wypiła łyk i podała Konsulowi, który siedział trzymając butelkę ponuro w ręce, ale nie pił. Nie pił ... i przyszedł na postój autobusów!

Ivonne rozejrzała się po trybunach. Prócz starej Meksy-kanki sprzedającej *pulque* nie było poza nią w tłumie ani jednej kobiety. Nie, omyliła się. W pewnej odległości od nich para Amerykanów wchodziła na rusztowanie, kobieta ubrana w szaroniebieski kostium i mężczyzna w okularach w rogowej oprawie, trochę przygarbiony, z włosami opadającymi mu na kark, wyglądający na dyrygenta; ona i Hugh widzieli ich na *zocalo*, na rogu Novedades, kupowali *huaraches* *, dziwaczne grzechotki i maski, i trochę później z autobusu; stali na stopniach kościoła i obserwowali ludowe tańce. Ileż szczęścia zdawali się znajdować w sobie; byli kochankami, może małżeństwem w podróży poślubnej. Przyszłość rozciągała się przed nimi czysta i gładka jak błękitne, ciche jezioro — i myśląc o tym Ivonne poczuła w sercu lekkość; tak lekkie jest serce ucz-

¹sandały (hiszp.)

niaka, który na wakacjach wstaje wczesnym rankiem i znika w słońcu.

Natychmiast zaczął zarysowywać się jej w myślach szałas, o którym mówił Hugh. Tylko że to nie był szałas — to był dom, rodzinny dom! Stał na grubych, solidnych palach sosnowych pomiędzy lasem — w którym rosły sosny i wysokie, wysokie rozkołysane olchy, i smukłe brzozy — a morzem. Kręta wąska ścieżka prowadziła w górę przez las do sklepu, a obok ścieżki maliny i jeżyny, i krzaki czarnych jagód odbijały w bezchmurną, mroźną zimową noc blask tysiąca księżyców; za domem zaś dereń dwukrotnie w ciągu roku zakwitał białymi gwiazdami. Narcyzy i śnieżyczki rosły w ogródku. Był obszerny ganek, na którym siadywali w wiosenne poranki, i pomost wychodzący prosto w morze. Ten pomost wybudują własnymi rękami w czasie odpływu, będą wbijali pal po palu w pochyłość spadzistej plaży. Wybudują pomost pal po palu i pewnego dnia będą już mogli skakać z niego prosto w morze. Morze będzie niebieskie i chłodne, a oni będą pływali w nim co dzień i co dzień będą wracali po drabinie na swój pomost i biegli do domu. Widziała teraz dom wyraźnie; był mały i wybudowany z gontów wysrebrzonych na słońcu i wichrach, drzwi miał czerwone, okna na zawiasach otwarte ku słońcu. Widziała zastony, które sama uszyje, widziała biurko Konsula, jego ulubiony stary fotel, łóżko przykryte barwnymi indiańskimi kocami, żółte światło lamp na tle niezwykłego błękitu długich czerwcowych wieczorów, dziką jabłoń, która częściowo podpierała otwarty drewniany taras, na którym Konsul

acowałby w lecie, wiatr w ciemnych drzewach nad nimi i pianę fal bijących o brzegi podczas jesiennych sztormów; i widziała obracające się jak koło młyńskie refleksy słońca w wodzie (tak jak Hugh opisał te na ścianach „Cerveceria Quauhnahuac”), tylko że tu przesuwały się przed ich domem, przesuwały się po szybach okien, po ścianach refleksy słońca, które powyżej ich domu i za domem zmieniały młode pędy sosen w kity zielonego jedwabnego sznurka; a wieczorem staliby na pomoście i obser-

wowali gwiazdozbiory: Skorpiona, Trójkąt, Wolarza i Wielką Niedźwiedzicę, tylko że wtedy refleksy jak koło młyńskie byłyby refleksami księżycy w wodzie, przesuwającymi się bezustannie po wysrebrzonych gontach drewnianych ściap, księżycy, który wyhaftuje też na wodzie ich falujące okna...

I to było możliwe. To naprawdę było możliwe! To wszystko istniało, czekało na nich. Ach, gdyby była teraz sama z Geoffreyem i mogła mu o tym powiedzieć! Hugh, w swoim kowbojskim kapeluszu na tyle głowy, opierający nogi w wysokich butach na siedzeniu przed sobą, wydawał się intruzem, kimś obcym, kimś, kto był częścią widowiska na arenie. Obserwował zakładanie uprzęży na byka z ogromnym zainteresowaniem, ale gdy poczuł na sobie jej spojrzenie, opuścił nerwowo powieki, sięgnął do kieszeni i znalazłszy paczkę papierosów, bardziej dotykaniem niż wzrokiem utwierdził się, że jest pusta.

A na arenie butelka krążyła z rąk do rąk jeźdźców, którzy z kolei podali ją mężczyznom krzającą przy byku. Dwaj jeźdźcy galopowali bez celu dookoła areny. Widzowie kupowali lemoniadę, owoce, frytki, *pulque*, Konsul wykonał taki gest, jakby chciał kupić *pulque*, ale rozmyślił się i siedział zaciskając palce na butelce habanero.

Na arenę znowu wgramolili się pijacy, znowu chcieli dosiąść byka; nagle stracili zainteresowanie, stali się amatorami koni, konie też im się znudziły, po czym ledwie trzymających się na nogach przepędzono ich z areny.

Wrócił olbrzym ciągnąc dyszącą, zgrzytającą „Rakieta” i zaraz zniknął, jak gdyby go wessała własna maszyna. Tłum nagle zamilkł, zrobiło się tak cicho, że Ivonne słyszała teraz odgłosy, które mogły być echem festynu w Quauhnahuac.

Milczenie jest tak zaraźliwe jak śmiech, pomyślała Ivonⁿe, niezręczne milczenie jednej grupki ludzi prowokuje gburowate milczenie drugiej grupki ludzi, to zaś z kolei wywołuje bardziej ogólne i bezsensowne milczenie trze^c*eJ grupki — aż w końcu cisza obejmuje wszystko. Niezwykła jest potęga takiej nagłej, dziwacznej ciszy.

... dom pocentkowany przymglonym światłem padającym miękka poprzez młode listki, a potem mgła odchodzi ponad wodą i szczyty gór zawsze białe od śniegu ukazują swoje ostre i wyraźne kontury na tle błękitnego nieba i błękitny dym (bo pod kuchnią pali się drzewo, które morze wyrzuca na brzeg) ulatuje zwojami z komina; szopa o pochyłym, krytym gontami dachu, na który osypują się kwiaty dereni, i w szopie cuda: siekiera, łopaty, grabie, szpadeł; i głęboka, chłodna studnia, a nad nią umieszczona opiekuńcza postać — drewniana rzeźba wyrzucona na brzeg, szczątek rozbitego okrętu; stary kociołek, nowy ko- J ciołek, imbryk na herbatę, imbryk na kawę, podwójny ^ boiler w kuchni, rondle, szafa. Geoffrey pracuje na dworze, pisze odręcznie, bo tak lubi, a ona stuka na maszynie przy biurku pod samym oknem — bo nauczy się pisać na maszynie i będzie przepisywała na czysto wszystkie jego rękopisy, będzie odczytywała to pochyłe pismo z niezwykłymi, greckimi „e” i dziwaczными „t” i siedząc przy pracy zobaczy fokę, która wynurzy się z wody, rozejrzy i cicho zniknie znów w morzu. Albo czapla wyglądająca tak, jak gdyby była zrobiona z tektury i sznurka, przefrunie bijąc ciężko skrzydłami, wylądjuje majestatycznie na skale i stanie wysoka i nieruchoma. Jaskółki i zimorodki śmigają za oknami i przysiadają na ich pomoście. Albo przepłytnie mewa przycupnięta na kawałku drewna dryfującego na wodzie, z łebkiem wsuniętym pod skrzydła — kołyszac się, kołyszac ruchem fal... Całą żywność kupują w sklepiku za lasem, jak Hugh powiedział, i nie widują nikogo prócz kilku rybaków, których białe kutry stoją w zimie zakotwiczone w zatoce. Ona gotuje i sprząta, Geoffrey rąbie drzewo i przynosi wodę ze studni. I pra-cująNiad książką Geoffreya, która przyniesie mu światową sławę. Tylko że w jakiś niedorzeczny sposób będzie im to obojętne, nie wyrzekną się swojego życia w prostocie i miłości, w domu między lasem i morzem. A w połowie odpływu spoglądają z pomostu w płytką, przezroczystą wodę, na turkusowe, pomarańczowe, fioletowe rozgwiezdy i na prześlizgujące się wśród kamieni obroś-

niętych skorupiakami małe, brązowe, aksamitne kraby jak aksamitne poduszeczki do szpilek w kształcie serca. A w niedzielę na zatoczce promy przepływają co chwilę, ciągnąc za sobą po wodzie piosenkę...

Widzowie odetchnęli z ulgą, na trybunach rozległ się szmer jak suchy szelest liści, coś — Ivonne nie wiedziała co — dokonało się wreszcie na arenie. Głosy zaczęły brzęczeć, powietrze dygotało znów od okrzyków, wielostów-nych obelg, ripost.

Eyk gramolił się ciężko na nogi podnosząc na grzbiecie jeźdźca, grubego, rozczochranego Meksykańczyka, którego cała ta zabawa zdawała się niecierpliwic i irytować. Byk też wyglądał na zirytowanego, stał i nie ruszał się z miejsca.

Na trybunie naprzeciwko orkiestra zaczęła grać fałszując przeraźliwie *Guadalajara*. Guadalajara, Guadalajara — śpiewała połowa orkiestry...

— Guadalajara — powiedział Hugh akcentując kolejno sylaby.

Bum bam, bum bum bam, bum bum bam — dudniły gitary. Jeździec spojrzał wściekle na orkiestrę, chwycił mocniej sznur owinięty dokoła szyi byka, szarpnął i przez chwilę zwierzę rzeczywiście robiło to, czego się po nim najwyraźniej spodziewano — otrząsało się gwałtownie i podskakiwało odrywając od ziemi wszystkie cztery kopyta jednocześnie. Wkrótce jednak wróciło do swojego dawnego spacerowego kroczenia. A gdy zrezygnowało ostatecznie z udziału w zabawie, jazda na nim nie przedstawiała żadnych trudności; byk obszedł raz niezdarnie arenę i skierował się prosto do swojej zagrody (otwartej pod naporem tłumu na ogrodzenie), do której cały czas skrycie tęsknił, drepcząc krokiem nagle zdecydowanym i z niewinną miną.

Trybuny śmiały się jak z kiepskiego dowcipu; był to śmiech dostrojony do następnego z kolei niepowodzenia i w pewnym sensie przez nie spotęgowany; otóż ukazał się przedwcześnie drugi byk, wypadł prawie galopem z otwartej zagrody — zmuszony do ucieczki okrutnymi szturchańcami, razami, pchnięciami, którymi usiłowano

go zatrzymać — na arenę, potknął się i wyciągnął jak długi w kurzu.

Ujeżdżacz pierwszego byka, ponury i shańbiony, zeszedł na ziemię już w zagrodzie; doprawdy trudno było mu nie współczuć, gdy stał koło ogrodzenia drapiąc się w głowę i usprawiedliwiając swoją klęskę przed chłopcem cudownie utrzymującym równowagę na najwyższej poprzeczce płotu.

...I może jeszcze w tym miesiącu, jeżeli babie lato spóźni się trochę, będzie stała na ganku spoglądając ponad rękopisami Geoffreya, spoglądając ponad jego ramieniem na wodę, i może zobaczy archipelag opalizujących wysepek z piany i gałęzi, i zeschniętych paproci — a jednak taki piękny, taki piękny — i odbicie wysokich olch, prawie teraz bezlistnych, rzucających smukły cień na aksamitne kamienie jak poduszeczki do szpilek, po których aksamitne kraby pomykają wśród nielicznych zatopionych liści...

Drugi byk, po dwóch obojętnych próbach podźwignięcia się na nogi, leżał dalej w kurzu; samotny jeździec przegalopował w poprzek areny wymachując sznurem i wrzeszcząc ochryple: — Booaa, chooa, booa — ... zjawilo się kilku nowych *charros* z dodatkowymi sznurami; przypędził nie wiadomo skąd psiak, zataczał kręgi wokół byka; nic z tego nie wynikło. Nie zdarzyło się nic rozstrzygającego i mało było prawdopodobne, żeby cokolwiek zdołało poruszyć drugiego byka, któremu zakładano niedbale sznury.

Wszyscy przyjęli z rezygnacją nowe długie oczekiwanie, nową długą ciszę, podczas gdy *charros* na arenie przystąpili z nieczystym sumieniem i bez zapału do zakładania sznurów na drugiego byka.

— Oto leży. na arenie biedny byk — mówił Konsul — biedny byk i mówi, że nie... Kochanie, czy pozwolisz mi wypić odrobinę] maleńko, *poquitin*... Pozwolisz? Dziękuję. Będzie czekał wśród udręki na piekielnych sznurów męki...

...i na powierzchni złote liście, i purpurowe, i jeden zielony, a z nimi niedopatek jej papierosa tańcząc płyną

z prądem... i jaskrawe jesienne słońce jarzy się spod kamieni...

—Albo będzie czekał wśród — czemu nie?
— siedmiu
udręk na piekielnych sznurów pęk. Powinien
teraz wejść
na arenę opasy Cortez, żeby spojrzeć na byka
nieszczęsne
go, bo był to człowiek usposobiony najmniej
pokojowo z ro
dzaju ludzkiego... Powinien stanąć na
szczybie wzgórza
dużego... w Quauhnahuac. Chryste, co za
obrzydliwe wi
dowisko...

—Prawda? — Ivonne odwróciła się i
pomyślała, że wi
dzi naprzeciwko, pod podium orkiestry,
mężczyznę w ciem
nych okularach, który był dzisiaj rano obok
hotelu „Bella
Vista” i potem... czy jej się tylko
zdawało?... stał obok
Pałacu Corteza. — Geoffrey, kto to jest?

—Właściwie dziwna sprawa z tym bykiem
— ciągnął

Konsul. — Tak się jakoś wymyka. Jest
wrogiem, to wia
domo, ale dzisiaj nie chce współpracować.
Kładzie się...

A raczej po prostu upada. Spójrz, zupełnie
zapomniał, że
jest wrogiem, tak się przynajmniej zdaje,
więc się go
głaszcz... Przy następnym spotkaniu
można w ogóle nie
dostrzec w nim wroga.

—*Es ist vielleicht* zwyczajny wół —
wyszeptał Hugh.

—Wołokretyn... inteligentny głupiec.

Zwierzę leżało dalej obojętne, ale chwilowo
nikt się nim nie interesował. Ludzie na arenie
zbili się w grupki, dyskutowali. Jeźdźcy też
toczyli spory, kręcąc się tu i tam po arenie.

Nie wszczęto jednak żadnej konkretnej
akcji, nic też takiej akcji nie zapowiadało.
Kto dosiądzie następnego byka? — oto było
zasadnicze pytanie, które zdawało się wisieć
w powietrzu. A co z pierwszym bykiem, który
awanturował się dziko w zagrodzie i
koniecznie chciał wrócić na plac boju, co by
zresztą zrobił, gdyby nie powstrzymywano go
z największym trudem. Tymczasem uwagi,
które Ivonne słyszała wszędzie dokoła, były
echem sporu na arenie. Pierwszemu
jeźdźcowi nie dano uczciwej szansy,

—Może to jest (mem.)

verdad? No, hombre, trzeba mu dać jeszcze jedną szansę. Nieeemożhwe, przewidziany jest następny jeździec. *Vero*, nie ma go na trybunach czy też nie mógł przyjechać, czy też jest na trybunach, ale nie dosiądzie byka, czy też nie ma go, ale robi, co może, żeby zdążyć na czas, *verdad!* Swoją drogą, nie zmieniło to w niczym sytuacji ani nie dało pierwszemu jeźdźcowi sposobności do ponowienia próby.

Pijacy z niezmienną gorliwością rwali się do roli zastępców; jeden z nich siedział teraz na grzbiecie byka, udawał nawet, że jedzie, chociaż zwierzę ani drgnęło. Pierwszy jeździec, który miał minę bardzo zasepioną, ściągnął pijaka na ziemię; w samą porę, bo w tym momencie byk obudził się i przewrócił na drugi bok.

Mimo wszystkich złośliwych uwag pierwszy jeździec miał już ponowić próbę, gdy... nie. Ta obelga była zbyt bolesna, w żadnym wypadku nie dosiądzie więcej byka. Wrócił pod ogrodzenie, żeby udzielić dodatkowych wyjaśnień chłopcu, który nadal utrzymywał równowagę na najwyższej poprzeczce.

Mężczyzna w ogromnym sombrero wrzasnął prosząc o ciszę i wymachując rękami przemówił do zebranych. Zwracał się do nich o coś: albo prosił, żeby okazali jeszcze trochę cierpliwości, albo może nawoływał, żeby się zgłaszali na ochotnika.

Ivonne nie miała się nigdy dowiedzieć, o co prosił mężczyzna w sombrero, bo w tym momencie zdarzyło się coś niestychanego, coś komicznego, ale co miało w sobie nagłość trzęsienia ziemi...

Sprawcą był Hugh. Zrzuciwszy kurtkę zeskoczył z trybuny na arenę i biegł teraz w kierunku byka, z którego może dla żartu, a może dlatego, że wzięto Hugh'a za przewidzianego w programie jeźdźca, pęta zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ivonne zerwała się z miejsca, Konsul stanął obok niej/

— Chryste, co za przekłety głupiec!

— i prawda? (hiszp.)

¹ Wbrew przewidywaniom drugiemu bykowi nie było bynajmniej obojętne, że zdjęto z niego sznury, a ponieważ zaniepokoił go ponadto wrzask, jakim trybuny powitały przybycie jeźdźca, podźwignął się z rykiem na nogi. Hugh siedział mu już na grzbiecie i teraz tańczył obłąkany taniec na środku areny.

— Niech diabli tego durnia! — powiedział Konsul.

Hugh trzymał sznury wokół szyi byka mocno jedną ręką, drugą zaś okładał boki zwierzęcia, przy czym robił to naprawdę umiejętnie. Ivonne stwierdziła ze zdziwieniem, że wciąż jeszcze potrafi być kompetentnym sędzią. Ivonne i Konsul usiedli.

Byk uskoczył w lewo, potem w prawo, podrywając obie przednie nogi jednocześnie, jak gdyby były związane sznurem. Następnie ukląkł; podźwignął się znów, zły¹. Ivonne usłyszała, że Konsul pije habanero, potem, że korkuje butelkę.

— Chryste...

— Nie denerwuj się, Geoff. Hugh wie, co robi.

— Przeklęty głupiec...

— Hugh da sobie radę... gdziekolwiek się tego nauczył.

— Błazen... bydlak.

Trzeba przyznać, że byk, naprawdę teraz rozbudzony, robił, co mógł, żeby rzucić Hugh'a. Bił kopytami o ziemię, zmuszał się do skoków przypominających skoki żaby, nawet czołgał się na brzuchu. Hugh trzymał się mocno. Widzowie wybuchali śmiechem i bili brawo, jednakże Hugh, którego naprawdę można było teraz wziąć za Meksykan-czyka, miał minę poważną, nawet surową. Przechylony do tyłu, trzymał się grzbietu zwierzęcia z uporem, dźgał obcasami jego spienione boki.

— Moim zdaniem on nie robi tego, żeby się popisać —

powiedziała Ivonne z uśmiechem. Nie, po prostu poddawał się swojej absurdalnej potrzebie działania, którą rozjątrzył w nim ten rozlazły, bezlitosny dzień.

Wszystkie jego myśli skoncentrowały się teraz na jednym — żeby rzucić tego

nieszczęsnego byka na kolana. „Tak chcesz się zabawić?”

Ja też lubię taką zabawę. Z jakichś powodów nie lubisz

tego byka? Doskonale, ja też go nie lubię." Czuła, że taka jej postawa w jakiś sposób pomaga Hughowi skupić całą wolę na klęsce byka. Zresztą nie wiedziała dlaczego, ale obserwując go prawie nie odczuwała niepokoju. Można było mieć do niego w tej sytuacji nieograniczone zaufanie, jak można było mieć zaufanie do wyścigowego kierowcy, do akrobata na linie, do blacharza na dachu wysokiej wieży. Odczuwało się nawet, przy czym uczucie to nie było pozbawione ironii, że Hugh nadaje się najlepiej do takich właśnie rzeczy, i Ivonne przypomniawszy sobie ze zdziwieniem swoje przerażenie, kiedy Hugh skoczył dzisiaj rano na parapet mostu nad *barranca*.

— Co za ryzyko... dureń — powiedział Konsul pijąc habanero.

Ale prawdę mówiąc kłopoty Hugh'a dopiero *się* zaczynały. Gromada *charros*, mężczyzna w sombrero, dziecko, które ugryzło pierwszego byka w ogon, *hombres* wymachujący pelerynami i szmatami, nawet mały psiak, który znowu wśliznął się na arenę przez dziurę w płocie — wszystko i wszyscy zbliżali się kręgiem, żeby mu utrudnić zadanie.

Ivonne uświadomiła sobie nagle, że na północnym wschodzie czarne chmury wstępują na niebo, chwilowa złowroźna ciemność, która stworzyła nastrój wieczoru; grzmot rozległ się w górach, pomruk pojedynczy, metaliczny, podmuch wiatru szedł przez korony drzew, zginał je; było dziwaczne, nierealne piękno w scenie przed jej oczami: białe spodnie i barwne peleryny mężczyzn wabiących byka błyszczały na tle ciemnych drzew i ponurego nieba; konie, które stały się nagle obłokami kurzu, jeźdźcy wychylający się daleko z siodła i ciskający zwoje *lin* w zapamiętaniu — tu, tam, wszędzie. A pośrodku tego wszystkiego irytujący, a jednak w jakiś sposób wspaniały popis sprawności Hugh'a i wysoko na drzewie chłopiec, któremu wiatr rozwiewał obłąkańczo włosy.

Orkiestra zaczęła grać na wietrze *Guadalajara*, a byk ryczał utkwivszy rogami w ogrodzeniu; miotał się bezradny i wtedy dźgano go patykami i w resztki jąder, łachotano prętami, drapano nożem, a gdy uwolnił się i zno-

wu zaplątał, poszły nawet w ruch grabie ogrodowe, ciskano piasek i gnój w jego czerwone ślepie; nie było końca temu dziecinnemu okrucieństwu.

— Kochany — wyszeptała nagle Ivonne. — Geoffrey,..
spójrz na mnie. Postuchaj, cały czas myślałam teraz... nic nas tu nie trzyma... Geoffrey...

Konsul blady, bez okularów, spoglądał na nią żałośnie; twarz miał zlaną potem, dygotał na całym ciele.

— Nie — powiedział. — Nie... nie! — dodał tonem prawie histerycznym.

— Geoffrey, kochany... nie drzyj... czego się boisz? Przez cieź moglibyśmy wyjechać... teraz, jutro, dzisiaj? Co nas tu trzyma?

— Nie...

— Ach, byłeś dla mnie dzisiaj taki dobry...

Konsul objął ją ramieniem, oparł wilgotną głowę o jej włosy, jak dziecko, i zdawało się przez chwilę, że duch--orędownik, duch czułości unosi się nad nimi, strzeże ich, pilnuje. Konsul powiedział w znużeniu:

— Tak, moglibyśmy wyjechać. Na miłość Jezusa Chrystusa, wyjedźmy stąd, wyjedźmy daleko, tysiąc, milion mil stąd... dokądkolwiek, byle daleko stąd, Ivonne. Daleko od tego wszystkiego. Chryste, daleko od tego wszystkiego.

...pod niebo rozgwieżdżone w chwili wstawania, z Wenus i złotym księżycem o wschodzie słońca, a w południe błękitne góry przysypane śniegiem i błękitna, zimna, rwąca woda...

— Czy naprawdę chcesz?

— Czy naprawdę chcę!

— Kochany... — Ivonne wydało się, że nagle zaczęli mówić, że porozumiewają się w pośpiechu jak więźniowie, którzy nie mają dużo czasu na rozmowę; Konsul ujął jej rękę. Siedzieli przytuleni do siebie, ze złączonymi dłońmi, dotykając się ramionami. Na arenie Hugh wyęczał wszystkie siły; byk też wyęczał wszystkie siły, uwolnił się, ale rozwścieczony grzmocił teraz na oślep w różne miejsca ogrodzenia, przypominające mu zagrodę,

którą tak nie-
Wcześniej opuścił, a gdy w końcu odnalazł
bramę, zmęczo-

22 — Pod wulkanem 337

ny, zaszczyty, uderzał w nią raz po raz z zacieklą, słabnącą goryczą, dopóki nie zgubił jej znowu wyprowadzony z równowagi przez psiaka obszczekującego mu pięty... Hugh objeżdżał arenę w koło na byku, który tracił siły.

—To nie byłaby ucieczka... chcę powiedzieć, zacznijmy naprawdę od początku, Geoffrey, zacznijmy gdzieś wszyst-
" ko od nowa. To mogłoby być jak ponowne narodziny...

—Tak. Mogłoby...

—Ja już teraz chyba wiem, nareszcie widzę wszystko wyraźnie. Och, Geoffrey, nareszcie chyba wiem, jak to powinno być.

—Tak, ja też chyba wiem.

W dole na arenie byk znowu utkwiał rogami w sztachetach.

— Kochany...

...Przyjadą na miejsce pociągiem, pociągiem, który wę- . drował przez skąpaną w wieczornym blasku krainę pół tuż nad odnogą Pacyfiku...

—■ Ivonne.

—Tak, kochany?

—Upadłem jakoś... wiesz. ,

—To nic, kochany.

—...Ivonne.

—Tak?

—Kocham cię... Ivonne?

—Och, ja ciebie też kochani!

—Moja najdroższa... Moja jedyna.

—Och, Geoffrey. Naprawdę moglibyśmy być szczęśliwi, moglibyśmy...

—Tak... moglibyśmy.

...a daleko po drugiej stronie wody czeka domek...

Nagle rozległ się grzmot braw i prawie jednocześnie burza przyśpieszonych gitarowych dźwięków popłynęła na wietrze; byk wyplątał się ze sztachet i znowu zapanowało ożywienie. Hugh i byk szamotali się przez chwilę w środku małego kółka utworzonego przez tych wszystkich, którzy byli na arenie, a potem nie było już widać nic prócz gęstych kłębow kurzu; brama zagrody po ich lewej pękła

z hukiem uwalniając resztę byków, w tym tego pierwszego który był zapewne odpowiedzialny za ten szturm; zwierzęta wypadły na arenę wśród radosnych wrzasków publiczności, parskając rozbiegały się na wszystkie strony. Hugh nie było przez chwilę widać, mocował się ze swoim bykiem na przeciwległym końcu areny; nagle po tej stronie trybun ktoś wrzasnął przeraźliwie. Ivonne uwolniła się z objęć Konsula i wstała.

— Hugh... coś niedobrego.

Konsul podniósł się niepewnie. Przytknął butelkę habanero do ust i pił, pił, wypił prawie do dna. Powiedział:

— Nie bardzo widzę. Ale to raczej coś z bykiem.

Wciąż nie sposób było dojrzeć, co się dzieje na drugm

końcu areny, pośród spowitego kurzem chaosu byków, koni, sznurów. Potem Ivonne zobaczyła, że to istotnie byk jest sprawcą zamieszania: wyczerpany położył się znów w kurzu. Hugh zeszedł spokojnie na ziemię, ukłonił się wiwatującej publiczności i klucząc między innymi bykami przeskoczył przez ogrodzenie. Ktoś podał mu kapelusz.

— Geoffrey... — rzuciła Ivonne w pośpiechu. — Wcale nie liczę na to, że ty... chcę powiedzieć... wiem, że to nie będzie takie...

Ale Konsul dopijał habanero. Zostawił jednak odrobinę dla Hugh'a.

Kiedy schodzili w dół do Tomalin, niebo nad ich głowami było znów błękitne; za Popocatepetl gromadziły się wciąż burzowe chmury, skłębione i fioletowe, podświetlone jaskrawym przedwieczornym słońcem, którego promienie padały też na inne jeszcze srebrzyste jezioro, nęcące roziskrzoną świeżością i chłodem, jezioro, którego Ivonne ani nie zauważyła idąc na arenę, ani nie pamiętała.

• — Biskup Tasmanii — mówił Konsul — czy też ktoś, kto umierał z pragnienia na tasmańskiej pustyni, miał podobne przeżycie. Pocieszał się przez jakiś czas myślą o dalekiej perspektywie góry Cradle. a potem zobaczył tę wodę... Niestety okazało się, że jest to tylko blask

**słońca padającego na miliony stłuczonych
butelek.**

22*

339

Jeziorko było sztuczonym dachem cieplarni na terenie *El Jardín Xicotancatl*; tylko chwasty rosną w cieplarni.

Ale ich dom wypełniał wszystkie myśli Ivonne, gdy wyszli z areny; ich dom był prawdziwy. Ivonne widziała ich dom o świcie, widziała w długie popołudnia podczas południowo-zachodniego wiatru, a wieczorem widziała go przy blasku gwiazd i blasku księżyca, przyprószony śniegiem; widziała go z góry, od strony lasu, dach i komin u jej stóp, skrócony w perspektywie pomost; widziała go od strony plaży, wznoszący się wysoko nad nią, i widziała go z oddali, z morza — małe przystań i latarnia morska na tle drzew. Ale krucha łódź ich rozmowy została zakotwiczona tak niepewnie; Ivonne słyszała, jak uderza o skały; później wciągnie ją dalej na ląd, o bezpieczne miejsce... Tylko dlaczego — dlaczego w samym środku jej mózgu tkwił obraz kobiety w ataku histerycznego płaczu, podrygującej jak marionetka i bijącej pięściami o ziemię?

■ — Naprzód marsz do „Salon Ofelia” — zawołał Konsul.

Gorący burzowy wiatr wionął na nich, opadł; gdzieś w oddali dzwon odezwał się oszalałym trójgłosem.

Ich cienie pełzły przed nimi w kurzu, prześlizgiwały się po białych, spragnionych ścianach domów, na chwilę zaplątały się beznadziejnie w elipsie cienia rzucanego przez koło roweru chłopca, który właśnie skręcał.

Szprychowany cień koła — ogromny, zuchwały — odplynął.

Teraz ich własne wydłużone cienie padały przez plac w kierunku bliźniaczych wahadłowych drzwi tawerny „*Todos Contentos y Yo Tambien*”; w szparze pod drzwiami zauważyli coś, co wyglądało jak dolna część kul, ktoś wychodził. Kule nie ruszały się; ich właściciel rozmawiał stojąc przy drzwiach, może pił pożegnalną szklaneczkę. Potem kule zniknęły i przez otwartą teraz połówkę drzwi jakiś kształt wynurzył się ze środka.

Zgięty we dwoje, jęcząc pod nieznośnym ciężarem, stary kulawy Indianin niósł na plecach, przy pomocy rzemienia, który był owinięty pętlą dokoła jego czoła, jesz-

cze starszego i bardziej kalekiego Indianina. Niósł starszego od siebie człowieka i jego kule, dygocąc pod tym ciężarem przeszłości, niósł brzemię jego i swoje.

Odprowadzali wzrokiem Indianina, gdy wraz ze starcem na plecach zniknął za zakrętem drogi, odchodził w wieczór ciągnąc nogi w strzępach sandałów przez szarobiaty kurz.

— Mescal — powiedział Konsul prawie w roztargnieniu. Co on powiedział? Mniejsza o to. Nic poniżej mes-calu nie załatwi sprawy. Ale nie powinien to być mescal traktowany zbyt poważnie, przekonywał siebie Konsul. — No, señor Ceivantes — wyszeptał. — Mescal, *poquito*.

...Niemniej jednak, pomyślał Konsul, nie idzie tylko

O to, że nie powinien pić mescalu, nie tylko o to, nie, było to bardziej jak gdyby coś zgubił czy stracił, a włość ciwie trudno powiedzieć, że zgubił, trudno powiedzieć, że stracił... Było to bardziej, jak gdyby czekał na coś i jak gdyby me czekał. Było prawie tak, jak gdyby stał (nie na progu „Salon Ofelia”, patrząc na pusty basen kąpielowy, w którym Ivonne i Hugh mieli pływać) ponownie na czarnym, odkrytym peronie dworca, za którym rosły bławatki

1spireje; przyszedł na ten peron po przepitej nocy, żeby przywitać Lee Maitland powracającą z Virginii o siódmej czterdzieści rano, przyszedł z uczuciem lekkości w głowie, lekkości w nogach i w takim stanie ducha, w jakim do prawdy budzi się anioł Baudelaire'a, pragnąc może wychodzić na pociągi, ale nie na pociągi, które się zatrzymują, bo w myślach anioła nie ma pociągów, które się za trzymują, i z takich pociągów nikt nie wysiada, nie wysiada nawet inny anioł, nawet jasnowłosy anioł jak Lee Maitland... Czy pociąg miał spóźnienie? Dlaczego on przejechał się po stacji? Czy zawiadowca powiedział, że Lee

] Maitland miała przyjechać drugim czy trzecim pociągiem

**z Suspension Bridge? Co powiedział tragarz?
Czy to możliwe, że ona jedzie tym
pociągiem? Kto ona jest? To wy-**

342

kluczone, żeby Lee Maitland jechała
którymś z tych pociągów. Zresztą to są
ekspresy. Szyny pięły się w oddali pod górę.
Daleko samotny ptak przeleciał w poprzek
szyn bijąc skrzydłami. Po prawej stronie
przejazdu kolejowego, niedaleko, stało
drzewo jak znieruchomiąły, zielony wybuch
miny morskiej. Najpierw obudziła się
fabryka cebuli w proszku przy boczniczy
kolejowej, potem składy węglowe. „Nasz
węgiel jest czarny, ale rozgrzewa was do
białości. Kupujcie węgiel Daemona...”
Wczesny ranek nasycił się rozkosznym
zapachem zupy cebulowej na bocznych
uliczkach Vavin. Umorusani robotnicy
kolejowi tuż obok pchali przed sobą taczki
lub przesiewali węgiel. Rzędy martwych
lamp jak wzniesione pionowo i gotowe do
ciosu węże stały wzdłuż peronu. Po drugiej
stronie były chabry, mniszek i mosiężny
kubek na śmieci jak rozżarzo--ny piecyk
żarzący się wściekle, samotny pośród
spirei. Ranek stał się upalny. A teraz jeden
po drugim straszne pociągi ukazywały się
ponad podwyższonym horyzontem,
rozmigotane mirażem: Najpierw daleki świst,
potem przerażające wytryskiwanie czarnego
dymu, znikąd powstała ogromna kolumna,
nieruchoma, potem okrągły kadłub jak gdyby
nie na szynach, jak gdyby jadący w innym
kierunku albo zatrzymujący się, nie
zatrzymujący się, umykający w bok przez
pola, jak gdyby zatrzymujący się; o, Boże,
nie zatrzymujący się; w dół bumbumbum-
raz, bumbumbum-raz; bumbumbum-dwa,
bumbumbum-dwa; bumbumbum-trzy,
bumbumbum-trzy; bumbumbum-cztery,
bumbumbum-cztery; niestety, Bogu dzięki,
nie zatrzymał się, a teraz szyny dygotały,
stacja wirowała w pyle węglowym,
czarnym, smolistym: wiwiwi-iuuu, wiwiwi-
iuuu, wiwiwż-iuuu; a potem inny pociąg,
bumbumbum-raz, bumbumbum-raz jadący w
przeciwnym kierunku, rozkołysany,
rozświstany, płynący dwie stopy ponad
szynami, bumbumbum-dwa, z jedną
latarnią zapaloną w świetle poranka,
bumbumbum-trzy, bumbumbum-trzy, jedno
bezużyteczne dziwaczne oko, czerwonożłote;
pociągi, pociągi, pociągi prowadzone przez
duchy, wyciem zapowiadające śmierć, duchy
grające nosem na organkach w tonacji mi-

norowej: wiwiwi-iuuu, wiwiwi-iuuu, wiwiwi-iuuu. Tylko że nie jego pociąg i nie jej pociąg. Ale pociąg z pewnością przyjedzie... jak zawiadowca stacji powiedział? Ze trzeci czy czwarty i z którego kierunku? Gdzie jest północ, gdzie zachód? I, zresztą, czyja północ, czyj zachód?... A on musi zerwać trochę kwiatów na przywitanie anioła, na przywitanie jasnowłosej z Wirginii, gdy będzie wysiadała z pociągu. Ale kwiaty na nasypie kolejowym nie dawały się zrywać, tryskały sokiem, lepily się do rąk, kwiaty były na niewłaściwej stronie łodyg (a on był na niewłaściwej stronie torów), o mało nie wpadł do pojemnika na śmieci, chabry wyrastały ze środka łodyg, łodygi spirei... czy może to wcale nie spirea... były za długie, bukiet mu się nie udał. I jak wrócić przez tory... tu znowu pociąg jedzie w złym kierunku, bumbubum-raz, bum-bumbum-raz, szyny są nieprawdziwe, nie ma ich tu, bie[^]-gną powietrzem; albo może to są szyny, które prowadzą dokądś, do nierealnego życia, albo do Hamilton w stanie Ontario... Głupiec, usiłował iść po jednej szynie jak dziecko po krawężniku: bumbubum-dwa, bumbubum-dwa; bumbubum-trzy, bumbubum-trzy; bumbubum-cztery, bumbubum-cztery; bumbubum-pięć, bumbubum-pięć; bumbubum-sześć, bumbubum-sześć; bumbubum-sie-dem — pociągi, pociągi, pociągi, pociągi zbiegające ku niemu ze wszystkich punktów na horyzoncie, a każdy wyje z tęsknoty do* swojego demona kochanki. Życie nie ma czasu do stracenia. Dlaczego więc marnuje tak wiele innych rzeczy? Wpatrzony w zwiędłe bławatki Konsul siedział wieczorem — w chwilę później — w knajpie dworcowej z mężczyzną, który usiłował mu sprzedać trzy zęby, luzem. Czy to jutro miał wyjść na pociąg? Co powiedział zawiadowca stacji? Czy to Lee Maitland powiewała do niego* szaleńczo z okna ekspresu? I kto wyrzucił przez okno zmiętą kulkę brudnej bibułki? Co on zgubił? I dlaczego siedzi tu ten wariat w wyplamionym szarym ubraniu, w spodniach wypchanych na kolanach i z jedną rowerową klamrą przy nogawce, w długiej, zbyt długiej workowatej szarej marynarce, w szarej cyklistówce i brą-

zowych butach — wariat o nalanej, mięsistej, szarej twarzy i ustach, w których brak jest trzech zębów, może właśnie tych zębów, u góry po jednej stronie, wariat o grubym karku, który co kilka minut mówi każdemu, kto wchodzi do knajpy: „Śledzę cię.” „Widzę cię.” „Już ty mi nie uciekniesz.” „Gdybyś siedział cicho, Claus, nikt by się nie domyślił, że jesteś obłąkany.” Był też taki okres, w kraju burz („błyskawice rozłupują słupy, panie Firmin, i przegryzają druty, proszę pana... zresztą czuje pan potem smak w wadzie, czysta siarka”), kiedy codziennie o godzinie czwartej po południu, idąc krok w krok za grabarzem z sąsiedniego cmentarza — spoconym, powłóczącym nogami, przygarbionym, dygocącym, niosącym swoje narzędzia śmierci — szedł do tej samej knajpy na spotkanie z panem Quattrasem, murzyńskim bukmache-rem z Codrington na Barbados. „Jestem człowiekiem wyścigów, wyrosłem między białymi i czarni rennie nie lubią.” Pan Quattras, szczerzący zęby w uśmiechu i smutny, bał się deportacji... Ale ta bitwa ze śmiercią została wygrana. A on uratował pana Quattrasa. Jeszcze tej samej nocy • — prawda? — stał z sercem jak wystygły mosiężny grzejnik obok peronu stacyjnego, pomiędzy spireami wilgotnymi od rosy; piękne są i przerażające cienie wagonów, które przesuwają się po sztachetach i jak zebry przesuwają się w poprzek trawiastej ścieżki, w starej alei dębowej przy blasku księżyca; pojedynczy cień, jak parasol na szynach, sunący po deskach płotu; zapowiedź zguby, zamierającego serca... Zmknęły. Schwymane przez noc i pożarte. I księżyc też zniknął. „*Ceiait pendarit 1'horreur d'une profonde nuit.*”¹ I opustoszały cmentarz w blasku gwiazd, porzucony przez grabarza, który spity wędrował teraz do domu przez pola... „Jakby mi dali, wykopałbym grób w trzy godziny”... cmentarz w blasku księżyca, jedynej lampy ulicznej, gęsta wysoka trawa, ogromny obelisk, którego szczyt ginął w Mlecznej Dro-

1. Było to podczas koszmaru najgłębszej nocy. Hacmc, *Athalie*, II, 5.

dze. „Jull”, widniał napis na pomniku. Co powiedział zawiadowca stacji? Umarli. Czy śpią? Czemu mieliby spać, jeżeli my nie możemy? „*Mais tout dort, et Yarmee, et les vents, et Neptune.*”¹ A on umieścił z czią biedne, zwiędłe bławatki na opuszczonym grobie... To było w Oakvil-le... Ale jaka różnica — Oaxaca czy Oakville? I jaka różnica między knajpą, którą otwierają o czwartej po południu, i knajpą, którą otwiera się (z wyjątkiem świąt)

O czwartej nad ranem?... „Niech skonam, jak to niepraw da, ale kiedyś wykopałem cały grobowiec rodzinny za sto dolarów i posłałem do Cleveland!”

„Zwłoki należy przesyłać ekspresem...”

Wydzielając alkohol wszystkimi porami Konsul stał w otwartych drzwiach „Salon Ofelia”. Jak rozsądnie zrobił, że wypił mescal. Ach, jak rozsądnie! Był to bowiem w aktualnych okolicznościach jedyny właściwy, jedyny odpowiedni trunek. A co więcej, Konsul nie tylko przekonał samego siebie, że się nie boi mescalu, ale był ponadto w pełni rozbudzony, w pełni trzeźwy i zdolny poradzić sobie ze wszystkim, co mu ewentualnie stanie na drodze. Gdyby nie bezustanne, nieznaczne drganie

1 migotanie w jego polu widzenia, śmiało mógłby sobie powiedzieć, że nie pił od miesięcy. Jedyne przykre uczucie — było mu za gorąco.

Woda spadała naturalną kaskadą do czegoś w rodzaju zbiornika wybudowanego na dwóch poziomach; widok ten wydał mu się nie tyle chłodzący, ile w sposób groteskowy przywodzący na myśl jakiś śmiertelny, ostatni pot; na niższym poziomie woda tworzyła basen, w którym Ivonne i Hugh wciąż jeszcze nie pływali. Woda na wyższym poziomie burzyła się i spadała przez sztuczny próg, poniżej którego już jako bystry strumień wita się przez gęstą dżunglę, aby plem runąć w doł naturalną kaskadą. Jeszcze dalej, przypominał sobie Konsul, rozprasała się, traciła indywidualność, ściekała wieloma

— i „Lecz śpi wszystko — i wicher, i armia, i morze, i Raczme, *Ijigema*, i. i. Przekład Magdaleny Wronckiej.

strużkami do *barranca*. Nad brzegiem strumienia biegła przez dżunglę ścieżka, która w pewnym punkcie rozwidła się; prawa jej odnoga prowadziła prosto do Parian; i „Farolito”. Ale i ta pierwsza ścieżka wiodła w okolice bogate w *cantinas*. Bóg jeden wie dlaczego. Może kiedyś w czasach hacjend Tomalin było ważnym punktem w sieci nawadniania kraju. Później, po spaleniu plantacji cukru, opracowano plany, kruche i wspaniałe, założenia tu uzdrowiska, plany porzucone raptownie. Jeszcze później przebąkiwano głucho o projektach wybudowania elektrowni wodnej, ale nie podjęto w tym kierunku żadnych kroków. Parian stanowiło jeszcze większą tajemnicę. Założyli je Tlaxcalańczycy, garstka srogich przodków Cer-vantesa, którzy zdradziwszy Meksyk zdołali go jednak obdarzyć wielkością; od czasu rewolucji Quauhnahuac usunęło w cień tę nominalną stolicę stanu, a chociaż była ona nadal mało znanym ośrodkiem administracyjnym, nigdy nie zdołał przekonywająco wyjaśnić Konsulowi, dlaczego wciąż utrzymuje się przy życiu. Spotykało się ludzi, którzy tam jeździli; ale, jak się teraz zastanowił, wracało niewielu. Oczywiście wracali, on sam wracał; istniało wytłumaczenie. Ale dlaczego me jeździł do Parian autobus, a raczej jeździł jakby niechętnie, dziwną okrężną drogą? Konsul drgnął.

Tuż obok niego przyczaili się fotografowie w czarnych płachtach zarzuconych na głowy. Stali przy swoich zdezelowanych pudłach i czekali, aż kąpiący się wyjdą z kabin. Wkrótce przeciął powietrze pisk dwóch dziewczyn, które schodziły w dół do pływalni w staromodnych, wypożyczonych kostiumach kąpielowych. Ich kawalerowie przechadzali się pysznym krokiem po szarym parapecie oddzielającym pływalnię od rwącej wody powyżej; najwyraźniej nie mieli zamiaru skakać, jako usprawiedliwienie wskazywali na trampolinę pozbawioną schodków, •, umieszczoną pod płaczącym drzewem pieprzowym, rozpadającą się jak zapomniana ofiara jakiejś katastrofalnej • powodzi. Już po chwili wrzeszcząc zbiegali w dół beto-

**nowej pochylni prowadzącej do
basenu. Dziewczęta opie-**

347

rały się, ale w końcu weszły za nimi rozchichotane. Niecierpliwy wiatr mącił powierzchnię wody. Chmury koloru fioletowoczerwonego piętrzyły się coraz wyżej nad horyzontem, chociaż niebo u góry było czyste.

Pojawili się Hugh i Ivonne w groteskowych kostiumach. Stali roześmiani nad brzegiem basenu — dygocąc, chociaż poziome promienie słońca biły w nich gęstym żarem.

Fotografowie zrobili fotografie.

— Słuchaj — zawołała Ivonne — to zupełnie jak Wo dospady Podkowy w Walii.

— Albo Niagara — zauważył Konsul — rok 1900. Co byś powiedziała na małą przejażdżkę „Dziewicą Mgieł” za siedemdziesiąt pięć centów, w tym wypożyczenie nie przemakalnej odzieży?

Hugh obrócił się ostrożnie, ręce trzymał na kolanach.

— A jakże. Przejażdżka tam, gdzie się kończy tęcza.

— Do Jaskini Wiatrów. Do Kaskady Sagrady.

Na niebie rzeczywiście była tęcza. Chociaż nawet bez tęczy sam mescal (którego Ivonne nie mogła naturalnie zauważyć) obdarzyłby ten zakątek magią. Była to magia wodospadu Niagara, ale me majestatu jego żywiołów, tylko magia miasta miesięcy 'miodowych, w nastroju tkliwego, szmirowatego, nawet dość prostackiego uczucia miłości, jakim przesiąknięta jest cała ta nostalgiczna miejscowość tonąca w pyle wodnym. Ale teraz mescal uderzył w fałszywy akord, a potem jeden po drugim zabrzmiały skarżące się, fałszywe akordy, w rytmie których cała dryfująca mgła zdawała się tańczyć poprzez zwiewną delikatność smug światła jak wstęgi pomiędzy strzępkami unoszących się w powietrzu tęcz. Był to widmowy taniec dusz, którym przeszkadzały te zwodnicze skręty, ale które wciąż jednak szukały trwałości pośród tego, co bezustannie zniknęło lub było na zawsze stracone. A może był to taniec poszukującego z celem poszukiwań, który w jednym miejscu ściga nadal wesołe barwy, bo nie wie, że już je przyoblekł, w innym usiłuje utożsamić się z piękniejszą scenerią, bo może nigdy się nie dowie, że jest już jej częścią...

Mroczne zwoje cieni kłębiły się w opustoszałym barze. Skoczyły na niego. — *Otro mescalito. Un poquito.* —
Głos zdawał się płynąć sponad kontuaru, nad którym pa-
ra dzikich, żółtych oczu świdrowała mrok. Po chwili zma-
terializował się na ladzie szkarłatny grzebień, korale i brą-
zowozielone metaliczne pióra ptaka, zza którego wyłonił się ubawiony Cervantes i powitał Konsula z iście tławca-
lańskim upodobaniem: >

— *Muy fuerte.*¹ *Muy okrrroponie.*

„A więc to lice wyгнаło na morze pięćset okrętów” i zdradą narzuciło Chrystusa Zachodniej Półkuli? Ale ptak wydawał się dość potulny. Był to kogut walczący. Cervantes trenował go do walki w Tlaxcala, lecz Konsul nie mógł skrzesać w sobie zainteresowania. Koguciki Cervantesa zawsze przegrywały — Konsul pijany przyglądał się kiedyś takim walkom w Cuautla; te zajadłe małe bitewki spreparowane przez człowieka, okrutne i niszczycielskie, a mimo to w jakiś ponizający sposób nie prowadzące do rozstrzygnięć, przy czym każda z nich krótka jak ohydnie spartaczony akt pćciowy, nudziły go i budziły w nim niesmak. Cervantes zestawiał koguta z lady.

—• *Un bruto*² — powiedział.

Przytłumiony huk wodospadu wypełniał wnętrze szmerem maszyn okrętowych... Wieczność... Konsul, który nie odczuwał już teraz przykrego gorąca, oparł się o bar i stał wpatrzony w bezbarwną, pachnącą eterem ciecz. Pić albo nie pić... Ale bez mescalu, pomyślał, zapomniał kiedyś o wieczności, zapomniał o pędzącym gdzieś świecie, zapomniał o tym, że ziemia to okręt, który Przylądek Dobrej Nadziei smaga ogonem, okręt, który nigdy nie przybije do swojego Valparaiso. Albo że jest jak piłka golfowa wybita z Gwiazdozbioru Herkulesa, którą przechwycił w drodze olbrzym wychylający się z okna domu obłąkanych w piekle. Albo że jest autobusem odbywającym swoją nieobliczalną podróż do Tomalin — i niczym

—1Bardzo mocny, (hiszp.)

2Tępak, gbur. (hiszp.)

więcej. Albo że jest jak... czymkolwiek będzie wkrótce, po następnym mescalu.

Ale dotąd nie było jeszcze „następnego” mescalu. Konsul, którego ręce zdawały się być przedłużeniem szklanki, stał nastuchując, wspominając... Nagle ponad grzmotem wodospadu usłyszał czyste, dźwięczne głosy młodych Meksykańczyków na dworze; i głos Ivonne, głos kochany, nie do zniesienia, a także zmieniony po pierwszym mescalu... głos, który niedługo straci.

Dlaczego straci? Głosy były teraz jak gdyby zmieszane z oślepiającym strumieniem światła wdzierającym się przez otwarte drzwi, zmieniającym szkarłatne kwiaty przy ścieżce w miecze płomieni. Nawet prawie kiepska poezja jest lepsza niż życie, zdawał się mówić gwar zmieszanych głosów, gdy Konsul wypijał połowę swojego mescalu.

Konsul słyszał teraz inny hałas, ale wydobywający się z wnętrza jego głowy: bumbumbum-raz; ekspres amerykański chybotąc się wiezie zwłoki przez zielone obszary łąk. Czymże jest człowiek, jeżeli nie małą duszą utrzymującą zwłoki w pozycji stojącej? Dusza! Ach, czyż nie ma ona również swoich okrutnych i zdradzieckich Tlaxcalańczyków, swojego Corteza, swoich *noches tristes*^x i — siedząc skuta łańcuchami na samym dnie własnych lochów, pijąc czekoladę — swojego pobladłego Moctezumy?

Hałas wzmógł się, przycichł, wzmógł się znowu; tony giiary zmieszane z wrzawą wielu głosów wołających, lamentujących jak kobiety w Kaszmirze, błagających ponad chaosem wrzasku. „*Borraaacho*” — zawodziły głosy. Ciemne wnętrze z oślepiającą plamą drzwi zakotysało się pod jego stopami.

— ... słuchaj, Ivonne, może byśmy weszli sobie teraz na to małeństwo... mam na myśli Popo...

1 L a n o c h e t r i s t a — noc z trzydziestego na trzydziestego pierwszego czerwca 1520 r., kiedy Cortez wraz ze swoim wojskiem musiał uciekać z Tenochtitlan, stolicy państwa Azteków; po rzezi dokonanej przez Pedro Alvarado pod nieobecność Corteza, Meksykańczycy powstali przeciw Hiszpanom i rozgromili ich. *Noche triste* jest symbolem klęski.

■— Boże miłosierny, po co? Mało miateś ruchu jak na je...

— ... może to nie byłaby taka zła myśl, żeby rozruszać najpierw mięśnie. Zacząć od kilku małych szczytów.

Żartowali. Ale Konsul nie żartował. Jego drugi mescal stał się sprawą poważną. Zostawił nie dopitą szklanke na kontuarze, bo señor Cervantes kiwał 'do niego z odległego kąta.

Tem biednie wyglądający mały człowieczek w czarnej przepasce na jednym oku, w czarnej marynarce, ale w pięknym sombrero z barwnymi wstążkami opadającymi mu na plecy, wydawał się — jakkolwiek dziki mógł być w głębi duszy — roztrzęsiony nie mniej niż sam Konsul.

Jaki magnetyzm wciągał te rozdygotane ruiny ludzkie w jego orbitę? Cervantes poprowadził go za bar, wspiął się na dwa stopnie i odsunął kotarę. Biedny samotny człowiek, chciał go znowu oprowadzić po swoim domu. Konsul z trudem przebył stopnie. Jeden mały pokój zastawiony ogromnym mosiężnym łóżkiem. Zardzewiałe strzelby na wieszaku na ścianie. W rogu przed małą porcelanową statueta Najświętszej Panny paliła się lampka. Właściwie kościelny ogarek rozsiewający przez szkło kręgi rubinowego migotliwego blasku na pokój i rzucający szeroki, rozdygotany żółty stożek światła na sufit; knot palił się słabym płomieniem.

— Panie — Cervantes wskazał lampkę drżącym palcem. — *Señor*, mój dziadek powiedział, nigdy nie pozwolić jej zgasnąć.

Mescalowe łyżki napłynęły do oczu Konsula i przypomniał sobie, że w jakimś momencie wczorajszego nocnego pijaństwa z Vigilem weszli do kościoła w Quauhnhuac, którego Konsul nie znał, kościoła, w którym wisały posępne gobeliny, dziwaczne obrazy wotywne i gdzie w mroku majaczyła Najświętsza Panna Współczująca, którą błagał całym sercem zmańczonym i głośno bijącym, żeby mu zwróciła Ivonne. Ciemne postacie, tragiczne i osamotnione, stały lub klęczały tu i tam w kościele... przychodzili tu

"

"

tylko samotni i osieroceni. „To jest Najświętsza Panna dla tych, co nikogo nie mają tu — powiedział doktor wskazując obraz ruchem głowy. — I dla marynarzy na morzach. — Potem ukląkł w kurzu i kładąc rewolwer obok na podłodze, bo doktor Vigil zawsze chodził uzbrojony na, bale Czerwonego Krzyża, powiedział ze smutkiem: — Nikt tu nie chodzi. Tylko jak nie ma kogo nikt.” Teraz Konsul uczynił z tej Najświętszej Panny tamtą, która wysłuchiwała jego modłów, i gdy stali przed nią w milczeniu, znowu skierował do niej modlitwę: „Nic się nie zmieniło i, mimo że Bóg okazał mi miłosierdzie, jestem wciąż samotny. Chociaż moje cierpienie wydaje się bez- . sensowne, wciąż jestem w udręce. Nie znajduję wytłumaczenia dla mojego życia.” Istotnie go nie było, zresztą nie to chciał powiedzieć Najświętszej Pannie. „Proszę, spraw, żeby się spełniło marzenie (marzenie?) Ivonne o *nowym* życiu ze mną... proszę, spraw, żebym mógł uwierzyć, że wszystko to nic jest ohydny samoozukiwaniem się •—• spróbował... — Proszę, spraw, żebym ją mógł uczynić szczęśliwą, uwolnij mnie od straszliwej tyranii własnego ja. Stoczyłem się nisko. Spraw, żebym się stoczył jeszcze niżej, abym mógł poznać prawdę. Naucz mnie od nowa kochać, kochać życie. — To też było daremne... — Gdzie jest miłość? Spraw, abym poznał prawdziwe cierpienie. Zwróć mi moją czystość, zwróć mi wiedzę tajemnic, którą zdradziłem, zaprzepąściłem... Uczyń mnie prawdziwie samotnym, abym mógł się modlić szczerze. Spraw, abyśmy byli gdzieś znowu szczęśliwi, byle *razem*, byle nie na tym przerażającym świecie. Zniszcz ten świat!” — wołał Konsul z dna duszy. Oczy Najświętszej Panny spoglądały w dół, błogostawiły, ale może nie usłyszała... Konsul prawie nie zauważył, że Cervantes zdjął ze ściany strzelbę.

— Lubię polować. — Powiesił ją z powrotem i otworzył szufladę komody wciśniętej w inny kąt pokoju. Szuflada była po brzegi wypełniona książkami, wśród których znajdowała się *Historia Tlaxcala* w dziesięciu tomach. Cervantes natychmiast zamknął szufladę. — Jestem nic nie

znaczący człowiek i nie czytam tych książek, żeby dowieść, jak bardzo mało znaczę — powiedział z dumą. — *Si, hombre* — ciągnął, gdy zeszli znów do baru — jak mówiłem, słuchałem mojego dziadka. Kazał, żebym się ożenił z moją żoną. To uczyniłem moją żonę matką. — Wyjął z kieszeni fotografię dziecka w trumnie i położył ją na kontuarze. — Piłem cały dzień.

•— ...okulary od słońca i góralska laska. Byłoby ci ślicznie w...

— ...i z twarzą grubo wysmarowaną kremem. W węł nianej czapce nasuniętej nisko na oczy...

Znowu rozległ się głos Hugh'a, potem znów Ivonne; ubierali się prowadząc głośną rozmowę ponad ścianką oddzielającą ich kabiny, w odległości najwyżej sześciu stóp, tuż za ścianą.

—...umierasz pewnie z głodu, co?

—...zjadłbym ze dwa rodzynki i pół suszonej śliwki!

—...nie zapominając o cytrynach...

Konsul dopił swój mescaj; wszystko ło żaloszny żart, naturalnie, cały ten projekt wspinaczki na Popo, ale dokładnie z tego gatunku spraw, jakie Hugh mógł wytropić jeszcze przed przyjazdem, chociaż jednocześnie tak wiele umykało jego uwadze; czy to jednak możliwe, że projekt wejścia na szczyt wulkanu nabrał dla nich — w jakiś sposób — wymowy życia spędzonego razem? Tak, oto wznosił się w oddali ze wszystkimi swoimi ukrytymi niebezpieczeństwami, pułapkami, dwuznacznościami, oszustwami, złowieszczy jak to, co według ich wyobrażenia było ich losem — biedna, krótka, iluzoryczna chwila, w której zaledwie można zdążyć wypalić papierosa... A może Yvonne była po prostu, niestety, szczęśliwa?

—• ... skąd wyruszymy? Z Amecameca...

— Zęby uniknąć choroby górskiej.

—...ale to, swoją drogą, prawdziwa pielgrzymka, jak mi się zdaje. Kilka lat temu mieliśmy nawet taki projekt z Geoffem. Najpierw jedzie się konno do Tlamancas...

—...o północy, w hotelu „Faust”.

—Na co macie ochotę? Kalafiory czy chartofle? —

j

przywitał ich Konsul w loży, niewinny, nie pijący i nie upity, marszcząc brwi; wieczerza w Emmaus, pomyślał, usiłując zmienić brzmienie obcego mescalowego głosu, gdy studiował spis potraw podany mu przez Cervantesa. — Czy też syrop z ekstramapy albo cebulę w zupie czosnkowej na jajkach...

— Pep z mlekiem? A co byście powiedzieli o wysmażonym *Filete de Huachinango rebozado tartar con*¹ niemiec kie paluszki?

Cervantes wręczył Hughowi i Ivonne po jednym spisie potraw, ale czytali razem z jej egzemplarza.

— Specjalna zupa doktora Mojżesza Schmidthausa —
Ivonne delectowała się słowami.

■— Ja wezmę chyba ten purak w biepzu — powiedział Konsul. — Po tej cebuli w zupie czosnkowej na jajku. Ale tylko jeden — dodał, zaniepokojony, że głośny śmiech Hugh'a może zrobić przykrość Cervantesowi. — Zwróćcie, proszę, uwagę na te niemieckie paluszki. Figurują nawet jako dodatki do filetu.

—A co z „tartarem”? — spytał Hugh.
—Tlaxcala! — Cervantes, uśmiechnięty, z otówkiem w drżących palcach, zastanawiał się wraz z nimi. — *Si*, jestem Tlaxcalańczyk. Pani lubi jajka, *señora*. Jajka po sadzone. *Muy sabrosos*.² Jajka upuszczone? Z ryb, odrąbany filet z groszkiem. *Vol-au-vent a la reine*. To znaczy fikać kozły w powietrzu przed królową. A może pani lubi jajka pogłaskane na grzance? Albo wątróbkę cielęcą a la pijak? Albo kurczaka, spektralność zakładu? Młody gołąbeczek. A czerwone płastugi ze smażonym tartarem lubi pani?

— Ha, wszechobecny „tartar”! — zawołał Hugh.

— Myślę, że „spektralne” kurczą będzie najbardziej interesujące, prawda? — Ivonne śmiała się, chociaż Konsul czuł, że w gruncie rzeczy te nonsensowne dowcipy do niej nie docierają; i nadal nic nie dostrzegała.

1Filet z ryby, meksykańskiej
"huachinango", obsmazony w
jajku
z sosem tatarskim i (hiszp.)
2Bardzo smaczne, (hiszp.)

—Prawdopodobnie podane we własnej
ektoplazmie.

—Pani lubi ośmiornicę we własnym
atramencie? A może
że tuńczyka? A może krecik zapiekany w
serze? A może
elegancki melon na początek? Albo
marmolada z fig? Je
żyny *con crappe Grań Ducl* Omlet z
niespodzianką, pani
lubi? A przedtem kubetek dzynnu? Dobry
kubetek dzynnu?
Sparkenwein?

—*Mądre*^x? — spytał Konsul. — Co ta
mądre robi tu
taj?... A może zjadłabyś matkę, Ivonne?

—*Badre*², *senor*. Ryba *tambien*. Ryba z
Yautepec. *Muy*
sabroso. Pan chce?

—Co ty na to, Hugh?... czy chcesz czekać na
rybę, która
umrze?

—Napiłbym się piwa.

■—■ *Cerveza, ii. Moctezuma? Dos Equis?*
Caria Blanca?

W końcu wszyscy zdecydowali się na zupę z
małży, jajecznicę, „spektralne” kurczę, fasolkę
i piwo. Konsul początkowo zamówił tylko
krewetki i kanapkę z mięsem, ale ustąpił, gdy
Ivonne powiedziała:

— Kochany, chyba zjesz coś więcej, ja
mogłabym zjeść
wofu — i ich ręce spotkały się nad stołem. .

A potem, po raz drugi tego dnia, spotkały
się ich oczy w długim spojrzeniu tęsknoty.
Za jej spojrzeniem, poza nią, Konsul widział
przez sekundę Granadę i pociąg jadący
tanecznie z Algeciras przez równinę Andaluzji,
czuf-czuf-puf, czufczuf-puf, widział niską
pełną kurzu drogę z dworca, biegnącą obok
starej areny, obok baru „Hollywood” i dalej
do miasta, obok konsulatu brytyjskiego i
klasztoru Los Angeles, w górę obok hotelu
„Washington Irving”. (Nie uciekniesz mi,
widzę cię; Anglia, musi wrócić do Nowej
Anglii i tu szukać dawnych wartości!) Stary
tramwaj, siódemka, jeździł tamtędy; wieczór i
stateczne dorożki konne wlokące się wolno
przez ogrody, człapiące pod arkadami, toczące
się w górę obok miejsca, gdzie odwieczny
żebrak gra na trzystrunnej gitarze, przez
ogrody,

1Matka, (hiszp.)

2Gatunek ryby Gra słów *mądre* —
badre.

23*

355

ogrody, ogrody wszędzie, w górę, w górę ku cudownym kamiennym koronkom Alhambry (która go nudziła), obok studni, przy której się spotkali, do „America Pensión” i wyżej, wyżej, teraz wspinali się sami, w górę do ogrodów Generalife, z ogrodów Generalife do mauretańskiego grobowca na samym szczycie; tutaj związali się słowem...

W końcu Konsul spuścił oczy. Ile butelek od tamtego czasu? W ilu szklankach, w ilu butelkach ukrywał się samotny od tego czasu? Nagle zobaczył je — butelki aguardiente, anis, jerez, Highland Queen, szklanki, wieża szklanek ogromna jak słup dymu z pociągu tamtego dnia, sięgająca nieba, a potem wieża zapada się, szklanki lecą w dół, rozpryskują się, toczą w dół zboczy Generalife, butelki tłuką się, butelki oporto, tinto, blanco, butelki per-nod, oxygenee, absyntu — butelki rozbijane, butelki wyrzucane, spadające na ziemię z łoskotem, w parkach, pod ławki, pod łóżka, pod fotele w kinie, butelki ukrywane w szufladach biur w konsulatach, butelki calvadosu spadające i pękające albo rozpryskujące się na drobne cząstki, butelki rzucone na śmietnik, ciskane w morze — Śródziemne, Kaspijskie, Karaibskie — butelki pływające na powierzchni oceanu, martwi Szkoci na Atlantyckim pogórzu; i teraz widział je, czuł zapach ich wszystkich od samego początku — butelki, butelki, butelki i szklanki, szklanki, szklanki — gorzka, dubonnet, Falstaff, rye, John-ny Walker, vieux whisky, biała kanadyjska, aperitify, połówki, podwójne, *noch ein Herr Ober* — arak et glas tusen taks, butelki, butelki, piękne butelki tequila i balony, balony, balony, milion balonów cudownego mescal... Konsul siedział bardzo spokojnie. Huk wodospadów przytłumił głos jego sumienia. Jęczało i tłukło się wokół drewnianych ścian domu, wraz ze spazmatycznymi podmuchami wiatru, łączyło się z chmurami burzowymi, które widział przez okno ponad linią drzew. Naprawdę, jak mógł się łudzić, że zdoła zacząć od nowa, skoro gdzieś, może w jednej z tych zgubionych czy roztrzaskanych butelek, w jednej ze

— i jeszcze jedną, panie ober (niem.)

szklanek leżał na zawsze ukryty, jedyny klucz do jego tożsamości? Jakże mógł iść teraz i szukać, jakże mógł grzebać pośród ułamków szkła, pod wiecznymi kontuarami barów, na dnie oceanów?

„...Zatrzymaj się! Spójrz! Słuchaj! Czy potrafisz ocenić, w jakim stopniu jesteś teraz pijano-trzeźwy, nie upity? Piłeś u señory Gregorio, tak, ale z pewnością nie więcej niż dwie tequile. A przedtem? Ach, przedtem!” Ale później, w atobusie, wypił tylko łyk habanero Hugh'a, potem na arenie dopił butelkę prawie do końca. To habanero go upiło, ale upiło w sposób, który mu się nie podobał, w sposób nawet gorszy niż na placu; był to stan upicia zapowiadający nieuniknioną utratę świadomości, chorobę morską, i z tego stanu upicia Konsul usiłował — czyżby? — wydobyć się przy pomocy wypitych chłykiem *mescalitos*. Ale mescal, zrozumiał teraz Konsul, podzielał niezupełnie tak, jak on to sobie wykałkułował. Prawda była dziwaczna, ale niezbita: miał następnego z kolei kaca. Groza krytycznego położenia, w jakim się Konsul teraz znajdował, zawierała w sobie niemal piękno. Był to kac jak potężna, mroczna fala na oceanie, która podeszła w końcu pod tonący statek, przygnana niezliczonymi podmuchami wichury dawno już ucichłej. I stan ten wymagał nie tyle wytrzeźwienia, ile ponownego obudzenia się, tak, obudzenia się, po to, żeby...

—Czy pamiętasz, Ivonne, że kiedy przejeżdżaliśmy dzisiaj rano przez rzekę, była po drugiej stronie *pulqueria*, która nazywała się „La Sepultura” czy coś takiego, i się dział Indianin oparty o ścianę, w kapeluszu nasuniętym na twarz, a obok stał koń przywiązany do drzewa i koń miał na kłębie wypaloną cyfrę siedem...

—...juki...

...Jaskinia Wiatrów, siedlisko wielkich decyzji, maleńka Cytera dziedzictwa, odwieczna czytelnia, azyl kupowany za pensa albo otrzymywany gratis — gdzieś indziej człowiek mógłby jednocześnie tak wiele rzeczy w siebie wchłaniać i jednocześnie tak wielu się pozbywać? Konsul nie spał, gdzie tam, ale — przynajmniej chwilowo — nie

jadł też obiadu z tamtymi, chociaż dość wyraźnie słyszał ich głosy. Toaleta była cała z szarego kamienia i przypominała grobowiec — nawet sedes był z zimnego kamienia. „Oto na co zasługuję... Oto czym jestem” — myślał Konsul. — ■ Cervantes — zawołał, i Cervantes, rzecz zdumiewająca, wychylił się do połowy zza węgła (w kamiennym grobowcu nie było drzwi), trzymając pod pachą koguta, który udawał, że się wyrywa.

—Tlaxcala! — zachichotał Cervantes.

—...czy może na zadzie...

Po sekundzie, zrozumiawszy krytyczne położenie Konsula, Cervantes poradził:

—- Kamień, *hombre*, przyniosę kamień.

—Cervantes!

—...wypaloną...

—...wytrze się pan o kamień, *señor*.

Posiłek zaczął się mimo wszystko dobrze, przypomniał sobie teraz Konsul, kilka minut temu. — Małżowina małżonka małż jadalnych — oświadczył, gdy Cervantes przyniósł zupę. I czyż nie powiedział z żalem: — A nasze biedne mózdzki i jaja marnieją w domu — na widok pływającego w znakomitym sosie „spektralnego” kurczęcia? Rozma- wiali o mężczyźnie przy drodze i o złodzieju¹ w autobusie, i potem nagle: — *Excusado*.¹ — I to, ten ostateczny, szary² kamienny konsulat, ta Wyspa Franklina² duszy, była jego *excusado*. Odizolowana od pływalni, stojąca poręcznie blisko, a jednak ukryta przed wzrokiem, kamienna budowla była niewątpliwie czysto Tlaxcalańskim kaprysem, dziełem rąk samego Cervantesa, które wybudował, żeby mu przypominało chłodną wioskę górską w oparach mgły. Konsul siedział, jednakże całkowicie ubrany, w absolutnym bezruchu. Dlaczego on tu jest? Dlaczego zawsze, mniej lub więcej, jest tutaj? Byłby rad, gdyby mógł spojrzeć w lustro i zadać sobie to pytanie. Ale nie było tu lustra. Nic tylko kamień. Może nie istniał też czas w tej kamiennej

— Niepotrzebny; również —
klozet, (hiszp.) s Wyspa na
Antarktydzie.

kryjówce? Może to właśnie jest owa -
.wieczność, o którą robił tyle hałasu, już
wieczność, z gatunku wieczności
Swidrygajłowa, tylko że zamiast łaźni na wsi
pełnej pajaków, tutaj jest to kamienna cela
klasztorna, w której siedzi — dziwne! Któż
jeśli nie on we własnej osobie?

—...*Pulqueria*...

—...i tam był ten Indianin...

CENTRUM HISTORII
PODBOJU
ZWIEDZAJCIE
TLAXCALA!

przeczytał Konsul. (I jak się to stało, że obok
niego znajdowała się butelka po lemoniadicie
do połowy napełniona mescallem, czy to
Cervantes odczuwając skrztiechę, Bogu dzięki,
z powodu tego kamienia, przyniósł ją wraz z
turystycznym prospektem, do którego był
przypięty rozkład jazdy autobusów i
pociągów... czy też może on sam kupił to
wszystko, a jeśli tak — kiedy?)

; VISITE VD. TLAXCALA!

*Sus Monumentos, Sitios Históricos y De
Bellezas Natu-rales. Lugar De Descanso, El
Mejor Clima. El Aire Mas Pu-ro. El Cielo Mas
Azul.*

*ITlaxcala! Sede de la historia cie la
conguisia.¹*

—...dzisiaj rano, Ivonne, kiedyśmy
przejeżdżali przez
rzekę, była po drugiej stronie ta *pulqueria*...

—„La Sepultura”?

—...Indianin siedział oparty plecami o
ścianę...

POŁOŻENIE GEOGRAFICZNE

Stan leży pomiędzy 19° 06' 10" szerokości
geograficznej północnej i 0° 23' 38" i 1° 30' 34"
długości geograficznej wschodniej od
południka Meksyku. Graniczy od północnego
zachodu i południa ze Stanem Puebla, od
zachodu ze Stanem Mexioo i od północnego
zachodu ze Stanem Hidal-

I Zwiedzajcie Tlaxcala, jej
pomniki, zabytki historyczne,
piękno natury. Miejsce odpoczynku,
najlepszy klimat, najczystsze
powietrze, najbardziej błękitne
niebo. Tlaxcala, ośrodek historii
konkwisty. (hiszp.)

go. Powierzchnia Stanu wynosi 4132 kilometry kwadratowe. Stan liczy około 220 000 mieszkańców, co daje przeciętną gęstość zaludnienia 53 mieszkańców na kilometr kwadratowy. Stan leży w dolinie otoczonej górami, wśród których znajdują się szczyty Matlalcueyatl i Ixtaccihuatl.

•— ...Na pewno pamiętasz, Ivonne, mijaliśmy po drodze tę *pulquerię*...

— ...Ach, jaki to był cudowny poranek!

KLIMAT

Międzyzwrotnikowy i właściwy dla pogórzy, unormowany i zdrowy. Malaria nie jest tu znana.

—...przecież Geoffrey powiedział, że to Hiszpan, jeśli już o to idzie...

—...co za różnica...

—Chodzi o to, naturalnie, żeby mężczyzna przy drodze mógł być Indianinem — zawołał nagłe Konsul ze swojej kamiennej kryjówki, ale dziwne, nikt go chyba nie usłyszał. — Dlaczego Indianinem? Żeby całe zdarzenie mogło mieć dla Hugh'a wymowę społeczną, żeby mogło sprawić wrażenie czegoś w rodzaju aktualnej reperkusji podboju i w ogóle reperkusji podboju, jeśli chcecie wiecie, a żeby to z kolei mogło się wydawać reperkusją...

—...przejazd przez rzekę i wiatrak...

—Cervantes!

—Kamień... Chce pan kamień, *señor!*

HYDROGRAFIA

Rzeka Zahuapa. Wypływa z rzeki Atoyac i okalając miasto Tlaxcala dostarcza znacznych ilości energii wodnej licznym fabrykom. Spośród lagun najbardziej interesująca jest laguna Acuitlapilco, w odległości dwóch kilometrów na południe od Tlaxcala... Na tej pierwszej lagunie znajdują się znaczne ilości pływającego ptactwa wodnego.

V

\ — Geoff powiedział, że ta knajpa, z której on wyszedł, jest faszystowską meliną. „El Amor de los Amores.” O ile zrozumiałem, ten gość był kiedyś jej właścicielem, ale ja koś potem zeszedł na psy i teraz lam pracuje... Napijemy się jeszcze piwa?

• — Dlaczego nie? Z przyjemnością.

— A gdyby tak mężczyzna przy drodze był faszystą, a twój Hiszpan komunistą? — Konsul w swojej kamiennej kryjówce wypił tyk mescal. — ...Och, mniejsza o to, myślę, że twój złodziej jest faszystą, ale takiego podlej szego gatunku, może szpicluje innych szpicłów albo...

— Tak jak ja to sobie wyobrażam, Hugh, ten biedak wracał po prostu z targu, wypił za dużo *pulque* i spadł z konia. Ktoś już się nim zajął, ale potem myśmy przyjechali i ten złodziej ukradł mu pieniądze... Chociaż, wiesz, ja nic nie zauważyłam... Naprawdę się wstydzę.

„Zsuń mu trochę kapelusz, żeby miał czym oddychać.”

— ...obok „La Sepultura”. — —

MIASTO TLAXCALA

Stolica Stanu, o której się mówi, że przypomina Granadę (stolica Stanu, o której się mówi, że przypomina Granadę, że przypomina Granadę, Granadę, stolica Stanu, o której się mówi, że przypomina Granadę) jest miastem ładnym, o prostych ulicach, wielu zabytkach, o zdrowym łagodnym klimacie, dobrym oświetleniu i nowoczesnym hotelu dla turystów. Miasto szczyli się wspaniałym parkiem centralnym o nazwie „Francisco I Madero”, w którym rosną drzewa obarczone wiekiem, w większości jesiony, i gdzie klomby ubrane są w *mnóstwo* pięknych kwiatów; wszędzie dużo miejsc do siedzenia, cztery starannie utrzymane (wszędzie dużo miejsc do siedzenia, cztery starannie utrzymane) i dobrze pomyślane aleje. Przez całe dni ptaki śpiewają pięknie wśród listowia

drze
w.
Całość
ć
park
u
prze
dsta
wia
wido
k
emoc
jonal
nie
maje
staty
czny
(emo
cjon
alnie
maje
staty
czny)
nic
ronią
c
jedn
ocze
śnie
nic 2
atmo
sfery
spok
oju j
wypo
czynk
u.
Grobl
a
nad
rzeką

Zahuapa długości 200 metrów ma loszące z obu stron nad rzeką korpulentne jesiony; w niektórych częściach są usypane wały, które sprawiają wrażenie tam, a w środkowej części grobli znajduje się lasek, w którym zobaczyć można *Senadores*¹ (spożywających posiłki na trawie), dzięki czemu spacerowicze odpoczywają przed dalszą przechadzką. Z tej to grobli podziwiać można sugestywne i malownicze widoki ukazujące Popocatepetl i Ixtaccihuatl.

—...albo może me zapłacił za wypitą *pulque* w „E1 Amor de los Amores” i brat właściciela poszedł za nim, i odebrał mu należność. To wydaje mi się bardzo prawdopodobne.

■— ...Hugh, co to właściwie jest Ejidal?

—...bank kredytowy finansujący kolektywne wysiłki na wsi... Ci goście banku mają niebezpieczną robotę. Mam tego przyjaciela w Oaxaca... C/asem jeżdżą przebrani za... *peonów*... Z czegoś, co powiedział Geoff... o ile mogłem się połapać... słowem pomyślałem, że ten biedak był może wystannikiem banku... W każdym razie to był ten sam gość, którego widzieliśmy rano, przynajmniej koń był ten sam. Nie parnięlasz, czy miał juki, kiedyśmy go rano widzieli?

—Wydaje mi się, że miał.. chyba miał, kiedy go widziałem.

•..u, — ...AJeż tak, Hugh, w Quauhnahuac jest chyba taki

ii bank, tuż obok Pałacu Corteza.

—...mnóstwo osób, którym się nie podobają banki kredytowe i którym się nie podoba Cardenas, jak wiesz, albo którym nie w smak jest jego reforma rolna...

W granicach miasta Tlaxcala znajduje się jeden z najstarszych kościołów Nowego Świata. Klasztor ten był pierwszą Siedzibą Władzy Apostolskiej zwaną „Carolence” na cześć hiszpańskiego króla Karola V, pierwszym zaś jej

—1 senatorów (hiszp.)

biskupem był Don Fray Julian Garces w roku 1526. W rzeczonym klasztorze zgodnie z tradycją przyjęli chrzest senatorowie Republiki Tlaxcalańskiej, w kościele po prawej stoi wciąż rzeczona chrzcielnica, ojcami zaś chrzestnymi byli zdobywca Hernan Cortez i jego kapitanowie. Główne wejście do kościoła ofiarowuje patrzącemu wspaniałą amfiladę łuków, w środku zaś jest tajne przejście (tajne przejście). Po prawej przy wejściu wznosi się majestatyczna wieża, która jest uważana za jedyną taką w Ameryce. Ołtarze klasztoru wzniesione są w stylu *churrigueresque* (przeładowanym) i udekorowane są malowidłami pędzla najśłynniejszych artystów, takich jak Cabrera, Echave, Juarez itp. W kaplicy po prawej stoi wciąż słynna kazalnica, z której po raz pierwszy w Nowym Świecie głoszone ewangelię. Plafon kościoła klasztorowego ukazuje wspaniałe rzeźby i dekoracje w kształcie złotych gwiazd. Jest to jedyny taki plafon w całej Ameryce Łacińskiej.

—...mimo tego nad czym pracowałem i mimo mojego przyjaciela Webera, i mimo uwag Geoffa na temat „Union Mihlar” dalej me uważam, żeby faszyści mieli tu jakieś znaczniejsze wpływy.

—Och, Hugh, na miłość boską!

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY

Kościół wybudowany jest na tym samym miejscu, na którym Hiszpanie wzniesli pierwszą pustelnię poświęconą Matce Boskiej. Niektóre ołtarze są udekorowane przeładowanymi dziełami sztuki. Portyk kościoła ma wygląd piękny i surowy.

„Cha, cha, cha!”

„Cha, cha, cha!”

„Ja naprawdę rozczarowany, że państwo nie mogą pojechać.”

„Bo ona jest Najświętsza Panna dla tych, co nikogo mają tu.”

„Nikt tu nie chodzi, tylko jak nie ma kogo nikt.” „...tylko jak nie ma kogo...”
„...tylko jak nie ma kogo nikt...”

KRÓLEWSKA KAPLICA W TLAXCALA

Naprzeciwko Parku Francisco I Madero godne są obejrzenia ruiny królewskiej kaplicy, w której tlaxcalańscy senatorowie po raz pierwszy modlili się do Boga swoich zwycięzców. Został tylko portyk, na którym widać herb papieski, jak również herby pontyfikatu meksykańskiego i króla Karola V. Źródła historyczne podają, że konstrukcja kaplicy królewskiej wzniesiona była kosztem 200 000 000 dolarów...

—Naziści nie są może faszystami, Ivonne, ale z całą pewnością jest ich tu pełno. Pszczelarze, górnicy, apteka rze. I właściciele szynków. Naturalnie szynki są idealny mi kwaterami głównymi. Na przykład w „Pilsner Kindl” w Mexico City...

—Żeby nie wspominać o Parian, Hugh — powiedział Konsul popijając mescal, chociaż wyglądało na to, że nie usłyszał go nikt prócz kolibra, który w tym momencie wpadł z furkotem do jego kamiennej kryjówki, załopotał skrzydełkami, okręcił się jak szalony w drzwiach i frunął niemal prosto w twarz syna chrzestnego samego Corteza, Cervantesa, który przemknął znów obok drzwi z walcą cym kogutem pod pachą. — W „Farolito”...

SANKTUARIUM OCTOLAN W TLAXCALA

Jest to sanktuarium, którego białe i upiękzone wieże wysokości 38,7 m, w stylu przeładowanym, robią imponujące i majestatyczne wrażenie. Fronton przystrojony jest świętymi archaniołami, św. Franciszkiem i epitetami statuetek Panny Marii. Konstrukcja rzeczonoego sanktuarium składa się z rzeźb w idealnych rozmiarach, przystrojonych alegorycznymi symbolami i kwiatami. Zostało ono wzniesione w epoce kolonialnej. Główny ołtarz jest w stylu przeładowanym i upiękSZONYM. Najpiękniejsza jest

zakrystia, sklepiona, przyozdobiona pełnymi wdzięku rzeźbami, przy czym góruje kolor zielony, czerwony i złoty. W najwyższej części kopuły stoją wyrzeźbieni apostołowie. Całość odznacza się szczególnym pięknem, niespotykanym w żadnym innym kościele Republiki.

—... nie zgadzam się z tobą, Ilugh.
Spróbujmy się cofnąć o kilka lat...

—... zapominając naturalnie po drodze o Miztecach, Toltecach, Quetzelcoatl...

—... niekoniecznie...

—... owszem, zapominasz! I mówisz: najpierw Hiszpan wyzyskiwał Indianina, potem, kiedy miał dzieci, wyzyskiwał mieszańców, potem czystej krwi Hiszpana meksykańskiego, *criollo*, potem *mestizo* wyzyskiwał wszystkich: cudzoziemców, Indian, bez różnicy. Potem Niemcy i Amerykanie wyzyskiwali jego; a teraz ostatni rozdział: wyzysk wszystkich przez wszystkich...

POMNIKI HISTORII — SAN BUENAVENTURA ATEMPAM

W mieście tym budowano i wypróbowywano na tamie okręty użyte do ataku na Tenochtitlan, wielką stolicę Imperium Moctezumy.

—*Mar Cantabrico*.¹

—Zgoda. Słyszałem, co mówiłaś. Podbito zorganizowaną społeczność, w której naturalnie istniał już wyzysk...

—Och...

—... nie, Ivonne, idzie o to, że podbito cywilizację, która była na równym, jeżeli nie wyższym stopniu rozwoju, co cywilizacja zdobywców, organizm, który głęboko za puścił korzenie. Nie zamieszkiwały tych stron same dzikie plemiona nomadów, koczownicze i przenoszące się z miejsca na miejsce...

—... chcesz przez to powiedzieć, że gdyby byli koczownikami i przenosili się z miejsca na miejsce, nie byłoby w ogóle żadnego wyzysku?

i Morze Kantabryjskie. (hiszp.)

365

—Weźmiemy jeszcze butelkę piwa...
Carta Blanca?
—Moctezuma... Dos Equis.
—Czy to Montezuma?
—Na butelce napisane Moctezuma.
—Tylko tyle z niego zostało.

TIZATLAN

W mieście tym, bardzo niedaleko miasta Tlaxcala, ciągle jeszcze wznoszą się ruiny Pałacu, rezydencji senatora Xicohtencatl, ojca wojownika o tym samym imieniu. W rzeźbionych ruinach ciągle można podziwiać kamienie ofiarne, na których składali ofiary swoim bogom... W tym samym mieście, dawno temu, znajdowała się kwatera główna wojowników tlaxcalańskich...

„Siedzę cię... nie uciekniesz mi.”

„... to by nie była ucieczka. Chcę powiedzieć, zacznijmy od nowa, zacznijmy naprawdę od początku.”
li t „Myślę nawet, że znam to miejsce.”

„Widzę cię.”

„... gdzie są te listy Geoffreyu Firmin listy które pisała aż jej pękało serce...”

„Ale w Newcastle, stan Delaware, ach, tam jest zupełnie inaczej!”

„... listy na które nie tylko nie odpisywałeś nie odpisywałeś odpisywałeś nie odpisywałeś odpisywałeś w takim razie gdzie jest twoja odpowiedź...”

„Ale och, mój Boże, to miasto... ten hałas. Ten chaos! Gdybym tylko mógł się stąd wydostać! Gdybym wiedział,

dokąd uciec!”

OCOTELULCO

W tym mieście niedaleko Tlaxcala istniał dawno temu Pałac Maxixcatzin. W Pałacu tym, jak utrzymuje legenda, przyjęli chrzest pierwsi indiańscy chrześcijanie.

„To będzie jak ponowne narodziny.”

„Zastanawiam się, czy nie przyjąć obywatelstwa me-

ksykańskiego i nie rozpocząć życia między Indianami jak WiHiam Blackstone."

„Napoleon miał skurcze w nodze."

„Mogłem pana przejechać, coś tu chyba nie gra. Więc jak? Nie?"

„Guanajuato... te ulice. Kto się oprze nazwom te ulice? Ulica Pocałunków..."

MATLALCUEYATL

Te góry są wciąż ruinami świątyni boga wód, Tlaloca, ale szczątków tych prawie już nie widać i dlatego turyści rzadko tu zaglądają, a ponadto legenda głosi, że z tego miejsca młody Xicohtencatl przemawiał do swoich wojowników i mówił im, żeby walczyli z najeźdźcami do ostatka i w razie potrzeby umierali.

„... *no*
pasardn."
„Madryt."

„No to ich rozwalili. Najpierw strzelają, a potem zadają pytania!"
„Widzę cię."
„Siedzę cię."
„Nie uciekniesz mi."
„Guzman... Erikson 43."
„Zwłoki należy przewozić..."

ROZKŁAD POCIĄGÓW I AUTOBUSÓW

(Mexico — Tlaxcala)

Linie kolejowe

opła

ty

Mexico—Vera Cruz	odjazd: 730
przyjazd: 1850	przyjazd: 1200 \$ 7,50
Mexico—Puebla	odjazd: 1605
1105 przyjazd: 2000	\$ 7,75 przyjazd:

przesiadka dla obu kierunków w Santa Anna Chiautempan.

Autobusy Lmii Flecha Roja. Co godziną od 5 do 19.

Pułmany Estrella de Oro co godzinę od 7 do 22.

Przesiadka dla obu kierunków w San Martín Texmelucan.

●■● I znowu ich spojrzenia spotkały się nad stołem. Ale tym razem była między nimi jak gdyby mgła i poprzez tę mgłę Konsul zdawał się widzieć nie Granadę, tylko

Tlaxcala. Było to piękne białe miasto katedralne, do którego Konsul tęsknił całą duszą i które istotnie pod wielu względami bardzo przypominało Granadę; tylko że wydawało mu się, jak na fotografiach w prospekcie, miastem absolutnie pustym. I to było w tym mieście najdziwniejsze i jednocześnie najpiękniejsze; nic było tam nikogo, ani żywej duszy... pod tym względem przypominało Tortu... nikogo, kto by przeszkadzał w picciu, nawet Ivonne, która — jeśli w ogóle tam była — piła wraz z nim. Białe sanktuarium kościoła w Ocotlan, w stylu przetadowanym, wyłoniło się przed nimi: białe wieże z białym zegarem — i nikogo. A sam zegar był zegarem pozaczasowym. Szli niosąc białe butelki, wymachując laseczkami i gałęziami jesionu, szli przez zdrowy, łagodny, lepszy klimat, przez zdrowsze powietrze, pośród korpulentnych jesionów, tych drzew obarczonych wiekiem, szli przez opustoszały park. Szli pod rękę weseli jak bele, paradowali po czterech starannie utrzymanych i dobrze pomyślanych równoległych alejach. Stali, pijani jak szczygły, w opustoszałym klasztorze San Francisco przed pustą kaplicą, w której po raz pierwszy w Nowym Świecie głoszone z ambony ewangelię. W nocy spali między chłodnymi białymi prześcieradłami, pośród białych butelek w hotelu „Tlaxcala”. A poza tym były w mieście niezliczone białe *cantiny*, gdzie można było pić w nieskończoność na kredyt i gdzie drzwi były otwarte, i chłodny wiatr wpadał do środka.

— Moglibyśmy pojechać tam prosto — powiedział teraz Konsul — prosto do Tlaxcala albo moglibyśmy spędzić noc w Santa Anna Chiautempan, które, jak wiadomo, jest stacją przesiadkową dla obu kierunków, i rano pojechać do Vera Cruz. W takim wypadku musielibyśmy naturalnie — spojrzeć na zegarek — zaraz wyruszyć... Zdążymy chyba na najbliższy autobus... A nawet będziemy mieli czas napić się czegoś — dodał bardzo konsu-larnie.

Mgła rozproszyła się, ale Ivonne miała oczy pełne łez i była bardzo blada.

Coś poszło źle, coś poszło bardzo źle. Po pierwsze zarówno Hugh, jak Ivonne wydawali się zaskakująco wstawieni.

—Nie rozumiem, nie chcesz teraz wrócić do Tlaxcala? — spytał Konsul głosem może trochę zamazanym.

—Nie o to idzie, Geoffrey.

Na szczęście zjawił się w tym momencie Cervantes niosąc salaterkę pełną żywych małży i wykałaczk. Konsul wypił łyk piwa, które stało przygotowane dla niego. Sytuacja na odcinku trunków przedstawiała się teraz tak (przedstawiała się tak): czekała na niego jedna szklanka i było to piwo, którego jeszcze nie dopił. Ale był też do niedawna mescal (czemu nie?' przecież nie boi się tego słowa?) czekający na niego w butelce po lemoniadzie, a wszystko to Konsul zarówno wypił, jak nie wypił: wypił w rzeczywistości, nie wypił, jeśli idzie o Ivonne i Hug-ha. A przedtem były dwa mescale, które jednocześnie powinien był i których nie powinien był wypić. Czy oni się domyślają? Zobowiązał Cervantesa do milczenia; czy tlaxcalańczyk nie mógł się oprzeć pokusie i zdradził go? O czym oni naprawdę mówili, kiedy go nie było? Konsul podniósł wzrok znad swojego skorupiaka i spojrzał na Hugh'a; niezależnie od tego, że Hugh był wyraźnie podпиты, miał podobnie jak Ivonne minę zagniewaną i urażoną. Co oni knują? Nieobecność Konsula nie trwała bardzo długo (tak myślał), najwyżej siedem minut, po czym wrócił umyty i uczesany (Bóg jeden wie, jak to zrobił), jego kurczę prawie nie ostygło, tamci dopiero kończyli swoje porcje... *Et tu Bruio!*¹ Konsul czuł, jak jego spojrzenie zwrócone na Hugh'a zamienia się w zimne spojrzenie nienawiści. Nie odrywając od niego oczu jak dwa sztylety widział Hugh'a takim, jakim ujrzał go dzisiaj rano: uśmiechniętego, z ostrzem brzytwy iskrzącym się w słońcu. Ale teraz zbliżał się do Konsula, jak gdyby chciał mu uciąć głowę. Nagle obraz zaciemnił się i Hugh

1 Parafraza znanego powiedzenia Cezara: *Et tu Brutē contra me*; I ty, Brutusie, przeciw mnie!; Konsul zamiast „Brufe” podstawia hiszpańskie „Břuto” — tępak, cham.

wciąż szedł, ale nie zbliżał się do niego. Był znowu na arenie i rzucał się na wołu; i zamiast brzytwy trzymał w ręku szpadę. Pchnął szpadę, żeby powalić wołu na ziemię... Konsul usiłował stłumić w sobie prawie nieodpartą, bezsensowną, dziką wściekłość. Drżał, czuł to, jedynie z tego wysiłku — żeby więc zmienić temat nadał jedną z maź na wykałaczkę, podniósł ją i niemal wysyczał przez zęby;

— Teraz widzisz, Hugh, co z nas za stwory. Zjadamy żywe istoty. Oto co robimy. Jak możesz mieć szacunek dla ludzkości, jak możesz wierzyć w sens walki społecznej?

Mimo to Hugh najwyraźniej mówił po chwili, głosem dalekim, spokojnym:

— Widziałem kiedyś film rosyjski o buncie jakichś rybaków... Złapali w sieć rekina razem z innymi rybami, zabili go... Wydało mi się to całkiem trafnym symbolem nazistowskiego systemu, który nawet martwy dalej pożera żyjących, walczących mężczyzn i kobiety!

— To samo dałoby się powiedzieć o wszystkich innych systemach... Nie wyłączając twojego komunizmu.

• — Postuchaj, Geoffrey...

■ — Postuchaj, staruszkę — usłyszał Konsul swój głos — co innego jest mieć przeciwko sobie Franco czy Hitlera, ale mieć przeciw sobie Actinium, Argon, Berylium, Dysprosium, Nobium, Palladium, Praseodymium...

— Postuchaj, Geoff...

■ — ... Rhutenium, Samarium, Silicon, Tantalum, Tellurium, Terbium, Thorium...

— Postuchaj...

■ — ... Thulium, Titanium, Uranium, Vanadium, Virginiu, Xenon, Ytterbium, Yttrium, Zirconium, żeby nie wspomnieć o Europium i Germanium — ahip! — i mieć Columbium przeciwko sobie, a także całą resztę, to zgoła inna sprawa. — Konsul dopił piwo.

Nagle grzmot odezwał się znów na dworze, huknął, zadudnił, odpłynął.

**—i łacm&kie nazwy pierwiastków
chemicznych.**

370

Mimo to Hugh zdawał się mówić głosem spokojnym, dalekim:

— Posłuchaj, Geoff." Wyjaśnijmy to raz na zawsze. Dla mnie komunizm nie jest w gruncie rzeczy — obojętne przez jaką fazę teraz przechodzi — w ogóle systemem. Jest po prostu nowym duchem, czymś, co kiedyś może będzie, a może nie będzie wydawało się tak naturalne jak powietrze, którym oddychamy. Zdaje się, że słyszałem gdzieś to zdanie. To, co ci powiem, nie będzie ani trochę oryginalne. Gdybym to powiedział od dzisiaj za pięć lat, brzmiałoby prawdopodobnie jak ohydny banal. O ile mi jednak wiadomo, nikt się jeszcze nie powoływał na Matthew Arnolda dla poparcia swoich argumentów. Więc te raz ja ci zacytuję Matthew Arnolda, częściowo dlatego, że na pewno nie wierzysz, iż potrafię zacytować Matthew Arnolda. Moje wyobrażenie o tym, co nazywamy...

•— Cervantes!

—... jest to idea, która w świecie współczesnym gra rolę analogiczną do tej, jaką chrześcijaństwo grało w świecie starożytnym. W swoim eseju o Marku Aureliuszu Matthew Arnold powiada...

—Cervantes por miłość boską!

—„A tymczasem chrześcijaństwo, do którego zniszczenia dążyli ci cesarzowie, było w ich pojęciu czymś filozoficznie godnym pogardy, politycznie niebezpiecznym i moralnie obrzydliwym. Jako ludzie widzieli je oni mniej więcej w takim świetle, i to szczerze, w jakim dobrze zaadaptowane jednostki w naszym społeczeństwie widzą mormonizm; jako władcy widzieli je mniej więcej w takim świetle, w jakim dzisiejsi liberalni politycy widzą jezuitów. Coś w rodzaju morinonizmu...”

—■ „... będącego ogromną tajną organizacją o nie znanych bliżej, politycznie i

społecznie wywrotowych celach, tak
bowiem Antoninus Pius..."

— Cervantes!

—■ „Zasadniczego i bezpośredniego powodu
powstania takiej koncepcji należy
niewątpliwie doszukiwać się w fak-

24*

371

cie, że chrześcijaństwo było w Rzymie ideą nową, która miała odegrać rolę czynnika rozbijającego ten świat. Przeto w sposób nieuchronny chrześcijaństwo..."

—Cervantes — przerwał Konsul —
pochodzisz z Oaxaca?

—*N'o, señor.* Jestem z Tlaxcala.

—Słusznie — przyznał Konsul. — Powiedz mi, *hombre*, są w Tlaxcala drzewa obarczone wiekiem?

—*Si, si, hombre.* Drzewa obarczone wiekiem. Dużo drzew.

—I Ocotlan. Santuario de Ocotlan. To jest w Tlaxcala, prawda?

—*Si, si, señor, si,* Santuario de Ocotlan — powiedział

Cervantes cofając się w stronę kontuaru.

—I Matlalcueyatl?...

—*Si, hombre,* 'Matlalcueyatl... w Tlaxcala.

—I laguny?

—*Si...* dużo lagun.

—A na tych lagunach jest bardzo dużo płetwonogiego ptactwa wodnego?

—*Si, señor. Muy fuerte...* w Tlaxcala.

—No i proszę — zwrócił się Konsul do tamtych — co możecie zarzucić mojemu projektowi? I w ogóle, co się z wami dzieje? Hugh, czy ty ostatecznie jedziesz, czy nie jedziesz do Vera Cruz?

Nagle mężczyzna na progu zaczął grać na gitarze, z pasją, i Cervantes znowu wyszedł z kontuaru.

—Ta piosenka nazywa się *Czarne kwiaty*. — Cervan-

tes wyciągnął już rękę, żeby przywołać mężczyznę. —

Piosenka powiada: „Cierpię, bo twoje usta mówią tylko kłamstwa i mają śmierć w pocątunku.”

—Kaź mu odejść — zażądał Konsul. —

Hugh... *cuantos*

*trenes hay el dia para Vera Cruz?*¹

Gitarzysta zmienił melodię.

— To piosenka wiejska — wyjaśnił

Cervantes — ■ śpie

wana przy wypasaniu wołów.

—Ile pociągów odchodzi dziennie do Vera Cruz' (hiszp.)

— Woły, mieliśmy jak na jeden dzień za
dużo wołów —
żachnął się Konsul. — Powiedz mu, żeby
sobie poszedł,
daleko, *por favor*. Mój Boże, Ivonne, Hugh...
co się z wa
mi dzieje? To naprawdę doskonały pomysł,
bardzo pra
ktyczny pomysł. Zrozumcie, jednym
kamieniem zrobimy
dubleta — kamieniem, Cervantes! ... Tlaxcala
jest po dro
dze do Vera Cruz, Hugh, do Prawdziwego
Krzyża... Prze
cież widzimy cię ostatni raz, staruszk. Bo
co to można
wiedzieć... Powinniśmy jakoś uczcić tę
okazję. No dalej,
nie okłamiesz mnie, śledzę cię... Przesiadka
dla \obu kie
runków w San Martin Texmelucan... \

Grzmot, pojedynczy, wybuchnął między
niebem i ziemią, tuż za drzwiami, i w tej
chwili Cervantes pospieszył do nich z kawą;
trzymali w rękach papierosy, podał im
zapałkę.

—*La supersiición dice* — powiedział z
uśmiechem za
palając drugą zapałkę dla Konsula — *que
cuando tres
amigos prenden su cigarro con la misma
cerilla, el ultimo
muere antes que Los otros dos.*¹

—To macie w Meksyku ten przesąd? —
spytał Hugh.

—*Si, señor* ■— Cervantes skinął głową —
chodzi o to,
że jak trzech przyjaciele zapalą papierosa od
tej samej za
pałki, trzeci umrze przed tamtymi dwoma.
Ale na wojnie
to niemożliwe, bo żołnierze najczęściej mają
tylko jedną
zapałkę.

—*Feurstick* — powiedział Hugh ośnaniając
ręką jeszcze
jeden płomyk dla Konsula. — Norwegowie
mają lepszą
nazwę dla zapałki.

Zapadał mrok, gitarzysta, zdawało się,
siadł w kącie salki i miał teraz ciemne
okulary; spóźnili się na ten powrotny
autobus, jeśli zamierzali nim pojechać, na
autobus, którym mieli wrócić do domu, do
Tlaxcala, ale Konsulowi wydało się teraz, że
nagle, pijąc kawę, zaczął znowu mówić
trzeźwo, błyskotliwie i płynnie, że w ogóle
jest w znakomitej formie i że dzięki temu,
Konsul był pewien,

i Jest taki przesąd, że jeśli
trzech przyjaciół zapala
papierosy tą samą zapalną, ostatni
umiera przed pozostałymi dwoma,
(hiszp.)

Ivonne siedząca naprzeciwko niego jest znowu szczęśliwa. *Feurstick*, norweskie słowo Huga, utkwilo mu w głowie. I Konsul mówił o Indo-Arianach, Irańczykach i o ich świętym ogniu, *Agni*, który kapłan przywołał swoją pochodnią z nieba. Potem mówił o *soma*, *Amrita*, nektarze nieśmiertelności, sławionym w całej jednej księdze Rigweda, *bhang*, który to nektar był prawdopodobnie bardzo podobny do ~ mescal, po czym delikatnie zmieniając temat zaczął mówić o architekturze norweskiej, a raczej o tym, jak bardzo, żeby tak powiedzieć, architektura w Kaszmirze jest norweska — na przykład meczet Hamadan, całe drewniany, z wysokimi zwężającymi się ku górze wieżami i ornamentami zwisającymi z okapu dachu. Mówił dalej o ogrodzie Borda w Quauhnahuac, naprzeciwko kina señora Bustamen-te, i jak bardzo ten ogród, z pewnego względu, przypomina mu tarasy Nishat Bagh. Konsul mówił o bogach wedyjskich, którzy nie zostali we właściwy sposób zantropomor-fizowani, podczas gdy Popocatepetl i Ixtaccihuatl... A może nie ma racji? W każdym razie Konsul mówił znowu o świętym ogniu, o ogniu ofiarnym, o wyciskaniu *soma* na kamieniu, o ofiarach chlebów, wołów i koni, o kapłanach śpiewających hymny z Księgi Wedyjskiej, o tym, jak obrzędy picia początkowo proste, z biegiem czasu stawały się coraz bardziej skomplikowane, tak że rytuał wymagał niezwykłej wprost staranności, ponieważ jedno potknięcie mogło unieważnić ofiarę. *Soma*, *bhang*, mescal, ach tak, mescal, znowu nawiązał do tego tematu, ale zaraz go porzucił, tak niemal zręcznie jak za pierwszym razem. Mówił o składaniu krwawych ofiar z żon, a także o tym, że w czasach, o których wspomina, w Taxila u wylotu przełęczy Khyber, wdowa po bezdzietnym mężczyźnie mogła zgodnie z prawem lewiratu wyjść za mąż za swojego szwagra. Konsul zaczął nagle dowodzić, że dostrzega pewne dalekie powinowactwo — niezależnie od czysto słowne^ go — między Taxila i Tlaxcala. „...bo gdy ów wielki uczeń Arystotelesa, Ivonne, Aleksander, przybył do Taxila, czyż nie nawiązał na podobieństwo Corteza kontaktu z Ambhim, królem Taxila, który również widział w przymierzu z ob-

cym zdobywcą wspaniałą szansę pozbycia się rywala, w tym wypadku nie Moctezumy, tylko króla Paurave, który rządził krajem między Jhelma i Chenab? Tlaxcala..." Konsul, jak sir Thomas Browne, mówił o Archimedesie, Mojżeszu, Achillesie, Methuzalemie, Karolu V i Poncjuszu Piłacie. Co więcej, Konsul mówił o Jezusie Chrystusie, a raczej o Yus Asafie, bo według legendy kaszmirskiej był on Chrystusem — Chrystusem, który po zdjęciu z krzyża zawędrował do Kaszmiru w poszukiwaniu zagubionych plemion Izraela i umarł tam w Srinagar...

Ale była w tym wszystkim małeńka omyłka. Konsul nie mówił. Okazało się, że nie mówił. Nie wypowiedział ani jednego słowa. Wszystko to było złudzeniem, chaosem wirującym w mózgu, z którego w końcu, w tej właśnie chwili, wyłonił się potoczyście i skończenie ład.

— Czyn wariata lub pijaka, staruszku — powiedział Konsul — czy też człowieka działającego w afekcie, wydaje się człowiekowi znającemu stan psychiczny sprawcy działaniem nie tyle swobodnym, ile nieuniknionym; natomiast temu, kto nic nie wie o stanie psychicznym sprawcy, czyn taki wydaje się działaniem bardziej swobodnym niż nieuniknionym.

Było to jak kompozycja na fortepian, jak ów niewielki kawałek w tonacji minorowej grany na czarnych klawiszach — przecież w gruncie rzeczy właśnie dlatego, przypomniał sobie Konsul, poszedł do *excusado*, dlatego, żeby go sobie przypomnieć i w razie potrzeby zaprodukować na zawołanie; a także było to może jak cytat Hugh'a z Matthew Arnolda na temat Marka Aureliusza — jak ten mały kawałek na fortepian, którego przed laty człowiek nauczył się z takim trudem na pamięć i którego nie pamięta, ilekroć szczególnie chce go sobie przypomnieć, aż w końcu pewnego dnia, upije się w taki sposób, że palce same przypominają sobie układ i cudownie, po mistrzowsku wyzwają bogactwo melodii; tylko że w tym przypadku Tołstoj nie dostarczył melodii.

— Co? — spytał Hugh.

— Och, drobiazg. Wiesz, ja zawsze wracam do tematu i podejmuję rozmowę w punkcie, w którym została przerwana. Czyż inaczej utrzymałbym się tyle lat jako Konsul? Kiedy absolutnie nie rozumiemy motywów jakiegoś czynu — wolę ci wyjaśnić, że nawiążę do wypadków tego popołudnia, bo może twoje myśli pochłonięte są tematami, któreś sam poruszał — więc jeśli nie rozumiemy motywów jakiegoś czynu, czy to cnotliwego, czy grzesznego, czy zresztą obojętne jakiego, zgodnie z Tołstojem przypisujemy temu czynowi znacznie większy pierwiastek wolnej woli. Zgodnie więc z Tołstojem powinniśmy byli okazać mniejszą niechęć do interwencji...

—■ Tołstoj powiada, że wszystkie bez wyjątku przypadki, w których nasza koncepcja wolnej woli i przymusu podlega przemianom, uwarunkowane są trzema względami — powiedział Konsul. — Od tej prawdy nie uciekniesz. Co więcej, jak żąda Tołstoj — ciągnął — zanim osądzimy złodzieja, jeżeli był to złodziej, powinniśmy zadać sobie pytanie; jakie były jego związki z innymi złodziejami, stosunki rodzinne, jego miejsce w aktualnej rzeczywistości, a także jego stosunek do świata zewnętrznego i wynikających stąd konsekwencji, które doprowadziły do czynu... Cervantes!

■— Naturalnie powolutku dowiadujemy się o tym wszystkim, a tymczasem ten biedak przy drodze spokojnie sobie umiera — powiedział Hugh. — Jak doszliśmy do tego? Nikt z nas nie miał okazji interweniować, zanim czyn został dokonany. Jeśli wiem, żadne z nas nie widziało samego aktu kradzieży. Zresztą, o jakim innym przestępstwie mówisz, Geołf? Jeżeli w ogóle dokonano tam innego przestępstwa... A fakt, że nie uczyniliśmy nic, żeby powstrzymać złodzieja, jest z pewnością mało ważny w porównaniu z tym, że nie uczyniliśmy właściwie nic, żeby uratować temu biedakowi życie.

— O właśnie — powiedział Konsul. — Mówiłem, zdaje się, o zagadnieniu interwencji w ogólności. Dlaczego mielibyśmy robić cokolwiek, żeby mu ratować życie? Czyż on nie miał prawa umrzeć, jeśli sobie tego życzył?... Cervan-

tes, mescal... *no, parras, 'por favor...* Dlaczego ktokolwiek miałby się wtrącać do kogokolwiek? Dlaczego na przykład wtrącano się do tlaxcalanczyków, którym żyło się naprawdę szczęśliwie w cieniu drzew obarczonych wiekiem, wśród pletwonogiego ptactwa na pierwszej lagunie... •— Jakie pletwonogie ptactwo na jakiej lagunie?

— Albo może, wyrażając się ściślej, Hugh, nie mówi
tem w ogóle o niczym?... Skoro założymy, że nie ustaliliś
my nic... ach, *ignoratio elenchi*,² Hugh, ot co. Albo błąd,
jaki popełniamy zakładając, że dowiedliśmy jakiejś rzeczy
lub ją zbili przy pomocy argumentacji, która dowodzi czegoś
lub zbija coś, co w ogóle nie stanowi kwestii spornej.
Jak z tymi wojnami. Bo wydaje mi się, że w tych naszych
dzisiejszych czasach prawie nigdzie na świecie nie istnieje
już od dawna nic, co byłoby rzeczywiście istotne dla ludzi
znajdujących się w sporze. Ach wy, ludzie z ideami w głowach.

Ach, *ignoratio elenchi!*... Całe to gadanie, na przykład, żeby iść i bić się za Hiszpanię... albo za małe, biedne bezbronne Chiny. Czy ty nie rozumiesz, że jest pewien determinizm w losach narodów? Wydaje się, że na dalszą metę wszystkie otrzymują to, na co zasłużyły.

— No cóż...

Wiatr okręcił się wokół domu jęcząc z poszumem północnej wichury targającej siatkami tenisowymi na kortach Anglii, pobrzękując metalowymi kółkami.

— Nie bardzo to oryginalne.

•— Niedawno mówiło się o biednej, małej, bezbronnej Abisynii. Przedtem o biednej, małej, bezbronnej Flandrii. Zęby me wspominać już o biednym, małym, bezbronnym Kongo Belgijskim. A jutro będzie to biedna, mała, bezbronna Łotwa. Albo Finlandia. Albo Tramtrataria. Albo nawet Rosja. Studiuj historię. Cofnij się o tysiąc lat. Jaki sens wtrącać się do jej nędznego, głupiego biegu? Jest jak *bar-ranca*, rozpadlina pełna odpadków, która wije się przez wie-

²*Parras* — specjalny napój chłodzący.

Ignoratio elenchi –
nieznajomość przedmiotu (łac.)

377

ki i urywa się w... Co, w imię Boga, ma cały ten bohaterski opór, na jaki zdobywają się biedne, małe, bezbronne narody, naturalnie bezbronne, bo takimi je uczyniono w jakimś starannie obmyślonym i zbrodniczym celu...

— Do wszystkich diabłów, przecież ci mówiłem...

•— ...wspólnego z przetrwaniem ducha ludzkiego? Absolutnie nic. Mniej niż nic. Cywilizacje, kraje, imperia, wielkie hordy giną z powierzchni ziemi bez żadnej przyczyny — a wraz z nimi ich dusza i sens ich istnienia — po to, żeby imógł utrzymać się przy życiu jeden stary człowiek, o którym może nigdy nie słyszałeś i który o nich nigdy nie słyszał, który poci się w upale Timbaktu i usiłuje dowieść przy pomocy prymitywnych instrumentów istnienia matematycznego korelatu *ignoratio elenchi*.

— Na miłość boską — powiedział Hugh.

— Wróc chociażby do czasów Tolstoja...
Ivonne, dokąd idziesz?

— Wychodzę na chwilę.

— Wtedy było biedne, małe, bezbronne Czarnogórze.
I biedna, mała, bezbronna Serbia. Albo cofnij się jeszcze trochę, Hugh, do czasów Shelleya, w których była biedna, mała, bezbronna Grecja... Cervantes! Która naturalnie znowu będzie biedna, mała i bezbronna. Albo do czasów Boswella — biedna, mała, bezbronna Korsyka! Cienie Paoli i Monboddó. Rajfury i dziwki popierają wolność! Jak zawsze. A Rousseau — nie Celnik! — wiedział, że mówi bzdury...

— A mby co ty, u wszystkich diabłów, robisz innego?

— Dlaczego ludzie nie pilnują swojego własnego prze klętego nosa?

■—■ Albo nie mówią tego, co myślą?

— Przyznaję, że tu chodzi o co innego. Nieuczciwe ma sowe tłumaczenie motywu, usprawiedliwianie wulgarnego, patologicznego świerzbieńia. Motywów wtrącania się; a w połowie przypadków to tylko zamiłowanie do nieszcześcia. Ciekawość... Chęć zdobycia

**doświadczenia... bardzo
naturalne... Ale w gruncie nic
konstruktywnego, tak na-**

378

prawdę tylko akceptacja, godna pogardy,
nędzna akceptacja stanu rzeczy, która
schlebia, która pozwala wierzyć, że jest się
szlachetnym i użytecznym!

—Na miłość boską, przeciwko takiemu
stanowi rzeczy
ludzie w rodzaju hiszpańskich lojalistów...

—Ale z oczekującą na końcu katastrofą.
Musi być ka-
tastrofa, bo inaczej ludzie, którzy się
wtrącaли, musieliby
wrócić i dla odmiany wziąć na siebie
odpowiedzialność...

—Poczekaj, aż przyjdzie prawdziwa wojna!
Przekonasz
się wtedy, jak faceci w twoim rodzaju
robią się krwio-
żerczy!

—Z czego by nigdy nic nie wyszło. Ach, wy
wszyscy,
którzy tyle rozprawiacie o pójściu do
Hiszpanii, żeby wal-
czyć o wolność... Cervantes... powinniście
nauczyć się na
pamięć tego, co Tołstoj mówi o tych
sprawach w *Wojnie
i pokoju*, mam na myśli rozmowę z
ochotnikami w pocią-
gu...

—Cóż, to w każdym razie było w...
—...kiedy to pierwszy ochotnik, pozwól,
okazuje się
chełpliwym degeneratem, który się upił i
najwyraźniej
jest przekonany, że robi coś heroicznego...
dlaczego się
śmiesz, Hugh?

—Bo to śmieszne.

—A drugi jest człowiekiem, który próbował
wszystkie
go i w niczym do niczego nie doszedł. Tylko
trzeci — Ivon-
ne wróciła i Konsul, który krzyczał, zniżył
trochę głos —■
artylerzysta, zrobił na nim początkowoi
dobre wr"ażenie.
Ale kim się okazał? Kadetem oblanym na
egzaminach.
Wszyscy, jak widzisz, niewydarzeni, nicponie,
tchórze, ze-
ra, wilki bez kłów, pasożyty, wszyscy co do
jednego, lu-
dzie, którzy bali się odpowiedzialności,
niezdolni do pro-
wadzenia własnej życiowej walki, gotowi
pójść wszędzie,
Jak to doskonale rozumiał Tołstoj...
—Kapitulanci? — spytał Hugh. — Czy
Katamazow albo

ktoś tam inny nie uważał, że w działaniu tych
ochotników
Przejawiała się dusza narodu rosyjskiego?
Bądź pewien,
Ja doskonale rozumiem, że korpus
dyplomatyczny, który
siedzi sobie w San Sebastian w nadziei, że
Franco szybko

zwycięży, zamiast wrócić do Madrytu i powiedzieć rządowi brytyjskiemu, co naprawdę dzieje się w Hiszpanii, nie składa się z kapitulantów!

—A czy twoje pragnienie, żeby walczyć za Hiszpanię, za koszałki-opałki, za Timbuktu, za Chiny, za hipokryzję, za każde duby smalone, które kilku skretyniałych idiotów postanowi nazwać wolnością... przy czym naturalnie nic takiego nie istnieje...

—Jeżeli...

—Jeżeli naprawdę przeczytałeś *Wojnę i pokój*, jak utrzymujesz, dlaczego, powtarzam, nie starcza ci oleju w głowie, żeby wyciągnąć z niej pouczające wnioski?

■— W każdym razie — powiedział Hugh — wyciągnąłem z *Wojny i pokoju* na tyle pouczające wnioski, że potrafię ją odróżnić od *Anny Kareniny*.

—Doskonale, w takim razie *Anna Karenina*... — Kon sul zrobił pauzę. — Cervantes! — i Cervantes zjawił się ze swoim walczącym kogutem, pogrążonym najwyraźniej w głębokim śnie, pod pachą.

—*Muy fuerte* — powiedział — *muy okrrropnie* — do dał przechodząc przez salkę • — *un bruto*.

—Ale, jak już o tym wspomniałem, wy cholerni natrę ci —• zapamiętajcie moje słowa — wtykacie nos w nie swo je sprawy u siebie w kraju, a co dopiero za granicą.

„Geoffrey, kochanie, dlaczego nie przestaniesz pić, nie jest jeszcze za późno"... tego rodzaju kawałki. Kto powie dział, że nie jest za późno? Czy ja tak powiedziałem? —■

Co on mówi? Konsul przysłuchiwał się własnym słowom niemal zdumiony ich nagłym okrucieństwem, ich wulgar nością. A za chwilę miało być jeszcze gorzej. — Zdawało mi się, że wszystko jest tak znakomicie i prawomocnie ure gulowane, że jest za późno. To tylko ty się upierasz, że nie jest.

—Och, Geoffrey...

Czy Konsul to mówił? Czy musiał to mówić? Zdawało się, że musiał.

— Skąd możesz wiedzieć, czy to nie
świadomość, że
z całą pewnością jest już za późno, trzyma
mnie jeszcze

przy życiu... Wszyscy jesteście tacy sami, wszyscy; Ivon-ne, Jacques, ty Hugh, wtrąacie się do cudzego życia, wtrąacie się, wtrąacie... dlaczego ktoś wtrącał się kiedyś do życia młodego Cervantesa, na przykład, żeby w nim wzbudzić zainteresowanie do walki kogutów? I właśnie to sprowadza na świat nieszczęście, jeśli wolno/mi naciągnąć argument w dyskusji, i co za argument, a wszystko dlatego, że nie macie dość rozumu i prostoty, lodwagi, tak, odwagi, żeby zgodzić się na, żeby zgodzić się...

—Słuchaj, GeoffL.

—Czy zrobisz kiedykolwiek coś dla ludzkości, Hugh, z tą całą twoją *oratio obliqua*^x o systemie kapitalistycznym, prócz tego, że o nim gadasz i tak w nim świetnie prosperujesz, że aż ci zaśmierdła dusza?

■— Milcz, Geoff, na miłość boską!

—Zresztą obojgu wam cuchną dusze! Cervantes!

—Geoffrey, proszę cię, usiądź — powiedziała Ivonne

głosem znużonym. — Robisz taką scenę.

•— Nie, Ivonne, nie. Mówię bardzo spokojnie. I spytam cię bardzo spokojnie, czy zrobisz cokolwiek dla kogokolwiek prócz siebie? — Czy Konsul musiał to powiedzieć? Mówił, powiedział: — Gdzie są dzieci, które może chciałem mieć? Przyjmij, że może chciałem mieć dzieci. Utopione. Przy akompaniamencie szumu tysiąca irygatorów. Powiem ci coś, ty nawet nie udajesz, że kochasz ludzkość, bynajmniej! Niepotrzebne ci jest nawet złudzenie, chociaż niestety masz pewne złudzenia, które ci pomagają wyrzekać się twojej jedynej pozytywnej funkcji naturalnej. Właściwie po zastanowieniu muszą powiedzieć, że byłoby lepiej, gdyby kobiety me miały żadnych w ogóle funkcji.

—Geoffrey, do jasnej cholery, nie zachowuj się jak bydlę! — Hugh wstał.

—Hugh, do jasnej cholery, siadaj! — rozkazał Kon

sul. — Naturalnie doskonale zdaję sobie sprawę z ro mantycznych trudności, w jakich znaleźliście się oboje.

1 mową zależną, okrężną (łac.)

Ale nawet jeśli Hugh znowu wykorzysta do maksimum okazję, bardzo niedługo, bardzo niedługo przekona się, że jest tylko jednym z setki czy coś koło tego innych durno-watych głupców z oskrzelami jak sztokfisz i mięśniami jak konie wyścigowe, lubieżnych jak kozły, roznamięt-nionych jak małpy, jurnych jak wilki w czasie rui! Nie, jeden wystarczy...

Szklanka, na szczęście pusta, spadła na podłogę i roz-prysła się na kawałki.

— Jak gdyby wyrywał pocałunki z korzeniami, a po-tem objął nogą jej udo i westchnął. Chryste, ile musie-liście mieć frajdy obmacując się cały dzień i bawiąc w chłopczyka i dziewczynkę pod pretekstem, że mnie ratujecie... Jezu! Mnie, biednego i bezbronnego... dopiero teraz przyszło mi to na myśl. Ale, rozumiecie, to prowadzi do czegoś bardzo logicznego: czeka mnie moja własna, malutka, zakichana walka o wolność. Mamuś, pozwól mi wrócić do ślicznego burdelu! Tam, gdzie pobrzękują *triskele*¹ wśród nieprzerwanego zgrzytania zębów...

To prawda, uległem pokusie, żeby prowadzić rozmowy ugodowe. Omamiły mnie wasze propozycje trzeźwego, bezalkoholowego raju. W każdym razie przypuszczam, że do tegoście cały dzień podstępnie dążyli. Ale teraz zdecydowałem się już w moim małym melodramatycznym mózdku, niewiele go może zostało, ale akurat wystarczy do podjęcia decyzji. Cervantes! Otóż nie tylko nie chcę waszego raju, nie, dziękuję bardzo, ale przeciwnie, wybieram... Tlax... — Gdzie on jest? — Tlax... Tlax...

...Było prawie tak, jak gdyby stał na czarnym, odkrytym peronie dworca, na który poszedł (czy poszedł?) po przepitej nocy, żeby przywitać Lee Maitland wracając z Wirginii o siódmej czterdzieści rano, poszedł z uczuciem lekkości w głowie, lekkości w nogach i w takim stanie ducha, w jakim doprawdy budzi się anioł Baudelaire'a pragnąc, może, wychodzić na pociągi, ale nie na pociągi,

— **1 Symboliczna figurka o trzech nogach spotykana między innymi na antycznych monetach greckich.**

które się zatrzymują, bo w myślach anioła nie ma pociągów, które się zatrzymują, i z takich pociągów nikt nie wysiada, nie wysiada nawet inny anioł, nawet jasnowłosy anioł jak Lee Maitland... Czy pociąg miał opóźnienie? Dlaczego on przechadza się po stacji? Czy miał to być drugi czy trzeci pociąg z Suspension Bridge?,..

•—■ Tlax... — powtórzył Konsul. — Wybieram...

Był w pokoju i nagle w tym pokoju nastąpił rozpad materii: klamka tkwiła w powietrzu w pewnej odległości od drzwi. Firanka fruwała do środka o własnych siłach, nie umocowana, nie przyczepiona ^do niczego. Uderzyła go myśl, że firanka przyszła, żeby go udusić. Metodyczny mały zegarek za barem przywrócił go do przytomności, tykał bardzo głośno: Tlax... tlax... tlax... W pół do szóstej. Czy to wszystko?

— ...piekło — dokończył absurdalnie. — Ponieważ... — wyjął z kieszeni i położył na stoliku dwadzieścia pesos. — ...lubię je — zawołał do nich przez otwarte okno, już z tamtej strony. Cervantes stał za barem, oczy miał przestraszone, kogucika trzymał pod pachą. — Kocham piekło. Z niecierpliwością czekam chwili, kiedy tam wrócę. Właściwie już biegnę. Już tam prawie jestem.

Biegł rzeczywiście, mimo utykania, obracając się i wołając do nich obłąkańczo, ale dziwna rzecz, nie robił tego tak zupełnie poważnie, kiedy biegł w stronę lasu coraz mroczniejszego, burzliwego w konarach drzew; podmuch wiatru runął na niego z lasu i płaczące drzewo pieprzowe zahuczało.

Konsul zatrzymał się po chwili; wokół cisza. Nikt za nim nie wybiegł. Czy to dobrze? Tak, dobrze, pomyślał z sercem łomocącym. A ponieważ to dobrze, pójdzie ścieżką do Parian, do „Farolito”.

Przed nim wulkany o ścianach stromych zdawały się teraz bliższe. Wyrastały z dżungli prosto w posępne niebo — imponujące, zaciekawiające ruchome tło.

Zachód słońca. Wiry pomarańczowych i zielonych ptaków wysoko w powietrzu zataczają coraz szersze kręgi, jak koła na wodzie. Dwa prosiaki przebiegły galopem i znik-i nęły w kurzu. Minęła ich szybko kobieta, z wdziękiem ' biblijnej Rebeki niosąca na głowie małą, lekką flaszkę.

Potem, gdy zostawili za sobą „Salon Ofelia”, nie było już kurzu. Ich ścieżka, biegnąca teraz prosto, prowadziła poprzez huk wodospadu obok kąpieliska, gdzie kilku odważnych pływaków ociągało się jeszcze z odejściem, i dalej w stronę lasu.

Prosto przed nimi na północnym wschodzie były wulkany, za ich szczytami czarne, groźne chmury wspinały się bezustannie na niebo.

Burza, która wysłała już swoje forpoczty, sama wędrowała widocznie okreśną drogą; prawdziwy atak miał dopiero nadejść. Tymczasem wiatr ucichł i znowu zrobiło się jaśniej, chociaż słońce zaszło za ich plecami, trochę po lewej, na południowym wschodzie, gdzie ponad ich głowami czerwony blask rozkładał się wachlarzem na niebie.

Nie widziano Konsula w „Todos Contentos y Yo Tam-bien”. I teraz w ciepłym zmroku Ivonne szła przed Hu-ghem rozmyślnie szybko, żeby uniemożliwić rozmowę. Niemniej jego głos (jak wcześniej tego dnia głos Konsula) ścigał ją.

—Wiesz doskonale, że nie ucieknę i nie zostawię go tu samego — powiedziała.

—Chryste, gdyby nie moja obecność, nigdy by się to nie zdarzyło!

—Zdarzyłoby się prawdopodobnie coś innego.

Dżungla zamknęła się nad ich głowami i wulkany zniknęły. Mimo to nie było jeszcze ciemno. Blask emanował z wartkiego potoku, który płynął obok ich ścieżki. Duże żółte kwiaty przypominające chryzantemy, połyskliwe w mroku jak gwiazdy, rosły po obu brzegach potoku. Dzikie bouganvillee, ceglastoczerwone w półświecie, od czasu do czasu krzak białych dzwoneczków zwróconych językami do ziemi wyskakiwały na nich z mroku i co jakiś czas znak przybity do drzewa — połupana, wyblakła na deszczach strzałka z ledwie czytelnym napisem: *a la Cascada*¹.

Trochę dalej zużyte lemiesze pługów i poskręcane, zardzewiałe podwozia porzuconych amerykańskich samochodów tworzyły most na potoku płynącym wciąż po ich le-

Szmer wodospadów za nimi utonął teraz w grzmocie kaskady, do której się zbliżali. Wszystko było tu nasiąknięte wilgocią, w powietrzu unosił się pył wodny. Gdyby nie hałas, można by niemal usłyszeć, jak rośnie roślinność nad rwącym potokiem, który pędził przez wilgotne, ciężkie listowie krzewów i kwiatów wyrastających wszędzie wokół nich z aluwialnej gleby.

Nagle znowu zobaczyli nad sobą niebo. Chmury straciły już czerwony blask i miały teraz barwę niezwykłą, świetliście białoniebieską, strzępy i kłęby chmur jakby oświetlone księżycem raczej niż słońcem, między którymi huczał wciąż głęboki, bezdenny kobalt południowego nieba.

Szybowały tam ptaki, wzbijały się coraz wyżej i wyżej. Piekielne ptaki Prometeusza!

•^yły to sępy, które na ziemi tak zazdrośnie ze sobą walczą, które kalają się krwią i nieczystościami, a jednak z^°lne są wzbic się, jak teraz, ponad burzę, na wysokości, ^{re} dzielą tylko z kondorami, ponad szczyty Andów... isko na południowym zachodzie był księżyc przygotowujący się do drogi śladem słońca ukrytego za horyzon-^{effl} Po ich lewej, zza drzew po drugiej stronie potoku,

wodospadu
(hiszp.)

wyglądały niskie wzgórza podobne do pagórków na końcu Calle Nicaragua; były fioletowe i smutne. U ich stóp, tak blisko, że Ivonne mogła rozróżnić cichy szelest, pasło się bydło na spadzistych polach, pośród złotych łodyg kukurydzy i tajemniczych namiotów w paski.

Przed nimi Popocatepetl i Ixtaccihuatl górowały nadal na północno-wschodniej stronie nieba; „Śpiąca Kobieta” była może teraz z nich dwojga piękniejsza — poszarpane zręby krwistoczerwonego śniegu na szczycie, które zbladły; ty; gdy na nie patrzyli, przetarte mroczniejszymi skalnymi cieniami, a sam szczyt teraz niejako zawieszony w powietrzu, jak gdyby unosił się pośród gęstniejących, bezustannie wspinających się na niebo czarnych chmur.

Chimborazo¹, Popocatepetl — tak głosił ulubiony poemat Konsula — ukradł mu serce! Ale w tragicznej indiańskiej legendzie to Popocatepetl — rzecz dziwna — był marzycielem: ogień jego miłości wojownika nigdy nie wygasł w sercu poety, płonął wiecznie dla Ixtaccihuatl, którą odzyskawszy, zaraz znów stracił i której strzegł w jej wiecznym uśpieniu...

Doszli do końca polany i teraz ścieżka rozwidlała się. Ivonne nie była pewna. Jeszcze jedna wiekowa strzałka przybita do drzewa wskazywała w lewo, w kierunku, który był przedłużeniem ich dotychczasowej drogi; widniał na niej napis: *a la Cascada*. Ale podobna strzałka na innym drzewie wskazywała na ścieżkę biegnącą w prawo i oddalającą się od strumienia: *a Paridn*.

Ivonne wiedziała już teraz, gdzie się znajduje, ale te alternatywy, dwie ścieżki po jej bokach, były jak rozpostarte ramiona — uderzyła ją myśl dziwacznie absurdałna — człowieka ukrzyżowanego.

Jeżeli pójdą ścieżką w prawo, dotrą do Parian znacznie wcześniej. Z drugiej strony, główna ścieżka też przywiedzie ich w końcu do Parian, a co było istotniejsze, będą mieli po drodze, była prawie pewna, co najmniej dwie inne *cantiny*.

— **Wulkan w Peru w wysokich Andach.**

■\Wybrali główną ścieżkę; namioty w paski, lodygi kukurydzy zniknęły, wróciła zaś dżungla, jej wilgotny zapach ziemi i roślinności gęstniał wokół nich wraz z nocą.

Ta ścieżka, myślała Ivonne, najpierw dociera do czegoś w rodzaju głównej drogi, w pobliżu restauracji-cantiny zwanej „Rum Popo” albo „El Popo”, następnie zaś, kiedy się na nią znów wejdzie (jeżeli w ogóle można ją nazwać tą samą ścieżką), skręca skróttem w prawo pod prostym kątem i prowadzi przez las do Parian i dalej do samego „Farolito” — jak gdyby była urojoną belką poprzeczną, do której przybite są ręce ukrzyżowanego.

Odgłos coraz bliższego teraz wodospadu był jak niesiony wiatrem poranny świergot pięciu tysięcy sikorek na preriach Ohio. Potok jak oszalały rwał ku wodospadom, zasilany z góry, bo lewy brzeg zmieniał się tu nagle w ogromną ścianę roślinności, po której spływały strumienie wody poprzez gęstwinę ozdobioną festonami powojów rozpiętych wyżej niż wierzchołki najwyższych drzew dżungli. I było tak, pomyślała Ivonne, jak gdyby szybki nurt unoszący wyrwane z korzeniami drzewa i zmiażdżone krzaki porywał też odwagę i unosił ją ku ostatecznej stromiznie.

Dotarli do małej *cantiny* „El Petate”¹. Stała bardzo blisko huczących wodospadów, jej oświetlone okna polyskiwały przyjaźnie w mroku, a w jej wnętrzu byli[^] chwilowo — zobaczyła Ivonne, gdy serce jej skoczyło radośnie i zamarło, znowu skoczyło radośnie i zamarło — tylko barman i dwaj Meksykańczycy, pasterze albo hodowcy pigwy pogrążeni w rozmowie, oparci o kontuar. Ich usta poru^{ru}szwały się bezdźwięcznie, ich brązowe ręce z kurtuazją Powwały w powietrzu linie.

^{ar} „El Petate”, który z miejsca, gdzie stała Ivonne, prawiał wrażenie jakby skomplikowanego znaczka pocztowego,

^ego, oblepionego dookoła dodatkowymi nadrukami reklam: Moctezumy, Criello, Cafeaspirina,

olatum; *No se rasque las picaduras de los insectos,*

Pt a te; mata z liści palmowych, zastępująca posłanie, ależy rozdrapywać ukąszeń owadów, (hiszp.)

był niemal wszystkim, powiedziano kiedyś Konsulowi i Ivonne, co zostało z kwitnącej ongiś wioski Anochtítlan; wioska spłonęła, ale kiedyś sięgała dalej na zachód, aż na drugi brzeg strumienia.

Ivonne czekała na dworze wśród ogłuszającego huku. Od wyjścia z „Salon Ofelia” aż do tej chwili była wspaniale opanowana i spokojna. Ale teraz, gdy Hugh przyłączył się do grupki mężczyzn w *cantine* — zadawał pytania Meksykańczykom, opisywał brodę Geoffreya barmanowi, opisywał brodę Geoffreya Meksykańczykom, zadawał pytania barmanowi, który żartobliwie z pomocą dwóch palców przyprawił sobie brodę — usłyszała nagle swój nienaturalny śmiech; jednocześnie czuła w jakiś obłąkany sposób, że coś się w niej tli, coś się zapala, że lada moment cała jej istota może eksplodować.

Zrobiła kilka kroków do tyłu. Potknęła się o stojącą tuż obok *cantiny* jakiś drewniane pudło, które jakby podskoczyło. W blasku padającym z okien Ivonne zobaczyła drewnianą klatkę i przycupniętego w niej dużego ptaka.

Był to mały orzeł, przestraszyła go i teraz drżał w wilgoci i mroku swojego więzienia. Klatka była wciśnięta między ścianę *cantiny* a niskie grube drzewo, właściwie dwa drzewa złączone w uścisku: *amate* i *sabino*. Lekki wietrzyk wionął jej w twarz pyłem wodnym. Wodospady huczały. Splecione korzenie dwóch drzew-kochanków pełzły wierzchem po ziemi w kierunku potoku, szukały go w ekstazie, chociaż właściwie wcale nie był im potrzebny; korzenie mogły z powodzeniem zostać tam, gdzie były, bo wszędzie dokoła nich natura prześcigała samą siebie w rozpasanej życiodajności. Trochę dalej, w koronach wyższych drzew, rozległy się trzaski, przekorna szarpanina, jakby chrzęst olinowania; konary drzew sterczały wokół niej jak bumpy mroczne i sztywne, o nie zwiniętych żaglach szerokich liści. Nastrój posępnego sprzysiężenia, jak pośród statków w porcie tuż przed burzą, panował między tymi mrocznymi drzewami, poprzez które wysoko w górach przeleciała błyskawica; światło w *cantine* za-

migotało, zgasło, zapaliło się, zgasło. Nie rozległ się grzmot. Burza znowu odeszła daleko. Ivonne czekała zdenerwowana przestraszona; światła zabłysły i zobaczyła, że Hugh — Chryste, jakie to typowe dla mężczyzny, ale może to jej wina że nie chciała wejść do środka — pije szybko przy barze z Meksykańczykami. A ptak wciąż był w klatce, długoskrzydły, ciemny, rozwścieczony kształt, małeńki świat straszliwej rozpacz i marzeń, wspomnień o lotach wysoko nad szczytem Popocatepetl, mila za milą, aby zniżyć się nad pustkowiem na granicy lasów, przysiąść na zjawach górskich drzew smaganych wichrami. Ręce drżały jej z pośpiechu, gdy otwierała klatkę. Ptak wyfrunął ze środka, usiadł u jej stóp, zawahał się, frunął na dach „El Petate”, a potem poderwał się i pofrunął przez mrok nie na najbliższe drzewo, jak można było oczekiwać, ale w górę — tak, miała rację, orzeł wie, że jest wolny! — fruwał coraz wyżej wczepiwszy się nagle skrzydłami w głębokie, czyste, błękitne niebo, na którym w tej chwili zabłysła gwiazda. Ivonne nie miała wyrzutów sumienia. Odczuwała tylko niewytłumaczalny, tajemny tryumf i ulgę; nikt się nie dowie, że ona to zrobiła; a potem niepostrzeżenie zakradł się do jej serca bezdenny ból i uczucie straty.

Światło lampy padło na korzenie drzew; Meksykańczycy stali z Hughiem w otwartych drzwiach, kiwali głowami i wskazywali ścieżkę, a tymczasem w *cantinie* barman wychylił kieliszek napelniony z butelki pod kontuarem.

Nie! — wrzeszczał Hugh starając się przekrzyczeć huk lodospadu. — Nie było go tu! Ale możemy spróbować w tej drugiej *cantinie!*

~~ Tej przy drodze!

Za „El Petate” ich ścieżka skręcała w prawo obok psiej ^dy, do której przywiązany był łańcuchem mrówkojad ^yJ3cy czarną ziemię. Hugh ujął Ivonne za ramię. Spójrz, mrówkojad! Pamiętasz armadyla? Pamiętam, nic nie zapomniałam.

Ivonne powiedziała to, gdy zaczęli iść w krok, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli. Dzikie stworzenia leśne pomykały obok nich w poszyciu, Ivonne nadal wypatrywała swojego orła, ludziła się jeszcze trochę, że go może zobaczy. Dżungla stopniowo przerzedzała się. Zbutwiałe rośliny zaścielały ziemię, w powietrzu unosił się zapach zgnilizny; *barranca* musiała być gdzieś blisko. Nagle powietrze stało się czystsze, łagodniejsze, ścieżka pięła się teraz stromo pod górę. Kiedy Ivonne ostatni raz szła tędy, słyszała lelka. Titi-tiu, titi-tiu wołał żalony, samotny głosik wiosny w kraju rodzinnym, titi-tiu przywoływał do domu — ale dokąd? Do domu ojca w Ohio? Zresztą, oo by lelek robił tak daleko od domu w ciemnym meksykańskim lesie? Ale lelek, jak miłość i mądrość, nie miał domu; a ponadto, jak dodał wtedy Konsul, może było mu lepiej tutaj niż w okolicach Cayenne, gdzie podobno lelki zimują.

Szli pod górę, zbliżali się do małej polanki; Ivonne zobaczyła znów niebo. Ale straciła orientację. Niebo meksykańskie stało się obce i gwiazdy przekazywały jej dzisiaj nawoływanie może jeszcze smutniejsze niż zachowane we wspomnieniu nawoływanie biednego bezdomnego lelka. Dlaczego jesteśmy tu, zdawały się mówić gwiazdy, nie tam, gdzieśmy być powinni, i nie w takim kształcie — tak daleko, tak bardzo daleko, tak daleko od domu? Od jakiego domu? Czyż ona, Ivonne, nie wróciła do domu? Ale było coś pocieszającego w samym istnieniu gwiazd. I gdy szła dalej, czuła, że wraca jej nastrój chłodnego spokoju. Znajdowali się teraz na takiej wysokości, że widzieli poprzez drzewa gwiazdy zawieszane nisko nad zachodnią stroną horyzontu.

Skorpion zachodzi... Strzelec, Koziorożec. Ach, tak, więc jednak są, wszystkie są na właściwych miejscach, nagle ich konfiguracja stała się czytelna, rozpoznawalna, ich czysta roziskrzona geometria skrzyła się bezbłędnie. I dzisiaj jak pięć tysięcy lat temu wypłyną na niebo i odpłeną: Koziorożec, Wodnik i dalej za nim samotny Fomalhaut w Rybie Południa; Ryby; Baran; Byk z Aldebaranem i Plejadami. „Kiedy Skorpion zachodzi na południowym zacbo-

dzie, Plejady wschodzą na północnym wschodzie." „Kiedy Koziorożec zachodzi na zachodzie, Orion wschodzi na wschodzie. I Cetus, Wieloryb, wraz z Mirą." Dzisiaj jak za milion lat ludzie będą to mówili albo będą zamykali drzwi, żeby na nie nie patrzeć, będą się odwracali od nich w udręce osamotnienia albo podnosili ku nim oczy i szeptali: „O, tam jest nasza gwiazda, moja i twoja." Będą się kierowali gwiazdami lecąc nad pułapem chmur albo zagubieni na morzu, albo stojąc w bryzgach piany na dziobie statku przy nagłym przechyle będą je obserwowali śląc ku nim swoją wiarę lub brak wiary; będą w tysiącu obserwatoriach kierowali na nie słabe teleskopy, w których obiektywach popłyną tajemnicze roje gwiazd i pył mrocznych gwiazd umarłych, kataklizmy wybuchu słońca albo gigantyczny Antares pędzący ku nieuchronnej śmierci — żarzący się węgielek, a jednak pięćset razy większy od ziemskiego słońca. I ziemia bezustannie obraca się dookoła swojej osi i krąży wokół słońca, słońce krąży po świetlistym kole swojej galaktyki, niezliczone, niezmierzone, usiane klejnotami koła niezliczonych, niezmiernych galaktyk krążą majestatycznie, krążą pędząc w nieskończoność, w wieczność i życie na nich toczy się dalej — a w długi czas po jej śmierci ludzie wszystko to będą nadal odczytywali na nocnym niebie i gdy ziemia będzie się toczyła przez te przyszłe, odległe pory roku, gdy ludzie będą obserwowali gwiazdozbiory wciąż wschodzące na niebo, osiągające kulminację i zachodzące, aby znowu wzejść Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga i Skorpion, Koziorożec, czyli Kozioł Morski, i Wodnik, czyli Woziwoda, Ryby i jeszcze raz tryumfalnie Baran! — czy nie będą wtedy jak ona nadal zadawali sobie odwiecznego, beznadziejnego pytania: dokąd, do jakiego celu? Jaka siła porusza tę niezwykłą maszynę niebieską? Skorpion zachodzi... I znów wspinają się na niebo, pomyślała Ivonne, niewidoczne za wulkanami te gwiazdozbiory, których kulminacja przypada o północy, kiedy Wodnik zachodzi; i ktoś na pewno będzie patrzył — ze świadomością przemijalności, czując jednak, jak brylantowy blask na

sekundę rozświetla mu duszę, wydobywa z mroku pamięci wszystko to, co było tkliwe albo szlachetne, albo odważne, albo dumne — będzie patrzył, gdy wysoko na niebie, mknąc miękkim lotem ptaków w kierunku Oriona, ukazą się dobroczynne Plejady...

Gdy Szli coraz rzadszym lasem, ukazały się znów przed nimi góry, które na jakiś czas stracili z oczu. Ale Ivonne wciąż szła wolno, z ociąganiem.

Daleko na południowym wschodzie i tuż nad horyzontem rożek księżycy, błądy towarzyszy ich porannej przejażdżki, szedł na dobre spać i Ivonne spoglądała na niego — umarłe dziecko ziemi! — z jakimś niezwykłym, żarliwym błaganiem. Morze Płodności w kształcie rombu i Morze Nektaru ośmiokątne w kształcie, i Frascotorius ze zwaloną północną ścianą, i wschodnia gigantyczna ściana Endymionu w kształcie elipsy, bliska zachodniemu rąbkowi; Góry Leibnitza w Południowym Rogu i na południe od Proclus Bagnisko Marzeń. Znajdowali się tam Hercules i Atlas ■ — w samym środku kataklizmu, po<za granicą naszej wiedzy...

Księżyc zaszedł. Gorący podmuch wiatru wionął im w twarz, na północnym wschodzie błyskawica przecięła niebo, biała i postrzępiona, grzmot przemówił oszczędnie. Lawina gotowa runąć w każdej chwili...

Ścieżka coraz bardziej stroma skręcała wciąż w prawo i wiała się teraz między' wysokimi, samotnymi drzewami, podobnymi do z rzadka rozstawionych wartowników, i ogromnymi kaktusami, których niezliczone ramiona, powykęcane i kolczaste, przy każdym zakręcie zasłaniały widok. Panowała tu taka ciemność, iż zdumiało ich odkrycie, że świat poza tą gęstwiną nie tonie w najczarniejszej nocy.

Jednakże, gdy wyszli na drogę, widok, który ukazał się ich oczom, był przerażający. Zbite kłęby czarnych chmur nadal wspinały się na mroczne mebo. Wysoko nad nimi, bardzo wysoko, na przerażającej wysokości nad nimi bezcielesne czarne ptaki, raczej szkielety ptaków, unosiły się w powietrzu. Burze śnieżne omiatały szczyt Ixtaccihuatl,

zasłoniły go, same zaś stoki wulkanu ginęły pod całunem kumulusów. Cały jednak spadzisty masyw Popocatepetl zdawał się iść ku nim, zdawał się sunąć wraz z chmurami, pochylony nad doliną, na której zboczu plastyczny w promieniach dziwnego i melancholijnego światła błyszczał jeden zbuntowany szczyt pagórka z wznajającym się w jego stok małym cmentarzem.

Cmentarz roił się od ludzi widzialnych jedynie jako płomyki świec.

I nagle było tak, jak gdyby heliograf do nadawania sygnałów za pomocą błyskawic zaczął wysyłać przerywane meldunki ponad dzikim krajobrazem; Hugh i Ivonne zobaczyli teraz zamarłe w bezruchu maleńkie białe i czarne postacie. A gdy czekali na grzmot, usłyszeli je także — ciche krzyki i zawodzenia płynące na wietrze, wędrujące ku nim: żałobnicy śpiewali nad grobami swoich bliskich, grali cichutko na gitarach, modlili się. Dotarł ich uszu dźwięk jakby dzwoneczków, widmowych kołatek.

Tytaniczny wybuch grzmotu zdławił echo cmentarza, przetoczył się po dolinach. Lawina ruszyła. Nie zdławiła jednak płomyków świec. Połyskiwały nadal, nieustraszone, kilka posuwało się teraz w małej procesji. Część żałobników szła gęsiego w dół zbocza.

Ivonne z ulgą poczuła pod stopami twardość drogi. Wyskoczyły przed nimi światła „Hotel y Restaurant El Po-po”. Świetlny napis nad garażem obok kłuł w oczy rozjarzonymi literami: *Euzkadi*. Gdzieś niedaleko radio grało w nieprawdopodobnym tempie szaloną muzykę taneczną.

Amerykańskie samochody ustawione rzędem u wylotu ślepej uliczki na skraju dżungli stwarzały w całym tym zakątku nastrój jak gdyby oczekiwania i izolacji, charakterystyczny dla punktów granicznych nocą, a trzeba powiedzieć, że niedaleko stąd było coś w rodzaju granicy, w miejscu, gdzie rozpadlina spięta mostem na przedmieściu Parian znaczyła granicę stanu.

Na tarasie przez sekundę Konsul siedział sam i jadł spokojnie obiad. Ale tylko Ivonne go widziała. Klucząc między okrągłymi stolikami weszli do pustego baru o nie-

wyraźnych konturach, gdzie Konsul siedział zasepiony w kącie, z trzema Meksykańczykami. Ale tylko Ivonne go spostrzegła. Barman go nie widział. Nie widział go też zastępca kierownika, niespotykane wysoki Japończyk, ani kucharz, który poznał Ivonne. Ale nawet kiedy ludzie ci stwierdzili wyraźnie, że nic o nim nie wiedzą (i chociaż do tego czasu Ivonne była już pewna, że Konsul jest w „Farolito”), Konsul zniknął za wszystkimi rogami i wychodził ze wszystkich drzwi. Przy stolikach na kaflowej podłodze przed drzwiami baru nie było nikogo, ale tutaj Konsul też siedział w mroku i wstał, kiedy się zbliżali. A po tamtej stronie, niedaleko *patio*, Konsul odsunął *krzesło*, wstał i kłaniając się szedł im naprzeciw.

W rzeczywistości, jak to często z jakichś powodów bywa w tego rodzaju przybytkach, ilość osób w „E1 Popo” nie tłumaczyła ilości stojących przed restauracją samochodów.

Hugh rozglądał się, częściowo w poszukiwaniu źródła 'muzyki; wydobywająca się z radia we wnętrzu jednego z samochodów i brzmiąca w tym wyludnionym miejscu wręcz upiornie — otchłanna mechaniczna siła, która wymyka się spod wszelkiej kontroli, zarykuje się na śmierć, załamuje się, pędzi ku strasznej katastrofie — muzyka umilkła w końcu.

Patio restauracji było ogrodem w kształcie wydłużonego prostokąta zarośniętym kwiatami i chwastami. Werandy częściowo ukryte w mroku, o łukowym sklepieniu balustrad nadającym im wygląd krużganków, zamykały je z obu stron. Pokoje hotelowe wychodziły na werandy. Światło z położonej w głębi restauracji wychwytywało tu szkarłatny kwiat, tam zielony krzew i obdarzało je nienaturalną żywością. Dwie nastroszone papugi o złych minach i jaskrawym upierzeniu siedziały na metalowych kółkach między łukami werandy.

Błyskawica zamigotała, rozjarzyła na sekundę okna; wiatr zaszeleścił między liśćmi i ucichł zostawiając po sobie rozgrzaną próżnię, w której drzewa łomotały *chao-tyeznie*. Ivonne oparła się o łuk werandy i zdjęła kape-

lusz; jedna z papug zaskrzeczała przeraźliwie, Ivonne przytknęła dłoń do uszu, przycisnęła je mocniej, gdy rozległ się nowy grzmot, i stała tak z oczami zamkniętymi, dopóki grzmot nie zamarł i dopóki nie przyniesiono dwóch kufli bezbarwnego piwa, które Hugh zamówił.

—Hm, trochę tu inaczej niż w „Cerveceria Quauhna-huac”... Tak, chyba zawsze będę pamiętał ten ranek. Nie bo było takie niebieskie, prawda?

—I ten kudłaty pies, i żrebaki, które poszły za nami, i rzeka z tymi śmigającymi ptakami w górze...

—Jak daleko teraz do „Farolito”?

—Okolo półtorej mili. Ale skrótem przez las będzie prawie o milę bliżej.

—Przez las w tej ciemności?

—Me mamy dużo czasu, jeżeli chcesz zdążyć na ostatni autobus do Quauhnahuac. Już po szóstej. Nie mogę pić tego piwa.

■— Nie... smakuje jak stop miedzi i cynku... brrr... Chryste — powiedział Hugh. ■— Słuchaj...

—Napijmy się czegoś innego — zaproponowała Ivonne na pół ironicznie.

—... czy nie można by zatelefonować?

— Mescal — rzuciła Ivonne promiennie. Powietrze było tak naładowane elektrycznością, że wi browało.

—*Comment?*

—*Mescal, por favor* — powtórzyła Ivonne potrząsając głową uroczyście, szyderczo. — Od dawna chcę się prze konać, co Geoffrey w nim widzi.

—*Como no? Bierzemy dwa mescale.*

Ale Hugh nie wrócił jeszcze do stolika, gdy inny kelner przyniósł dwa zamówione mescale i wpatrując się w mrok, z tacką na dłoni, zapalił dodatkową lampę.

Alkohol, który Ivonne wypła przy obiedzie i w ciągu dnia, chociaż było go stosunkowo niewiele, kładł się nieznośnym ciężarem na jej duszę: minęło kilka chwil, zanim wyciągnęła rękę i wypła.

Mdły, ciężki, pachnący eterem mescal w pierwszej chwi-

li nie dał jej uczucia ciepła w żołądku, tylko chłód jak piwo, uczucie oziębienia. Ale działał. Z ganku przed restauracją rozległy się dźwięki gitary, *La Paloma*, grana trochę fałszywie, i meksykański głos śpiewający słowa piosenki; mescal wciąż działał. W rezultacie można go było zaliczyć do klasy dobrych, mocnych trunków. Gdzie jest Hugh? Czy mimo wszystko znalazł Konsula? Nie, Ivonne wiedziała, że go tu nie ma. Rozejrzała się po „El Popo”; pozbawiona duszy śmierć, trzeszcząca i jęcząca w przeciągach, jak ją Geoff kiedyś nazwał — kiepska kopia amerykańskiego przydrożnego hotelu. Wybrała kawałek cytryny z leżących na stole i wcisnęła kilka kropel do kieliszka; zabrało jej to nieprawdopodobnie dużo czasu.

Nagle uświadomiła sobie, że śmieje się nienaturalnie sama do siebie, że coś w niej, w środku, tli się, płonie; i jednocześnie po raz drugi pojawił się w jej mózgu obraz kobiety bez ustanku bijącej pięściami o ziemię...

Ale nie, to nie ona płonęła. To płonął dom jej duszy. Jej marzenie. Płonęła farma, Orion, Plejady, ich dom nad brzegiem morza. Ale gdzie jest ogień? To Konsul pierwszy go zauważył... Skąd biorą się w niej te obłąkane myśli bez kształtu, pozbawione logiki? Wyciągnęła rękę po drugi mescal, mescal Hugh'a, i ogień zgasł, zatopila go fala, która nagle objęła całą jej istotę, fala rozpaczliwej czułości i miłości do Konsula.

... bardzo ciemno i bezchmurnie i wiatr wiejący od morza, i szmer fal, których nie widać, a głęboko w wiosennej nocy letnie gwiazdy w górze, zapowiedź lata, i niebo całe rozgwieżdżone; bezchmurnie i ciemno, i księżyc jeszcze nie wzeszedł; wspaniały, mocny, czysty wiatr od morza i nagle ubywający księżyc wypływa nad wodę, a później, wewnątrz domu, szum niewidzialnych fal bijących w nocy o brzeg...

— Jak tam mescal?

Ivonne podskoczyła: siedziała prawie skulona nad kieliszkiem Hugh'a. Hugh stał nad nią kołysząc się lekko, pod pachą trzymał długi, zniszczony płócienny futerał w kształcie klucza.

—Co ty tam masz, na Boga? — Głos
Ivonne miał
brzmienie dalekie, zmacone.

Hugh umieścił futerał na parapecie.
Potem położył na stole latarkę elektryczną.
Była to machina, o jakiej mógł marzyć
skaut, w kształcie wentylatora okrętowego,
z kółkiem na pasek.

—Spotkałem na ganku tego gościa, dla
którego Geoff
był taki ohydnie niegrzeczny w „Salon
Ofelia”, i kupilem
to od mego. Ale chciał też sprzedać gitarę,
bo ma ochotę
kupić sobie nową, więc gitarę też wziąłem.
Wszystko ra
zem tylko *ocho pesos cincuenta...*

—Po co ci gitara? Masz zamiar grać
Międzynarodówkę
czy coś w tym rodzaju na pokładzie
statku? — spytała
Ivonne.

—Więc jak ten mescal? — powtórzył
Hugh.

—Jak dziewięć jardów drutu kolczastego.
Niewiele bra
kowało, a byłabym wyleciała w powietrze.
Weź, Hugh,
to twój... co zostało.

Hugh usiadł. ^{if}

•— Wypilem jedną tequilę z tym *hombre*
od gitary. Otóż — dodał — absolutnie nie
mam zamiaru wyjeżdżać dzisiaj do Mexico
City, a skoro to zostało postanowione,
możemy zrobić mnóstwo rzeczy w
związku z Geoffem.

—Ja raczej chciałabym się upić.

—*Como tu quieras.*¹ Może to nie jest zła
myśl.

—Dlaczego powiedziałaś, że może to nie
jest zła myśl...
upić się? — spytała Ivonne trzymając w
ręku następny
kieliszek mescal. Potem: — Po co ci ta
gitara?

—Zeby sobie akompaniować do śpiewu.
Może żeby
z jej pomocą zadawać ludziom kłam.

—Dlaczego jesteś taki tajemniczy,
Hugh? Jakim lu
dziom zadawać jaki kłam?

Hugh przechylał swoje krzesło do tyłu,
dopóki nie oparło się o balustradę za nim,
a potem siedział w tej pozycji paląc,
trzymając swój mescal na kolanie.

~~*i*~~ **Jak** zechcesz, (hiszp.)

397

•— Rodzaj kłamstwa, jakie obmyśla sir Walter Raleigh w apostrofie do własnej duszy:

Twa szczerść twą będzie
opieką. Idź, jeśli już
umrzeć mam I światu
zadawaj kłam. Powiedz
dworowi, że świeci Jak
próchno, a do Kościoła, że
wie, co jest dobro, a leci W
zło, niechże twój język
zawoła. A jeśli zaprzeczą
nam, Ty obom zadaj
kłam.

■— Coś w tym rodzaju, tylko trochę
inaczej.

—Dramatyzujesz, Hugh. *Salud y pesetas.*

—*Salud y pesetas.*

—*Salud y pesetas.*

Stał oparty plecami o czarny luk
klasztornego krużganku, pałac, trzymając
kieliszek w ręce i spoglądając na nią.

—Ale przeciwnie — mówił — chcemy
robić dobrze,
chcemy pomagać, być braćmi w
nieszczęściu. Nawet by
libyśmy gotowi zezwolić łaskawie, pod
pewnymi warun
kami, żeby nas krzyżowano. Zresztą, jeśli
już o tym mo
wa, rozpina się nas na krzyżu regularnie,
mniej więcej
co dwadzieścia lat. Ale dla Anglika być
męczennikiem
w dobrej wierze to dowód strasznie złych
manier. Częstką
naszych mózgów możemy nawet poważać
prawość takich
ludzi jak, powiedzmy, Gandhi czy Nehru.
Gotowi jesteśmy
nawet przyznać, że w ich, na przykład,
bezinteresowności
leży nasze zbawienie. Ale w głębi serc
krzyczymy: „Uto
pić tego cholernego człeczynę!” Albo:
„Uwolnić Baraba-
sza!” „Niech żyje O'Dweyer!” Chryste! To
nawet dowód
bardzo złych manier, że Hiszpania jest
męczennicą; na
turalnie w zupełnie innym sensie. A gdyby
Rosja się oka
zała...

Hugh mówił to wszystko, podczas gdy
Ivonne uważnie

— I Przekład Jana Kasprowicza.

przebiegała wzrokiem dokument, który Hugh w tym momencie rzucił na jej stolik. Był to, co prawda, tylko stary, wybrudzony i zmięty spis potraw restauracji, sprawiający takie wrażenie, jakby go podniesiono z ziemi albo noszono bardzo długo w kieszeni, ale Ivonne czytała go w alkoholycznym skupieniu, kilka razy:

„EL POPO”

*Sermcio d la carta*¹

<i>Sopa de ajo</i>	\$ 0.30
<i>Enchiladas de salsa verde</i>	0.40
<i>Chiles rellenos</i>	0.75
<i>Rajas a la „Popo”</i>	0.75
<i>Machitos en salsa verde</i>	0.75
<i>Menudo estilo sonora</i>	0.75
<i>Pierna de ternera al homo</i>	1.25
<i>Cabruto al homo</i>	1.25
<i>Asado de pollo</i>	1.25
<i>Chuletas de cerdo</i>	1.25
<i>Filete con papas o al gusto</i>	1.25
<i>Sandwiches</i> *	0.40
<i>Frijoles refritos</i>	0.30
<i>Chocolate a la española</i>	0.60
<i>Chocolate a la francesa</i>	0.40
<i>Cafe solo o con leche</i>	0.20

Wszystko to było napisane na maszynie przez niebieską kalkę, pod spodem zaś Ivonne odcyfrowała — w podobnym skupieniu — napis biegnący po wewnętrznej stronie małego kółka: „*Lotería Nacional Para La Beneficencia Publica*”², i tworzący jak gdyby ramkę, w środku której było coś w rodzaju marki fabrycznej czy też znaku jakości: szczęśliwa matka całująca dziecko.

1 El Popo (skrót od Popocatepetl), menu *d la carte*:

Zupa czosnkowa. Naleśniki z tortilla, w zielonym sosie, z chile (b. ostra papryka). Faszerowana papryka. Chile a la Popo. Flaki w zielonym sosie. Podróbka w stylu Sonora (stan meksykański). Pieczony udziec cielecy. Pieczone kozle, pieczony kurczak. Kotlety wieprzowe. Polędwica z

**kartoflami, według smaku.
Kanapki, Prysmazona czarna
fasola, Czekolada po hiszpańsku.
Czekolada po francusku. Kawa
czarna lub z mlekiem.**

**² Loteria narodowa, na cele
dobroczyenne.**

Lewą stronę menu zajmowała litografia pełnej postaci uśmiechniętej młodej kobiety, nad którą biegł napis zawiadamiający, że w hotelu restauracji „El Popo” *se ob~serva la mas estricta moralidad, siendo esia disposición de su propietario una garantía para el pasajero, que llegue en compañía*. Ivonne przyjrzała się uważnie kobiecie: dorodna, wystrojona jak czupiradło, włosy upięte niby na amerykańską modłę i długa wzorzysta suknia w kolorach confetti; jedną ręką kiwała do widza szelmowsko, w drugiej trzymała dziesięć rozłożonych w kształcie wachlarza biletów loteryjnych, a na każdym z tych biletów siedziała dziewczyna na skaczącym koniu i (jak gdyby te dziesięć małych postaci było kopiami na pół zapomnianego dawnego wcielenia Ivonne, które żegna się z nią powiewając ręką) powiewała ręką.

—No więc? — spytała Ivonne.

—Nie, to na drugiej stronie — powiedział Hugh.

Ivonne odwróciła menu i siedziała wpatrując się w nie tępym wzrokiem.

Prawie cała odwrotna strona menu była pokryta pismem Konsula, w szczytowym chaosie. U góry po lewej Ivonne przeczytała:

RECKNUNG

1 ran, y anis 1.20

\ 1 ron Salon
Brasse 0.60

1 tequila dobie 0.30

—2.10—

U dołu podpis: G. Firmin; był to mały rachunek zostawiony tu przez Konsula przed kilku miesiącami, kwit sporządzony jego ręką.

— Nie, już zapłaciłem — powiedział Hugh siadając obok niej.

Ale pod tym „rachunkiem” widniały enigmatyczne sło-

1 przestrzega się rygorystycznie moralności. To zarządzenie właściciela stanowi gwarancję dla klientów, którzy przybędą w towarzystwie, (hiszp.)

wa: „pory... upiory...”, poniżej zaś znajdowało się kilka nabazgranych zdań, które nie sposób było odczytać. W środku karty Ivonne przeczytała: „Chwieje... nadzieję”, dalej „zimnej celi”, natomiast po prawej znajdował się rodzic i częściowe wytłumaczenie tych cudownych dzieci — coś, co wyglądało jak poemat w trakcie tworzenia, może próba czegoś w rodzaju sonetu, ale o budowie tak chaotycznej i nieskładnej, tylokrotnie przekreślany, poprawiany i tak poplamiony, zniekształcony i otoczony tyłoma niezdarnymi rysunkami, w tym palka, koło, a nawet podłużna czarna trumna w kształcie skrzyni, że prawie nieczytelny. W końcu wyglądało to mniej więcej tak:

Kilka lat temu rozpoczął ucieczkę

... ciągle ucieka... od tej pory;

Nie wie, że prześladowcy stracili nadzieję

Ujrzenia go na stryczku, gdzie (tańcząc) się chwieje

Ścigany przez spojrzenia i strachu upiory;

Soczewka błyszczącego świata, co obrony

Nie chce odeń, bo uważa go za czas miniony,

I nie traci... sądząc (nawet gorzej),

Ze niewart... ceny zimnej celi.

Bo może byłby skandal, gdyby umarł. Może.

Ale nic oprócz tego. Niektórzy słyszeli

Dziwne, piekielne wieści o tej biednej duszy

Zbiegłej niegdyś na północ...

„Zbiegłej niegdyś na północ” — pomyślała Ivonne; Hugh spytał:

— *Vdmonosl*

Ivonne odrzekła, że tak.

Dziwacznie przenikliwy był głos wiatru zawodzącego na dworze. Gdzieś niedaleko łomotała obłuzowana okiennica, a świetlny napis nad garażem wrzynał się w mrok: *Euzkadi...*

Zegar powyżej ■ — ankieta publiczna
aktualnej chwili — wskazywał siódmą za
dwanaście. „Zbiegłej niegdyś na
północ.” Goście jedzący obiad zeszli z
tarasu „El Popo”...

Gdy schodzili ze stopni, błyskawica
przecięła niebo i na-

26 — Pod wulkanem 40]

tychmiast huknął grzmot salwami rozproszonego, przedłużonego loskotu. Na północy i wschodzie zwały czarnych chmur pożarły gwiazdy; Pegaz cwałował w górę nieba niewidoczny; ale nad nimi niebo było wciąż czyste: Wega, Deneb, Altair; i na zachodzie, przez drzewa, Herkules. „Zbieglej niegdyś na północ” — powtórzyła Ivonne. Prosto przed nimi, tuż obok drogi, wznosiły się ruiny greckiej świątyni, niewyraźnie majaczące w mroku dwie wysokie, smukłe kolumny, do których wiodły dwa szerokie stopnie: a raczej istniała przez krótką chwilę ta świątynia o doskonałym pięknie kolumn i niezrównanej w kształcie i proporcjach szerokiej płaszczyźnie stopni, które stały się teraz dwoma chybocącymi na wietrze snopami światła z garażu, przecinającymi drogę, a kolumny — dwoma słupami telegraficznymi.

Skrećili z drogi na ścieżkę. Snop światła z latarki Hugh'a rysował w mroku widmową tarczę strzelniczą, która rozszerzała się, rozrastała do olbrzymich rozmiarów, a jednocześnie rozpraszała na boki i zaplątywała światłociecz w kaktusach. Ścieżka zwęziła się i szli teraz pojedynczo, Hugh z tyłu, świetlista tarcza przed nimi sunęła zataczając eliptyczne, koncentryczne kręgi, w których podskakiwał zniekształcony cień Ivonne czy też cień olbrzymki. Kaktusy w migotliwym świetle miały barwę szarej soli; zbyt sztywne i mięsiste, żeby zgiąć się na wietrze, dyszały tylko wielorakimi, przeciągłymi jękami, trzeszczały upiornym klekotem łusek i cierni.

„Zbieglej niegdyś na północ...”

Ivonne czuła się teraz absolutnie trzeźwa; kaktusy zni-knęły, a ścieżka, chociaż nadal wąska i biegnąca między wysokimi drzewami i gęstym poszyciem, była dość wygodna.

„Zbieglej niegdyś na północ.” Ale oni nie idą na północ, idą do „Farolito”. Konsul też nie zbiegł wtedy na północ, poszedł prawdopodobnie jak dzisiaj do „Farolito”. „Bo może byłby skandal, gdyby umarł. Może.” Po wierzchołkach drzew nad ich głowami przeszedł szum jak szmer pędzącej wody. „Gdyby umarł!”

Ivonne była trzeźwa. To tylko poszycie, które niespodziewanie i błyskawicznie wyskakiwało na ścieżkę przed nimi, które zagradzało im drogę, nie było trzeźwe; poruszające się drzewa nie były trzeźwe; i wreszcie Hugh (zrozumiała teraz), który wyprowadził ją tak daleko, żeby jej dowieść, o ile wygodniejsza byłaby droga i jak niebezpieczny jest ten las w czasie wylądowań elektrycznych, teraz prawie nad ich głowami, nie był trzeźwy. Ivonne przekonała się nagle, że stoi, że zaciska ręce do bólu i mówi:

—Musimy się pośpieszyć, dochodzi chyba siódma. —
Potem zaczęła iść szybko, prawie biegła ścieżką mówiąc głośno, w podnieceniu: — Czy ja ci wspominałam, że ostatniego wieczoru, zanim wyjechałam rok temu, umówiliś my się z Geoffreyem, że zjemy razem obiad w Mexico City, ale on zapomniał nazwy restauracji, powiedział mi, i chodził od lokalu do lokalu i szukał mnie jak teraz my jego?

*En los talleres y
arsenales a guęra!
todos, tocan ya*

zaśpiewał Hugh z rezygnacją, głębokim głosem.

—...a dokładnie tak samo było, kiedyśmy się poznali w Granadzie. Umówiliśmy się na obiad gdzieś w pobliżu Alhambry, a mnie się zdawało, że on chciał spotkać się ze mną w samej Alhambrze, więc nie mogłam go znaleźć, a teraz znowu go szukam... pierwszego wieczoru po powrocie.

*...todos, tocan ya;
morir i quien quiere por la gloria
o por vendedores de cañones? ²*

Grzmot przetoczył się po lesie i Ivonne o mało znowu się nie zatrzymała, na pół wyobrażając sobie, że widzi na koń-

1 Opuśćcie zakłady i arsenały,

Do walki wszyscy, hej na koń!
(hiszp.)

**2. Umrzeć to zginąć na polu
chwały
Lub, za tych, co sprzedają
broń? (hiszp.)**

26*

403

cu ścieżki kobietę trzymającą bilety loteryjne, która uśmiecha się do niej swoim nieruchomym uśmiechem, przywołuje ją ręką.

—Jak daleko jeszcze?
—Jesteśmy prawie w Parian. Ścieżka skręca jeszcze dwa razy i będziemy musieli przedostać się przez zwałone drzewo.

*Adelante, la juventud,
al asalto, vamos ya,
,
y contra los imperialismos,
para un nuevo mundo hacer. i*

—Miałaś wobec tego rację — powiedział Hugh.

W burzy nastąpiła chwilowa cisza, która dla Ivonne — spoglądającej w górę na długie, powolne kołysanie się wierzchołków drzew na tle burzowego nieba — była chwilą ciszy na morzu przed odpływem, ale miała też w sobie coś z dzisiejszej rannej przejażdżki z Hughiem, coś z nocnej kwintesencji ich wspólnych myśli tego ranka, a także coś z dzikich tęsknot młodości i miłości, i smutku.

Ostra detonacja jak strzał z rewolweru albo wybuch mieszanki w samochodzie przerwała tę rozkołysaną ciszę, po niej druga, trzecia.

—Znowu strzelanie do celu ■— zaśmiał się Hugh. Były to jednak dźwięki z tego świata i ich inność w porównaniu z ohydny trzaskiem grzmotu, który rozległ się za raz po nich, przynosiła ulgę, znaczyły bowiem, że Parian jest niedaleko, że za chwilę migną między drzewami mętne światła osiedla; błyskawica rozdarła noc i w jej świetle zobaczyli, jak za dnia, bezużyteczną, melancholijną strzałkę wskazującą kierunek, z którego przyszli, ku wypalonej Anochtitlan; a teraz w mroku jeszcze głębszym latarka Hugh'a oświetliła pień drzewa po lewej stronie, z przj-bitą do niego tablicą, na której ręka z wyciągniętym pal

cem wskazującym potwierdzała ich
kierunek:

**i Naprzód więc,
do ataku
Uzywaj
młodych lat
Przeciw
impenalizmom,
By tworzyć
nowy świat,
(hiszp)**

I A PARIAN

Hugli śpiewał idąc za Ivonne... Zaczął padać drobny deszcz i w lesie rozszedł się łagodny, czysty zapach. Oto było miejsce, w którym ścieżka zawracała — jak gdyby po to tylko, żeby urwać się raptownie przed tarasującym ją ogromnym pniem zarośniętym mchami; zwalony pień odgradzał ścieżkę od tej dróżki, której Ivonne nie wybrała na rozwidleniu, a w którą Konsul skręcił prawdopodobnie za Tomalin. Wilgotna od rosy drabina o szeroko rozstawionych szczeblach stała jak dawniej z tej strony pnia i Ivonne wspięła się na nią, niemal zanim spostrzegła, że zgubiła światło latarki Hugh'a. Utrzymując jakoś równowagę na tym oślizłym, czarnym pniu zobaczyła znów światło trochę w bok od ścieżki, przesuwał się między drzewami. Powiedziała nie bez pewnej nuty tryumfu w głosie:

—Pilnuj się, Hugh, żebyś nie zeszedł ze ścieżki, jest w tym miejscu trochę zdradliwa. I uważaj na zwalony pień. Z tej strony jest drabina, ale na tamtą trzeba zeskończyć.

—To skacz — powiedział Hugh. ■— Musiałem zejść z tej twojej ścieżki. Słyszac pełen skargi jęk gitary, gdy Hugh uderzył w pudło, zawołała: — Tu jestem, tu!

*Hijos del pueblo que oprimen cadenas
esa inyusticia no debe existir
si tu existencia es in mundo de penas
antes que esclavo, prefiere morir
prefiere morir...*

śpiewał ironicznie Hugh.

Nagle się rozpadło. Wiatr jak rozpędzony pociąg przemknął przez las; tuż obok uderzył piorun między drze-

—IO, synowie ludu,
gniotą was kajdany! Te
niesprawiedliwość, zbyt
długo znoscie. Jeśli
mam tak cierpieć, tak
być uciskany, Zamiast
żyć w niewoli, wolę
oddac życie,

Wolę oddać życie...
(hiszp.)

wami z wściekłym wybuchem i rykiem grzmotu, który wstrząsnął ziemią.

Niekiedy w czasie burzy jest ktoś, kto za nas myśli, kto wnosi pod dach meble z naszego duchowego ganku, zamyka i rygluje okna naszej duszy przed tym, co wydaje się przerażające nie tyle jako groźba, ile jako pewnego rodzaju pogwałcenie intymności nieba, druzgocący obłęd tam w górze, pewnego rodzaju kompromitacja, której śmiertelni nie mają prawa przyglądać się zbyt dokładnie; ale w mózgu zawsze pozostają jedne drzwi otwarte — jak ludzie pozostawiali kiedyś w czasie gwałtownych nawałnic drzwi domów otwarte dla Jezusa — aby mogło nimi wejść i być przyjęte to, co jest bez precedensu, bo-jaźliwa zgoda na piorun, który nigdy w nas nie uderza, na błyskawice, które zawsze omiatają sąsiednie domy, na nieszczęście, które tak rzadko spada w przewidzianej nieszczęśliwej godzinie, i przez te duchowe drzwi Ivonne, stojąc wciąż na pniu i z trudem utrzymując równowagę, dostrzegła nagle, że coś jej grozi, że dzieje się coś złego. Przez cichnący pomruk grzmotu zbliżało się do niej coś, co nie było szmerem deszczu. Jakieś zwierzę przerażone burzą — może jelen, koń, bo z pewnością słyszała stukot kopyt — pędziło oszalałym galopem, sadyło na oslep przez poszycie; i teraz, gdy przez niebo przeleciała znów błyskawica i piorun znów uderzył, a potem trzask grzmotu ucichł trochę, Ivonne usłyszała przeciągłe rżenie przechodzące w paniczny wrzask o niemal ludzkim brzmieniu. Poczula, jak uginają się pod nią kolana. Zawoławszy na Hugh'a usiłowała się obrócić, żeby zejść z powrotem po drabinie, ale poczuła, jak pień usuwa jej się spod nóg; pośliznęła się, usiłowała odzyskać równowagę, znowu się pośliznęła i runęła twarzą naprzód. Przy upadku podwinęła jej się noga, poczuła ostry ból. Próbując wstać, w następnej sekundzie zobaczyła w jaskrawym świetle błyskawicy konia bez jeźdźcy. Rzucił się w bok, nie na nią, więc widziała go dokładnie — brzęczące siodło, które zsuwało mu się z grzbietu, nawet cyfrę siedem wypaloną na zadzie. Znowu usiłując się podnieść usłyszała własny przeraźliwy

krzyk, gdy zwierzę odwróciło się do niej, runęło na nią. Niebo było płachtą białych płomieni, do której na sekundę przywarły znieruchomiałe wierzchołki drzew i koń zawieszony w powietrzu, stający dęba...

To łódki karuzel na festynie krążą dokoła niej; nie, to krążą planety, podczas gdy słońce tkwi w środku rozżarzone, promieniejące, wirujące: o, wracają znowu — Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jupiter, Saturn, Uran, Neptun, Pluton; ale to nie są wcale planety, bo to nie była karuzela, tylko koło diabelskie, a to są gwiazdozbiory i w ich centrum płonie jak ogromne zimne oko Gwiazda Polarna, wokół niej tamte wszystkie wirują i wirują: Kasiopea, Cefeusz, Ryś, Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica i Smok; a jednak nie były to gwiazdozbiory, tylko miriady pięknych motyli, bo ona wpływa do portu Acapulco przez chmurę burzową pięknych motyli, które śmigają nad głowami i znikają niezmiennie za rufą nad morzem wzburzoną i czystym, długie poranne fale toczą się, zbliżają, roztrzaskują o brzeg i rozplývają po piachu w bezbarwnych półksiężycach, zapadają się, zapadają, ktoś woła gdzieś daleko jej imię i nagle Ivonne przypomniała sofcie, że są w ciemnym lesie, usłyszała wiatr i deszcz idące szumem przez las i zobaczyła dreszcze błyskawic wstrząsające niebem i konia — Boże, czy ta scena będzie się powtarzać wiecznie? — konia stojącego na tylnych nogach, zawieszono nad nią w powietrzu, znieruchomiałego, to posąg, ktoś siedzi na tym posagu, to Ivonne Griffaton, nie, to pomnik Huerty, pijaka i zbrodniarza, nie, to Konsul, a może to mechaniczny koń na karuzeli, ale karuzela zatrzymała się, a ona jest teraz na dnie rozpadliny i rozpadliną pędzi ku niej z grzmotem kopyt milion koni, i ona musi uciec przez las do domu, ich małego domku nad morzem. Ale dom płonie, zobaczyła to teraz od strony lasu ze stopni powyżej, usłyszała trzask ognia, dom płonie, wszystko płonie, marzenie płonie, dom płonie, a mimo to oni są w środku, ona i Geoffrey są w domu, ściskają sobie ręce i wszystko wydaje się w porządku, wszystko jest, jak być powinno, dom stoi, jak stał, i wszy-

stko jest bliskie, naturalne, znajome, tylko że dach płonie i słycać jakby szelest zeschłych liści zwiewanych na dach, mechaniczne trzeszczenie, i teraz, kiedy oni patrzą, ogień rozszerza się — szafa, rondle, stary kociołek, nowy kociołek, opiekuńcza postać nad głęboką, chłodną studnią, szpadle, grabie, szopa kryta gontami, na której pochyły dach osypywały się kwiaty dereni, ale nie będą się już osypywać, bo drzewo płonie, ogień rozszerza się coraz szybciej i szybciej, płoną ściany z ich obracającymi się jak koła młyńskie refleksami słońca w wodzie, kwiaty w ogrodzie są szerniałe i płoną, wiją się, kurczą, rozsypują, ogród płonie, ganek, na którym siadywali w wiosenne poranki płonie, czerwone drzwi, okna na zawiasach, zasłony, które sama uszrla, płoną, stary fotel Geoffreya płonie, jego biurko, a teraz jego- książka, książka płonie, strony książki płoną, płoną, płoną, płoną, wzbijają się w górę nad ogień, rozsypują, płoną wzdłuż całej plaży, a teraz robi się ciemniej i zbliża się przyplływ, fale podmywają ruinę domu i statki wycieczkowe, które kiedyś ciągnęły za sobą piosenkę po wodzie, milczące wracają do domu poprzez czarne tonie Eridanus. Ich dom umierał, tylko konanie tam mieszkało.

I porzuciwszy płonące marzenie Ivonne poczuła nagle, że jakaś siła podrywa ją w górę i niesie ku gwiazdom — poprzez wiry gwiazd obracające się wysoko w przestworzach coraz szerszymi kręgami jak koła na wodzie —> wśród których ukazały się teraz, niczym stadko brylantowych ptaków płynących cicho i statecznie w kierunku Oriona, Plejady...

— Mescal — powiedział Konsul.

W głównej salce baru „Farolito” nie było nikogo. Z umieszczonego za barem lustra, w którym odbijały się też drzwi otwarte na plac, jego twarz patrzyła na niego w milczeniu oczami pełnymi surowego, znajomego lęku.

Ale w „Farolito” nie było cicho. Wnętrze wypełniało tykanie: tykanie jego zegarka, jego serca, sumienia, zegara gdzieś obok. I był też inny, odległy dźwięk, gdzieś bardzo daleko w dole, odgłos pędzącej wody, podziemnych wstrząsów; co więcej, słyszał je wciąż — gorzkie, raniące oskarżenia rzucone własnemu bólowi, słyszał głosy jak gdyby w kłótni, jego głos górujący nad innymi, zmieszany teraz z tamtymi głosami, które zawodziły z daleka, nabrzmiate rozpaczą: *„Borracho, Borrachón, Borraaacho!*

Ale jeden z tych głosów brzmiał jak głos Ivonne, błagający Ciągłe jeszcze czuł na plecach jej spojrzenie, ich spojrzenia, w „Salon Ofelia”. Z rozmysłem odepchnął od siebie wszystkie myśli o Ivonne. Wypił szybko dwa mes-cale; głosy ucichły.

Ssąc cytrynę dokonał badawczego przeglądu otoczenia. Mescal podziałał kojąco, ale jednocześnie zwolnił reakcje; za każdym razem upływało kilka chwil, zanim przedmioty kolejno docierały do jego świadomości. W jednym kącie salki siedział biały królik obskubujący kłacz kukurydzy. Z miną daleką i obojętną skubał czarne i fioletowe rejestry, jakby to był instrument muzyczny. Za barem wisiąco na obrotowym uphwyście piękne oaxacańskie naczynie z mescalem de olla, z którego napełniono jego szklanę.

Po bokach baru stały rzędem butelki: tenampa, barreteaga, tequila anejo, anis dobie de Malorca, fioletowa karafka delicioso licor Henry Malleta, flaszka likieru miętowego, wysoka spiralna butelka anis del mono, na której diabeł wywijał widłami. Na szerokiej ladzie przed nim stały talerzyki z wykałaczkami, czerwoną papryką, cytrynami, kieliszek pełen słomek, wysokie łyżeczki w szklanym kufli. Na jednym końcu baru stały wysokie, baniaste dzbany różnokolorowej- aguardiente, wódki o rozmaitych smakach, z pływającą skórką cytrynową i pomarańczową. Wzrok Konsula przyciągnęło zatknięte za lustro ogłoszenie wczorajszego balu: *Hotel „Bella Vista” Gran Baile a Beneficio de la Cruz Roja. Los Mejores Artistas del radio en acción. No jalte Vd.* Skorpion przywarł do ogłoszenia. Konsul przyglądał się wszystkiemu z uwagą. Wzdychając przeciągle, z lodowatą ulgą, policzył wykałaczki w szklance. Tu jest bezpieczny; oto jest *cantina*, którą kocha —• sanktuarium, raj jego rozpaczy.

„Barman”, syn Słonia, znany pod
przezwoiskiem Kilka
Pcheł, mały śniady chłopiec o chorowitym
wyglądzie,
czytał krótkowzrocznie przez okulary w rogowej
oprawie
historyjkę rysunkową *El Hijo del Diablo*¹ w
piśmie dla
chłopców „Ti-to”. Czytając i mamrocząc pod
nosem
jadł
czekoladki. Gdy podał Konsulowi ponownie
napętnioną
szklanę, wylał trochę płynu na kontuar.
Wrócił jednak
do czytania nie wytarłszy plamy i mruzczał dalej,
wpychał
do ust czekoladowe czaszki, kupione na Dzień
Umartych,
||| czekoladowe szkielety, czekoladowe,
tak, karawany. Kon-

sul pokazał mu skorpiona na ścianie,
chłopiec strącił go niecierpliwym gestem;
skorpion nie żył. Kilka Pcheł wrócił do
swojej historyjki obrazkowej mruzcąc na
głos nie- || wyrażnie: „*De pronto, Dalia
vuelve en Sigrita llamando la atención de
un guardia que pasea. Suelteme! Suelteme!*”
Ratuj mnie, pomyślał Konsul, gdy nagle
chłopiec wstał i wyszedł zmienić
pieniądze, *suelteme*, ratunku; ale może

—iSyn diabła, (hiszp.)

**2 Tymczasem Dalia powraca do
Sigrita, wołając do strażnika, który
przechadza się: pusc mnie, pusc
mnie! (hiszp.)**

skorpion nie chciał, żeby go ratowano, i sam zakuł się na śmierć. Konsul przeszedł na drugą stronę salki. Po nieudanych próbach zaprzyjaźnienia się z królikiem podszedł do otwartego okna po prawej. Brzeg rozpadliny schodził tu niemal pionowo aż na samo dno. Co za mroczne, ponure miejsce! To w Parian Kubła Chan... I naturalnie jest też skała — zupełnie jak u Shelleya albo Calde-rona, albo obu — skała, która nie mogła się zdecydować, czy runąć, czy nie runąć w dół, i spękana czepiała się życia. Ten pionowy spadek jest przerażający, pomyślał wychylając się z okna — spoglądając bokiem na rozłupaną skałę, usiłując przypomnieć sobie ten ustęp z *Rodziny Cencich*, w którym opisany jest ogromny blok skalny ucepiony mas ziemi, jak gdyby czepiał się życia, nie lękający się upadku, a mimo to ciemniejący w głębi otchłani, da której runąłby, gdyby runął. Straszna, przerażająca była ta droga na samo dno. Ale nagle Konsul pomyślał, że on też nie boi się upadku. Odtworzył w pamięci kręty, otchłanny bieg *barranca*, przez pola, zawaloną kopalnię aż do jego ogrodu, a potem zobaczył siebie i Ivonne stojących znowu jak dzisiaj rano przed drukarnią i spoglądających na powiększoną fotografię tamtej innej skały, *La Despedida*, rozsypującej się pośród zaproszeń ślubnych na wystawie, z wirującym kołem napędowym w głębi. Jak oddalone w czasie wydawało mu się to, jak dziwne, jak smutne, dalekie niczym wspomnienie pierwszej miłości, nawet niczym śmierć matki. Podobną teraz jakiemuś mało ważnemu zmartwieniu Ivonne tym razem bez wysiłku opuściła jego myśli.

Popocatepetl wznosił się ogromny za oknem, jego potężne stoki były częściowo ukryte za skłębionymi burzowymi chmurami, jego wierzchołek tarasował niebo; zdawało się, że jest prawie na wprost w górze, że *barranca* i „Farolito” są dokładnie pod nim. Pod wulkanem! Nie na darmo starożytni umieścili Tartar na stokach Etny, a wewnątrz wulkanu potwora Tyfona o stu głowach i ty-łuż przerażających oczach i głosach.

Konsul odwrócił się i z mescalem w ręku podszedł do

otwartych drzwi. Na zachodzie udręka barw ręki i czerwieni. Spojrzał na Parian. Tuż za skrawkiem trawnika znajdował się nieuchronny, mały ogród publiczny. Po lewej, nad brzegiem *barranca*, żołnierz spał pod drzewem. Częściowo zwrócone do niego fasadą, po prawej, stało coś, co na pierwszy rzut oka robiło wrażenie ruin klasztoru lub budynku wodociągów. Były to ozdobione szarymi wieżyczkami koszary żandarmerii, w których, jak wspominał Hughowi, znajdowała się kwatera główna osławionego „Union Militar”. Budynek ten, mieszczący też więzienie, tytał na niego groźnie jednym okiem osadzonym powyżej sklepionego przejścia w środku niskiej fasady: zegar, którego wskazówki wskazywały szóstą. Po obu stronach przejścia zakratowane okna „Comisar^o de Policia” i „Policia de Seguridad” spoglądały w dół na gromadkę rozmawiających żołnierzy, którzy na ramionach mieli trąbki zawieszane na jaskrawo zielonych sznurkach. Inni żołnierze, w sztylpach z klapiącymi rzemykami, maszerowali na zmianę warty. Pod sklepieniem przejścia na dziedziniec kapral pracował przy stole, na którym stała nie zapalona lampa naftowa. Zapisywał coś kaligraficznie, o czym Konsul wiedział, bo idąc chwiejnym krokiem do „Farolito” — może nie tak chwiejnym jak wcześniej na placu w Quauh-nahuac, mimo to dość kompromitującym — o mało nie wpadł kapralowi na głowę. Przez łuki bramy Konsul dostrzegał w głębi podwórza pomieszczenia więzienne opatrzone drewnianymi kratami jak kojce dla świń. W jednym mężczyzna gestykułował gwałtownie. A dalej, z lewej strony, stały rozrzucone chaty kryte ciemną słomą, gubiące się w dżungli, która rozżarzona teraz nienaturalnym, sinawym światłem nadchodzącej burzy ze wszystkich stron otaczała miasto.

Kilka Pcheł wrócił, Konsul wszedł więc do baru, żeby zażądać od niego reszty. Chłopiec widocznie nie usłyszał, bo chlusnął mescal z pięknego naczynia do jego szklanki. Podając mu szklankę przewrócił wykałaczki. Konsul chwilowo nie powiedział nic więcej na temat reszty. Zanotował sobie jednak w myślach, żeby przy następnym zamó-

wieniu zażądać czegoś, co będzie kosztowało więcej niż pięćdziesiąt centavos, które położył na kontuarze. Przyszło mu na myśl, że w ten sposób odzyska stopniowo pieniądze. Zaczął się przekonywać absurdalnymi argumentami, że powinien zostać w „Farolito” już chociażby z tego względu. Wiedział, że istnieje jeszcze jakiś inny powód, ale nie umiał go sprecyzować. Uświadamiał to sobie, ilekroć wracała do niego myśl o Ivonne. W takich chwilach naprawdę wydawało mu się, że w pewnym sensie powinien zostać w „Farolito” ze względu na Ivonne, nie dlatego, że ona tu przyjdzie za nim — nie, Ivonne odeszła, pozwolił jej teraz odejść na zawsze, Hugh może przyjdzie, ale ona z pewnością nie, nie tym razem, tym razem wróci do domu (jegoj myśli nie ośmielały się przekroczyć tego punktu) — ale z jakiegoś innego powodu. Zobaczył swoją resztę na kontuarze, chłopiec nie odliczył jeszcze należności za ostatni mescal. Konsul schował wszystko do kieszeni i znowu stanął w drzwiach. Teraz sytuacja była odwrócona; chłopiec musi jego mieć na oku. Dało mu to ponurą satysfakcję, kiedy sobie wyobraził (chociaż pochłonięty czytaniem chłopiec w ogóle go nie obserwował, z czego Konsul zdawał sobie mglście sprawę), że na cześć Kilku Pcheł nadaje twarzy ów smętny wyraz właściwy dla pewnego typu pijaków lekko podochoconych dwiema szklaneczkami trunku, niechętnie podanego im na kredyt, i wyglądających na ulicę przez drzwi pustej *cantiny*; taki pijak udaje, że przyjaciele, jacy bądź przyjaciele, idą już, żeby go wybawić. Dla niego życie zawsze zaczyna się za następnym rogiem i ma postać następnej szklanki trunku w następnym barze. Ale, tak naprawdę wcale tego wszystkiego¹ nie pragnie. Opuszczony przez przyjaciół, jak sam ich opuścił, wie dobrze, że za rogiem czeka go tylko miążdzące spojrzenie wierzyiciela. Co więcej, nie wzmocnił się trunkiem na tyle, żeby śmiać pożyczyć więcej pieniędzy, czy starał się o dalszy kredyt; zresztą alkohol w sąsiedniej knajpie i tak mu nie smakuje. Dlaczego jestem tutaj, mówi cisza, co ja zrobiłem, rozbrzmiewa echem pustka, czemu zniszczyłem się tak dobrowolnie, szemrzą pieniądze

w automatycznej kasie, dlaczego upadłem tak nisko, stawia pytanie ulica, pytanie, na które jedyną odpowiedzią jest... Plac mu nie odpowiedział. Miasteczko, które sprawiało dotąd wrażenie opustoszałego, zaczęło się napełniać wraz z nadejściem wieczoru. Od czasu do czasu paradował przez plac wąsiasty oficer, szedł krokiem dumnym tnąc się po sztylpach paradną szpicrutą. Ludzie wracali z cmentarzy, chociaż procesja nie pokaże się jeszcze przez jakiś czas. Placem maszerował pluton obdartych żołnierzy. Dźwięczały trąbki. Zjawiała się też policja -- ci policjanci, którzy nie strajkowali albo którzy udawali, że pełnią służbę na cmentarzach, albo może ich zastępcy, bo niełatwo było odróżnić policję od wojska — w dużej sile. Z pewnością *con* niemieckie paluszki. Kapral dalej pisał przy stole; widok ten wydał się Konsulowi dziwnie uspokajający. Kilku amatorów picia przepchało się obok niego przez drzwi *cantiny*, w sombreroach ozdobionych wstążkami i zsuniętych na tył głowy, z kaburami pistoletów obijającymi się im o uda. Zjawili się" dwaj żebracy i zajęli swoje pościelki obok drzwi do baru, pod burzowym¹ niebem. Jeden, beznogi, podciągał się na rękach w kurzu ulicy jak nieszczęsna foka. Ale drugi żebrak, który mógł się poszczycić jedną całą nogą, stanął pod ścianą w postawie wyprostowanej, dumny, jakby czekał na egzekucję. Nagle żebrak z jedną nogą pochylił się; rzucił miedziaka na wyciągniętą rękę beznogiego. Tamtemu łzy napłynęły do oczu. Konsul zauważył teraz, że na samym końcu jego pola widzenia, po prawej, wyłaniają się z lasu idąc ścieżką, którą on tu przyszedł, niezwykle zwierzęta przypominające kozy, ale wielkości wielbłądów, i ludzie obdarci ze skóry, bez głów, na szczudłach, ludzie, których wlokące się po ziemi wnętrzości podskakują przy każdym ruchu. Zamknął oczy, żeby tego nie widzieć, a gdy je otworzył, zobaczył na ścieżce mężczyznę, który wyglądał jak policjant i prowadził konia, to było wszystko. Nie zważając na policjanta roześmiał się na głos i raptownie umilkł. Bo zobaczył, że twarz żebraka opartego o ścianę staje się po-

woli twarzą señory Gregorio, a teraz z kolei twarzą jego matki, że pojawia się w jej rysach wyraz nieskończonej litości, błagania.

Zamknąwszy znów oczy stał trzymając szklanę w ręku i przez chwilę myślał z lodowatym, obojętnym, niemal rozbawionym spokojem o strasznej nocy czekającej go nieuchronnie, niezależnie od tego, czy wypije dużo więcej, czy nie — pokój rozedrgany demoniczną muzyką, urywki snu zgiełkliwego, pełnego lęków, przerywanego głosami, które naprawdę są szczekaniem psów, albo jego własne imię wykrzykiwane bezustannie przez urojone postacie, ohydne wrzaski, brzęki, huki, łomotanie, bójki z zuchwałymi szatanami, lawina wdzierająca się przez drzwi, dżganie spod łóżka, a za oknem bezustanne krzyki, zawrota, straszliwa muzyka snująca przedzę ciemności; wrócił do baru.

Diosdado, Słoń, wszedł w tej samej chwili drzwiami w głębi. Konsul przyglądał mu się, gdy tamten zdejmował czarną marynarkę, wieszając ją w szafie, potem macał ręką kieszeń nieskazitelnie białej koszuli szukając fajki, która wystawała z kieszeni. Wyjął fajkę i zaczął ją nabijać tytoniem z paczki „Country Club el Bueno Tono”. Konsulowi przypomniała się zgubiona fajka: oto jest, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

— *Si, si, mister* — odpowiedział Diosdado wystuchując pytania Konsula z pochyloną głową. — *Claro. — No...* moja ach fy-ajka nie *Inglese*. Moja fy-ajka z Monterrey. Pan był ... ach... *borracho* jednego dnia wtedy. *No, señor?*

— *Cómo no?* — rzekł Konsul. — Dwa razy na dzień.

•— Pan był* pijany trzy razy na dzień — powiedział

Diosdado patrząc na niego i to spojrzenie, zawarta w słowach obelga, insynuowany rozmiar jego upadku wstrząsnęły Konsulem. — Teraz pewnie wróci pan do Ameryki, co? — dodał Diosdado, szukając czegoś za barem.

— Ja?... Nie... *por que?*

Diosdado rzucił nagle na kontuar grabą paczkę listów ściągniętych gumką.

— ... *es suyo?*¹ — spytał bez wstępów. „Gdzie są listy Geoffreya Firmin listy które pisała aż jej pękało serce?” Tu są listy, tu i nigdzie indziej; to są jej listy i Konsul wiedział o tym, nie musiał sprawdzać • kopert. Kiedy przemówił, nie poznał własnego głosu.

— *Si, señor, muchas gracias* — powiedział.

— *De nada, señor.* — Dany Przez Boga odwrócił się.

„*La ramę inutile fatigua vainement une mer immobi-*

le.”...² Przez całą minutę Konsul nie był zdolny się poruszyć. Nie mógł nawet sięgnąć ręką do szklanki, Potem , maczając palec w alkoholu rozlanym na kontuarze zaczął rysować maleńką mapę. Diosdado przysunął się i obserwował go z zainteresowaniem.

— *España* — powiedział Konsul, ale zabrakło mu hiszpańskich słów. — Pan jest Hiszpanem, *señor!*

— *Si, si, señor, si* — powiedział Diosdado, nadal mu się przyglądając, ale zmienionym tonem. — *Español. Es paña.*

— Te listy, które mi pan dał... rozumie pan... pisała moja żona, moja *esposa. Claro?* I właśnie tam spotkaliśmy się. W Hiszpanii. Poznaje pan to, swój rodzinny kraj, zna pan Andaluzję? O, to tutaj, to Guadalquivir. A tu wyżej Sierra Morena. Tu ma pan Almerię. Tutaj — narysował palcem — między tym a tym są góry Sierra Nevada.

A tu jest Granada. Tu, właśnie tu poznaliśmy się — do końca Konsul z uśmiechem.

— Granada — powiedział Diosdado, wymawiając to słowo ostrzej, inaczej, twardziej niż Konsul. Rzucił mu spojrzanie badawcze, doniosłe, podejrzliwe i znowu się oddalił. Teraz mówił coś do grupy mężczyzn przy drugim końcu baru. Twarze obróciły się do Konsula.

Konsul zaniósł listy Ivonne i następny mescal do pokoiku w głębi, jednego z pomieszczeń w chińskiej faniętówce „Farolito”. Nie pamiętał z poprzednich pobytów,

11 że były one obudowane matowym szkłem jak przegrody

1 czy to pańskie? (hiszp.)
2 „Słabe wiosna „ćwiczyły
nieruchomą falę.” Racme,
lfigema, I, 1.
Przekład Magdaleny wronckiej.

dla kasjera w banku. Właściwie nie bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył w tym pomieszczeniu starą kobietę z Ta-rasco, spotkaną rano w „Bella Vista”. Jej tequila, otoczona pionkami domino, stała przed nią na okrągłym stoliku. Kurczak dziobał pomiędzy pionkami. Konsul zastanawiał się, czy domino jest jej własnością, czy też po prostu żądała domina wszędzie tam, gdzie się w danej chwili znajdowała. Jej laska z łapą zwierzęcia zamiast rączki wisiła jak coś żywego, zaczepiona o brzeg stolika. Konsul podszedł do niej, wypił połowę mescal, a potem zdjął okulary i ściągnął gumkę z paczki listów.

„Czy pamiętasz o jutrze?” — przeczytał. Nie, pomyślał; słowa zapadły w jego mózg jak kamienic. Otóż tracił powoli kontakt z sytuacją, w której się znajdował. Był odłączony od samego siebie i jednocześnie doskonale tego świadomy, bo wstrząs wywołany otrzymaniem listów w pewnym sensie go rozbudził, nawet jeśli to rozbudzenie było tylko, żeby tak powiedzieć, przejściem z jednego somnambulizmu w drugi; był pijany, był trzeźwy, miał katzenjammer; wszystko jednocześnie; było już po szóstej a jednak — czy to dlatego, że znajdował się w „Farolito”, czy dlatego, że widział naprzeciwko siebie w tym małym pomieszczeniu o szklanych ściankach, oświetlonym żarówką, starą kobietę — wydawało mu się, że jest znów wczesny ranek; wydawało mu się niemal, że jest innym rodzajem pijaka, w innych okolicznościach, w innym kraju, któremu przydarza się coś zupełnie innego; był jak ów mężczyzna, który na pół otepiały alkoholem rnamroce: „Chryste, co za bydlę ze mnie, tfu, tfu!”, wstając o świcie, żeby odprowadzić żonę na wczesny autobus, chociaż jest już za późno, i widzi kartkę obok przygotowanego na stole śniadania: „Wybacz, że zachowałam się wczoraj tak histerycznie, to, żeś mnie zranił, z pewnością nie tłumaczy tego rodzaju wybuchu, nie zapomnij wziąć mleka przed drzwiami”, i na dole kartki zdanie, jak gdyby dopisane po niewczasie: „Kochany, nie możemy tak dłużej, to jest ponad moje siły, wyjeżdżam”, i który zamiast zrozumieć wymowę tego faktu, przypomina sobie bezsensow-

nie, że wczorajszej nocy naopowiadał za dużo barmanowi o pożarze czyjegoś domu... i dlaczego podał mu swój adres, teraz policja będzie mogła go odnaleźć... i dlaczego barman nazywa się Sherlock? Niezapomniane imię... Następnie popija szklanką porto z wodą trzy aspiryny, co go przyprawia o mdłości, i oblicza, że dzieli go jeszcze pięć godzin od otwarcia barów i że wtedy będzie musiał pójść do tamtego baru i przeprosić... „Ale co ja zrobiłem z papierosem? I dlaczego moja szklanka z porto stoi pod wanną? Czy to był wybuch... to coś, co słyszałem gdzieś w domu?”

I podchwyciwszy znów 'OSkarżycielskie spojrzenie swoich oczu w innym lustrze na ścianie małej salki, Konsul doznał dziwaczного przelotnego uczucia, że podniósł się w łóżku, żeby się przejrzeć, że podskoczył i musi teraz wybełkotać: „Koriolan umarł!”, albo: „figa, figa, figa”, albo: „chyba tak, och, och!”, albo wreszcie coś naprawdę bezsensownego, jak „kubły, kubły, miliony kubłów w zupie!”, i że teraz (choć nadal siedzi spokojnie w „Faro-lito”) padnie z powrotem na poduszki i będzie patrzył, dygocąc w bezsilnym przerażeniu przed samym sobą, na brody i oczy formujące się na firankach albo będzie wypełniał przestrzeń między szafą i sufitem i słyszał napływające z ulicy ciche stąpania widmowego policjanta przed domem...

Czy pamiętasz o jutrze? To nasza rocznica ślubu... Od wyjazdu nie otrzymałam od ciebie ani jednego słowa. Boże, to milczenie mnie przeraża.

Konsul wypił łyk mescal. „To milczenie mnie przeraża... to milczenie...” Konsul czytał to zdanie wciąż i wciąż od nowa, to jedno zdanie, jeden list spośród wszystkich listów pozbawionych wartości — jak pozbawione wartości są listy, które statek przywozi do portu dla kogoś, kto utonął w morzu — ponieważ trudno mu było skupić wzrok w jednym punkcie i słowa bezustannie zamazywały się i zniekształcały, a jego

nazwisko zdawało się skakać na niego z koperty; ale *meś-cal* pozwolił mu nawiązać z powrotem kontakt z aktualną sytuacją — przynajmniej na tyle, że Konsul nie musiał już teraz odczytywać w słowach sensu innego niż ich upodlające potwierdzenie jego własnej zguby, własnej bezpłodnej, egoistycznej zguby, którą teraz może nieodwołalnie na siebie ściąga; w obliczu tego bezlitośnie pominiętego dowodu cierpienia, jakie jej zadał, jego mózg znieruchomiał w udęcie.

To milczenie mnie przeraża. Wyobrażam sobie, że padasz ofiarą najrozmaitszych tragicznych wypadków, wydaje mi się, że jesteś na wojnie, a ja czekam na wiadomość od ciebie, na list, na telegram... ale żadna wojna nie miałaby mocy przenikania mojego serca tak lodowatym zimnem, takim strachem. Posyłam ci całą moją miłość i całą czułość, wszystkie myśli i wszystkie modlitwy.

Pijąc Konsul uświadomił sobie, że stara kobieta z dominem usiłuje zwrócić na siebie jego uwagę, że otwiera usta i wskazuje na nie palcem; teraz delikatnie przesuwająca się wokół stolika, bliżej niego...

Na pewno myślałeś dużo o nas, o tym, cośmy razem zbudowali, o tym, że bezmyślnie zburzyliśmy tę budowlę i jej piękno, ale że nie potrafimy zniszczyć wspomnienia tego piękna. I właśnie to prześladuje mnie dniami i nocami. Obracam się i widzę nas w stu miejscach, ze stoma uśmiechami na twarzach. Wychodzę na ulicę i ty tam jesteś. Wsuwam się wieczorem do łóżka i ty na mnie czekasz. Czy istnieje coś w życiu poza osobą, którą się kocha, i życiem, które można z tą osobą zbudować? Poraz pierwszy rozumiem, czym może być samobójstwo... Boże, jakież pusty i bezsensowny jest świat! Dni wypełnione lichotą bezbarwnych chwil płyną jeden po drugim, a po nich przychodzą — gorzka rutyna! — bezsenne, nawiedzone noce; słońce świeci bez blasku, księżyc wychodzi na niebo matowy. Moje serce ma smak popiołów, moja krtań jest ściś-

nięta i zmęczona od płaczu. Co to jest dusza zabłąkana? To taka dusza, która zesłała ze swojej prawdziwej drogi i teraz błądzi w ciemności zapamiętaną ścieżką...

Stara kobieta pociągała go za rękaw i Konsul — czy Ivonne czytała listy Heloizy i Abelarda? — wyciągnął dłoń do dzwonka elektrycznego, którego wielkowiejska, j lecz wrzaskliwa obecność w tych dziwacznych małych niszach zawsze go zdumiewała. W chwilę później Kilka Pcheł wszedł z butelką tequila w jednej i mescalu Xico-tancatl w drugiej ręce, ale napełniwszy ich szklanki wyniósł butelki z powrotem do baru. Konsul kiwnął głową do starej kobiety, wskazał na jej tequila i wypiłszy prawie cały mescal wrócił do czytania. Nie mógł sobie przypomnieć, czy zapłacił za trunki.

Och, Geoffrey, jak strasznie teraz żałuję! Dlaczego zwlekaliśmy z tym? Czy teraz jest za późno? Chcę dzieci od ciebie, zaraz, teraz, pragnę ich. Chcę, żeby twoje życie wypełniło mnie, poruszało się we mnie. Chcę nosić twoje szczęście pod sercem, chcę *mieć* twoje smutki w moich oczach i twój spokój w palcach mojej ręki...

Konsul przerwał czytanie, co ona mówi? Przetarł oczy, poszukał papierosów w kieszeni: „Alas”; tragiczne słowo wypełniło światem pokój, jak kula, która przeszła go na wylot. Czytał dalej, paląc.

Idziesz brzegiem przepaści', do której nie *wolno mi* będzie zstąpić za tobą. Budzę się w ciemnościach, w których muszę bezustannie ścigać samą siebie, nienawidzę tego „ja”, które tak bez wytchnienia ściga mnie i zabiega mi drogę. Gdybyśmy tylko mogli wydobyć się z naszej udręki, odszukać się powtórnie i odnaleźć znów pociechę naszych warg, *naszych oczu*. Kto miałby się temu sprzeciwić? Kto mógłby temu zapobiec?

Konsul wstał — Ivonne z pewnością coś czytała — ukłonił się kobiecie i wyszedł do baru, który wbrew jego przy-

puszczeniem był jeszcze dość pusty. Kto doprawdy miałby się temu sprzeciwić? Stał znowu w drzwiach, jak czasem stawał tu dawniej w zwodniczym, fioletowym świetle brzasku: kto doprawdy mógłby temu zapobiec? Konsul znowu skierował spojrzenie na plac. Ten sam pluton obdartych żołnierzy zdawał się wciąż przecinać plac na ukos jak obraz powtarzający się na zepsutej taśmie filmowej. Kapral nadal mozolił się stawiając kaligraficzne litery, tylko teraz paliła się lampa na jego stole. Zapadał mrok. Policji nie było nigdzie widać. Ale tuż obok *barranca* ten sam żołnierz leżał uśpiony pod drzewem; a może to nie jest żołnierz, tylko coś innego? Konsul odwrócił wzrok. Czarne chmury znowu kotłowały się na niebie, gdzieś daleko zadudnił grzmot. Konsul wciągnął w płuca haust parnego powietrza, które miało teraz w sobie szczyptę świeżości. Kto doprawdy, nawet teraz, miałby się temu sprzeciwić, pomyślał z rozpaczą. Kto doprawdy, nawet teraz, mógłby temu zapobiec? Pragnął Ivonne w tym momencie, zapragnął wziąć ją w ramiona, pragnął jak nigdy dotąd, otrzymać przebaczenie, przebaczyć samemu: ale gdzie ma się zwrócić? Gdzie ma jej szukać teraz?... Jakaś nieprawdopodobna rodzinka należąca do nieokreślonej klasy przemaszerowała przed drzwiami: na przedzie dziadek wpatrzony w mroczny zegar na wieży, który wciąż wskazywał dopiero szóstą, i regulujący podług niego zegarek, roześmiana matka naciągająca *rebozo*¹ na głowę, kpiąc sobie z ewentualnej burzy (a wysoko w górach dwaj pijani bogowie rozgrywali z dzikim rozmachem i na ogromną odległość nie kończącą się i nie rozstrzygającą partię krokietu, do czego używali birmańskiego gongu), dalej ojciec, sam, uśmiechający się dumnie, w zamyśleniu trzaskając palcami, strzepując teraz pyłek kurzu z pięknych, wytłuszczonych, brązowych butów. Między nimi szły trzymając się za ręce dwie ładne dziewczynki o czarnych, przejrzystych oczach. Nagle starsza dziewczynka uwolniła rączkę z dłoni siostry i fiknęła kilka koziołków na soczy-

—szał (hiszp.)

stej trawie. Wszyscy się śmieli. Dla Konsula sam ich widok był nienawistny... Zresztą odeszli, dzięki Bogu. Rozpaczliwie pragnął Ivonne i me pragnął jej.

— *Quiere Maria?*¹ — odezwał się za nim cichy głos.

Najpierw widział tylko kształtne nogi dziewczyny, która prowadziła go — samą stężoną siłą cierpiącego ciała tylko, siłą żałości dygocącego, a jednak brutalnego pożądanego — przez małe, obudowane szkłem salki, które były coraz mniejsze, coraz ciemniejsze, aż w końcu, obok *mingitono* dla *Señores*, skąd wydostawał się z cuchnącego mroku złowieszczy chichot, była już tylko mała przybudówka nie większa od szafy, w której dwaj mężczyźni o twarzach niewidocznych w ciemności siedzieli pijąc lub spiskując.

Potem uderzyła go myśl, że jakaś mordercza, nieodparta siła ciągnie go za sobą, zmusza — podczas gdy on nadal namiętnie jest świadomy wszystkich aż nazbyt prawdopodobnych konsekwencji i zarazem, w sposób równie niewinny, jest ich nieświadomy — aby zrobił nieprzezornie i wbrew sumieniu coś, czego nigdy nie będzie mógł odrobić i czemu nigdy nie będzie mógł zaprzeczyć; że ta siła wyprowadza go nieodparcie do ogrodu, który rozświetlony teraz błyskawicą przypominał mu dziwnie jego własny ogród, a także „El Popo”, gdzie przedtem zamierzał pójść, tylko że to było posępniejsze, to stanowiło silniejszy akcent, że prowadzi go przez otwarte drzwi do mrocznego pokoju, jednego z wielu wychodzących na *patio*.

A więc to jest to — ostateczne, głupie, nieprofilaktyczne odtrącenie samego siebie. Mógłby się temu przeciwstawić nawet jeszcze teraz. Nie przeciwstawi się. Ale może jego koleżkowie albo któryś z głosów posłużą mu dobrą radą; rozejrzał się nasłuchując: *erectis kurwibus*. Nie przemówił ani jeden głos. Konsul roześmiał się; sprytnie zrobił, że tak oszukał głosy. Nie wiedzą, że jest tutaj. Pokój, w którym paliła się pojedyncza niebieska żarówka, nie był odrażający. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak pokój

i Czy chce pan Marię' (hiszp.)

studencki. Właściwie przypominał, nawet bardzo, jego pokój w college'u, tylko był większy. Takie same duże drzwi i szafka na książki w tym samym miejscu, z książką otwartą na półce. W jednym kącie, niespodziewanie, ogromna szabla. Kaszmir! Zdawało mu się, że widzi to słowo, potem zaraz zniknęło. Prawdopodobnie widział je, bo książka — to niesłychane! — była historią Indii Brytyjskich w hiszpańskim języku! Łóżko nieporządne, poznaczone śladami butów, a nawet czymś, co wyglądało jak plamy krwi, mimo to przypominało łóżko w pokoju studenckim. Zauważył butelkę mescalú stojącą obok łóżka. Ale podłoga była ułożona z czerwonych płyt kamiennych i jej zimna, przekonywająca logika w jakiś sposób neutralizowała grozę; Konsul \ opróżnił butelkę mescalú. Dziewczyna, która zamykając drzwi przemawiała do niego w jakimś obcym języku, może zapoteckim, podeszła teraz bliżej i zobaczył, że jest młoda i ładna. Błyskawica oświetliła na sekundę twarz dziwnie podobną do twarzy Ivonne. — ■ *Quiere Maria?* — zaofiarowała się dziewczyna znowu i zarzuciwszy mu ramiona na szyję pociągnęła go na łóżko. Jej ciało też było ciałem Ivonne, jej nogi, jej piersi, jej bijące namiętnie serce, elektryczność trzaskała pod jego palcami przebiegającymi po jej ciele, ale złudzenie sentymentalne pryskało, tonęło w morzu, jak gdyby go nigdy nie było, stało się samym morzem, pustym horyzontem, po którym ogromny czarny żaglowiec tak daleko, że nie widać już było kadłuba, płynął ku zachodowi; albo jej ciało nie było niczym, było czystą abstrakcją, klęską, szatańską machiną do czerpania zgubnych, obmierzłych wrażeń; było nieszczęściem, było zgrozą świtów w Oaxaca, kiedy po odejściu Ivonne budził się co dzień w ubraniu, o wpół do czwartej nad ranem; Oaxaca i conocne ucieczki z uśpionego hotelu „Francia”, gdzie kiedyś byli z Ivonne szczęśliwi, z taniego pokoju na najwyższym piętrze, z balkonem wychodzącym na „El Infierno”, to drugie „tfarolito”, zgroza szukania po ciemku butelki na próżno, sęp siedzący na umywalni; jego kroki bezszelestne, martwa cisza w korytarzu za drzwiami pokoju, za wcześniej na straszliwe odgłosy

rzezi na dole w kuchni, zgroza schodzenia po przykrytych chodnikiem schodach w dół, gdzie była studnia opustoszałej jadalni, kiedyś *patio*, zapadanie się w miękkiej klęsce chodnika, stopy tonące w udręce, gdy dotarł do schodów i nie był pewien, czy nie jest jeszcze na podeście, przesywające uczucie strachu i wstrętu do samego siebie, gdy mijał łazienkę z zimnymi prysznicami po lewej, gdzie był tylko raz, ale to wystarczyło, i ostateczne rozdygotane zbliżanie się, w milczeniu, z pozorami szacowności, stopy zapadające się w klęsce (i w głąb tej samej klęski przenikał teraz z Marią, kiedy jedyną rzeczą żywą w nim był ten wrzący, kipiący, udręczony występny organ —

O Boże, czy można cierpieć więcej, z tego cierpienia musi się coś zrodzić, zrodzi się jego śmierć), bo jakże podobne są jęki miłości do jęków umierania, jak podobne jęki miłości do jęków śmierci; i szedł zapadając się w swoje dygotanie, w swoje ohydne, zimne dygotanie, w mroczną studnię sali jadalnej, gdzie za występem w ścianie paliła się jedna mętna żarówka nad lożą portiera i zegar bił — za wcześnie — i były listy nie napisane, niemoc pisania, 1 kalendarz obwieszczający wiecznie, daremnie, ich rocznicę ślubu, i siostrzeniec kierownika hotelu śpiący na koczku, żeby wyjść na pierwszy pociąg z Mexico City; ciemność szepcząca i namacalna, zimna dojmująca samotność pompatycznej sali jadalnej, sztywnej ze swoimi martwymi, białoszarymi w mroku, złożonymi serwetkami, ciężar udręki i ciężar wyrzutów sumienia tak wielki (zdawało się), jakiego nie zdołał dotąd unieść żaden człowiek — pragnienie, które nie było pragnieniem, było rozpaczą i po żądaniem, było śmiercią, śmiercią i jeszcze raz śmiercią, śmiercią było czekanie w zimnej jadalni hotelowej, gdy na pół szeptał do siebie, czekanie, bo „El Infierno”, to drugie „Farolito”, otwierało się dopiero o czwartej, a nie mógł przecież czekać na dworze (i w głąb tej klęski teraz

przenikał, to była klęska, klęska jego życia,
samą istotę
tej klęski przenikał teraz, przenikał,
przeniknął); czekał
na otwarciu „Infierno”, którego jedyna
lampa nadziei za
płonie wkrótce w oddali, za mrocznymi,
otwartymi ście-

karni, a na stole w jadalni hotelowej — zaledwie widoczna karafka z wodą; dygocąc, dygocąc podniósł karafkę do ust, ale nie dość wysoko, była ciężka jak brzemie jego smutku; „nie napijesz się z niej” — zwilżył tylko wargi i wtedy — „to na pewno Jezus mi ją zesłał, a więc to tylko On szedł za mną” — zobaczył butelkę czerwonego wina francuskiego z Salina Cruz stojącą na stole nakrytym do śniadania, naznaczoną numerem czyjegoś pokoju, odkorkował ją z trudem (patrzył, czy siostrzeniec nie patrzy), a potem trzymał butelkę obiema rękami, kropla po kropli wlewał błogosławiony nektar do gardła, odrobinę, bo ostatecznie jest się Anglikiem, a potem, osuwając się na kanapę, z sercem jak lodowaty ból gorący z jednej strony, osuwając się w zimną drżącą skorupę rozdygotanej samotności, chociaż odczuwał działanie wina trochę silniej teraz, jak gdyby yjego klatka piersiowa napętniała się wrzącym lodem albo jak gdyby tkwiła w niej w poprzek sztaba rozpalonego do czerwoności żelaza, które zdawało się jednak zimne, bo sumienie, które rozszalało się pod nią od nowa i rozrywa serce na strzępy, płonie tak straszliwym ogniem piekielnym, że sztaba rozgrzanego do czerwoności żelaza po prostu je chłodzi; i zegar tykający, i bicie jego serca teraz jak przytłumiony śniegiem bęben, tykające, dygocące, i czas dygocący i tykający naprzód, ku „El Infierno”, i potem — ucieczka! — naciągnąwszy na głowę pled, który wyniósł chyłkiem z pokoju na górze, pełzł obok siostrzeńca kierownika — ucieczka! — obok łoża portiera, ale nie odważył się spojrzeć, czy są listy; „to milczenie mnie przeraża (Czy może być list? Czy to jestem ja? Niestety, nędzny wykolejeńcze, który się roztkliwiasz nad samym sobą, marna kanalio!)” obok — ucieczka! — indiańskiego strażnika śpiącego przy drzwiach na podłodze i teraz sam jak Indianin, zaciskający w dłoni kilka ostatnich pesos, dalej w zimne miasto o wysokich murach i brukowanych kocimi łbami ulicach, obok — ucieczka tajemnym przejściem! — otwartych ścieków na nędznych uliczkach, obok kilku samotnych latarni rzucających mętne światło, dalej w noc — co za

cud, że trumny domów, punkty orientacyjne, wciąż stoją na swoim miejscu — ucieczka przez nędzne, pełne wybojów chodniki i jęk, jęk (jakże podobne są jęki miłości do jęków umierania, jak podobne jęki miłości do jęków śmierci!), a domy takie nieruchome, takie zimne przed świtem, aż w końcu skręciwszy bezpiecznie za róg zobaczył płonąca jedyną lampę „El Infierno”, które tak było podobne do „Fanolito”, a potem, znowu dziwiąc się, że zdołał tu dotrzeć, stojąc w środku *cantiny* plecami oparty o ścianę, wciąż w pledzie narzuconym na głowę, rozmawiając z żebrakami, z robotnikami idącymi do pracy, z niechlujnymi prostytutkami, rajfurami, z odpadkami i szczątkami ulic, najnędzniejszym osadem ziemi, a jednak ludźmi, którzy stali o tyle wyżej od niego, pił, jak pił tutaj, w „Farolito”, i mówił kłamstwa, kłamał — ucieczka, wciąż ucieczka! — aż do brzasku podświetlonego fioletem, który powinien, być przynieść śmierć, i on teraz też powinien umrzeć: „co ja zrobiłem?”

Spojrzenie Konsula zogniskowało się na kalendarzu za łóżkiem. Osiągnął w końcu swoją chwilę przesilenia, przesilenia bez uczucia posiadania, nawet w końcu prawie bez rozkoszy, a to, co zobaczył teraz, mogło być, nie, na pewno było, widokiem z Kanady. W jasnym blasku księżyca jeleni stał nad brzegiem rzeki, po której płynęli w czółnie z pnia brzozy mężczyzna i kobieta. Ten kalendarz wybiegał w przyszłość, wskazywał grudzień; gdzie on będzie wtedy? W mętym niebieskawym świetle Konsul odczytał nawet imiona świętych na każdy dzień grudnia, wydrukowane obok dat: Santa Natalia, Santa Bibiana, S. Francisko Xavier, Santa Sabos, S. Nicolas de Bari, S. Ambrosio; wstrząs grzmotu otworzył drzwi, w drzwiach mignęła twarz Laruelle'a.

W *mingitorio* smród jakby marcaptanu plasnął go żółtymi dłońmi w twarz i nagle — teraz — nieproszone przyptynęły ku niemu od przesiąkniętych moczem ścian jego głosy syczące, wrzeszczące, ryczące na niego: „Teraz to zrobisz teraz naprawdę to zrobisz Geofreyu Firmm

teraz nawet my nie możemy ci już pomóc...
swoją drogą poużywaj sobie przecież całą
noc jest przed tobą!"

—Pan lubi Maria, pan lubi? — Głos
mężczyzny (sły-
szał już i poznał ten głos chichoczący) rozległ
się w mro-
ku i Konsul, czując drżenie w kolanach,
rozejrzał się, ale
w pierwszej chwili zobaczył tylko ogłoszenia
na popęka-
nych, oślizłych, źle oświetlonych ścianach:
*Chnica Dr Vi-
gil, Enfermedades Secretas de Ambos
Sexos, Vias Uri-
narias, Trastornos Sexuales, Debilidad,
Sexual, Derrames
Nocturnos, Ernisiones Prematuras,
Espermatorrea, Impo-
tencia.*^x 666. Można by pomyśleć, że jego
obrotny towa-
rzysz dzisiejszego ranka i wczorajszej nocy
informuje go
z ironią, że nie wszystko stracone —
niestety, jest już
pewnie dawno w drodze do Guanajuato.
Teraz Konsul /
dostrzegł w kącie nieprawdopodobnie
brudnego mężczyznę,
który przygarbiony siedział na jednym z
sedesów, mę-
czyznę tak niskiego, że jego stopy zaplątane
w spodniach
nie dotykały zaśmieconej, plugawej podłogi.

—Pan lubi Maria? — wyskrzecztał ów
mężczyzna. — ■
Ja posłałem Maria. Ja *amigo*. — Pierdnął. —
Ja przyja-
ciel Anglicy, cały czas, cały czas.

—*Que hora?*² — spytał Konsul dygocąc,
sposstrzegając
w misce zdechłego skorpiona; błysk
fosforescencji i skor-
pion zniknął, może nigdy go tam nie było. —
Która go-
dzina?

■— Siusta — odpowiedział mężczyzna. —
Nie, jest siusta i połowa na cygarku.

—Chce pan powiedzieć szósta trzydzieści.

—*Si, señor*. Siusta i połowa na cygarku.

666. Biszony kuraki, kiszony buraki;
poprawiając ubranie Konsul roześmiał się
ponuro z odpowiedzi rajfura — a może był
on czymś w rodzaju kapusia? I kto to mówił
już dzisiaj, że jest wpół do czwartej na
cygarku? Skąd ten człowiek wie, że jestem
Anglikiem, zastanawiał się

1Klinika dr. Vigila, spermatorrea,
choroby dyskretne, przewodów

rnoczowych, zaburzenia płciowe,
zmniejszenie popędu płciowego,
pollucje, przedwczesny wytrysk,
impotencja, (hiszp.)
2 Która godzina? (hiszp.)

zabierając swój śmiech przez oszklone salki, przez bar, który napełniał się gośćmi, do drzwi — może pracuje dla „Union Militar”, może przesiaduje całe dnie w wychodkach Seguridad i słucha, o czym rozmawiają więźniowie, a raj-furstwo jest tylko jego zajęciem ubocznym? Mógł się dowiedzieć od niego czegoś o Marii, czy jest... nie chciał wiedzieć. Ale godzinę podał mu dobrze. Zegar na „Comi-saria de Policia”, z tarczą nierówno oświetloną, posunął się naprzód z szarpnięciem i wskazywał teraz trochę po wpół do siódmej. Było już ciemno. A jednak ten sam pluton obszarpanych żołnierzy zdawał się wciąż przecinać na ukos plac. Ale kapral nie pisał już przy stole. Przed więzieniem stał nieruchomy żołnierz na warcie. Za nim sklepienie bramy rozjaśniło się nagle skaczącym dziko światłem. W głębi, obok cel, cień latarni policyjnej kołysał się na ścianie. Wieczór wypełniały dziwaczne odgłosy jak odgłosy ze snu. Warkot bębna w oddali był rewolucją, krzyk na ulicy — wołaniem, że kogoś mordują, daleki zgrzyt hamulców — lamentem duszy potępionej. Gdzieś nad nim brzdąkały struny gitary. Odezwał się dzwon, bił zapamiętałe w oddali. Błyskawica zamigotała. Krótko zapiał kogut... Konsul przypomniał sobie, że w Brytyjskiej Kolumbii, w Kanadzie, na zimnym Jeziorze Pine-aus, gdzie jego wyspa od dawna już jest puszcza wawrzynu, poziomek i ostrokrzewu, utrzymywało się dziwaczne indiańskie wierzenie, że kogut paniem wskazuje miejsce, w którym leży pod wodą ciało topielca. Jak przerażające było to potwierdzenie zabobonu, gdy pewnego srebrzystego lutowego wieczoru przed wielu laty towarzyszył, jako pełniący obowiązki konsula litewskiego, ekipie ratowniczej na łodzi i znudzony kogut zbudził się raptem i zapiał przeraźliwie siedem razy! Ładunki dynamitu pozornie nie poruszyły niczego, wracali więc do brzegu wiosłując ponuro w mglistym mroku, gdy nagle zobaczył wystający z wody kształt, który w pierwszej chwili zdawał się być rękawiczką — dłoń utopionego Litwina! Brytyjska Kolumbia, owa łagodna Syberia, która nie była ani łagodna, ani nie była Syberią, tylko nie odkrytym, może nie odkrywającym

rajem, i która mogła stać się ratunkiem: wrócić tam, zbudować — jeśli nie na jego wyspie, gdziekolwiek — nowe życie z Ivonne. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Dlaczego ona o tym nie pomyślała? Czy też właśnie do tego robiła aluzje dzisiaj po południu, co tylko w połowie doń dotarło? „Mój szary domek na północy.” Wydało mu się teraz, że myślał o tym często, gdy stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym teraz stoi. Ale teraz przynajmniej również to było jasne. Choćby chciał, nie mógłby wrócić do Ivonne. Nadzieja na nowe życie razem, nawet gdyby odżyła w cudowny sposób, nie przetrwałaby w jałowej atmosferze ozięblej zwłoki, która na domiar wszystkiego była konieczna już chociażby z brutalnych względów higieny. To prawda, że te powody nie miały dotąd najmniejszych podstaw, ale w takim czy innym celu, który mu się wymykał, musiały pozostać niezachwiane. Każde rozstrzygnięcie rozbijało się teraz o ten> potężny chiński mur między nimi. Konsul zaśmiał się znowu doznając dziwnego uczucia ulgi, niemal spełnienia. Umysł miał jasny. Fizycznie czuł się lepiej. Było tak, jak gdyby czerpał siłę z tego ostatecznego pokalania. Czuł, że ma prawo pochłonąć w spokoju to, co mu zostało jeszcze z życia. Jednocześnie pewna makabryczna wesołość zakradła się do jego duszy, a także, w jakiś niezwykle sposób, pewna lekkomyślna przekora. Był świadomy, że pragnie jednocześnie pełnego zatracenia i niewinnej, młodzieńczej zabawy. „Niestety — zdawał się mówić także głos w jego uchu — moje dziecko tak naprawdę wcale tego wszystkiego nie odczuwasz jesteś tylko zagubiony tylko bezdomny...”

Drgnął. Przed nim, uwiązany do drzewka, którego przedtem nie zauważył, chociaż znajdowało się naprzeciwko *cantiny*, po drugiej stronie ścieżki, stał koń skubiący soczystą trawę. Coś znajomego w wyglądzie zwierzęcia kazało mu skierować kroki w tamtą stronę. Było, jak przypuszczał. Nie mógł nie poznać teraz zarówno cyfry siedem wypalanej na zadzie, jak i tego szczególnego siodła. Był to koń Indianina, koń człowieka, którego najpierw widział dzisiaj, gdy rozspiewany odjeżdżał w słońce, a po-

tem, gdy porzucony umierał samotnie przy drodze. Pogłaskał zwierzę, któremu uszy drgnęły, ale które dalej skubało niewzruszenie trawę, chociaż może niezupełnie niewzruszenie; słysząc huk grzmotu koń, którego juki — zauważył Konsul — w tajemniczy sposób wrócił na miejsce, zarżał niespokojnie i zadygotał. Mimo to jego juki, w sposób równie tajemniczy, tym razem nie zabrzęczały. Nieposzukiwane objawiło się Konsulowi wyjaśnienie zdarzeń tego popołudnia. Czy to właśnie nie w policjanta zmieniły się wszystkie ohydne maski, które widział nie tak dawno pod lasem, w policjanta prowadzącego konia w tym kierunku? Dlaczego tamten koń nie miałby być tym koniem? Po południu na drodze zjawili się ci *vigilante hom-bres*, a tu w Parian, jak wspomniał Hughowi, była ich kwatera główna. Jakże Hugh rozsmakowałby się w tej historii, gdyby mógł być tu teraz! Policja — ach, przerażająca policja! •— a właściwie nie policja autentyczna, tylko te typy z „Union Militar”, tak, oni kryli się za tym, w jakiś obłąkańczo skomplikowany sposób om kryli się za całą tą sprawą. Konsul był teraz pewien. Jak gdyby z jakiejś zgodności pomiędzy światem subnormalnym, a światem anormalnie podejrzliwym i delirycznym w jego wnętrzu wyłoniła się nagle prawda... wyłoniła się jednak pod postacią cienia, który rzekł:

—*Que haces aqui?*¹

—*Nada*² — powiedział uśmiechając się flo mężczyzny, który wyrwał mu uzdę z ręki; wyglądał na meksykańskie go sierżanta policji. — *Nic. Veo que la tierra anda; estoy esperando que pase mi casa por aqui para meterme en ella*³ — dodał radząc sobie wspaniale z hiszpańszczyzną. Mosiężne sprzączki na mundurze zdumionego policjanta za błysły w świetle padającym od drzwi „Farolito”, potem, gdy się obrócił, zabłysła skóra na jego szerokim pasie i pas lśnił jak liść platanu, i w końcu zabłysły jego buty,

¹ Co robicie tutaj? (hiszp.)

² Nic. (hiszp.)

³ Widzę, że ziemia się porusza. Czekam, aż nadejdzie mój dom, żebym mógł wejść do mego. (hiszp.)

które połyskiwały jak matowe srebro. Konsul roześmiał się; wystarczyło raz spojrzeć na tego człowieka i zyskiwało się pewność, że świat zaraz, natychmiast będzie zbawiony. Konsul powtórzył dobry meksykański dowcip, tym razem po angielsku i niezupełnie dokładnie, klepiąc policjanta, któremu szczęka opadła ze zdumienia, po plecach. — Powiedziano mi, że ziemia się obraca, więc czekam, żeby mój dom tu do mnie podjechał. — Wyciągnął rękę. — *Amigo* — dodał.

Policjant burknął coś, odepchnął rękę Konsula. Potem rzucając mu przez ramię krótkie, podejrzliwe spojrzenia przywiązał wierzchowca mocniej do drzewa. W tych jego krótkich spojrzeniach było coś naprawdę poważnego, uświadomił sobie Konsul, coś, co go nakłaniało, żeby zaryzykował ucieczkę. Trochę urażony przypomniał sobie teraz spojrzenie, jakim go zmierzył Diosdado. Ale Konsul ani nie był w nastroju poważnym, ani nie miał ochoty uciekać. Jego nastrój nie uległ zmianie nawet wtedy, kiedy poczuł, że policjant popycha go w kierunku *caniiny*, za którą w świetle błyskawicy widać było przez sekundę nacierające od wschodu groźne czoło burzy. Gdy idąc przodem Konsul zbliżał się do drzwi, przyszło mu nagle na myśl, że policjant po prostu stara się być uprzejmy. Usunął się zręcznie na bok i poprosił go gestem, żeby wszedł pierwszy. — *Mi amigo* — powtórzył. Policjant wepchnął go do środka i razem podeszli do pustego miejsca przy kontuarze.

— *Americano*, ech? — spytał teraz policjant głosem stanowczym. — Czekaj, *aquí*. *Comprende, sefior?* — Wszedł za kontuar i wdał się w rozmowę z Diosdado.

Konsul na próżno usiłował wtrącić w obronie swojego postępkę dobre słówko usprawiedliwiające go przed Stoniem, który miał minę tak ponurą, jak gdyby zamordował przed chwilą następną z kolei żonę, żeby ją wyleczyć z neurastenii. Tymczasem Kilka Pcheł, chwilowo nie zatrudniony, podsunął mu z zaskakującą litością kieliszek mescal. Ludzie znowu mu się przyglądali. Nagle policjant zwrócił się do niego zza baru.

—Oni mówią, są awantury z płaceniem
— powie
dział. — Pan nie płaci za... ach... mehikańska
whisky. Pan
nie płaci za mehikańska dziewczyna. Pan
nie ma pieniądze
dzy, he?

—*Zicker* — odparł Konsul, który wiedział
już, że po
krótkotrwałym zrywie jego hiszpańszczyzna
praktycznie
już się skończyła. — *Si. Tak. Mucho dinero* —
dodał kła
dąc na kontuarze peso dla Kilka Pcheł.
Zobaczył, że po
licjant jest dorodnym mężczyzną o potężnym
karku, czar
nych, gęstych w-ąsach, olśniewających
zębach i trochę mo
że na siłę robionym zawadiackim obejściu.
W tym mo
mencie przyłączył się do policjanta wysoki,
szczupły mę
czyzna w dobrze skrojonym ubraniu z
amerykańskiego
tweedu, o twardej, posępnej twarzy i
smukłych, pięknych
dłoniach; spoglądając od czasu do czasu na
Konsula roz
mawiał cicho z Diosdado i policjantem.
Człowiek ten, któ
ry wyglądał na czystej krwi Kastyljczyka,
wydawał się
Konsulowi znajomy i Konsul usiłował sobie
przypomnieć,
gdzie go widział. Przerwawszy rozmowę
policjant oparł
się łokciami o bar i przemówił do Konsula.

—Pan nie ma pieniądze, he, a teraz pan
kraść mojego
konia. — Mrugnął do Diosdado. — Po co
uciekać na me-
hikański *caballo*? Żeby nie płacić
mehikańskie pieniądze,
he?

Konsul spojrzął na niego zdumiony.

—Nie. Skądże. Nie miałem zamiaru kraść
pańskiego
konia. Po prostu na niego patrzałem,
podziwiałem go.

—Po co pan patrzył na mehikański
caballo? Po dla
czego? •— Policjant zaśmiał się nagle,
szczerze ubawiony
bił się po udach; był na pewno porządnym
człowiekiem
i Konsul, widząc, że lody zostały
przełamane, także się
roześmiał. Ale policjant był też najwyraźniej

bardzo pija
ny i trudno było ocenić rodzaj jego śmiechu.
A tymczasem
twarze Diosdado i mężczyzny' w ubraniu
tweedowym nie
zmieniły ponurego i surowego wyrazu. — Pan
rysował mapę
Hiszpanii — ciągnął uparcie policjant. —
Pan... ach... zna
Hiszpanię?
— *Comment non* — powiedział Konsul. A
więc Diosda-

do wspomniał mu o mapie, ale rysowanie mapy palcem jest chyba czymś dostatecznie smutnym i niewinnym? — *Oui. Es muy asombrosa.*¹ — Nie, przecież to nie Pernambuco, stanowczo nie powinien mówić po portugalska. — *Jawohl. Correcto, señor* — dodał. — Tak, znam Hiszpanię.

— Pan rysował mapę Hiszpanii? Pan bolszewicki... Pan członek Brygady Międzynarodowa i robić zamieszanie?

— Nie — odpowiedział Konsul stanowczo, grzecznie, ale trochę teraz poruszony. —

Absolutamente no,

— *Ab-so-lu-ta-men-te* he? — • Mrugnawszy znowu do

Diosdado policjant śmiał się przedrzeźniając Konsula. Prze

szedł z powrotem na tę stronę kontuaru prowadząc ze so

bą posępnego mężczyznę; ten nie odzywał się i nie pił,

a tylko stał z surową miną, podobnie jak Stoń, który znaj

dując się teraz naprzeciwko nich wycierał gniewnie szklan

ki. — Wszystko — wycedził policjant — w porządku —

dodał z potężnym akcentem na tym drugim słowie, kle

piąc Konsula po plecach. — Wszystko w porządku. Dalej,

przyjacielu... ■ — zaprosił go. — Pij. Pij, ile... ach... chcesz.

Szukaliśmy cię — ciągnął na pół kpiącym, pijackim gło

sem. • — Zamordowałeś jeden człowiek i uciekłeś przez sie

dem stanów. Chcemy zbadać wszystko o tobie. Zbadaliśmy

o tobie... racja... że uciekłeś ze statku w Vera Cruz. Mó

wisz, masz pieniądze. Ile masz pieniędzy, he?

Konsul wyjął zmięty banknot i zaraz włożył go z powrotem do kieszeni.

— Pięćdziesiąt pesos, he? Może to nie dosyć pieniędzy?

Kto ty jesteś po co? *Ingles? Español?*

Amertcano? Ale-

man? Ruski? Zet-essy-er-er? Kto ty zrobiesz po co?

— Ja nie mówili po angielski... hej, jak się nazywa

ją? — spytał go głośno ktoś inny tuż za nim; obróciwszy

się Konsul zobaczył innego policjanta, który był ubrany

bardzo podobnie do pierwszego, był jednak

niższy, o potęż
nych szczękach i okrutnych oczkach w szarej,
nalanej, gład
ko wygolonej twarzy. Chociaż nosił przy sobie
broń krótką,

— i Jest bardzo
zdumiewająca,
(port.)

28 — Pod wulkanem

43

3

nie miał obu palców wskazujących i kciuka prawej ręki. Mówiąc wykonywał sprośny, kolisty ruch biodrami i mrugał kolejno do pierwszego policjanta i do Diosdado, ominął jednak wzrokiem mężczyznę w ubraniu tweedo-wym. — *Progresión al culo* — dodał (Konsul nie wiedział dlaczego) wciąż kręcąc biodrami.

— To jest Szef Okręgu Miejskiego — wyjaśnił serdecznie pierwszy policjant. — On chce wiedzieć jak... ach... jak się nazywasz. *Corao se llama?*

— Tak, jak się nazywasz? — ryknął drugi policjant, który brał właśnie szklankę z kontuaru, ale nie patrząc na Konsula i kręcąc biodrami.

■— Trocki — zakpił ktoś przy drugim końcu baru i Konsul, świadomy swojej brody, zaczerwienił się.

— Blackstone — odpowiedział z powagą; i czyż do prawdy, pomyślał biorąc do ręki następny mescal, nie mieszkał od tylu lat między Indianami? Cały kłopot, aby ci konkretni Indianie nie okazali się facetami, którzy mają pomysły w głowach.

— Kto ty jesteś jaki? — wrzasnął gruby policjant, którego nazwisko brzmiało podobnie do Zuzugoitea. ■— Kto ty jesteś po co? — Powtórzył pytania pierwszego policjanta, którego zdawał się we wszystkim naśladować. ■— *Ivgles? Aleman?*

Konsul potrząsnął głową.

— Nie. Po prostu William Blackstone.

— Jesteś *Juden!*

— Nie. Po prostu Blackstone — powtórzył Konsul po trząsając głową. — William Blackstone. Żydzi rzadko bywają bardzo *borracho*.

— Jesteś... ach... *borracho*, he? — zawołał pierwszy policjant i wszyscy wybuchnęli śmiechem (przyłączyło się teraz do nich kilku innych mężczyzn, prawdopodobnie jego poplecznicy, Konsul jednak nie widział wyraźnie ich twarzy) prócz nieugiętej obojętnej mężczyzny w twe-

- 1Tyłkiem naprzód, (hiszp.)
- 2Jak się pan nazywa? (hiszp.)

edowym ubraniu. — On jest SzeF Ogrodów —
wyjaśnił pierwszy policjant i zaraz dodał: —
Ten człowiek jest *Jefe de Jardineros*¹. — W
jego głosie była nuta szacunku. — Ja też
jestem szef, jestem SzeF Trybun — dodał, ale
prawie w zadumie, jak gdyby chciał
powiedzieć: Jestem tylko SzeF Trybun.

— Natomiast ja... — zaczął Konsul.

— ...jestem *perfectamente borracho* —
dokończył pier
wszy policjant i wszyscy znowu ryknęli
śmiechem, natu
ralnie prócz *Jefe de Jardineros*.

— *Y yo...* — powtórzył Konsul. Ale co on
mówi? I kto
są ci ludzie? SzeF jakich Trybun? SzeF
jakiego Okręgu
Miejskiego? I przede wszystkim, SzeF jakich
Ogrodów.

Przecież trudno sobie wyobrazić, żeby ten
milczący mę
żczyzna w tweedowym ubraniu i o
złowieszczej twarzy za
rządzał małymi ogrodami publicznymi w
mieście. Tak
czy inaczej wzmogły się jeszcze niejasne
przecucia, jakie
niepokoiły Konsula w związku z tymi
uzurpatorami pre
tensjonalnych tytułów. Kojarzyli mu się w
myślach z In
spektorem Generalnym Stanu, a także, o
czym wspominał
Hughowi, z „Union Militar”. Niewątpliwie
widział ich już
kiedyś w jednej z salek „Farolito” albo w
barze, ale ni
gdy nie widział ich tak z bliska. Jednakże
tylu ludzi za
sypało go jednocześnie tyloma pytaniami,
na które nie
umiał odpowiedzieć, że prawie
natychmiast zapomniał
o wymowie tych skojarzeń. Wywnioskował
jednak, że
darzony szacunkiem SzeF Ogrodów, do
którego wysłał
w tym momencie nieme błaganie o pomoc,
jest może na
wet „wyżej” w hierachii niż sam
Inspektor Generalny.
Odpowiedzią na apel była mina jeszcze
chyba posępniej-
^{sz}a; jednocześnie Konsul przypomniał sobie,
gdzie widział
tego człowieka; SzeF Ogrodów mógł być
wizerunkiem jego
samego, kiedy szczupły, opalony, pełen
powagi, bez brody

¹ na rozstaju kariery życiowej obejmował stanowisko wicekonsula w Granadzie. Pojawiały się niezliczone tequile

¹ Dosłownie 'szef ogrodników',
ale autor używa słowa "ogród" w znaczeniu raju ziemskiego.

28*

435

i mescale i Konsul wypijał wszystko, co miał pod ręką, nie licząc się z prawem własności.

— Nie wystarczy powiedzieć, że byli razem w „El Amor de los Amores” — po raz któryś tam słyszał swój głos prawdopodobnie w odpowiedzi na uporczywe żądanie, że by opisał zdarzenia tego popołudnia, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego go o to pytają. — Ważne jest, jak się to zdarzyło. Czy peon... może, zresztą, trudno nazwać go peonem... był pijany? Czy, może, spadł z konia? Może zdołał poznać w nim swojego kumpla, który był mu wien kilka kolejek w barze?

Grzmot zadudnił tuż obok „Farolito”. Konsul usiadł. Był to rozkaz. Wszystko stawało się ogromnie chaotyczne. Bar był teraz prawie pełny. Niektórzy z obecnych przyszli prosto z cmentarzy, Indianie w luźnych strojach. Było sporo obdartych żołnierzy, tu i tam między nimi postać starannie ubranego oficera. W oszklonych salkach Konsul dostrzegał poruszające się zielone szamerunki i trąbki. Weszło kilku tancerzy w długich czarnych płaszczach pomalowanych fosforyzującą farbą w taki sposób, że sprawiały wrażenie szkieletów. Szef Okręgu Miejskiego stał teraz za jego krzesłem. Szef Trybun też stał, rozmawiał z Szefem Ogrodów, którego nazwisko brzmiało, zorientował się Konsul, Fructuoso Sanabria.

— Hej, *que tal?*^x — spytał Konsul. Obok niego, bokiem, siedział ktoś, kto też wydał się Konsulowi znajomy. Wyglądał na poetę, przypominał przyjaciela z czasów uniwersyteckich. Jasne włosy opadały na pięknie sklepione czoło. Konsul zaproponował, żeby się z nim napił, młody człowiek jednak nie tylko odmówił po hiszpańsku, ale wstał robiąc ręką taki ruch, jak gdyby chciał Konsula odepchnąć, a potem z twarzą gniewną i na pół odwróconą przesunął się na drugi koniec baru. Konsulowi zrobiło się przykro. Znowu przesłał do Szefa Ogrodów milczące błaganie o pomoc; odpowiedziało mu spojrzenie niezwruszone, prawie osta

teczne. Po raz pierwszy Konsul zdał sobie
sprawę z na-

~~1 Co~~ słychać? (hiszp.)

436

macalności grożącego mu niebezpieczeństwa. Wiedział, że Sanabria i pierwszy policjant rozmawiają o nim z zaciekłą wrogością, że zastanawiają się, co z nim zrobić. Potem zauważył, że usiłują przyciągnąć uwagę Szefa Okręgu Miejskiego. Teraz we dwóch przepchnęli się za bar i podeszli do telefonu, którego Konsul przedtem nie zauważył, a który, o dziwo, chyba działał. Szef Trybun mówił, Sanabria stał obok i najwyraźniej udzielał mu wskazówek. Nie śpieszyli się; Konsul rozumiał, że rozmowa — jakkolwiek ma charakter — dotyczy jego i poczuł znów, z tłącym się powoli bólem lęku, jak bardzo jest samotny, zrozumiał, że wszędzie dokoła niego — minno tłumy i roz-gwaru, który Sanabria uciszał gestem ręki — rozpościera się samotność niczym szara pustynia falującego Atlantyku, którego obraz widział niedawno w wyobraźni, gdy był z Marią, tylko że tym razem nie dostrzegł zagłowca na horyzoncie. Uczucie psotnego rozbawienia i doznanej ulgi minęło bez śladu. Wiedział, iż cały czas na pół łudził się nadzieją, że Ivonne przyjdzie go uratować; wiedział już teraz, że jest za późno, że Ivonne nie przyjdzie. Ach, gdyby Ivonne chociażby jako córka, która rozumiałaby go, pocieszała, mogła być teraz przy nim! Chociażby po to, żeby pijanego poprowadzić za rękę do domu, przez kamieniste pola i lasy — nie protestując naturalnie, kiedy od czasu do czasu zatrzyma się i pociągnie z butelki, bo, ach, te palące hausty wypijane w samotności, będzie mu ich brak tam, dokąd teraz pójdzie, były może największym szczęściem jego życia! — jak widywał dzieci indiańskie prowadzące w niedzielę ojców do domu. Natychmiast, świadomie zapomniał znów o Ivonne. Przyszło mu na myśl, że może mógłby wyjść z „Farolito” nie zauważony, bo Szef Okręgu nadal był pochłonięty rozmową, a dwaj policjanci przy telefonie stali odwróceny do niego plecami, nie ruszył się jednak. Oparł łokcie o kontuar i ukrył twarz w dłoniach. Zobaczył znów w wyobraźni niezwykły obraz na ścianie pokoju Laruelle'a, *Los Borrachones*, tylko że teraz ujrzał go w trochę innym świetle. Czy to możliwe, że ten obraz ma jakieś inne znaczenie, nie zamierzone jak jego komizm,

poza oczywistym symbolem? Ujrzał te postacie ulatujące w górę jak zjawy i gdy patrzył na nie, odnosił wrażenie, że ich ruchy stają się coraz swobodniejsze, że postacie te wyodrębniają się, że ich charakterystyczne, szlachetne twarze nabierają coraz więcej cech indywidualnych i stają się coraz szlachetniejsze, w miarę jak szybują ku światłu; te postacie rumiane przypominające skłębione demony stawały się coraz bardziej do siebie podobne, coraz bardziej ze sobą zrośnięte coraz bardziej jak jeden demon — im niżej spadały w dół ku ciemnościom. Może to wszystko wcale nie było takie niedorzecznie śmieszne. Kiedy dążył do wyższej egzystencji jak na początku życia z Ivonne — czyż wtedy „rysy” życia nie wydawały mu się bardziej wyraziste, żywsze, przyjaciele i wrogowie łatwiejsi do rozróżnienia, konkretne problemy, sytuacje, a wraz z nimi poczucie własnego istnienia — oddzielone od niego większym dystansem? I czyż nie było tak, że im niżej staczał się w dół, tym bardziej zacierały się te rysy, gmatwały, budziły przesył, aż w końcu stały się czymś niewiele lepszym od upiornej karykatury jego kłamliwego wewnętrznego i zewnętrznego ja czy też jego walki — jeżeli była jeszcze walka? Tak, ale gdyby tego pragnął, gdyby tego naprawdę chciał, świat materialny, nawet tak bardzo iluzoryczny, mógł stać się jego sprzymierzeńcem, mógł mu wskazać słuszną drogę. Wtedy nie byłoby staczania się w dół, sprowadzania go — przez zamierające, nierzeczywiste głosy i kształty rozkładu, które coraz bardziej upodabniały się do jednego głosu — w dół ku śmierci bardziej martwej niż sama śmierć, byłoby natomiast bezkresne rozszerzanie się, bezkresne rozwijanie i powiększanie zasięgu granic, w których duch stałby się całością doskonałą i skończoną: ach, kto wie, dlaczego człowiek, chociaż jego los obciążony jest tyloma kłamstwami, otrzymał w podarku miłość? A jednak mu-^{*} si stawić temu czoło: nisko się stoczył, nisko, nisko — ale nawet teraz nie osiągnął jeszcze dna, wiedział o tym. Nie był to jeszcze koniec, jeszcze nie. Było tak, jak gdyby spadając zatrzymał się na wąskiej półce skalnej, z której

ani nie mógł wspiąć się z powrotem w górę, ani nie mógł zejść w dół, więc leżał skrwawiony i na pół przytomny, podczas gdy nisko w dole ziejąca otchłań czekała. A gdy leżał w delirium na skalnej półce, otaczały go ze wszystkich stron te zjawy: on sam, policjanci, Fructuoso Sana-bria, mężczyzna o wyglądzie poety, fosforyzujące kościotrupy, nawet królik w kącie, nawet popiół i plwociny na zaśmieconej podłodze; i czy każda z tych zjaw nie była —■ w sposób, którego nie rozumiał, ale który mgliście sobie uświadamiał — odpowiednikiem jakiejś części jego istoty? I rozumiał teraz niejasno, że przyjazd Ivonne, że wąż w ogrodzie, jego kłótnia z Laruelle'em i później z Hughem i Ivonne, że koło diabelskie, rozmowa z señorą Gregorio, odnalezienie listów i wiele, wiele innych momentów, że w gruncie rzeczy wszystkie zdarzenia dnia były obojętnymi kępkami trawy, których czepiał się bez przekonania, albo kamieniami obluzowanymi w drodze na dno otchłani, które teraz sypały się na niego z góry. Wyjął z kieszeni niebieską paczkę papierosów z rysunkiem skrzydeł: „Alas"! Podniósł głowę; nie, jest gdzie był, nie ma dokąd odfrunąć. I było tak, jak gdyby czarny pies siedział mu na plecach, ciążył mu, nie pozwalał się podnieść.

Szef Ogrodów i Szef Trybun stali wciąż przy telefonie, może czekali na rozmowę. Prawdopodobnie telefonują do Inspektora Generalnego; ale może zapomnieli o nim, może mimo wszystko ich rozmowa nie dotyczy jego. Przypomniawszy sobie ciemne okulary, które zdjął do czytania listów Ivonne, i z nedorzeczną myślą o kamuflażu ukrył za nimi oczy. Za jego plecami Szef Okręgu Miejskiego nadal był zajęty rozmową; teraz znowu mógłby wyjść. Cóż prostszego niż wyjść pod osłoną ciemnych okularów? Mógłby wyjść, ale wprawdzie musi się napić; strzeżonego. Co więcej, zobaczył, że otacza go zbity tłum i że jakby dla utrudnienia sytuacji mężczyzna siedzący obok przy barze, w brudnym sombrero zsuniętym na tył głowy i zwisającym nisko pasie z nabojami, z wylewną serdecznością czepia się jego ręki; był to rajfur, czy też kapuś spotkany w *mingitorio*. Sie-

dział przygarbiony w niemal takiej samej pozie i, jak się zdawało, mówił do Konsula przez ostatnie pięć minut.

— Mój przyjaciel dla mnie — gdakał. —
Wszyscy ci lu
dzie tu nic dla mnie, nic dla ciebie. Wszyscy ci
ludzie... nic
dla mnie, nic dla ciebie! Wszyscy ci ludzie to
skurwysyny.
Ty Anglik, no jak! — Mocniej wczepił się się w
ramię Kon
sula. — Wszystko moje Meksykańczyki,
wszystko twoje An-
gliki, ty mój przyjaciel, ja przyjaciel
Meksykańczyki! Ame
rykanie same skurwysyny, niedobre dla
ciebie, niedobre
dla mnie, ja Meksykańczyk cały czas, cały czas,
ech...

Konsul uwolnił się od rajfura, natychmiast jednak z lewej strony chwycił go za ramię mężczyzna nieokreślonej narodowości, o oczach błędnych od alkoholu, o wyglądzie marynarza.

— Jesteś Anglik — powiedział bez wstępów, obracając się na stołku. — Ja jestem z okręgu Pope — wrzeszczał wy mawiając słowa bardzo powoli, wsuwając teraz rękę pod ramię Konsula. — Co ty na to? Mozart był ten facet, co napisał Biblię. Człowiek tu, na tej ziemi, powinien być równy. I niech będzie spokój. Spokój znaczy pokój. Po kój na ziemi dla wszystkich ludzi...

Konsul uwolnił ramię; znowu uczepił się go rajfur. Konsul powiódł spojrzeniem po barze, niemal w poszukiwaniu ratunku. Szef Okręgu Miejskiego nadal był zajęty rozmową. Za kontuarem Szef Trybun ponownie rozmawiał przez telefon; Sanabria stał tuż obok i udzielał mu wskazówek. Przyciśnięty do stołka rajfura stał mężczyzna, który Kon-, sulowi wydał się Amerykaninem, a który rzucał bezustannie spojrzenia za siebie, jakby na kogoś czekał, jednocześnie zaś mówił nie zwracając się do nikogo w szczególności:

— Winchester! Cholera, to całkiem inna para kaloszy!
Co wy tam wiecie. W porządeczku! „Czarny łabędź” jest w Winchester. Wzięli mnie po niemieckiej stronie obozu, a w tym miejscu, gdzie mnie wzięli, była szkoła żeńska. Nauczycielka z tej szkoły. Od niej dostałem.

Mogę wam to
dać w prezencie. Możecie sobie wziąć za
darmo.

—Ach ■— westchnął rajfur nie
wypuszczając ramienia
Konsula. Mówił poprzez niego zwracając się
częściowo do

marynarza. — Mój przyjaciel, co się dzieje z tobą? Szukałem cię cały czas. Ja angielski człowiek, cały czas, cały czas, jeszcze jak. Ten gość mówił mi, że jest przyjaciel dla ciebie cały czas. Lubisz go? Ten gość bardzo dużo pieniędzy. Ten gość dobry albo niedobry, jeszcze jak. Meksy-kańczyki moje przyjaciele i Angliki. Amerykanie cholerne skurwysyny dla ciebie i dla mnie, cały czas.

Konsul pił z tymi makabrycznymi ludźmi, od których nie było ucieczki. Gdy rozejrzył się tym razem, napotkał spojrzenie twardych, małych, okrutnych oczu Szefa Okręgu Miejskiego, który był doskonale świadomy jego obecności. Nie usiłował już teraz zrozumieć, o czym mówi analfabeta marynarz, który wydawał się typem bardziej jeszcze mętnym niż rajfur. Konsul spojrzął na zegarek; dopiero za piętnaście siódma. Czas, otumaniony mescallem, znowu płynął zataczając kręgi. Czując wświdrowujące mu się w kark oczka sen ora Zuzugoitei wyjął ponownie — gestem doniosłym, obronnym — listy Ivonne. Przez ciemne szkła wydawały się z niewiadomych powodów bardziej czytelne.

— Co ma być, niech będzie, tylko żeby Pan nie odstępował nas ani na chwilę — ryczał marynarz — ■ oto moja religia w kilku krótkich słowach. Mozart był ten facet, co napisał Biblię. Mozart napisał stary tanten-ament. Trzymaj się go, a wszystko pójdzie dobrze. Mozart był adwokat.

Bez (jebie jestem szczątkiem, niczym. Jestem wygnanką własnej duszy, cieniem...

— Nazywam się Weber. Wzięli mnie do niewoli we Flandrii. Może mi pan wierzyć albo nie. Ale jakby mnie tak teraz złapali! Jak Alabama zwycięża, robimy z nimi porządek! Nie zadajemy nikomu pytań, bo my tam nie uciekamy. Chryste, jak macie na nich ochotę, bierzcie so bie i już. Ale po co wam Alabama, ta zgraja? — Konsul podniósł głowę; Weber śpiewał. — Jestem prooosty chło piec wiejski. Nic, cholera, nie rozumiem- — Zasalutował

swojemu odbiciu w lustrze. — *Soldat de la Legion Etrangere.*¹

Spotkałem tam ludzi, o których muszę ci opowiedzieć, bo, może, sama myśl o nich, jeżeli zachowamy ją w sercu jak modlitwę o rozgrzeszenie, raz jeszcze doda nam siły, pozwoli podsycić ogień, który nigdy nie zgaśnie, ale który pali się teraz tak przerażająco słabym płomieniem.

— A jakże, panie. Mozart był adwokat. I przestań się pan ze mną kłócić. Ja sam wiem, że mówię nieprzytomne rzeczy.

*...de la Legion Etrangere. Vous n'avez pas de nation. La France est vorte mere.*² Trzydzieści mil za Tangerangem, ale nieźle drałowaliśmy naprzód. Ordynans kapitana Du-ponta... Taki skurwysyn z Teksasu. Nie pamiętam jego nazwiska. To było w Fort Adamant.

— *...Mar Cantabrico!*

'Urodziłeś się po to, żeby chodzić w blasku. Kiedy wy suwasz głowę z jasności niebieskiej, gubisz się w obcym żywiole. Wydaje ci się, że jesteś zgubiony, ale tak nie jest, bo duchy światła pomogą ci i poniosą cię w górę wbrew tobie, przewyciężą wszelki opór, jaki możesz stawiać. Czy moje słowa brzmią tak, jakbym była obłąkana? Chwilami¹ zdaje mi się, że jestem obłąkana. Posłuż się tą bezgranicz-

ną potencjalną siłą, przeciwko której walczysz, a która jest w twoim ciele i —o ileż potężniejsza — w twojej duszy, zwróć mi moją równowagę ducha, która mnie opuściła, kiedyś o mnie zapomniał, kiedyś mi kazał odejść, kiedy zwróciłeś kroki w inną stronę, na drogę obcą, po której stąpasz beze mnie...

11

— Ściał wieżyczki tego tutaj bunkra. Piąty batalion Legii Cudzoziemskiej. Dali im medale. *Soldat de la Legion Etrangere.* — Weber zsalutował znowu swojemu od-

— 1. Żołnierz Legii Cudzoziemskiej, (fr.)
22. Legu Cudzoziemskiej. Nie macie narodowości, Francja jest

waszą matką, (fr.)

442

biciu w lustrze i trzasnął obcasami. —
Słońce tak suszy, że wargi pękają. Och,
Chryste, co za hańba: konie wszystkie w
nogi, tylko się za nimi kurzyło. Nie chciałem
na to pozwolić. No to je rozwalili!

Jestem chyba najsamotniejszą istotą na
bożym świecie. Nie mam nawet pociechy
trunku-przyjaciela, choć to marna pociecha.
Moja rozpacz jest uwięziona we mnie. Daw-
niej ty zwracałeś się do mnie o pomoc.
Błaganie, które ja do ciebie kieruję, jest
bardziej rozpaczliwe. Pomóż mi, tak, uratuj
mnie przed tym wszystkim, co mnie osacza,
co mi grozi, wzbiera koło mnie, żeby zamknąć
się nad moją głową.

—...co napisać Biblię. Jak się człowiek
dobrze wczyta,
zaraz wie, że Mozart napisał Biblię. Ale
powiem ci, nie
potrafisz myśleć tak jak ja. Mam
straszliwy umysł —●
tłumaczył marynarz Konsulowi. — Czego
tobie też życzę.
Życzę ci, żebyś miał dobrze. A ja i tak idę do
piekła —■
dodał i w nagłym przypiływie rozpaczyny wstał i
zatacza-jąc
się wyszedł z baru.

—Amerykanie niedobrzy dla mnie, nie.
Amerykanie nie
dobrzy dla Meksykańczyki. To osły tamte
goście —■ po
wiedział rajfur w zadumie, odprowadzając
wzrokiem ma-
rynarza, a potem dodał przenosząc
spojrzenie na legionis-
tę, który oglądał rewolwer błyszczący jak
klejnot na jego
dłoni: ■— Wszystko moje Meksykańczyki.
Wszystko two-
je Angliki, ty mój przyjaciel, ja przyjaciel
Meksykańczy-
ki. — Przywołał Kilka Pcheł i zamówiwszy
trunki dał
do zrozumienia, że Konsul zapłaci. —
Amerykanie same
skurwysyny niedobrzy dla ciebie, niedobrzy
dla mnie. Ja
Meksykańczyk cały czas, cały czas, ech? —
oświadczył.

„*Quiere usted la salvación de Mexico?* —
spytało nagle radio gdzieś zza baru. —
Quiere usted que Cristo sea nuestro Rey”¹
— i Konsul zobaczył, że Szef Trybun*

1 Czy chcecie ocalenia Meksyku?
Czy chcecie, żeby Chrystus³ był
naszym królem? (hiszp.)

skończył rozmowę telefoniczną, ale nadal stoi w tym samym miejscu z Szeferem Ogrodów.

— Nie.

Geoffrey, dlaczego mi nie odpisujesz? Chyba moje listy nie dochodzą do ciebie, nie mogę sobie tego tłumaczyć inaczej. Wyrzekłam się całej mojej dumy, żeby cię błagać o przebaczenie, żeby ci ofiarować moje przebaczenie. Nie mogę uwierzyć, nigdy nie uwierzę, że przestałeś mnie kochać, żeś mnie zapomniał. A może przyszła ci do głowy niedorzeczna myśl, że będzie mi lepiej bez ciebie, może poświęcasz się, abym mogła znaleźć szczęście z kimś innym? Kochany, najdroższy, czy ty nie rozumiesz, że to nie jest możliwe? Możemy dać sobie o tyle więcej niż większość ludzi, moglibyśmy pobrać się na nowo, moglibyśmy odbudować...

— Jestem twój przyjaciel na wszystkie
czas. Ja płacić
za ciebie i za mnie, i za ten człowiek. Ten
gość jest przy
jaciel dla mnie i dla ten człowiek — i
rajfur trzepnął
Konsula, który w tym momencie wlewał do
gardła duży
łyk trunku, katastrofalnie w plecy. — • Chce
on?

A jeśli mnie już nie kochasz i nie chcesz,
żebym do
ciebie wróciła, czy nie napisałbyś do mnie,
nie powiedział
mi tego? To milczenie mnie zabija i
niepewność, która
z tego milczenia wyciąga macki i pęta moje
siły, moją
duszę. Napisz do mnie i powiedz mi, że twoje
życie jest
takie, jak tego pragniesz, że jesteś wesoły
albo smutny,
że jesteś zadowolony albo zatroskany.
Jeżeli nie czu
jesz już mojej bliskości, napisz mi o pogodzie, o
ludziach,
których znamy, o ulicach, po których
chodzisz, o sze
rokości geograficznej, pod którą żyjesz...
Gdzie jesteś,
Geoffrey? Nie wiem, gdzie jesteś. Och, to
wszystko jest
takie okrutne! Gdzie myśmy zaszli, Geoffrey?
W jakim
dalekim kraju idziemy wciąż razem,

trzymając
ręce?...

się ; , za

Głos kapusia brzmiał teraz wyraźnie, wybijał się ponad wrzawę — ponad wieżę Babel głosów, pomyślał Konsul, ponad chaos zmieszanych języków, pomyślał słysząc z daleka niewyraźny, powracający głos marynarza i przypominając sobie wycieczkę do Cholula:

— Ty mówisz mnie czy ja mówię tobie?
Japończyki nie
dobre dla U. S., dla Ameryka... *No bueno.*
Meksykańczyki
*diez y ocho*¹. Cały czas Meksykańczyki idą
na wojna za
U. S. A. Pewnie, pewnie, tak. Daj mi
papieros dla mnie.
Daj mi zapałka dla mnie. Ja Meksykańczyk
idę na wojnę
za Anglia cały czas...

Gdzie jesteś, Geoffrey? Gdybym tylko wiedziała, gdzie jesteś, gdybym wiedziała, że jestem ci potrzebna, wiesz dobrze, że dawno byłabym z tobą. Bo moje życie jest nieodwołalnie i na zawsze związane z twoim. Nie myśl, że wyzwalając mnie od siebie będziesz wolny. Skarzesz nas tylko na piekło na ziemi. Wyzwolisz tylko coś innego, coś, co nas oboje zniszczy. Boję się, Geoffrey. Dlaczego mi nie mówisz, o co się stało? Co jest ci potrzebne? I, Boże, na co czekasz? Jakie wyzwolenie może się równać wyzwoleniu miłości? W udach czuję ból tęsknoty do ciebie. Pustka mojego ciała jest głodem tęsknoty do ciebie. Język zasycha mi z tęsknoty do naszych rozmów. Jeżeli pozwolisz, żeby cię spotkało coś złego, skrzywdzisz moje ciało, moją duszę. Jestem teraz w twoich rękach. Ratuuj...

■— Meksykańczyki pracują, Angliki pracują, Meksykańczyki pracują, jeszcze jak. Francuzi pracują. Po co mówić angielski? Dla Stany Zjednoczone Meksykańczyki są jak *Negros... de comprende*² ... Detroit, Houston, Dallas...

„*Quiere usted la salvación de Mexico? Quiere usted que Cristo sea nuestro Rey?*”

— Nie.

Chowając listy do kieszeni Konsul podniósł głowę. Ktoś obok niego grał głośno na skrzypcach. Patriarchalny, bez-

—1w osiemnastym (1918) roku (hiszp.)
2rozumie się (hiszp.)

zębny stary Meksykańczyk o rzadkiej, sztywnej jak druty brodzie, ironicznie zachęcany przez Szefa Okręgu Miejskiego, rzępolił mu niemal prosto w ucho narodowy hymn amerykański. Ale jednocześnie mówił coś, co było przeznaczone tylko *dla* Konsula.

—*Americano?* To złe miejsce dla pana. Ci tutaj to *hombres malos, cacos*¹. Żli ludzie tutaj. *Brutos. No bueno dla* nikogo. *Comprendo?* Jestem garncarz — mówił gło-
sem nagłym, z twarzą tuż przy twarzy Konsula. — Ja wezmę pana do mojego domu. Ja zaczekam za drzwiami. — Grając wciąż z zapalem, chociaż fałszywie, starzec odszedł, tłum rozstąpił się, żeby go przepuścić, ale jego miejsce między Konsulem a kapusiem zajęła stara kobieta, ubrana dosyć nawet porządnie i w pięknym *rebozo* za rzuconym na plecy, ale która zachowywała się jednak irytująco: wsuwała bezustannie rękę do kieszeni Konsula, on zaś tę rękę bezustannie wyjmował, przekonany, że kobieta próbuje go okraść. Potem nagle zrozumiał, że ona też chce mu pomóc.

—Niedobre dla pana — wyszeptała. — Bardzo złe miejsce. *Muy malo*. Ci ludzie to są wrogowie meksykańskich ludzi. — Wskazała *ruchem* głowy na kontuar, za którym stali wciąż Szef Trybun i Sanabria. — Oni nie *policia*. Oni *diablos*. Mordercy. On zabił dziesięć starych ludzi. On zabił dwadzieścia *viejos*. — Obejrzała się nerwowo, żeby sprawdzić, czy Szef Okręgu Miejskiego jej nie obserwuje, a potem wyciągnęła spod szala nakręcany szkielecik. Po stawiała go na ladzie przed Kilka Pcheł, który żując marypanową trumnę przyglądał się zabawce z zainteresowaniem. — *Vdmonos* — wyszeptała do Konsula, gdy na kręcony szkielecik podskakiwał na kontuarze, zanim nie zwiotczał i nie upadł.

Ale Konsul podniósł tylko szklanę.

— *Gracias, buena amiga* — powiedział
głosem pozbawionym wyrazu. Stara kobieta
odeszła. Tymczasem rozmowy wokół niego
stały się jeszcze bardziej rozpasane,

— **1 fotry (hiszp.)**

bardziej absurdalne. Rajfur czepiał się teraz drugiego ramienia Konsula, stał tam, gdzie przedtem siedział marynarz. Diosdado¹ podawał *oohas*, bimber w gorącym! naparze ziół; od strony oszklonych salek napływał ostry zapach marihuany.

—Wszystkie te mężczyzny i kobiety powiedzieć mi, że ja przyjaciel dla ciebie. Ach, ja *gusta, gusta, gusta*¹... Lu bisz mnie lubisz? Ja płacę za ten gość cały czas — ofuknął legionistę, który chciał zamówić cos dla Konsula. — Mój przyjaciel gość Anglik! Ja Meksykańczyk, cały! Amerykanin dla mnie niedobry, Amerykanin niedobry dla Meksyk. Te ludzie to osły. To osły. Nie płacić *nada*. Ja płacić wszystko za ciebie. Ty nie Amerykanin. Ty Anglik. O.K. Ogień dla twojej fajki?

—*No, gracias* — powiedział Konsul własnoręcznie za palając fajkę i patrząc znacząco na Diosdada, z którego kieszeni wystawała jego druga fajka. — Tak się składa, że jestem Amerykaninem i trochę mnie już nudzą te pańskie obelgi. „*Quiere usted la salvación de Mexico? Quiere usted que Crinto sea nuestro Rey?*” ~ Nie.

— Ci osły. Cholerne skurwysyny dla mnie.

— „Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem... daleka jest droooga do Tipperrary”...

— *Noch ein habanero...*

— Bolszewik!..

■ — *Buenas tardes, señores* — przywitał Konsul wracających od telefonu Szefa Ogrodów i Szefa Trybun.

Stali teraz obok mego. Wkrótce, bez dostatecznej po temu przyczyny, padały znów między nimi niedorzeczne słowa: odpowiedzi, zdawało się Konsulowi, udzielane przez niego na pytania, które może nie były zadawane, ale w każdym razie wisiły w powietrzu. A jeśli idzie o pewne odpowiedzi, których udzielali inni, dziwne, ale gdy się Konsul obejrzał, nie było za nim nikogo. Ludzie wycho-

— 1 lubię (hiszp.)

dzili ospale na *la comida*^r; jednakże na ich
miejsce weszły inne tajemnicze obce
postacie. Konsul nie myślał już

O ucieczce. Sparaliżowana była jego wola i
sparaliżowany
był czas, który od ostatniego razu, gdy
Konsul go sobie
uświadamiał, posunął się naprzód zaledwie
o pięć minut.
Konsul zobaczył teraz kogoś znajomego:
szofera autobusu
z dzisiejszego popołudnia. Przyszedł w tym
stadium pi
jaństwa, w którym człowiek nie może się
oprzeć chęci
podawania rąk wszystkim dookoła. Konsul w
pewnej chwi
li też ścisnął mu rękę. ■— *Dónde esidn
vuestras palomas!*²
— spytał. Nagle, na sygnał Sanabrii, Szef
Trybun wsunął
rękę do kieszeni Konsula.

—Czas, żebyś płacił za... ach... mehikańską
whisky —
powiedział głośno i mrugnawszy do
Diosdada wyjął port
fel Konsula. Szef Okręgu Miejskiego
poruszył biodrami
kolistym sprośnym ruchem.

—*Progresión dl culo...* — zaczął. Szef
Trybun trzymał
teraz w ręku paczkę listów Ivonne; spojrzął
na nie z boku
nie zdejmując gumki, którą Konsul z
powrotem założył. —
Chingao, cabrón. — Spojrzął pytająco na
Sanabrię, który
surowo, w milczeniu, powtórnie skinął
głową. Szef Try
bun wyjął z kieszeni marynarki Konsula
złożony papier
1 kartę, o których istnieniu Konsul nie
wiedział. Głowy
trzech policjantów przybliżyły się do siebie
nad kontua
rem, gdy czytali papier. Teraz Konsul,
zdułony, sam go
odczytywał.

„Daily... Londonpress... Zebrałem kompania
antysemicka
w mexprasie... mexrobotnicy petycja
przeciwno... fabry
kantom tekstylnym koniec cytatu...
niemiecka robota...
wewnątrz kraju... — Co to wszystko znaczy?
— ...dzien
nikarze... Żydzi... przekonanie kraju... władza

zabija
mienie... stop Firmin." •; SU

— Nie, Blackstone — • powiedział Konsul.
— *Como se Mama?* Twoje nazwisko
Firmin. Tutaj na
pisane: Firmin. Tutaj napisane: *Juden*.

1obiad (hiszp.)

2Gdzie są pańskie gołębie? (hiszp.)

— Nic mnie nie obchodzi, co jest
gdziekolwiek napisane. Nazywam się Blackstone i nie jestem
dziennikarzem.
To prawda, *vero*, że jestem pisarzem,
escrivor, ale piszę
tylko o zagadnieniach ekonomicznych —
zakończył Konsul.

— Gdzie twoje papiery? Po co nie masz
papiery? —
pytał SzeF Trybun chowając do kieszeni
telegram Hugh'a.
— Gdzie twój *passaportel*? Po co potrzeba
ci chodzić
w przebraniu?

Konsul zdjął ciemne okulary. Bez słowa,
ruchem sarkastycznym SzeF Ogrodów
pokazał mu kartę trzymaną między kciukiem
i palcem wskazującym. „Federación
Anarquista Iberica” było napisane na
karcie. Señor Hugo Firmin.

— *No comprendo*. — Konsul wziął do ręki
kartę, odwrócił ją. — Nazywam się
Blackstone. Jestem pisarzem, nie
anarchistą.

— Ty pisarz? Ty antychrysta. *St*, ty
antychrysta. —
SzeF Trybun wyrwał mu z ręki kartę i
schował do kie
szeni. — *I Juden* — dodał. Zsunął gumkę z
listów Ivonne
i pośliniwszy kciuk przejechał przez nie
palcami, znowu
rzucając ukośne spojrzenia na koperty. —
Chingar. Dla
czego po co kłamiesz? — spytał prawie z żalem.
Cabrón.
Dlaczego po co kłamiesz? Tutaj też stoi:
nazywasz się
Firmin. — Konsul spostrzegł w tym
momencie, że legio
nista Weber, który nie wyszedł z baru,
chociaż siedział
teraz w pewnej odległości, przygląda mu się
z namysłem,
nagle jednak odwrócił wzrok. SzeF Okręgu
Miejskiego
oglądał z groźną miną zegarek Konsula,
trzymał go w oka-
leczalej ręce, podczas gdy drugą drapał się
między uda
mi. — Masz tu, *oiga*². — SzeF Trybun wyjął
z portfela
Konsula dziesięć pesos, zaszeleścił
banknotem i rzucił go
na kontuar. — *Chingao*. — Mrugnawszy do
Diosdada wsu
nął portfel wraz z innymi drobiazgami
Konsula do kiesze

ni. I.teraz Sanabria przemówił do niego po raz pierwszy.

— Obawiam się, że musi pan pójść do więzienia — po-

— **1 Anarchistyczna Federacja
Iberyjska (hiszp.)
2 słuchaj (hiszp.)**

29 — Pod wulkanem 449

wiedział bardzo zwyczajnie, po angielsku. Po czym wrócił do telefonu.

Szef Okręgu Miejskiego zakotłosał biodrami i chwycił Konsula za ramię. Konsul wrzasnął do Diosdada po hiszpańsku i odepchnął policjanta. Zdołał ucześcić się ręką tamtej strony kontuaru, ale Diosdado odtrącił mu dłoń jednym uderzeniem. Kilka Pcheł zaczął się mazgać. Wszyscy podskoczyli słysząc niespodziewany hałas w kącie. „Może to Ivonne i Hugh, nareszcie.” Obrócił się szybko, wciąż poza zasięgiem rąk Szefa Okręgu Miejskiego. Był to tylko królik w nerwowych konwulsjach, dygocący, marszczący nos i z dezaprobatą bijący łapami o podłogę. Konsul zobaczył starą kobietę w *rebozo*; lojalnie nie odeszła. Potrząsała głową, zmarszczona patrzyła smutno na Konsula i Konsul zorientował się dopiero teraz, że jest to stara kobieta z dominem.

— Po co dlaczego kłamiesz? — powtórzył Szef Trybun rozzłoszczonym głosem. — Mówisz, że twoje nazwisko Black. *No es Black*. — Pchnął go do drzwi, tyłem. — Mówisz, że jesteś pisarz. — Pchnął go znowu. — Ty nie pisarz. — Tym razem pchnął go mocniej, ale Konsul zaparł się nogami. — Nie jesteś pisarz, jesteś szpieg, a my w Mexico rozwalamy szpiegów. — Kilku żandarmów przyglądało się tej scenie z niepokojem. Nowo przybyli zaczęli wychodzić. Dwa bezpańskie psy uganiały się po barze. Przerażona kobieta tuliła dziecko do piersi. — Ty nie pisarz. — Szef Trybun chwycił go za gardło. — Ty Al Capone. Ty żydowski *chingao*. — Konsul ponownie go odtrącił. — Ty szpieg.

Nagle radio, które Diosdado po skończonej rozmowie telefonicznej Sanabrii rozkręcił na cały regulator, zaczęło wrzeszczeć po hiszpańsku, wrykiwać jak gdyby rozkazy rzucone podczas burzy na morzu, jedyne rozkazy, które mogą uratować statek; Konsul błyskawicznie tłumaczył sobie w myślach słowa: „Nieobliczalne są dobrodziejstwa cywilizacji, niewymierna jest siła produkcyjna wszystkich

—1 Nis jesteś, (hiszp.)

rodzajów bogactw zrodzona przez wynalazki i odkrycia naukowe. Wprost niepojęte są wspaniałe wyczyny płci ludzkiej w celu uczynienia ludzi szczęśliwymi, wolniejszymi i doskonalszymi. Nie mają sobie równych krystaliczne i płodne źródła nowego życia, które wciąż są nieostępne spragnionym wargom ludzi nadal wykonywających swoje żmudne i bestialskie zadania."

Nagle Konsulowi wydało się, że widzi przed sobą ogromnego koguta bijącego skrzydłami, piejącego, wyciągającego pazury. Podniósł ręce i kogut obryzgał mu twarz łajnem. Konsul uderzył wracającego od telefonu Szefa Ogrodów prosto między oczy.

— Oddaj mi listy! — usłyszał swój głos ryczący do Szefa Trybun, ale radio zagłuszyło jego głos, a teraz grzmot zagłuszył radio. — Banda syfilityków! Bydłęta! To wy zabiliście Indianina! Zabiliście go i próbowaliście tak to urządzić, żeby wyglądało jak wypadek! — wrzeszczał. — Wszyscy maczaliście w tym palce! A potem przyszli inni z waszej bandy i zabrali konia. Oddajcie mi moje papiery.

— Papiery. *Cabrón*. Nie masz żadne papiery. Prostując się Konsul dojrzał w wyrazie twarzy Szefa

Trybun jak gdyby cień rysów Laruelle'a i uderzył. Potem jeszcze raz zobaczył siebie w Szefie Ogrodów i uderzył; potem w Szefie Okręgu Miejskiego zobaczył policjanta, którego Hugh chciał uderzyć po południu, ale się powstrzymał, i uderzył. Odezwał się zegar na dworze, bił szybko siedem razy. Znowu kogut łomotał skrzydłami tuż przed nim, oślepił go. Szef Trybun schwycił Konsula za kłapy marynarki. Ktoś przytrzymał go od tyłu. Mimo że się szarpał i wrywał, ciągnęli go do drzwi. Blondyn, który pojawił się znowu, pomagał go ciągnąć; i Diosdado, który przeskoczył ciężko przez bar; i Kilka Pcheł, który złośliwie kopał go po nogach. Konsul schwycił długi nóż meksykański leżący na stoliku blisko wejścia i wymachiwał nim dziko.

— Oddajcie mi listy! — wołał. Gdzie jest ten przeklęty kogut? Oderżnie mu łeb. Potykając się wypadł tyłem na drogę. Ludzie uciekający przed burzą i wnoszący pod dach

29*

451

stoliki zastawione butelkami wody sądowej przystanęli, żeby mu się przyjrzeć. Zebracy tępo odwrócili głowy. Wartownik przed koszarami stał nieruchomo. Konsul nie wiedział, co mówi. — Tylko biedacy, tylko poprzez Boga, tylko ludzie, o' których wycieracie nogi, ubodzy duchem, starcy dźwigający na plecach swoich ojców i filozofowie płaczący w kurzu drogi. Może Ameryka, może Don Kiszot... — wymachiwał wciąż nożem, ale to nie jest nóż, pomyślał, tylko szabla z pokoju Marii — ... gdybyście wreszcie przestali się wtrącać w cudze sprawy, gdybyście przestali chodzić jak we śnie, sypiać z moją żoną... nic tylko zebracy i przekłęci! — Nóż upadł, ze szczękiem. Konsul czuł, że się potyka, że leci do tyłu, traci równowagę i w końcu pada na kępę trawy. — Ukradliście tego konia — powtórzył.

Szef Trybun patrzył w dół na niego. Sanabria stał obok milczący, ponuro rozcierał policzek. — *Norteamericano*, ech? — powiedział Szef Trybun. — *Ingles*. Jesteś Żyd. — Oczy zwężyły mu się. — Co ci się, do cholery, zdaje, że o tu robisz? Ty *pelado*, ech? To ci nie wyjdzie na zdrowie. Zastrzeliłem dwadzieścia osoby. — Była to na pół pogrożka, na pół poufna wiadomość. — Powiedzieli nam przez telefon ... • nie? ... że jesteś kryminalista. Chcesz być policjant? Ja cię zrobię policjant meksykański.

Konsul wstał z trudem, zatoczył się. Tuż obok zobaczył konia przywiązanego do drzewa. Tylko że teraz widział go wyraźniej, w podnieceniu zobaczył go > całego; pysk spięty uzdą, dalej drewniany heblowany łąk, z którego zwisało wiązadło, dalej juki, podkładki pod popręgiem, obtarcie i jedwabista sierść na kłębach, guz przy sprzączce iskrzący się jak topaz w świetle padającym z *cantiny*. Chwiejąc się podszedł do konia.

— Rozpruję cię od kolan w górę, ty żydowski *chingao* — zagroził mu Szef Trybun chwytając go za kołnierz, a Szef Ogrodów stojący tuż obok poważnie skinął głową. Konsul wyrwał mu się i jak oszalały zaczął szarpać wodze konia. Szef Trybun zrobił krok do tyłu, z ręką na kaburze. Wyciągnął pistolet;. gestem wolnej ręki odpędził kilku nie-

śmiałych gapiów. — Rozpruję cię od kolan w górę, ty *cabrón* — powtórzył. — Ty *pelado*.

— Nie, nie robiłbym tego — powiedział Konsul spokojnie, obracając się. — To jest Colt 17, prawda? Daje bardzo dużo odprysków.

Szef Trybun pchnął Konsula poza krąg światła, zrobił dwa kroki naprzód i strzelił. Błyskawica jak robak przepęzła w dół nieba; zataczając się Konsul przez sekundę widział nad sobą Popocatepetl w pióropuszu szmaragdowego śniegu, skąpany w jasności. Szef Trybun nacisnął spust jeszcze dwa razy, strzelając z namysłem, wymierzając odstępy. Grzmoty zadudniły w górach, huknęły tuż obok. Uwolniony z postronka koń stanął dęba; obrócił się i z zadartym wysoko łbem, rżąc, runął do lasu.

W pierwszej chwili Konsul poczuł dziwną ulgę. Potem zrozumiał, że jest ranny. Osunął się na jedno kolano i zaraz jęcząc upadł twarzą w trawę.

— Chryste — powiedział zdziwiony — co za marna śmierć.

Odezwał się dzwon:

„*Dolente ... dolore!*”

Padł cicho deszcz. Cienie majaczyły wokół Konsula, ujmowały go za rękę, może znowu próbowały go okraść, może chciały mu pomóc, może były po prostu ciekawe. Czuł, jak życie wycieka z niego, spływa w miękkość trawy. Był sam. Gdzie się podzieli wszyscy? A może nigdy nie było nikogo? Nagle zajaśniała twarz wyłaniająca się z mroku, maska litości. Stary skrzypek pochylał się nad nim.

— *Compañero...* — zaczął. I zniknął.

Niebawem słowo *pelado* zaczęło wypełniać całą jego świadomość. Tym słowem Hugh określił złodzieja; teraz ktoś rzucił mu tę obelgę w twarz. I było tak, jak gdyby na chwilę sam stał się *pelado*, złodziejem — tak, złodziejaszkiem bzdurnych, mętnych idei, z których wyrosło jego zaparcie się życia, złodziejaszkiem noszącym swoich kilka meloników, swoje przebrania, pod którymi ukrywał tatate abstrakcje; teraz najprawdziwsza z nich była blisko. Ale

ktoś nazwał go też *compañero*, co było lepsze, o ileż lepsze. Uszczęśliwiło go to słowo. Ulatającym myślom towarzyszyła muzyka, ale musiał bardzo natężyć słuch, żeby ją usłyszeć. Czy to Mozart? *Siciliana*. Finale *Kwartetu d-moll* Mosesa. Nie, to coś żałobnego, może coś z *Alcesty* Glucka. A jednak jest w tym coś z charakteru muzyki Bacha. Bacha? Klawikord słyszany z daleka w Anglii XVII-go wieku. Anglia. A także dźwięki gitary, na pół zagubione, zmieszane z dalekim grzmotem wodospadu i czymś, co brzmiało jak krzyki mitości.

Jest w Kaszmirze, wiedział już teraz, leży na łące obok strumienia, pośród fiołków i koniczyzny i widzi daleko przed sobą Himalaje, więc jakie to dziwne, że nagle wyrusza z Hughiem i Ivonne na szczyt Popocatepetl. Oni już go wyprzedzili. Słyszony głos Hugh'a: „Czy mogłabyś narwać trochę bougainvillei?” „Uważaj — odpowiada Ivonne — tam jest pełno kolców i musisz dobrze patrzeć, czy nie ma gdzieś pająka.” „My w Meksyku rozwalamy szpiegów” — wymamrotał inny głos. I w tym momencie Hugh i Ivonne oddalili się. Podejrzał, że nie tylko wspięli się już na szczyt Popocatepetl, ale że zaszli znacznie dalej. Samotny piął się mozolnie stokami podgórza w kierunku Ameca-meca. Szedł w okularach przeciwsłonecznych z wentylatorami, szedł z alpejską laską w ręce, w rękawiczkach i wełnianej czapce nasuniętej nisko na oczy, z kieszeniami pełnymi suszonych śliwek, rodzynek i orzechów, z puszką ryżu sterczącą mu z jednej kieszeni kurtki i przewodnikiem hotelu „Faustus” w drugiej — i czuł, jak niesione brzemie przygniata go do ziemi. Nie mógł iść dalej. Wyczerpany, bezsilny osunął się na ziemię. Nikt mu nie pomoże, nawet gdyby ktoś mógł mu pomóc, też mu nie pomoże. Tym razem to on umiera przy drodze, na której nie zatrzyma się żaden dobry Samarytanin. Ale jak zdumiewa ten śmiech, głosy rozbrzmiewające mu w uszach; ach, to pomoc, nareszcie pomoc! Jest teraz w ambulansie, który z rykiem klaksonu toruje sobie drogę przez dżunglę, pędzi w górę zbocza, zostawiając za sobą linię lasów wdziera się na szczyt — nie jest to taki zły sposób dostania się

na szczyt! — a głosy rozbrzmiewające dokoła niego są głosami przyjaciół; Jacques, Vigil, na pewno okażą pobłażliwość, uspokoją Hugh'a i Ivonne co do jego stanu. „*No se puede vivir sin amar*” — powiedzą i to wyjaśni wszystko. I Konsul powtórzył na głos te słowa. Jakże mógł myśleć tak źle o świecie, skoro pomoc cały czas była blisko? I oto teraz osiągnął szczyt. Ach, Ivonne, ukochana, przebacz mi! Silne ręce podźwignęły go z ziemi. Otworzył oczy i spojrział w dół, pewien, że zobaczy poniżej wspaniałą dżunglę, « szczyty, Pico de Orizabe, Malinche, Cofre de Perote — podobne szczytom jego życia, które zdobywał jeden po drugim, aż wspiał się zwycięsko, choć w sposób niekonwencjonalny, na ten najwyższy ze szczytów. Nie zobaczył jednak nic: żadnych wierzchołków, ani śladu życia, ani śladu wspinaczki. I ten szczyt właściwie nie jest szczytem; jest pozbawiony substancji, nie ma solidnej podstawy. A poza tym kruszy się, zapada — czymkolwiek jest — podczas gdy on zlatuje w dół, w dół, do wnętrza wulkanu, więc mimo wszystko osiągnął jego wierzchołek, chociaż teraz słyszy straszny syk wytryskującej lawy, a więc wulkan wybucha — nie, to nie wulkan, to świat rozpada się, eksploduje czarnymi bryzgami wiosek wyrzucanych w przestrzeń, podczas gdy on spada w dół poprzez ten chaos, poprzez niepojęte kotłowisko miliona czołgów, poprzez pożary dziesięciu milionów płonących ciał, spada w las, spada... Nagle krzyknął i było tak, jak gdyby ten jego krzyk odbijał się od drzewa do drzewa i wracał wraz z echem, a potem — jak gdyby drzewa stłoczyły się, skupiły, zamknęły nad nim pełne litości...

Ktoś rzucił za nim do rozpadliny zdechłego psa.

*/**

POSŁOWIE

Malcolm Lowry zmarł nagle w 1957 roku, nie przekroczywszy pięćdziesiątki, w swojej rodzinnej Szkocji, dokąd powrócił po wielu latach nieobecności, po burzliwym życiu, które całe działo się gdzie indziej. Umarł dokładnie w dziesięć lat po ukazaniu się *Under the Volcano*, książki, która miała przynieść mu sławę. Miała, ale nie przyniosła. Sławy Malcolm Lowry nie zaznał nigdy. Umarł zagłębiony w gorączkowej pracy, zagrzebany w manuskryptach czterech czy pięciu pisanych na raz książek, z których kiedyś powstałyby może dzieła na miarę *Under the Volcano*, najpewniej zaś nie. Bo genialne książki nie rodzą się na kamieniu, a Malcolm Lowry, w moim najgłębszym przekonaniu, tylko tę jedną książkę miał do napisania. Widać jednak nie wystarczy wcale napisać genialną książkę dla zrobienia kariery literackiej. Do dziś dnia nazwisko jego znane jest nielicznej garstce entuzjastów na obu półkulach, liczniejszych zresztą w Europie kontynentalnej niż w krajach anglosaskich: Anglii, Stanach czy Kanadzie. Wydanie *Under the Volcano* zbiegło się w czasie ze zrecenzowanym przez bestsellerem pod tytułem *Stracony weekend* Charlesa Jack-sona, który dostarczył scenariusza do głośnego i znakomitego zresztą filmu pod tym tytułem. Pozorne podobieństwo tematyczne wyzwało książkę Lowry'ego z należnego jej rozgłosu i sprawiło, że przeszła prawie nie zauważona. Na dobrą sprawę dopiero wydanie francuskie, zrealizowane przez niestrudzonego poszukiwacza nowych talentów, Maurice'a Nadeau, i entuzjastycznie przyjęte przez tę część krytyki, którą nazywa się „la critique pensante”, przyniosło Lowry'emu coś w rodzaju sławy. Ale tylko coś w jej rodzaju, sława nie była mu pisana. Bo jego książka — trudna, zawiła i skomplikowana, i tak osobista, intymna jak w literaturze jeden tylko Dosto-jewski być potrafi — dotyka regionów najskrytszej intymności każdego czytelnika. Fanatyk Malcolma Lowry'ego nie tylko

nie dba wcale o rozpowszechnianie wieści o istnieniu czegoś takiego jak *TJnder the Volcarw*, ale przeciwnie, zazdrośnie strzeże tajemnicy, cieszy się z niewielkiego jej rozgłosu, trwając uparcie w przekonaniu, że to książka napisana wyłącznie dla niego, że tylko on potrafi z niej wyczytać to wszystko, co z niej wyczytał. Lowry ciągle jest prywatną domeną wtajemniczonych, a *Under the Volca.no* kabalistyczną księgą mądrości rozsianych po całym świecie wiernych, którzy pozdrawiają się zaszyfrowanymi cytatami z powieści niby masońskim uściśnięciem dłoni. Przestrzegamy w tej naszej mafii (z której praw teraz się wyłamuję) nie pisanego obowiązku mylenia tropów, nie naprowadzania na ślad. Przykładem niech będzie głośna ostatnio na Zachodzie książka Williama Styrona, *Set this House on Fire*, cała z Lowry'ego, w której najmnijesz2y odsyłacz, motto czy cytāt nie naprowadza na ślad wielkiego źródła wszelkiego wtajemniczenia. Pod *wulkanem* to książka, którą każdy chce posiadać dla siebie i tylko dla siebie, choćby wiedział, że to niemożliwe.

W przedmowie do francuskiego wydania Malcolm Lowry podaje czytelnikowi parę kluczy mających mu ułatwić dostęp do książki. Podaje je w formie żartobliwej, przytaczając szerokie ustępy ze swojego dawnego listu do wydawcy, który na podstawie pierwszych recenzji książkę odrzucił. List okazał się w praktyce tak przekonywający, że wydawca zrewidował swą poprzednią decyzję i książkę przyjął do druku, ustępując całkowicie z pierwotnego żądania skrótów i zmian, a właściwie napisania książki na nowo. (Swoją drogą dzisiaj, gdy ranga literacka tego dzieła nie śmie już budzić niczych wątpliwości, w głowie się nie może pomieścić, że człowiek zajmujący się zawodowo czytaniem wpływających do wydawnictwa maszynopisów mógł przejść nad taką powieścią do porządku dziennego i napisać list, że owszem, interesująca, ale źle skomponowana, niejasna, za długa, nieczytelna etc.)

Kluczy do *Pod wulkanem* jest tak wiele jak warstwie symbolicznych w powieści. Ale obywa się ona także znakomicie bez żadnych kluczy, albowiem nie jest rzeczą pewną, czy autor sam dobrze wiedział „co chce przez to powiedzieć”. (To skompromitowane, zdawałoby się, od dawna pytanie powraca jak uprzykrzony refren przy okazji każdego nowego, to znaczy zaskakującego, dzieła sztuki. Oczywiście że autor nie wiedział dobrze sam, co chce przez nie powiedzieć, bo gdyby wiedział, to napisałby nie powieść, *wiersz* czy *symfonię*, ale list do przy-

jaciela albo artykuł do gazety, zależnie od kalibru tego, co chciał powiedzieć.)

„Jeśli idzie o tę książkę — pisze Lowry w rzeczonyj przedmowie — którą zacząłem pisać w dwudziestym szóstym roku życia (dobiegam już czterdziestki), a skończyłem pięć lat temu, zamiar mój wydawał mi się z początku jasny, chociaż zaciemniał się coraz bardziej, w miarę jak nad nią pracowałem. Ale, jasny czy niejasny, miałem przede wszystkim przez cały czas zamiar napisać książkę.”

A w innym miejscu: „Po tym przydługim wstępie, drogi czytelniku francuski, może uczciwiej będzie powiedzieć po prostu, że powziąłem drogą mojemu sercu myśl dokonania pionierskiego dzieła i opisanie wreszcie autentycznej historii pijackiej.”

Oczywiście realizacja tego pierwotnego, a i tak bynajmniej nie pozbawionego ambicji zamiaru przerosła oczekiwania autora. Ale można ją odczytywać i tak, w tej pierwszej bezpośredniej warstwie, jako historię staczającego się człowieka, który z własnej winy i chęci zaprzepaszcza jedyną i nieustannie mu jeszcze przez los podsuwaną szansę, jaką jest wielka, autentyczna, nieposkromiona miłość. Książka będzie czytelna i zrozumiała, i piękna, i wzruszająca. Zostanie w niej tylko parę nieznacznych szczelin, prześwitów, prawie niezauważalnych, wystarczających jednak, by do duszy bardziej uważnego czytelnika wkraść się niepokój, czy aby właściwie odczytał sens książki. „Tak czy inaczej — mówi w pewnym miejscu Ivonne — tu nie chodzi o picie.” Tego rodzaju oświadczenie, rzucone jakby mimochodem, nie podjęte przez rozmówcę (Hugh'a) i traktowane *przezeń* jako coś oczywistego, stanowi właśnie taką szczelinę. Nie chodzi o picie? W powieści o pijaku i pijaństwie? O cóż więc chodzić może?

Szczelin tego rodzaju jest więcej. Jak ta wysoko ciągle nie siona, niezwykła w gruncie rzeczy godność Konsula, który ani na chwilę, nawet leżący twarzą w dół na bruku Calle Nicaragua, pijany w sztok, nie budzi w nas uczucia wstrętu, pogardy czy śmieszności; czyż taka godność pasuje do tego, co ma być opisem degrengolady fizycznej i moralnej człowieka? A ta nie zmacona tequilą ani mescalem przenikliwość spojrzenia, owa niezwykła *luciditas*-, ten najwyższy próg wymagań w stosunku do samego siebie, którego Konsul nie obniża nigdy, nawet

wtedy gdy na dnie upodlenia, w
koszmarnej norze, obejmuje (*Quiere
Maria?*) ciało prostytutki? A to motto z
Fausta

Goethego otwierające książkę? „*Wer immer strebend sich be-müht, den können wir erlösen.*” Któż tu usiłuje przejść samego siebie, któż tu może liczyć na zbawienie jak nie właśnie ten pijak, którego upodlone i zmaltretowane ciało ciśnięto razem ze zdechłym psem do *barranca*? Nie, to nie jest tylko książka o pijaństwie. Ale może właśnie

O miłości? (*No se puede vivir sin amar.*)

Może tym, co pcha Konsula do kieliszka i każe mu rujnować powoli, lecz systematycznie tę miłość, która chce go ocalić, jest nie co innego właśnie jak niepodobieństwo tej miłości? Ow motyw tak bogato w powojennym dwudziestoleciu eksploatowany przez literaturę wszystkich krajów, to nasze wielkie odkrycie półwiecza, niemożność porozumienia z drugim człowiekiem, niemożność życia we dwoje, to co Francuzi tak dobitnie nazywają (z właściwą im łatwością znalezienia na wszystko formułki) „*l'impossibilité du couple*” — może to jest przyczyną pijaństwa Konsula? Czyżbyśmy odkryli klucz do powieści? Czyżby Lowry, na podobieństwo Iwaszkiewicza, Marguerite Duras, Antonionięgo i tylu innych pisarzy i twórców współczesnych, nie wyrażał innej prawdy jak ta, że po prostu nie ma sposobu na przekroczenie muru dzielącego ciebie od drugiego, choćby najbardziej umiłowanego człowieka, że jesteś skazany na samotność, choć stworzony do współżycia, że tylko śmierć...

A może Konsul pije z rozpacz i zazdrości? Może problem zdrady małżeńskiej jest centralną osią książki? Ivonne, ta czysta, jasna Ivonne, ukochana żona, niewinna choć niewierna, budząca grzeszne pożądanie brata, sypiająca z Laruelle'em (czy tylko raz?), ale niewinna, ona jedna zawsze niewinna, bo pozostająca poza winą i karą, bo będąca tylko wyzwoloną z samowiedzy miłością, i ona jedna zawsze kochająca, odchodząca tylko po to, by zadokumentować swą niemożność odejścia — może to Ivonne pcha Konsula w objęcia tequila

1 mescal?!

Niewątpliwie to wszystko są jakieś tropy. Ale posłuchajmy, co mówi na ten temat sam Lowry.

„Tematem tej powieści, by posłużyć się słowami Edmunda Wilsona, są ciemne siły gniezdzące się w człowieku i które doprowadzają go do tego, że jest sam sobą

przerazony. A także upadek człowieka, jego wyrzuty sumienia, jego nieustanne parcie ku światłu pomimo wszystkich obciążeń przeszłości, jego los. Alegoria rajskiego ogrodu jest ewidentna, z tym że ogród ten jest symbolem świata, z którego w każdej chwili

możemy być wygnani, dziś jeszcze bardziej niż w momencie, gdy pisałem tę książkę. W jakimś sensie, na jednej z płaszczyzn interpretacyjnych, pijaństwo Konsula powinno być symbolem ogólnego pijaństwa ludzkości, podczas wojny, w okresie poprzedzającym wojnę, właściwie w każdej chwili. Przez ciąg tych dwunastu rozdziałów los mojego bohatera należy stale rozpatrywać w najściślejszym związku z losami ludzkości.

Zależy mi na tej dwunastce. To jest tak, jakbym słyszał zegar wybijający północ w celi Fausta, a kiedy myślę o powolnym rozwoju akcji w korowodzie rozdziałów, dochodzę do wniosku, że nie mogło ich być ani mniej, ani więcej niż dwanaście. Poza tym akcja powieści rozwija się na wielu płaszczyznach. Starłem się, tak dalece jak to było tylko możliwe, rozjaśnić pierwotny zamysł, który jawił mi się jako coś niesłychanie skomplikowanego i ezoterycznego. Książkę tę czytać można jak zwyczajną opowieść, po prostu przeskakując niektóre ustępy, jeśli znajdujecie, że was nużą, ale przestrzegam więcej z niej zrozumiecie nie opuszczając nic. Można ją uważać za coś w rodzaju symfonii, opery czy nawet westernu. Chciałem z niej zrobić muzykę *hot*, wiersz, piosenkę, tragedię, komedię, farsę i tak dalej. Jest powierzchowna, głęboka, zabawna, nudna, jak kto uważa. Jest to proroctwo, ostrzeżenie polityczne, kryptogram, groteska filmowa, bzdura, napis na ścianie. Można ją też uważać za rodzaj maszyny: wierzcie mi, działa, sam się na własnej skórze o tym przekonałem. A gdybyście pomimo wszystko byli zdania, że zrobiłem z niej Bóg wie co, tylko nie powieść, to powiem wam jeszcze, że nie miałem w gruncie rzeczy innego zamiaru jak napisać prawdziwą powieść, i to diabelnie poważną powieść.

Tu sam Lowry daje nam do ręki jeszcze jeden klucz, kto wie, czy nie najważniejszy. *Under the Volcano* to także, może przede wszystkim, wielka powieść polityczna. Śmiem twierdzić, że nie powstała współcześnie na Zachodzie książka, w której polityka byłaby bardziej naturalnie wszechobecna, która z politycznego kontekstu wyrosła i bez niego jest zupełnie niezrozumiała. W *Komu bije dzwon* Hemingwaya polityka jest akurat takim samym egzotycznym rekwizytem jak polowanie na lwy i nawet w *Zwłóce* Sartre'a wydarzenia polityczne, w tak majster-ski sposób opisane, kontrastują jedynie główny temat. Tu polityka podniesiona jest do rangi problemu moralnego, głównego problemu moralnego powieści. Klęska republikanów hiszpańskich i moralny problem winy z powodu nieinterwencji

Zachodu w tych pierwszych zmaganiach z faszyzmem powraca jak *leitmotw* (A tymczasem oni przegrywają bitwę nad Ebro!) i w niemałym stopniu przyczynia się do wytworzenia klimatu winy i grzechu, który ciąży nad całą książką. Lowry sam walczył w Hiszpanii po stronie republikanów, klęska republiki była dla niego klęską osobistą- Ale był jednocześnie obywatelem angielskim, ta klęska jego bezpośrednio nie dotyczyła, mógł się w porę wycofać z tej całej sprawy nie stając, jak Hiszpanie, przed wyborem: albo niewola, albo wygnanie z ojczyzny. Znalazł się w sytuacji *par excellence* fałszywej, tragicznie fałszywej, w której nawet marzenie o autentyczności było niemożliwe. W jakimś sensie tragizm tej sytuacji i jej fałszywość można porównać do sytuacji moralnej księży-robot-ników, ruchu tak żywego we Francji za pontyfikatu Piusa XII. Księża ci przywdziewali kombinezony, pracowali w fabrykach, utrzymywali się z robotniczych zarobków, chcieli stać się takimi samymi robotnikami jak ich koledzy z warsztatów. Ale to właśnie było nieosiągalne, oni byli zawsze skazani na udawanie robotników, niezależnie od czystości swych intencji. Bo każdy z nich — póki był księdzem, i właśnie jako ksiądz — miał jeszcze furtkę, której nie miał żaden robotnik francuski. Malcolm Lowry miał też taką furtkę, która nie pozwalała mu uczestniczyć autentycznie w tragicznych wydarzeniach wojny hiszpańskiej, choć przelewał w niej krew. I dlatego właśnie, że był obywatelem angielskim, tak boleśnie odczuł obojętność świata zachodniego na losy mordowanego przez faszystów narodu, dlatego wyniósł z wojny hiszpańskiej kompleks winy, którym tak hojnie obdarzył Konsula. Ze to nie są czcze dywagacje, zaraz postaram się udowodnić. Sprawa hiszpańska, choć nigdy nie mówi o niej Lowry wprost, jest w powieści jego wszechobecna. Po dwakroć przynajmniej znajduje ona prafrazę i odpowiednik w perypetiach powieści. Pamiętamy, że Konsul miał tam jakąś niejasną, nie wyjaśnioną do końca sprawę z oficerami niemieckiej łodzi podwodnej, spalonymi w kotle brytyjskiego okrętu przez palaczy okrętowych. Oddany pod sąd wojskowy zostaje uniewinniony. Nie znaleziono w nim winy i on jej w sobie nie znajduje. Wychodzi z tej sprawy czysty, z podniesionym czołem. Poczucie winy dopada go dopiero wtedy, gdy za dużo wypije. I to jest właśnie to poczucie winy niezawinionej, niejasne i mętne, nie do sprecyzowania w kategoriach sądowo-prawnych, ale istniejące, drażące wewnątrz jak robak, wyniesione przez autora z wojny

hiszpańskiej. A tak ważna, centralna w książce sprawa pobitego i ograbionego (przez faszystów z „Union Militar”?) *peona*, któremu Konsul i Hugh nie udzielili pomocy, nie uratowali życia, nie pomogli w odzyskaniu pieniędzy, przeszli mimo, choć leżał przy drodze — motyw będący tak wiernym powtórzeniem ewangelicznej przypowieści o dobrym Samarytaninie (którego tu zabrakło) — przecież to nie jest tylko aluzja do nieudzielenia pomocy broczącej krwią Hiszpanii, ale cała wielka metafora tamtej tragedii. Wstrząsający, deliryczny monolog Konsula w rozdziale dziesiątym mówi o tym wprost, prawie bez osłonek.

Jest wreszcie śmierć Konsula, która przekonać musi naj-podejrzliwszych wobec mojej tezy. Głupia, bezużyteczna śmierć, niczemu i nikomu nie służąca poza nim, niepotrzebna, niefatalna, nie nieunikniona jak śmierć bohatera, jak śmierć Józefa K., ale właśnie przypadkowa, taka jak w łapance, śmierć z ręki faszystów, którzy pytają go przedtem wręcz, choć nie po niemiecku: „*Bist du em Jüdei*”

Tak więc fantastyczne zgoła przypuszczenie, że kameralna ta powieść —
• której akcja rozgrywa się pomiędzy trojgiem zaabsorbowanych swoimi własnymi nieszczęściami ludzi, w dalekim meksykańskim Quauhnahuac, u stóp wulkanów Popo-catapetl i Ixtaccihuatl, choć pozbawiona całej rekwizytorni historycznej, szczęku broni i jęku konających — jest w istocie powieścią o wojnie hiszpańskiej, o pierwszym zwycięstwie faszyzmu nad ludzkością, okazuje się bynajmniej nie takie dowolne, jakby się zrazu wydawało.

I ten klucz nie wyczerpuje jednak symboliki powieści.

Oddajmy znów głos Lowry'emu.

„Akcja zaczyna się w Dzień Umartych, w listopadzie 1939 roku, w hotelu, który nazywa się «Casino de la Selva», przy czym *selva* znaczy las, i może nie od rzeczy będzie wspomnieć, że książkę budowałem początkowo, chyba nie bez jakiejś pre-
tensjonalności, na odwiecznym wzorcu *Martwych dusz* Gogola i jako pierwsze skrzydło czegoś w rodzaju pijanej *Boskiej komedii*. Dwie następne części, Czyściec i Niebo, miały być skomponowane później, a bohater, jak Cziczikow, stawać się na każdym etapie trochę lepszym lub trochę gorszym, zależnie od punktu widzenia. (...) Temat ciemnego lasu, jeszcze raz muśnięty w rozdziale siódmym, gdy Konsul wchodzi do obskurnej *cantmy* pod nazwą «E1 Bosque», co też znaczy las, rozwiązuje się w rozdziale jedenastym, który relacjonuje śmierć

bohaterki i w którym las staje się rzeczywistością i przeznaczeniem.

Cały ten pierwszy rozdział widziany je.it oczyma Francuza, producenta filmowego, Jacques Laruelle'a. Stanowi on jak gdyby szkic sytuacyjny powieści, a zarazem wyraża powolny, melancholijny i tragiczny rytm samego Meksyku, będącego miejscem spotkań różnych kultur i ras, odwieczną areną konfliktów politycznych i społecznych i gdzie, jak dowiódł tego bodaj Waldo Frank, barwny, obdarzony geniuszem naród kulturuje po dziś dzień religię, którą bez obawy nazwać można religią śmierci. Trudno wymarzyć sobie lepsze miejsce dla usytuowania dramatycznej walki człowieka przeciwko mocom ciemności i światła.

Wychodząc z «Casina de la Selva» Jacques Laruelle staje nad *barranca*, która tak wielką rolę odgrywa w powieści, a która jest także wąwozem, rozpadliną, jakąś otchłanią, którą każdy uczciwy człowiek nosi dziś w sobie, a także po prostu, jeśli czytelnik woli, szambem. i

Rozdział kończy się w innej *cantinie*, gdzie chronią się ludzie przed niespodziewaną o tej porze roku burzą, podczas gdy wszędzie indziej, na całym świecie, ludzie pełną do schronów przeciwlotniczych, po czym gasną wszystkie światła, tak jak gasną one wówczas na całym świecie. Na dworze, w tę burzliwą noc, kręci się tylko świetliste koło...

To koło jest kołem Ferrisa ustawionym na środku alei, ale także, jeśli kto woli, wszystkim innym: kołem prawa, kołem Buddy czy też! kołem wieczności, symbolem wiecznego powrotu. To koło, wskazujące na kolisty kształt książki, może być także uważane, w sposób najwyraźniej filmowy, za koło czasu, które zaczyna się kręcić do tyłu, zanim nas nie powróci o rok wcześniej. Bo początek drugiego rozdziału zaczyna się dokładnie o rok wcześniej, w Dzień Umartych 1938 roku. (...)

Składa się ona (powieść) z dwunastu rozdziałów i zasadnicza jej akcja mieści się bez reszty w jednym, dwunastogodzinnym dniu. Tak samo dwanaście jest miesięcy w roku i cała książka zamyka się w ramach jednego roku, podczas gdy najgłębsza warstwa powieści czy poematu, wywodząca się z mitu, nawiązuje tu wyraźnie do żydowskiej Kabały, w której cyfra dwanaście odgrywa tak zasadniczą rolę. Kabałę użytkujemy tu poetycko, ponieważ obrazuje ona odwieczną aspirację duchowe człowieka. Drzewo Życia, jej słynny emblemat, jest czymś w rodzaju skomplikowanej drabiny, której szczyt nazy-

wa się *Kether*, czyli Światło, podczas gdy ku H gdzieś w jej środku
mniej więcej otwiera się otchłań. Domeną duchową
Konsula jest najprawdopodobniej *Qliphoth*, świat
płazów i demonów, obrazowany przez przewrócone do góry nogami
Drzewo Życia, rządzone przez Beelzebuba, boga much. To wszystko nie
było dla zrozumienia książki wcale takie ważne, ale wspomniałem o tym
mimoходом (w owym liście do wydawcy — przyp. mój J. L.), zęby
wiedzieli że, jak powiada Henry James, «są w niej także niezbadane
głębiny»."

Taki jest ostatni klucz, metafizyczny, do wielkiej powieści Lowry'ego. To nie jest delirium pijaka ten wielki poemat o wrogości świata, o wrogości wszystkich pierwiastków chemicznych z dziesiątego rozdziału; te planety i konstelacje, które walą się Konsulowi na głowę, nie dlatego się rozbiegły, że ziemia się chwieje pod jego pijanym krokiem. *Pod wulkanem* to dramat samotnej walki człowieka z Bogiem i Szatanem. Z Bogiem i Szatanem, które są w nim. Walka dobrego ze złem, Arymana z Ormuzdem, światła i cienia — grzech pierworodny, wygnanie z Raju, Orfeuszowe błędzenia po piekle — odnajdujemy w tej powieści wszystkie mity od tysięcy przez ludzkość gromadzone. W ten sposób krąg się zamyka, dialektyczny ruch od szczególnego (pijaństwo Konsula) do ogólnego (obłęd niszczenia, jaki ogarnął ludzkość, to co Lowry nazywa pijaństwem ludzkości) znów powraca do szczególnego (metafizyczny los człowieka) i sprzeczność się rozwiązuje. Bo ów metafizyczny obraz Raju, z którego grozi wygnanie, nie jest żadną metafizyką, żadnym urojeniem. Ow rajski ogród to nic innego jak nasza ziemia, po której chodzimy, jak realny, dotykalny świat, w którym żyjemy. (' *Le gusta este jardin que es suyo!*) Napis na zielonym trawniku znaczy więcej niż znaczy. Nie podoba nam się ten świat czasami, nie zawsze jest on nasz, człowiek czuje się w nim źle, wyobcowany — ale innego nie ma. I jakże groźną przestroga, bynajmniej znów nie metafizyczną, lecz najbardziej konkretną w dobie wiszącej nad nami zagłady atomowej (Lowry kończył pisać swoją powieść w momencie, gdy pierwszy grzyb atomowy rozkwitł nad Hiroszimą) pobrzmiwa dokonczenie napisu: ! *EVITE QVE SUS HIJOS LO DESTRUYAN!*? raz wreszcie znaczące naprawdę to, co znaczy po hiszpańsku: Nie pozwólcie, by wasze dzieci go zniszczyły.

Jerzy Lisowski